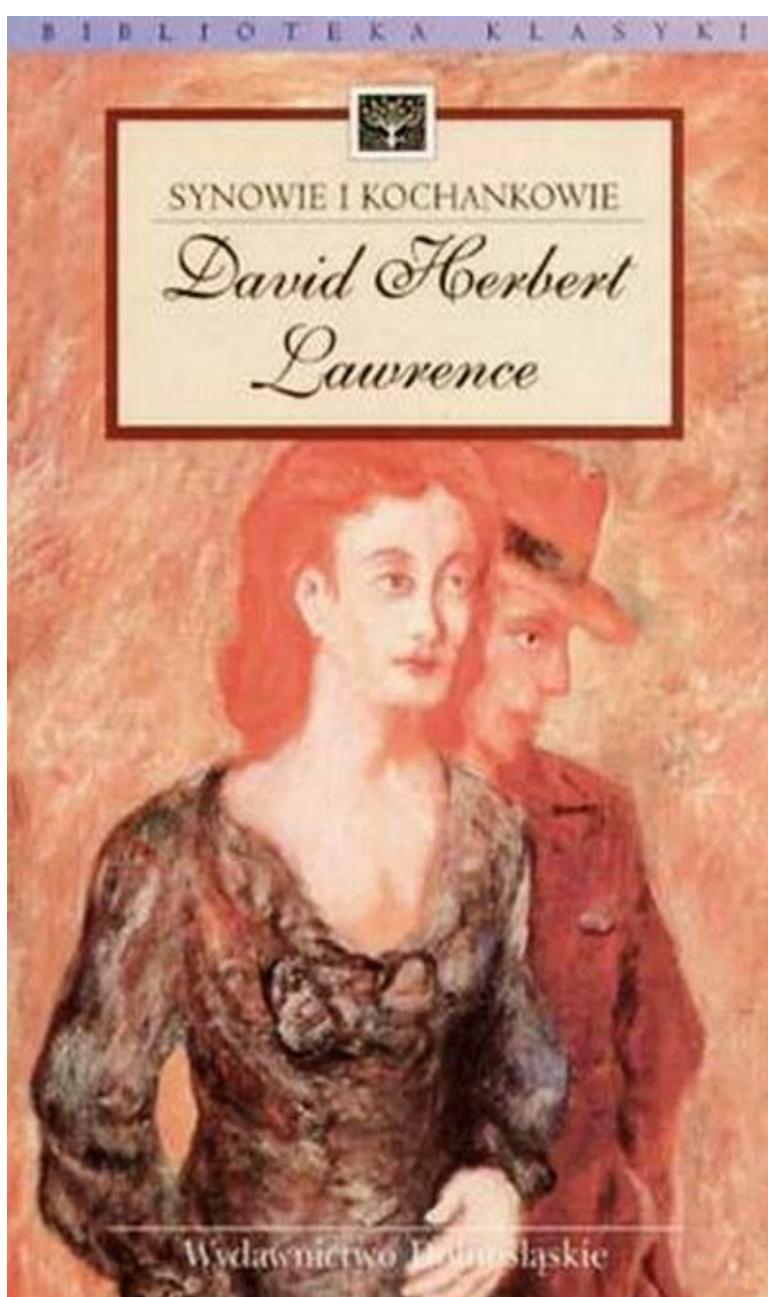




Lawrence David Herbert  
Synowie i kochankowie

---

Tłumaczyła Zofia Sroczyńska



Warszawa 1992

TLR

## PIERWSZE MAŁŻEŃSKIE LATA MORELÓW

Bottoms powstało na miejscu Hell Row. Hell Row składało się z kilkunastu pękających, krytych słomą chałup, które skupiły się nad brzegiem strumienia, na Greenhill Lane. Tutaj to mieszkali górnicy zatrudnieni w małych szybach, o dwa pola dalej. Strumień płynął między olchami, ledwie przyprószonymi pyłem owych ubogich kopalń, z których węgiel wydobywany był na powierzchnię ziemi przez osły, z trudem wlokące się w kieracie wkoło wylotu szybu. Cała okolica usiana była podobnymi szymbami pochodzącymi niejednokrotnie jeszcze z czasów Karola II. Górnicy, których było niewiele, jak mrówki znikali pod ziemią wraz z osłami, pozostawiając po sobie wśród łąnów zboża i łąk jakieś dziwaczne kopczyki i małe, czarne łysiny. Chaty górników — skupione po kilka lub rozrzucone tu i ówdzie parami, wespół z rozproszonymi z rzadka po tym terenie pojedynczymi gospodarstwami i domkami pończoszników — tworzyły miasteczko Bestwood.

W niespełna sześćdziesiąt lat potem w okolicy tej nastąpiły nagłe i nieprzewidziane zmiany. Ubogie szyby zostały wyparte przez wielkie kopalnie bogatych finansistów. W Nottinghamshire i Derbyshire odkryto pokłady węgla i żelaza. Pojawiło się Towarzystwo „Carston, Waite i S-ka”. Wśród niezwykłego podniecenia lord Palmerston dokonał formalnego otwarcia pierwszej kopalni Towarzystwa w Spinney Park, na skraju sherwoodzkich lasów.

W tym samym mniej więcej czasie osławione Hell Row, które w miarę upływających lat wyrobiło sobie jak najgorszą reputację, spłonęło doszczętnie i wiele brudu oraz zła znikło z nim razem z powierzchni ziemi.

Towarzystwo „Carston, Waite i S-ka”, zorientowawszy się, że natrafiło na złotą żyłę, poczęło wiercić coraz nowe szyby w dolinach strumieni od Selby do Nuttall, tak iż wkrótce było już czynnych sześć kopalni. Z Nuttall, położonego na wysokim piaszczystym wzgórzu pośród lasów, biegła kolej prowadząca obok ruin klasztoru Kartuzów i studni Robin Hooda w dół do Spinney Park, a stamtąd do Minton, dużej kopalni otoczonej polami kukurydzy. Z Minton, poprzez rozpościerające się w dolinie grunty farmerów, droga żelazna ciągnęła się dalej w kierunku Bunkers Hill i tam rozwidlała się, skręcając na północ do Beggarlee i Selby, skąd roztaczał się rozległy widok na Crich i wzgórze Derbyshire. Sześć szybów widniało w dole, niby wielkie czarne ćwieki, złączone pętlą nikłego łańcuszka szyn kolejowych.

W trosce o liczne zastępy górników Towarzystwo „Carston, Waite i S-ka” wybudowało na zboczu wzgórza bestwoodzkiego wielkie czworobki domów mieszkalnych, zwane Squares, a następnie w dolinie strumienia, po stronie Hell Row — osadę Bottoms.

Bottoms składało się z sześciu bloków górniczych domków. Bloki rozmieszczone były po trzy, w dwóch rzędach, niby kropki na szóstce domina, i w każdym było dwaście domków. Dwuszereg ów usadowił się u stóp stromo opadającego wzgórza bestwoodzkiego, a wychodził (przynajmniej od strony małych mansardowych okienek

na stryszkach) na obszerną dolinę, łagodnie wznoszącą się w kierunku Selby.

Domki wyglądały dostаточно i bardzo porządnie. Można je było obejść wkoło i zajrzeć od frontu do małych ogródków, pełnych lobelii i portulaki rosnących w cieniu dolnego bloku, położonego w dolinie, u stóp wzgórza. Po słonecznej stronie górnego, usytuowanego wyżej, na początku zbocza, kwitły różnokolorowe goździki i hortensje. Czyste frontowe okna, niewielkie ganeczki, niskie żywopłoty z ligustru i mansardowe okienka stryszków robiły korzystne wrażenie. Był to jednak rzut oka z zewnątrz, od strony nie zamieszkanymi paradnymi izb, które — u żon wszystkich górników — z reguły stały pustką. Izby mieszkalne i kuchnie znajdowały się w tyle budynków i wychodziły na zamkniętą przestrzeń między domami, na małe brudne podwórza i doły do wysypywania popiołu. W środku, pomiędzy dwoma rzędami domów oraz dołami z popiołem, wiodła alejka, na której bawiły się dzieci, plotkowały kobiety i palili fajki mężczyźni. W istocie więc warunki mieszkalne w Bottoms, tak starannie zbudowanym i prezentującym się tak mile, były zgoła nie zachęcające, jak bowiem wszystkim dobrze wiadomo, ludzie muszą żyć w kuchni, kuchnie zaś wychodziły właśnie na ową nieprzyjemną alejkę pomiędzy dołami z popiołem.

Pani Morel bez cienia entuzjazmu myślała o przeprowadzce do Bottoms, które liczyło już sobie dwanaście lat i leżało w dole, gdy schodziło się do niego ścieżką od strony Bestwood. Było to jednak najlepsze, co mogła uczynić, a ponadto przypadł jej w Bottoms domek położony na samym skraju, miała więc tylko jednych sąsiadów, a za to dodatkowy skrawek ogródka. Mieszkając w takim domku pani Morel zaliczała się w pojęciu lokatorek domków „środkowych” do pewnego rodzaju arystokracji, komorne jej bowiem wynosiło pięć szylingów i sześć pensów tygodniowo zamiast pięciu szylingów. Owo wyróżnienie w pozycji towarzyskiej nie było jednak dla pani Morel źródłem zbyt wielkiej pociechy.

Pani Morel miała trzydzieści jeden lat i od ośmiu lat była mężatką. Ta drobna, wątlej budowy kobieta, o zdecydowanym sposobie bycia, ociągała się nieco z nawiązaniem pierwszych znajomości z sąsiadami w Bottoms. Sprowadziła się w lipcu, a we wrześniu spodziewała się trzeciego dziecka.

Mąż jej był górnikiem. Za ledwie od trzech tygodni mieszkali w swoim nowym mieszkaniu, gdy w Bottoms rozpoczął się doroczny odpust, połączony z kiermaszem. Pani Morel wiedziała z góry, że jej mąż urządzi sobie z tego powodu nie lada święto. W poniedziałek rano, w dniu otwarcia kiermaszu, Morel wcześniej wyszedł z domu. Dzieci były niezwykle podniecone. William, siedmioletni chłopak, wymknął się zaraz po śniadaniu, aby pomyszkować w pobliżu jarmarcznych bud, a pozostawiona samotnie pięcioletnia Ania chlipała przez cały ranek, że też chce tam pójść. Pani Morel nie przerywała swych codziennych zajęć. Nie знаła jeszcze prawie wcale sąsiadek, nie miała zatem nikogo, komu mogłaby powierzyć małą. Przynęła jej więc w końcu, że pójdą na kiermasz po obiedzie.

William zjawił się o pół do pierwszej. Był to bardzo żywy chłopczyk, z jasną czupryną i buzią usianą piegami. Przypominał trochę małego Duńczyka albo Norwega.

— Czy mogę dostać obiad, mamó? — zawołał wpadając do pokoju w czapce na głowie. — Bo jeden pan mi powiedział, że to się zaczyna o pół do drugiej.

— Dostaniesz, jak tylko będzie gotów — odparła matka.

— Jak to? Jeszcze nie ma obiadu? — spojrział na matkę z wyraźnym wyrzutem w niebieskich oczach. — No to chyba pójdę bez...

— Nie pójdziesz. Obiad będzie za pięć minut. Jest dopiero pół do pierwszej.

— Zaraz się zaczniesz... — jęknął chłopak, prawie z płaczem.

— Nie umrzesz od tego, mój drogi, nawet jeśli się zaczniesz — powiedziała matka. — Ale jest dopiero pół do pierwszej i masz jeszcze całą godzinę czasu.

William zaczął szybko nakrywać do stołu i za chwilę zasiedli we trójkę do obiadu. Jedli właśnie pudding z konfiturami, gdy William zerwał się na równe nogi i zamarł w bezruchu. Gdzieś w oddali rozbrzmiały pierwsze tony piskliwej muzyki z karuzeli i trąbienie rogu. Chłopiec spojrział na matkę. Usta mu drżały.

— Mówiłem ci! — zawołał rzucając się do komody po czapkę.

— Weź swój kawałek puddingu na drogę... jest dopiero pięć po pierwszej, musiałeś się więc pomylić... nie wzięłaś swoich dwóch pensów — jednym tchem wołała za nim matka.

Chłopiec zawrócił gorzko zawiedziony, chwycił leżące dwa pensy i wybiegł bez słowa.

— Ja też chcę... ja też chcę... — rozplakała się Ania.

— No i pójdziesz, ty mała, utrapiona piszczko! — wybuchnęła matka.

Trochę zaś później po południu powlokła się z dzieckiem wzdłuż wysokiego żywopłotu, pod górę. Siano już zebrano i bydło pasło się na pastwisku. Było ciepło, spokojnie.

Pani Morel nie lubiła kiermaszów. Na placu stały dwie karuzele, z których jedna była poruszana parą, a drugą obracał kucyk. Trzy katarynki skrzeczały bezlitośnie, zaś w powietrzu rozbrzmiewały pojedyncze strzały pistoletowe, ogłuszający terkot grzechotki potrząsanej przez sprzedawcę orzechów kokosowych, głośnie okrzyki mężczyzny reklamującego „Ciotkę Sally” i piskliwy głos właścicielki fotoplastykonu. Pani Morel zobaczyła synka stojącego przed budą lwa Wallace’a. Jak urzeczony wpatrywał się w plakaty przedstawiające to słynne zwierzę, które ongiś zabiło jednego Murzyna, a dwóch białych okaleczyło na całe życie. Minęła go i poszła kupić Ani torebkę landrynek. Nagle chłopak wyrósł przed nią niemal nieprzytomny z emocji.

— Nie powiedziałaś ani słowa, że przyjdiesz... prawda, jaka tu moc rzeczy? Ten lew zabił trzech ludzi... wydałem już moje dwa pensy... o, popatrz, mammo!

Wyciągnął z kieszeni dwa kieliszki do jajek z wymalowanymi na nich różowymi stokrotkami.

— Mam je z tamtej budy, gdzie się rzuca kulkami do dołków... Wygrałem je w dwóch rzutach... po pół pensa za jeden raz... są na nich wymalowane stokrotki... Popatrz mammo!... Koniecznie chciałem je wygrać.

Matka wiedziała, że pragnął ich dla niej.

— Hm... — rzekła zadowolona. — Są śliczne!

— Czy możesz je wziąć? Bo się boję, że je stłukę.

Odkąd matka przyszła, chłopiec nie posiadał się z radości i podniecony oprowadzał ją po kiermaszu, pokazując wszystko po kolei. W fotoplastykonie matka objaśniała im treść obrazków, w formie opowiadań, których William słuchał z zapartym tchem. Nie odstępował jej ani na krok. Chodził przez cały czas przyklejony do niej, tryskając

dziecinną dumą. Żadna bowiem kobieta na kiermaszu nie wyglądała tak bardzo na damę jak ona, w swym skromnym płaszczyku i małym czarnym czepeczku. Uśmiechała się spotykając znajome kobiety. Kiedy poczuła się zmęczona, rzekła do syna:

- Czy wracasz już, czy chcesz jeszcze trochę zostać?
- Idziesz... już? — wykrzyknął patrząc na nią z wyrzutem.
- Już? Jest pół do piątej, jeśli się nie mylę.
- Czemu już idziesz?
- Możesz zostać, jeśli chcesz — odparła.

Oddaliła się powoli, prowadząc za rękę małą córeczkę, a syn został i patrzył za nią pełen żalu, że odchodzi — sam me mógł jednak zdobyć się na opuszczenie kiermaszu. Kiedy przecinała mały placyk przed gospodą „Pod Gwiazdami i Księżycem”, doleciał ją zapach piwa i gwar męskich głosów. Pomyślała, że zapewne jej mąż jest tam również, i przyśpieszyła nieco kroku.

William wrócił do domu około pół do siódmej, blady, zmęczony i w niezbyt dobrym humorze. Było mu przykro, chociaż sam nie zdawał sobie z tego sprawy, że pozwolił matce odejść samotnie. Odkąd poszła, kiermasz nie sprawiał mu już przyjemności.

- Czy ojciec był w domu? — zapytał.
- Nie — odparła matka.
- Pomaga usługiwać „Pod Gwiazdami i Księżycem”. Widziałem przez tę dziurkowaną żelazną blachę na oknie, jak się kręcił po sali z zakasnymi rękawami.
- Ha! — ucięła krótko matka. — Nie ma pieniędzy. I będzie bardzo zadowolony, jak mu się co dostanie, choćby to nawet było niewiele.

Kiedy się ściemniło i pani Morel nie widziała już, co szyje, wstała i podeszła do drzwi. Zewsząd dochodził gwar podnieconych głosów i wyczuwało się wesoły, świąteczny niepokój, który w końcu udzielił się jej także. Wyszła do ogródka koło domu. Sąsiadki wracały z kiermaszu, z dziećmi ciągnącymi na sznurku białe owieczki z zielonymi nóżkami albo drewniane koniki. Co pewien czas chwiejnym krokiem przechodził jakiś mężczyzna opity piwem do ostatecznych granic swej pojemności. Niekiedy trafiał się dobry mąż, kroczący spokojnie u boku rodziny. Ale zazwyczaj kobiety i dzieci szły same. Czuwające w domach matki wychodziły o zmierzchu na alejkę i gawędziły stojąc z rękami skrzyżowanymi pod białym płóciennym fartuchem.

Pani Morel była sama, ale już do tego przywykła. Jej syn i mała córeczka spali w izdebce na górze, miała więc świadomość, że dom stoi za nią mocno i niewzruszenie. Czuła się jednak nieszczęśliwa i gnębiła ją myśl o mającym przyjść na świat dziecku. Świat wydawał się jej posępnym miejscem, gdzie nie może jej spotkać nic dobrego — przynajmniej do czasu, kiedy dorośnie William. Nie spodziewała się w życiu dla siebie niczego poza ciężkim trudem i udręką — póki nie dorosną dzieci. A dzieci! Nie stać jej było na to trzecie. Nie chciała go. Jego ojciec roznosił kufle piwa w oberży, pijąc przy tym do nieprzytomności. Gardziła mężem, ale była z nim związana. Oczekiwane dziecko było ciężarem ponad jej siły. Miała już dość wszystkiego i gdyby nie Ania i William, nie wytrzymałaby tej ciągłej walki z biedą, szpetotą i pospolitością życia na każdym kroku.

Przeszła do ogródka od frontu domu. Chociaż czuła się zbyt ociężała i znużona, by

przebywać na dworze, nie mogła usiedzieć w mieszkaniu. Upał ją dusił. Myśląc o przyszłości i o tym, co ją czeka, czuła się, jak gdyby ją za życia pogrzebano.

Frontowy ogródek był mały, kwadratowy i okolony żywopłotem z ligustu. Pani Morel stała szukając ukojenia w zapachu kwiatów i w pięknie zapadającego wieczoru. Na wprost jej furtki znajdowała się bramka, a za nią, w cieniu wysokiego żywopłotu, wśród skoszonych, zalanych blaskiem zachodu pastwisk, wiodła na wzgórze droga. Niebo w górze dyszało i pulsowało światłem. Blask ustępował szybko z pól. Ziemia i żywopłoty dymiły mrokiem. W miarę jak zapadał zmierzch, szkarłatny blask objął wzgórze, a spoza tej świetlistej zasłony dobiegała stłumiona i przygasająca wrzawa kiermaszu.

Od czasu do czasu, w ciemnym korycie ścieżki zamkniętej między dwoma żywopłotami, ukazywał się mężczyzna, chwiejnym krokiem zmierzający do domu. Jakiś młody chłopak puścił się biegiem po stromym, końcowym odcinku wzgórze i z trzaskiem wpadł na bramkę. Pani Morel zadrżała. Chłopak podniósł się klnąc z pasją, choć nieco żałośnie, jak gdyby myślał, że furтка umyślnie postanowiła go skaleczyć.

Pani Morel weszła do domu medytując, czy w jej życiu coś kiedykolwiek się zmieni. Ostatnio zaczęła sobie zdawać sprawę, że nie nastąpi to nigdy. Lata dziewczęce wydawały jej się tak odległe, że poczęła się zastanawiać, czy kobieta, wlokąca się ciężko przez ogródek w Bottoms, jest naprawdę tą samą istotą, która tak lekko biegała po falochronie w Sheerness, dziesięć lat temu.

— Cóż ja mam z tym wspólnego? — szepnęła sama do siebie. — Co ja mam wspólnego z tym wszystkim? Nawet z tym dzieckiem, które ma się urodzić! Nie wydaje się, żebym tu była w ogóle brana pod uwagę.

Czasem życie chwyta kogoś w swoje kleszcze, niesie jego bezwładne ciało i stanowi o losach, a pomimo to nie jest wcale realne, lecz pozostawia wrażenie czegoś mglistego i odgradzonego nieprzeniknioną zasłoną.

— Czekam — powiedziała pani Morel sama do siebie — czekam... A to, na co czekam, może nigdy nie nadejść.

Posprzątała w kuchni, zapaliła lampkę, dorzuciła do ognia, przygotowała na następny dzień bieliznę do prania i namoczyła ją w wodzie. Potem usiadła i zabrała się do szycia. Przez długie godziny igła jej połyskiwała rytmicznie wśród materiału. Pani Morel bez przerwy myślała, jak powinna gospodarować, aby było to z pożytkiem dla dzieci.

O pół do dwunastej wrócił mąż. Policzki jego były żywo zarumienione i błyszczały mocno nad czarnymi wąsami. Głowa chwiała mu się lekko. Był wyraźnie z siebie zadowolony.

— Ho, ho! Czekasz na mnie, panienko? Pomagałem trochę Antoniemu i zgadnij no, co mi za to dał?... Jedne śmierzące pół korony i ani grosza więcej.

— Pewnie uważał, że resztę wybrałeś sobie piwem — ucięła krótko żona.

— Nieprawda... wcale tak nie było. Możesz mi wierzyć, że prawie nic dzisiaj nie piłem... tyle co nic. — Głos jego stał się czuły. — Patrz no, przyniosłem ci tu kawałek miodownika, a dla dzieciaków kokosa. — Położył na stole piernik i owłosioną kulę orzecha kokosowego. — Ale ty mi chyba nigdy w życiu za nic nie podziękowałaś...

co, matka?

Pani Morel pojednawczo podniosła w górę orzech kokosowy i potrząsnęła nim, żeby sprawdzić, czy ma w środku mleko.

— To dobra sztuka, można dać głowę. Dostałem go od Billa Hodgkissona. „Bill — mówię mu — na co ci trzy orzechy? Daj mi lepiej jednego dla mojego urwisa i mojego dziewczyniska”. „Bierz, Walter, stary chłopie — powiada Bill — bierz, który ci się podoba”. Wziąłem jednego i podziękowałem mu. Wstydziłem się potrząsać jemu na oczach, ale Bill mówi: „Lepiej sprawdź, Walter, czy dobry”. No i stąd wiem. Swój chłop, ten Bill Hodgkisson, swój chłop, mówię ci, matka!...

— Mężczyzna, kiedy pijany, gotów się wszystkim podzielić, a ty jesteś tak samo pijany jak twój Bill — odparła pani Morel.

— Ach, ty mała, podła zmijo... kto jest pijany, chciałbym wiedzieć! — zawołał Morel. Był niezwykle z siebie zadowolony po całym dniu usługiwania „Pod Gwiazdami i Księżycem” i nie przestawał o tym opowiadać.

Pani Morel, śmiertelnie znużona i wyczerpana jego gadaniem, poszła natychmiast się położyć, gdy on zgarniał jeszcze pogrzebaczem ogień na kominku.

Gertruda pochodziła z dobrej, starej, osiadłej rodziny mieszczańskiej znanych kongregacjonalistów, którzy walczyli pod pułkownikiem Hutchinsonem i pozostali nieprzejednanymi wyznawcami swej wiary. Dziadek pani Morel zbankrutował, jednocześnie z wielu kupcami handlującymi koronką, w pamiętnym krachu w Nottingham. Ojciec jej, inżynier George Coppard, był wysokim, przystojnym, postawnym mężczyzną, dumnym ze swej jasnej cery i błękitnych oczu, ale jeszcze wyżej ceniącym swą prawość. Gertruda drobnym wzrostem przypominała matkę. Ale usposobienie, ambicję i hart ducha odziedziczyła po Coppardach.

George’a Copparda gorzko upokarzało i przygnębiało ubóstwo. Został pierwszym inżynierem w stoczni w Sheerness. Gertruda była drugą z rzędu córką. Kochała bardziej matkę, kochała matkę ponad wszystko, ale miała jasne, błękitne, śmiałe oczy Coppardów i ich szerokie czoło. Pamiętała, jak będąc dzieckiem nie znosiła wyniosłego tonu, którym ojciec zwracał się do jej łagodnej, wesołej, dobrej dla wszystkich matki. Pamiętała, jak biegała po falochronie w Sheerness i jak znalazła łódź. Pamiętała, jak ją chwalili i dogadzali jej wszyscy mężczyźni, kiedy przychodzili do stoczni, była bowiem wątłym, ambitnym dzieckiem. Pamiętała śmieszna, starą nauczycielkę, której tak lubiła pomagać w małej prywatnej szkółce. I dotąd jeszcze zachowała Biblię, ofiarowaną jej przez Johna Fielda. Zawsze wracała z Johnem Fieldem z kościoła do domu, kiedy miała dziewiętnaście lat. Był synem zamożnego przemysłowca, odbył studia w Londynie i miał poświęcić się interesom.

Zapamiętała na zawsze, z wszystkimi najdrobniejszymi szczegółami, pewne wrześniowe niedzielne popołudnie, kiedy to siedzieli pod winoroślą, rozpiętą na tylnej ścianie domu jej ojca. Słońce przeświecało pomiędzy liśćmi wina, tworząc delikatne i piękne wzory, które stały się na postaciach obojga młodych, niby wstęgi cieniutkiej koronki. Niektóre liście były jasnożółte, podobne do wielkich, płaskich, żółtych kwiatów.

— Nie ruszaj się! — zawołał. — Nie potrafię powiedzieć, jak teraz wyglądają twoje włosy! Lśnią jak miedź i złoto. Są czerwone jak roztopiona miedź i kiedy słońce na



nie pada, połyskują złotem. Jakże można mówić, że twoje włosy są brązowe! Twoja matka nazywa to mysim kolorem...

Spojrzała w jego błyszczące oczy, lecz jej pogodna twarz nie zdradziła radosnego uniesienia, jakie wezbrało w jej sercu.

— Przecież mówiłeś, że nie lubisz interesów — spieszenie zmieniła temat.

— Ależ tak... nawet nie cierpię! — potwierdził gorąco.

— I że chciałbyś zostać duchownym — przypominała mu niemał błagalnie.

— Tak. Bardzo bym tego pragnął, gdybym wiedział, że mogę stać się wybitnym kuznodzieją.

— Czemu więc... dlaczego tego nie uczynisz? — W głosie jej brzmiało wyzwanie.

— Gdybym była mężczyzną, nic by nie mogło mnie od tego powstrzymać.

Uniosła dumnie głowę. Czuł się przy niej trochę onieśmielony.

— Nie wiesz, jaki mój ojciec jest straszliwie uparty. Postanowił, że mnie umieści w interesach, i na tym rzecz się skończy.

— Przecież jesteś mężczyzną! — zawołała.

— Być mężczyzną to jeszcze nie wszystko — odparł zmieszany, marszcząc bezradnie brwi.

Teraz, kiedy krzątała się po swoim domu w Bottoms i miała już pewne doświadczenie, co to znaczy być mężczyzną, zdawała sobie sprawę, że nie jest to bynajmniej wszystko.

Gdy miała dwadzieścia lat, z powodu słabego zdrowia opuściła Sheerness. Jej ojciec powrócił do rodzinnego Nottingham. Ojciec Johna Fielda zbankrutował, a jego syn został nauczycielem w Norwood. Nic o nim nie słyszała, i dopiero po upływie dwóch lat zdecydowała się dowiedzieć, co się z nim dzieje. Ożenił się ze swoją gospodynią, czterdziestoletnią, dobrze sytuowaną wdową.

Pomimo to pani Morel zachowała Biblię ofiarowaną jej swego czasu przez Johna Fielda. Nie uważała go już dziś za... No cóż, wiedziała teraz dobrze, na co go było stać, a może raczej — na co go nie było stać... Przechowywała więc jego Biblię, a w sercu nienaruszoną pamięć o nim — dla swego własnego dobra. Odtąd, aż do ostatniego dnia życia, przez długich trzydzieści pięć lat, nie wymówiła jego imienia.

Kiedy miała dwadzieścia trzy lata, poznała na świątecznej zabawie, w okresie Bożego Narodzenia, młodego człowieka z Erewash Valley. Morel miał wtedy dwadzieścia siedem lat. Był dobrze zbudowany, zgrabny, postawny i bardzo starannie ubrany. Miał czarne, pofalowane, lśniące włosy i bujną czarną brodę, której nigdy nie dotknęła brzytwa. Policzki miał rumiane, a jego czerwone, wilgotne usta przyciągały uwagę, śmiały się bowiem niezwykle często i serdecznie. Posiadał ów niezmiernie rzadki dar natury — bogaty, dźwięczny śmiech. Gertruda Coppard patrzyła na niego oczarowana. Tyle w nim było uroku i animuszu, był tak bezpośredni i miły dla wszystkich, a jego głos z niezwykłą swobodą wpadał w ton żartobliwie komiczny. Jej własny ojciec miał silnie rozwinięte poczucie humoru, lecz było ono zaprawione ironią. Weselość Morela była w innym rodzaju — miękka, nie intelektualna, ciepła i pełna nieoczekiwanych komicznych przeskoków.

Ona sama była naturą krańcowo różną. Miała ciekawy, chłonny umysł, znajdowała więc dużo przyjemności i prawdziwą rozrywkę w przysłuchiwaniu się innym ludziom.

Umiała znakomicie doprowadzać ludzi do zwierzeń. Pociągała ją filozofia i uważano ją za intelektualistkę. Najwięcej zadowolenia przynosiły jej dysputy na tematy religii, filozofii lub polityki z jakimś wykształconym człowiekiem. Nieczęsto jednak zdarzała się jej po temu sposobność. Nakłaniała więc zazwyczaj ludzi, aby jej opowiadali o sobie, znajdując w tym prawdziwą satysfakcję.

Była drobna i wątłej budowy. Miała duże czoło, na które opadały bujne, jedwabiste, ciemne loki. Jej niebieskie oczy patrzyły prosto, uczciwie i pytająco. Odziedziczyła piękne ręce Coppardów. Jej suknie były zawsze stonowane. Tego wieczoru miała na sobie ciemnoniebieską jedwabną suknię i oryginalny srebrny naszyjnik z małych, srebrzystych muszelek. Naszyjnik ten oraz ciężka, pleciona złota brosza stanowiły jedyną ozdobę jej stroju. Była dziewczęcą czystą, głęboko religijna i zachwycająco szczerą.

W Walterze Morelu miękło serce na jej widok. W oczach tego młodego górnika była tajemniczą i fascynującą istotą z bajki — damą. Gdy do niego przemówiła, jej południowy akcent i czystość wymowy wprowadziły go w zachwyt. Obserwowała go bacznie. Tańczył dobrze, jak gdyby taniec był dla niego rzeczą naturalną i sprawiał mu radość. Ojciec jego był francuskim emigrantem, który ożenił się z angielską kelnerką — o ile było to w ogóle małżeństwo. Gertruda Coppard przyglądała się młodemu górnikowi, tańczącemu w jakimś ulotnym zachwyceniu, co dodawało jego ruchom specyficznego uroku. Jego rumiana twarz wykwitowała wysoko w górze, ocieniona czarną, zwichrzoną czupryną, i pochylała się z tym samym miłym uśmiechem nad każdą z kolei tancerką. Gertruda była nim oczarowana, nie spotkała bowiem jeszcze w swoim życiu nikogo takiego jak on. Jej ojciec był dla niej dotychczas jedynym wyobrażeniem mężczyzny. George Coppard, wyniosły, przystojny i nieco zgorzkniały, przekładał teologię nad wszelką literaturę i żywił głębszą sympatię tylko dla jednego człowieka — dla Pawła Apostoła. Był surowy jako zwierzchnik, ironiczny w gronie rodzinnym, gardził wszelkimi przyziemnymi uciechami — i był zupełnie inny od tego młodego górnika. Gertruda Coppard miała raczej pogardliwy stosunek do tańca. Sztuka ta nie pociągała jej w najmniejszym stopniu, toteż nigdy nie nauczyła się nawet Rogera<sup>1</sup>. Była purytanką jak jej ojciec, miała wyższego rzędu aspiracje i traktowała życie bardzo serio. Dlatego też zwiwna, promienna radość życia tego człowieka, która unosiła się nad nim jak płomyk nad świecą i nie przerodziła się jak u niej, w gorący żar myśli i ducha — wydawała się jej cudowna i pociągała ją wbrew woli.

Podszedł i schylił się nad nią. Ogarnęła ją radosna fala ciepła jak po lampce wina.

— Proszę teraz ze mną zatańczyć — powiedział miękko. — To bardzo łatwe. Marzę o tym, żeby zobaczyć, jak pani tańczy.

Powiedziała mu przedtem, że nie umie tańczyć. Pokorny ton jego prośby rozbroił ją i uśmiechnęła się. Uśmiech jej był piękny i wstrząsnął młodym człowiekiem tak, że zapomniał o całym świecie.

— Dziękuję panu, ale nie chcę tańczyć — odparła łagodnie. Jej głos brzmiał czysto i dźwięcznie.

Nie zdając sobie sprawy, co robi (często zdarzało mu się instynktownie postępować w sposób właściwy), usiadł obok niej, pochylając się ku niej z szacunkiem.

— Nie powinien pan tracić tańca — upomniała go.

---

<sup>1</sup> Roger de Coverley — stary taniec angielski.

— Nie mam ochoty tańczyć... grają właśnie to. czego nie lubię.

— Pewnie dlatego mnie pan poprosił.

Roześmiał się serdecznie.

... — Nie przyszło mi to do głowy. Zawsze wpadam, jak zaczynam kręcić...

Z kolei ona się roześmiała.

— Patrząc na pana można by pomyśleć, że nie sprawia to panu trudności — rzekła.

— Jestem jak ten świński ogonek, który się kręci, bo nie ma innego wyjścia — zaśmiał się nieco hałaśliwie.

— I jest pan górnikiem! — zawołała z podziwem.

— Ano tak. Zjechałem na dół, jak miałem dziesięć lat.

Spojrzała na niego z pełnym podziwu zdumieniem.

— Jak miał pan dziesięć lat?! Musiało być chyba panu strasznie ciężko? — spytała.

— Człowiek się prędko przyzwyczaja. Siedzi się jak mysz w norze i tylko w nocy wysuwa się nos na świat, żeby zobaczyć, co się dzieje.

— Czuję się tak, jakbym oślepla — wzdrygnęła się Gertruda.

— Jak kret! — zaśmiał się. — Niektórzy z naszych łażą w kółko jak krety. — Wsunął brodę naprzód i zamknął oczy naśladowując pyszczek kreta wążącego w poszukiwaniu właściwego kierunku. — Robią tak naprawdę! — upierał się naiwnie. — Trudno to sobie wyobrazić. Ale proszę się kiedy ze mną zabrać na dół, to się panna przekona.

Spojrzała na niego zaskoczona. Oto nagle otwarł się przed nią nowy i nieznany szlak życia ludzkiego. Wyobraziła sobie życie górników, których tysiące pracują w ciężkim trudzie pod ziemią, dopiero wieczorem wychodząc na górę. Morel wydawał się jej bohaterem. Codziennie, z uśmiechem, ryzykował własnym życiem. W odruchu pokornego uznania spojrzała na niego z nieśmiałą prośbą w jasnych oczach.

— Nie miałyby panna ochoty? — spytał miękko. — Pewno że nie, bo można się tam pobrudzić.

Jeszcze nigdy w życiu nie zwracano się do niej „panna”.

Pobrali się w najbliższe Boże Narodzenie i przez trzy miesiące była bezgranicznie szczęśliwa. Przez następne sześć miesięcy była bardzo szczęśliwa.

Morel podpisał zobowiązanie i nosił niebieską wstęgę abstynenta. Wyglądał w niej imponująco. Mieszkali, jak sądziła, we własnym domku. Był niewielki, ale wygodny i zupełnie przyzwoicie umeblowany solidnymi sprzętami, które odpowiadały prostolinijnej naturze Gertrudy. Z sąsiadkami nie utrzymywała bliższych stosunków, a matka i siostry Morela często wykpiwały jej delikatne maniery. To osamotnienie nie dokuczało jej jednak wcale, bo miała przy sobie męża.

Czasem znużona miłosnymi wynurzeniami próbowała otworzyć przed nim swoje serce. Spostrzegła, że słucha jej uważnie, ale bez zrozumienia. Zmroziło to jej próby nawiązania z nim głębszego kontaktu i wzbudziło pierwsze przebliski obawy. Niekiedy Morel stawał się wieczorem niespokojny. Zrozumiała, że nie wystarcza mu bezczynne przesiadywanie z nią, i cieszyło ją, gdy zabierał się do drobnych prac domowych.

Był niezwykle zręczny. Potrafił wszystko sam zrobić lub naprawić. Mówiła mu więc:

- Bardzo mi się podoba łopatka do węgla twojej matki. Jest taka mała i poręczna.
- — Podoba ci się, panienko? Sam ją zrobiłem, więc i ty możesz mieć taką.
- Jak to? Ty ją zrobiłeś? Przecież jest ze stali!
- No więc cóż z tego? Będziesz miała bardzo podobną, jeśli nie taką samą.

Nie przeszkadzał jej nieporządek ani hałas i stukanie młotka. Jej mąż był zajęty i szczęśliwy.

W siedem miesięcy po ślubie, czyszcząc odświętne ubranie męża, wyczuła w wewnętrznej kieszeni marynarki jakieś papiery i zdjęta nagłą ciekawością wydobyła je i przejrzała. Morel bardzo rzadko wkładał ślubny garnitur i zapewne dlatego papiery te nie trafiły wcześniej do jej rąk. Były to rachunki za meble, dotychczas nie zapłacone.

— Słuchaj — powiedziała wieczorem, kiedy Morel już się umył i zjadł obiad. — Znalazłam te rachunki w kieszeni twego ślubnego ubrania. Jeszcze dotąd ich nie zapłaciłeś?

— Nie. Dotychczas nie mogłem.

— Ale powiedziałeś mi, że już to zrobiłeś. Pójdę w sobotę do Nottingham zapłacić. Nie lubię siedzieć na cudzych krzesłach i jeść na nie zapłaconym stole.

Nic nie odpowiedział.

— Dasz mi swoją książeczkę oszczędnościową, dobrze?

— Mogę dać, ale niewiele ci z tego przyjdzie.

— Myślałam... — urwała krótko. Mówił jej kiedyś, że ma sporo odłożonych pieniędzy. Zdała sobie jednak sprawę, że nie ma sensu go o to pytać. Siedziała sztywno na krześle, rozgoryczona i oburzona do głębi.

Na drugi dzień poszła rozmówić się z jego matką.

— Czy to mama kupowała meble Waltera? — zapytała.

— Tak, ja — cierpko odparła starsza kobieta.

— A ile dał mamie na to pieniędzy?

Starsza kobieta zawrzała oburzeniem.

— Osiemdziesiąt funtów, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć.

— Osiemdziesiąt funtów! A jeszcze czterdzieści dwa jest dłużny.

— Na to ja ci nic nie poradzę.

— Na co więc poszły wszystkie te pieniądze?

— Znajdziesz pewnie na wszystko kwity, jeśli ich dobrze poszukasz... poza dziesięcioma funtami, które mi Walter był winien, i sześciu funtami za wesele.

— Sześć funtów! — powtórzyła Gertruda Morel. Wydało jej się to potworne. Ojciec jej wydał tyle pieniędzy na wesele, a pomimo to roztrwoniono jeszcze sześć funtów na jedzenie i picie w rodzinnym domu Waltera, na jego rachunek.

— A ile pieniędzy Walter ulokował w swoich domach? — zapytała.

— W swoich domach... w jakich znów domach?

Gertruda Morel zbladła straszliwie. Walter powiedział jej, że dom, w którym mieszkają, a także sąsiedni są jego własnością.

— Myślałam, że dom, w którym mieszkamy... — zaczęła.

— Te oba domy są moje — odparła świekra. — I też jeszcze nie spłacone do końca, tyle że z trudem zbieram na procenty...

Gertruda siedziała blada i milcząca. Była teraz podobna do ojca.

— Wobec tego powinniśmy płacić mamie czynsz — powiedziała chłodno.

— Walter płaci mi czynsz — odparła matka.

— A ile wynosi? — spytała Gertruda.

— Sześć szylingów i sześć pensów za tydzień — brzmiała odpowiedź.

Było to więcej, niż dom był wart. Gertruda uniosła głowę wysoko i patrzyła wprost przed siebie.

— To twoje szczęście — powiedziała starsza kobieta złośliwie — że masz męża, który sam pora się z wszystkimi pieniężnymi kłopotami, a tobie daje wolną rękę w wydatkach.

Młoda żona milczała.

Nie robiła wyrzutów mężowi, ale jej stosunek do niego zmienił się zasadniczo. W jej duszy, dumnej i prawej, coś zakrzepło i stwardniało jak gład.

Kiedy nadszedł październik, myślała tylko o Bożym Narodzeniu. Przed dwoma laty na Boże Narodzenie poznała go. W ubiegłym roku w czasie świąt pobrali się. Na to Boże Narodzenie urodzi mu dziecko.

— Pani wcale nie tańczy, pani Morel? — zagadnęła ją najbliższa sąsiadka w październiku, kiedy to wiele mówiło się o projektowanym otwarciu szkoły tańca w oberży „Pod Czerwonym Bachem” w Bestwood.

— Nie... nigdy nie miałam ani odrobiny zamiłowania w tym kierunku — odparła pani Morel.

— A to dopiero! I pomyśleć, że wybrała pani sobie akurat swojego chłopca za męża. Wie pani przecież, że on słynie jako pierwszy tancerz.

— Nie wiedziałam, że mój mąż jest sławny — roześmiała się pani Morel.

— I to jak jeszcze! Przecież on przez całe pięć lat prowadził szkółkę tańca w klubie górniczym.

— Naprawdę?

— Ależ tak — ciągnęła sąsiadka wyzywająco. — I jaki tam tłok był co wtorek, czwartek i sobotę... każdy mógł się wyhasać, ile zapragnął.

Tego rodzaju wydarzenia napawały panią Morel smutkiem i goryczą, a życie dostarczało ich pod dostatkiem. Sąsiadki nie oszczędzały jej z początku. Czują bowiem jej wyższość, aczkolwiek nie dawała ku temu powodów.

Morel zaczął później wracać do domu.

— Jakoś dłużej trwa teraz praca w kopalni — powiedziała pani Morel któregoś dnia do swojej praczki.

— Nie wydaje mi się, żeby dłużej jak zawsze. Tyle że wstępują potem na jedno piwko do Ellena, tam się zagadają, no i gotowe! A że obiad tymczasem stygnie, to i dobrze. Mają, na co zasłużyli.

— Pan Morel nie pije.

Praczką wypuściła z rąk bieliznę, spojrzała na panią Morel i bez słowa zabrała się z powrotem do roboty.

Gertruda Morel była poważnie chora po urodzeniu synka. Morel był dla niej dobry, anielsko dobry. Czuli się jednak bardzo samotna i oddalona o setki mil od swojej rodziny. Mąż stał się jej teraz zupełnie obcy, a gdy był przy niej, uczucie to wzmagало się jeszcze bardziej.

Chłopczyk urodził się mały i wątły, ale szybko zaczął przybierać na wadze. Było to śliczne dziecko, o wijących się w ciemnozłote pierścienie włosach i ciemnobłękitnych oczach, które z biegiem czasu stały się jasnoszare. Matka kochała go bezgranicznie. Przyszedł na świat akurat w chwili, gdy brzemień zawodu i goryczy stało się najtrudniejsze do zniesienia. Wiara w życie została w niej zachwiana i sercem Gertrudy oładnęło uczucie pustki i osamotnienia. Dziecko zagarnęło ją całkowicie i ojciec stał się o nie zazdrosny.

W końcu pani Morel zaczęła gardzić mężem. Całym sercem zwróciła się ku dziecku, odwracając się jednocześnie od jego ojca. Zaczął ją zaniedbywać. Własny dom stracił już dlań urok nowości. „Nie ma w nim ani za grosz odwagi i wytrwałości” — mówiła sobie pani Morel z goryczą. To, co czuł w danej chwili, było dla niego wszystkim. W niczym nie umiał wytrwać. Pod zewnętrznymi pozorami kryła się w nim zupełna pustka.

Między mężem i żoną rozpoczęła się walka. Straszliwa, zażarta walka, której kres mogła położyć tylko śmierć jednego z nich dwojga. Gertruda walczyła, aby zmusić męża do ponoszenia odpowiedzialności za własne czyny i do wypełniania przyjętych obowiązków. Ale on nazbyt się od niej różnił. Był naturą czysto zmysłową, a ona usiłowała uczynić go moralnym i religijnym. Starła się zmusić go, aby żył patrząc prawdzie w oczy. Nie był w stanie tego znieść i doprowadzało go to do szaleństwa.

Gdy dziecko było malutkie, Morel stał się tak nerwowy, że nie można go było spuścić z oka. Wystarczyło, aby dziecko zaczęło trochę kaprysić, a od razu wpadał w złość. Jeszcze chwila, a twarde ręce górnik zaczął maltretować niemowlę. Pani Morel znienawidziła wtedy męża, znienawidziła go na zawsze, on zaś wychodził z domu i pił. Nie dbała o to, co się z nim dzieje. I dopiero gdy wracał do domu, chłostała go swoją dotkliwą ironią.

Na skutek rozdzwiewu, jaki powstał pomiędzy nimi. Morel, umyślnie lub bezwiednie, zaczął grubiańsko dokuczać żonie, zawsze trafiając w najczulsze punkty.

William miał zaledwie rok i matka była niezwykle dumna z jego urody. Było jej teraz ciężko, ale siostry jej dbały o ubranka małego. Gdy włożył biały kapelusik z fryzowanym strusim piórem i biały płaszczyk, matka wpatrywała się w niego z radością, zachwycona wianuszkami jasnych loków wijących się wokół główki. Pewnego niedzielnego ranka pani Morel, przebudziwszy się, leżała w łóżku wsłuchana w pogawędkę ojca z dzieckiem, toczącą się na dole. Potem zdrzemnęła się trochę. Kiedy zeszła na dół, na kominku płonął wielki ogień, w pokoju panował upał, stół był niedbale nakryty do śniadania, a w fotelu przy kominku siedział Morel, z dość niepewną miną. Między ojcowskimi kolanami stało dziecko, ostrzyżone jak owca, z dziwnie okrągłą, gołą główką — i patrzyło na nią zdziwionymi oczami. Na dywaniku przed kominkiem leżała rozpostarta gazeta, a na niej tysiąc złotych pierścionków lśniło w różowym blasku ognia, niby rozsypane płatki nagietek.

Pani Morel stanęła jak wryta. Jej pierworodny. Zbladła jak opłatek i nie mogła wydobyć głosu.

— No, jak ci się mały podoba? — zaśmiał się niepewnie Morel.

Zacisnęła pięści, uniosła je w górę i ruszyła naprzód. Morel cofnął się.

— Mogłabym cię zabić! — wykrztusiła. Dławiła ją wściekłość, pięści trzymała wzniesione w górze.

— Chciałabyś z niego zrobić babę — powiedział Morel przestraszonym głosem, pochylając głowę, aby uniknąć jej wzroku. Chęć do śmiechu minęła mu zupełnie.

Matka spojrzała w dół, na wystrzyżoną do skóry główkę dziecka. Objęła chłopczyka, gładząc i tuląc drobną główkę.

— Och... mój synku! — wyjąkała. Usta jej wygięły się, twarz zadrzała. Porwała dziecko na ręce, ukryła twarz na jego ramieniu i zapłakała boleśnie.

Należała do kobiet, które nie umieją płakać... którym sprawia to taki sam ból jak mężczyznom. Szloch jej brzmiał, jak gdyby serce darło się w niej na strzępy.

Morel siedział z łokciami wspartymi na kolanach i dłońmi tak mocno zaciśniętymi, że aż mu zbieleły kostki. Patrzył w ogień i siedział ogłuszony, jak gdyby zabrakło mu tchu.

Pani Morel przestała płakać, uspokoiła dziecko i zebrała nakrycie po śniadaniu. Gazetę, zasypaną loczkami, zostawiła rozpostartą na dywaniku przed kominkiem. W końcu Morel podniósł ją i wepchnął w głąb paleniska. Gertruda wróciła do swych zajęć z zaciśniętymi ustami i bardzo spokojna. Morel był skruszony. Krążył po domu z nieszczęśliwą miną i wszystkie posiłki w tym dniu były dla niego torturą. Żona zwracała się do niego grzecznie i ani razu nie wspomniała o tym, co uczynił. Wiedział jednak, że stało się coś ostatecznego.

Po pewnym czasie pani Morel oświadczyła, że zachowała się niemądrze, bo i tak chłopcu trzeba było obciąć włosy, wcześniej czy później. W końcu zdobyła się nawet na to, by powiedzieć mężowi, że dobrze zrobił zabawiając się w fryzjera. Ale wiedziała — i Morel też wiedział — że w jej sercu dokonał się głęboki przełom. Pamiętała tę chwilę do końca życia jako jeden z tych momentów, w których cierpiała najokrutniej.

Ów akt męskiej brutalności jak ostrze włóczni ugodził w jej miłość do Morela. Dość, walcząc z nim zaciekle, martwiła się i niepokoiła o niego, ja o kogoś, kto odszedł daleko i zblądził. Teraz przestała dbać o jego uczucie i stał się dla niej zupełnie obcy. Uczyniło to jej życie znacznie znośniejszym.

Pomimo to nie przestała z nim walczyć. Nadal zachowała w pełni swoje wysokie poczucie moralności, odziedziczone po wielu pokoleniach purytańskich przodków. Obudził się teraz w niej instynkt religijny i w stosunku do męża stała się niemal fanatyczką, ponieważ go kochała — a raczej może dlatego, że kochała go dawniej. Gdy zgrzeszył, zadręczała go. Pił, kłamał, często tchórzył, a czasem postępował jak zwykły hultaj, ona zaś nie miała dla niego litości.

Niestety, była zbyt krańcowym jego przeciwieństwem. Nie potrafiła zadowolić się miernotą, na jaką go było stać, ale pragnęła, żeby był tak doskonały, jakim jej zdaniem być powinien. W rezultacie, chcąc uczynić go szlachetniejszym, niż leżało to w jego możliwościach, działała na jego zgubę. Sama odnosiła w tej walce bolesne rany i ciosy, ale nie traciła nic ze swej duchowej wartości. A poza tym miała przecież dzieci.

Morel pił dużo, choć nie więcej niż inni górnicy i zawsze tylko piwo. Nie służyło mu to na zdrowie, ale i nie szkodziło poważnie. Koniec tygodnia był okresem największych libacji. W każdy piątkowy, sobotni i niedzielny wieczór przesiadywał w oberży aż do zamknięcia lokalu. W poniedziałki i wtorki musiał wcześniej wstawać od

kufła i ociągając się wychodził z gospody około dziesiątej. W środy i czwartki siedział czasem w domu przez cały wieczór lub wychodził najwyżej na godzinę. W zasadzie jednak nigdy nie zdarzyło mu się opuścić pracy wskutek pijaństwa.

Ale chociaż pracował bardzo sumiennie, zarobki jego malały. Za dużo gadał i mełł językiem. Nienawidził wszelkiej władzy zwierzchniej i bezustannie narażał się kierownikom w kopalni. Siedząc w gospodzie „Palmerston” mówił:

— Dziś rano sztygar przychodzi na nasz przodek i powiada: „Słuchaj no, Walter, widzę, że wszystko jest tu do niczego. Co jest z tymi stemplami?” A ja mu na to: „O co ci chodzi? Czego chcesz od tego stempla?” „Przecież on tego nigdy nie utrzyma — powiada. — Tylko patrzeć, jak któregoś dnia sufit zawali się wam na głowę”. To ja znów: „No, to jedyna rada, żebyś tu stanął i podtrzymał sufit własną głową”. To on się wściekł i zaczął się ciskać i kłać, a inni chłopcy w śmiech. — Morel miał duży talent mimiczny. Naśladował zadyszany, piskliwy głos zwierzchnika, silącego się na poprawną i czystą angielszczyznę. „Wypraszam sobie takie odezwania, Walter. Który z nas zna się na tym lepiej, ty czy ja?” A ja na to: „Nigdy nie udało mi się zgadnąć, co umiesz, Alfredzie. I myślę, że już do końca tak zostanie”.

Morel mógł tak opowiadać całymi godzinami ku uciesze swoich przyjaciół od kieliszka. Było w tym trochę prawdy. Zarządca kopalni był człowiekiem niewykształconym. Kiedy on i Morel byli chłopcami, często bawili się razem i chociaż teraz się nie lubili, wiedzieli, czego mogą wzajemnie od siebie oczekiwać. Ale Alfred Charlesworth nie mógł wybaczyć swemu dawnemu koledze publicznych kpinek. W konsekwencji więc, chociaż Morel był dobrym górnikiem i w pierwszych tygodniach po ślubie potrafił zarabiać nawet po pięć funtów tygodniowo, zaczął stopniowo otrzymywać coraz gorsze stanowiska pracy, gdzie pokłady były cienkie, a węgiel trudny do wydobywania, przez co urobek był mniejszy.

W lecie ruch w kopalni słabł. W piękne słoneczne dni często widać było górników wracających gromadnie do domów o dziesiątej lub jedenastej rano. Przed kopalnią nie czekały rzędem puste wagony. Kobiety, mieszkające na zboczu, trzepiąc dywaniki o płot, wychylały się licząc wagoniki, które lokomotywa ciągnęła za sobą wzdłuż doliny. A dzieci, wracając ze szkoły na obiad, patrzyły na nieruchome koła wież wiertniczych i mówiły:

— Minton stoi. Tatuś będzie w domu.

I jakiś cień padał na twarze wszystkich tych kobiet, mężczyzn i dzieci, bo wiedzieli, że pod koniec tygodnia zabraknie w domu pieniędzy.

Morel miał dawać żonie trzydzieści szylingów tygodniowo na wszystkie wydatki i potrzeby domowe, to znaczy na komorne, jedzenie, ubranie, składki ubezpieczeniowe i lekarzy. Czasem, gdy mu się dobrze powiodło, dawał jej trzydzieści pięć. W zimie, pracując na dobrym stanowisku, górnik mógł zarobić pięćdziesiąt albo i pięćdziesiąt pięć szylingów tygodniowo. Morel był wówczas w siódmym niebie. W piątkowe, sobotnie i niedzielne wieczory bawił się po królewsku i lekko wydawał dodatkowo zarobionego suwerena albo podobną sumkę. Ale nawet mając wiele pieniędzy rzadko kiedy dał dzieciom pensa na cukierki czy też kupił funt jabłek. Wszystko szło na piwo. Gdy przychodziły cięższe chwile, trudniej było dać sobie radę, ale Morel bywał wówczas rzadziej pijany, więc pani Morel zwykła powtarzać:



— Chyba już wolę, jak nam się gorzej powodzi, bo kiedy Walter jest przy pieniądzach, nie ma w domu chwili spokoju.

Jeśli zarobił czterdzieści szylingów, zatrzymywał sobie dziesięć. Z trzydziestu pięciu zachowywał pięć, z dwudziestu ośmiu — trzy, z dwudziestu czterech — dwa, z dwudziestu — półtora szylinga, z osiemnastu zabierał jednego, a z szesnastu — sześć pensów. Nigdy nie odłożył nawet pensa i uniemożliwiał oszczędzanie żonie. Przeciwnie, często musiała płacić dodatkowo jego długi. Nie były to nigdy rachunki z szynku, te bowiem z zasady nie docierały do rąk kobiet. Ale zdarzało jej się płacić za kupionego przez Morela kanarka lub za jakąś ekstrawagancką laseczkę.

W czasie kiermaszu Morel zaniedbał się w pracy i pani Morel daremnie starała się oszczędzić cokolwiek na poród. Była więc do głębi rozgoryczona, że jej mąż bawi się i wydaje pieniądze, gdy ona siedzi w domu, udręczona i nieszczęśliwa. Przyszły dwa dni świąt. We wtorek Morel wstał wcześniej. Był w dobrym humorze. Już przed szóstą pani Morel usłyszała jego rażne pogwizdywanie na dole. Gwizdał bardzo przyjemnie, żywo i melodyjnie, najczęściej hymny kościelne. Będąc chłopcem miał piękny głos, należał do kościelnego chóru i śpiewał solo w katedrze w Southwell. Już samo to poranne gwizdanie było dostatecznym dowodem jego muzykalności.

Pani Morel leżała wsłuchana w odgłosy majsterki męża, dobiegające z ogródka. Wesole pogwizdywanie wibrowało w powietrzu, gdy piłował i przybijał coś młotkiem. Ogarniało ją zawsze uczucie ciepła i spokoju, gdy mu się przysłuchiwała leżąc w łóżku, a dzieci jeszcze spały. W pogodny wczesny ranek Morel zdawał się cieszyć światem w swój nieskomplikowany, męski sposób.

Odziewiając, gdy dzieci siedziały z gołymi nóżkami na kanapie dokazując, a matka zmywała naczynia, Morel, porzuciwszy swoją stolarkę, przyszedł do domu. Miał podwiniete rękawy koszuli i szeroko otwartą na piersiach kamizelkę. Był wciąż jeszcze przystojnym mężczyzną z czarną falującą czupryną i bujnymi, czarnymi wąsami. Tylko twarz jego była lekko obrzmiała i często szpecił ją nieprzyjemny, niemal zgryźliwy wyraz. W danej chwili był jednak wesół. Skierował się prosto do zlewu, przy którym żona zmywała naczynia.

— A ty co tu robisz? — zawołał głośno. — Zmykaj stąd, bo chcę się umyć.

— Możesz poczekać, aż skończę — odparła.

— Och, rzeczywiście? A co będzie, jeśli nie zechcę?

Ta wesoła pogrożka ubawiła panią Morel.

— Możesz się umyć w beczce z deszczówką.

— Patrzcie ją! Idź tam sobie sama, mały wstrętny uparciuchu.

Stał przez chwilę przyglądając się żonie, a potem odszedł i czekał, aż skończy.

Gdy chciał, potrafił wciąż jeszcze wyglądać bardzo elegancko. Zazwyczaj nosił chustkę zawiązaną wkoło szyi. Teraz zabrał się na dobre do robienia toalety. Parskał i chlapał z zapałem przy myciu, a potem tak ochoczo pobiegł do lustra w kuchni i schyliwszy się, bo wisiało za nisko, z taką pieczołowitością robił przedziałek w gęstych czarnych włosach, że aż pani Morel straciła cierpliwość. Włożył koszulę z wykładanym kołnierzem, czarny krawat związany w piękny węzeł i niedzielny surdut. Wyglądał w tym stroju bardzo przyzwoicie, wszystkie bowiem braki garderoby potrafił zawsze z niezawodnym instynktem ukryć, przedstawiając się w jak najkorzystniejszym

świetle.

O pół do dziesiątej Jerry Purdy wstąpił po swego kompana. Jerry był Morela przyjacielem od serca; pani Morel nie lubiła go. Był to wysoki, szczupły mężczyzna z lisią twarzą, która robiła wrażenie doszczętnie pozbawionej brwi i rzęs. Chodził sztywno, z uroczystą godnością, jak gdyby miał głowę umocowaną na drewnianej śrubie. Był z natury zimny i wyrachowany, lubił jednak czasem okazywać się wspaniałomyślnym i zdawał się żywić szczególną słabość do Morela, którego często zapraszał na swój rachunek do oberży.

Pani Morel nienawidziła go. Znała jego żonę, która zmarła na suchoty i w końcowym stadium choroby nabrała takiego wstrętu do męża, że samo jego zjawienie się w pokoju wywoływało u niej gwałtowny krwotok. Nic z tego wszystkiego nie docierało jednak do świadomości Jerry'ego. Najstarsza córka, piętnastoletnia dziewczynka, prowadziła mu teraz ubogie gospodarstwo i opiekowała się dwojgiem młodszych dzieci.

— Wstrętny sobek bez serca — mówiła o nim pani Morel.

— Jeszcze nie zdarzyło mi się widzieć, żeby Jerry na coś skąpił, a znam go nie od dziś — protestował Morel. — Ze świecą można by szukać drugiego chłopca tak hojnego i z takim gestem jak on.

— Gest to może on ma dla ciebie — odcinała się pani Morel. — Ale jeśli chodzi o dzieci, to mocno kieszeń zaciska. Biedactwa!

— Biedactwa! Czemuż to znów takie biedactwa, chciałbym wiedzieć.

Ale pani Morel nie dawała się ułagodzić, jeśli chodziło o Jerry'ego.

Powód ich sporu ukazał się właśnie i wysunął swą długą, chudą szyję ponad zasłonę w wejściu do kuchni. Napotkał wzrok pani Morel.

— Dzień dobry pani! Gospodarz w domu?

— Tak, jest...

Jerry wszedł nieproszony i stanął w drzwiach kuchni. Nie zachęcono go, aby usiadł, ale tkwił na swym stanowisku, samą swą obecnością chłodno manifestując prawa mężczyzny i małżonków.

— Piękny dzień mamy — rzekł do pani Morel.

— Tak.

— Wspaniała pogoda... w sam raz na spacer.

— Czy mam przez to rozumieć, że wybieracie się na spacer? — spytała pani Morel.

— Tak jest. Chcemy przejść się do Nottingham — odparł.

— Hm! — chrząknęła pani Morel.

Mężczyźni przywitali się z widoczną radością: Jerry pewny siebie i spokojny, Morel zażenowany, gdyż nie chciał wyglądać zbyt promiennie w obecności żony. Snurował jednak buty pośpiesznie, z widocznym zapałem. Wybierali się na dziesięćmiłowy spacer przez pola, do Nottingham. Wspinając się pod górę i pozostawiając Bottoms poza sobą, maszerowali raźnie w słońcu poranka. „Pod Gwiazdami i Księżycem” wychylili swój pierwszy kufel, następny w „Starej Karczmie”. Potem czekało ich długie pięć mil nieugaszonego pragnienia przed wspaniałym kuflem piwa z imbirem w Bulwell. Zatrzymali się jednak na łące na pogawędkę z kosiarzami, którzy mieli z sobą uczciwie wypełniony gaśiorek, tak że gdy w końcu zbliżali się do miasta, Morel po-

czuł ogarniającą go senność. Miasto leżało w górze przed nimi, dymiąc mgliście w żarze południa i strzępiąc daleką linię horyzontu blokami gmachów i kominów fabrycznych oraz strzelistymi wieżami kościołów. Na ostatniej podmiejskiej łące Morel wyciągnął się pod napotkanym dębem i przespał głębokim snem przeszło godzinę. Kiedy wstał, by udać się w dalszą drogę, czuł się jakoś dziwnie.

Para naszych wędrowców spożyła obiad w Meadows, z siostrą Jerry'ego. Potem udali się do gospody „Pod Baryłką Ponczu”, gdzie z zapalem wzięli udział w emocjonującym wyścigu gołębi. Morel nigdy nie grał w karty, uważając, że tkwią w nich jakieś złe, tajemne moce. „Diabelskie wizerunki” — mawiał o nich zazwyczaj. Był za to mistrzem w grze w kręgle oraz w domino, przyjął więc wyzwanie jakiegoś gracza z Newark na partię kręgli. Wszyscy mężczyźni, wypełniający starą długą salę, podzielili się na dwa obozy, stawiając na jednego lub drugiego zawodnika. Morel zdjął surdut. Jerry trzymał kapelusz z pieniędzmi. Mężczyźni przyglądali się uważnie siedząc przy swych stolikach, niektórzy zaś stali z kuflami w ręku. Morel dokładnie zważył w ręku wielką drewnianą kulę, zanim potoczył ją po podłodze. Dokonał straszliwego spustoszenia wśród kręgli i wygrał pół korony, co przywróciło mu zdolności płatnicze.

Osiódmej dwójka przyjaciół była pod dobrą datą. O pół do ósmej złapali pociąg jadący do domu.

Po południu Bottoms stawało się nie do zniesienia. Wszyscy mieszkańcy wylęgali przed domy. Kobiety z gołymi głowami i w białych fartuchach stały po dwie lub trzy, plotkując w alejce między domkami. Mężczyźni, w przerwie między dwoma kuflami, przysiadali na ziemi i gawędzili. Panował straszliwy zaduch. Łupkowe dachy lśniły w słonecznej spiekocie.

Pani Morel zaprowadziła córeczkę nad strumyk, który płynął przez łąkę, o niecałe pół kilometra od domu. Obie przechyliły się przez poręcz starej kładki i patrzyły przed siebie. W sadzawce, po drugiej stronie łąki, pani Morel mogła dostrzec nagie postacie chłopców baraszkujących w głębokiej, żółtawej wodzie. Czasem jakaś lśniąca jasna figurka przecinała martwą czerń ciemniejącej w oddali łąki. Pani Morel wiedziała, że William jest koło sadzawki. Obawa, że się kiedyś utopi, była zmorą jej życia. Ania bawiła się w cieniu starego, wysokiego żywopłotu, zbierając szyszeczki olszyny, które nazywała rodzynekami. Dziecko wymagało bacznej uwagi. W powietrzu wisiały roje małych, dokuczliwych muszek.

Osiódmej dzieci poszły spać, a pani Morel zabrała się do dalszej roboty.

Gdy Walter Morel i Jerry przyszli do Bestwood, poczuli się tak, jakby im kamień spadł z serca. Nie zagrażała im już podróż koleją, mogli więc bez obawy godnie ukoronować ten wspólny dzień. Wkroczyli do oberży „Pod Nelsonem” z satysfakcją podróżników powracających z obcych stron.

Następny dzień był dniem powszednim i świadomość tego ciążyła w umysłach mężczyźni. Większość z nich na domiar złego wydała wszystkie posiadane pieniądze. Niektórzy zataczali się już posępnie wracając do domów, aby się wyspać przed czekającym ich pracowitym rankiem. Pani Morel, usłyszawszy ponure śpiewy, cofnęła się w głąb domu. Minęła dziewiąta, potem dziesiąta, a „dobrana para” nie zjawiała się. Gdzieś, na progu któregoś domu, jakiś mężczyzna śpiewał głębokim basem: „Prowadź nas, święte światło...” Panią Morel oburzało to zawsze, że pijacy muszą śpiewać wła-

śnie tę pieśń, gdy ogarnie ich rzewność.

— Jak gdyby „Pije Kuba” nie było w sam raz odpowiednie — mówiła.

Kuchnię wypełniał zapach gotujących się ziół i chmielu. Na fajerce wolno bulgotał wielki, czarny garnek. Pani Morel wzięła głęboką glinianą misę, wsypała na dno warstwę cukru i gromadząc wszystkie siły dźwignęła garnek, aby przelać wrzący płyn do miski.

Właśnie w tej chwili wrócił Morel. Był w pysznym humorze w oberży „Pod Nelsonem”, ale w drodze powrotnej do domu ogarnęła go irytacja. Nie pozbył się całkowicie uczucia rozdrażnienia i bólu, który doskwierał mu od chwili, gdy będąc mocno zgrzany przespał się na gołej ziemi. Ponadto, w miarę jak zbliżał się do domu, odzywały się w nim wyrzuty sumienia. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest zły. Ale gdy furtka ogrodowa stawiała mu opór nie dając się od razu otworzyć, kopnął ją mocno i wyłamał zamek. Wszedł do domu akurat w chwili, gdy pani Morel przelewała wywar ziół z garnka do miski. Chwiejąc się lekko, zawadził o stół. Wrzący płyn zakolysał się i chlusnął na podłogę. Pani Morel uskoczyła do tyłu.

— Boże miłosierny! — krzyknęła. — Wraca do domu pijany jak bela.

— Coś ty powiedziała? Jak wraca do domu? — warknął Morel spod nasuniętego na jedno oko kapelusza.

Pani Morel wszystka krew uderzyła do głowy.

— Może jeszcze powiesz, że nie jesteś pijany! — zawołała ze złością, odstawiła garnek i zaczęła mieszać cukier w piwie.

Morel oparł się ciężko oboma rękami na blacie stołu i wysuwając twarz do przodu, w kierunku żony, powtórzył:

— Może powiesz, że nie jesteś pijany!... Tylko takiej przeklętej wiedźmie, jak ty, może przyjść do głowy coś podobnego.

Wysunął głowę jeszcze bliżej w jej stronę.

— Zawsze znajdziesz pieniądze na hulankę, choćby w domu nie było na kawałek chleba.

— Nie wydałem dziś nawet marnych dwóch szylingów — powiedział.

— Nie upiłbyś się jak hrabia za darmo — rzuciła złośliwie. — A jeżeli — wrzasnęła w nagłej furii — udało ci się wypompować twego ukochanego Jerry’ego, to mu lepiej pozwól zatroszczyć się o rodzone dzieci, które tego bardziej potrzebują.

— To kłamstwo, wstrętne kłamstwo! Stul gębę, durna babo!

Byli teraz oboje ogarnięci szalem walki. Każde z nich pamiętało tylko, że nienawidzi drugiego i że toczy się między nimi nieubłagana walka. Pani Morel była równie rozwścieczona jak jej mąż. Klócili się w ten sposób, póki nie zarzucił jej kłamstwa.

— Nie! — krzyknęła zrywając się z krzesła i nie mogąc prawie złapać tchu. — Nie nazywaj mnie tak... ty najpodlejszy łgarzu, jakiego kiedykolwiek ziemia nosiła. — Ledwie mogła wykrztusić te ostatnie słowa ze zduszonych płuc.

— Kłamiesz! Właśnie, że kłamiesz! — wył wałąc pięścią w stół. — Kłamiesz! Kłamiesz!

Pani Morel wyprężyła się zaciskając pięści.

— Plugawisz ten dom! — krzyknęła.

— To się z niego wnoś... to mój dom! — wrzeszczał. — Wnoś się! To ja jestem

ten, co tu przynosi pieniądze, nie ty! Wynoś się! To mój dom, a nie twój. Wynoś się... wynoś się stąd!

— Och, jakże chętnie bym to zrobiła! — zawołała wybuchając nagle łzami bezsilnej rozpacz. — Poszłabym sobie, już dawno bym poszła, gdyby nie dzieci. Ile już razy wyrzucałam sobie, że nie odeszłam parę lat temu, kiedy miałam jeszcze tylko tego jednego... — Nagle wróciła jej wściekłość. — Może myślisz, że dla ciebie tu siedzę... Może ci się zdaje, że zostałam tu dla ciebie choćby jedną minutę... co?

— Wynoś się więc! — wrzeszczał nieprzytomnie. — Wynoś się!

— Nie! — rozejrzała się wokoło. — Nie! — krzyknęła głośno. — Nie uda ci się postawić na swoim. Nie będziesz robił wszystkiego, co ci się spodoba. Mam dzieci, którymi muszę się opiekować. Już ja wiem — zaśmiała się — jakby to wyglądało, gdybym ci je zostawiła.

— Wynoś się! — krzyknął ochryple, wznosząc pięść. Bał się jej. — Wynoś się stąd!

— Marzyłabym o tym. Ach, jakbym się cieszyła, gdybym mogła pójść na zawsze od ciebie.

Podszedł do niej. Twarz miał czerwoną, a oczy nabiegłe krwią. Rzucił się naprzód i chwycił ją za ramiona. Zdjęta strachem krzyknęła i usiłowała mu się wyrwać. Opanował się nieco i dysząc ciężko, popychał ją brutalnie do drzwi, aż wyrzucił ją za próg, z trzaskiem zamykając za żoną drzwi na zasuwę. Dokonawszy tego wrócił do kuchni, upadł na fotel i pulsującą głowę zwiesił nisko w dół, między kolanami. Siedząc tak, powoli zapadał w odrętwienie z wyczerpania i nadużycia alkoholu.

Księżyc świecił wysoko i wspaniale na niebie w ową sierpniową noc. Pani Morel, dławiona wewnętrzną pasją, wzdrygnęła się, gdy strumień bladego światła padł na nią z góry, przejmując ją chłodem i boleśnie raniąc napięte do ostateczności nerwy. Stała przez kilka minut bezradnie, patrząc na wielkie błyszczące liście rabarbaru, który rósł przy samych drzwiach domu. Zaczepnęła głęboko tchu w płuca. Poszła w dół ścieżki, drząc każdym fibrem ciała, a nie narodzone dziecko rzucało się w jej łonie. Przez pewien czas nie była w stanie uspokoić swych myśli. Odruchowo wracała do minionej sceny, przeżywając ją wciąż od nowa, a niektóre słowa i momenty za każdym razem paliły jej serce jak rozżarzone węgle. Za każdym też razem, gdy odtwarzała w myślach ubiegłą godzinę, straszny żar godził w te same miejsca, póki nie wypalił głębokiego piętna i ból nie ustał. W końcu odzyskała panowanie nad sobą. Ów stan podniecenia musiał trwać około pół godziny. Teraz dopiero wróciła jej świadomość, że jest późna noc. Rozejrzała się z lękiem dokoła siebie. Przeszła do ogródka położonego z boku domu i spacerowała tam i z powrotem po ścieżce biegnącej wzdłuż długiego muru, na którym rozpięte było wino. Ogródek był długi i wąski, oddzielony od przebiegającej w poprzek drogi gęstym żywopłotem z cierni.

Pani Morel wybiegła stamtąd po chwili i znalazła się w ogródku frontowym, gdzie mogła stać nurzając się w blasku księżyca, który wisiał w górze na wprost niej. Srebrna poświata wstająca nad wierzchołkami wzgórz wypełniała niemal oślepiającym blaskiem dolinę, na dnie której kuliło się Bottoms. Tu, łapiąc ustami powietrze i po doznanym wstrząsie zanosząc się urywanym szlochem, pani Morel jęła powtarzać szeptem raz po raz: — Co za ohyda! Co za ohyda!...

W pewnej chwili zdała sobie sprawę, że coś się czai w pobliżu. Z trudem zdobyła

się na wysiłek, by zobaczyć, co zdołało przedrzeć się do jej świadomości. Rząd wysokich, białych lilii falował w świetle księżyca, a ich zapach ciążył w powietrzu jak żywe tchnienie. Pani Morel jęknęła cicho, przejęta trwogą. Dotknęła wielkich, białych płatków i przeszedł ją dreszcz. Zdawały się prostować groźnie w księżycowej poświacie. Zanurzyła dłoń w białym kielichu i złoty pył zalśnił niewyraźnie na jej palcach. Schyliła się, aby zobaczyć pełen wieniec żółtych pyłków, ale wydawały się prawie szare. Wciągnęła głęboki łyk kwietnego zapachu. Przyprawiło ją to niemal o zawrót głowy.

Oparła się na ogrodowej furtce i patrząc przed siebie na dłuższą chwilę zatraciła poczucie rzeczywistości. Nie zdawała sobie sprawy ze swych myśli. Poza lekkimi nudnościami i niepokojem o żyjące w niej dziecko, całe jej jestestwo roztapiało się razem z tą upojną, oszołamiającą wonią w srebrzyście białym powietrzu. Po chwili dziecko zatoneło razem z nią w rozkołysanej, księżycowej kadzi, w której pograżyła się pospół z liliami, domami i górami, w jakimś dziwnym omdleniu.

Kiedy wróciła jej świadomość, opanowało ją przemożne pragnienie snu. Znużona rozejrzała się wkoło. Kępy białych floksów wyglądały jak krzaki z rozwieszoną bieliną. Szara ćma odbijała się od nich rykoszetem i znów przecinała w locie mały ogródek. Obserwacja jej ruchów otrzeźwiła panią Morel. Świeży, mocny zapach floksów podziałał na nią ożywczo. Poszła wzdłuż ścieżki, przystanąła przy krzaku białej róży. Zapach jej był prosty i słodki. Dotknęła białych, koronkowych główek kwiatów. Ich świeża woń i chłodne, delikatne płatki przywiodły jej na myśl rześkość słonecznego poranka. Bardzo lubiła te róże. Ale była teraz zmęczona i przede wszystkim pragnęła snu. W tajemniczym, otaczającym ją świetle nocy czuła się zbłąkana.

Dokoła panowała zupełna cisza. Widocznie dzieci nie obudziły się albo też już zasnęły z powrotem. Przejeżdżający o trzy mile pociąg huczał w dolinie. Noc słała się, bardzo dziwna i bardzo odległa, a jej biała, zimna dal zdawała się sięgać w nieskończoność. Spoza srebrzystoszarej mgły mroku dochodziły nieokreślone i głuche dźwięki — derkacz odzywał się gdzieś w pobliżu, a z oddali dobiegały stłumione krzyki mężczyzn i ciche, jak westchnienie, echo pociągu.

Gdy z trudem uspokojone serce zaczęło znów bić szybko, pani Morel przebiegła przez boczny ogródek na tył domu. Ostrożnie poruszyła klamką. Drzwi były nadal zaryglowane i zamknięte przed nią. Zapukała delikatnie, poczekała chwilę i znów zapukała. Nie chciała niepokoić dzieci ani sąsiadów. Morel zapewne śpi i niełatwo go będzie obudzić. Zapragnęła znaleźć się pod dachem. Przywarła mocno do klamki. Na dworze zrobiło się zimno. Zdjął ją strach, że się przeziębi w swoim obecnym stanie.

Zarzuciwszy fartuch na głowę i ramiona, pobiegła z powrotem do bocznego ogródka, pod okno kuchni. Wsparta na parapecie, mogła dostrzec przez szparę w firankach skrzyżowane na stole ramiona męża i jego ciemną głowę spoczywającą na blacie. Spał z twarzą przyklejoną do stołu. Było coś w jego postaci, co sprawiło, że straciła do reszty cierpliwość. Lampa kopciła. Mogła to poznać po miedzianej barwie płomienia. Zaczęła pukać do okna, coraz to głośniejsze. Wydawało jej się, że szyba pęknie za chwilę. Nie zbudził się.

Przejęły ją dreszcze, tak wskutek zetknięcia z chłodnym murem, jak i z wyczerpania. W ciągłej obawie o mające przyjść na świat dziecko poczęła się zastana-

wiać, co by mogła zrobić, żeby się rozgrzać. Poszła do składziku na węgiel, dokąd poprzedniego dnia wyniosła stary dywanik sprzed kominka, aby go zabrał człowiek wywożący śmieci. Zarzuciła teraz dywanik na ramiona. Był ciepły, choć brudny. Zaczęła spacerować po ścieżce, zaglądając co chwila przez szparę w firankach, pukając w szybę i wmawiając w siebie, że mąż z pewnością będzie się musiał wreszcie obudzić, zmęczony niewygodną pozycją.

W końcu, po upływie niemal godziny, zaczęła długo i cicho pukać w okno. Brzęk szyby zaczął powoli docierać do jego świadomości. Kiedy pani Morel, zrozpaczona, przestała stukać, zobaczyła, że się poruszył i nieprzytomnie uniosł twarz. Wzmoczone bicie serca przywróciło go do przytomności. Zapukała natarczywie w okno. Ocknął się nagle. Ujrzała, jak w tejże chwili pięści jego zacisnęły się, a oczy rozbłysły. Nie było w nim żdźbła fizycznego lęku. Gdyby tu było dwudziestu włamywaczy, wyszedłby im naprzeciw bez chwili zastanowienia. Rozglądał się zaskoczony, ale gotów do walki.

— Otwórz drzwi, Walterze — powiedziała zimno.

Jego pięści rozwarły się. Uświadomił sobie, co zrobił. Zwiesił głowę z ponurą i niechętną miną. Zobaczyła, że śpieszy do drzwi, i usłyszała szcęk zasuw. Spróbował klamki. Ustąpiła — i oto znalazł się w obliczu srebrzy toszarej nocy, straszliwej po przymglonym świetle lampy. Cofnął się gwałtownie i uciekł w głąb domu.

Gdy pani Morel weszła do środka, zobaczyła go pierzchającego szybko w stronę schodów na górę. W pośpiechu zerwał kołnierzyk z szyi, by uciec, zanim żona wejdzie. Pani Morel zobaczyła leżący na ziemi kołnierzyk z rozerwanymi dziurkami i rozgniewało ją to.

Rozgrzała się i uspokoiła powoli. Zapominając ze zmęczenia o wszystkim, zaczęła krzątać się wokół drobnych czynności, które pozostały jej jeszcze do spełnienia. Nakryła mężowi do śniadania, wypłukała flaszkę, którą zabierał do kopalni, położyła jego górnicze ubranie przy kominku, żeby się nagrzało, obok postawiła buty. Przygotowała mu czysty szal na szyję, woreczek na śniadanie oraz dwa jabłka. Poprawiła ogień i wreszcie udała się na spoczynek. Morel spał już jak zabity. Wąskie, czarne łuki brwi uniosły mu się jak gdyby drwiąco na czole, a głębokie bruzdy na policzkach i nadąsane usta zdawały się mówić: „Nic mnie to nie obchodzi, kim ani czym jesteś. Będę i tak robił to, co mi się podoba”.

Pani Morel знаła go zbyt dobrze, żeby mu się przyglądać. Kiedy odpinała broszkę przed lustrem, uśmiechnęła się blado widząc swą twarz całą wysmarowaną żółtym pyłkiem lilii. Strzepnęła go i w końcu położyła się do łóżka. Przez pewien czas mózg jej nadawał jeszcze jakieś krótkie, urywane sygnały, usnęła jednak, zanim jej mąż ocknął się z pierwszego pijackiego snu.

### PRZYJŚCIE NA ŚWIAT PAWŁA I DRUGA BITWA MAŁŻONKÓW

Po takiej scenie jak ostatnia Walter Morel przez kilka dni chodził przybity i zawstydzony. Wkrótce jednak odzyskał swą zwykłą butę. Mimo to jego dawna pewność siebie uległa lekkiemu zachwianiu i zmniejszyła się nieco. Nawet fizycznie jak gdyby skurczył się w sobie i jego prosta, dorodna postać dziwnie zmaląła. Walter, mimo doskonałej budowy, nigdy nie był tęgi, kiedy więc utracił swą śmiałą, pewną siebie postawę, zdawał się fizycznie maleć, w miarę jak słabły w nim jego siły moralne i jego duma.

Zaczął sobie teraz zdawać sprawę, ile trudu kosztuje jego żonę praca przy gospodarstwie domowym, i jego wzmożone skruczą współczucie znalazło ujście w skwapliwej chęci pomocy. Wracał więc wprost z kopalni i przesiadywał w domu całymi wieczorami — do piątku, wtedy bowiem nie mógł już dłużej oprzeć się pokusie. Ale około dziewiątej zjawiał się z powrotem, niemal zupełnie trzeźwy.

Rano zawsze robił sobie sam śniadanie. Był przyzwyczajony wcześniej wstawać, miał więc dostatecznie dużo czasu i nie wyciągał żony, jak inni górnicy, o szóstej rano z łóżka. Budził się o piątej, a czasem nawet wcześniej, natychmiast wstawał i schodził na dół. Jeśli jego żona nie mogła spać, leżała wyczekując tej chwili, oznaczała ona bowiem nadejście spokoju. Prawdziwy odpoczynek następował dopiero wówczas, gdy wychodził z domu.

Morel schodził na dół w koszuli i tam wciągał robocze spodnie, które przez całą noc leżały przy kominku, aby się dobrze nagrzały. Ogień nigdy nie wygasał dzięki staraniom pani Morel. Pierwszym też dźwiękiem w domu był stuk pogrzebacza o ruszt, gdy Morel rozbijał i podsyczał tłące się bryły węgla, żeby kociołek z wodą, pozostawiony w nocy nad ogniem, wreszcie się zagotował. Filiżanka, nóż i widelec, wszystko, co było potrzebne do śniadania, prócz samych tylko prowiantów, było dla niego przygotowane na rozłożonej na stole gazecie. Brał sobie śniadanie, parzył herbatę, obtykał dół drzwi szmatami, aby mu nie wiało, rozpalał wielki ogień i zasiadał na godzinkę miłej sjesty. Opiekał nad ogniem boczek na widelcu, chwytając spadające krople tłuszczu na chleb. Potem kładł przypieczony plaster na grubej kromce chleba, odcinał składanym nożem wielkie kęsy, nalewał sobie herbatę na spodek i był w pełni szczęśliwy. Wspólne posiłki z rodziną nigdy nie były tak przyjemne. Morel gardził widelcem. Był to niedawny wynalazek, który nie zdążył jeszcze całkowicie wejść w użycie wśród prostych ludzi. Morel na przykład znacznie wolał swój kieszonkowy, uniwersalny nóż. Jadł więc tak i pił samotnie, w chłodniejsze dni sadowiąc się zazwyczaj na niskim stołeczku, plecami do kominka. Jedzenie umieszczał na żelaznym okra-



towaniu, a filiżankę tuż przy ogniu.

Czytał sobie potem gazetę z poprzedniego wieczoru, a raczej to, co mógł z niej zrozumieć, mozolnie sylabizując. Wolał siedzieć z zapuszczonymi roletami i przy zapalanej świeczce, nawet jeśli za oknami było już zupełnie jasno. Było to nabyte w kopalni przyzwyczajenie.

Za kwadrans szósta wstawał, smarował sobie dwie grube pajdy chleba masłem i wkładał je do woreczka z białego płótna. Napełniał blaszaną manierkę herbatą. Zimna herbata, nie osłodzona i bez mleka była jego ulubionym napojem w kopalni. Następnie ściągał przez głowę koszulę i wkładał górniczy kaftan z grubego barchanu, z szerokim wycięciem wokół szyi i krótkimi rękawami, jak u kobiety.

Potem szedł na górę do żony z filiżanką herbaty, ponieważ była słaba i ponieważ przyszła mu właśnie taka myśl do głowy.

— Przyniosłem ci filiżankę herbaty, moja panno — mówił.

— Niepotrzebnie to robisz. Wiesz, że tego nie lubię — odpowiadała.

— Wypij to lepiej. Zobaczysz, że sobie zaraz chrapniesz.

Brała z jego rąk filiżankę. Z przyjemnością patrzył, jak ją podnosi do ust i wolno pije herbatę.

— Mogłabym przysiąc, że nie ma tu ani szczypty cukru — mówiła.

— A właśnie że jest cały duży kawałek — odpowiadał urażony.

— To istny cud — mówiła, znów pociągając mały łyżeczek.

Miała ujmującą twarz, gdy włosy jej były rozpuszczone. Lubił, kiedy tak na niego gderała. Raz jeszcze na nią popatrzył, a potem odwracał się i wychodził z pokoju bez słowa pożegnania. Nigdy nie zabierał z sobą do kopalni nic poza dwoma kawałkami chleba z masłem, jabłko lub pomarańcza były więc dla niego nie lada przysmakiem. Był zawsze ogromnie zadowolony, jeśli żona przygotowała mu z wieczora któryś z tych owoców. Owijał szyję szalikiem, wkładał wielkie, ciężkie buciory i płaszcz z okazałych rozmiarów kieszenią, w której mieścił się worek z śniadaniem i manierka z herbatą. Wychodził na świeże, ranne powietrze, zamykając za sobą drzwi tylko na klamkę. Lubił wyjść wczesnym rankiem i pójść spacerem przez pola. Często zjawiał się przed wejściem do windy trzymając urwany z żywopłotu zielony pęd, który gryzł potem przez cały dzień pod ziemią, aby utrzymać wilgoć w ustach. Czuł się przy tym równie szczęśliwy, jak rano w polu.

W miarę jak zbliżał się dzień przyjścia na świat dziecka, Morel w swój niedbały sposób coraz częściej krzątał się po domu; przed wyjściem do pracy wygarniał popiół, czyścił kominek oraz zamiatał mieszkanie. Z poczuciem chlubnie spełnionego obowiązku udawał się potem na górę.

— Sprzątnąłem już wszystko za ciebie. Możesz teraz palcem nie kiwnąć cały dzień i spokojnie sobie siedzieć z tą swoją książką. — Śmieszyło ją to zawsze, mimo oburzenia, które ją ogarniało.

— A obiad sam się ugotuje? — pytała.

— Eh, nic nie wiem o tym twoim obiedzie.

— Dobrze byś wiedział, gdyby choć raz go nie było.

— Być może — mówił odchodząc.

Po zejściu na dół zastawała dom uporządkowany, ale pełen brudu. Nie potrafiła

spocząć, póki go nie doprowadziła do stanu idealnej czystości. Wychodziła przed dom, aby wyrzucić do rowu śmieci. Pani Kirk, wytrwale ją szpiegująca, w tejże samej chwili śpiesznie zjawiała się koło swego składziku na węgiel, wołając poprzez drewniane sztachetki:

— No, jak tam? Wciąż jeszcze się pani krząta?

— Tak — odpowiadała niechętnie pani Morel. — Po prostu muszę, bo nie ma innej rady.

— Czy nie widziały panie Hose'a? — wołała do nich przez alejkę jakaś filigranowa postać. Była to pani Anthony, czarnowłosa, dziwaczna osóbka, nieodmiennie ubrana w aksamitną brązową suknię, mocno wciętą w tali.

— Nie, nie widziałam go — mówiła pani Morel.

— Ach, chciałabym, żeby już raz przyszedł. Mam dla niego pełny kociołek pończoch i jestem pewna, że słyszałam przed chwilą jego dzwonek.

— Niech pani patrzy! Jest tam na końcu alejki. — Obie kobiety spojrzały w dół uliczki. Na samym końcu Bottoms, na małym, staroświeckim, dwukołowym wózku stał mężczyzna pochylony nad jakimiś kremowymi wiązkami. Dokoła cisnęła się gromada kobiet wyciągających ku niemu ręce z takimi samymi wiązkami. Sama pani Anthony, we własnej osobie, miała również przewieszony przez ramię pęk kremowych, nie ufarbowanych pończoch.

— Zrobiłam w tym tygodniu dziesięć tuzinów — pochwaliła się dumnie przed panią Morel.

— Nie do wiary — pokręciła głową pani Morel. — Nie rozumiem, jak pani potrafi znaleźć na to czas.

— Eh! — odparła pani Anthony. — Zawsze można znaleźć chwilkę czasu, tylko trzeba się postarać.

— Nie wiem, jak pani to robi. A można wiedzieć, ile pani dostanie za taką partię?

— Dwa i pół pensa za tuzin — odparła.

— Wołałabym umrzeć z głodu — oświadczyła pani Morel — a nie wzięłabym się do roboty tych dwudziestu czterech pończoch za dwa i pół pensa.

— Och, sama nie wiem — rzekła pani Anthony. — Zawsze można sobie trochę tym dorobić.

Hose zbliżał się dzwoniąc zawzięcie. Wzdłuż alejki czekały przy swoich furtkach kobiety z naręczami pończoch, przerzuconymi przez ramię. Handlarz, zupełnie prosty człowiek, żartował z nimi starając się je oszukać i styranizować. Pani Morel pogardliwie oddaliła się przez podwórko do domu.

W Bottoms przyjął się zwyczaj, że gdy jakaś kobieta potrzebowała pomocy sąsiadki, wkładała w ogień pogrzebacz i stukała nim w tylną ścianę kominka. Ponieważ paleniska obu mieszkań przytykały bezpośrednio do siebie, w sąsiednim domu rozlegał się nie lada hałas. Pewnego dnia pani Kirk, która właśnie ucierała pudding, omal nie wyskoczyła ze skóry na dźwięk głuchych łomotów dobiegających z pieca. Z rękami ubielonymi mąką rzuciła się do płotu.

— Czy pani stukała, pani Morel?

— Gdyby pani zechciała pofatygować się do mnie na chwileczkę, pani Kirk.

Pani Kirk weszła na kubełek po swojej stronie płotu, przelazła na kubełek pani Mo-

rel stojący po drugiej stronie i pędem pobiegła do sąsiadki.

—No, jak tam, pani kochana? Jak się pani czuje? — wykrzyknęła zaniepokojona.

— Sądzę, że można już sprowadzić panią Bower — rzekła pani Morel.

Pani Kirk wyszła na podwórko i natężając swój donośny, przenikliwy głos, zawołała:

— Aggie, Aggie!

Głos jej rozbrzmiał od jednego do drugiego końca Bottoms. Po chwili nadbiegła Aggie i natychmiast posłano ją po panią Bower, a pani Kirk porzuciła swój pudding i pilnowała sąsiadki.

Pani Morel położyła się do łóżka. Anię i Williama zabrała do siebie pani Kirk na obiad. Gruba i kołysząca się z boku na bok pani Bower objęła rządy w domu państwa Morel.

— Proszę pokrajać trochę zimnego mięsa dla męża na obiad i niech mu pani zrobi szarlotkę z jabłek — powiedziała pani Morel.

— Może się dzisiaj obejść bez szarlotki — odparła pani Bower.

Morel nie należał do grupy górników, którzy z zasady pierwsi zjawiali się przy windzie w szybie, gotowi wyjechać na powierzchnię. Byli nawet tacy, co przychodzili tam już przed czwartą, z uderzeniem której rozlegał się gwizdek ogłaszający koniec szychty. Ale Morel, którego stanowisko było ubogie i leżało o półtorej mili od windy, pracował zazwyczaj, póki jego najbliższy sąsiad nie przerwał roboty, i dopiero wówczas ustawał także. Tego dnia praca stała mu niejako kością w gardle. O drugiej spojrział przyświecając sobie zieloną świeczką pierwszy raz na zegarek (miejsce było bezpieczne) i potem jeszcze raz o pół do trzeciej. Kuł w zrab skały, który zagradzał mu drogę do pracy na dzień jutrzejszy. Klęcząc lub dla odmiany przykucając na piętach, bił mocno kilofem, stękając przy każdym ciosie: „Usz...sza! Usz...sza!”

— Nie zamierzasz dziś wcale skończyć, bracie? — krzyknął Barker, towarzysz i bliiski kolega Morela.

— Czy zamierzam skończyć? Mowy nie ma! — warknął Morel.

Rąbał zapamiętane. Czuł się zmęczony.

— Diabła robota — powiedział Barker.

Ale Morel, u kresu nerwów i zbyt zmęczony, żeby mu odpowiedzieć, w dalszym ciągu walił i kuł kilofem z całej siły.

— Możesz to z powodzeniem zostawić, Walterze — powiedział Barker. — Jutro będziesz miał na to dość czasu, nie ma co dzisiaj sobie flaków wypruwać.

— Jutro nie tknę tego cholernego kamienia nawet jednym palcem, Israele! — krzyknął Morel.

— Et, jeśli tobie nie będzie się chciało, będzie to musiał zrobić kto inny — odparł Israel.

Morel kuł dalej.

— Hej tam... fajrant! — wołali górnicy schodzący z sąsiednich stanowisk.

Morel kuł nieustannie.

— Może jeszcze mnie dogonisz, jak skończysz — powiedział Barker schodząc.

Gdy odszedł, Morel, pozostawiony sam sobie, poczuł, że wzbiera w nim gniew. Nie skończył zamierzonej roboty. Zmęczył się do nieprzytomności. Wstał mokry od potu,

rzucił na ziemię kilof, wciągnął kaftan i zdmuchnąwszy świeczkę, wziął w rękę lampkę i poszedł. Daleko przed nim, w głębi głównego korytarza, migwały światełka lamp kołyszące się w rękach innych górników. Chodnik rozbrzmiewał głuchym echem wielu głosów. Czekala go długa, męcząca, piesza wędrówka pod ziemią.

Usiadł pod ścianą szybu, gdzie wielkie krople wilgoci spadały z pluskiem. Obok niego stało wielu górników oczekujących swojej kolejki, by wydostać się na górę, i rozmawiających tymczasem hałaśliwie. Morel odpowiadał na pytania krótko i opryskliwie.

— Pada na górze, bracie — zwrócił się do niego stary Giles, który uzyskał tę wiadomość z zewnątrz.

Dla Morela była to pewnego rodzaju pociecha. Miał ulubiony stary parasol, który, idąc na robotę, zostawiał w szopie z lampami. Stanął w kolejce na platformie i w jednej chwili znalazł się na górze. Potem oddał lampę i odebrał parasol, kupiony kiedyś na licytacji za półtora szylinga. Stał przez chwilę u brzegu usypiska, wodząc wzrokiem daleko po polach. Było szaro i padał deszcz. Wagony stały pełne mokrego, błyszczącego węgla. Po ich bocznych ścianach z białymi napisami „C. W. & CO.” ściekała woda. Górnicy, obojętni na deszcz, spływali w dół wzdłuż torów, a potem pełzli pod górę polami, szarą, ponurą gromadą. Morel otworzył parasol i z przyjemnością słuchał szmeru uderzających kropeł.

Wzdłuż całej długiej drogi do Bestwood wędrowali powoli górnicy — mokrzy, szarzy i brudni, lecz ich czerwone usta poruszały się nieprzerwanie w ożywionej rozmowie. Morel szedł razem z wszystkimi, bez słowa. Idąc, marszczył czoło ze złością. Wielu górników zniknęło za drzwiami „Księcia Walii” albo „Ellena”. Morel, dostatecznie zły, by oprzeć się pokusie, brnął przed siebie pod ociekającymi drzewami, których gałęzie zwisały nad drogą ponad otaczającym park murem — a potem zaczął schodzić w dół, przez grząskie błoto Greenhill Lane.

Pani Morel leżała w łóżku, wsłuchując się w szum deszczu, w tupot nóg górników, dobiegający od strony Minton, w gwar ich głosów oraz w trzaskanie furtki na skraju pola, gdy przez nią przechodzili.

— W komórce za drzwiami jest reszta ziołowego piwa — powiedziała. — Mąż będzie chciał pić, jeśli się nie zatrzyma gdzieś po drodze.

Zrobiło się późno i pani Morel doszła do wniosku, że musiał zejść do oberży, skoro pada deszcz. Cóż ona go obchodziła albo dziecko!...

Dzieci jej rodziły się bardzo ciężko.

— Czy to chłopak, czy dziewczynka? — zapytała umęczona i bliska śmierci.

— Chłopak.

Doznała pewnej pociechy z tej racji. Myśl, że daje życie mężczyznom, rozgrzewała jej serce. Spojrzała na dziecko. Miało niebieskie oczy, duży czub jasnych włosów i było miłe. Uczuła wzbierającą gorącą falę miłości, wbrew wszystkiemu. Kazała je sobie podać do łóżka.

Morel z kompletną pustką w głowie włókł się ogrodową ścieżką, zły i zmęczony. Zamknął parasol i umieścił go w zlewie, a potem z hałasem wrzucił do kuchni swoje robocze buty. Pani Bower stanęła w drzwiach.

— Jest taka słaba, że chyba trudno gorzej — powiedziała. — To chłopak.

Górnik chrząknął, odłożył na kredens pusty worek śniadaniowy i manierkę, skrzywił do komórki powiesić na haku płaszcz, wrócił do pokoju i opadł na krzesło.

— Czy jest w domu coś do picia? — zapytał.

Kobieta poszła do spiżarki i po chwili dobiegł stamtąd cichy wystrzał wydobywanego korka. Z lekkim stuknięciem, które miało wyrażać całą jej odrazę i dezaprobatę, postawiła przed Morelem kufel. Pociągnął łyk, odsapnął, otarł wielkie wąsy końcem szala, napił się znowu, znów sapnął i ciężko opadł na tył krzesła. Kobieta nie odezwała się do niego więcej ani słowem. Postawiła przed nim obiad i poszła na górę.

— Czy to mąż wrócił? — zapytała pani Morel.

— Dałam mu obiad — odparła pani Bower.

Morel siedział przez pewien czas z ramionami wyciągniętymi na stole. Czuł się urażony, że pani Bower nie nakryła stołu obrusem i podała mu mały talerzyk zamiast dużego obiadowego. W końcu zaczął jeść. Fakt, że jego żona była chora i że został ojcem drugiego syna, nic dla niego w danej chwili nie znaczyło. Był zanadto zmęczony. Chciał zjeść obiad... chciał siedzieć z wyciągniętymi na stole rękami. Drażniła go obecność pani Bower. Ogień był zbyt słaby, aby sprawiał mu przyjemność.

Skończył jeść, przez dwadzieścia minut siedział jeszcze bez ruchu, a potem posługując się pogrzebaczem rozniecił na kominku wielki ogień. Następnie, bez butów, w samych tylko skarpetkach, niechętnie poszedł na górę. Spotkanie z żoną wymagało od niego w tej chwili dużego wysiłku, a był zmęczony. Po uczernionej twarzy spływały mu kropelki potu. Mokry kaftan wysechł na nim wsysając w siebie cały brud. Szyję miał owiniętą brudnym wełnianym szalikiem. Tak stanął w nogach łóżka żony.

— No co... jak się ty czujesz? — zapytał.

— Wszystko będzie dobrze — odpowiedziała.

— Hm!

Stał nie wiedząc, co ma dalej powiedzieć. Był zmęczony, a ten nowy kłopot napał go raczej niechęcią i nie bardzo wiedział, co z sobą począć.

— Mówili mi, że to chłopak — wyjąkał.

Odchyliła prześcieradło i pokazała mu dziecko.

— Niech go Pan Bóg błogosławi! — mruknął. Rozśmieszyło ją to, gdyż błogosławił dziecko tradycyjną formułką, udając ojcowskie wzruszenie, którego w danej chwili wcale nie odczuwał.

— Idź już — powiedziała.

Odprawiony, zapragnął ją pocałować, ale nie śmiał. Ona również trochę sobie tego życzyła, ale nie mogła się przezwyciężyć, by mu to jakoś okazać. Odetchnęła swobodniej, kiedy znalazł się już za drzwiami pozostawiając po sobie lekki odór błota i kopalni.

Codziennie odwiedzał teraz panią Morel pan Heaton, pastor z jej kongregacji. Był bardzo biedny i bardzo młody. Żona umarła mu przy urodzeniu pierwszego dziecka, mieszkał więc na plebanii samotnie. Był absolwentem nauk humanistycznych uniwersytetu w Cambridge, bardzo nieśmiały i pozbawiony daru wymowy. Pani Morel lubiła go, on zaś szukał w niej oparcia. Gdy wyzdrowiała, prowadził z nią wielogodzinne rozmowy. Był chrzestnym ojcem noworodka.

Czasami zostawał na popołudniowej herbacie u pani Morel. Nakrywała wówczas

wcześniej stół obrusem, wydostawała najlepsze filiżanki z cieniutkim złotym brzeżkiem i wzdychała w duchu, żeby Morel nie wrócił zbyt wcześnie. I jeśli zdarzyło mu się wstąpić po drodze do oberży na kufel piwa, nie brała mu tego w takich razach za złe. Codziennie gotowała dwa obiady, uważała bowiem, że dzieci powinny jeść podstawowy posiłek w południe, Morel zaś musiał mieć swój obiad gotów na piątą. Tak więc pan Heaton siedział z dzieckiem na kolanach, gdy pani Morel ucierała pudding albo obierała kartofle, i nie spuszczać z niej oczu, omawiał swoje następne kazanie. Jego poglądy były osobliwe i fantastyczne. Rozsądnie sprowadzała go z powrotem na ziemię. Dyskusja toczyła się na temat wesela w Kanie Galilejskiej.

— Kiedy Jezus przemienił w Kanie wodę w wino, miało to być symbolem, że codzienne życie, a nawet krew męża i żony, która jak woda pozbawiona była dotychczas wewnętrznej treści, zostały wypełnione Duchem Świętym i stały się jako wino. Albowiem gdy zjawia się miłość, dusza człowieka zmienia się całkowicie. Duch Święty wypełniają bez reszty i człowiek może ulec nawet zewnętrznemu przeobrażeniu.

Pani Morel myślała w duchu:

„No tak, umarła biedakowi młoda żona i dlatego utożsamia swoją miłość z Duchem Świętym”.

Byli w połowie pierwszej filiżanki herbaty, gdy usłyszeli człapanie górniczych butów Morela.

— Święte nieba! — wykrzyknęła pani Morel odruchowo.

Pastor spojrział na nią przerażony. Morel wszedł do pokoju. Był wyraźnie wściekły. Skinął głową, mruczając niewyraźnie „szanowanie” pod adresem duchownego, który wstał z ręką wyciągniętą na przywitanie.

— Nie! — odparł Morel pokazując swoją dłoń. — Niech no pan popatrzy tutaj. Na pewno nie chciałby pan tknąć się takiej ręki jak ta. Za dużo na niej brudu od kilofa i szufli.

Pastor zaczerwienił się z zakłopotaniem i usiadł z powrotem. Pani Morel wstała, aby wynieść dymiący rondel. Morel zdjął płaszcz, przyciągnął do stołu fotel i opadł nań ciężko.

— Czy jest pan zmęczony? — zapytał pastor.

— Czy jestem zmęczony? A niby jaki mam być? — odparł Morel. — Pan to w ogóle nie wie, czym jest zmęczenie takie, jak moje.

— Tak — zgodził się pastor.

— No, to niech pan tu spojrzy — ciągnął górnik wskazując na ramiona swojego kaftana. — Teraz już trochę wysechł, ale i tak jest jeszcze jak mokra szmata od mego potu. Niech pan tu dotknie.

— Czyś ty oszalał?! — krzyknęła pani Morel. — Pan Heaton zupełnie nie ma ochoty dotykać twego wstrętnego kaftana.

Pastor ostrożnie wysunął rękę.

— Może być, że nie ma ochoty — ciągnął Morel. — Ale czy chce, czy nie chce, i tak ten cały pot ze mnie wyszedł. Co dzień można tak mój kaftan wyżymać z potu. Czy masz coś do picia w domu, moja pani, dla człowieka, co wrócił umęczony i ledwie żywy z kopalni?

— Dobrze wiesz, że wypileś już całe piwo — odpowiedziała pani Morel nalewając

mu filiżankę herbaty.

— I nic innego nie ma, tylko to? Bo człowiek, który zaskorupiał od pyłu, wie pan — ciągnął obracając się do pastora — który na fest zalepił sobie płuca tam na dole w kopalni, taki człowiek musi się czegoś napić, kiedy wraca do domu.

— Nie wątpię w to — przyznał duchowny.

— A tu dziewięć razy na dziesięć okazuje się, że nic nie ma dla niego.

— Jest woda... i herbata — powiedziała pani Morel.

— Woda! Woda nie przeczyści gardła.

Przelał herbatę na spodek, podmuchał i zaczął ją głośno wciągać poprzez- wielkie czarne wąsiska, sapiąc przy każdym łyku. Nalał sobie drugi spodek. Filiżankę postawił na stole.

— Mój obrus! — zawołała pani Morel przestawiając filiżankę na tackę.

— Mężczyzna, który w takim stanie jak ja wraca do domu, jest za bardzo zmęczony, żeby myśleć o obrusach — rzekł Morel.

— Szkoda! — ucięła żona sarkastycznie.

Pokój wypełniał zapach mięsa i jarzyn, pomieszany z przykrą wonią roboczej odzieży górnika.

Morel przechylił się nad stołem w stronę pastora. Wielkie wąsy sterczały w górę, a mocno czerwone usta odcinały się wyraźnie od jego poczemialej twarzy.

— Panie Heaton — powiedział — mężczyzna, który cały dzień siedział w czarnej norze pod ziemią i cały czas rąbał ścianę węgla, tak jest... dużo twardszą ścianę niż ten tu mur...

— Nie masz co jęczeć na ten temat — przerwała pani Morel.

Nienawidziła swojego męża za to, że ilekroć znalazł sobie jakieś audytorium, zaczynał uzalać się nad swoim losem, żeby wzbudzić ogólne współczucie. William, który siedział obok z niemowlęciem na kolanach, nienawidził go z całą chłopięcą zaciętością za te obłudne narzekania i za przykry sposób odnoszenia się do matki. Ania nigdy nie lubiła ojca i po prostu unikała go, jak mogła.

Po wyjściu pastora pani Morel spojrzała na obrus.

— Piękny chlew — powiedziała.

— A ty pewnie myślałaś sobie, że będę siedział z rękami zwisającymi po bokach, dlatego że zachciało ci się sprowadzać pastora na herbatę — ryknął.

Oboje byli źli, ale pani Morel nie odezwała się ani słowem. Dziecko zaczęło płakać, pani Morel zdejmując rondel z ognia stuknęła niechcący Anię w głowę i dziewczynka zaczęła chlupać, a Morel krzyczeć na nią. Wśród tej całej szatańskiej wrzawy William spojrzał w górę na jaśniejący wielkimi literami nad kominkiem wer-set i przeczytał dobitnie:

— Niech Bóg błogosławi nasz dom!

Pani Morel, która usiłowała właśnie uspokoić niemowlę, zerwała się z miejsca i przyskoczywszy do chłopca, wytargała go za uszy, wołając:

— A ty czego tu się wtrącasz?

Usiadła potem z powrotem i wybuchnęła śmiechem, aż łzy pociekły jej po policzkach. William stał kopiać stołek, na którym przed chwilą siedział, a Morel mruknął:

— Nie rozumiem, co w tym może być śmiesznego.

Któregoś wieczoru, zaraz po wyjściu pastora, pani Morel nie czując się na siłach, by zachować spokój po kolejnym występie męża, zabrała Anię oraz niemowlę i wyszła z domu. Morel kopnął Williama i matka czuła, że nigdy mu tego nie przebaczy.

Przeszła przez starą, owczą kładkę i ścinając róg łąki dotarła do pola krykietowego. Przed nią ciągnęły się łąki przesycone światłem wieczoru i szumiące dalekim echem młyńskiego wodospadu. Pani Morel usiadła na polu krykietowym, na ławeczce pod kępą olch, zwrócona twarzą w stronę zachodu. Przed nią płasko kładło się wielkie pole gry, niby dno świetlnego morza. W niebieskawym cieniu budynku bawiły się dzieci. Wysoko w powietrzu, na tle miękkiej kopuły nieba ciągnęły kraczące stada kruków. Opuszczały się długim, rozwlekłym łukiem w słoneczny blask i skrzeczały, kłębiły się, krążyły w powietrzu jak wielkie czarne płyty, wirując nad kępą drzew, która ciemną plamą majaczyła wśród pastwisk.

Kilku panów ćwiczyło się w grze i pani Morel słyszała uderzenia piłki i głosy mężczyzn nagle przybierające na sile. Mogła dostrzec białe postacie przesuwane się bezszelestnie po zielonym boisku, na którym słały się już przy ziemi smugi wieczornego cienia. W dali, przy folwarku, stogi siana rozbłyskiwały z jednej strony ogniem, z drugiej zaś tonęły w błękitnosinym mroku. Naładowany snopami wóz, mały jak zabawka, podążał gdzieś przed siebie, kołysząc się w płynnym, żółtym blasku.

Słońce zachodziło coraz niżej. W każdy bezchmurny wieczór wzgórze Derbyshire tonęły w czerwonym ogniu zachodu. Pani Morel patrzyła, jak słońce ześlizguje się z błyszczącego nieba, pozostawiając w górze miękkie, szary błękit kwiatnych płatków, gdy zachód żarzył się czerwienią, jak gdyby wszelki ogień spłynął tam z nieskazitelnie błękitnej reszty nieba. Szyszeczki na olchach po drugiej stronie pola zarysowały się przez chwilę szkarłatem na tle ciemnego listowia. Kilka stert zboża, zgrupowanych na ugorze, wystąpiło naprzód, jak gdyby ożyły. Pani Morel wyobraziła sobie, że biją pokłony. Może jej syn będzie Józefem? Na wschodzie mieniła się różowym refleksem zorza, naprzeciw szkarłatnego blasku zachodu. Wielkie stogi siana na stoku wzgórza, przed chwilą nurzające się w łunie pożaru, teraz ostygły.

Dla pani Morel chwila ta była jednym z momentów spokoju i ciszy, kiedy to drobne swary i troski zacierają się, a na pierwszy plan występuje piękno otaczającego świata. Czuła dostateczny spokój i siłę, by spojrzeć w głąb siebie. Parę razy jaskółka przecięła w locie powietrze, tuż koło niej. Co jakiś czas przybiegała Ania z garstką olchowych szyszeczek w zaciśniętej piąstce. Niemowlę kręciło się na kolanach matki, sięgając rączkami do światła.

Pani Morel schyliła się nad nim. Obawiała się jego przyjścia na świat jak katastrofy, z powodu uczuć, jakie żywiła dla męża. A teraz z dziwną mocą pociągało ją ono ku sobie. W sercu matki ciążył niepokój o to dziecko, jak gdyby było chore czy ułomne. Wyglądało jednak zupełnie zdrowo. Zauważyła osobliwe ściągnięcie brwi niemowlęcia i dziwną powagę jego oczu, jak gdyby usiłowało pojąć coś, co mogło być tylko bólem. Patrząc w ciemne, posepnie zamyślane oczy dziecka czuła, że jakiś ciężar przyniata jej serce.

— Patrzy, jakby nad czymś rozmyślał i martwił się — mawiała pani Kirk. Nagle, gdy tak patrzyła na dziecko, troska, która ciążyła w jej matczynym sercu, przerodziła się w gwałtowny smutek. Schyliła się nad synkiem i z oczu jej



potoczyło się szybko, jedna za drugą, kilka łez płynących z udręczonego serca. Dziecko podniosło w górę paluszki.

— Moje ty pisklątko! — załkała czule.

W chwili tej, w jakimś ukrytym, odległym zakątku duszy poczuła, że ona i jej mąż zawinili wobec tego dziecka.

Małeństwo patrzyło na nią. Miało oczy równie niebieskie, jak jej oczy, ale spojrzenie ich było ciężkie i nieruchome, jak gdyby zastanawiało się nad tym, co okaleczyło część jego duszy.

W ramionach jej leżało wątłe dziecko. Jego nieprzerwanie wpatrzone w nią, bez zmrużenia powiek, oczy zdawały się wydobywać na jaw najtajniejsze jej myśli. Nie kochała już męża. Nie pragnęła przyjscia na świat tego dziecka, a oto leżało w jej ramionach i czepiało się jej serca. Miała takie uczucie, jakby pępownina, która łączyła jego drobne, wątłe ciało z jej własnym, nie została przerwana. Ogarnęła ją ciepła fala miłości. Przycisnęła dziecko do piersi i przytuliła się do niego policzkiem. Z całej mocy, całym sercem wynagrodzi mu to, że wydała je na świat nie kochane. Będzie je kochała za to stokroć więcej teraz, kiedy się już tu znalazło. Otoczy je i odgrodzi od świata swą miłością. Jasne, świadome spojrzenie dziecka budziło w niej ból i obawę. Czy wiedziało o niej wszystko? Czy spoczywając pod jej sercem słuchało wszystkiego, co się w nim działo? Czy to wyrzut malował się w jego spojrzeniu? Czowała, że ból i lęk przenikają ją aż do szpiku kości.

Raz jeszcze spojrzała na purpurowe słońce, które leżało na krawędzi pagórka, na wprost niej. Uniosła nagle niemowlę wysoko w górę.

— Spójrz! — powiedziała. — Spójrz, mój malutki!

Wysunęła dziecko daleko w przód do szkarłatnej, pulsującej tarczy, nieomal z ulgą. Patrzyła, jak unosi małą piąstkę. A potem, wstydząc się swego impulsu, przycisnęła je ponownie do łona, by przywrócić je znów tam, skąd przybyło.

„Jeśli będzie żył — pomyślała — co się z nim stanie?... Jaki on będzie?”

Serce jej ścisnęło się niepokojem.

— Dam mu na imię Paweł — powiedziała nagle, sama nie wiedząc czemu.

Po chwili ruszyła z powrotem do domu. Głęboki cień leżał nad ciemną zielenią łąki, osnuwając ją mrokiem.

Zgodnie ze swymi oczekiwaniami, zastała dom pusty. Ale Morel wrócił o dziewiątej i przynajmniej ten dzień zakończył się spokojnie.

Walter Morel był w tym czasie niezwykle rozdrażniony. Praca zdawała się

go doszczętnie wyczerpywać. W domu do nikogo nie odzywał się po ludzku. Jeśli ogień nie był dość silny, robił awantury. Przy obiedzie wyrzekał na jedzenie. Gdy dzieci zaczynały z sobą gawędzić, krzychał na nie w taki sposób, że krew gotowała się w żyłach ich matki, a one nienawidziły ojca w duchu.

W piątek nie zjawił się w domu aż do jedenastej. Dziecko niedomagało, było niepokojne i płakało, ilekroć matka zsadziła je z kolan. Pani Morel, śmiertelnie zmęczona i wciąż jeszcze słaba, ledwie panowała nad sobą.

— Wolałabym, żeby ten drań już raz wreszcie przyszedł — szepnęła zmordowana.

Dziecko umilkło wreszcie i usnęło w jej ramionach. Była zbyt zmęczona, żeby wstać i odłożyć je do kołyski.

„Nie powiem mu ani słowa, wszystko jedno, o której wróci — powtarzała sobie. — Wyprowadza mnie to tylko z równowagi. Nie powiem mu nic. Ale wiem, że jeśli cokolwiek zrobi, wyskoczę chyba ze skóry” — dodała w myśli.

Westchnęła usłyszawszy zbliżające się kroki męża, jak gdyby sam ich odgłos był już dla niej nie do zniesienia. Aby się na niej zemścić, wracał niemal zupełnie pijany. Gdy wszedł, siedziała z głową opuszczoną nad dzieckiem, nie chcąc na niego patrzeć. Ale poczuła gorący płomień obejmujący ją całą, gdy po drodze zatoczył się na kredens, aż wszystkie garnki zadzwieczały. Uratował się od upadku tylko dzięki temu, że chwycił się białych kołków, na których wieszala naczynia. Powiesił na haku kapelusz i płaszcz, potem wrócił i stał patrząc na nią spode łba z pewnej odległości. Siedziała nadal spokojnie, pochylona nad dzieckiem.

— Czy w domu nie ma nic do jedzenia? — zapytał wyzywająco, jak gdyby zwracał się do służącej. Niekiedy przybierał po pijanemu nienaturalny, wyszukany sposób wyrażania się mieszczuchów. Pani Morel nienawidziła go wówczas najbardziej.

— Sam dobrze wiesz, co jest w domu — odparła tak zimno, że odpowiedź jej zabrzmiała niemal bezosobowo.

Stał i patrzył na nią bez słowa. Ani jeden muskuł nie drgnął mu w twarzy.

— Zadałem uprzejme pytanie i oczekuję uprzejmej odpowiedzi — rzekł z przesadną afektacją.

— I dostałeś ją — odparła, nadal ignorując jego obecność.

Znow obrzucił ją ponurym spojrzeniem. Potem chwiejnie postąpił naprzód. Wsparł się jedną ręką na stole, a drugą począł szarpać szufladę, aby wydobyć nóż do krajania chleba. Szuflada utknęła, gdyż ciągnął ją ukośnie. W napadzie wściekłości szarpnął ją tak gwałtownie, że dosłownie wyfrunęła w powietrze, a łyżki, widelce i noże z łoskotem i brzękiem rozsypały się po ceglanej podłodze. Niemowle drgnęło konwulsyjnie.

— Co robisz, niemrawy, pijany głupcze! — krzyknęła matka.

— To ty powinnaś była wydostać ten cholerny nóż sama. Powinnaś była wstać, jak wszystkie inne kobiety, i usłużyć do stołu mężowi.

— Usłużyć tobie... usłużyć tobie? — krzyknęła. — Och, już widzę siebie...

— Tak! Właśnie tak!... I nauczę cię tego. Nauczę cię usługiwać mnie. Będiesz mi usługiwała...

— Nigdy, panie hrabio. Prędzej usłużyłabym psu koło progu.

Próbował wsunąć szufladę na miejsce. Usłyszawszy ostatnie słowa żony obrócił się ku niej. Twarz jego była czerwona, a oczy nabiegłe krwią. Patrzył na nią przez jedną,

nieskończenie długą sekundę, w groźnym milczeniu.

— Phi! — prychnęła szybko i pogardliwie.

Rozwścieczony szarpnął szufladę. Wypadła, uderzając go ostrym kaniem poniżej kolan, a wtedy chwycił ją i w gwałtownym odruchu furii cisnął w żonę.

Płaska szuflada przelatując ugodziła panią Morel w brew i z trzaskiem wpadła do kominka. Pani Morel zachwiała się i ogłuszona omal nie spadła z fotela. Była udreżona do głębi duszy i pełna odrazy. Mocno przycisnęła dziecko do piersi. Minęło kilka minut, zanim ogromnym wysiłkiem woli zapanowała nad sobą. Dziecko płakało żałośnie. Jej lewa brew krwawiła obficie. W głowie jej straszliwie szumiało. Gdy pochyliła się nad dzieckiem, z czoła jej spadło kilka kropel krwi, wsiąkając w biały szal, którym owinięte było niemowlę. Ale dziecko na szczęście wcale nie ucierpiało. Poruszyła głową, aby odzyskać równowagę, i krew popłynęła obficie zalewając jej oczy.

Morel przez cały czas stał nieporuszony, wspierając się jedną ręką o stół i patrząc osłupiałym wzrokiem. Gdy poczuł się dostatecznie pewien swej równowagi, ruszył ku żonie, zachwiał się jednak i chwycił tak gwałtownie za oparcie bujaka, w którym siedziała, że o mało co nie spadła z fotela. Przechylił się nad nią i chwiejąc się na nogach, powiedział głosem, w którym brzmiało zdumienie i niepokój:

— Czy ci się dostało?

Zachwiał się znowu, jak gdyby miał upaść na dziecko. Katastrofa pozbawiła go do reszty zmysłu równowagi.

— Zostaw mnie — powiedziała z trudem walcząc, by zachować przytomność.

Czknął głośno. — Pozwól mi... pozwól mi zobaczyć — powiedział i czknął ponownie.

— Odejdź! — krzyknęła.

Poczuła bijący od niego zapach alkoholu i chwiejny uchwyt jego rąk na oparciu fotela, który bujał się, w miarę, jak Morel, tracąc równowagę, kiwał się w tył i w przód.

— Odejdź! — powtórzyła odpychając go słabo od siebie.

Stał kołysząc się niepewnie i patrzył na nią. Zebrała wszystkie siły i podniosła się z dzieckiem na rękę. Straszliwym wysiłkiem woli, jak gdyby we śnie, przeszła przez kuchnię do umywalki i tam kapała przez chwilę oko w zimnej wodzie. Ale nazbyt kręciło się jej w głowie. Obawiając się więc, że zemdleje, wróciła na fotel drżąc każdym włosem ciała. Instynktownie tuliła niemowlę mocno do siebie.

Morel, wyraźnie zgnębiony, z trudem wsunął tymczasem szufladę w otwór w stole i klęcząc macał niezdarnymi łapami po podłodze w poszukiwaniu rozsypanych widelców i noży.

Brew jej krwawiła nadal. Morel wstał i wyciągając szyję zbliżył się do żony.

— Czy bardzo cię uderzyło, kochasiu? — zapytał. Głos jego brzmiał pokornie i nieszcześnie.

— Możesz się sam przekonać — odparła.

Stał wychylony do przodu i wsparty na rękach, którymi ujął się za uda, tuż nad kolanami. Wyteżył wzrok, aby dojrzeć zranienie. Usuwała twarz możliwie najdalej, aby uniknąć bliskości jego twarzy i wielkich wąsów. Gdy patrzył na nią, siedzącą z ustami mocno zaciśniętymi, zimną i nieczułą jak gład, opanowało go zwątpienie i poczucie zupełnej bezradności. Odwracał się właśnie od niej, zasępiony, gdy spostrzegł kroplę

krwi, która spadła z brwi żony i zawisła ciężka, ciemna kroplą, która ważyła się chwilę na błyszczącej, puszystej mgielce, a potem przygniotła ją swym ciężarem. Upadła druga kropla. Jeszcze chwila, a krew przesiąknie dziecku do samej skóry na czaszce. Patrzył znieruchomieły, nieomal czując, jak krew wsiąka coraz głębiej. Jego hardość załamała się całkowicie.

— Co sobie w nim upatrzyłeś? — odezwała się cicho żona. To było wszystko. Ale głęboki, wibrujący ton jej głosu sprawił, że opuścił głowę jeszcze niżej. Wówczas złągodniała.

— Przynies mi trochę waty z środkowej szuflady — powiedziała.

Usłuchał pokornie i odszedł potykając się o sprzęty. Powrócił z dużym płatem waty, który opaliła nad ogniem, zanim przyłożyła sobie do czoła. Przez cały czas nie spuszczała dziecka z kolan.

— A teraz daj mi czysty szalik.

Znów odszedł chybocząc się na nogach i przez chwilę szukał w szufladzie, a potem przyniósł jej czerwony, wąski szalik. Wzięła go i niepewnymi palcami usiłowała owiązać sobie głowę.

— Pozwól, niech ci pomogę — rzekł pokornie.

— Dam sobie radę sama — odparła. Uporawszy się z opatrunkiem poszła na górę, polecając mężowi, by zgarnął pogrzebaczem węgle na kominku i zamknął wejściowe drzwi domu.

Na drugi dzień rano pani Morel powiedziała:

— Uderzyłam się o kłamkę w komórce z węglem, szukając po ciemku pogrzebacza, bo ojciec zdmuchnął mi świecę. — Jej dwoje małych dzieci spojrzało na nią szeroko otwartymi, przerażonymi oczami. Nie powiedziały ani słowa, ale ich rozwarte wargi niemo wyrażały tragedię, jaką podświadomie przeżywały.

Walter Morel leżał następnego dnia w łóżku prawie do samego obiadu. Nie myślał o tym, co uczynił ubiegłego wieczora. Właściwie nie myślał prawie

o niczym i tylko za wszelką cenę starał się odegnać od siebie wspomnienie tego, co zaszło. Leżał i cierpiał jak zbity pies. Skrzywdził samego siebie najbardziej. Był tym bardziej pożałowania godzien, że nie stać go było na to, by powiedzieć żonie choć słówko przeproszenia lub w jakikolwiek inny sposób okazać jej swój żal. Usiłował wykręcić się jakoś. „To była jej wina” — powtarzał sobie. Nic jednak nie mogło stłumić głosu własnego sumienia, które zadawało mu najstraszliwszą karę, wżerając się w głąb jego świadomości niby rdza, na którą skutecznym środkiem mógł być tylko alkohol.

Czuł się niezdolny, żeby wstać, powiedzieć choć słowo lub poruszyć się,

1 mógł tylko leżeć jak kłoda. W dodatku gnębił go silny ból głowy. Była sobota. Około południa Morel dźwignął się z łóżka, ukroił sobie coś do zjedzenia w spizarni, zjadł ze spuszczoną głową, wciągnął buty i wyszedł z domu. Wrócił o trzeciej, lekko podпиты i trochę odprężony. Położył się zaraz do łóżka. Wstał znów o szóstej wieczorem, wypił herbatę i zaraz wyszedł.

Niedziela upłynęła tak samo. Łóżko do południa, oberża „Palmerstone” do pół do trzeciej, obiad i znów łóżko. Przez cały czas nie odezwał się niemal ani słowem. Gdy

pani Morel około czwartej weszła na górę, by przebrać się w odświętną suknię, spał głęboko. Ulitowałyby się nad nim, gdyby choć raz powiedział: „Przepraszam cię, żono”. Ale nie. Uporczywie wmawiał w siebie, że to była jej wina, i pogrążał się do reszty. Pozostawiła go więc samemu sobie. Ich wzajemna nienawiść i walka utknęły na martwym punkcie, a ona była silniejszym przeciwnikiem.

Rodzina zasiadła do herbaty. Niedziela była jedynym dniem, kiedy wszyscy gromadzili się razem przy stole.

— Czy ojciec dzisiaj nie wstanie? — zapytał William.

— Niech sobie śpi — odparła matka.

Nad całym domem zawisło przygnębienie. Dzieci oddychając zatrutym powietrzem chodziły zwarzone i smutne. Nie umiały znaleźć sobie żadnej pociechy, zająć się czymś lub zabawić.

Natychmiast po obudzeniu Morel wstał z łóżka. Było to dla mego charakterystyczne. Przez całe życie musiał być stale w ruchu. Przytłaczająca beczyność dwóch ostatnich poranków dławiała go.

Była prawie szósta, kiedy zszedł na dół. Tym razem wszedł bez wahania, jego chwilowa skrucha i uległość zdażyły się już opancerzyć.

Stół był nakryty do herbaty. William czytał głośno opowiadanie z „Świątka dziecięcego”. Ania słuchała przerywając mu ustawicznie pytaniami: „Dlaczego?” Oboje umilkli spłoszeni usłyszawszy stapanie ojca schodzącego w skarpetach i wzdrygnęli się trwożnie, gdy wszedł do izby, mimo że zazwyczaj odnosił się do nich pobłażliwie.

Morel połknął samotnie swój posiłek, ze zwierzęcą łapczywością. Jadł i pił hałaśliwiej, niż to było konieczne. Nikt się do niego nie odezwał. Życie rodzinne zamarło, przyczaiło się i przycichło, gdy wszedł do pokoju. Ale przestał już przejmować się swym osamotnieniem.

Gdy tylko skończył herbatę, zerwał się i śpiesznie wyszedł z domu. Jego wieczna ruchliwość i pośpiech, żeby jak najprędzej wyjść z domu, obrzydły już pani Morel do ostateczności. Gdy słyszała, jak ochoczo chlapie się w zimnej wodzie i zgrzyta blaszanym grzebieniem po dnie miednicy, zwilżając sobie włosy, przymykała oczy z odrazą. Kiedy pochylony sznurował sobie buciki, w jego ruchach była jakaś wulgarna zapalczywość, która dzieliła go od reszty rodziny obserwującej go z chłodnym spokojem. Morel unikał wszelkiej duchowej rozterki. Nawet przed samym sobą uniewinniał się powtarzając: „Gdyby nie powiedziała tego lub owego, nigdy by się to tak nie skończyło. Sama się prosiła, żeby dostać”. Dzieci oczekiwały w milczeniu końca jego przygotowań. Gdy wreszcie wyszedł, odetchnęły z ulgą.

Zamknął za sobą drzwi i od razu poczuł się szczęśliwy. Wieczór był dżdżysty. Obe-rza „Palmerstone” będzie tym przyjemniejsza. Szedł prędko, pełen miłego oczekiwania. Czarne dachy Bottoms połyskiwały wilgocią. Drogi, zazwyczaj czarne od pyłu węglowego, pokryte był ciemną mazią błota. Morel szybko podązał dalej. Okna obrzy były zamglone od pary, sień zaniesiona śladami mokrych stóp. Ale w izbie było ciepło, choć duszno. Rozbrzmiewał w niej gwar licznych głosów oraz unosił się zapach piwa i tytoniu.

— Czego się napijesz, Walterze? — zawołał jakiś głos, gdy Walter ukazał się w drzwiach.

— Bywaj, Jim, stary chłopie, skądś się tu wziął?

Mężczyźni posunęli się i zrobili Morelowi miejsce, witając go życzliwie. Był zadowolony. W ciągu paru minut zatarło się w nim w ich towarzystwie wszelkie poczucie winy, cały wstyd i przygnębienie. Z lekkim sercem gotów był wziąć udział w wesołym wieczorze.

W następną środę Morel nie miał grosza przy duszy. Obawiał się żony. Odkąd ją zranił, nienawidził jej. Nie wiedział, co począć. Nie miał nawet dwóch pensów na pójście do „Palmerstone”, gdzie i tak był poważnie zadłużony. Kiedy więc żona wyszła z dzieckiem do ogródka, zakradł się do dolnej szuflady w komodzie, w której chowała portmonetkę, odnalazł ją i zajrzał do środka. Było tam pół korony, dwie monety półpensowe oraz sześć pensów. Wyjął sześć pensów, odłożył starannie portmonetkę na miejsce i wyszedł.

Następnego dnia, płacąc rachunek zieleniarzowi, pani Morel sięgnęła do portmonetki po sześć pensów i świat zawirował jej przed oczami. Usiadła starając się zebrać myśli: „Czy na pewno miałam tę sześciopensówkę?... Przecież jej nie wydałam... przecież nie mogłam jej nigdzie zostawić...”

Była wytracona z równowagi. Przeszukała wszystko dokładnie. W miarę poszukiwań opanowywało ją coraz silniejsze podejrzenie, że to mąż zabrał jej sześciopensówkę. W portmonetce były wszystkie pieniądze, jakie posiadała. Fakt, że był zdolny wyciągać jej pieniądze po kryjomu, był czymś nie do zniesienia. Dopuszczał się tego już dwa razy przedtem. Pierwszy raz nie przyszło jej nawet do głowy, aby go posądzać, lecz przy końcu tygodnia włożył szylinga z powrotem do jej portmonetki. Domyśliła się wówczas, kto go zabrał. Drugim razem już jej pieniędzy nie zwrócił.

Teraz czuła, że przebrała się miarka. Stawiając przed nim obiad (wrócił tego dnia wcześniej do domu), rzekła zimno:

— Czy wyjąłeś sześć pensów z mojej portmonetki wczoraj wieczór?

— Niby ja? — zapytał podnosząc głowę z niewinną miną. — Nie, nic podobnego. Na oczy jej nie widziałem, tej twojej portmonetki.

Ale ona nie umiała darować kłamstwa.

— Wiesz dobrze, że to zrobiłeś — powiedziała spokojnie.

— Mówię ci, że nie wziąłem — krzyknął. — Znowu szukasz zaczepki? Mam już tego dość, powiadam ci.

— Wykradasz mi sześciopensówki z portmonetki, gdy ja wnoszę ubranie ze dworu.

— Zapłacisz mi za to — oświadczył odsuwając desperacko krzesło. Krzątał się przez chwilę po izbie i umył się, a potem zdeterminowanym krokiem udał się na górę. Po dłuższej chwili zszedł na dół ubrany do wyjścia, niosąc okazały tobołek zawinięty w wielką chustkę w niebieską kratę.

— A teraz — powiedział — już mnie więcej nie zobaczysz.

— Pewnie zobaczę cię wcześniej, niż za tobą zatęsknię — odparła, po czym Morel wymaszerował z domu unosząc swój węzełek. Siedziała przez chwilę, drżąc lekko, ale serce jej było pełne pogardy. Co będzie, jeśli Morel pójdzie do innej kopalni, otrzyma tam pracę i zwiąże się z jakąś kobietą? Ale знаła go zbyt dobrze — nie poważy się na to. Była go w zasadzie zupełnie pewna. A jednak w sercu jej zalał się jakiś niepokój.

— Gdzie jest tatuś? — zapytał William po powrocie ze szkoły.

— Powiedział, że sobie idzie od nas — odparła matka.  
— Dokąd?  
— Eh, nie wiem. Zabrał z sobą tobołek w niebieskiej chustce i powiedział, że już nie wróci.

— Co my zrobimy? — krzyknął chłopiec.  
— Och, nie martw się, nie zawędruje daleko.  
— Ale co będzie, jeśli nie wróci? — zawodziła Ania.

Oboje z Williamem płakali, wtuleni w kąt kanapy. Pani Morel usiadła i parsknęła śmiechem.

— Ach, wy głuptasy! — zawołała. — Zobaczycie go jeszcze, nim słońce zajdzie.

Ale dzieci nie chciały się uspokoić. Zapadał zmierzch. Pani Morel zaczęła odczuwać niepokój już przez samo zmęczenie. Coś jej szeptało, że prawdziwą ulgą będzie nie zobaczyć go więcej. Z drugiej zaś strony burzyła się przeciw temu w trosce o dzieci i środki na ich wychowanie. I w najtajniejszej głębi serca mimo wszystko nie mogła jeszcze pozwolić mu odejść. Była w skrytości ducha całkowicie pewna, że nie może odejść.

Idąc po węgiel do komórki, znajdującej się w końcu ogródka, natknęła się na jakiś przedmiot za drzwiami. Zajrzała uważniej. I oto leżało tam w ciemnościach niebieskie zawiniątko. Przysiadła na bryle węgla i roześmiała się. Ilekroć spojrzała na ten wypchany ostentacyjnie, a potem wstydliwie wetknięty w ciemny kąt tobołek, z końcami zwisającymi smętnie po bokach, niby położone po sobie uszy, wybuchała śmiechem. Jej nerwowe napięcie minęło.

Pani Morel siedziała w domu czekając. Wiedziała, że nie miał przy sobie pieniędzy, jeśli więc gdzieś się zatrzymał, zaciągnie nowe długi. Była już nim bardzo zmęczona... śmiertelnie zmęczona. Nie miał nawet tyle odwagi, żeby wynieść swój węzełek poza obręb podwórza.

Około dziewiątej, gdy wciąż jeszcze siedziała medytując, drzwi otworzyły się i Morel wśliznął się do domu ukradkiem, w dalszym ciągu nadaśany. Nie powiedziała ani słowa. Zdjął płaszcz i opadł na swój fotel, gdzie zaczął rozsznurowywać buty.

— Pójdź no lepiej najpierw po swój węzełek, zanim zdejmiesz buty — powiedziała spokojnie.

— Możesz podziękować swojej szczęśliwej gwiazdzie, że jeszcze tym razem wróciłem — rzekł patrząc na nią ponuro. Nie unióśł opuszczonej głowy i starał się wywrzeć na żonie jak największe wrażenie.

— A dokąd to niby miałbyś pójść? Nie śmiałeś przecież wynieść swojego tobołka za podwórze — rzekła.

Miał taką głupią minę, że nawet nie była na niego zła. Kończył zdejmować buty i zamierzał zaraz iść do łóżka.

— Nie wiem, co tam masz w tej swojej niebieskiej chustce — powiedziała. — Ale jeśli ją tak zostawisz, to dzieci na pewno dobiorą się do niej jutro rano.

W odpowiedzi wstał i wyszedł z domu. Po chwili przebiegł z odwróconą głową przez kuchnię prosto na schody. Pani Morel zobaczywszy, jak przemknął szybko przez drzwi z węzełkiem pod pachą, zaśmiała się sama do siebie. Ale serce jej było pełne goryczy, bo był czas, że go kochała.

## WILLIAM ZAJMUJE PIERWSZE MIEJSCE W SERCU MATKI

Przez cały następny tydzień Morel był w tak złym humorze, że trudno z nim było wytrzymać. Jak wszyscy górnicy, bardzo lubił wszelkiego rodzaju lekarstwa, za które, choć trudno w to uwierzyć, niejednokrotnie nawet sam płacił.

— Musisz mi kupić kapkę tych kropeł na żołądek — powiedział kiedyś. — To dziwne, że u nas w domu nigdy nie ma nic takiego pod ręką.

Pani Morel kupiła mu więc buteleczkę kropeł Inoziemcowa, które były jego ulubionym lekarstwem, sam zaś przyrządził sobie dzbanek herbaty z dzikiego bzu. Miał na strychu całe pęki suszonych ziół, wśród których były: ruta, mięta, senes, korzeń pietruszki, ślaz, hyzop, mlecz i macierzanka. Na płycie kuchennej prawie zawsze stał dzbanek takiego czy innego wywaru i Morel raczył się nim obficie.

— Wspaniałe! — mówił cmokając po wypiciu naparu z dzikiego bzu. — Wspaniałe! — I zachęcał dzieci do spróbowania.

— To o wiele lepsze od tych waszych pomyj z herbaty albo kakao — zapewniał. Ale żadne nie dało się skusić.

Tym razem jednak ani pigułki, ani krople, ani żadne zioła nie mogły uśmierzyć „przekłętego bólu w głowie”. Było to zapalenie mózgu. Morel czuł się niedobrze od czasu, gdy idąc z Jerrym do Nottingham, przespał się na gołej ziemi. Pił potem więcej niż zazwyczaj i awanturował się bezustannie. Teraz był poważnie chory i pani Morel musiała go pielęgnować. Był najtrudniejszym pacjentem, jakiego można sobie wyobrazić. Ale wbrew wszystkiemu i niezależnie od faktu, że był żywicielem rodziny, pani Morel nigdy nie życzyła sobie jego śmierci. Wciąż jeszcze jakąś cząstką swej duszy pragnęła zachować go dla siebie.

Sąsiadki okazywały jej dużo dobroci. Co pewien czas zabierały do siebie dzieci na posiłki, czasem posprzątały kuchnię albo wzięły na cały dzień najmłodsze maleństwo. Było jej jednak mimo to bardzo ciężko. Sąsiadki nie co dzień przychodziły z pomocą. Musiała wtedy pielęgnować dziecko i męża, sprzątać, gotować i z wszystkimi sprawami dawać sobie sama radę. Była doszczętnie wyczerpana, ale spełniała sumiennie wszystko, co do niej należało.

Pieniądze wystarczały zaledwie na najniezbędniejsze potrzeby. Otrzymywała siedemnaście szylingów tygodniowego zasiłku, a ponadto Barker i drugi sztygar co piątek odciągali pewien procent z zarobków swoich załóg dla żony Morela. Sąsiadki gotowały rosoly i przynosiły w prezencie świeże jaja oraz różne inne posilne przysmaki dla chorego. Gdyby nie ich hojna pomoc w tych ciężkich chwilach, pani Morel nie mogłaby przetrwać tego okresu bez długów, które doprowadziłyby ich w rezultacie do ostatecznej ruiny.



Mijały tygodnie. Niemal wbrew wszelkim nadziejom, stan zdrowia Morela zaczął się poprawiać. Miał silny organizm, skoro więc raz znalazł się na dobrej drodze, szybko odzyskiwał siły i wracał do zdrowia. Wkrótce zaczął się już krzątać i obijać po domu, na dole. W czasie choroby żona zepsuła go trochę. Chciał teraz, aby było tak nadal. Przykładał często rękę do czoła udając bóle, których nie odczuwał. Ale pani Morel nie dawała się zwodzić. Z początku uśmiechała się tylko sama do siebie. Z czasem zaczęła ostro z niego szydzić.

— Na miłość boską, przestańże raz się mazać.

Uwaga ta ubodła go trochę, ale nie przestał udawać chorego.

— Na twoim miejscu wstydziłabym się być takim mazgajem — rzekła oschle.

Teraz dopiero poczuł się dotknięty i przeklinał po cichu, jak mały chłopiec. Zaczął jednak zachowywać się normalnie i przestał się żalić.

W każdym razie na pewien czas zapanował w domu spokój. Pani Morel była dla męża wyrozumialsza, a on, będąc od niej zależny niemal jak dziecko, czuł się z tym raczej szczęśliwy. Nie zdawał sobie sprawy, że żona jest dla niego bardziej wyrozumiała, bo go mniej kocha. Dotychczas, wbrew wszystkiemu, pozostał jej mężem i jej mężczyzną. Czują więc, mniej lub bardziej świadomie, że wszystko, co ten człowiek czyni dla siebie, czyni jednocześnie i dla niej. Jej byt zależał od niego. Było wiele, bardzo wiele różnych faz w zamieraniu jej miłości do męża, dokonywało się to jednak stale i nieodwołalnie. Po urodzeniu trzeciego dziecka przestała zwracać się ku niemu bezradnie, lecz oddalała się od niego coraz bardziej, jak gdyby unoszona potężną, równomierną falą odpływu. Nie budził już w niej teraz prawie zupełnie fizycznego pożądania. W obecnym oddaleniu od męża, nie złączona z nim blisko, a raczej tylko związana wspólnym bytem, nie troszczyła się już tak bardzo

o to, co on robi, i pozostawiała go niemal zupełnie własnemu losowi.

Było w tym coś z finału, jakiś lęk przed nadchodzącymi latami życia, znamionujący jesień wieku męskiego. Żona odtrącała go od siebie na poły z żalem, ale nieubłaganie. Odchodziła od niego i zwracała się po miłość i życie — ku swoim dzieciom. Odtąd znaczyć miał mniej więcej tyle co odsiana plewa. I godził się z tym milcząco, podobnie jak to czyni większość mężczyzn ustępujących miejsca swym dzieciom.

W okresie rekonwalescencji Morela, kiedy małżonkowie byli już sobie bardzo dalecy, usiłowali oboje choćby częściowo powrócić do zwyczajów przyjętych w pierwszych miesiącach po ślubie. Morel dużo przesiadywał w domu i gdy dzieci położyły się do łóżek, a żona zasiadła do szycia (szyła wszystko w ręku, nawet koszule i ubranka dzieci), czytał jej wiadomości z gazet, powoli wymawiając słowa i mocując się z nimi, jak gracz trafiający krążkami do celu. Pani Morel często popędzała go i kończyła za niego zdanie, nim doczytał do kropki. On zaś przyjmował to pokornie i cierpliwie.

Chwile milczenia między nimi miały swój szczególny charakter. Słychać było cichy, szybki szmer jej igły, głośnie pykanie jego warg, gdy wypuszczał dym z ust, lub syk rozpalonej kraty, kiedy spluwał w głąb palącego się na kominku ognia. Myśli pani Morel biegły do Williama. Wyrósł na dużego chłopca. Był najlepszym uczniem w klasie i nauczyciel nazywał go chlubą szkoły. Wybiegała myślą naprzód i wyobrażała go sobie jako młodego, pełnego życia mężczyznę, który sprawi, że świat znów nabierze dla niej uroku.

Morel, siedząc obok w zupełnym osamotnieniu i nie mając o czym myśleć, czuł się dziwnie nieswojo. Nieświadomie wybiegał w myślach na poszukiwanie żony i przekonywał się, że odeszła. Czuł w sercu jakąś pustkę, niemal próżnię. Nie mógł sobie znaleźć miejsca i stawał się niespokojny. Z trudem znosił taką atmosferę i nerwowość jego udzielała się żonie. Oboje czuli, że ciężko im oddychać, gdy przez pewien czas pozostawali zupełnie sami. Morel szedł wreszcie spać, a pani Morel zasiadała w kuchni, by cieszyć się samotnością, pracować, myśleć — żyć.

W tym czasie urodzić miała znowu dziecko, będące owocem krótkotrwałego okresu pokoju i czułości między coraz bardziej obcymi sobie małżonkami. Gdy niemowlę przyszło na świat, Pawełek miał siedemnaście miesięcy. Był tłuściutkim, bladym, spokojnym dzieckiem, o niebieskich oczach, ciężkich powiekach i brwiach, które nadal marszczyły się w pewien szczególny, delikatny sposób. Ostatnie dziecko było także chłopcem, ładnym i jasnowłosym. Pani Morel była zmartwiona, gdy się przekonała, że znowu oczekuje dziecka, tak ze względów materialnych, jak i dlatego, że nie kochała już męża. Ale nie z powodu samego niemowlęcia.

Dali mu na imię Artur. Był to bardzo ładny chłopczyk, z dużym czubem jasnych loków. Od pierwszej chwili ukochał ojca. Panią Morel cieszyła ta miłość. Gdy rozlegał się tupot ciężkich, górniczych butów Morela, malec wyciągał w górę rączki i gruchał przymilnie. Jeżeli Morel był w dobrym humorze, odpowiadał mu natychmiast swoim ciepłym, głębokim głosem:

— Co tam nowego, moje śliczności?... Tatuś zaraz idzie do ciebie.

Gdy tylko ściągnął górniczą bluzę, pani Morel owiazywała dziecko fartuchem i podawała je ojcu.

— Ładnieś go urządził, nie ma co! — wołała czasem, zabierając dziecko z buzią całą uczemioną po zabawie i pocałunkach ojca. Morel śmiał się wtedy radośnie.

— To prawdziwy mały górnik, ten nasz anioleczek! — wykrzykiwał wesoło.

Były to nowe, jasne chwile w życiu pani Morel, gdy swą miłością do dziecka mogła ogarnąć i jego ojca.

William rósł, stawał się coraz silniejszy i coraz bardziej przedsiębiorczy, a Pawełek, nadal wąty, spokojny i bardzo drobny, jak cień biegał za matką. Bawił się zazwyczaj chętnie i wesoło, ale miewał czasem napady przygnębienia. Matka znajdowała wówczas trzyletniego malca płaczącego w kącie kanapy.

— Co ci się stało? — pytała i nie otrzymywała odpowiedzi.

— Co ci jest? — nalegała ze wzrastającym gniewem.

— Nie wiem — szlochało dziecko.

Starła się przekonać je perswazją lub zabawić, wszystko jednak daremnie. Wyprowadzało ją to z równowagi. Ojciec, jak zawsze niecierpliwy, zrywał się w takich razach z krzesła i krzyczał:

— Jak mi się tu zaraz nie uspokoi, to go będę walił, póki nie przestanie się mazać!

— Nie pozwolę ci na to — odpowiadała chłodno matka. Zabierała dziecko na podwórko i sadowiła je w małym foteliku, mówiąc: — No, a teraz płacz sobie tutaj, biedaku, ile wlezie!

W końcu motylek na liściu rabarbaru albo jakiś inny przedmiot przyciągał uwagę dziecka, a czasem usypiało zmęczone płaczem. Napady takie nie zdarzały się zbyt

często, ale były cierniem w sercu pani Morel. Traktowała też Pawełka zupełnie inaczej niż resztę dzieci.

Pewnego dnia, gdy pani Morel wypatrywała na głównej alejce przekupnia z drożdżami, usłyszała, że ją ktoś woła. Była to mała, chuda pani Anthony w brązowych aksamitach.

— Niech no pani uważa, pani Morel. Mam pani coś do powiedzenia o pani Williamie.

— Och, doprawdy? — odparła pani Morel. — I cóż to takiego?

— Taki chłopak, co łapie młodszego i drze mu ubranie na strzępy — krzyczała pani Anthony — wart, żeby mu dać dobrą nauczkę.

— Pani Alfred ma tyle samo lat, co mój William — zauważyła pani Morel.

— Może być, ale to go nie upoważnia do zdzierania memu chłopcu kołnierzyków z karku.

— Ale ja — rzekła pani Morel — nie mam zwyczaju bić moich dzieci, a nawet gdybym miała to zrobić, wolałabym przedtem wysłuchać tego, co powie druga strona.

— Wyszłoby im to tylko na zdrowie, gdyby dostały dobre lanie — odparła pani Anthony — a co się tyczy zdzierania dziecku czystego kołnierzyka z szyi, w dodatku namyślnie...

— Jestem pewna, że nie zrobił tego umyślnie — powiedziała pani Morel.

— A więc to ja kłamię, tak? — krzyczała pani Anthony.

Pani Morel odeszła zamykając za sobą furtkę. Ręka, w której trzymała dzbanek z drożdżami, drżała.

— Już ja powiem, co trzeba, pani mężowi — krzyczała za nią pani Anthony.

W porze obiadowej, gdy William skończył już jeść i zamierzał wybiec na dwór (miał wtedy jedenaście lat), matka spytała go:

— Dlaczego podarłeś kołnierz Alfredowi Anthony'emu?

— Kiedy mu podarłem kołnierz?

— Nie wiem kiedy, ale jego matka mówi, że to zrobiłeś.

— Ach, to było wczoraj... a kołnierz już i tak miał podarty...

— Ale rozdarłeś go jeszcze bardziej.

— Bo widzisz, mamu, to było tak... miałem takiego zbijaka, co to zbił już siedemnaście innych, a na to przychodzi Alfred Anthony i mówi:

Adam i Ewa, i szczyp mnie.

Poszli do rzeki kąpać się.

Adam i Ewa wnet utonęli,

Powiedz, kto cało wyszedł z kąpieli?

A ja mu na to: „Wiadomo, szczyp cię” i uszczypnąłem go. A ten wpada we wściekłość, porywa mi mojego zbijaka i ucieka. To ja za nim i kiedy go już miałem przytrzymać, uchylił się... no i właśnie wtedy trząśł ten jego kołnierz... ale odebrałem mu mojego zbijaka...

Wyciągnął z kieszeni stary, poczerniały kasztan, uwiązany na sznurku. Ten zasłużony zbijak „zbił”, to znaczy trafił i roztrącił siedemnaście innych zbijaków, zawieszonych na takich samych sznurkach. Chłopiec był więc dumny ze swego zasłużonego

weterana.

— Wszystko to bardzo pięknie — powiedziała pani Morel — ale dobrze wiesz, że nie miałeś prawa rozrywać mu kołnierza.

— Tak, mamó! — przyznał chłopak. — Wcale nie chciałem mu go porwać... Ale to był stary kołnierz i w dodatku już podarty..

— Na przyszłość — powiedziała matka — radzę ci być ostrożniejszym. Wcale by mi się nie podobało, gdybyś ty wracał do domu z podartym kołnierzem.

— To nieważne, mamó. Naprawdę nie chciałem tego zrobić.

Chłopiec wyglądał zmartwiony burą, która mu się dostała.

— No, dobrze... ale pamiętaj, żebyś uważał.

William umknął, szczęśliwy, że go rozgrzeszono. A pani Morel, która nie lubiła za-targów z sąsiadkami, postanowiła, że wytłumaczy wszystko pani Anthony i sprawa na tym się skończy.

Ale Morel wrócił tego wieczoru z kopalni w bardzo złym humorze. Stał w kuchni i rozglądał się ponuro wokoło, nic nie mówiąc przez parę minut. Wreszcie spytał:

— Gdzie jest William?

— Czego chcesz od niego? — zapytała pani Morel, od razu zgadując, o co mu cho-dzi.

— Dowie się, jak go złapię — powiedział Morel z trzaskiem rzucając manierkę na komodę.

— Pewno pani Anthony upolowała cię na drodze i naopowiadała ci o tym kołnierzu swojego Alfredka — powiedziała pani Morel zjadliwie.

— Nie twoja rzecz, kto mnie chwycił na drodze — odparł Morel. — Ale jak ja go złapię, to mu kości porachuję.

— To bardzo niewesołe — powiedziała pani Morel — że gotów jesteś trzymać stro-nę pierwszej lepszej jędzy ze złośliwym ozorem, która opowiada ci jakieś bajdy i skarży na twoje dzieci.

— Już ja go nauczę! — upierał się Morel. — Wszystko mi jedno, o czyjego chłopa-ka tu chodzi. Nie będzie latał i darł, i niszczył ubrania na innych, jak mu co strzeli do głowy.

— Darł i niszczył ubrania na innych — przedrzeźniała go pani Morel. — Gonił Al-freda, który mu porwał jego zbijaka, i przypadkiem chwycił go za kołnierz, bo tamten się uchylił i wykręcał... jak tylko taki Anthony potrafi się wykręcać.

— Już ja wiem swoje! — krzyknął Morel z groźbą w głosie.

— Wiesz, oczywiście, zanim jeszcze ci się powie — odcięła się żona.

— Nie twój interes — wrzasnął Morel. — Wiem, co do mnie należy.

— Bardzo w to wątpię — powiedziała pani Morel — jeśli wziąć pod uwagę, że pierwsza lepsza pyskata baba potrafi cię namówić, żebyś bił własne dzieci.

— Już ja wiem — powtórzył Morel.

I nie odezwał się więcej, tylko siedział podsycając złość w sobie. Nagle wpadł Wil-liam wołając:

— Czy mogę dostać podwieczorek, mamó?

— Możesz dostać jeszcze coś więcej! — wrzasnął Morel.

— Przestań krzyczeć — rzekła pani Morel. — I nie rób z siebie pośmiewiska.

— Już ja z niego zrobię pośmiewisko, niech się tylko do niego zabiorę — krzyczał Morel podrywając się z krzesła i mierząc syna wściekłym spojrzeniem.

William był dużym chłopcem jak na swoje lata, ale ogromnie wrażliwym, zbladł więc bardzo i patrzył na ojca z niemym przerażeniem.

— Zabieraj się stąd! — rozkazała synowi pani Morel.

William nie drgnął i stał jak zahipnotyzowany. Nagle Morel zacisnął pięści i przykucnął.

— Ja mu pokażę, jak się ma stąd zabierać! — wrzeszczał oszalały ze złości.

— Co? — krzyknęła pani Morel dysząc ciężko. — Nie wolno ci go bić tylko dlatego, że ci nagadała głupstw... Nie wolno, słyszysz?

— Nie wolno mi? — wrzeszczał Morel. — Nie wolno mi?

i mierząc chłopca ponurym spojrzeniem, rzucił się naprzód. Pani Morel wpadła pomiędzy nich z wzniesioną w górę pięścią.

— Ani mi się waż! — krzyczała.

— Co takiego? — ryknął Morel w pierwszym momencie zaskoczenia. — Co takiego?

Pani Morel odwróciła się do syna.

— Uciekaj z domu! — rozkazała dygocząc ze złości.

Chłopiec, jak gdyby zahipnotyzowany przez nią, odwrócił się nagle i wypadł z domu. Morel rzucił się do drzwi, ale było już za późno. Zawrócił, blady z wściekłości pod powłoką węglowego pyłu.

Ale teraz żona jego była już w ostatecznej furii.

— Tylko mi się waż! — przemówiła wysokim, pełnym głosem. — Tylko mi się waż tknąć tego dzieciaka. Będiesz tego żałował do końca życia!

Zląkł się jej. Trzęsąc się ze złości usiadł z powrotem na krześle.

Kiedy dzieci były już dość duże, by można je było same zostawiać w domu, pani Morel zapisała się do Koła Kobiet. Była to niewielka organizacja kobieca, zawiązana przy miejscowej spółdzielni handlowej. Zebrania odbywały się w poniedziałki wieczorem, w dużej sali nad sklepem kolonialnym kooperatywy w Bestwood. Kobiety miały omawiać korzyści wypływające z kooperacji oraz inne zagadnienia socjalne. Czasem pani Morel odczytywała głośno jakiś artykuł. Dzieci, przyzwyczajone widzieć matkę zajętą wyłącznie gospodarstwem, patrzyły teraz zdumione, jak siedziała pisząc w swój szybki, zdecydowany sposób, zastanawiała się, zaglądała do książek i znów wracała do pisania. Żywiły dla niej w takich chwilach najgłębszy respekt.

Nade wszystko jednak przekładały Koło Kobiet. Po raz pierwszy nie przejawiały tu zazdrości o matkę, po części dlatego, że widziały, jak ją ta praca cieszy, a trochę i dlatego, że często dostawał się im jakiś poczęstunek. Koło Kobiet nazywane było przez niektórych wrogo usposobionych mężów, uważających, że żony ich stają się zbyt niezależne — „kuźnią plotek”. I po części mieli rację. Koło bowiem dawało swoim członkiniom możliwość obiektywnego spojrzenia na własny dom i warunki życia oraz pomagało im wykrywać źródło błędów. Górnicy spostrzegli się, że ich żony zaczynają mieć własny sąd o wielu sprawach, co było raczej kłopotliwe. Pani Morel przynosiła w każdy poniedziałkowy wieczór różne wiadomości i dzieci pragnęły, by William był wtedy w domu, opowiadała mu bowiem zawsze o wszystkim.

Gdy chłopak skończył trzynaście lat, matka wystarała mu się o pracę w biurze kooperatywy. William był zdolny i sumienny. Miał nieregularne rysy twarzy i dumne, niebieskie, zdobywcze oczy.

— Koniecznie chcesz, żeby przez całe życie wycierał spodnie na stołku, co, matka? — mówił Morel. — Tyle mu z tego przyjdzie, że sobie dziury w portkach na tyłku wysiedzi i nic nie zarobi. Ile ma dostać na początek?

— To nie ma znaczenia, ile dostanie na początku — odparła pani Morel.

— Ładnie mi nie ma znaczenia! Daj go mnie, niech idzie ze mną do kopalni, a bez zachodu z miejsca zarobi dziesięć szylingów tygodniowo. Ale ty wolisz, żeby sobie odciski na tyłku wysiedziały, niżby miał zarobić dziesięć szylingów ze mną w kopalni... Tak to jest.

— On nie pójdzie do kopalni — rzekła pani Morel. — I nie ma co dłużej o tym mówić.

— Dla mnie to kopalnia jest w sam raz, ale nie dla niego, co?

— Że twoja matka ciebie posłała do kopalni, jak miałaś dwanaście lat, to jeszcze nie dowód, żebym ja to samo zrobiła z moim synem.

— Ładne mi dwanaście lat? Dużo wcześniej!

— Obojętne, kiedy to było — rzekła pani Morel.

Była bardzo dumna ze swojego syna. William chodził do wieczorowej szkoły, uczył się stenografii i mając szesnaście lat był prawie najlepszym stenotypistą i buchalterem w całym miasteczku. Tylko jeden urzędnik przewyższał go na tym polu.

Wszystko, co robią mężczyźni (oczywiście w dobrym znaczeniu), robił również i William. Biegał szybko jak wiatr. Mając dwanaście lat zdobył pierwszą nagrodę w biegach. Był to szklany kałamarz w kształcie kowadła. Kałamarz stał dumnie na komodzie, sprawiając żywą przyjemność pani Morel. Chłopiec stanął do zawodów tylko dla niej. Wpadł do domu zadyszany, ze swoim kowadłem w ręku. — Patrz, mammo! — zawołał od progu. Był to pierwszy prawdziwy hołd, jaki jej w życiu złożono. Przyjęła go z godnością królowej.

— Jaki piękny! — wykrzyknęła.

William dorastając zaczął wykazywać coraz większą ambicję. Wszystkie zarobione pieniądze oddawał matce. Jeśli zarobił czternaście szylingów tygodniowo, zwracała mu dwa, a ponieważ nie pił, czuł się niezmiernie bogaty. Obracał się w kołach zamożnych młodych mieszczan w Bestwood. Najwyższym dostojnikiem miasteczka był pastor. Po nim następował dyrektor banku, potem lekarze, potem kupcy i wreszcie liczne zastępy górników. William zaczął przyjaźnić się z synami aptekarza, nauczycieli i kupców. Grywał w bilard w klubie mechaników. Chodził również na tańce, chociaż matka była temu przeciwna. Korzystał w pełni z wszystkich rozrywek, jakie ofiarowywało mu Bestwood, poczynając od sześciopensowych potańcówek na Church Street, a kończąc na sportach i bilardzie.

Pawełek musiał wysłuchiwać olśniewających opisów najróżniejszych młodych dam, pięknych jak kwiaty, które niby ścięte paki królowały zazwyczaj w sercu Williama nie dłużej jak dwa tygodnie.

Czasem jakaś piękność zjawiała się przed domem, w pościgu za swym zaginionym wielbicielem. Pani Morel, widząc obcą dziewczynę na progu, natychmiast wietrzyła

niebezpieczeństwo.

— Czy pan Morel jest w domu? — pytała panienka przymilnie.

— Tak jest, mąż już wrócił — odpowiadała pani Morel.

— Och!... Ale mnie chodzi... chodzi mi o młodego pana Morel —jąkała się panienka.

— O którego, proszę mi powiedzieć? Bo jest ich kilku.

Wówczas, rumieniąc się i jąkając przez dłuższą chwilę, młoda piękność wyznawała:

— Ja... ja poznałam pana Morel w... w Ripley.

— Och! Pewnie na tańcach?

— Tak.

— Nie popieram znajomości, jakie mój syn zawiera na zabawach tanecznych. I nie ma go w domu.

William był zły na matkę, że tak szorstko odprawiła jego znajomą. Był beztroskim, ciekawym świata młodzieńcem, czasem nadąsanym, chodzącym dużymi, stanowczymi krokami, z czapką często zawadiacko zsuniętą na tył głowy.

Tego dnia wszedł zachmurzony. Zdjął czapkę i rzucił ją na kanapę. Ujął dłonią silnie zarysowaną szczękę i spojrzał posepnie na matkę. Była drobna

i miała włosy gładko szesane z czoła. Promieniował z niej spokój płynący z poczucia własnego autorytetu, a zarazem jakieś rzadko spotykane ciepło. Zauważyła, że syn jest poirytowany, i zaniepokoiła się skrycie.

— Czy zachodziła tu po mnie wczoraj jakaś pani, mamó? — spytał.

— Nie widziałam żadnej pani. Była tu jakaś dziewczyna.

— Czemu mi o tym nie powiedziałaś?

— Wyszło mi to po prostu z głowy.

Przez chwilę złościł się w milczeniu.

— Przystojna dziewczyna... wyglądała jak dama?

— Nie przyglądałam się jej.

— Z dużymi, ciemnymi oczami?

— Powiedziałam już, że się jej nie przyglądałam. I powiedz, mój chłopcze, tym swoim dziewczynom, żeby nie przychodziły do twojej matki pytać o ciebie, kiedy się za tobą uganiają. Powiedz im to... tym swoim bezwstydnym pannicom, z którymi zaznajamiasz się na tańcach.

— Jestem pewien, że to porządna dziewczyna.

— A ja jestem pewna, że nie.

Na tym skończyła się ich sprzeczka. Z powodu tańców między matką i synem toczyła się ostra walka. Osiągnęła ona swój punkt kulminacyjny, gdy William oświadczył, że wybiera się do Hucknall Torkard — miejsca cieszącego się bardzo złą opinią — na bal kostiumowy. William miał się przebrać za szkockiego górala. Mógł wypożyczyć strój, który kiedyś nosił jeden z jego kolegów i który leżał na nim doskonale. Góralski ubiór został więc przysłany do domu. Pani Morel odebrała go chłodno i nie chciała rozpakować pakunku.

— Czy to mój strój przyszedł? — zawołał William.

— Przyszła dla ciebie paczka. Leży we frontowym pokoju.

William rzucił się tam i przeciął sznurek.

— Czy wyobrażasz sobie swego syna w tym stroju?! — wykrzyknął zachwycony, pokazując go matce.

— Wiesz doskonale, że wcale nie pragnę wyobrażać sobie ciebie w tym przebraniu.

W dniu balu, gdy William wrócił wieczorem do domu, żeby się przebrać, pani Morel włożyła płaszcz i czepek.

— Czy nie poczekaś chwilę, żeby mnie zobaczyć, mamó? — prosił William.

— Nie. Nie chcę cię w tym stroju oglądać — odparła.

Była blada i usta miała mocno zaciśnięte. Bała się, że syn zejdzie na tę samą drogę, co jego ojciec. William zawahał się przez chwilę i jakiś nieokreślony niepokój ścisnął mu serce. Ale oczy jego spoczęły na góralskiej czapeczce z wstążkami. Podniósł ją w górę radośnie, zapominając o matce. Pani Morel wyszła.

Kiedy William miał dziewiętnaście lat, porzucił nagle pracę w biurze kooperatywy i wziął posadę w Nottingham. Na nowym miejscu dostał trzydzieści szylingów tygodniowo, zamiast poprzednich osiemnastu. Była to niewątpliwie duża podwyżka. Matka i ojciec pękali z dumy. Wszyscy chwalili Williama. Wydawało się, że będzie się szybko wybijał w życiu. Pani Morel miała nadzieję, że dopomoże jej w wychowaniu młodszych synów. Ania uczyła się, by zostać w przyszłości nauczycielką. Pawełek, również bardzo zdolny, robił duże postępy w nauce i pobierał lekcje francuskiego i niemieckiego u swego chrzestnego ojca — pastora, który w dalszym ciągu był oddanym przyjacielem pani Morel. Artur, rozpieszczony i bardzo ładny chłopak, był w szkole powszechnej, ale mówiło się o staraniach, jakie trzeba będzie poczynić, aby uzyskać dla niego stypendium gimnazjalne w Nottingham.

William pozostał przez rok na swojej nowej posiadzi. Uczył się dużo i bardzo spoważniał. Wydawało się jednak, że coś go dręczy. W dalszym ciągu chodził na tańce i brał udział w wycieczkach nad rzekę. Nie pił zupełnie. Wszystkie dzieci państwa Morel były fanatycznymi abstynentami. William wracał do domu późnym wieczorem i zasiadał do dalszej nauki. Matka błagała go, żeby więcej dbał o siebie i nie poświęcał się tylu rzeczom jednocześnie.

— Tańcz, jeśli chcesz, synku. Ale nie myśl, że możesz pracować w biurze, bawić się i na dodatek do tego wszystkiego jeszcze się uczyć. To niemożliwe. To przekracza ludzkie siły. Rób albo jedno, albo drugie... Baw się albo się ucz łaciny. Ale nie próbuj robić obu tych rzeczy naraz.

Wkrótce potem William dostał posadę w Londynie, z pensją stu dwudziestu funtów rocznie. Wydawało się to bajeczną sumą. Matka sama nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy smucić.

— Chcą, żebym się zjawił na Lime Street za tydzień od tego poniedziałku, mamó — wołał z błyszczącymi radością oczami, czytając otrzymany list. Pani Morel miała wrażenie, że zamiera w niej serce. Czytał dalej: — „I prosimy nas zawiadomić do środy, czy przyjmie pan naszą propozycję. Z poważaniem...” Chcą mnie zaangażować, mamó, dają mi sto dwadzieścia funtów rocznie i nawet nie każą mi się przedtem pokazać. Czy nie mówiłem ci, że potrafię to zrobić? Pomyśl tylko... będę w Londynie! I będę mógł dawać ci dwadzieścia funtów rocznie, mamó. Będziemy się wszyscy tarzali w pieniądzech.

— Tak, synku — odparła smutno.



Nawet mu na myśl nie przyszło, że matkę może bardziej smucić jego odejście z domu, niż radować ów wielki sukces. I istotnie, im mniej pozostawało dni do jego odjazdu, tym bardziej ścisnęło się w niej serce i tym większa ogarniała ją rozpacz. Kochała go tak bardzo! A co więcej, tyle w nim pokładała nadziei. Był niemal całą treścią jej życia. Wszystko, co dla niego robiła, sprawiało jej przyjemność. Lubiła parzyć mu herbatę i prasować jego kołnierzyki, z których był taki dumny. Radowało ją to, że chwali się swymi kołnierzykami. W Bottoms nie było pralni. Wodziła więc wytrwale swoim żelazkiem po kołnierzykach syna i wygładzała je, aż nabierały połysku od samego ciężaru jej ramienia. Teraz nie będzie mogła już tego robić. Odchodził od niej. Czowała się tak, jak gdyby opuszczał także jej serce. Zdawało jej się, że nic po sobie nie zostawi. To właśnie bolało ją i smuciło najbardziej, że odchodząc zabiera siebie całego — bez reszty.

Na kilka dni przed wyjazdem William (miał wtedy dwadzieścia lat) zabrał się do palenia swoich miłosnych listów. Cały ich stos piętrzył się na kuchennym kredensie. Z niektórych odczytywał matce pewne urywki. Pani Morel zmusiła się i kilka z nich przeczytała sama. Ale większość była zbyt pospolita.

W pożegnalny sobotni rano William rzekł: — Chodź no tu, Pawle Apostole, przebrniemy przez moje listy i będziesz mógł wziąć sobie z nich ptaszki  
i kwiatki.

Pani Morel wykonała wszystkie swe sobotnie prace w piątek, gdyż William miał ostatni dzień wolny. Upiekła mu na drogę placek ryżowy, który bardzo lubił. William nawet się nie domyślał, jak bardzo była nieszczęśliwa.

Wziął do ręki pierwszy z brzegu list. Był biadolili, ozdobiony czerwonymi  
i zielonymi ostami. William powąchał zapisaną kartkę.

— Śliczny zapach! Powąchaj.

Podsunał arkusik Pawełkowi pod nos.

— Hm! — chrząknął Paweł wciągając mocno zapach. — Jak to się nazywa? Powąchaj, mamó.

Matka pochyliła swój mały, delikatnie zarysowany nos nad kartką papieru.

— Nie mam ochoty wachać tych głupstw — powiedziała odsuwając list od siebie.  
— Ojciec tej panny — rzekł William — jest bogaty jak Krezus. Ma domów bez liku. Ona nazywa mnie Lafayette, bo umiem po francusku. „Widzisz więc, że ci przebaczyłam”... Patrzcie ją, ona mnie przebacza... „Rozmawiałam, dziś rano o tobie z matką i będzie jej bardzo miło, jeśli przyjdiesz do nas na podwieczorek w niedzielę, musi jednak jeszcze uzyskać zgodę ojca. Mam szczerą nadzieję, że się zgodzi. Dam ci znać, jak to obleciało. Jeśli jednak ty...”

— Dam ci znać co? — przerwała pani Morel.

— Jak to obleciało... no tak!

— Obleciało! — powtórzyła pani Morel ironicznie. — A ja myślałam, że ona jest tak dobrze wychowana.

William poczuł się trochę nieswojo i pozostawił panienkę własnym losom, wręczając Pawłkowi rozek papieru z wymalowanymi ostami. Powrócił do odczytywania urywków z dalszych listów, z których jedne bawiły, inne zaś martwiły jego matkę budząc w niej niepokój o syna.

— Synku drogi — mówiła. — One są bardzo sprytnie. Wiedzą dobrze, że wystarczy schlebiać twojej próżności, a będziesz do nich lgnął jak pies, którego drapią za uszami,

— Jeśli by nawet tak było, to i tak nie mogą mnie drapać wiecznie — odparł. — A jak skończą, to biegnę sobie, gdzie mi się podoba.

— Aż pewnego pięknego dnia przekonasz się, że masz pętlę na szyi, z której nie będziesz mógł się wyplątać — przepowiedziała.

— Oho, to im się ze mną nie uda! Potrafię dać sobie radę z każdą z nich, mam. Niech nie próbują się przechwalać.

— To ty się przechwalasz — spokojnie odrzekła matka.

Wkrótce z całej paczki pachnących listów pozostał tylko stos czarnych i poskręconych kartek, nie licząc zdobyczy Pawła — trzydziestu czy czterdziestu ozdobnych narożników z pięknie wymalowanymi jaskółkami, niezapominajkami oraz pędami bluszczu.

William zaś pojechał do Londynu, by zapoczątkować nową kolekcję.

## DZIECIŃSTWO PAWŁA

Pawełek odziedziczył wzrost i budowę po matce. Był drobny i delikatny. Jego jasne włosy zrudziały, a gdy dorósł, stały się ciemnobrązowe. Oczy miał szare. Był bladym, spokojnym dzieckiem o oczach, które zdawały się nasłuchiwać, i wydatnej, nieco opadającej dolnej wardze.

Wyglądał trochę za poważnie na swoje lata. Brał żywo do serca wszystko, co odczuwali inni, przede wszystkim zaś jego matka. Gdy się martwiła, rozumiał ją i nie mógł zaznać spokoju. Jego serce zdawało się stale nad nią czuwać.

Z biegiem lat wzmocnił się trochę i zmężniał. Między nim i Williamem była zbyt duża różnica wieku i starszy brat nie chciał przyjmować go za towarzysza zabaw. Tak więc młodszy chłopiec przylgnął z początku prawie całkowicie do Ani, która była trzpiotem i „roztrzeпаńcem”, jak ją nazywała matka, ale bardzo kochała młodszego braciszka. Biegał więc za nią wszędzie jak cień

i brał udział w jej zabawach. Ania ganiała całymi dniami swobodnie i zapamiętała, razem z innymi małymi urwisami z Bottoms, a za nią biegł zawsze Pawełek, pozostawiając jej główną rolę w zabawach, w których sam bezpośrednio jeszcze nie uczestniczył. Był spokojnym, nie zwracającym na siebie uwagi dzieckiem. Ale siostra go uwielbiała. Zdawał się zawsze gorąco przejmować wszystkim, na czym jej naprawdę zależało.

Ania miała dużą lalkę, z której była bardzo dumna, choć jej zbyt nie lubiła. Pewnego dnia ułożyła ją na kanapie i okryła do snu pokrowcem. Zapomniała o niej zupełnie. Właśnie w tym czasie Pawełek musiał ćwiczyć się w skokach z poręczy kanapy. Skoczył z trzaskiem prosto na twarz ukrytej lalki. Ania porwała się z miejsca, wydała głośny okrzyk rozpaczony i usiadła z powrotem, szlochając żałośnie. Pawełek zamarł w miejscu, bez ruchu.

— Skąd mogłem wiedzieć, że tam leży lalka, mamó. I ty nigdy byś się tego nie domyśliła — powtarzał w kółko. Póki Ania szlochała z żalu nad lalką, Pawełek siedział bezradny z rozpaczony. W końcu jej łzy się wyczerpały. Przebaczyła bratu widząc, jaki jest nieszczęśliwy. Ale w parę dni potem zadziwił ją i przeraził swoim pomysłem.

— Poświęćmy Arabellę w ofierze — powiedział. — Spalmy ją.

Ania była przerażona, ale i olśniona zarazem. Chciała zobaczyć, co on zrobi. Pawełek wybudował ołtarz z cegieł, wyciągnął trochę wiórów z korpusu nieszczęsnej Arabelli, napchał woskowymi szczątkami jej głowę, dołał kilka kropel stearyny i podpalił wszystko razem. Patrzył z ponurą satysfakcją na krople wosku, wytapiające się z roztrzaskanego czoła Arabelli i skapujące niby pot w płomienie. Dopóki wielka, głupia kukła płonęła, napawał wzrok tym widokiem w pełnym milczeniu. W końcu rozgrzebał żar patykiem, wydobyl z niego osmolone ręce i nogi lalki i potłukł je między dwoma kamieniami.

— Ofiara panny Arabelli skończona — oświadczył. — I cieszę się, że nic z niej nie pozostało.

Wstrząsnęło to Anią do głębi, choć nie była w stanie powiedzieć słowa. Zdawało się, że zniechęcił ją lalkę namiętnie za to, że ją popsuł.

Wszystkie dzieci, a przede wszystkim Paweł, odnosiły się bardzo niechętnie do ojca i trzymały stronę matki. Morel w dalszym ciągu pił i znęcał się nad rodziną. Zdarzały się całe tygodnie, a czasem miesiące, w ciągu których przemieniał życie rodziny w piekło. Paweł nigdy nie mógł zapomnieć pewnego poniedziałkowego wieczoru, gdy wróciwszy z kółka religijnego zastał matkę z zapuchniętym i podsinionym okiem, ojca stojącego na dywaniku przed kominkiem z szeroko rozstawionymi nogami i opuszczoną głową — i Williama, który przed chwilą wrócił z pracy i stał patrząc na ojca płonącymi oczami. Gdy młodsze dzieci weszły do izby, zapadło milczenie, ale nikt ze starszych nie spojrzał w ich stronę.

William miał wargi pobladłe i pięści kurczowo zaciśnięte. Czekał, aż rodzeństwo usiadzie i uciszy się, patrząc niemo na ojca z dziecięcą bezradną wściekłością i nienawiścią. Potem powiedział:

— Ty tchórze, nie ośmieliłbyś się tego zrobić, gdybym był w domu.

Morel był bliski furii. Zatoczył się w stronę syna. William był wyższy, ale Morel miał wyrobione mięśnie i był nieprzytomny z wściekłości.

— Nie ośmieliłbym się? — wrzasnął. — Nie ośmieliłbym się?... Jeszcze trochę tej twojej opieki, ty psi pacholku, a pięści sobie do krwi na tobie poobijam. Pokażę ci zaraz, poczekaj no tylko.

Morel ugiął kolana i wysunął do przodu pięść wstrętym, niemal zwierzęcym ruchem. William stał blady z wściekłości.

— Chcesz spróbować? — powiedział spokojnie i z naciskiem. — Dobrze, ale to będzie ostatni raz, zobaczysz.

Morel podsunął się nieco bliżej, przysiadając bardziej i cofając do tyłu pięść, gotową do uderzenia. William stanął w postawie do walki. W jego niebieskich oczach zamigotał jakiś błysk, niemal tak radosny jak śmiech. Wystarczyłoby jedno słowo, a między tymi dwoma mężczyznami rozpetałaby się zacięta walka. Paweł chciał, aby się to stało. Trójka dzieci siedziała pobladła na kanapie.

— Dostyc tego, słyszycie?! — krzyknęła pani Morel twardo. — Wystarczy już tego, co tutaj było, na jeden wieczór... A ty — rzekła zwracając się do męża — popatrz na swoje dzieci.

— To ty sobie na nie popatrz, przekłeta wiedźmo! — zaklął Morel. — Cóż to ja im niby zrobiłem, chciałbym wiedzieć! Ale są jota w jotę takie same jak ty. Nauczyłaś je swoich sztuczek i sposobików... wyuczyłaś je tego wszystkiego, już ja wiem!

Nie raczyła mu odpowiedzieć. Wszyscy milczeli. Upłynęła dobra chwila, a potem Morel cisnął swoje buty pod stół i poszedł spać.

— Dlaczego mi nie pozwoliłaś dać mu nauczkę? — spytał William, gdy ojciec udał się już na górę. — Poradziłbym mu z łatwością.

— Aż miło słuchać... bić własnego ojca — odparła.

— Ojca! — powtórzył William. — Nazywasz go ojcem!

— A jednak jest nim, mimo wszystko... toteż...

— Szkoda jednak, że mi nie pozwoliłaś. Z łatwością dałbym sobie z nim radę.

— Co ty masz za pomysły! — krzyknęła. — Jeszcze do tego nie doszło!

— Tak uważasz? — powiedział. — Tylko do wielu gorszych rzeczy. Spójrz na siebie. Czemu nie pozwoliłaś mi porachować się z nim za to?

— Bo nie zniósłabym tego i nie wolno ci nawet o tym myśleć, rozumiesz?! — zawołała gwałtownie.

i dzieci poszły spać tej nocy nieszczęśliwie.

Gdy William zaczął dorastać, Morelowie przeprowadzili się z Bottoms do domu położonego na szczycie wzgórza i wychodzącego na dolinę, która rozciągała się przed ich oknami łagodną wypukłością, niby odwrócona koncha muszli lub niewysoki kopic. Przed domem rósł stary, wielki jesion. Zachodni wiatr, dmąc od Derbyshire, z całą siłą uderzał w domy, a potężne drzewo jęczało pod jego naporem. Morel lubił słuchać tych głosów.

— To jak muzyka — mówił. — Kołysze mnie do snu.

Ale Pawełek, Artur i Ania nienawidzili szumu drzewa. Pawełkowi wydawał się on jakimś demonicznym głosem. Przez całą zimę, w pierwszym roku ich pobytu w nowym domu, ojciec prowadził się fatalnie. Dzieci bawiły się na ulicy, na skraju rozległej ciemnej doliny, do ósmej wieczór. Potem szły spać, a matka ich zasiadała do szybia na dole. Rozległa, otwarta przestrzeń przed domem napawała dzieci uczuciem pustki i niepokoju oraz strachem przed nocą. To właśnie szum jesionu oraz dręcząca atmosfera niezgody i waśni, jaka panowała w domu, budziły w dzieciach lęk. Jakże często Pawełek zrywał się w nocy długi czas po zaśnięciu, w jednej chwili wytrzeźwiony ze snu i świadomy dobiegających z dołu niepokojących hałasów. Słyszał grzmiący głos ojca, który wracał do domu pijany, krótkie, ostre odpowiedzi matki, a potem walenie pięścią w stół i ordynarne krzyki ojca, przechodzące stopniowo we wrzask. Nagle cały ten hałas tonął w przejmującym, powikłanym koncercie trzasków

i jęków wielkiego, targanego wiatrem jesionu. Dzieci leżały przejęte, wyczekujące w milczeniu chwili uciszenia się wiatru, aby usłyszeć, co robi ich ojciec. Może znów uderzył matkę? W ciemnościach wisiała groza. Wydawało się, że czai się w nich coś przeraźliwego — jakaś krwawa zbrodnia. Dzieci leżały z sercami ściśniętymi bolesnym niepokojem. Wiatr targał drzewa coraz wścieklej. Wszystkie struny wielkiej harfy jęczały, zawodziły i skowyczały przejmująco. A potem następowała nagła, przerażająca cisza. Cisza wszędzie — za oknami

i tam, na dole. Co się tam działo? Czy była to cisza zbrodni? Co on uczynił?

Dzieci leżały oddychając ciemnością. Aż wreszcie słyszały, jak ojciec zrzuca buty i swoim zwyczajem wchodzi na górę w samych tylko skarpetkach. Nasłuchiwały dalej. W końcu, jeśli wiatr na to pozwolił, dobiegało do ich uszu bębnienie wody z kranu o dno kociołka, który matka napełniała na rano —

i dopiero wówczas mogły zasnąć spokojnie.

Były więc rano wesołe, a także wesołe i bardzo szczęśliwe wieczorem, gdy bawiły się tańcząc wkoło jedynej latarni, świecącej samotnie pośród ciemności. Ale w utajonym zakątku ich serc lagł się niepokój, a oczy przesłaniał mrok, kładąc się cieniem na całym ich życiu.

Pawełek nienawidził ojca. Już jako dziecko wyznawał własną, żarliwą religię

— Spraw, aby przestał pić — modlił się co noc. — Boże, daj, aby mój ojciec umarł — modlił się bardzo często. — Nie dopuść, aby został zabity w kopalni — błagał, jeśli

upłynął już podwieczorek, a ojciec nie wrócił jeszcze z pracy do domu.

W zimowe wieczory, kiedy było zimno i wczesnie robiło się ciemno, pani Morel stawiała na stole mosiężny lichtarz i zapalała łożową świeczkę, aby oszczędzić gazu. Dzieci zjadały chleb z masłem albo z fryturą i gotowe były do zabawy na dworze. Jeśli jednak Morel nie wrócił jeszcze do domu, ociągały się niepewne i niespokojne. Świadomość, że siedzi brudny i pije po długim dniu pracy, że nie wraca do domu, aby się umyć i zjeść, ale tkwi gdzieś pijąc na pusty żołądek, nie dawała pani Morel spokoju. Jej zdenerwowanie udzielało się dzieciom. Nigdy już bowiem teraz nie przeżywała swych trosk samotnie — dzieci cierpiały z nią razem.

Pawełek też wybiegał bawić się z dziećmi. W dole, w wielkim korycie mroku, grupki małych światełek tliły się tam, gdzie były kopalnie. Kilku za- późnionych górników pięło się ciężko pod górę po ciemnej polnej drodze. Wkrótce pojawił się stróż zapalający latarnie. Na drodze nie ukazało się już więcej górników. Ciemności zawarły się nad doliną. Praca została ukończona. Zapadł wieczór.

Pawełek wbiegał zaniepokojony do kuchni. Świeczka paliła się nadal na stole, wielki ogień płonął czerwono. Pani Morel siedziała samotnie. Na kuchennej płycie dymił rondel, nakrycie czekało na stole. Cała izba wypełniona była wyczekiwaniem... wyczekiwaniem na mężczyznę, który w swej brudnej, roboczej odzieży siedział bez obiadu o jakąś milę od domu, oddzielony ścianą ciemności, i upijał się do utraty zmysłów. Pawełek zatrzymywał się w drzwiach.

— Czy tatuś wrócił? — pytał.

— Przecież widzisz, że nie — odpowiadała pani Morel poirytowana bezsensownością pytania.

Chłopiec kręcił się bezradnie w pobliżu matki. Pani Morel wstawiała i odlewała wodę z kartofli.

— Są całe czarne i zupełnie do niczego — mówiła. — Ale co to mnie właściwie obchodzi.

Nie rozmawiali z sobą wiele. Pawełek niemal nienawidził matkę za to, że martwi się, iż ojciec nie wraca prosto z pracy do domu.

— Czemu się tym denerwujesz? — pytał. — Jeśli chce gdzieś chodzić i upijać się, daj mu spokój.

— Daj mu spokój? — wybuchła pani Morel. — Łatwo ci powiedzieć: „Daj mu spokój!”

Wiedziała dobrze, że mężczyzna, który nie wraca z pracy prosto do domu, jest na najlepszej drodze, by siebie i swoją rodzinę doprowadzić do upadku. Dzieci były jeszcze małe i byt ich zależał od żywiciela rodziny. William stanowił dla niej pewną oparcie, widziała w nim bowiem podporę, na której kiedyś, za parę lat, będzie mogła się wreszcie wesprzeć, jeśli Morel zawiedzie. Ale napięta atmosfera izby w owe wieczory oczekiwania była zawsze równie męcząca.

Zegar tykał, odmierzając minuty. O szóstej nakrycie wciąż jeszcze stało na stole, obiad nadal czekał nie tknięty i ten sam nastrój wyczekiwania i niepokoju wypełniał izbę. Chłopiec nie był w stanie znieść tego dłużej. Nie był zdolny uciec na dwór i bawić się. Biegł więc do pani Inger, mieszkającej o dwa domy dalej, aby z nią pogawędzić. Sąsiadka nie miała dzieci. Jej mąż był dobry dla niej, ale pracował w sklepie i

późno wracał do domu. Gdy więc tylko zobaczyła chłopca w drzwiach, wołała:

— Chodź tu, Pawełku.

Siedzieli rozmawiając, aż w pewnej chwili chłopiec zrywał się nagle, mówiąc:

— Muszę pójść i zobaczyć, czy mama nie ma dla mnie czegoś do załatwienia.

Udawał świetny humor i nie zwierzał się swojej przyjaciółce, co go gnębi. Biegł szybko z powrotem.

Morel wracał w tym okresie do domu pijany, wstrętny i ordynarny.

— O ładnej porze wracasz do domu — mówiła pani Morel.

— Co cię to obchodzi, o której wracam do domu! — wrzeszczał.

I wszyscy w domu milczeli, bo niebezpiecznie było mu się narażać. Zjadał obiad łapczywie jak zwierzę i zaledwie go skończył, odpychał naczynie od siebie, aby móc się wyciągnąć z ramionami na stole. Potem zapadał w drzemkę.

Pawełek nienawidził w takich chwilach ojca. Mała, pospolita głowa górnika, z czarnymi włosami lekko przyprószonymi siwizną, spoczywała na obnażonych ramionach, a jego brudna, zaogniona twarz z mięsistym nosem i cienkimi, rzadkimi brwiami leżała na boku w niezdrowym śnie, spowodowanym nadmiarem piwa, zmęczeniem i złością. Jeśli ktoś nagle wszedł do izby lub rozległ się jakiś inny hałas, Morel unosił głowę i wrzeszczał:

— Zaraz po łbie oberwiesz, jak nie przestaniesz mi się tu tłuc! Słyszysz, co mówię?

Te ostatnie słowa, wykrzykiwane ze straszliwą pogroźką i skierowane przeważnie do Ani, doprowadzały rodzinę do szczytu bezsilnej nienawiści i buntu przeciwko niemu.

Był wykluczony z rodzinnego życia. Nikt mu o niczym nie mówił. Dzieci, będąc same z matką, opowiadały jej o wszystkich wydarzeniach dnia, z najdrobniejszymi szczegółami. Nic nie miało dla nich istotnej wagi, póki nie powiedziały o tym matce. Ale gdy tylko ojciec wchodził do domu, wszystko się urywało. Był jak gwóźdź wbity w żywą, szczęśliwą maszynę rodzinnego domu. Za każdym razem w pełni zdawał sobie sprawę z nagłej ciszy, jaka zapadała po jego wejściu, wiedział, że natychmiast ustaje wszelkie życie i że niechętnie go widzą. Ale sprawy zaszły już zbyt daleko, aby mogło się to zmienić.

Wiele dałby za to, żeby dzieci z nim rozmawiały, ale nie były w stanie się przemóc. Czasem pani Morel mówiła im:

— Powinniście powiedzieć o tym ojcu.

Pawełek zdobył pierwszą nagrodę w konkursie dziecięcej gazetki. Wszyscy niezmownie cieszyli się jego sukcesem.

— Stanowczo powinienes powiedzieć o tym ojcu, kiedy wróci do domu — rzekła pani Morel. — Wiesz, jak zawsze się gniewa i narzeka, że mu o niczym nie opowiadacie.

— Dobrze — zgodził się Pawełek. Ale wolałby wyrzec się nagrody, niż mówić o niej ojcu.

— Zdobyłem nagrodę w konkursie, tatusiu — powiedział.

Morel odwrócił się do niego.

— Doprawdy, mój chłopcze? Co to był za konkurs?

— Och, nic specjalnego... o sławnych kobietach.

- A ile wynosi ta nagroda, którą dostałeś?
- To książka
- O, doprawdy?
- O ptakach.
- Ho... ho!

I na tym koniec. Było niemożliwe, aby między ojcem i którymś z członków rodziny nawiązała się jakaś rozmowa. Był im zupełnie obcy. Wyparł się Boga.

Jedynymi momentami, w których włączał się znów w życie swoich bliskich, były chwile, kiedy pracował i czuł się ze swego zajęcia zadowolony. Bywało, że wieczorem łątał buty albo lutował garnek, czy też naprawiał swoją manierkę. Zawsze chciał mieć wtedy wielu pomocników, a i dzieci to lubiły. Łączyła je z nim wówczas ta wspólna praca, przy której stawał się znów sobą.

Był dobrym, niezwykle zręcznym rzemieślnikiem i miał zwyczaj cały czas śpiewać przy robocie, jeśli tylko był w dobrym humorze. Zdarzały się całe okresy, miesiące i niemal lata, w ciągu których był stale rozdrażniony i trudno z nim było wytrzymać. Aż nagle znów stawał się wesoły. Przyjemnie było wtedy patrzeć na niego, jak biegł do zlewu z rozpalonym do czerwoności kawałkiem żelaza.

- Z drogi... z drogi! — wołał.

Kuł potem młotkiem miękki, żarzący się czerwono metal na kowadle, nadając mu pożądaną kształt. Albo siedział, całkowicie pochłonięty swą robotą, i lutował. Dzieci przyglądały się z radością, jak roztopiony metal spływa gwałtownie na koniec kolby do lutowania, podczas gdy izba wypełniała się zapachem spalonej żywicy i gorącej cyny. Morel zaś siedział przez chwilę w pełnym skupienia milczeniu. Łatając buty zawsze śpiewał, zachęcony do tego radosnym stukiem młotka. I był nieomal szczęśliwy, gdy wstawiał wielkie łąty w swych roboczych spodniach, co często sam robił uważając, że są za brudne i ze zbyt twardego materiału, aby mogła je naprawiać żona.

Ale najwięcej radości miały dzieci wtenczas, gdy sporządzał zapalniki. Morel przynosił ze strychu wiązkę długich, mocnych słomek. Wyglądał je ręką, aż każda lśniła niczym złota rurka, i ciął je na sześciocalowe kawałki, zostawiając, o ile to było możliwe, na końcu każdej z nich kolanko. Miał zawsze wspaniale wyostrzony nóż, którym mógł równo odcinać słomki, nie uszkodzając ich. Usypywał potem na środku stołu górkę prochu, tworzącą mały kopczyk czarnych ziarenek na wyszorowanej do białości desce. Przygotowywał i ucinał słomki, Pawełek zaś i Ania napełniali je prochem, a potem zatykali. Pawełek lubił patrzeć, jak czarne ziarenka spływają wzdłuż rowka w jego dłoni do otworu słomki i sypią się wesoło w dół, póki nie napełni się pała łądyżka. Zaklejał wówczas otwór odrobiną mydła, które nabierał końcem paznokcia u wielkiego palca z przygotowanego na spodku kawałka — i zapalnik był gotów.

- Patrz, tatusiu — mówił.

— Dobrze zrobione, synku — chwalił Morel, który w stosunku do swego drugiego syna był szczególnie hojny w pieszczotliwych nazwach. Pawełek wkładał zapalnik do puszek po prochu, przygotowanej na następny ranek, aby Morel mógł zabrać ją do kopalni i użyć do odstrzału, który powinien był rozsadzić ogromny kawał węglowej ściany.

W czasie tej pracy Artur, który nadal bardzo lubił ojca, stał oparty o poręcz krzesła



Morela i prosił:

– Opowiedz nam, jak tam jest na dole w kopalni, tatusiu.

Morel bardzo to lubił.

– No więc, jest tam u nas taki mały konik, którego nazywamy Taffy — zaczynał swą opowieść. — I nie macie pojęcia, co z niego za spryciarz.

Morel opowiadał w ciepły, bezpośredni sposób. Słuchając go widziało się niemal własnymi oczyma różne zabawne sztuki Taffy’ego.

– Taffy to kasztanek — opowiadał dalej — nie bardzo duży. Włazi sobie do stajni dzwoniąc łańcuchem i słyszysz, jak zaczyna kichać.

– Hej tam, Taffy — mówisz do niego wtedy — przyznaj się, czemu tak kichasz? Może chciałbyś pociągnąć niuch tabaki, co? No, jak tam, stary?

– A on kicha znowu. A potem parska i ociera ci się łbem o rękaw, ten stary chytrus.

– No więc, czego chcesz, Taffy? — pytasz go znowu.

– A czego on chce? — nigdy nie wytrzymał Artur.

– Chce powąchać trochę tabaki, króliczku.

Historyjka o Taffym mogła się tak wlec bez końca i wszyscy lubili jej słuchać.

Czasem zaczynało się nowe opowiadanie.

– Pomyśl, co mi się zdarzyło, złotko. Idę nałożyć swoją kurtkę w porze śniadania, a tu coś biegnie mi w górę po ramieniu. Cóż by to jak nie mysz!

– Hej tam, a to co takiego? — krzyczę. I ledwie zdążyłem ją jeszcze złapać za ogon.

– Czy ją potem zabiłeś?

– A jakże, bo to prawdziwe utrapienie z tymi myszami. Aż się u nas roi od nich.

– A co one jedzą?

– Ziarnka zboża, które konie upuszczają z pyska... albo włożą ci do kieszeni, w której trzymasz śniadanie, jeśli do tego dopuścisz... Choćbyś nie wiem gdzie powiesił kurtkę, wszędzie się wkręcą te małe, utrapione myszyska.

Te przyjemne wieczory zdarzały się tylko wtedy, gdy Morel miał jakąś robotę w domu. Kładł się wówczas bardzo wcześnie spać, często nawet przed dziećmi. Nie miał już po co dłużej zatrzymywać się na dole, gdy skończył swoje naprawy i z trudem przesyłabizował nagłówki w gazecie.

Dzieci zaś czuły się w pełni bezpieczne dopiero wtedy, gdy ojciec znalazł się w łóżku. Leżały wówczas i gawędziły półgłosem przez jakiś czas, aż nagle zrywały się na widok światełek przesuwających się niespodzianie po suficie, a rzucanych przez lampy kołyszące się w rękach górników, gdy mijali w ciemnościach ich dom, wędrując na dziewiątą do kopalni, na nocną szychkę. Dzieci przysłuchiwały się głosom mężczyzn i wyobrażały ich sobie, jak zanurzają się w ciemną dolinę. Czasem podbiegały do okna i obserwowały grupkę światełek, jak przesuwają się przez pola, coraz niklejsze, aż wreszcie ginęły w ciemnościach. Jakaż to była rozkosz wskoczyć potem do łóżka i zagrzebać się mocno w ciepłej pościeli!

Pawełek był dzieckiem wątłym i skłonny do bronchitów. Reszta dzieci nigdy nie chorowała. Okoliczność ta była więc jeszcze jednym powodem do okazywania mu przez matkę szczególnych względów. Pewnego dnia wrócił do domu chory. Ale nie była to rodzina, w której robiłoby się w takich razach wielkie ceregiele.

— Co ci jest? — krótko spytała matka.

— Nic — odpowiedział.

Nie jadł jednak obiadu.

— Ponieważ nie zjadłeś obiadu, nie możesz iść do szkoły — powiedziała pani Morel.

— Dlaczego? — zapytał.

— Już ja wiem dlaczego.

Po obiedzie wyciągnął się więc na kanapie, na miękkich kretonowych poduszkach, które wszystkie dzieci tak bardzo lubiły. Zapadł w lekką drzemkę. Pani Morel prasowała. Wsłuchiwała się przy tym w niespokojny szmer dobywający się przy oddechu z jego piersi. Znów ocknęło się w jej sercu dawne, niemal obezwładniające uczucie dla niego. Nie spodziewała się kiedyś, że będzie żył. Ale wbrew temu, jego młode ciało odznaczało się jakąś ogromną, rzadko spotykaną żywotnością. Być może byłoby dla niej pewną ulgą, gdyby umarł w niemowlęctwie. W uczuciu jej do niego zawierała się bowiem zawsze pewna domieszka lęku i niepokoju.

Pawełek drzemiąc, na pół świadomie zdawał sobie sprawę ze stuku żelazka, odstawianego na blaszaną podstawkę, oraz z jego głuchych uderzeń o deskę przy prasowaniu. Ocknąwszy się, otworzył oczy i ujrzał matkę stojącą na dywaniku przed kominkiem, z gorącym żelazkiem zbliżonym do policzka, by wypróbować temperaturę. Jej spokojna twarz, z ustami zaciśniętymi mocno wskutek długich lat cierpień, rozczarowań i wyrzeczeń, z nosem leciutko skrzywionym na jedną stronę i niebieskimi oczami, niezwykle młodymi, bystrymi i pełnymi ciepła, wzbudziła w sercu chłopca falę gorącej miłości. W chwilach takiego spokoju matka wydawała mu się dzielna i pełna życia, ale jednocześnie jak gdyby pozbawiona należnego jej w życiu stanowiska. Chłopca boleśnie raniła świadomość, że życie nie przyniosło matce żadnego zadośćuczynienia. Zdawał sobie sprawę, że nie może jej pomóc, i cierpiał w poczuciu własnej bezsilności, ale zarazem rodził się w jego sercu bunt i stały, cierpliwy protest. Było to najistotniejszym sensem jego dzieciństwa.

Splunęła na żelazko i kropelka śliny odskoczyła z sykiem, a potem potoczyła się w dół po ciemnej, błyszczącej podstawie. Pani Morel przykłękała i zaczęła energicznie wycierać żelazko o gruby płócienny spód dywanika leżącego przed kominkiem. Padał na nią ciepły blask ognia. Pawełek lubił patrzeć, jak kucała przechylając głowę na bok. Jej ruchy były zręczne i szybkie. Obserwowanie jej sprawiało mu żywą przyjemność. Nigdy, w żadnym jej ruchu dzieci nie widziały najmniejszego błędu. W izbie było ciepło i wypełniał ją zapach świeżo prasowanej bielizny. Wkrótce przyszedł pastor i zaczął stłumionym głosem rozmawiać z matką.

Pawełek długo potem leżał w łóżku, dręczony bronchitem. Nie przejmował się tym zbyt. Widocznie tak być musiało, nie było więc sensu bić teraz głową o mur. Bardzo lubił późne wieczory, kiedy po ósmej gaszono światło i mógł patrzeć na płomyki skaczące w ciemnościach po ścianach i po suficie oraz obserwować wielkie, chwiejne cienie miotające się po pokoju, jak gdyby było w nim pełno ludzi prowadzących z sobą w milczeniu zacieklą walkę.

Idąc spać, ojciec zaglądał do pokoju chorego. Był niezwykle czuły, gdy ktoś w domu zachorował. Ale psuł chłopcu nastrój.

- Czy już śpisz, kochanie? — pytał Morel łagodnie.
- Nie. Czy mama przyjdzie?
- Właśnie kończy składać ubrania. Czy ci czegoś potrzeba?
- Nie, niczego. Ale czy już niedługo przyjdzie?
- Już zaraz, króliczku.

Ojciec stał przez parę minut niezdecydowanie na dywaniku przed kominkiem. Czuł, że syn nie pragnie jego towarzystwa. Podszedł wreszcie do schodów i wołał na żonę:

- Dziecko czeka na ciebie. Jak długo jeszcze tam będziesz?
- Póki nie skończę, na miłość boską! Powiedz mu, żeby spał.
- Matka mówi, żebyś już spał — powtarzał ojciec Pawełkowi łagodnie.
- Ale ja chcę, żeby ona przyszła — upierał się chłopiec.
- On mówi, że nie uśnie, póki nie przyjdiesz — wołał Morel z góry schodów.
- Mały głuptas! Już niedługo przyjdę! I przestań krzyczeć na schodach. Są jeszcze inne dzieci w domu.

Morel wracał do syna i pochylał się nad ogniem płonącym na kominku. Ogromnie lubił ogień.

- Matka obiecała, że już niedługo przyjdzie — mówił.

Ociągał się z wyjściem w nieskończoność. Chłopiec zaczynał się denerwować. Obecność ojca zwiększała jego rozdrażnienie wywołane chorobą. Wreszcie Morel, który przez dłuższą chwilę stał i patrzył na syna w milczeniu, mówił miękko:

- Dobranoc, kochanie.
- Dobranoc — odpowiadał Pawełek odwracając się z ulgą, że wreszcie zostaje sam.

Pawełek bardzo lubił spać razem z matką. Wbrew temu, co mówią higieniści, sen staje się jeszcze większą przyjemnością, jeżeli dzieli się go z osobą kochaną. Ciepło, poczucie bezpieczeństwa i spokój ducha oraz kojąca bliskość owej drugiej osoby tak mocno splatają się przez sen, że ogarnia on wówczas całkowicie i duszę, i ciało ożywczym wypoczynkiem. Pawełek leżał obok matki i spał, i wracał do zdrowia. Ona zaś zasypiała jak zawsze z trudem i dopiero po pewnym czasie zapadała w głęboki sen, który zdawał się przywracać jej utraconą wiarę w życie.

W czasie rekonwalescencji Pawełek siadywał na łóżku i patrzył na porośnięte zimową sierścią konie, które jadły siano z ustawionych na polu koryt rozsypując je na wydeptanym, żółtym śniegu. Widział wracających gromadnie do domów górników. Ich drobne, czarne figurki wlokły się powoli, małymi grupkami poprzez białe pola. Potem zapadał wieczór i spowijał ziemię ciemnobłękitnym oparem wznoszącym się sponad śniegu.

Podczas rekonwalescencji wszystko było niezwykle. Płatki śniegu, pojawiające się niespodziewanie na szybie, przywierały do niej przez chwilę, niczym jaskółki, a potem znikwały nagle i tylko kropla wody ściekała wolno po szkle. Płatki śniegu wypadały chmurą zza węgła domu jak gołębice. Daleko, poprzez szerokość całej doliny, pełzył niepewnie mały, czarny pociąg wśród ogromnej, białej pustki.

W tym czasie Morelom bardzo źle się powodziło i dzieci były uszczęśliwione, jeśli mogły w jakiś sposób pomóc rodzicom. W lecie Ania, Pawełek i Artur wybiegali

wczesnym rankiem na grzyby i w mokrej trawie, spośród której podrywały się skowronki, upatrywali białych, zabawnie nagich kapelusików, przykucniętych ukradkiem w zielonej gęstwinie. Jeśli udało im się zebrać pół funta, wracali uszczęśliwieni. Była to potrójna radość: znajdowania, otrzymywania czegoś bezpośrednio z rąk natury i dopomagania rodzicom.

Ale najważniejszym plonem, poza kłosami zbieranymi na zupeć, były jeżyny. Pani Morel musiała co sobota kupować owoce na świąteczny budyń, a poza tym bardzo lubiła jeżyny. Pawełek i Artur przeszukiwali więc wytrwale zarośla, zagajniki i stare kamieniołomy, póki można było jeszcze znaleźć choć trochę jeżyn, i wyruszali na takie wyprawy regularnie, w końcu każdego tygodnia. W tej okolicy, zapełnionej górniczymi osiedlami, jeżyny stały się niemal rzadkością. Ale Pawełek zapuszczał się w dalekie okolice. Lubił przyrodę i chętnie błądził wśród zarośli i krzewów. Równocześnie zaś nie potrafiłby wrócić do domu, do matki, z pustymi rękami. Wiedział, że byłoby to dla niej rozczarowanie, wołałby więc raczej umrzeć, aniżeli do tego dopuścić.

— Na litość boską! — wołała matka, gdy chłopcy wracali do domu późno, śmiertelnie zmęczeni i głodni. — Gdzieście byli tak długo?

— Bo widzisz, mam — mówił Pawełek — nigdzie nie mogliśmy znaleźć jeżyn, więc poszliśmy aż do Misk Hills. Ale popatrz no tylko!

Zaglądała do koszyka.

— Jakie ładne! — wołała.

— I jest ich chyba przeszło dwa funty... prawda? Będzie przeszło dwa funty?

Ważyla koszyk na rękę.

— Tak — mówiła z wahaniem.

Pawełek wydobywał wtedy gałązkę okrytą owocami. Zawsze przynosił jej jedną małą gałązkę, najładniejszą, jaką mógł znaleźć.

— Śliczna — mówiła owym szczególnym tonem, jakiego używają kobiety przyjmując miłosne podarki.

Chłopiec wędrował całymi dniami i robił wiele mił, ale wołał to, niż uznać się za pokonanego i wrócić do domu z pustymi rękami. Matka zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy, dopóki był jeszcze mały. Była matką wciąż wyczekującą dnia, gdy jej dzieci dorosną. I William absorbował ją najbardziej.

Gdy jednak William zaczął jeździć do Nottingham i mało przebywał w domu, matka obrała sobie Pawła za towarzysza. Był on podświadomie zazdrosny o brata, tak samo zresztą jak William o niego. Pomimo to byli dobrymi przyjaciółmi.

Zażyła przyjaźń pani Morel z drugim z kolei synem była subtelniejsza i bardziej skomplikowana, choć może nie tak gorąca jak ze starszym. Zgodnie z utartym zwyczajem Pawełek w każde piątkowe popołudnie chodził odbierać zarobki Morela. Górnicy z wszystkich pięciu kopalń otrzymywali wypłatę w piątki — ale nie indywidualnie. Wszystkie pieniądze zarobione przez załogi poszczególnych ganków były przekazywane głównemu sztygarowi jako kontraktorowi, który z kolei rozdelał je pomiędzy górników w oberży albo u siebie w domu. W piątkowe popołudnia lekcje w szkołach kończyły się wcześniej, aby dzieci zdążyły odebrać pieniądze. Wszystkie z kolei dzieci Mordów, a więc William, potem Ania, a w końcu Pawełek, chodziły po pieniądze w każdy piątek po południu, póki same nie poszły do pracy. Pawełek wyruszał

tam zazwyczaj o pół do czwartej, z małym perkalowym woreczkiem w kieszeni. Na wszystkich ścieżkach widać było zdążające do kantoru kobiety, dziewczęta, dzieci oraz mężczyzn.

Biura były porządne i mieściły się w nowym budynku z czerwonej cegły, podobnym niemal do jakiejś rezydencji i stojącym na gruntach przedsiębiorstwa, w samym końcu Greenhill Lane. Poczekalnia urządzona była w długim, pustym hallu, wyłożonym niebieską cegłą, z rzędem ławek biegnących wzdłuż ścian. Tu siedzieli oczekujący wypłaty górnicy, w swoich brudnych roboczych ubraniach. Wyjeżdżali w te dni wcześniej na powierzchnię. Kobiety i dzieci krążyły zazwyczaj powoli po wysypianych czerwonym żwirem ścieżkach. Pawełek za każdym razem dokładnie oglądał brzegi trawników oraz długi, porośnięty trawą nasyp, rosły tam bowiem maleńkie bratki i niezapominajki. Wokoło rozlegał się gwar licznych głosów. Kobiety przychodziły wystrojone w odświeżone kapelusze, dziewczęta rozmawiały głośno między sobą. Tu i ówdzie przebiegał jakiś mały piesek. Zielone zarośla otaczały cały ów teren milczącym kręgiem.

Po jakimś czasie z wnętrza budynku rozległo się wołanie: — Spinney Park... Spinney Park! — Wszyscy ludzie ze Spinney Park kierowali się do środka. Gdy nadeszła kolej wypłaty dla Bretty, Pawełek wchodził wraz z innymi. Kasa mieściła się w małym pokoiku przedzielonym przez środek kontuarem, za którym stali dwaj mężczyźni — pan Braithwaite i jego pomocnik, pan Winterbottom. Pan Braithwaite był wielkim mężczyzną, o surowym Patriarchalnym wyglądzie, z białą, nieco rzadką brodą. Szyję miał zazwyczaj okrytą ogromną jedwabną chustą, choć z wyjątkiem upalnych dni lata płonął tu nieodmiennie na kominku wielki ogień. Okna były szczelnie zamknięte. Czasami w zimie rozgrzane do niemożliwości powietrze paliło w gardle ludzi przybywających wprost z dworu. Pan Winterbottom był mały, gruby i zupełnie łysy. Robił uwagi, które nie były zbyt dowcipne, podczas gdy jego zwierzchnik udzielał górnikom patriarchalnych napomnień.

Pokój wypełniali górnicy w roboczej odzieży, mężczyźni, którzy byli już w domu i przebrali się, kobiety oraz kilkoro dzieci. Kręcił się też zazwyczaj przynajmniej jeden pies. Pawełek był drobny i mały, często więc zdarzało się, że stał na końcu, schowany za nogami górników i przyparty tak blisko kominka, że żar nieomal przypiekał mu skórę. Znał na pamięć porządek nazwisk na liście, która ułożona była podług numerów załóg w szybie.

— Holliday! — rozległ się donośny głos pana Braithwaite'a. Pani Holliday występowała milcząco naprzód, odbierała pieniądze i usuwała się na bok.

— Bower... Jan Bower!

Nieduży chłopiec zbliżał się do kontuaru. Pan Braithwaite, wielki i gniewny, mierzył go posępnym wzrokiem spoza binokli.

— Jan Bower! — powtarzał.

— To ja — mówił chłopiec.

— Jak to?! Miałeś przecież zawsze zupełnie inny nos niż dzisiaj — ciągnął okrągły pan Winterbottom, zaglądając w dół poprzez kontuar. Ludzie chichotali przypominając sobie Jana Bowera, seniora.

— Czemu twój ojciec nie przyszedł? — pytał pan Braithwaite doniosłym i majesta-

tycznym głosem.

— Źle się czuje — pisał chłopiec.

— Powinieneś mu powiedzieć, żeby mniej pił — orzekł dostojny kasjer.

— I nie martw się, jeśli za te rady oberwiesz kopniaka — odzywał się jakiś drwiący głos z tyłu. Wszyscy się śmieli. Wielki i dostojny kasjer patrzył w dół na następny arkusz.

— Fred Pilkington! — wywoływał dalej obojętnym głosem.

Pan Braithwaite był poważnym współnikiem w firmie.

Pawełek wiedział, że jego kolej wypada o dwa nazwiska dalej i serce zaczynało łomotać mu w piersiach. Był przyparty do kominka. Spodnie parzyły go. Nie miał jednak nadziei, aby udało mu się przepchnąć przez zwarty mur mężczyzn.

— Walter Morel! — rozlegał się donośny głos.

— Jestem — pisał Pawełek, mały i bezradny.

— Morel... Walter Morel! — powtarzał kasjer trzymając wielki oraz wskazujący palec na liście i gotów zaraz przesunąć je dalej.

Pawełek cierpiał straszliwe tortury, ale nie mógł czy też nie śmiało głośno zawołać. Plecy mężczyzn zasłaniały go zupełnie. Wówczas pan Winterbottom przybywał mu na ratunek.

— On jest w pokoju. No, gdzie się podziewa ten chłopak Morela?

Gruby, czerwony, łysy człowieczek rozglądał się wkoło przenikliwymi oczami. Pokazywał w stronę kominka. Górnicy oglądali się, rozsuwali na boki i odsłaniali chłopca.

— Otóż on! — mówił pan Winterbottom.

Pawełek podchodził do kontuaru.

— Siedemnaście funtów, jedenaście szylingów i pięć pensów.

— Czemu nie odpowiadasz, jak się ciebie wywołuje? — mówił pan Braithwaite. Rzucił z brzękiem woreczek z pięcioma funtami w srebro na kontuar obok listy wypłat, a potem delikatnym, zgrabnym ruchem chwycił piramidkę z dziesięciu jednofuntowych złotych monet i kładł ją obok srebra. Złoto ześlizgiwało się lśniącem strumyczkiem na papier. Gdy kasjer skończył odliczać pieniądze, chłopiec popychał je po kontuarze do pana Winterbottoma, który odciągał należność za czynsz i za narzędzia. Tu znów rozpoczynały się cierpienia Pawełka.

— Szesnaście i sześć — mówił pan Winterbottom.

Chłopiec był zbyt podniecony, aby mógł liczyć. Wypychał naprzód kilkanaście sztuk srebra oraz pół suwerena.

— Czy wiesz, ile mi tu dałeś? — pytał pan Winterbottom.

Chłopiec patrzył na niego, ale się nie odzywał. Nie miał najmniejszego pojęcia, ile dał pieniędzy.

— Czy nie masz języka w ustach?

Pawełek zagryzał wargi i popychał naprzód jeszcze trochę srebra.

— Czy nie uczą was liczyć w szkole? — pytał znów pan Winterbottom.

— Niczego, prócz algebry i francuskiego — odzywał się jakiś górnik.

— A poza tym arogancji i bezczelności — dodawał inny.

Pawełek narażał następnego w kolejce górnika na czekanie. Drżącymi palcami zgarniał monety do woreczka i wyślizgiwał się z pokoju. Cierpiał przy tego rodzaju okazjach wręcz potępieńcze męki.

Ulga, jaką odczuwał, gdy wy dostał się na dwór i szedł Mansfield Road, była bezbrzeżna. Na murze otaczającym park zielenił się mech. Złociste i białe kury dziobały spokojnie pod jabłoniami rosnącymi w przydrożnym sadzie. Górnicy wracali do domów długą, wijącą się strużką. Chłopiec wędrował nieśmiało przy samym murze. Znał wielu górników, ale nie mógł ich rozpoznać pod warstwą brudu. I było to dla niego nową męczarnią.

Kiedy wszedł do „Nowej Gospody” w Bretty, ojca jeszcze nie było. Właścicielka, pani Wharmby, znała Pawełka. Jego babka, matka Morela, była jej przyjaciółką.

— Twój ojciec jeszcze nie przyszedł — powiedziała owym szczególnym, trochę uszczypliwym i trochę protekcyjnym tonem kobiety mającej do czynienia niemal wyłącznie z samymi mężczyznami. — Usiądź sobie i zaczekaj.

Pawełek usiadł na brzeżku ławki w barze. Kilku górników „rozliczało się” dzieląc pieniądze w kącie sali. Co chwila wchodzili nowi. Wszyscy patrzyli na chłopca, ale nie odzywali się do niego. W końcu wszedł Morel. Wbiegł z werwą, wyróżniając się swym wyglądem pomimo warstwy brudu.

— Halo! — zawołał do syna z pewną czułością w głosie. — Długo na mnie czekasz? Może się czegoś napijesz albo coś zjesz?

Pawełek, jak cała reszta rodzeństwa, wychowany był na zaciętego wroga alkoholu, a pijąc lemoniadę na oczach tyłu mężczyzn cierpiałby bardziej, niż gdyby mu wyrrywano ząb.

Gospodyni zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, z pewną dozą litości, a zarazem niechęci dla jego niezłomnych, purytańskich zasad. Pawełek wracał do domu po-

sępny. Otwierał drzwi w milczeniu. Piątek był dniem pieczenia chleba i zawsze czekała na niego ciepła bułeczka. Matka położyła ją przed nim na stole.

Obrócił się ku niej nagle z wściekłością. Jego oczy pałały.

— Nie pójdę więcej do kantoru — powiedział.

— Czemuż to? Co się stało? — spytała matka, zdumiona. Jego nagle napady pasji bawiły ją raczej.

— Nie pójdę tam więcej — oświadczył zdecydowanie.

— Och, jak sobie chcesz, powiedz tylko o tym ojcu.

Żuł swoją bułkę, jak gdyby z wstrętem.

— Nie pójdę... nie pójdę już więcej po pieniądze.

— No, to któreś z dzieci Carlinów będzie mogło chodzić. Z pewnością ucieszą się z sześciu pensów, które im się dostaną.

Tych sześć pensów było jedynym dochodem Pawełka. Wydawał je prawie całkowicie na prezenty urodzinowe, ale pomimo wszystko był to prawdziwy dochód i Pawełek cenił go sobie bardzo. A jednak...

— Mogą je sobie brać — powiedział. — Nie zależy mi na nich.

— To doskonale — rzekła matka. — Ale nie musisz chyba wyładowywać swoich złych humorów na mnie.

— Są wstrętni i ordynarni. Tak właśnie, wstrętni i ordynarni. Nie pójdę już tam więcej. Pan Braithwaite nie wymawia „r”, a pan Winterbottom mówi „one byli”.

— I dlatego nie chcesz tam więcej chodzić? — uśmiechnęła się pani Morel.

Chłopiec siedział przez chwilę w milczeniu, z pobladłą twarzą, pociemniałymi oczami i pełen wściekłości. Matka spokojnie wykonywała dalej swoje gospodarskie czynności nie zwracając na niego uwagi.

— Zawsze tak staną przede mną, że się nie mogę przedostać.

— No dobrze, synku, ale wystarczyłoby przecież ich przeprosić — odparła.

— A poza tym Alfred Winterbottom mówi: „Czego was tam uczą w szkole”.

— Sam się w niej wiele nie nauczył — odparła pani Morel — to fakt... ani zachowania, ani rozumu. A ten swój spryt to już ma wrodzony.

Tak więc ułagodziła po swojemu jego wzburzenie. Przesadna wrażliwość syna przejmowała ją głębokim niepokojem. Czasem zaś pasja ziejąca z jego oczu budziła w niej odzew i wyzwalała się drzemiący w jej duszy bunt, ku jej własnemu zdumieniu.

— Jaka były wypłata? — spytała.

— Siedemnaście funtów, jedenaście szylingów i pięć pensów, a potrąceń szesnaście i pół szylinga. — odparł chłopiec. — To był dobry tydzień. I tylko pięć szylingów potrąceń na ojca.

Wiedziała więc dokładnie, ile zarobił mąż, i mogła kazać mu się wyliczać, gdy dawał jej za mało pieniędzy. Morel utrzymywał zawsze w tajemnicy wysokość tygodniowej wypłaty.

Piątek był dniem pieczenia i dniem targowym. Ustalone już było raz na zawsze, że Pawełek zostaje wtedy w domu i dogląda pieczenia. Lubił siedzieć spokojnie i rysować lub czytać. Miał duże zamiłowanie do rysunków. Ania wybiegała zawsze w piątki na jakieś spotkania, Artur, jak co dzień, bawił się z dziećmi, Pawełek był więc zupełnie sam w domu.



Pani Morel bardzo lubiła robić zakupy na targu. Na niedużym placu targowym, położonym na szczycie wzgórza, na skrzyżowaniu czterech dróg — z Nottingham, Derby, Ilkeston i Mansfield — rozstawionych było wiele straganów. Plac targowy pełen był kobiet, a ulice zapchane mężczyznami. Aż dziwne było widzieć tylu mężczyzn na ulicach. Pani Morel kłóciła się ze swoją stałą dostawczynią koronek, współczuła sprzedawcy owoców (biednemu poczciwinie, mającemu żonę ladaco), żartowała z handlarzem ryb, znanym huncwotem, ale bardzo zabawnym człowiekiem, osadzała na właściwym miejscu przekupnia sprzedającego linoleum, była oziębła dla kramarza handlującego różną galanterią i dopiero na samym końcu szła do sprzedawcy porcelany, gdzie wabił ją albo raczej wabiły bławatki wymalowane na małym fajansowym półmiesieczku. Teraz stawała się chłodna i uprzejma.

— Ciekawa jestem, ile kosztuje ten mały półmiesieczek?

— Siedem pensów, jak dla pani.

— Dziękuję uprzejmie.

Odstawiła półmiesieczek z powrotem i odeszła. Ale nie mogła opuścić targu bez niego. Zawróciła więc do miejsca, gdzie garnuszki i naczynia obojętnie spoczywały na ziemi, i ukradkiem spojrzała na półmiesieczek udając, że patrzy w zupełnie przeciwnym kierunku.

Była drobną, ruchliwą panią, w czepku i czarnym kostiumie. Jej czepki miał już rok, co bardzo martwiło Anię.

— Mamo — błagała dziewczynka. — Nie noś już tego straszdyła.

— A cóż mam innego nosić? — cierpko odpowiadała matka. — Uważam zresztą, że czepki jest jeszcze zupełnie dobry.

Czepki miał pióra, kiedy był nowy, potem kwiaty, a teraz zdobiła go już tylko czarna koroneczka i trochę dżetu.

— Wygląda mocno zniszczony — mówił Pawełek. — Czy nie mogłabyś jakoś odświeżyć tego stracha na wróble?

— Obawiam się, że oberwiesz po głowie za bezczelność — odpowiadała pani Morel i dumnie związywała wstążki czarnego czepka pod brodą.

Raz jeszcze spojrzała na półmiesieczek. Zarówno ona, jak jej wróg — sprzedawca garnków — mieli oboje to samo kłopotliwe uczucie, jak gdyby coś zawisło pomiędzy nimi. Nagle handlarz zawołał:

— Chce go pani za pięć pensów?

Zaskoczyło ją to. Coś jej zaciążyło na sercu, ale schyliła się i wzięła półmiesieczek do ręki.

— Kupię go — rzekła.

— Zrobi mi pani tę łaskę, co? — krzyczał przekupień. — Powinna pani popluć na niego, jak się to robi na szczęście, kiedy coś z nieba spadnie.

Pani Morel chłodno wręczyła mu pięć pensów.

— Wcale nie uważam, żeby mi go pan darowywał — powiedziała. — Nie sprzedawałby go pan za pięć pensów, gdyby pan nie chciał.

— W tej piekielnej, zapadłej dziurze człowiek się czuje szczęśliwy, jeśli mu się uda coś wypchnąć, choćby za darmo — mruknął.

— Tak. Bywają w życiu złe i dobre okresy — rzekła pani Morel.

Ale wybaczyła przekupniowi. Stali się przyjaciółmi. Nie krępowała się już teraz oglądać i brać do ręki jego towaru. Była więc zadowolona.

Pawełek czekał na nią w domu. Jej powrót zawsze cieszył go niezmiernie. Była wtedy zazwyczaj we wspaniałym nastroju — triumfująca, zmęczona, obładowana paczkami i podniesiona na duchu. Usłyszał jej szybkie, lekkie kroki przy drzwiach i podniósł głowę znad swojej pracy.

— Och! — westchnęła uśmiechając się do niego od progu.

— Ależ jesteś obładowana! Słowo daję! — zawołał odkładając pędzel.

— Ano tak! — westchnęła chwytając ustami powietrze. — Ta bezwstydną Ania obiecywała, że po mnie wyjdzie. Co za ciężar!

Upuściła siatkę i pakunki na stół.

— Czy chleb już gotów? — spytała podchodząc do pieca.

— Ostatni bochenek dochodzi — odparł. — Możesz nie zaglądać. Nie zapomniałem o nim.

— Ach, ten handlarz garnkami! — mówiła zamykając drzwiczki pieca. — Pamiętasz, jak ci opowiadałam, co to za niegodziwiec? Wiesz, doszłam do wniosku, że wcale nie jest taki zły.

— Tak myślisz?

Chłopiec okazywał jej żywe zainteresowanie. Zdjęła swój czarny czepek.

— Tak, wydaje mi się, że trudno mu jest coś zarobić... Cóż, wszyscy się dziś na to skarżą... dlatego jest taki nieznośny.

— Ja bym też był taki — powiedział Pawełek.

— Ha, trudno mu się dziwić! I sprzedał mi... Jak myślisz, za ile mi to sprzedał?

Wydobyła półmiseczek ze strzepów gazety i stała przyglądając mu się z radością.

— Pokaż! — zawołał Pawełek.

Stali obok siebie, wpatrując się z zachwytem w jej nowy nabytek.

— Strasznie lubię bławatki na porcelanie — powiedział Pawełek.

— O tak... pomyślałam sobie przy tym o imbryczku, który od ciebie do\* stałam.

— Szyling i trzy pensy — ocenił Pawełek.

— Pięć pensów!

— To darmo, mamó!

— Chyba tak. Wiesz, że umknęłam z nim niemal chyłkiem. Ale to i tak była rozrutność z mojej strony i nie mogłabym sobie pozwolić ani na pensa więcej. Nie musiałby mi przecież tego sprzedawać, gdyby naprawdę nie chciał.

— Nie, na pewno nie — potwierdził Pawełek i pocieszali się tak wzajemnie, aby pozbyć się niemiłego wrażenia, że przekupień został przez panią Morel obrabowany.

— Możemy podawać w nim konfitury — powiedział Pawełek.

— Albo krem... albo galaretkę — rzekła matka.

— Albo rzodkiewki i sałatę — zaproponował z kolei.

— Tylko nie zapomnij o chlebie! — przypomniała mu głosem wezbranym radością.

Pawełek zajrzał do pieca i poklepał bochenek od spodu.

— Gotów! — zawołał podając go matce.

Poklepała go także.

— Tak — potwierdziła zabierając się do wypakowywania torby. — Ach, cóż ze mnie za obrzydliwa rozrzutnica! Pewna jestem, że skończę pod płotem.

Podskoczył do niej ochoczo, zaciekawiony, co ją skusiło tym razem. Odwinęła następny arkusz gazety i oczom Pawełka ukazały się flance bratków i purpurowych stokrotek.

— Cztery pensy! — pożaliła się.

— Jak tanio! — zawołał.

— Tak, ale właśnie w tym tygodniu nie stać mnie było na to jeszcze bardziej niż kiedykolwiek.

— Są śliczne! — wykrzyknął.

— Prawda? — zawołała pozwalając się ponieść radości. — Spójrz, Pawełku, na ten żółty kwiatusek... jest zupełnie podobny do twarzy jakiegoś staruszka!

— Tak! — przyznał Pawełek schylając się, aby powąchać kwiatki. — I jak ślicznie pachnie! Ale jest trochę pobrudzony.

Pobiegł do zlewu, przyniósł ściereczkę i ostrożnie umył bratek.

— Spójrz na niego teraz, kiedy jest mokry! — powiedział.

— Tak! — zawołała uszczęśliwiona.

Dzieci z Scargill Street czuły się wybrańcami losu. W tym końcu ulicy, gdzie mieszkali Morelo wie, było bardzo niewiele dzieci. Mała gromadka była więc szczególnie z sobą zżyta. Dziewczynki i chłopcy bawili się razem. Dziewczynki brały udział w walkach i dzikich zabawach, a chłopcy w tańcach, kółkach i grach dziewczęcych.

Ania, Pawełek i Artur lubili wieczory zimowe, jeśli nie było mokro. Pozostawali w domu, póki wszyscy górnicy nie wrócili z kopalni, nie zapadł zmrok i ulice nie opustoszały. Owiązywali wtenczas szaliki wkoło szyi, gardzili bowiem ciepłymi paltami, jak wszystkie dzieci górników, i wychodzili przed dom. Ulica była bardzo ciemna, a u jej końca otwierała się otchłań czarnej nocy, wśród której rozbłyskiwała w dole mała grupka świateł, w miejscu gdzie znajdowała się kopalnia Minton. A daleko, po przeciwnej stronie, lśniła druga — koło Selby. Najdalsze nikłe światełka zdawały się wytaczać granice wiecznych ciemności. Dzieci patrzyły z niepokojem w dół ulicy, w kierunku jedynej latarni, stojącej u wylotu polnej drogi. Jeśli mała, oświetlona przestrzeń była pusta, obaj chłopcy czuli się boleśnie zawiedzeni. Stali pod latarnią, z rękami w kieszeniach, odwróceny plecami do wieczornych ciemności, z rozpaczą obserwując ciemne domy. Nagle ukazywał się wystający spod krótkiego płaszczyka fartuszek i długonoga dziewczynka przybiegała w podskokach.

— Gdzie jest Billy Pillins, wasza Ania i Eddie Dakin?

— Nie wiem.

Ale nie było to już takie ważne teraz, gdy było ich troje. Zaczynali zabawę wkoło latarni, póki nie nadeszli inni. Wtedy dopiero rozpoczynała się nieokiełznana, szalona zabawa.

Stała tam tylko ta jedna samotna latarnia. Poza nią rozciągał się wielki krąg ciemności, jak gdyby wszystek urok zebrał się w tym właśnie miejscu. Z przodu otwierała się inna, szeroka i ciemna droga, prowadząca na szczyt wzgórza. Od czasu do czasu

ktoś się z niej wynurzał i wchodził na wiodącą w dół, pomiędzy polami, ścieżkę. Po kilku krokach pochłaniała go ciemność. Dzieci bawiły się zapamiętałe.

Łączyła je wielka wzajemna zażyłość, wypływająca z ich niemal całkowitego odosobnienia. Jeśli wybuchała kłótnia, cała zabawa psuła się natychmiast. Artur był bardzo obraźliwy, a Billy Pillins (w rzeczywistości Philips) jeszcze od niego gorszy. Pawełek z konieczności trzymał stronę Artura, a za nim ujmowała się Alicja, podczas gdy Billy Pillins miał zawsze za obrońców Emmie Limb i Eddie Dakina. Cała szóstka zaczynała z sobą walczyć, oślepiona furią nienawiści, i rozbiegała się w panice do domów. Pawełek nigdy nie mógł zapomnieć, jak po jednej z tych dzikich, morderczych walk ujrzał wielki czerwony księżyc, zawieszony ponad pustkowiem drogi wiodącej na szczyt wzniesienia i tkwiący spokojnie w górze niby jakiś olbrzymi ptak. Przypomniały mu się słowa z Biblii o księżycu, który przemieni się w krew. I następnego dnia co prędzej pogodził się z Billym Pillinsem. Dzikie, zapamiętałe gry znowu zaczęły się toczyć wkoło słupa latarni otoczonej kręgiem głębokiej ciemności. Pani Morel, wchodząc do frontowego pokoju, słyszała dzieci śpiewające w oddali:

**Mam trzewiczki safianowe,  
Pończoszki jedwabne,  
Co paluszek to pierścionek,  
Kąpiel z mleka w wannie.**

Wydawali się tak upojeni zabawą, gdy słuchało się ich głosów dobiegających z głębi nocy, że sprawiali wrażenie jakichś leśnych istot, porwanych własnym śpiewem. Wzruszało to matkę do głębi. I rozumiała ich, gdy wracali

o ósmej zarumienieni, z błyszczącymi oczyma, rozmawiając i gestykulując z ożywieniem.

Cała rodzina kochała dom na Scargill Street z powodu ciągnącej się przed nim otwartej przestrzeni i rozległego, swobodnego widoku, jaki roztaczał się z jego okien. W letnie wieczory kobiety stawały przy płocie od strony pola plotkując i zwrócone twarzą na zachód patrzyły, jak słoneczna kula szybko zsuwa się w dół, aż w końcu wzgórze Derbyshire odcinały się miękką, falistą linią na tle dalekiej purpury, niby czarny grzebień salamandry.

W sezonie letnim kopalnie nigdy nie pracowały na pełną dniówkę, szczególnie te, z których wydobywano miękkiego węgla. Pani Dakin, najbliższa sąsiadka pani Morel, idąc do płotu, by wytrzepać dywanik, bacznie przyglądała się mężczyznom powoli wspinającym się pod górę. Od pierwszego rzutu oka rozpoznawała w nich górników. A wówczas ta wysoka, chuda kobieta, o twarzy pooranej zmarszczkami, przystawała, czekając na szczycie wzgórza, niby wcielenie grozy, na nieszczęsnych górników, powoli wlokących się pod górę.

Była zaledwie jedenasta. Na dalekich, porośniętych lasem wzgórzach zwiśla jeszcze lekka mgła, która jak cieniutki czarny welon przesłania zazwyczaj widnokrąg w letnie, pogodne poranki. Pierwszy górnik doszedł już do przełazu. Pchnięta energicznie furtka szczęknęła głośno.

— No i co, znowu stanęliście? — krzyczała pani Dakin.

- Ano tak, paniusiu.
- Nie szkoda to wam było chodzić na darmo? — dorzucała zgryźliwie.
- Racja — zgadzał się górnik.
- Ale za to do domu to leciecie niby na skrzydłach — ciągnęła pani Dakin.

Górnicy minął ją i poszedł dalej. Pani Dakin, przechodząc przez swoje podwórko, wypatrzyła panią Morel, która właśnie wysypywała popiół do dołu na śmiecie.

- Wydaje mi się, że Minton stoi, pani Morel! — zawołała.
- Życie może do reszty człowiekowi obrzydnąć! — wybuchnęła z pasją pani Morel.
- Ano właśnie! Widziałam przed chwilą Jana Hutchby'ego.
- Mogli sobie z powodzeniem zaoszczędzić zelówek — powiedziała pani Morel. I obie kobiety rozeszły się do swoich domów, zniechęcone.

Górnicy, z twarzami ledwie uczernionymi, wracali gromadnie do domów. Morel nienawidził takich powrotów. Ogromnie lubił słoneczne ranki. Ale poszedł do kopalni po to, żeby pracować, i fakt, że został odesłany z powrotem do domu, wyprowadzał go z równowagi.

- Na miłość boską! O tej godzinie?! — wykrzyknęła żona, gdy stanął we drzwiach.
- A cóż ja na to mogę poradzić? — wrzasnął.
- Nie starczy mi obiadu dla wszystkich.
- No to mogę zjeść drugie śniadanie, które wziąłem z sobą dziś rano! — wykrzyknął z patosem. Uważał, że go w domu lekceważą, i czuł się dotknięty.

Po powrocie ze szkoły dzieci zdziwiły się widząc ojca jedzącego podczas obiadu grube pajdy wyschniętego i zabrudzonego chleba z masłem, które powędrowały z nim do kopalni i wróciły nie tknięte.

- Dlaczego tatuś je teraz drugie śniadanie? — spytał Artur.
- Bobym nie miał w domu ani chwili spokoju, gdybym nie zjadł tego chleba — parsknął złością Morel.
- Po co ty głupstwa gadasz?! — rozgniewała się żona.
- A może ma się zmarnować, co? — zawołał Morel. — Ja nie jestem taki wybredny, jak wy wszyscy z waszymi grymasami. Jak mi w kopalni upadnie choćby mała okruszynka w ten cały kurz i brud, zawsze ją podnoszę i zjadam.
- Zjadłyby ją myszy — powiedział Pawełek. — I nie zmarnowałyby się.
- Chleb z masłem to przysmak nie dla myszy — odparł Morel. — Brudny czy nie brudny, wolę go zjeść, niż pozwolić, żeby najmniejsza odrobina miała się zmarnować.
- Mógłbyś spokojnie zostawić ją myszom i potracić sobie z pierwszego kufla — rzekła pani Morel.
- Och, doprawdy? — zawołał.

Było im bardzo ciężko tej jesieni. William niedawno wyjechał do Londynu i matce bardzo brakowało jego pieniężnej pomocy. Przysłał raz i drugi po dziesięć szylingów, ale z początku miał wiele niezbędnych wydatków. Listy od niego przychodziły regularnie co tydzień. Pisał dużo do matki, opowiadał jej obszernie wszystko o swym życiu, o zawartych przyjaźniach, o znajomości z pewnym Francuzem, z którym wzajemnie udzielali sobie lekcji języka, oraz o wrażeniu, jakie wywiera na nim Londyn. Matka czuła znów, że jej syn należy do niej tak samo jak wówczas, gdy był jeszcze w do-

mu. Pisywała do niego co tydzień proste, wesołe listy. Przez cały dzień, sprząając w domu, myślała o nim. Był w Londynie. Wierzyła, że się wybije. Uważała go niemal za swego rycerza, który w jej barwach wyruszył na bój.

Miał przyjechać do nich na pięć dni na Boże Narodzenie. Nigdy jeszcze nie było w domu takich przygotowań. Pawełek i Artur spenetrowali całą okolicę w poszukiwaniu zielonych gałązek ostrokrzewu i jemioly. Ania zrobiła śliczne staromodne papierowe łańcuchy. Zapasy świąteczne przygotowane zostały z niesłychaną wręcz rozrzutnością. Pani Morel upiekła wielki, wspaniały tort. Potem, czując się jak królowa, pokazywała Pawełkowi, w jaki sposób łuszczy się migdały. Z przejęciem obierał ze skórki podłużne ziarna, licząc je starannie, aby być pewnym, iż żadne nie przepadło. Słyszał, że białka ubija się lepiej w chłodnym miejscu. Stał więc w spiżarni, gdzie panował niemal mróz, ubijając je wytrwale, aż wreszcie wypadł podniecony do matki, gdy piana zeszywniała i zrobiła się biała jak śnieg.

— Popatrz, mamó, czy nie wspaniała?

Przykleił sobie odrobinę piany do czubka nosa, a potem zdmuchnął ją w powietrze.

— Tylko mi nic nie marnuj — powiedziała matka.

Wszyscy byli podnieceni do nieprzytomności. William miał przyjechać w sam dzień Wilii. Pani Morel dokonywała przeglądu swej spiżarni. Był tam placek ze śliwkami, placek ryżowy, ciastka z konfiturami, ciasteczka cytrynowe i dwa ogromne półmiski pasztecików. Kończyła piec ciastka hiszpańskie

o placek z serem. Cały dom był przystrojony. Wiązanka tradycyjnej jemioly, pod którą wolno się całować, okryta perełkami własnych owoców i ozdobiona barwnymi świecidełkami, chwiała się lekko nad głową pani Morel lukrującej małe ciasteczka w kuchni. Na kominku huczał wielki ogień. W powietrzu unosił się zapach pieczonego ciasta. Miał przyjechać o siódmej, ale mógł się spóźnić. Cała trójka dzieci poszła go spotkać na stacji. Pani Morel została sama w domu. Ale za kwadrans siódma wrócił Morel. Czekali w milczeniu. Walter usiadł w swoim fotelu, całkowicie wytracony z równowagi oczekiwaniem, a jego żona spokojnie kończyła pieczenie. Niezwykła staranność, z jaką oddawała się swej pracy, była jedyną oznaką jej wielkiego wzruszenia. Zegar tykał miarowo.

— O której, mówiłaś, ma przyjechać? — zapytał Morel po raz piąty.

— Pociąg przychodzi o pół do siódmej — odparła z naciskiem.

— No, to powinien tu być o pół do ósmej.

— Eh, co ty tam mówisz. Na pewno pociąg na tej linii spóźni się o dobrych kilka godzin — powiedziała obojętnie. Ale żywiła w duchu nadzieję, że oczekując go później sprawi, iż przybędzie wcześniej. Morel wyszedł na dwór zobaczyć, czy William nie nadchodzi. Po chwili wrócił.

— Zmiłuj się, człowieku — powiedziała pani Morel. — Kręcisz się jak kwoka, która nie chce usiedzieć na grzędzie.

— Może byś lepiej przygotowała mu coś do zjedzenia, żeby nie czekał, jak przyjdzie — powiedział ojciec.

— Jest jeszcze moc czasu — odparła.

— Wcale mi się nie wydaje, żeby go było tak dużo — zawyrokował, poprawiając się gniewnie na krześle. Pani Morel zaczęła uprzątać stół. Imbryk śpiewał na ogniu. Ro-

dzice czekali bez końca.

W tym samym czasie trójka dzieci stała na peronie w Sethley Bridge, przez które przebiegała główna linia kolejowa, o dwie mile od domu. Czekały tak już godzinę. Przyszedł jeden pociąg, ale Williama w nim nie było. W oddali, wzdłuż szyn, migotały czerwone i zielone światełka. Było bardzo ciemno i bardzo zimno.

— Zapytaj go, czy przyszedł już pociąg z Londynu — powiedział Pawełek do Ani, kiedy zobaczyli kolejarza w wysokiej czapce.

— Daj spokój — odparła Ania. — Siedź cicho... bo gotów nas stąd wyrzucić.

Ale Pawełek umierał z chęci, aby ów człowiek dowiedział się, że czekają na kogoś z londyńskiego pociągu — brzmiało to tak wspaniale! Był jednak zbyt nieśmiały, by zaczepić kogoś obcego, tym bardziej więc nie odważyłby się zapytać o cokolwiek funkcjonariusza w wysłużonej, wysokiej czapce. Trójka dzieci nie mogła schronić się w poczekalni lękając się, że je stamtąd wyproszą, a także w obawie, że może się wydarzyć coś ważnego w tym czasie, kiedy ich nie będzie na peronie. Czekali więc dalej w ciemności i chłodzie.

— Jest już spóźniony o półtorej godziny — powiedział dramatycznym tonem Artur.

— No i co z tego? — rzekła Ania. — Przecież dziś jest Wilia.

Zamilkli. Pociąg nie nadjeżdżał. Patrzyli w ciemność, szlakiem szyn kolejowych. Tam był Londyn. Wydawał im się nieskończenie odległy. Wyobrażali sobie, że wszystko może się zdarzyć, kiedy ktoś przybywa z Londynu. Byli zanadto zgnębieni, żeby rozmawiać. Zmarznięci, nieszczęśliwi i milczący, tulili się do siebie na peronie.

W końcu, po przeszło dwóch godzinach oczekiwania, ujrzeni światła lokomotywy rozbłyskujące gdzieś daleko w ciemnościach. Na peron wybiegł tragarz. Dzieci odsunęły się w tył, z bijącymi sercami. Długi pociąg zdążający do Manchesteru wjechał na stację. Dwoje drzwiczek otwarło się i z jednych wysiadł William. Rzuciły się pędem do niego. Wręczył im wesoło paczki i od razu zaczął wyjaśniać, że ten wielki pociąg zatrzymał się na tak małej stacyjce, jak Sethley Bridge, specjalnie dla niego. W rozkładzie jazdy przystanek nie był tu przewidziany.

Tymczasem rodzice niepokoiili się coraz bardziej. Stół był nakryty, kotlety usmażone i wszystko czekało gotowe. Pani Morel włożyła czarny fartuszek. Miała na sobie swoją najlepszą suknię. Potem usiadła udając, że czyta. Każda upływająca minuta była dla niej torturą.

— Hm! — chrząknął Morel. — To już półtorej godziny.

— I te dzieci, które cały czas tam czekają — odparła.

— Może pociąg jeszcze nie przyszedł? — rzekł Morel.

— Mówiłam ci już, że w Wilię spóźniają się nieraz o parę godzin.

Byli oboje trochę na siebie rozgniewani, gdyż gnębił ich niepokój. Jesion jęczał za oknami w porywach zimnego wiatru. Ach, ta cała nieskończona dał nocy, dzieląca Londyn od domu! Pani Morel cierpiała głęboko. Cichy szmer maszynierii we wnętrzu zegara drażnił ją. Robiło się coraz później. Było to już nie do wytrzymania.

Wreszcie usłyszeli głosy i szybkie kroki przy wejściu.

— Jest! — zawołał Morel zrywając się z miejsca.

Potem cofnął się i stanął w tyle. Matka podbiegła kilka kroków ku drzwiom. Rozległ się hałas i tupot nóg, a potem pchnięte gwałtownie drzwi otworzyły się na oścież.

Stanął w nich William. Upuścił swą skórzaną walizkę i porwał matkę w ramiona.

— Mamo! — zawołał.

— Synku! — wykrzyknęła.

Przez dwie sekundy, nie dłużej, tuliła go do siebie i całowała. Potem wysunęła się z jego objęć i starając się przybrać zwykły, spokojny ton, powiedziała:

— Jak późno przyjechałeś!

— Prawda? — zawołał zwracając się do ojca. — Jak się masz, tatusiu!

Dwaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

— Jak się masz, synku!

Morel miał wilgotne oczy.

— Myśleliśmy, że już nigdy nie przyjedziesz — powiedział.

— Och, jakżeby nie! — wykrzyknął William.

Po czym odwrócił się do matki.

— Jak świetnie wyglądasz — rzekła z dumą, uśmiechając się.

— No pewnie — zawołał. — Przyjechałem przecież do domu!

Był ładnym chłopcem — wysokim, smukłym i nieustraszenie patrzącym życiu w oczy. Rozejrzał się wokoło. Zobaczył zielone gałązki, tradycyjną wiązaną jemiolę i stojące na tacce ciasteczka koło kominka.

— Och, mamo! Nic się tu nie zmieniło! — zawołał jak gdyby z ulgą.

Przez chwilę wszyscy stali w milczeniu. Nagle William skoczył naprzód, porwał jedno ciastko z kominka i wpakował je sobie całe do ust.

— No i patrzcie! Czy widzieliście kiedy takiego łakomczucha?! — wykrzyknął ojciec.

William przywiózł rodzinie nieskończoną ilość podarków. W domu zapanował nastrój zbytku i bogactwa. Matce przywiózł parasolkę z pozłacaną, smukłą rączką. Zachowała ją aż do śmierci i łatwiej byłoby jej stracić wszystko inne niż ją właśnie. Każdy dostał jakiś wspaniały prezent, a poza tym były jeszcze całe funty nieznanymi słodyczy, jak tureckie rachatlukum, ananas w cukrze i tym podobne przysmaki, których zdaniem dzieci dostarczyć może jedynie tak wspaniałe miasto jak Londyn. Pawełek chwalił się potem tymi słodyczami przed swoimi przyjaciółmi:

— Prawdziwy ananas pokrojony w plasterki i osmażany w cukrze... Mówię wam, pycha!

Wszyscy w domu byli nieprzytomni z radości. Był to ich dom rodzinny i kochali go gorąco, pomimo wszystkich cierpień, jakie przeżyli pod jego dachem. Chodzili na przyjęcia i zabawy. Sąsiedzi odwiedzali ich, by spotkać się z Williamem i zobaczyć, czy bardzo się zmienił w Londynie, ale wszyscy uznali, że „zrobił się z niego dżentelmen i morowy chłop, słowo daję!”

Kiedy wyjechał, dzieci pochowały się po kątach, żeby wypłakać się w samotności. Morel położył się do łóżka, kompletnie złamany, pani Morel zaś czuła się jak po zażyciu jakiegoś odurzającego proszku, który sparaliżował w niej całe czucie. Kochała swego najstarszego syna namiętnie.

William pracował w Londynie, w biurze prawnika, związanego handlowo z dużą firmą armatorską. W środku lata dyrektor zaofiarował mu podróż statkiem po Morzu Śródziemnym, za bardzo niewielką opłatą. Pani Morel pisała: „Jedź, jedź, mój chłop-



cze. Być może nigdy już nie trafi ci się podobna okazja i większą przyjemność będzie mi sprawiała myśl, że krążysz po Morzu Śródziemnym, niż gdybym cię miała u siebie”. William jednak przyjechał na swój dwutygodniowy urlop do domu. Nawet Morze Śródziemne, które było szczytem jego młodzieńczych marzeń o podróżach i wydawało się ubogiemu młodemu człowiekowi najwspanialszym cudem czarownego południa, nie było w stanie odciągnąć go od domu. Nagrodziło to jego matce wiele przeżytych cierpień.

TLR

## PAWELEK WCHODZI W ŻYCIE

Morel był z natury nieostrożny i zupełnie nie zważał na niebezpieczeństwo. Zdarzały mu się więc bezustannie jakieś wypadki. Gdy tylko pani Morel usłyszała turkot pustego wozu węglowego milknący przed ich domem, biegła wyrzeć przez okno salonu, niemal pewna, że ujrzy męża siedzącego nieruchomo na pustym wózku, z twarzą poszarzałą pod warstwą kopalnianego brudu i ciałem skurczonym z bólu, na skutek jakiegoś obrażenia. Jeśli tak było istotnie, biegła szybko na pomoc.

Mniej więcej w rok po wyjeździe Williama do Londynu i zaraz po ukończeniu szkoły przez Pawełka, zanim jeszcze poszedł on do pracy, pani Morel siedziała w pokoju na górze, a jej syn malował na dole, gdy u drzwi rozległo się pukanie. Pawełek niechętnie odłożył pędzel, aby pójść otworzyć. W tej samej chwili matka otworzyła okno na górze i wyjrzała na ulicę.

Na progu stał chłopiec z kopalni, cały usmolony.

— Czy tu mieszka Walter Morel? — zapytał.

— Tak — odparła pani Morel. — O co chodzi?

Ale już zgadła sama.

— Pani mąż miał wypadek — odparł chłopak.

— Skaranie boskie! — wykrzyknęła. — Byłby cud, gdyby mu się co nie stało, chłopcze. A co sobie zrobił tym razem?

— Nie wiem na pewno, ale to chyba coś z nogą. Zabrali go do szpitala.

— Boże, zmiłuj się nade mną! — zawołała. — Ach, mój chłopcze, co to za człowiek! Pięciu minut spokoju z nim nie ma... niech się z miejsca nie ruszę, jeśli to nieprawda! Ledwie mu się trochę wygoił palec, a tu już znowu... Czy widziałeś go?

— Widziałem go na dole. A potem widziałem, jak go wywozili na górę, na wózku. Leżał zemdlony, jak martwy. Ale potem darł się wniebogłose, jak go doktor Faser badał w szopie z lampami... i przeklinał, i odgrażał się wrzeszcząc, że chce, żeby go zawieźli do domu i że nie chce iść do szpitala.

Chłopiec dobrnął do końca i umilkł.

— Oczywiście... chciałby wrócić do domu, żebym ja miała cały ten kłopot na głowie! Dziękuję ci, mój chłopcze! Ach, Boże drogi, jak mi to już obrzydło... Obrzydło i przejadło mi się już to wszystko.

Zeszła na dół. Pawełek odruchowo wrócił znów do malowania.

— Musi z nim być naprawdę źle, skoro zabrali go do szpitala — ciągnęła pani Morel. — Ale cóż to za nieostrożny człowiek! Innym mężczyznom nie zdarzają się wciąż te wszystkie wypadki. O, tak, zupełnie to na niego wygląda, że chciał zwalić na mnie cały ciężar. Ach, mój Boże, i to właśnie teraz, kiedy nareszcie zaczęło nam być trochę lżej. Odłóż to wszystko, nie pora teraz na malowanie! O której będzie pociąg? Już z góry wiem, że będę musiała wlec się do Keston. Muszę tymczasem zostawić sypialny pokój tak jak jest.

— Mogę go za ciebie posprzątać — rzekł Pawełek.

— Nie, nie trzeba. Mam nadzieję, że złapię powrotny pociąg o siódmej. Och, święci pańscy, ileż on potrafi narobić kłopotu i zamieszania. I w dodatku ten okropny bruk w Tinder Hill... Miał rację, jak mówił, że te kocie łby kiedyś go do grobu wpędzą... a teraz roztrzęsie się na nich chyba na kawałki. Nie rozumiem, czemu się nie zdobęda, żeby naprawić... w tym stanie, co jest, od dawna przecież nie można już po nim jeździć, a przecież wożą po nim ambulansem tych wszystkich biedaków. Zdawało się, że postawią tu szpital. Zakupiono przecież grunta, a ręczę wam, moi panowie z dyrekcji, że dość tu będzie wypadków, żeby mu zapewnić stałe powodzenie. Ale nie, muszą ich ciągnąć dziesięć mil tym wołowym ambulansem do Nottingham. To hańba wołająca o pomstę do nieba! Dobrze wiem, jak to będzie! Ciekawa jestem tylko, kto tam jest przy nim. Myślę, że Barker. Biedny człowiek, z pewnością wolałby być raczej w piekle. Będzie się nim pomimo to opiekował, jestem tego pewna. W dodatku nic nie wiadomo, jak długo będzie musiał tkwić w tym szpitalu... a on tego nienawidzi. Ale jeśli to tylko noga, to może nie będzie tak źle.

Mówiąc, cały czas przygotowywała się do drogi. Pośpiesznie ściągnęła bluzkę i pochyliła się nad kotłem, z którego woda wolno przelewała się do podstawionego dzbanka.

— Och, chciałabym, żeby ten kocioł znalazł się na dnie morza! — zawołała szarpiać niecierpliwie rączkę. Miała bardzo ładne, silne ramiona, zdumiewające u tak drobnej kobiety.

Pawełek sprzątnął swoje przybory, postawił imbryk na ogniu i nakrył do stołu.

— Najbliższy pociąg odchodzi dopiero o czwartej dwadzieścia — powiedział. — Masz dość czasu.

— O nie, nic podobnego! — zawołała mrugając i patrząc na niego sponad ręcznika, którym wycierała twarz.

— Właśnie, że tak. Musisz w każdym razie wypić filiżankę herbaty. Może chcesz, żebym z tobą poszedł do Keston?

— Poszedł ze mną do Keston? A to po co, chciałabym wiedzieć? No i muszę teraz pomyśleć, co mam mu zawieźć... Ach, mój Boże! Czystą koszulę... całe szczęście, że jest jedna czysta, ale lepiej będzie ją jeszcze przewietrzyć. Skarpety... nie będą mu potrzebne... i ręcznik, sądzę. No, i chustki do nosa. Co więcej?

— Grzebień, nóż, widelec i łyżkę — rzekł Pawełek. Ojciec nie pierwszy raz był w szpitalu.

— Bóg raczy wiedzieć, w jakim stanie były jego nogi — ciągnęła pani Morel rozczesując długie, ciemne włosy, delikatne jak jedwab i przyprószone już trochę siwizną. — Zawsze bardzo starannie się myje do pasa, ale uważa, że wszystko poniżej już się nie liczy. Ale mam nadzieję, że widzą tam wielu takich.

Pawełek nakrył do stołu. Ukroił matce kilka cieniutkich kawałków chleba i nasmarował je masłem.

— Siadaj i jedz — powiedział stawiając przed jej nakryciem filiżankę herbaty.

— Nie mam czasu zawracać sobie głowy podwieczorkiem! — wykrzyknęła poirytowana.

— Musisz to jednak zjeść. Patrz, wszystko czeka gotowe — nalegał.

Usiadła więc przy stole, wysączyła herbatę i zjadła w milczeniu kawałek chleba. Myślała zupełnie o czym innym.

W parę minut potem wyszła, aby przebyć piechotą dwie i pół mili do stacji w Ke-  
ston. Wszystkie rzeczy dla męża niosła w wypchanej siatce. Pawełek patrzył za nią,  
jak szła pod górę drogą między żywopłotami, ścigając wzrokiem jej drobną, szybko  
zdzążającą figurkę. Smucił się, że znów spadły na nią troski i zmartwienia. Ona zaś,  
idąc tak szybko, pełna niepokoju, czuła za sobą czuwające serce syna i wiedziała, że  
przejmie na swoje barki, ile będzie mógł z jej ciężaru oraz będzie jej prawdziwą pod-  
porą. Będąc w szpitalu, pomyślała: „Przestraszy się chłopak, kiedy mu powiem, jak  
źle jest z ojcem. Lepiej będę ostrożna”. Kiedy zaś znużona wlokła się z powrotem do  
domu, czuła, że syn ulży jej w dźwiganiu nieszczęścia, jakie na nią spadło.

— Czy to coś poważnego? — zapytał Pawełek, gdy weszła do domu.

— Nie jest dobrze — odparła.

— Co się stało?

;

Westchnęła i usiadła, rozwiązując wstążki czepeczka. Pawełek patrzył na  
jej uniesioną w górę twarz i drobne, spracowane ręce rozluźniające węzeł pod bro-  
dą.

— No więc — powiedziała — może nie jest to bardzo niebezpieczne, ale pielęgniar-  
ka mówi, że noga jest zupełnie pogruchotana. Wyobraź sobie, spadł mu na nogę wielki  
kawał skały... o, w tym miejscu... i złamanie jest podobno bardzo powikłane. Odłamki  
kości powychodziły mu na wierzch.

— Och... okropność! — krzyknęły dzieci.

— I naturalnie — ciągnęła dalej — mówi, że umiera... Nie byłby przecież sobą,  
gdyby tego nie mówił. „Koniec ze mną, kochasiu” — powiedział patrząc na mnie.  
„Nie gadaj głupstw — powiadam mu na to — nie umiera się od złamania nogi, choćby  
nawet było najcięższe”. „Już ja stąd nie wyjdę inaczej jak w drewnianej skrzyni” —  
zaczyna znów swoje. „Ha — mówię mu — jak będziesz chciał, żeby cię w drewnianej  
skrzynce wynieśli na świeże powietrze do ogródka, kiedy już będziesz czuł się lepiej,  
to jestem pewna, że to dla ciebie zrobią”. „Jeśli będziemy uważały to za wskazane dla  
niego” — powiedziała siostra. To bardzo miła siostra, tylko trochę za surowa.

Pani Morel zdjęła czepeczek. Dzieci czekały w milczeniu.

— Oczywiście, jest bardzo chory — mówiła dalej — i potrwa to jeszcze długo. Do-  
znał silnego szoku, a przy tym utracił dużo krwi. I oczywiście złamanie jest bardzo  
niebezpieczne. Wcale nie ma pewności, że się to łatwo zrośnie. A jeszcze w dodatku  
ma gorączkę i jest obawa gangreny... Jeśliby sprawa obróciła się na złe, może być  
prędko z nim koniec. Ale z drugiej strony ma bardzo zdrową krew i wyjątkowo łatwo  
wszystko mu się goi, nie widzę więc powodu, dlaczego by to miało przybrać zły obrót.  
Naturalnie rana jest bardzo...

Była blada z wrażenia i niepokoju. Cała trójka dzieci zdawała sobie sprawę, że stan  
ojca jest ciężki, i w domu zapanowało przygnębiające milczenie.

— Ale przecież ojciec zawsze tak łatwo przychodzi do zdrowia — powiedział po  
chwili Pawełek.

— Właśnie to samo mu powiedziałam — odparła matka.

Wszyscy milczeli.

— I wyglądał naprawdę bliski śmierci — rzekła pani Morel. — Ale siostra mówi, że to z bólu.

Ania odebrała od matki płaszcz i czepek.

— A jak na mnie spojrział, kiedy się zbierałam do odejścia! Powiedziałam mu: „Muszę już teraz iść, Walterze, bo pora na pociąg... no i wiesz, dzieci”. A on wtedy na mnie popatrzył. Wygląda, że bardzo cierpi.

Pawełek ujął pędzel i zabrał się znów do malowania. Artur poszedł przynieść węgiel. Ania siedziała zasepiona. A pani Morel rozmyślała w milczeniu, siedząc w fotelu na biegunach, który mąż zrobił dla niej przed urodzeniem pierwszego dziecka. Była przygnębiona i przejęta głębokim współczuciem dla człowieka, który uległ tak ciężkiemu wypadkowi. Ale mimo to, w najtajniejszej głębi serca, tam gdzie winno było płonąć uczucie, w dalszym ciągu rozwierała się pustka. I właśnie teraz, gdy jej kobiece serce wezbrało bezgranicznym współczuciem i gdy gotowa była zamęczyć się na śmierć, aby go otoczyć opieką i ocalić, oraz chętnie przyjęłaby na siebie jego cierpienie, gdyby tylko było to możliwe — czuła w głębi duszy zupełną obojętność dla męża oraz dla jego bólu i udreki. Nade wszystko jednak bolał ją ów całkowity brak miłości do męża, nawet wówczas gdy tak silnie i żywo przeżywała nieszczęście, jakie go spotkało. Siedziała dłuższą chwilę w milczeniu, rozmyślając.

— I wyobraźcie sobie — powiedziała nagle — że kiedy znalazłam się w połowie drogi do Keston, spostrzegłam, iż wybrałam się w moich domowych bucikach... spójrzcie, jak wyglądają. — Były to stare, brązowe buty Pawełka, z dziurami na palcach. — Nie wiedziałam, gdzie się podziać ze wstydu — dodała.

Nazajutrz rano, gdy Ania i Artur byli w szkole, pani Morel zaczęła znów opowiadać Pawełkowi, który pomagał jej w domowych zajęciach:

— Zastałam w szpitalu Barkera. Wyglądał jak półtora nieszczęścia! „No i co — mówię do niego — jak pan sobie dał z nim radę w drodze?” „Niech pani lepiej o to nie pyta, paniusiu!” — powiedział tylko. „Oj tak — odparłam — już ja wiem, co on potrafi”. „Ale to było dla niego naprawdę ciężkie, pani Morel, bardzo ciężkie!” — mówił. „Wiem o tym” — powiedziałam. „Za każdym razem, co wóz podskoczył, myślałem, że mi serce gębą wyleci — mówił. — A jak on się darł co chwila! O nie, paniusiu, za żadne skarby świata nie chciałbym już tego robić po raz drugi”. „Doskonale to rozumiem” — powiedziałam. „To cholerna historia — mówi — i zdaje mi się, że długo potrwa, zanim on się z tego wyliże”. „Obawiam się, że ma pan rację” — powiedziałam. „Lubię pana Barkera... naprawdę go lubię. To prawdziwy mężczyzna.

Pawełek, który znów zabrał się do malowania, milczał.

— I naturalnie — ciągnęła pani Morel — taki człowiek jak twój ojciec bardzo źle znosi szpital. Nie uznaje żadnych przepisów ani zarządzeń. I nie pozwala nikomu się dotknąć... o ile tylko potrafi postawić na swoim. Zranił się kiedyś tak głęboko w udo, że trzeba było cztery razy na dobę zmieniać mu opatrunek... i czy myślisz, że pozwolił wtedy robić to komu innemu poza mną i swoją matką? Za nic w świecie. Będzie więc tam oczywiście nieszczęśliwy z powodu pielęgniarek. Przykro mi było go tam zostawiać. Pewna jestem, że kiedy go pocałowałam i poszłam sobie, wyglądało to z mojej strony bardzo nieładnie.

Rozmawiała z synem tak, jak gdyby głośno myślała, on zaś przyjmował jej słowa

jak mógł najgłębiej do serca, dzieląc z nią jej zmartwienia, aby jej ulżyć, jeśli to było możliwe. W końcu nauczyła się dzielić z nim niemal wszystkimi myślami, sama nie zdając sobie z tego sprawy.

Morel był poważnie chory. Przez cały tydzień trwał kryzys. Potem zaczęła się poprawa. A wówczas, widząc, że stan jego zdrowia się polepsza, cała rodzina odetchnęła z ulgą i zaczęła znów żyć szczęśliwie.

W czasie pobytu Morela w szpitalu wiodło im się zupełnie dobrze. Pani Morel dostawała czternaście szylingów tygodniowo z kopalni, dziesięć szylingów zasiłku chorobowego i pięć szylingów z Funduszu dla Niezdolnych do Pracy. Co tydzień też sztygarzy wręczali jej jakąś drobną sumkę — pięć czy siedem szylingów — tak iż w rezultacie zupełnie jej to wystarczało na życie. Kuracja Morela przebiegała więc pomyślnie w szpitalu, rodzina zaś jego żyła wyjątkowo szczęśliwie i spokojnie. W każdą sobotę i środę pani Morel jeździła do Nottingham odwiedzić męża. Przywoziła wtedy zawsze dzieciom jakieś drobne upominki: małą tubkę farby albo arkusz brystolu dla Pawełka, kilka kolorowych pocztówek dla Ani (którymi najpierw przez parę dni cieszyła się cała rodzina, zanim wolno było dziewczynce wysłać je z domu) lub piłkę do wyrzynania wzorów, a czasem ładny kawałek deseczki dla Artura. Opowiadała z ożywieniem o swoich przygodach w wielkich sklepach w Nottingham. Wkrótce już personel sklepu, gdzie kupowała obrazki, znał ją dobrze, jak również — z jej opowiadań — Pawełka. Ekspedientka z księgarni okazywała jej żywe zainteresowanie. Po powrocie z Nottingham pani Morel miała zawsze mnóstwo nowin dla dzieci. Cała trójka zasiadała wówczas wokoło niej słuchając, wtrącając swoje uwagi i dysputując z zapalem, póki nie nadeszła pora spoczynku. Na zakończenie Pawełek często poprawiał ogień na kominku.

— Teraz ja jestem panem domu — mówił do matki z dumą. Przekonali się, jaki idealny spokój może panować w ich rodzinnym domu. I niemal żalowali (choć żadne z nich nie przyznałoby się do podobnej oziębłości serca), że ojciec ma niedługo wrócić ze szpitala.

Pawełek skończył już czternaście lat i zaczynał oglądać się za pracą. Był raczej niskim, delikatnie zbudowanym chłopcem, o ciemnych włosach i jasnoniebieskich oczach. Jego twarz przestała już być dziecinnie okrągła i przez ostrość nieregularnych rysów zaczęła stawać się podobna do twarzy Williama. Cechowała ją również niezwykła ruchliwość i zmienność wyrazu. Zazwyczaj wyglądał tak, jak gdyby widział wszystko, co się wkoło niego dzieje, był pełen życia i ciepła. W takich chwilach uśmiech, podobnie jak u matki, łatwo pojawiał się na jego twarzy, która stawała się miła i serdeczna. Ale gdy wartki bieg myśli napotykał na jakąś przeszkodę, twarz jego stawała się nagle tępa i brzydka. Był jednym z owych chłopców, którzy, gdy są źle zrozumiani lub czują się lekceważeni, natychmiast upodabniają się do błazna i głupca — i odwrotnie, przy pierwszym tchnieniu ciepła nabierają niezwykłego uroku.

Pawełek bardzo ciężko przeżywał pierwsze zetknięcie z każdą nową sytuacją w życiu. Kiedy miał siedem lat, pierwsze dni szkoły były dla niego zmurą i nieopisaną torturą. Potem bardzo ją polubił. Teraz zaś, gdy czuł, że będzie musiał wejść w życie, przechodził prawdziwe katusze niepewności i niewiary w siebie. Jak na chłopca w jego wieku malował zupełnie dobrze, znał trochę francuski i niemiecki oraz liźnął co-

kolwiek matematyki dzięki lekcjom, które pobierał u pana Heatona. Wszystko, co umiał, nie miało jednak żadnej wartości handlowej. Matka twierdziła, że nie jest dostatecznie silny, by spełniać ciężkie fizyczne prace. Nie pociągała go majsterka, wolała uganiać się po okolicy, robić dalekie wycieczki, czytać albo malować.

— Czym chcesz być? — pytała go matka.

— Wszystko mi jedno.

— To nie jest odpowiedź — mówiła pani Morel.

A jednak była to doprawdy jedyna szczerza odpowiedź, jakiej mógł jej udzielić. Całą jego ambicją, jeśli chodzi o sprawy tego świata, było zarobić w ciszy i spokoju swoje trzydzieści lub trzydzieści pięć szylingów tygodniowo, gdzieś w bliskości domu, a po śmierci ojca zamieszkać z matką w skromnym wiejskim domku, malować, robić, co mu się będzie podobało, i wieść aż do końca ciche, szczęśliwe życie. Taki był jego program w dziedzinie praktycznych planów życiowych. Ale w głębi duszy był dumny i ambitny, oceniał ludzi przez porównywanie z sobą i klasyfikował ich z nieubłaganą ostrością. Miał nadzieję, że może jednak uda mu się zostać malarzem, i to było jego prawdziwym, istotnym marzeniem. Ale nie zdradzał się z nim nigdy.

— Wobec tego — powiedziała matka — musisz poszukać pracy w ogłoszeniach, w gazecie.

Spojrzał na nią. Wydawało mu się to gorzkim upokorzeniem i ciężką próbą. Nic jednak nie odpowiedział. Gdy obudził się następnego ranka, obezwładniała go jedna jedyna myśl: „Muszę szukać w gazetach ogłoszeń o pracy”.

Myśl ta dominowała w nim przez cały poranek, odbierając mu wszelką radość, a nawet chęć do życia. Była ciężarem uciskającym mu serce.

Wreszcie o dziesiątej wyruszył z domu. Uważano go powszechnie za dziecko spokojne i trochę dziwne. Idąc słonecznymi uliczkami małego miasteczka miał wrażenie, że wszyscy spotkani po drodze ludzie mówią sobie w duchu: „Oto idzie do czytelnicy kooperatywy szukać w gazetach ogłoszeń o posadzie. Nie może dostać pracy. Pewno siedzi na utrzymaniu matki”. Prześliznął się na górę po kamiennych schodkach, za bławatnym sklepem kooperatywy, i zajrzał nieśmiało do czytelnicy. Zazwyczaj siedziało tu kilku starszych, niezdolnych już do pracy mężczyzn lub górników będących „zwolennikami klubu”. Wszedł do środka onieśmielony i nieszczęśliwy, gdy spojrzenia obecnych skierowały się w jego stronę, i usiadł przy stole udając, że z zainteresowaniem przegląda wiadomości. Był przekonany, że wszyscy myślą sobie: „Ciekawe, czego taki mały chłopak szuka tu w czytelnicy w gazetach?” I czuł się udrczony.

Po chwili spojrzał tęsknie w okno. Stał się już niewolnikiem przemysłu.

Wielkie słoneczniki wychylały głowy ponad starym, czerwonym murem po przeciwnej stronie ulicy, zerkając wesoło w dół na kobiety śpieszące z koszykami pełnymi zakupów na obiad. Dolina wysłana była łąkami zbóż, złocącymi się w słońcu. Spośród pól dwie kopalnie wysyłały w górę niewielkie, białe, pierzaste obłoczki pary. Daleko, na wzgórzach, widniały lasy Annesley, ciemne i tajemnicze. Pawełka ogarnęło przygnębienie. Nakładano na niego jarzmo. Jego wspaniała swoboda w ukochanej, ojczyściej dolinie skończyła się raz na zawsze.

Na ulicy, tocząc się ciężko drogą od Keston, pojawił się wóz z browaru, naładowany olbrzymimi beczkami ustawionymi po cztery w dwuszeregu, niby ziarna fasoli

w rozłupanym strąku. Wysoko w górze królował furman, ciężko kołyszący się na koźle, niewiele poniżej poziomu oczu Pawełka. Jasne włosy woźnicy białały w słońcu na małej, okrągłej głowie, a na grubych, czerwonych rękach, zwieszających się beczynnie na skórzanym fartuchu, lśniły białe włoski. Jego czerwona twarz błyszczała. Był na wpół uśpiony upałem. Konie, okazałe kasztany, same ciągnęły wóz i już z dala nie ulegało wątpliwości, że to one są prawdziwymi panami owego zaprzęgu.

Pawełek zapragnął być głupcem. „Chciałbym — pomyślał — być taki gruby jak on i wygrzewać się niby pies na słońcu. Szkoda, że nie jestem prosiakiem albo woźnicą w browarze”.

Potem, gdy pokój wreszcie opustoszał, pośpiesznie przepisał na skrawku papieru jedno, a potem drugie ogłoszenie i z niewypowiedzianą ulgą wymknął się z czytelnicy. Matka na pewno uważnie przeczyta jego notatki.

— No dobrze — powiedziała — możesz spróbować.

William napisał kiedyś podanie o pracę w doskonałym, handlowym stylu, a Pawełek przepisał je teraz z pewnymi zmianami. Miał szkaradny charakter pisma, co Williama, który wszystko robił doskonale, wyprowadzało z równo- i wagi.

Starszy brat zaczął ostatnio wyraźnie przybierać wielkie tony. W Londynie ' przekonał się, że może utrzymywać stosunki z ludźmi stojącymi towarzysko ,

o wiele wyżej od jego przyjaciół z Bestwood. Kilku urzędników w jego biurze miało skończone studia prawnicze i odbywało mniej lub więcej regularną praktykę. William z łatwością zawierał znajomości i przyjaźnie w każdym towarzystwie, w jakim się znalazł, miał bowiem niezwykle miłe i wesołe usposobienie. Wkrótce też coraz to częściej bywał zapraszany przez ludzi, którzy patrzyliby z góry na niedostępnego w Bestwood dyrektora banku, a być może nawet samego pastora traktowaliby obojętnie. Zaczął więc wyobrażać sobie, że jest wielką osobistością. Był też prawdziwie zaskoczony łatwością, z jaką stał się dżentelmenem.

Matka cieszyła się, gdyż William wydawał się całkowicie zadowolony, mimo że jego mieszkanie w Walthamstow było bardzo ponure. Ostatnio jednak do listów młodego człowieka wkradła się jakaś gorączkowość. Zmiany, które zaszły w jego życiu, wytrąciły go niejako z równowagi, utracił stały grunt pod stopami i zamiast mocno stać na własnych nogach, zdawał się lekkomyślnie pędzić naprzód, porwany wartkim nurtem nowej egzystencji. Matka niepokoiła się o niego. Wyczuwała, że jej syn zaczyna się gubić. Chodził na tańce i do teatru, wiosłował na rzece, bawił się z przyjaciółmi, ale wiedziała, że potem siedzi w zimnym mieszkaniu i kuje łacinę, postanowił bowiem wybić się w biurze, a także na prawie, i zająć najwyżej, jak mu się uda. Nie przysyłał teraz matce pieniędzy. Nawet niewielką sumkę, którą otrzymywała dawniej od niego, pochłaniały obecnie jego osobiste wydatki. Nie oczekiwała od niego finansowej pomocy, prócz wyjątkowych momentów, gdy była zupełnie przyparta do muru i kiedy nawet dziesięć szylingów oszczędziłoby jej wielu trosk i zmartwień. Nadal snuła swe marzenia o Williamie i o tym, do czego mógłby dojść, gdyby ją miał przy sobie. Za nic w świecie nie przyznałaby się, nawet sama przed sobą, ile troski i niepokoju o niego kryje się w jej sercu.

Pisał teraz dużo o pewnej dziewczynie, którą poznał na tańcach — młodej, ładnej



brunetce z dobrego towarzystwa, za którą mężczyźni uganiaли się gromadnie.

„Zastanawiam się, mój chłopcze, czybyś za nią biegał — pisała do Williama matka — gdybyś nie widział przy niej tylu innych mężczyzn. Schlebia to pewnie twojej próżności i czujesz się bezpieczny w tłumie. Ale miej się na baczności i pomyśl, jak się będziesz czuł, gdy się spostrzeżesz, że zostałeś sam na placu, jako triumfator”.

William nie lubił tych przestróg i kontynuował pościg. Zabrał dziewczynę nad rzekę. „Gdybyś ją zobaczyła, mamó, zrozumiałabyś, co przeżywam. Jest wysoka i elegancka, ma cudownie gładką, przezroczyście oliwkową cerę, kruczoczarne włosy i wspaniałe, szare oczy... żywe i zwodnicze, jak ogniki na wodzie w nocy. Łatwo być ironicznym, póki się jej nie widzi. Jest najlepiej ubraną kobietą w Londynie. Wierzaj mi, mamó, że twój syn ginie w jej cieniu spacerując z nią po Piccadilly”.

Pani Morel zastanawiała się, czy jej syn nie spaceruje po Piccadilly raczej z manekinem w pięknych strojach niż z kobietą bliską mu i oddaną. Złożyła mu jednak gratulacje we właściwy sobie, trochę zagadkowy sposób. Ale stojąc nad balią, zamartwiała się o swego syna. Wyobrażała go sobie usidlanego przez piękną i elegancką żonę, zarabiającego niewiele i ciężko borykającego się z losem, w końcu zaś zmuszonego osiąść w małym, brzydkim domku na przedmieściu. „Jestem właściwie — mówiła sobie — po prostu niemądra wybiegając nieszczęściu na spotkanie”. Pomimo to, ani na chwilę nie przestawał jej dręczyć niepokój, że William zrobi jakiś fałszywy krok z własnej winy.

Pewnego dnia Pawełek otrzymał list z prośbą o stawienie się u Tomasza Jordana, producenta protez chirurgicznych, w Nottingham, Spaniel Row 21. Pani Morel promieniała z radości.

— A widzisz! — wołała z błyszczącymi oczami. — Napisałeś wszystkiego cztery listy i już na trzeci masz odpowiedź. Masz szczęście, mój chłopcze, zawsze ci to mówiłam.

Pawełek spojrział na ozdobioną elastyczną pończochą oraz innymi akcesoriami drewnianą nogę, która widniała na firmowym liście pana Jordana, i przeszył go strach. Dotychczas nie wiedział nawet, że elastyczne pończochy istnieją na świecie. Teraz nagle zdał sobie sprawę z potęgi handlowego świata, wraz z jego ustaloną gradacją wartości oraz całkowitą anonimowością — i ogarnął go lęk. Wydało mu się również rzeczą potworną, że można zarabiać na drewnianych nogach.

Matka i syn wybrali się w drogę pewnego wtorku rano. Było to w lipcu i panował wściekły upał. Pawełek szedł ze ściśniętym sercem. O ileż łatwiej byłoby mu znieść fizyczne cierpienie, niż narażać się na bezsensowne męki prezentowania się obcym ludziom, aby zostać przez nich przyjętym lub odrzuconym. Mimo to prowadził z matką w czasie drogi zwykłą pogawędkę. Za nic na świecie nie przyznałby się jej, jak głęboko cierpi w takich chwilach, ona zaś domyślała się tego tylko częściowo. Była wesoła i beztraska jak zakochana dziewczyna. Stała przed okienkiem kasowym na stacji w Bestwood i Pawełek patrzył, jak szuka w portmonetce pieniędzy na bilety. Gdy ujrzał jej dłonie w starych, tanich, czarnych rękawiczkach, wydobywające srebrne monety ze zniszczonej portmonetki, poczuł bolesny skurcz serca.

Matka była ożywiona i wesoła. Pawełek cierpiał w duchu, bo z góry wiedział, że będzie z nim głośno rozmawiała przy obcych towarzyszach podróży.

— Spójrz na tę głupią krowę! — powiedziała. — Galopuje w kółko, jak gdyby jej się zdawało, że jest na arenie cyrkowej.

— Wydaje mi się, że musiał ją uciąć giez — szepnął bardzo cicho.

— Co takiego? — zapytała żywo, bynajmniej nie zbita z tropu.

Siedzieli przez chwilę zatopieni w myślach. Przez cały czas wyczuwał jej obecność koło siebie. Nagle ich oczy spotkały się i uśmiechnęła się do niego — niezwykłym, serdecznym uśmiechem, pięknym w swej radosnej czułości. Zaczęli potem oboje wyglądać przez okno.

Szesnaście długich mil jazdy pociągiem wreszcie minęło. Matka i syn szli Station Street, podnieceni jak para zakochanych na jakiejś tajemniczej eskapadzie. Na Carrington Street przystanęli i oparli się o poręcz mostu, aby popatrzeć w dół, na pływające po kanale barki.

— To zupełnie przypomina Wenecję — powiedział Pawełek patrząc na smugę słoneczną, która złociła się na wodzie płynącej między wysokimi murami fabryk.

— Być może — odparła uśmiechając się.

Byli zachwyceni sklepami.

— Spójrz tylko na tę bluzkę — mówiła pani Morel. — Czy naszej Ani nie byłoby w niej ładnie? I kosztuje zaledwie jeden funt, jedenaście szylingów i sześć pensów. Prawda, że tanio?

— Iw dodatku jest zrobiona na drutach — rzekł Pawełek.

— No właśnie.

Mieli dużo czasu, mogli się nie spieszyć. To nieznanne miasto miało dla nich wiele uroku. Ale chłopiec przez cały czas czuł przykry ucisk niepokoju. Obawiał się rozmowy z panem Tomaszem Jordanem.

Na wieży kościoła Św. Piotra była już prawie jedenasta. Skręcili w wąską uliczkę prowadzącą do zamku, ponurą i staroświecką. Sklepy były niskie i ciemne, drzwi domów ciemnozielone z mosiężnymi kołatkami, a schodki żółte jak ochra i wysunięte daleko na chodnik. Po paru krokach pojawił się znów jakiś stary sklepik, którego małe okienko wyglądało jak ironicznie przymknięte oko. Matka i syn wolno posuwali się naprzód, wypatrując wszędzie „Tomasza Jordana i Syna”. Przypominało to polowanie w jakiejś dzikiej okolicy. Byli oboje w najwyższym stopniu podnieceni.

Wtem niespodziewanie wytropili wielki, ciemny łuk, na którym wypisane były nazwy wielu firm, a wśród nich znajdował się również Tomasz Jordan.

— To gdzieś tutaj! — zawołała pani Morel. — Ale gdzie też to może być?

Rozejrzeli się wokoło. Po jednej stronie znajdowała się dziwaczna, ciemna fabryka tektury, po drugiej hotel „Commercial”.

— To jest nad wejściem — powiedział Pawełek.

Przeszli niepewnie pod wysokim łukiem, jak gdyby była to rozwarta paszcza smoka. Wynurzyli się na obszerne, podobne do studni, podwórze, otoczone z wszystkich stron domami. Pełno tu było skrzyń, słomy i tektury. Słońce padło właśnie na jedną z pak i wysypujące się z niej na podwórze żdźbła słomy zalśniły jak złoto. Poza tym panował tu mrok jak w kopalni. Zobaczyli kilkoro drzwi, a przy dwóch schodki. Naprzeciwko, na brudnej szybie w drzwiach nad schodkami, majaczyły złowróżbne litery: „Tomasz Jordan i Syn — protezy chirurgiczne”. Pani Morel szła przodem, a syn po-

stępował za nią. Karol I wstępował na swój szafot z lżejszym sercem, niż Paweł Morel wspinający się za matką po brudnych schodach do brudnych drzwi.

Pani Morel pchnęła drzwi i zatrzymała się w progu, mile zdziwiona. Miała przed sobą dużą salę fabryczną, wypełnioną kremowymi, kartonowymi pudłami, wśród których uwijali się pracownicy z podwiniętymi rękawami u koszuli tak swobodnie, jak gdyby byli u siebie w domu. Gładkie kremowe pudła połyskiwały jasno w półmroku, biurka były z ciemnobrązowego drzewa. Panował tu spokój i zaciszna, domowa atmosfera. Pani Morel postąpiła dwa kroki naprzód i zatrzymała się. Pawełek stał za nią. Była w swoim odświętnym czepku z czarną woalką. Pawełek zaś miał na sobie samodziiałowe ubranie, z chłopcim, szerokim białym kołnierzem.

Jeden z urzędników spojrział w ich stronę. Był to wysoki, chudy pan, z szczupłą twarzą. Spojrzenie jego było przenikliwe. Obejrzał się za siebie, na drugi koniec pokoju, w którym znajdował się oszklony kantorek, i dopiero potem wyszedł im na spotkanie. Nie powiedział ani słowa, lecz schylił się przed panią Morel w grzeczny, wyczekujący sposób.

— Czy mogę widzieć się z panem Jordanem? — zapytała.

— Zaraz go poproszę — odparł młody człowiek.

Przeszedł przez pokój do oszklonego kantoru i za chwilę wyjrzał stamtąd starszy pan z czerwoną twarzą i siwymi bokobrodami. Wydał się Pawełkowi podobny do szpica. Mały człowieczek ruszył przez pokój. Miał krótkie nogi, był tęgi i nosił czarną, alpagową kurtkę. Z jednym uchem nastawionym w pogotowiu, poważnym krokiem przemierzył pokój i zatrzymał się wyczekująco.

— Dzień dobry! — z pewną rezerwą powitał panią Morel, nie wiedząc, czy okaże się ona klientką, czy też jakąś interesantką.

— Dzień dobry. Przyszłam z moim synem, Pawłem Morelem. Pisał pan, żeby stawił się tu dzisiaj rano.

— Proszę tędy — powiedział pan Jordan trochę opryskliwie, przybierając zapewne urzędowy ton.

Poszli za fabrykantem do małego brudnego pokoiku, gdzie stały meble obite czarną amerykańską skórą, wyświeconą przez licznych interesantów. Na stole leżał stos poskręcanych pasów z żółtego zamszu. Były bardzo świeże i miały w sobie coś żywego. Pawełek poczuł zapach świeżego zamszu. Zastanawiał się, do czego to może służyć. Był tak oszołomiony, że ledwie widział otaczające go przedmioty.

— Proszę siadać! — powiedział pan Jordan, niecierpliwym gestem wskazując pani Morel obite końską skórą krzesło. Usiadła niezdecydowanie na samym brzeжку krzesła. Mały stary człowieczek szukał czegoś nerwowo, aż wreszcie znalazł jakiś papier.

— Czy to ty pisałeś? — burknął pokazując Pawełkowi papier, w którym chłopiec rozpoznał swoje podanie.

— Tak — odparł.

W danej chwili umysł jego zaprzętały dwie sprawy: po pierwsze — czuł się winny, że powiedział nieprawdę, gdyż list był ułożony przez Williama, po drugie — zastanawiał się, czemu jego podanie wydaje mu się takie dziwne i wygląda zupełnie inaczej w grubych, czerwonych palcach tego obcego pana niż wówczas, gdy leżało na kuchennym stole w domu. Wydało mu się ono nagle jakąś zagubioną częścią własnego ciała.

Nie mógł znieść sposobu, w jaki ów człowiek trzymał jego podanie.

— Gdzie się nauczyłeś pisać? — zapytał starszy pan gniewnie.

Pawełek spojrzał tylko nieśmiało i nic nie odpowiedział.

— Mój syn nie umie ładnie pisać — wtrąciła pani Morel usprawiedliwiającym tonem. Odrzuciła w górę woalkę. Pawełek nienawidził jej w tej chwili za to, że była taka pokorna wobec tego małego, pospolitego człowieka, jednocześnie zaś kochał jej twarz, którą odsłoniła.

— I mówisz, że znasz francuski? — wypytywał mały człowieczek, w dalszym ciągu ostro i krótko.

— Tak — odparł Pawełek.

— Do jakiej szkoły chodziłeś?

— Do powszechnej.

— I tam cię tego nauczyli?

— Nie... ja... — chłopiec zaczerwienił się i nie mógł wyjąkać ani słowa więcej.

— Jego chrzestny ojciec udzielał mu lekcji — powiedziała pani Morel na wpół błagalnie i niezupełnie przytomnie.

Pan Jordan zawahał się. Potem zaś we właściwy mu, denerwujący sposób (zdawało się, że jego ręce są w ciągłym pogotowiu) wyciągnął z kieszeni jakiś inny arkusz papieru i rozwinął go. Papier zaszeleścił. Podał go Pawełkowi.

Był to list w języku francuskim pisany nieznanym, wyblakłym pismem, którego chłopiec nie mógł odczytać. Wpatrywał się w papier nieprzytomnie.

— *Monsieur* — zaczął i ogromnie zmieszany spojrzał na pana Jordana. — To jest... to jest...

Chciał powiedzieć „charakter pisma”, ale mózg jego nie pracował już nawet na tyle, aby podszeptać mu to słowo. Czując się ostatecznym osłem i nienawidząc pana Jordana, zabrał się desperacko do odczytywania listu.

— Szanowny panie... proszę mi przysłać... eee... nie umiem tego wyrazić... dwie pary... *gris fil bas*... szarych nicianych pończoch... eee... *sans*... bez... eee... nie umiem tego wyrazić... ee... *doigts*... palców... ee... nie mogę przeczytać tego...

Chciał powiedzieć „charakteru pisma”, ale wciąż brakowało mu tego słówka. Widząc, że utknął na dobre, pan Jordan wyrwał mu list niecierpliwie.

— Proszę przysłać odwrotną pocztą dwie pary szarych nicianych pończoch z całą stopą.

— Ależ proszę pana — Pawełek zarumienił się. — „*Doigts*” znaczy palce... przynajmniej... z zasady...

Mały człowieczek spojrzał na niego. Nie wiedział, czy „*doigts*” znaczy „palce”, wiedział tylko, że dla jego celów musi to znaczyć „z całą stopą”.

— „Palce” w pończochach! — burknął.

— Trudno, proszę pana, to właśnie znaczy palce — upierał się chłopiec.

Nienawidził małego człowieczka, który robił z niego zupełnego osła. Pan

Jordan popatrzył na bladego, tępego, upartego chłopca, a potem na jego matkę spokojną i opanowaną w sposób charakterystyczny dla ludzi biednych, których los zależy od cudzej łaski.

— Od kiedy może przyjść? — zapytał.

- To tylko od pana zależy — powiedziała pani Morel. — Skończył już szkołę.
- Będzie mieszkał w Bestwood?
- Tak. Ale może być... na stacji... za kwadrans ósma.
- Hm!

W rezultacie Pawełek został zaangażowany jako pomocnik do dziewiarni, z wynagrodzeniem ośmiu szylingów tygodniowo. Chłopiec nie otworzył już ust i nie powiedział ani słowa od czasu, gdy uparcie twierdził, że „*doigts*” znaczy „palce”. Schodził za matką na dół. Popatrzyła na niego swymi bystrymi, niebieskimi oczami, pełnymi miłości i szczęścia.

- Myślę, że będzie ci się tu podobało — powiedziała.
- „*Doigts*” to znaczy „palce”, mamó, a poza tym wszystkiemu winno to pismo. Nie mogłem go odczytać.
- Nic nie szkodzi, synku. Jestem pewna, że z panem Jordanem wszystko dobrze się ułoży i że nie będziesz go widywał za często. Prawda, że ten pierwszy młody człowiek był miły? Jestem pewna, że go polubisz.

- Ale pan Jordan to prostak, prawda, mamó? Czy to wszystko do niego należy?
- Przypuszczam, że to zwykły robotnik, któremu udało się wybić — odparła. — Nie powinieneś tak wiele sobie robić z ludzi. Wcale nie byli dla ciebie nieprzyjemni... to ich normalny sposób bycia. Zawsze ci się wydaje, że ludzie jakoś specjalnie się do ciebie odnoszą. Ale tak nie jest.

Dzień był niezwykle słoneczny. Nad opustoszałym placem targowym niebo skrzyło się błękitem, a granitowe kostki bruku lśniły w słońcu. Wnętrza sklepów na Long Row wydawały się ciemne i przepaściste, cień zaś wibrował całą gamą barw. Tuż obok konnego tramwaju, sunącego środkiem rynku, rozłożyły się rzędem stragany z błyszczącymi w słońcu owocami. Rumieniły się na nich jabłka i złociły stopy pomarańczy obok zielonkawych, małych renklod i bananów. Gdy matka i syn przechodzili tamtędy, w powietrzu unosił się ciepły zapach owoców. W Pawełku stopniowo uciszała się złość i mijało uczucie upokorzenia.

- Gdzie pójdziemy na obiad? — spytała matka.
- Oboje czuli, że będzie to szaleńcza rozrzutność. Pawełek był dotychczas może dwa razy w restauracji i to tylko po to, aby wypić filiżankę herbaty i zjeść bułeczkę. Większość mieszkańców Bestwood uważała, że herbata, chleb z masłem i ewentualnie jeszcze duszona wołowina to wszystko, na co można sobie pozwolić w Nottingham. Prawdziwy obiad uważany był za wielką rozrzutność. Pawełek czuł się nieomal winowajcą.

Znaleźli jakiś lokal, który wydał im się niedrogi. Ale gdy pani Morel przejrzała spis potraw, ogarnął ją niepokój, gdyż ceny były bardzo wysokie. Zamówiła potrawkę z nerek z kartoflami, jako najtańsze danie.

- Nie powinniśmy byli tu przychodzić, mamó — powiedział Pawełek.
  - Nic nie szkodzi — odparła. — Nie przyjdziemy tu więcej.
- Nalegała, żeby zjadł ciastko z rodzynkami, bo bardzo lubił słodczyce.
- Ależ ja nie chcę, mamó — wymawiał się.
  - To nic — upierała się nadal. — Zaraz je dostaniesz.
- Rozejrzała się, aby zawołać kelnerkę. Ponieważ dziewczyna była zajęta, pani Morel

nie chciała jej przeszkadzać. Matka i syn czekali więc, aż skończy flirtować z siedzącymi na sali mężczyznami.

— Bezczelna dziewczyna! — rzekła pani Morel do Pawełka. — Spójrz tylko, podaje pudding temu panu, który przyszedł później od nas.

— To naprawdę nieważne, mam — powiedział Pawełek.

Pani Morel była zła. Ale była biedna i jej zamówienie tak skromne, że nie miała odwagi upominać się o swoje prawa. Czekali więc bez końca.

— Może byśmy już poszli, mam? — spytał Pawełek.

Pani Morel wstała. Dziewczyna przechodziła właśnie blisko nich.

— Proszę przynieść jedno ciastko z rodzynekami — rzekła pani Morel dobitnie.

Dziewczyna obejrzała się arogancko.

— W tej chwili — odparła.

— Czekaliśmy już dość długo — powiedziała pani Morel.

Dziewczyna powróciła natychmiast, niosąc ciastko. Pani Morel chłodno poprosiła o rachunek. Pawełek pragnął zapaść się pod ziemię. Podziwiał stanowczość matki. Wiedział, że tylko lata ciężkiej walki mogły nauczyć ją dopominania się o swoje prawa, nawet w tak błahym wypadku. Była równie pełna niesmaku jak on.

— Z pewnością moja noga tu więcej nie postanie — obwieściła, gdy wyszli z restauracji i odetchnęli z ulgą, że się stamtąd wydostali.

— Chodźmy teraz — powiedziała — obejrzyć wystawy u Keepa i Boota, a potem w paru innych sklepach, dobrze?

Dyskutowali z ożywieniem nad wystawionymi obrazami i pani Morel chciała kupić synowi mały czarny pędzelek, o którym dawno marzył. Tym razem jednak nie zgodził się na żadne ustępstwa. Przystawał przed wystawami magazynów krawieckich i sklepów z materiałami niemal śmiertelnie znudzony, lecz zarazem zadowolony, że matce to sprawia przyjemność. Przez dłuższy czas włóczyli się tak po ulicach.

— Spójrz tylko na te ciemne winogrona! — zawołała. — Aż ślinka idzie do ust. Już dobrych kilka lat marzę, żeby ich skosztować, ale będę musiała na to jeszcze trochę zaczekać.

Potem zachwyciła ją kwaciarnia i stanęła w drzwiach, wdychając zapach kwiatów.

— Ach, czyż to nie jest wprost prześliczne!

Pawełek dostrzegł w ciemnym wnętrzu sklepu młodą, elegancką, czarno ubraną panią, która przyglądała im się ciekawie spoza kontuaru.

— Patrzą na ciebie — szepnął starając się odciągnąć matkę od drzwi.

— Cóż to może być? — zawołała, nie pozwalając ruszyć się z miejsca.

— Lewkonie — odparł pośpiesznie wciągając zapach w nozdrza. — Ale patrz, tam jest ich pełna waza.

— Ach, tak... białe i czerwone. Ale wiesz, nigdy jeszcze nie widziałam lewkonii, które by tak pachniały. — I ku wielkiej uldze chłopca odeszła od drzwi, jak się jednak okazało tylko po to, aby stanąć przy oknie wystawowym.

— Pawełku! — zawołała do syna, który usiłował właśnie zniknąć z pola widzenia eleganckiej młodej damy w czerni, ekspedientki w kwaciarni. — Pawełku, spójrz no tylko tutaj.

Pawełek zbliżył się niechętnie.

— Popatrz na te fuksje! — zawołała pokazując palcem.  
— Hm! — zdobył się na pełne ciekawości i zainteresowania chrząknięcie. — Wydaje się, że wszystkie kwiaty zaraz oberwą się z łądyżek, takie są wielkie i ciężkie.  
— I jakie ich mnóstwo! — wykrzyknęła.  
— Spójrz, jak się zwieszają całymi pękami w dół na swoich cienkich łądyżkach.  
— Ach! — zawołała. — Śliczne.  
— Ciekaw jestem, kto je kupi — powiedział Pawełek.  
— I ja jestem ciekawa — odparła. — W każdym razie nie my.  
— Zwiędłyby u nas w pokoju.  
— O tak, w tej okropnej, zimnej i ciemnej norze... Ginie tam każda roślina, którą się wstawi, a znów w kuchni duszą się od razu.

Załatwili jeszcze kilka sprawunków i skierowali się w stronę dworca. Ponad kanałem, w mrocznej przerwie między domami, ujrzeli zamek wznoszący się na urwistej rdzawej skale, porośniętej zielonymi krzewami. W delikatnym obramowaniu promieni słonecznych wyglądał jak jakieś bajeczne zjawisko.

— Jak to będzie przyjemnie pospacerować sobie w obiadowej porze — powiedział Pawełek. — Będę mógł chodzić tu i wszystko oglądać. Ach, z jaką przyjemnością będę to robił.

— Oczywiście — odparła.

Pawełek spędził z matką rozkoszne popołudnie. Wrócili do domu późnym wieczorem szczęśliwi, rozpromienieni i zmęczeni.

Następnego ranka Pawełek wypełnił formularz na uzyskanie sezonowego biletu i zaniósł go na stację. Gdy wrócił, matka zaczynała właśnie szorować podłogę. Usiadł na kanapie z podkurczonymi nogami.

— Powiedział, że będę go miał na sobotę — rzekł.

— A ile kosztuje?

— Prawie jeden funt i jedenaście szylingów — odparł.

Zabrała się z powrotem do szorowania podłogi, w milczeniu.

— To bardzo dużo? — spytał.

— Nie więcej, niż myślałam — odparła.

— I będę zarabiał osiem szylingów tygodniowo — rzekł Pawełek.

Matka nie odpowiedziała, zajęta swoją pracą. W końcu rzekła:

— William obiecywał mi wyjeżdżając do Londynu, że będzie przysyłał funta miesięcznie. Dał mi dziesięć szylingów... dwa razy. A teraz wiem, że nie ma ani grosza, nawet gdybym go poprosiła. Wcale zresztą nie chcę jego pieniędzy. Tylko tak sobie teraz pomyślałam, że mógłby pomóc z tym biletem, którego wcale nie brałam pod uwagę.

— William dużo zarabia — powiedział Pawełek.

— Dostaje sto trzydzieści funtów. Ale wszyscy oni są tacy sami. Skorzy do obietnic, ale dużo ci z tego nie przyjdzie.

— Wydaje przeszło pięćdziesiąt szylingów tygodniowo na siebie samego — ciągnął Pawełek.

— A ja prowadzę cały dom za mniej niż trzydzieści — odparła matka. — I zawsze jeszcze muszę znaleźć pieniądze na jakieś ekstra wydatki. Ale czy to któremu z nich

zależy, żeby choć trochę pomóc, jak już sobie pójdzie z domu? Na pewno woli wydać pieniądze na tę wystrojoną lale.

— Powinna mieć własne pieniądze, jeśli jest taką wielką panią — rzekł Pawełek.

— Powinna, ale nie ma. Pytałam go. Już ja dobrze wiem, że nie kupił jej złotej bransoletki tak sobie za nic. Ciekawa jestem, czy mnie ktoś kiedyś podarował złotą bransoletkę.

William w dalszym ciągu zajęty był swoją „Cyganką”, jak ją nazywał. Poprosił dziewczynę (nazywała się Luiza Lili Denys Western) o fotografię, aby ją posłać matce. Zdjęcie nadeszło i przedstawiało przystojną brunetkę sfotografowaną z profilu, trochę pretensjonalnie uśmiechniętą i chyba zupełnie nagą, na fotografii nie było bowiem widać ani skrawka ubrania, tylko obnażone głęboko ramiona.

„Przyznaję — pisała pani Morel do syna — że fotografia Luizy jest atrakcyjna i sądząc z niej Luiza jest bardzo ładna. Ale czy uważasz, synku, że dziewczyna daje dowód dobrego smaku ofiarowując taką fotografię swemu wielbicielowi, aby ją posłać matce... jako pierwsze zdjęcie? Zgadzam się, że ma wyjątkowo piękne ramiona, jak piszesz. Ale nigdy nie spodziewałam się, że zobaczę je aż tak głęboko odsłonięte przy pierwszej sposobności”.

Morel zobaczył fotografię na komodzie we frontowym pokoju.

Przyszedł do kuchni, ostrożnie trzymając zdjęcie w grubych palcach.

— Skąd się to wzięło? — zapytał żonę.

— To dziewczyna, z którą chodzi nasz William — odparła pani Morel.

— Hm... wygląda tu na zalotną pannę i myślę, że William nie będzie z niej miał pociechy. Co to za jedna?

— Nazywa się Luiza Lili Denys Western.

— Ciekaw jestem co jeszcze!... — wykrzyknął Morel. — To aktorka?

— Nie. Jest podobno damą.

— Właśnie w to uwierzę! — zawołał przyglądając się w dalszym ciągu fotografii.

— Ona ma być damą. A skąd ma tyle pieniędzy, żeby sobie tak żyć?

— Wcale nie ma pieniędzy. Mieszka ze starą ciotką, której nienawidzi, i przyjmuje każdy grosz, który jej wpadnie.

— Hm! — chrząknął Morel odkładając fotografię. — William to doprawdy wariat, że się zadaje z taką dziewczyną.

— „Kochana Mamo — odpowiedział matce listownie William. — Zmartwiło mnie, że fotografia ci się nie podoba. Nie przyszło mi do głowy, kiedy ci ją wysyłałem, że możesz to uważać za coś niewłaściwego. W każdym razie powiedziałem Gyp<sup>2</sup> że niezupełnie odpowiadało to twoim szlachetnym i wzniosłym zasadom, ma ci więc posłać inną i mam nadzieję, że będzie ci się lepiej podobała. Gyp ciągle się fotografuje, a raczej fotografowie ją proszą, aby pozwoliła zrobić swoje zdjęcie za darmo”.

Wkrótce nadeszła nowa fotografia z kilkoma niemądrymi słówkami, skreślonymi przez Luizę. Tym razem można było podziwiać młodą damę w czarnej satynowej, wieczorowej sukni, z dekoltem w karo i krótkimi, bufiastymi rękawami. Szal z czarnej koronki okrywał jej piękne ramiona.

— Ciekawa jestem, czy ona kiedykolwiek nosi coś innego, jak wieczorowe suknie

---

<sup>2</sup> Gyp — zdrobnienie od słowa Gypsy — Cyganka.



— powiedziała pani Morel ironicznie. — Czuję, że powinnam być pełna podziwu.

— Jesteś niedobra, mamó — rzekł Pawełek. — Uważam, że ta pierwsza fotografia z nagimi ramionami jest śliczna.

— Tak uważasz? — odparła matka. — Ale ja nie.

W poniedziałek rano Pawełek wstał o szóstej, aby wyruszyć do pracy. Miał swój, tak gorzko okupiony, sezonowy bilet w kieszonce kamizelki. Imponował mu bardzo, a zwłaszcza żółte, poprzeczne paski na nim. Matka zapakowała mu obiad do małego koszyczka z pokrywką i wyszedł z domu za kwadrans siódma, aby zdążyć na pociąg o siódmej piętnaście. Pani Morel odprowadziła go do furtki.

Był śliczny ranek. Ze starego jesionu spadały strącone podmuchem wiatru zielone nasiona, nazywane przez dzieci „gołąbkami”, i podskakiwały wesoło w ogródkach przed domami. Dolinę wypełniała ciemna, zwiewna mgła, w której iskrzyły się dojrzałe kłosa zbóż i miękko rozplątywał się dym z kopalni Minton. Wiatr wiał łagodnie. Pawełek spojrzął na barwne pola rozciągające się poza wysokim lasem w Adersley i nigdy jeszcze dom nie przywoływał go do siebie tak wymownie, jak właśnie tego ranka.

— Do widzenia, mamó — powiedział z uśmiechem, ale czuł się bardzo nieszczęśliwy.

— Do widzenia — odparła czule i pogodnie.

Stała w białym fartuchu na drodze, patrząc za nim, gdy szedł przez pole. Był drobny, sprężysty i pełen życia. Obserwując go, jak wędrował polem, była pewna, że gdy raz zdecydował się pójść w świat, da sobie radę. Pomyślała

o Williamie. Na pewno przeskoczyłby przez płot, zamiast iść naokoło do przełazu. Był w Londynie i dobrze mu się wiodło. Pawełek będzie pracował w Nottingham. Miała już teraz dwóch synów w świecie. Mogła myśleć

o dwóch miejscowościach, dużych ośrodkach przemysłowych i cieszyć się, że do każdego z nich posłała młodego mężczyznę, pewna, że ci dwaj młodzi ludzie osiągną swoją pracą to, czego ona dla nich pragnęła. Dała im życie, należeli do niej i ich dzieło będzie jej dziełem. Przez całe rano myślała o Pawełku.

Punktualnie o ósmej wdrapał się po brudnych schodach wiodących do fabryki protez chirurgicznych Jordana i oparł się bezradnie o pierwsze z brzegu wielkie półki, czekając, aż ktoś się nim zainteresuje. Fabryka nie przebudziła się jeszcze. Biurka okryte były wielkimi, zakurzonymi płachtami. Przyszło dopiero dwóch urzędników i słychać było, jak rozmawiają w kącie sali, zdejmując marynarki i podwijając w górę rękawy koszuli. Było dziesięć po ósmej. Najwidoczniej nie przestrzegano tu zbyt ściśle punktualności. Pawełek przysłuchiwał się rozmowie dwóch urzędników. Nagle usłyszał, że ktoś kaszle,

1 ujrzał w kantorku przy końcu sali starego, steranego wiekiem pana, w mycce z czarnego aksamitu, haftowanej w czerwone i zielone wzory. Rozpieczętował listy. Pawełek wciąż stał i czekał. Jeden z młodych urzędników podszedł do starego pana, witając go wesoło i bardzo głośno. Widocznie stary „szef” był głuchy. Młody człowiek, z poważną miną, skierował się wielkimi krokami do swego biurka. Dostrzegł Pawełka.

— Halo!—zawołał.—To ty jesteś ten nowy chłopak?

— Tak — odparł Pawełek.

— Hm! Jak się nazywasz?

— Paweł Morel.

— Paweł Morel? To świetnie. Chodź ze mną.

Pawełek ruszył za nim wkoło ustawionego z biurek czworoboku. Sala położona była na drugim piętrze. W samym środku podłogi znajdowała się wielka dziura, ogrodzona jak gdyby wałem z biurek. Przez ów szeroki otwór szła winda i przedostawało się światło na niższe piętro. Dokładnie ponad nim widniała w suficie identyczna wielka, podłużna dziura, przez którą, tuż nad obramowaniem podłogi górnego piętra, można było zobaczyć jakieś maszyny. Bezpośrednio nad nimi rozciągał się szklany dach, przez który wpadało światło dla wszystkich trzech pięter, im niżej, tym słabsze, wskutek czego na parterze panowała wieczna noc, a na pierwszym piętrze ponury półmrok. Sala fabryczna mieściła się na najwyższym piętrze, biura na pierwszym, a magazyny na parterze. Budynek był bardzo stary i urągał wszelkim zasadom higieny.

Pawełek obszedł za swoim przewodnikiem salę wokoło i znalazł się w odległym, ciemnym kącie.

— Tu mieści się dziewiarnia — powiedział urzędnik. — Należysz do tego działu i Papplewortha. On jest twoim szefem, ale jeszcze nie przyszedł. Nie zjawia się przed pół do dziewiątą. Jeśli chcesz, możesz tymczasem odebrać listy od pana Mellinga... tam, w końcu sali.

Młody człowiek wskazał starego urzędnika, siedzącego przy biurku.

— Dziękuję panu — powiedział Pawełek.

— Tu masz kołek do wieszania czapki, a tu rejestr do wpisywania zamówień. Pan Pappleworth przyjdzie niedługo.

Chudy młodzieniec oddalił się przemierzając długimi nerwowymi krokami drewnianą, dziurawą podłogę.

Po krótkiej chwili Pawełek przeszedł przez salę i stanął w drzwiach oszklonego kantorku. Stary urzędnik, w myccie na głowie, spojrział na niego sponad okularów.

— Dzień dobry — powiedział uprzejmie i jak gdyby z pewnym naciskiem. — Chcesz zabrać listy dla dziewiarni, Tomku?

Pawełek poczuł się dotknięty, że go nazwano Tomkiem. Ale wziął listy i powrócił do swego ciemnego kąta, gdzie pulpit przylegał bokiem do ściany, gdzie kończyła się długa, wielka półka i gdzie ponadto znajdowało się jeszcze troje drzwi. Usiadł na wysokim stołku i przeczytał listy — to znaczy te, które były napisane wyraźniejszym charakterem pisma. Treść ich była następująca:

„Proszę mi natychmiast przysłać parę damskich jedwabnych, elastycznych, długich pończoch bez stóp, takich samych, jakie miałam z waszej firmy w zeszłym roku. Długość uda do kolana itd.” Albo: „Major Chamberlain pragnie ponowić swe ostatnie zamówienie na jedwabny, nieelastyczny pas brzuszny”.

Wiele z tych listów, często pisanych po francusku i norwesku, było dla chłopca prawdziwą szaradą. Siedział na stołku, nerwowo i niespokojnie czekając przybycia „szefa”. Wycierpiał istne katusze i nie wiedział, gdzie się podziać z onieśmielenia, gdy o wpół do dziewiątej przedefilowały przed nim szeregiem dziewczęta, idące do fabryki na górę.

Pan Pappleworth, żując chlorodynowe pastylki, zjawił się mniej więcej za dwadzieścia dziewiąta, gdy reszta personelu pracowała już w najlepsze. Był to chudy człowiek z ziemistą cerą i czerwonym nosem, prędko i nerwowo, ubrany elegancko, choć nieco sztywnie. Miał około trzydziestu sześciu lat. Było w nim pewne podobieństwo do psa, jakaś zwinność, czujność i spryt, a zarazem jakieś ciepło i coś nieokreślonego, budzącego jak gdyby lekką wzgardę.

— To ty jesteś mój nowy chłopiec? — spytał.

Pawełek wstał z miejsca i odpowiedział, że tak.

— Odebrałeś listy?

Pan Pappleworth obrócił pastylkę w ustach.

— Tak.

— Przepisałeś je?

— Nie.

— No to jazda, zaraz się z tym załatwimy. Zmieniłeś kurtkę?

— Nie.

— Musisz sobie przynieść starą kurtkę i zostawiać ją tutaj.

Ostatnie słowa wypowiedział trzymając chlorodynową pastylkę ściśniętą między bocznymi zębami. Znikł w ciemnościach za wielką półką i po chwili ukazał się bez marynarki, zawijając mankiety eleganckiej koszuli w paski na chudych, owłosionych ramionach. Pawełek zauważył, że jest strasznie chudy i że jego spodnie mają z tyłu kilka zakładek. Pan Pappleworth chwycił stołek, przyciągnął go blisko chłopca i usiadł.

— Siadaj — powiedział.

Pawełek usłuchał.

Pan Pappleworth siedział tuż przy nim. Porwał paczkę listów z półki naprzeciwko, złapał długi skorowidz i otworzył go zamasyście. Chwycił w rękę pióro i powiedział:

— No, teraz uważaj. Przepiszesz tutaj te listy. — Pociągnął dwa razy nosem, przerzucił pastylkę w ustach, spojrzał uważnie na list i natychmiast stał się niezwykle skupiony. Pochłonięty pracą wpisywał szybko zamówienie do książki pięknym, kaligraficznym pismem. Rzucił Pawełkowi krótkie spojrzenie.

— Widziałeś?

— Tak.

— Myślisz, że potrafisz to zrobić?

— Tak.

— No, to w porządku. Zobaczymy, jak ci pójdzie.

Zeskoczył z taboretu. Pawełek ujął pióro. Pan Pappleworth znikł, Pawełek raczej z przyjemnością zabrał się do przepisywania listów, ale robił to powoli, mozolnie i niezwykle brzydko. Przepisywał właśnie czwarty list, gdy pan Pappleworth zjawił się z powrotem.

— Pokaż, jak ci tam idzie? Skończyłeś już?

Pochylił się nad ramieniem chłopca, ssąc pastylkę i rozsiewając woń chlorodyny.

— Niech cię Pan Bóg kocha, mój chłopcze, ależ z ciebie kaligraf! — zawołał ironicznie. — No, mniejsza z tym! Ile już napisałeś? Tylko trzy! Dawno bym już je połąknał. Pośpiesz się, mój chłopcze! I nie zapomnij ich ponumerować. O, spójrz! No, da-

lej!

Pawełek mozolił się nad listami, a pan Pappleworth krzątał się hałaśliwie, wykonując rozmaite czynności. Raptem chłopiec wstrząsnął się przerażony, gdyż tuż przy jego uchu rozległ się ostry gwizd. Pan Pappleworth podszedł do ściany, wyjął zatyczkę z wystającej tubki i zapytał nienaturalnie ostrym i władczym tonem:

— Tak? Słucham?

Pawełek usłyszał słaby, podobny do kobiecego głos, dobywający się z wylotu tubki. Patrzył zdumiony, nigdy jeszcze nie widział bowiem podobnej instalacji.

— Wobec tego — mówił pan Pappleworth nieuprzejmie do tubki — trzeba się było zająć jakąś zaległą robotą.

Znów dał się słyszeć wątyły głos kobiecy, cienki i poirytowany.

— Nie mam na to czasu, żeby tu stać i słuchać, co pani mówi — powiedział pan Pappleworth i zatknął wylot tubki kołkiem.

— Słuchaj no, chłopcze — zwrócił się błagalnie do Pawełka. — to Polly zaklina, żeby jej przysłać zamówienia. Czy nie mógłbyś się wziąć trochę w garść? No, dalej, jazda!

Ku wielkiej rozpaczy Pawełka zabrał mu książki i zaczął sam wpisywać listy. Pracował szybko i dobrze. Gdy skończył, chwycił jakieś długie paski żółtego papieru, szerokie na trzy cale, i wypisał na nich dzienne zamówienie dla robotnic.

— Uważaj, co robię — powiedział do Pawełka, nie zwalniając tempa pracy.

Pawełek patrzył na niesamowite rysunekzki nóg, ud i kostek, podkreślone w poprzek i oznaczone numerami, oraz na zwięzłe, krótkie wskazówki, które jego szef wypisywał na żółtych papierach. Pan Pappleworth skończył wreszcie robotę i zerwał się z krzesła.

— Chodź ze mną — powiedział. Powiewając żółtymi paskami wypadł przez drzwi, a następnie zbiegł po stromych schodkach do sutereny oświetlonej lampą gazową. Przeszli przez zimny, wilgotny skład, a potem długi, ponury pokój ze stołem na koźlach, do mniejszego, przyjemnego, niezbyt wysokiego pomieszczenia, które znajdowało się w przybudówce do głównego budynku. Jakaś niewielka kobieta, w czerwonej, wełnianej bluzce i z kokiem na czubku głowy, siedziała tu czekając, niby groźnie nastroszona do walki kurka-czubatka.

— No, zabierajcie się wreszcie szybko do roboty — powiedział pan Pappleworth.

— Szkoda, że pan się szybciej nie zabrał — zawołała Polly. — Dziewczęta czekają już dobre pół godziny. I pomyśleć tylko, co to za strata czasu!

— Niech pani lepiej myśli o tym, żeby robota była w porę oddana, zamiast tyle mówić — odparł pan Pappleworth. — Mogłyście wykańczać zaległości.

— Doskonale pan wie, że wszystko skończyliśmy w sobotę! — wpadła na niego Polly z czarnymi, iskrzącymi się ze złości oczami.

— Tu-tu-tu-ter-ter! — przedrzeźniał ją pan Pappleworth. — Oto wasz nowy chłopak. Tylko go nie zmarnujcie tak jak jego poprzednika.

— Tak jak jego poprzednika! — powtórzyła Polly. — Rzeczywiście, tylu ich już zmarnowałyśmy. Pozwolę sobie powiedzieć, że trudno kogoś jeszcze bardziej zmarnować, gdy miał już z panem do czynienia.

— A teraz do roboty, dość gadania — powiedział pan Pappleworth zimno i surowo.

— Już dawno należało się wziąć do roboty — odparła Polly odchodząc z głową wy-

soko wzniesioną do góry. Była to drobna, sztywno wyprostowana osóbka, lat około czterdziestu.

W pokoju tym stały na ławie pod oknem dwie maszyny na okrągłych podstawach. Za drzwiami w głębi widać było drugi, dłuższy pokój, a w nim jeszcze sześć maszyn. Mała grupka dziewcząt ubranych w czyste, białe fartuszki gawędziła z ożywieniem.

— Czy nie macie nic innego do roboty, tylko gadać? — zapytał pan Pappleworth.

— Jeszcze tylko czekać na pana — odparła śmiejąc się jakaś ładna dziewczyna.

— No, dalej, zabierajcie się do roboty — powiedział pan Pappleworth. — Chodź, mój chłopcze, będziesz już wiedział, jak tu trafić.

Pawełek pobiegł za swym szefem na górę. Dostał teraz jakieś kolumny cyfr do sprawdzenia oraz wystawiał rachunki. Stał przy pulpicie, wypisując je swym szkaradnym charakterem pisma. W pewnej chwili pan Jordan opuścił z powagą oszklony kantorek i, ku wielkiemu zakłopotaniu chłopca, zatrzymał się za jego plecami. Nagle czerwony, gruby palec uderzył w formularz, który Pawełek właśnie wypełniał.

— Mr. J. A. Bates, Esquire! — wykrzyknął gniewny głos w samo ucho chłopca.

Pawełek spojrział na „Mr. J. A. Bates” wypisane jego własnym, szkaradnym pismem i zupełnie nie mógł zrozumieć, o co tym razem mogło panu Jordanowi chodzić.

— Czy cię tego nie nauczono w szkole? Jak się pisze Mr., to nie pisze się Esquire... Człowiek nie może być jednym i drugim naraz.

Chłopiec pożałował teraz, że tak hojnie szafował tytułami. Zawahał się przez chwilę, a potem drżącymi palcami wydrapał „Mr.” W tejże chwili pan Jordan porwał rachunek z biurka.

— Wypisz drugi! Chcesz coś takiego wysłać dżentelmenowi? — I ze złością podał niebieski formularz na strzępy.

Pawełek zaczął pisać od nowa, zaczerwieniony po uszy ze wstydu. Pan Jordan stał i patrzył w dalszym ciągu.

— Nie rozumiem, czego teraz uczą w tych szkołach. Musisz starać się porządniej pisać. Chłopcy nie umieją teraz nic więcej, jak recytować wiersze i grać na skrzypcach. Czy pan widział jego pismo? — zwrócił się do pana Papplewortha.

— Tak. Śliczne, prawda? — spokojnie odparł pan Pappleworth.

Pan Jordan chrząknął cicho, w sposób nawet dość przyjemny. Pawełek odgadł, że jego dyrektor należy do tych, którzy groźniej warczą, jak kęsażą. I w istocie mały fabrykant, aczkolwiek mówił złą angielszczyzną, był dżentelmenem; pozostawiał swoich pracowników w spokoju i nie zwracał uwagi na drobiazgi. Wiedział jednak, że nie wygląda na szefa i właściciela swojego przedsiębiorstwa, grał więc zazwyczaj rolę surowego zwierzchnika, aby ustalić właściwy porządek rzeczy.

— Aha... powiedz mi jeszcze, jak się nazywasz? — spytał pan Pappleworth chłopca.

— Paweł Morel.

Jakie to dziwne, że dzieci cierpią tak głęboko, gdy muszą głośno wypowiedzieć swoje nazwisko.

— Paweł Morel, czy tak? A więc, Pawle Morel, zostaw już tę całą robotę

i...

Pan Pappleworth zasiadł na stołku i zaczął pisać. Jakaś dziewczyna weszła przez drzwi znajdujące się tuż za ich plecami, położyła na pulpicie kilka sztuk wyrobów z

elastycznej tkaniny i natychmiast wyszła. Pan Pappleworth wziął do ręki niebieskawobiałą opaskę na kolano, sprawdził ją szybko, porównując z żółtym kwitkiem zamówienia, i odłożył na jedną stronę biurka. Następnym eksponatem była cielistoróżowa noga. Obejrzał jeszcze kilka innych wyrobów, wypisał parę zamówień i zawołał Pawełka, by z nim poszedł. Tym razem wyszli drzwiami, w których zniknęła dziewczyna. Pawełek znalazł się na szczycie małych, drewnianych schodków i zobaczył w dole dużą salę, z oknami po obu stronach, w której przeciwnym końcu siedziało sześć dziewczyn, schylonych nad stołem, w kręgu padającego przez okna światła, i zajętych szyciem. Śpiewały chórem: „Dwie błękitne dziewczynki”. Gdy usłyszały otwierające się drzwi, wszystkie obejrzały się jednocześnie i zobaczyły pana Papplewortha z Pawełkiem, spoglądających na nie ze szczytu schodków, przez całą długość sali. Umilkły.

— Czy nie mogłybyście robić trochę mniej hałasu? — powiedział pan Pappleworth. — Ludzie gotowi pomyśleć, że trzymamy tu koty.

Jakaś garbata kobieta, siedząca na wysokim stołku, zwróciła swą długą, smutną twarz w jego stronę i powiedziała głębokim kontraltem:

— W takim razie oni wszyscy są kocurami.

Na próżno pan Pappleworth wysiłał się, żeby okazać się ważną personą w oczach Pawełka. Zbiegł po schodkach do wykańczalni i podszedł do garbatej Fanny, która siedziała na swoim wysokim stołku; miała tak krótki korpus, że jej głowa w aureoli jasnokasztanowatych włosów wydawała się o wiele za duża, podobnie zresztą jak jej blada, smutna twarz. Miała na sobie zielonkawoczną, kaszmirową suknię. Jej płaskie i cienkie przeguby rąk wysunęły się spod zbyt krótkich mankietów, gdy nerwowym ruchem upuściła swoją robotę. Pan Pappleworth pokazał jej jakiś defekt w opasce na kolano.

— Nie wiem, czemu zwala pan to na mnie — powiedziała. — To nie moja wina. — Zaczerwieniła się przy tym mocno.

— Wcale nie powiedziałem, że to twoja wina. Czy poprawisz to tak, jak ci mówiłem? — odparł pan Pappleworth krótko.

— Nie mówi pan, że to moja wina, ale robi pan wszystko, żeby na to wyszło — zawołała garbuska, bliska łez. Wyrwała opaskę swemu „szefowi”. — Zrobię to dla pana — rzekła — ale nie musi pan być zaraz taki przykry.

— To jest wasz nowy chłopak — powiedział pan Pappleworth.

Fanny obróciła się i bardzo mile uśmiechnęła do Pawełka.

— Och! — wykrzyknęła.

— Właśnie. Nie zróbcie tu tylko z niego lalusia.

— Może pan być spokojny, że to nie my zrobimy z niego lalusia — odpasła urażona.

— No chodź, Pawle, idziemy — rzekł pan Pappleworth.

— *Au revoir*, Pawle — powiedziała jedna z dziewcząt.

Rozległ się stłumiony chichot. Pawełek wyszedł, czerwony po uszy, nie odezwawszy się cały czas ani słowem.

Dzień dłużył mu się bardzo. Przez cały ranek przychodzili do pana Papplewortha robotnicy z jakimiś pytaniami. Pawełek pisał coś i uczył się robić paczki, które musia-

ły być gotowe do wysyłki południową pocztą. O pierwszej, a raczej za kwadrans pierwsza, pan Pappleworth znikł, aby zdążyć na swój pociąg. Mieszkał na przedmieściu. Pawełek, który czuł się zupełnie zagubiony, zszedł ze swoim obiadowym koszykiem do magazynu na dole i pośpiesznie

TLR

połknął posiłek, siedząc samotnie w ponurej, chłodnej piwnicy. Potem wybiegł na dwór. Ożywiony ruch i gwar uliczny nastroił go radośnie, wzbudzając w nim chęć przygód. Ale już o drugiej siedział z powrotem w kącie dużej sali. Po chwili znów przedelfilowały przed nim wracające po przerwie robotnice, które szeptały sobie na ucho jakieś uwagi. Były to proste dziewczęta, zatrudnione na górze i wykonujące ciężkie, fizyczne prace przy wiązaniu balotów i wykańczaniu sztucznych kończyn. Pawełek czekał na pana Papplewortha; nie wiedząc, co ma robić, bazgrał na żółtych kwitach zamówieniowych. Pan Pappleworth wrócił za dwadzieścia trzecia. Usiadł i zaczął gawędzić z Pawełkiem, traktując go jak kogoś zupełnie sobie równego, nawet wiekiem.

Po południu nie było nigdy zbyt wiele roboty, chyba że zbliżał się koniec tygodnia i trzeba było robić obliczenia. O piątej wszyscy mężczyźni schodzili do ciemnej kaza-maty ze stołem na kozłach i tu pili herbatę oraz jedli przyniesiony z domu chleb z ma-słem kładąc go na gołych, brudnych deskach stołu. Rozmawiali przy tym z takim sa-mym obrzydliwym pośpiechem i równie ordynarnie, jak jedli. A przecież na górze pa-nował wśród nich zawsze wesoły, pogodny nastrój. Piwnica i stoły na kozłach najwi-doczniej zgubnie na nich oddziaływały.

Po herbacie, gdy paliły się już wszystkie lampy gazowe, praca szła szybciej. Trzeba było przygotować wielką pocztę wieczorną do wysyłki. Pończochy przychodziły z warsztatu jeszcze ciepłe, wprost spod prasy. Pawełek skończył wypisywać rachunki. Teraz musiał pakować i adresować, a w końcu zważyć cały stos swoich paczek. Ze-wsząd rozlegały się głosy wywołujące wagę paczek, słychać było szczęk metalu i krótki, szybki świst urywanego sznurka. Wszyscy biegali do starego pana Mellinga po znaczki. W końcu przyszedł listonosz z worem, roześmiany i wesoły. Wreszcie ustał wszelki ruch i Pawełek, schwyciwszy swój obiadowy koszyk, pobiegł na stację, aby zdążyć na pociąg odchodzący o ęsmiej dwadzieścia. Dzień pracy w fabryce trwał pełne dwanaście godzin.

Matka siedziała w kuchni, oczekując go z niepokojem. Musiał iść z Keston pieszo, zjawił się więc w domu dopiero dwadzieścia po dziewiątej. Nazajutrz znów wyszedł o siódmej rano. Pani Morel bała się o jego zdrowie. Sama jednak zmuszona była tak ciężko pracować i z takim trudem dawać sobie radę, że oczekiwała tego samego od swoich dzieci. Musiały podołać wszelkim obowiązkom, jakie na nie w życiu spadały. Pawełek pozostał więc u Jordana, choć przez cały czas pracy w tej fabryce zdrowie chłopca poważnie cierpiało z powodu braku światła i powietrza oraz zbyt długich go-dzin pracy.

Wrócił blady i zmęczony. Matka spojrzała na niego. Zobaczyła, że jest raczej zado-wolony, i jej niepokój rozwiął się w jednej chwili.

— No, jak tam było? — spytała.

— Bardzo zabawnie, mamó — odparł. — Nic tam nie ma ciężkiego do roboty i wszyscy są bardzo mili.

— A jak ci poszło?

— Dobrze. Tylko mówili, że brzydko piszę. Ale pan Pappleworth... to mój szef... powiedział do pana Jordana, że wszystko będzie dobrze. Jestem w dziewiarni, mamó. Musisz przyjść zobaczyć. Bardzo tam jest przyjemnie.



Wkrótce Pawełek polubił pracę u Jordana. Pan Pappleworth, który przesiąknięty był jakąś wonią, nieco przypominającą aromaty sali restauracyjnej, był zawsze bardzo swobodny i traktował Pawełka po koleżeńsku. Czasem „szef działu” bywał zdenerwowany i ssał jeszcze większe ilości pastylek chlorodynowych niż zwykle. Ale nawet wówczas nie był dokuczliwy. Należał do ludzi, którzy swoją nerwowością wyrządzają znacznie więcej krzywdy samym sobie niż otoczeniu.

— Jeszcze tego nie zrobiłeś? — krzyczał na przykład. — Skończysz to chyba na święty nigdy.

Po chwili (Pawełkowi było wtedy najtrudniej go zrozumieć) znów żartował i był w dobrym humorze.

— Przyprawdę jutro moją terierkę — uroczyście oświadczył Pawełkowi.

— Jak ona wygląda?

— Nie wiesz, jak wygląda terierka? On nie wie, jak wygląda terierka... — Panu Pappleworthowi zabrakło słów ze zdumienia.

— Czy ona jest taka mała, jedwabista... ciemna jak żelazo, ze srebrnymi cętkami?

— O, właśnie taka, mój chłopcze. To brylant. Miała już szczenięta, za które wzięłem pięć funtów, a sama warta jest więcej niż siedem. I nie waży nawet dwudziestu uncji.

Następnego dnia zjawiała się suczka. Była to drżąca, nieszczęsna kruszynka. Pawełkowi nie podobała się wcale. Wyglądała jak mokra ścierka, która nigdy nie wyschnie. Potem przyszedł po nią jakiś mężczyzna i zaczął mówić mało wybredne dowcipy. Ale pan Pappleworth znacząco wskazał głową Pawełka i dalsza rozmowa potoczyła się *sotto voce*.

Pan Jordan tylko raz jeszcze wybrał się na inspekcję do Pawełka i miał mu do zarzucenia jedynie to, że odkłada pióro na pulpit.

— Wkładaj pióro za ucho, jeśli masz zamiar zostać urzędnikiem. Za ucho! — Pewnego zaś dnia spytał chłopca: — Czemu nie trzymasz się prościej? Chodź ze mną. — I zaprowadził go do oszklonego kantorka, gdzie obdarował go specjalnymi szelkami, prostującymi ramiona.

Ale Pawełek najbardziej lubił dziewczęta. Mężczyźni wydawali mu się pospolici i trochę nudni. Lubiał ich wszystkich, ale byli mało ciekawi. Polly, drobna, ruchliwa nadzorczyń z parteru, zastawszy Pawełka samotnie jedzącego swój chleb w piwnicy, spytała, czy nie mogłaby mu czegoś ugotować na swoim małym piecyku. Następnego dnia matka przygotowała mu potrawę, którą można było odgrzać. Zaniósł ją do miłego, schludnego pokoiku Polly. Wkrótce weszło w zwyczaj, że jadał z nią razem obiady. Przyszedłszy do fabryki o ósmej rano, zanosił jej swój koszyk, a gdy zbiegał na dół o pierwszej, czekała już na niego z gorącym obiadem.

Pawełek był średniego wzrostu i blady. Miał gęstą, kasztanową czuprynę, nieregularne rysy twarzy oraz duże, pełne usta. Polly była podobna do małego ptaszka. Nazywał ją często „szczygiełkiem”. Chociaż był trochę nieśmiały, całymi godzinami przesiadywał z nią, gawędząc przyjaźnie i opowiadając jej o swoim domu. Wszystkie dziewczęta lubiły słuchać, gdy coś opowiadał. Gromadziły się wokół niego ciasnym kręgiem, on zaś zasiadał na stole i śmiejąc się wygłaszał do nich przemowy. Niektóre uważały go za dziwnego chłopca, był bowiem taki poważny i zarazem żywy, wesoły, a w stosunku do nich zawsze bardzo delikatny. Wszystkie go lubiły, on zaś je uwiel-

biał. Polly oddany był całym sercem, a Connie, z aureolą bujnych, rudych włosów, z cerą delikatną jak płatek jabłoni i cichym głosem, wyglądająca w swej skromnej czarnej sukience jak prawdziwa dama — przemawiała do romantycznej strony jego duszy.

— Kiedy siedzisz i zwijasz nić — mówił — wydaje mi się, że przedziesz na kołowrotku... I to jest śliczne. Przypominasz mi wtedy Elaine z „Królewskiej sielanki”. Narysowałbym cię, gdybym potrafił.

Connie spoglądała na niego i rumieniła się nieśmiało. W jakiś czas potem naszkicował portrecik, o którym miał wysokie mniemanie: Connie, z bujnymi, rudymi włosami spływającymi na czarną, wypełzłą sukienkę i stulonymi poważnie, czerwonymi wargami, siedziała na stołku na wprost ogromnego koła, przewijając fioletową nitkę z wielkiego zwoju na szpulę.

Z śmiałą i ładną Louie, która stale przybierała na jego widok zaczepną postawę, chętnie żartował.

Emma była raczej pospolita, trochę starsza i lubiła przybierać protekcyjny ton. Okazywanie Pawełkowi swej wyższości sprawiało jej ogromną przyjemność, on zaś niewiele sobie z tego robił.

— Jak się zakłada igły? — pytał.

— Idź sobie stąd i nie nudź.

— Ale ja powinienem wiedzieć, jak się zakłada igły.

Przez cały czas pilnie pracowała na swojej maszynie.

— Wielu rzeczy powinieneś się jeszcze nauczyć — mówiła.

— Powiedz mi więc, jak się zakłada igły.

— Ach, co za nudziarz z tego chłopaka. No więc patrz, tak się to robi.

Śledził uważnie jej ruchy. Nagle zawył gwizdek. Zaraz potem ukazała się Polly i zapytała bardzo głośno:

— Pan Pappleworth pragnie wiedzieć, Pawle, jak długo jeszcze będziesz siedział tu na dole i żartował z dziewczętami.

Pawełek uciekł na górę wołając: „Do widzenia!”, Emma zaś wyprostowała się godnie.

— To nie ja go prosiłam, żeby się bawił maszyną — rzekła.

Dziewczęta wracały zazwyczaj wszystkie razem koło drugiej i Pawełek

biegł wtedy na górę do wykańczalni, królestwa Fanny-garbuski. Pan Pappleworth nigdy nie zjawiał się w biurze wcześniej jak za dwadzieścia trzecia i najczęściej znajdował swego pomocnika u boku Fanny. Pawełek rozmawiał, rysował albo śpiewał chórem z dziewczętami.

Często, po chwili wahania, Fanny inaugurowała śpiew. Miała piękny kontralt. Wszyscy przyłączali się do niej i śpiewali dalej zgodnym chórem. W krótkim czasie Pawełek wcale nie czuł się skrepowany pozostając w pokoju w towarzystwie sześciu młodych robotnic.

Przy końcu pieśni Fanny mówiła:

— Wiem, że śmieliście się ze mnie.

— Nie bądź taka niemądra, Fanny! — zawołała jedna z dziewcząt.

Pewnego razu ktoś wspomniał o rudych włosach Connie.

— Uważam, że Fanny ma ładniejsze — oświadczyła Emma z przekonaniem.

— Nie rób ze mnie pośmiewiska — powiedziała Fanny rumieniąc się gwałtownie.  
— Ach, wcale nie. Ona ma naprawdę śliczne włosy, Pawle.  
— Mają wspaniały kolor — powiedział. — Są szare jak popiół, a przy tym lśniące.  
Jak stojąca woda w bagnisku.

— Święty Boże! — wykrzyknęła jedna z dziewcząt śmiejąc się.  
— Co ja zrobiłam, że się tak ze mnie wyśmiewacie — żaliła się Fanny.  
— Musisz je zobaczyć rozpuszczone — zawyrokowała poważnie Emma. — Są do-  
prawdy cudowne. Rozpleć je, Fanny, bo może Paweł szuka czegoś pięknego do ma-  
lowania.

Fanny miała na to ochotę, ale wzdragała się trochę.

— Wobec tego rozplotę ci je sam — powiedział chłopiec.

— Proszę cię bardzo, jeśli masz ochotę — rzekła Fanny.

Pawełek wyjął ostrożnie szpilki z bujnego wężła na jej karku i masa gęstych, ciem-  
nobrązowych włosów spłynęła na garbate plecy.

— Cóż za bogactwo! — wykrzyknął.

Dziewczęta patrzyły z zachwytem. Wszyscy milczeli. Chłopiec uwolnił włosy z  
wiewiór i rozrzucił je swobodnie.

— Wspaniale! — powiedział wciągając ich zapach. — Z pewnością warte są mają-  
tek.

— Zapiszę ci je w spadku, Pawle — obiecała Fanny, na pół żartem.

— Wyglądasz teraz, jak każda normalna kobieta susząca włosy po myciu — powie-  
działa jedna z dziewcząt biednej, długonogiej garbusce.

Biedna Fanny była chorobliwie przeczulona i we wszystkim doszukiwała się znie-  
wagi. Polly natomiast była zdecydowana i rzeczowa. Oba działy prowadziły z sobą  
wieczną wojnę i Pawełek najczęściej zastawał Fanny w łzach. Z czasem stał się po-  
wiernikiem wszystkich jej bólów i skarg, broniąc jej potem wytrwale przed Polly.

Życie płynęło mu teraz dość przyjemnie. W fabryce wszyscy czuli się jak u siebie w  
domu. Nikogo tu nie pilnowano ani nie ponaglano do pracy. Pawełka zawsze bardzo  
cieszyło, gdy przed samym odejściem poczty robota szła szybciej i wszyscy mężczyź-  
ni łączyli się w pracy. Lubił obserwować swych kolegów-urzędników przy pracy.  
Człowiek utożsamiał się z pracą, a praca z człowiekiem — tworząc w danej chwili  
nierozzerwalną całość. Zupełnie inaczej rzecz miała się z dziewczętami. Prawdziwa  
kobieta nigdy nie jest w pełni obecna przy swoim warsztacie, lecz błądzi gdzieś my-  
śłami, w wiecznym oczekiwaniu.

Wracając wieczorem do domu Pawełek z okna pociągu obserwował światła Nottin-  
gham, rozsiane gęsto na wzgórzach, a w dolinach zlewające się w łunę blasku. Pory-  
wał go wartki prąd życia i czuł się szczęśliwy. Trochę dalej mijał rozlaną plamę świa-  
teł Bulwell, jak gdyby osiadły tu na ziemi miliardy płatków opadających z gwiazd. W  
dali płonęła smuga purpury nad wielkimi piecami hut, gorącym oddechem rozświeca-  
jąc obłoki.

Pawełek musiał iść pieszo dwie mile z Keston do domu, pokonując dwa długie  
wzgórza i schodząc z dwóch krótkich zboczy. Często był bardzo zmęczony i pnąc się  
pod górę liczył migoczące przed nim światła, aby wiedzieć, ile mu ich jeszcze zostaje  
do przebycia. W ciemne jak smoła noce patrzył ze szczytu wzgórz na położone wkoło,

w promieniu pięciu czy sześciu mil, miasteczka. Świeciły jak rój skrzących się żywych owadów i wydawało mu się niemal, że ma sklepienie niebieskie pod swymi stopami. Marlpool i Heanor rozwidniały daleką ciemność przyćmionym blaskiem. Od czasu do czasu czarną przepaść doliny, rozciągającej się między nimi i Pawełkiem, przecinał mącąc jej ciszę długi pociąg, pędzący na południe do Londynu lub na północ do Szkocji. Pociągi przelatywały z świstem jak pociski, poziomą smugą przecinając ciemności, dymiąc i sypiąc iskrami oraz rozdzwaniając dolinę echem swojego pędu. Znikały, a światła wsi i miasteczek spokojnie migotały w ciszy.

Docierał wreszcie do znajomego narożnika domu, poza którym rozciągała się druga otchłań nocy. Stary jesion wydawał się teraz przyjacielem. Matka radośnie wstawiała z miejsca, gdy wchodził. Przy końcu pierwszego tygodnia z dumą położył swoich osiem szylingów na stole.

— Czy ci to coś pomoże, mamó? — spytał z nadzieją w głosie.

— Niewiele z tego zostanie — odparła — gdy się odliczy bilet, twój obiad i różne inne wydatki.

Opowiadał jej po kolei wszystko, co zdarzyło się w ciągu dnia. Opowieść jego, jak w „Baśniach z tysiąca i jednej nocy”, wieczór po wieczorze snuła się przed oczami matki. Zdawało jej się niemal, że wszystko to przeżywa sama.

## ŚMIERĆ SYNA

Artur Morel wyrastał już z wieku dziecięcego. Był żywym, lekkomyślnym i impulsywnym chłopcem, pod wieloma względami bardzo podobnym do ojca. Nie cierpiał nauki, podnosił wielki lament, gdy musiał trochę popracować, i gdy tylko się dało, uciekał z powrotem do swoich zabaw.

Wyrósł najpiękniej z całej rodziny. Był zgrabny, pełen wdzięku i życia. Ciemno-kasztanowe włosy, świeże rumieńce i wspaniałe, ciemnoniebieskie oczy, ocienione długimi rzęsami, wespół ze swobodnym zachowaniem i wybuchowym temperamentem, czyniły go powszechnym ulubieńcem. Ale w miarę jak podrastał, zaczynał być kapryśny i niezrównoważony. Wpadał w pasję z najbliższego powodu i trudno z nim było wtedy wytrzymać, taki był opryskliwy i przeczulony.

Matka, którą kochał, była nim czasem niewypowiedzianie zmęczona. Myślał tylko i wyłącznie o sobie. Jeśli pragnął się bawić, nienawidził wszystkiego, co mu stało na przeszkodzie, nawet gdy to była matka. Kiedy miał jakieś zmartwienie, użalał się przed nią bez końca.

— Na litość boską, chłopcze! — mówiła, gdy wyrzekał na nauczyciela, który jego zdaniem go nie lubił. — Jak ci się coś nie podoba, staraj się to zmienić, a jeśli nie będziesz mógł nic poradzić, pogódź się z tym.

Ojca, którego dawniej kochał i który odwzajemniał mu się bezgraniczną miłością, teraz nienawidził. Morel, posuwając się w latach, staczał się powoli ku zupełnej ruinie. Jego z natury piękne i harmonijne w ruchach ciało nie rozkwitało dojrzałością, lecz usychało — zużyte i wynędzniałe. Stał się pospolity i niemal odpychający zewnątrz. I kiedy ów zaniedbany, starzejący się człowiek krzyczał na niego lub próbował mu wydawać sprzeczne polecenia, Artur wpadał w pasję. Na dobitkę manieri Morela zaczynały być coraz gorsze, a jego nawyki wręcz odrażające. Gdy dzieci dorastały i przechodziły krytyczny okres dojrzewania, ojciec był dla nich istną zmorą. Zachowywał się w domu tak samo, jak w kopalni wśród górników.

— Wstrętny dziadyga! — krzyczał Artur zrywając się z miejsca i wybiegając z domu, gdy ojciec wzbudził w nim ostateczne obrzydzenie. Morel zachowywał się szczególnie ordynarnie, gdy widział, że dzieci tego nienawidzą. Zdawał się doświadczać specjalnej przyjemności obrzydzając im życie i doprowadzając je niemal do szaleństwa, gdy w wieku czternastu lub piętnastu lat były szczególnie nerwowe i pobudliwe. Artur, który dorastał, gdy ojciec był już stary i fizycznie niesprawny, nienawidził go jeszcze bardziej niż reszta rodzeństwa.

Czasem mogło się zdawać, że ojciec widzi i wyczuwa nienawiść swych dzieci.

— Nie ma drugiego człowieka, który by ciężiej harował dla swojej rodziny! — krzyczał. — Daje im z siebie wszystko, co najlepsze, a oni za to traktują go jak psa! Ale nie mam zamiaru tego dłużej znosić, zapamiętajcie to sobie!

Gdyby nie ta pogróżka i fakt, że w rzeczywistości wcale się dla nich tak nie zameczał, jak mu się zdawało — może byłoby im przykro. W istniejącym jednak stanie

rzeczy między ojcem i dziećmi toczyła się nieustanna walka. Morel z uporem trwał przy swoich ordynarnych, wstrętnych nawykach, aby w ten sposób zadokumentować zupełną niezależność. Dzieci zaś żywiły głęboki wstręt do niego.

Artur stał się w końcu taki nerwowy i tak łatwo wpadał w pasję, że gdy uzyskał stypendium do szkoły średniej w Nottingham, matka postanowiła urządzić go w mieście, u jednej ze swych siostr. Do domu miał przyjeżdżać tylko na soboty i niedziele.

Ania była nadal młodszą nauczycielką w szkole powszechnej i zarabiała około czterech szylingów tygodniowo. Wkrótce jednak, po złożeniu egzaminów, zarobki jej miały wzrosnąć do piętnastu szylingów i wówczas nie byłoby już w domu kłopotów materialnych.

Pani Morel przyłgnęła teraz całym sercem do Pawełka. Był spokojny i nie wyróżniał się zbyt wielkim polotem. W dalszym ciągu poświęcał się całkowicie swojemu malarstwu oraz matce. Wszystko, co czynił, było z myślą o niej. Oczekiwała wieczorami jego powrotu i z prawdziwą ulgą zwierzała mu się z wszystkiego, co jej ciążyło na sercu, lub opowiadała, co zaszło w ciągu dnia, gdy go nie było. Siedział i słuchał z powagą. Tych dwoje wzajemnie dzieliło z sobą życie.

William zaręczył się ze swoją piękną brunetką i kupił jej zaręczynowy pierścionek, który kosztował osiem gwinei. Dzieciom zaparło dech w piersiach, gdy usłyszały tę astronomiczną sumę.

— Osiem gwinei! — powiedział Morel. — Zgłupiał zupełnie. Gdyby mi dał z tego trochę, już ja bym lepiej umiał to spożytkować.

— Dać ci trochę? — wykrzyknęła pani Morel. — Ciekawa jestem, z jakiej racji miałby ci dawać pieniądze!

Pamiętała, że nie kupił jej w ogóle zaręczynowego pierścionka, i wołała Williama, który przynajmniej nie był skąpy, choć może był szalony. Młody człowiek pisał teraz tylko o zabawach, na które chodził ze swoją narzeczoną, i o rozmaitych olśniewających toaletach, w których występowała, albo też zwierzał się matce z zapałem, jak wybrali się do teatru niby jacyś wielcy państwo.

Chciał przywieźć narzeczoną do domu. Pani Morel napisała, żeby przyjechała na Boże Narodzenie. Tym razem William zjawił się z piękną damą, ale bez prezentów. Pani Morel przygotowała dla nich kolację. Usłyszawszy ich kroki, wstała i wyszła do drzwi. William wszedł pierwszy.

— Dzień dobry, mammo! — Pocałował matkę pośpiesznie i odsunął się szybko na bok, aby odsłonić wysoką, ładną pannę w eleganckim kostiumie w czarno-białą kratkę, z futrzanym przybraniem.

— Oto Gyp, mammo!

Panna Western wyciągnęła rękę i ukazała rząd pięknych zębów w olśniewającym półuśmiechu.

— Dobry wieczór. Jak się pani miewa? — zawołała.

— Boję się, że będziecie głodni — rzekła pani Morel.

— O nie! Jedliśmy obiad w pociągu. Czy masz moje rękawiczki, Ptasiu?

William Morel, wielki i barczysty, rzucił jej szybkie spojrzenie.

— Nie. Czemu miałbym je mieć?

— W takim razie zgubiłam je. Nie gniewaj się na mnie.

Przez twarz Williama przemknął jakiś cień, ale nie powiedział ani słowa. Rozejrzała się po kuchni. Wydała jej się mała i zabawna, wraz z połyskującą świecidełkami wiązanką jemioly, gałązkami bukszpanu zatkniętymi za obrazki, prostymi krzesłami i małym, zbitym z desek stołem. W tejże chwili wszedł do domu Morel.

— Halo, tatusiu!

— Halo, synku!

Mężczyźni uścisnęli sobie ręce i William przedstawił ojcu młodą piękność. Uśmiechnęła się w ten sam sposób co uprzednio, ukazując białe równe zęby.

— Jak się pan miewa?

— Bardzo dobrze i mam nadzieję, że pani też. Niech pani się czuje u nas jak u siebie w domu.

— O, bardzo dziękuję — odparła nieco ubawiona.

— Pewno będzie pani chciała pójść na górę? — rzekła pani Morel.

— Jeśli można. Ale nie chciałabym sprawiać pani żadnego kłopotu.

— To żaden kłopot. Ania panią zaprowadzi. Walterze, zanieś walizkę.

— Tylko nie strój się godzinami — powiedział do swej narzeczonej William.

Ania wzięła ciężki, mosiężny lichtarz i nieśmiało poprowadziła młodą damę do sypialni na górze, z której usunęli się dla niej państwo Morel. Był to mały i zimny pokój, nie wyglądał przytulnie w mdłym świetle świecy. Żony górników rozpalają ogień w sypialni jedynie w wypadku ciężkiej choroby.

— Czy mam otworzyć walizkę? — spytała Ania.

— O, bardzo dziękuję!

Ania odegrała do końca rolę pokojówki, a potem zeszła na dół po gorącą wodę.

— Myślę, że jest trochę zmęczona, mamó — powiedział William. — To diabelna podróż. I okropnie śpieszyliśmy się przed wyjazdem.

— Czy nie trzeba jej czegoś? — spytała pani Morel.

— Ach nie, wszystko jest na pewno w porządku.

Ale w domu zapanował jakiś chłód. Panna Western zeszła na dół po pół godzinie, ubrana w purpurową suknię, niezwykle strojną jak na kuchnię górniczej rodziny.

— Mówiłem ci, że możesz się nie przebierać — powiedział William.

— Och, Ptasiu! — Zwróciła się ze swoim słodziutkim uśmiechem do pani Morel. — Czy pani nie uważa, że on wciąż tylko na mnie gderze?

— Naprawdę? — rzekła pani Morel. — To bardzo nieładnie z jego strony.

— Właśnie!

— Pewnie pani zimno — rzekła matka. — Może pani siądzie bliżej ognia?

Morel zerwał się ze swego fotela.

— Niech pani tu siada! — zawołał. — Proszę bardzo, niech pani tu siada!

— Nic podobnego, tatusiu, nie wstawaj ze swego fotela. Siądź na kanapie, Gyp — powiedział William.

— Nie, nie! — upierał się Morel. — Fotel jest najcieplejszy. Niech pani tu siada, panno Western.

— Bardzo panu dziękuję — powiedziała dziewczyna, sadowiac się na honorowym miejscu w fotelu. Zadrżała czując, jak ją przenika panujące w kuchni ciepło.

— Przynieś mi moją chusteczkę, Ptasiu! — poprosiła wysuwając w jego stronę

usteczka i przybierając ów specyficznie poufały ton, jak gdyby byli zupełnie sami w pokoju. Reszta rodziny odniosła wrażenie, że ich obecność jest zgoła zbędna.

Młoda dama wyraźnie nie uważała ich za godnych uwagi ludzi, byli dla niej na razie po prostu jakimiś stworzeniami. William zmarszczył czoło.

W ich skromnym domku w Streatham panna Western czuła się damą łaskawie zniżając się do ich poziomu. Z pewnością wydawali się jej bardzo nieokrzesani. Należeli do klasy robotniczej. Jakże miała się do nich zniżyć?

— Ja pójdę — zaofiarowała się Ania.

Panna Western nie zwróciła na to najmniejszej uwagi, tak jakby odezwała się służąca. Ale gdy Ania wróciła z góry z chusteczką, powiedziała z wdzięcznym uśmiechem: — O, bardzo dziękuję!

Siedziała opowiadając o obiedzie, który zjedli w pociągu i który był bardzo marny, o Londynie, o zabawach i tańcach. W rzeczywistości była bardzo zdenerwowana i nie przestawała mówić. Morel siedział cały czas w milczeniu, paląc swoje grubo skręcone papierosy, puszczając kłęby dymu i patrząc na nią oraz słuchając jej płynnej, londyńskiej wymowy. Pani Morel, ubrana w najlepszą czarną jedwabną bluzkę, odpowiadała na pytania spokojnie i raczej krótko. Trójka dzieci siedziała wokoło w milczącym zachwycie. Panna Western wydawała im się księżniczką. Wszystko, co mieli najlepszego, zostało na jej cześć wydobyte z ukrycia. Najlepsze filiżanki i łyżeczki, najpiękniejszy obrus i najładniejszy dzbanek do kawy. Dzieci uważały, że wszystko to musi się jej wydawać wspaniałe. Ona zaś czuła się obco, niezdolna ich zrozumieć, nie wiedząc, jak się ma do nich odnosić. William żartował, lecz wyraźnie był skrepowany.

Około dziesiątej powiedział:

— Czy nie jesteś zmęczona, Gyp?

— Troszkę, Ptasiu — powiedziała przybierając od razu ów specyficznie poufały ton i lekko przechylając główkę na bok.

— Pójdę zapalić jej świecę, mamó — powiedział William.

— Idź — odparła matka.

Panna Western wstała i wyciągnęła rękę do pani Morel.

— Dobranoc pani — powiedziała.

Pawełek siedział przy kociołku, z podstawioną pod kranik kamienną butelką po piwie. Ania owinęła ją w starą barchanową bluzę Morela i ucałowała matkę na dobranoc. Miała dzielić pokój z księżniczką, gdyż dom był przepełniony.

— Zaczekaj chwilę — powiedziała pani Morel do Ani. I Ania usiadła piastując butelkę z gorącą wodą na kolanach. Panna Western ku ogólnemu zakłopotaniu podała wszystkim po kolei rękę na pożegnanie i odeszła, poprzedzana przez Williama. W pięć minut znalazł się z powrotem na dole. Było mu ciężko na duszy, choć sam nie wiedział dlaczego. Nie brał też prawie udziału w rozmowie, póki wszyscy nie rozeszli się na spoczynek, pozostawiając go samego z matką. Stał wtedy w swojej ulubionej pozycji, z szeroko rozstawionymi nogami na dywaniku przed kominkiem, i spytał niepewnie:

— No i jak, mamó?

— No i jak, synku?

Siedziała w fotelu na biegunach, czując się nieco dotknięta i urażona w imieniu



swego syna.

— Czy ci się podoba?

— Tak — padła powolna odpowiedź.

— Jest jeszcze onieśmielona, mamó. Ona nie jest przyzwyczajona do naszych warunków. W domu jej ciotki wszystko jest zupełnie inaczej, mamó.

— Z pewnością, synku. I myślę, że to wszystko wydaje się jej bardzo trudne.

— O, tak. — Gwałtownie zmarszczył czoło. — Gdyby tylko dała spokój z tymi swoimi przeklętymi tonami.

— To tylko na początku. Jest trochę skrepowana i dlatego to robi. Wszystko będzie w porządku.

— Właśnie, mamó — powiedział z wdzięcznością. Ale czoło miał nadal zasepione.

— Widzisz, ona jest zupełnie inna niż ty, mamó. Nie jest poważna i nie potrafi myśleć.

— Jest bardzo młoda, synku.

— Tak. I nigdy nie miała dobrego przykładu. Matka jej umarła, gdy była małym dzieckiem. Od tego czasu mieszka z ciotką, której nie znosi. Ojciec jej był nicponiem. Nikt jej nigdy naprawdę nie kochał.

— No widzisz! Musisz jej to wszystko wynagrodzić.

— I właśnie dlatego... trzeba jej wiele wybaczyć.

— Cóż ty jej masz do zarzucenia, synku?

— Sam nie wiem. Kiedy wydaje się płytka, staram się pamiętać, że nikt nie usiłował obudzić w jej duszy głębszych uczuć. I jest we mnie okropnie zakochana.

— Każdy to od razu widzi.

— Ale wiesz, mamó... ona jest... ona jest zupełnie inna niż my. Ten rodzaj ludzi, wśród których ona żyje, zdaje się mieć zupełnie inne poglądy i zasady niż my.

— Nie powinieneś ich sądzić zbyt pochopnie — rzekła pani Morel.

Ale William wydawał się przygnębiony i nieswój.

Następnego ranka jednak wstał z piosenką na ustach i wesoło dokazywał z rodzeństwem.

— Halo! — zawołał siadając na pierwszym stopniu schodów. — Czy już wstajesz?

— Tak! — zabrzmiał słaby głosik jego narzeczonej.

— Wesołych Świąt! — zawołał.

Z sypialni dobiegł dźwięczny, srebrzysty śmiech. Ale minęło pół godziny, a jeszcze nie zeszła na dół.

— Czy ona rzeczywiście już wstała, kiedy mi to mówiła? — zapytał William Anię.

— Tak, już się ubierała — odparła Ania.

Począł chwilę i znów podszedł do schodów.

— Szczęśliwego Nowego Roku! — zawołał.

— Dziękuję, Ptasiu, kochanie! — dobiegł z daleka jej roześmiany głos.

— Pośpiesz się! — zaklinał ją.

Upłynęła już prawie godzina, a on wciąż jeszcze na nią czekał. Morel, który zawsze wstawał przed szóstą, spojrzął na zegarek.

— To coś zupełnie niezwykłego! — zawołał.

Cała rodzina zjadła już śniadanie, z wyjątkiem Williama. Podszedł znów do scho-

dów.

— Czy mam ci posłać na górę wielkanocne jajko? — zawołał trochę już gniewnie. Zaśmiała się tylko. Wszyscy oczekiwali czegoś niesłychanego po tych długich przygotowaniach. Zjawiała się wreszcie; wyglądała bardzo ładnie w zwykłej spódniczce i bluzeczce.

— Czyś ty się naprawdę przez cały ten czas ubierała? — spytał William.

— Ptasiu, kochanie! Nie wolno zadawać takich pytań, prawda, proszę pani?

Grała z początku rolę wielkiej damy. Kiedy wybrali się z Williamem na nabożeństwo, on w pięknym, wciętym płaszczu i jedwabnym cylindrze, ona w futrzanym boa i londyńskim kostiumie — Pawełek, Artur i Ania sądzili, że wszyscy będą im się w pas kłaniać z podziwu. Morel zaś, który stojąc na końcu drogi w swoim odświętnym ubra- niu obserwował elegancką parę, czuł się tak, jak gdyby był ojcem księcia i księżniczki.

W rzeczywistości jednak narzeczona Williama nie była żadną wielką damą. Mniej więcej od roku była skromną sekretarką czy też urzędniczką w jednym z londyńskich biur. Podczas wizyty u Morełów grała jednak rolę damy. Zasiadała wygodnie pozwalając Ani i Pawełkowi usługiwać sobie, jak gdyby byli jej służącymi. Do pani Morel odnosiła się ze zbyt dużą swobodą, Morela zaś traktowała protekcyjnie. Ale już po upływie jednego dnia zaczęła nieco spuszczać z tonu.

William pragnął zawsze, żeby Pawełek lub Ania towarzyszyli im na spacerach, które stawały się przez to o wiele bardziej interesujące. Pawełek zaś prawdziwie i szczerze podziwiał „Gypsy”. Matka z trudem wybaczała mu przymilność, z jaką odnosił się do pięknej panny.

Drugiego dnia pobytu, gdy Lili powiedziała: — Och, Aniu, czy nie wiesz, gdzie zostawiłam moją mufkę? — William odparł:

— Wiesz doskonale, że jest w sypialni. Dlaczego pytasz Anię?

I Lili poszła na górę, z ustami gniewnie zaciśniętymi. Młodego człowieka niezmiernie irytowało, że narzeczona robi sobie pokojówkę z jego siostry.

Trzeciego wieczoru William i Lili siedzieli po ciemku w jadalni, przy kominku. Za kwadrans jedenasta usłyszeli, że pani Morel przegarnia ogień na palenisku. William wyszedł do kuchni, a za nim jego ukochana.

— Czy już jest tak późno, mamó? — spytał. Matka była sama.

— Być może nie jest późno, synku, ale zwykle o tej porze idę spać.

— Czemu więc nie idziesz do siebie, na górę? — zapytał.

— I mam was zostawić samych? Nie, synku, to nie prowadzi do niczego dobrego.

— Czy nie możesz mieć do nas odrobiny zaufania, mamó?

— Mogę czy nie mogę, ale nie zostawię was samych. Posiedźcie do jedenastej, jeśli macie ochotę, a ja tymczasem trochę sobie poczytam.

— Idź spać, Gyp — powiedział do narzeczonej. — Nie możemy dopuścić, żeby mama czuwała czekając na nas.

— Ania zostawiła w pokoju zapaloną świecę, Lili — powiedziała pani Morel. — Myślę, że trafisz bez trudu.

— O tak, bardzo dziękuję. Dobranoc pani.

William pocałował narzeczoną u dołu schodów. Lili poszła na górę, a on zawrócił do kuchni.

— Czy naprawdę nie ufasz nam, mamó? — zapytał urażony.

— Powiedziałam ci, synku, że nie wierzę, aby coś dobrego wynikło z zostawiania dwojga takich młodych samotnie, gdy wszyscy w domu śpią już od dawna.

Musiał się zadowolić tą odpowiedzią. Pocałował matkę na dobranoc.

Na Wielkanoc William przyjechał sam i w czasie tego pobytu prowadził nie kończące się dyskusje z matką na temat swojej narzeczonej.

— Wiesz, mamó, kiedy jestem daleko od niej, jest mi właściwie obojętna. Wcale bym się nie zmartwił, gdybym już jej nigdy nie zobaczył. Ale znowu potem, kiedy siedzimy razem wieczorem, jestem w niej okropnie zakochany.

— To dość dziwne uczucie jak na to, żeby się żenić — rzekła pani Morel — jeśli pociąga cię tylko w ten sposób.

— Tak, to jest śmieszne! — zawołał. Męczyło go to i wyprowadzało z równowagi. — Ale... sprawy zaszły już tak daleko między nami, że trudno by mi ją było teraz porzucić.

— To już tylko sam możesz osądzić — powiedziała pani Morel. — Ale jeśli jest tak, jak mówisz, nie nazywałabym tego miłością... w każdym razie nie tak to powinno wyglądać.

— Och, sam już nie wiem, mamó. Ona jest sierotą i...

Nie dochodzili nigdy do żadnej konkluzji. William wydawał się zaabsorbowany swymi myślami i przedenerwowany. Pani Morel zachowywała rezerwę. Cały jego wysiłek i wszystkie pieniądze szły na utrzymanie owej dziewczyny. Z ledwością mógł sobie po przyjeździe do domu pozwolić na tak skromny wydatek jak przejazdka z matką do Nottingham.

Pawełek ku wielkiej swojej radości dostał na Boże Narodzenie skromną podwyżkę i zarabiał teraz dziesięć szylingów. Było mu dobrze u Jordana, ale zdrowie jego cierpiało wyraźnie wskutek długich godzin pracy w dusznym i ciemnym lokalu. Matka, dla której stawał się coraz bliższy i droższy, zastanawiała się, jak na to poradzić.

Miał w poniedziałki wolne popołudnia. Nadszedł maj i gdy któregoś poniedziałku siedzieli we dwójkę przy śniadaniu, matka rzekła:

— Wydaje mi się, że dziś będzie bardzo ładnie.

Pawełek spojrzał na nią zdumiony. To z pewnością musiało coś oznaczać.

— Wiesz, że pan Leivers przeprowadził się na nową farmę. Pytał mnie w zeszłym tygodniu, czy nie odwiedziłabym pani Leivers, i obiecałam zabrać cię w poniedziałek, jeśli będzie pogoda. Co ty na to?

— Ach, cóż za wspaniały pomysł, kochana kobietko! — zawołał. — Pójdziemy tam dziś po południu?

Pawełek popędził na stację nie posiadając się z radości. W dole, przy Derby Road, jaśniała w słońcu wiśnia. Stary ceglany mur przy gmachu sądowym płonął czerwienią. Wiosna iskrzyła się świeżą, jaskrawą zielonością. Stroma ścieżka wiodąca na wzgórze mieniła się plamami słońca i cienia, cicha

i spokojna. Drzewa rozpościerały dumnie swoje potężne, zielone ramiona. Zamknięty przez cały ranek w fabryce chłopak zachował w oczach wizję wiosny, która panowała poza jej murami.

Kiedy wrócił do domu na obiad, matka była niezwykle ożywiona.

— Idziemy? — zapytał.

— Jak tylko będę gotowa — odparła.

Zerwał się z krzesła.

— Idź się ubierać, a ja pozmywam — powiedział.

Usłuchała go. Zmył naczynia, uporządkował wszystko, a potem poszukał jej butów. Były zupełnie czyste. Pani Morel była jedną z tych niezwykłych osób, które potrafią przejść przez najgorsze błoto nie zabrudziwszy trzewików. Ale Pawełek musiał je koniecznie dla niej wyczyścić. Były to zwykłe giemzowe buciki za osiem szylingów. Jemu jednak wydawały się najwytworniejszym obuwem na świecie i obchodził się z nimi z tak wielkim szacunkiem

i tak ostrożnie, jak gdyby były to jakieś piękne kwiaty.

Pani Morel pojawiła się w drzwiach trochę spłoszona. Pawełek zerwał się z miejsca i podbiegł do niej. Miała na sobie nową bluzkę.

— O Boże! — zawołał. — A to co znowu za olśniewająca kreacja?

Pociągnęła lekko nosem w swój charakterystyczny, wyniosły sposób

i uniosła w górę głowę.

— Bynajmniej! — odparła. — Jest bardzo skromna i spokojna.

Zrobiła kilka kroków, on zaś biegał dokoła, oglądając ją ze wszystkich stron.

— No i jak? — spytała onieśmielona, choć starała się przybrać pewny siebie i obojętny wyraz twarzy. — Podoba ci się?

— Strasznie! Wyglądasz jak mała, ładna kobietka, z którą miło jest iść na spacer!

Cofnął się kilka kroków i obejrzał ją z tyłu.

— Wiesz co — powiedział — gdybym szedł za tobą na ulicy, pomyślałbym sobie: „Oho, ciekaw jestem, czy ta mała osóbką nie ma trochę przewrócone w głowie?”

— Bynajmniej — odparła pani Morel. — Raczej się boi, że to jest dla niej nieodpowiednie.

— Och, naturalnie! Wolałaby mieć na sobie czarną zradziałą suknię i wyglądać, jak gdyby ją owinięto spalonym papierem! Bardzo ci jest w niej dobrze i mówię ci, że ładnie wyglądasz.

Pociągnęła nosem w swój osobliwy, zabawny sposób i była uradowana, choć udawała, że pochwały wcale jej nie wzruszają.

— Co najważniejsze — powiedziała — kosztowała mnie tylko trzy szylingi. Nie sądzisz chyba, że można by ją kupić gotową w tej cenie, prawda?

— Jestem przekonany, że nie — odparł.

— I materiał jest naprawdę w dobrym gatunku.

— Jest śliczny!

Bluzka była biała w delikatny fioletowy i czarny rzucik.

— Boję się tylko, że jest dla mnie za młoda — rzekła pani Morel.

— Za młoda dla ciebie! — wykrzyknął z oburzeniem. — Czemu nie kupisz sztucznych siwych włosów i nie upniesz sobie na głowie?

— Już wkrótce nie będzie to potrzebne — odparła. — Ostatnio siwieję aż nazbyt szybko.

— Zupełnie niepotrzebnie — powiedział. — Co ja będę robił z siwą mamą?

— Boję się, że będziesz się musiał z tym pogodzić, mój chłopcze — powiedziała jakoś dziwnie.

Wyruszyli z domu w uroczystym nastroju. Pani Morel wzięła z sobą parasolkę, którą dostała od Williama, aby się chronić od słońca. Pawełek był znacznie wyższy od niej, chociaż w zasadzie był niedużego wzrostu. Chełpił się tym bardzo.

Na tle brunatnej ziemi jedwabście połyskiwały żdźbła młodej pszenicy. Kopalnia Minton jak zwykle wyrzucała w górę obłoczki białej pary, kaszlała i brzęczała ochryple.

— Spójrz no tam tylko! — zawołała pani Morel. Matka i syn przystanęli na drodze. Wzdłuż grzbietu wysokiego usypiska przy kopalni pełzła, odcinając się czarną sylwetką na tle błękitnego nieba, mała, zwarta grupka: koń, wagonik i człowiek. Pięli się po pochyłości ku górze. U samego końca człowiek przechylił wagonik. Rozległ się nagły grzmot i zawartość wózka potoczyła się po stromym zboczu niebotycznego usypiska.

— Siądź tu na chwilę i poczekaj, mamó — powiedział Pawełek. Pani Morel usiadła na ławce, a on zaczął pośpiesznie szkicować. Nie przeszkadzała mu i siedząc w milczeniu rozglądała się wkoło, zachwycona pięknem majowego popołudnia. Czerwone dachy domków lśniły pośród zieleni.

— Świat jest cudownym miejscem — powiedziała. — I jest cudownie piękny.

— A także kopalnia — rzekł Pawełek. — Spójrz, jak się piętrzy w górę... niemal jak coś żywego. Jak jakiś wielki, nieznanый stwór!

— Tak — rzekła. — Może masz rację!

— A te wszystkie wagony stoją w oczekiwaniu niby sznur bydła do nakarmienia — mówił dalej.

— I chwalić Boga, że stoją — rzekła — bo to oznacza, że w tym tygodniu będzie praca na wszystkie zmiany.

— Bardzo lubię odnajdywać w martwych przedmiotach ludzką wolę, która je ożywia. Te wozy przywodzą na myśl człowieka, bo zostały tu wszystkie zgromadzone ludzkimi rękami.

— Tak — rzekła pani Morel.

Szli drogą w cieniu drzew. Pawełek wciąż zwracał na coś uwagę matki, a ona słuchała go z zainteresowaniem. Doszli do Nethermere i tu blask słoneczny przesiewał się łagodnie przez liście, niby opadające na ziemię płatki kwiatów. Potem skręcili na prywatną drogę i z pewnym niepokojem zaczęli się zbliżać do dużej farmy. Rozszczeł się groźnie pies. Jakaś kobieta wyjrzała przed bramę.

— Czy to jest droga do Willey Farm? — zapytała pani Morel.

Pawełek skrył się za nią w obawie, że ich odeślą z powrotem. Ale kobieta

była bardzo przyjazna i wskazała im drogę. Matka i syn poszli ścieżką między polami owsa i pszenicy, a potem przez mały mostek, na jakąś dziką łąkę. Czajki, świecąc w słońcu białymi piórami na piersiach, kołowały i skrzeczały przejmująco nad ich głowami. Jezioro leżało ciche i błękitne. Wysoko w górze płynęła czapla. Z boku ciemniał na wzgórzach las, zielony i cichy.

— To zupełnie dzika droga, mamó — powiedział Pawełek. — Jak w Kanadzie.

— Prawda, jak tu ślicznie? — rzekła pani Morel rozglądając się wokoło.

— Spójrz... spójrz na tę czaplę... widzisz jej nogi?

Wciąż wskazywał matce, na co powinna patrzeć. Ona zaś podporządkowywała mu się z zadowoleniem.

— No tak — powiedziała — ale którądy mamy iść teraz? Pan Lei vers mówił mi, że idzie się przez las.

Las, odgradzony płotem, mroczny i tajemniczy, leżał po ich lewej ręce.

— Czuję tu pod nogami jakąś ścieżkę — rzekł Pawełek. — Ty jesteś mieszcuch. Sam nie wiem czemu, ale jesteś.

Dostrzegli małą furtkę i wkrótce znaleźli się na szerokiej, zielonej, leśnej drodze, wzdłuż której z jednej strony ciągnął się młody, sosnowy i świerkowy zagajnik, z drugiej zaś ścieliła się w dole niewielka polanka, porośnięta starymi, wysokimi dębami. Pośród nich, w zielonym cieniu młodej leszczyny błękitniały lazurkowe wysepki dzikich hiacyntów na płowoszarym podłożu zeschniętych dębowych liści. Pawełek szukał kwiatów dla matki.

— Tu leży trochę świeżego sianka — wołał do niej, a po chwili przynosił jej kilka niezapominajek. I znowu, widząc jej zniszczone ręce, ujmujące delikatnie bukiet, który jej ofiarowywał, czuł, że serce ściska mu się z miłości i żalu nad nią. Była w tej chwili niezmiernie szczęśliwa.

Na samym końcu przecinał drogę płot, przez który trzeba było się przedostać. Pawełek przesadził go w mgnieniu oka.

— Chodź, mamó — powiedział. — Pomogę ci.

— Nie, nie. Idź. Sama sobie poradzę.

Stanął obok z wyciągniętymi w górę ramionami, gotów natychmiast przyjść jej z pomocą. Przechodziła powoli i ostrożnie.

— Podziwiałem twoją zgrabność! — zawołał ironicznie, gdy tylko stanęła znów bezpiecznie na ziemi.

— Nie znoszę tych wstrętnych przełazów! — zawołała.

— Biedna, mała niedołęga — odparł — która nie potrafi przejść przez płot.

Przed nimi, na skraju lasu, ukazało się kilka niskich, czerwonych budynków gospodarskich. Przyśpieszyli kroku. Do lasu przylegał sad pełen jabłoni, w którym płatki kwiatów opadały na zwirowane ścieżki. Obok żywopłotu, pod zwieszającymi się nisko dębowymi gałęziami, lśnił w zagłębieniu mały stawek. W cieniu pasło się kilka krów. Domek i zabudowania gospodarcze trzema ramionami okalały czworobok, rozświetlony słońcem padającym od strony lasu. Panowała głęboka cisza.

Matka i syn weszli do małego, otoczonego płotem ogródka, w którym unosił się zapach rozkwitłych, czerwonych goździków. Obok otwartych drzwi leżało kilka osypanych mąką bochenków chleba, wyniesionych tu, aby ostygły. Właśnie zbliżała się do nich kura, chcąc je dziobać. Nagle w drzwiach stanęła jakaś czternastoletnia dziewczynka w brudnym fartuszkach. Miała smagłą, zaróżowioną twarz i bujne, krótkie, czarne loki, pięknie wijące się wokół głowy. Ciemnymi, nieśmiało pytającymi oczami spozjrzała jakby z wyrzutem na nieznajomych i znikła. Za chwilę w drzwiach pojawiła się nowa postać. Była nią drobna, wątła kobieta. Miała rumianą twarz i duże ciemnobrązowe oczy.

— Och! — zawołała uśmiechając się szczerze. — Jak to dobrze, żeście przyszli. Naprawdę bardzo się cieszę, że was widzę. — Głos miała serdeczny i nieco smutny.

Obie panie przywitały się.

— Ale czy na pewno nie będziemy pani przeszkadzali? — zapytała pani Morel. — Dobrze wiem, jak wygląda życie na farmie.

— Och, wcale nie! Jesteśmy tylko wdzięczni, gdy widzimy kogoś ze świata. Żyjemy tu na takim odludziu!...

— Tak myślałam — rzekła pani Morel.

Pani Leivers zaprowadziła ich do saloniku — długiego, niskiego pokoju, z wielkim pękiem rozkwitłej spirei, stojącym na kominku. Panie zaczęły rozmowę, a Pawełek wyszedł na dwór obejrzeć gospodarstwo. Stał właśnie w ogródku wachając goździki i przyglądając się różnym roślinom, gdy z domu wyszła ta sama co przedtem dziewczynka i szybko przebiegła do leżącej pod płotem kupy węgla.

— Czy to jest Crimson Rambar? — spytał ją Pawełek, pokazując rosnący pod płotem krzew.

Spojrzała na niego wielkimi, brązowymi, spłoszonymi oczami.

— Czy ma takie drobne, purpurowe różyczki, gdy zakwitnie? — zapytał raz jeszcze.

— Nie wiem — wyjąkała. — Są chyba lekko różowe, z ciemniejszym środkiem.

— Ach, to w takim razie Dorothy Perkins.

Miriam zarumieniła się. Miała śliczne, ciepłe rumieńce.

— Nie wiem — powtórzyła.

— Nie macie za wiele kwiatów w ogródku — powiedział Pawełek.

— Jesteśmy tu pierwszy rok — odparła chłodnym, trochę wyniosłym tonem i zwróciła z powrotem do domu. Nie zwrócił na to uwagi i prowadził dalej swoją wyprawę badawczą. Po chwili nadeszła matka i zaczęli oglądać zabudowania gospodarcze. Pawełek był zachwycony.

— A ja myślałam, że pani chowa drób, cielęta i prosiaki — zwróciła się pani Morel do pani Leivers.

— Ach, nie — odparła mała kobieta. — Nie mam czasu na dogłębne trzody i nie jestem do tego przyzwyczajona. Ledwie mogę sobie poradzić z gospodarstwem domowym.

— O tak, to bardzo ciężko — rzekła pani Morel.

W drzwiach domu ukazała się Miriam.

— Herbata gotowa, mam — powiedziała spokojnym, melodyjnym głosem.

— Ach, dziękuję ci, Miriam! Zaraz przyjdziemy — zawołała jej matka niemal uniesieniem. — Czy będzie pani łaskawa wypić teraz herbatę, pani Morel?

— Naturalnie — odparła pani Morel. — Jeśli tylko to pani dogadza.

Pawełek zjadł podwieczorek z matką i z panią Leivers. Poszli potem do lasu, w którym pełno było dzikich hiacyntów, na ścieżkach zaś kwitły delikatne niezapominajki. Nlatka i syn wędrowali w zachwycie.

Gdy wrócili do domu, zastali w kuchni pana Leiversa i najstarszego syna, Edgara. Miał osiemnaście lat. Po chwili przyszli ze szkoły Geoffrey i Maurycy, dwa rosłe chłopaki, z których jeden miał dwanaście, a drugi trzynaście lat. Pan Leivers był przy stojnym mężczyzną w sile wieku, z ciemnoblonde włosami i niebieskimi oczami, wyblakłymi od słońca. Chłopcy traktowali Pawełka protekcyjnie, ale on zdawał się tego nie zauważać. Wybrali się na poszukiwanie jajek, włączając we wszystkie kąty.

Kiedy karmili drób, zjawiała się Miriam. Chłopcy nie zwracali na nią najmniejszej uwagi. Jedna z kur siedziała w klatce z gromadą żółciutkich kurcząt. Maurycy wyciągnął dłoń, pełną ziarenek zboża, i pozwolił kurze dziobać je z ręki.

— Nie będziesz się bał? — spytał Pawełka.

— Zaraz zobaczymy — odparł Pawełek.

Miał drobne dłonie, ciepłe i zręczne. Miriam obserwowała je ukradkiem. Podsunął ziarenka kurze. Ptak przyjrzał się im swoim twardym, bystrym oczkiem i nagle dziobnął Pawełka w rękę. Chłopiec podskoczył z lekka i zaczął się śmiać. „Tap, tap, tap!” dziobała kura z jego dłoni. Zaśmiał się znów i chłopcy mu zawtórowali.

— Stuka w rękę i trochę szczypie, ale to wcale nie boli — powiedział Pawełek, gdy znikło ostatnie ziarenko.

— Chodź, Miriam — zawołał Maurycy. — Teraz twoja kolej.

— Nie! — krzyknęła odskakując w tył.

— Oho, baba! Głupia niuńka! — wołali bracia.

— To wcale nie boli — powiedział Pawełek. — Trochę szczypie, ale raczej przyjemnie.

— Nie! — krzyczała ciągle, potrząsając czarnymi lokami i wzdrygając się.

— Boi się — powiedział GeofTrey. — Boi się wszystkiego poza recytowaniem wierszy.

— Boi się zeskoczyć z furtki, boi się krzyczeć, boi się ślizgać, boi się oddać dziewczynie, jak ją która bije! Potrafi tylko wyobrażać sobie, że jest ósmym cudem świata. Śpiąca królewna! Hu—u! — wrzeszczał Maurycy.

Miriam była purpurowa ze wstydu i rozpaczy.

— Jestem odważniejsza od was! — krzyknęła. — Jesteście zwykłymi tchórzami i gburami.

— Oho — o! Tchórze i gbury! — powtórzyli przedrzeźniając ją.

**Nie może mnie obrazić taki błazen,  
Dostał milczącą odpowiedź gbur.**

— zadeklamował Maurycy, wybuchając śmiechem.

Miriam poszła do domu. Pawełek pobiegł z chłopcami do sadu, gdzie wisiał trapez. Robili różne sztuki wymagające dużego wysiłku. Pawełek był raczej zręczny niż silny, ale jakoś dał sobie radę. Pokazał im wielki kwiat, zwisający nisko na chwiejącej się gałązce jabłoni.

— Nie zrywam kwiatów jabłoni — powiedział Edgar, najstarszy z braci. — W lecie nie byłoby jabłek.

— Wcale nie miałem zamiaru go zrywać — powiedział Pawełek odcho- dząc.

Chłopcy odnosili się do niego niechętnie, interesując się wyłącznie swymi zajęciami i zabawami. Poszedł do domu zobaczyć, co robi matka. Przechodząc przez podwórko zobaczył Miriam klęczącą przed klatką kury, z ziarnkami kukurydzy na dłoni. Przygryzała mocno wargi, ukucnąwszy w pełnym oczekiwania skupieniu. Kura przypatrywała jej się złym okiem. Miriam bardzo ostrożnie wyciągnęła dłoń. Kura podskoczyła jej do ręki. Dziewczynka szybko cofnęła ją z okrzykiem lęku i żalu zarazem.



— Na pewno cię nie zaboli — powiedział Pawełek.  
Oblała się rumieńcem i zerwała na równe nogi.  
— Chciałam tylko spróbować — szepnęła.  
— Spójrz, to wcale nie boli — powiedział i położywszy sobie tylko dwa ziarenka, pozwolił kurze pik! pik! pik! dziobać się w gołą dłoń. — To tylko śmiesz — powiedział.

Wysunęła rękę i cofnęła ją, znów spróbowała i odskoczyła w tył z krzykiem. Zmarszczył czoło.

— Nie rozumiem — powiedział. — Pozwoliłbym jej zdziobywać sobie ziarenka z twarzy i na pewno nie byłoby znaku. Jest taka czysta i uważna. Pomyśl tylko, ile codziennie najadłaby się ziemi, gdyby taka nie była.

Czekał z nachmurzoną twarzą i patrzył na Miriam. Pozwoliła w końcu kurze skubnąć ziarenko ze swojej dłoni. Wydała cichy okrzyk lęku, a może bólu spowodowanego lękiem. Było to trochę patetyczne. Przewyciężyła się jednak w końcu i nawet wyciągnęła rękę po raz drugi.

— No widzisz — powiedział chłopiec. — Prawda, że to wcale nie boli?

Spojrzała na niego ciemnymi, rozszerzonymi z lęku oczami.

— Nie — zaśmiała się drżąc.

Potem wstała i poszła do domu. Miała jakby trochę żalu do chłopca.

„Wydaje mu się pewnie, że jestem zwykłą sobie dziewczyną” — myślała i chciała mu dowieść, że jest niezwykłą istotą, jak „śpiąca królewna”.

Pawełek zastał matkę zbierającą się z powrotem do domu. Uśmiechnęła się do swego syna. Niósł wielki pęk kwiatów. Państwo Leivers odprowadzili ich przez pola. Wzgórza złociły się w wieczornym świetle. W głębi lasu przeblyskiwały ciemnym fioletem dzikie hiacynty. Panowała zupełna cisza, słychać było tylko szelest liści i odzywały się ptaki.

— Jakie to piękne miejsce — rzekła pani Morel.

— Tak, bardzo tu ładnie — odparł pan Leivers. — Gdyby tylko nie było tylu królików. Pastwiska są przez nie zupełnie stratowane. Nie wiem, czy uda mi się wyciągnąć na opłacenie dzierżawy.

Klasnął w ręce i pole pod lasem ożyło. Brązowe króliki rozpierzchły się na wszystkie strony.

— Aż trudno uwierzyć! — zawołała pani Morel.

Matka i syn poszli dalej sami.

— Prawda, jak było pięknie, mamó? — zapytał Pawełek cicho.

Cienki sierp księżycy wschodził na niebie. Serce Pawełka przepojone było zachwytem, aż do bólu. Matka gawędziła głośno, bo i jej chciało się płakać ze szczęścia.

— Nie wyobrażam sobie, żebym nie pomagała temu człowiekowi będąc jego żoną! — mówiła. — Hodowałabym drób i prosiaki! Nauczyłabym się doić, rozmawiałabym z nim o gospodarstwie i robiłabym wspólne plany. Słowo daję, gdybym to ja była jego żoną, farma by kwitła, już ja wiem, co mówię! Ale ona nie ma siły... no, po prostu nie ma siły. Nie powinna tak ciężko pracować, rozumiesz? Żal mi jej, ale i jego mi żal także. Słowo daję, gdyby to

o mnie chodziło, nie uważałabym go za złego męża! Chociaż i ona tak na pewno

nie myśli. I jest bardzo miła.

William przyjechał znów ze swoją narzeczoną do domu na Zielone Świątki. Miał tydzień urlopu. Była piękna pogoda. Codziennie rano William, Lili

1 Pawełek szli razem na spacer. William prawie wcale nie rozmawiał ze swoją narzeczoną, opowiadał jej tylko czasem jakieś wspomnienia z lat dzieciennych. Pawełek za to mówił bezustannie. Pewnego dnia położyli się wszyscy troje na łące, w pobliżu kościoła w Minton. Z jednej strony mieli piękną, falującą, srebrzystą osłonę topoli, rosnących w Castle Farm. Czerwone płatki głogu osypywały się z żywopłotu. Wśród trawy uśmiechały się stokrotki i polne goździki. William, rosy, dwudziestotrzyletni mężczyzna, był teraz szczuplejszy i wyglądał mizernie. Położył się twarzą do słońca i rozmyślał, a Lili bawiła się jego włosami. Pawełek poszedł zrywać wielkie stokrotki. Lili zdjęła kapelusz. Włosy jej były czarne i lśniące jak końska grzywa. Pawełek wrócił po chwili i zaczął wpinać w jej czarne, błyszczące włosy wielkie, białe i żółte stokrotki, na samym końcu zaś wsunął delikatnie dwa czy trzy różowe goździki.

— Wyglądasz teraz jak czarodziejka — powiedział. — Prawda, Williamie?

Lili zaśmiała się. William otworzył oczy i spojrzał na nią. W jego wzroku malował się jakiś dziwny wyraz smutku i namiętnego podziwu zarazem.

— Ale ze mnie zrobił straszny, prawda? — spytała śmiejąc się, schylona nad jego głową.

— Czupiradło! — odparł William śmiejąc się również.

Spojrzał na nią. Jej piękność zdawała się sprawiać mu ból. Popatrzył na jej ustojoną kwiatami głowę i zachmurzył się.

— Wyglądasz bardzo ładnie, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć — powiedział szorstko.

Szła bez kapelusza. Po chwili William opanował się i był raczej czuły dla niej. Gdy znaleźli się na mostku, wyciął w poręczy swoje oraz jej inicjały i otoczył je serduszkami.

Obserwowała jego silną, nerwową rękę z drobnymi piegami i połyskującymi włoskami, oczarowana jej zręcznością.

Przez cały czas pobytu Williama i Lili w domu wyczuwało się atmosferę smutku i podniecenia, a zarazem niecodziennej serdeczności. William często wpadał w złość. Na osiem dni pobytu Lili przywiozła pięć sukien i sześć bluzek.

— Och, czy nie mogłabyś — prosiła Anię — przeprać mi tych dwóch bluzeczek i kilku drobiazgów?

Na drugi dzień Ania stała przy miednicy piorąc, gdy William i Lili wychodzili na spacer. Pani Morel była wściekła. Czasem William, zauważywszy przypadkiem, w jaki sposób Lili traktuje jego siostrę, nienawidził swojej narzeczonej.

W niedzielę rano Lili wyglądała prześlicznie w fularowej sukience, szeleszczącej, powiewnej i błękitnej jak piórka kraski, oraz w kremowym kapeluszu z dużym rondem, przybranym mnóstwem szkarłatnych róż. Wszyscy nie mogli się na nią napałtrzyć. Ale gdy wieczorem wychodziła z domu, spytała znowu:

— Czy nie widziałeś moich rękawiczek, Ptasiu?

— Których?

— Tych nowych, z czarnego zamszu.

— Nie widziałem.

Zaczął się szukanie. Okazało się, że je zgubiła.

— Pomyśl tylko, mamó — powiedział William — gubi już czwartą parę od Bożego Narodzenia... a każda kosztowała pięć szylingów.

— Przypomnij sobie, że dałeś mi tylko dwie z nich — broniła się Lili.

Gdy wieczorem, po kolacji, stał przed kominkiem, a ona siedziała na kanapie, zdawał się jej nienawidzić. Tego popołudnia zostawił ją samą i poszedł odwiedzić kilku dawnych przyjaciół. Siedziała przez ten czas beczynn timer, patrząc w książkę. Po kolacji William chciał napisać jakiś list.

— Tu leży twoja książka, Lili — powiedziała pani Morel. — Może chcesz ją poczytać.

— Nie, dziękuję — odparła dziewczyna. — Wolę posiedzieć.

— Ale to przecież bardzo nudno.

William gryzmolił zdenerwowany, w wielkim pośpiechu. Kiedy zaklejał kopertę, powiedział:

— Poczytać książkę! Przecież ona nie przeczytała jeszcze żadnej książki w życiu!

— Ach, dajże spokój! — powiedziała pani Morel zgorszona taką przesadą.

— Żebyś wiedziała, mamó! Właśnie tak jest! — zawołał zrywając się z krzesła i stając w swej uprzedniej pozycji przed kominkiem. — Nie przeczytała jeszcze żadnej książki w życiu!

— To zupełnie jak ja — z uznaniem wtrącił Morel. — Nie rozumiem, co tam jest w tych książkach, że siedzicie z nosem w nich całymi godzinami. Ja tam tego nie potrafię.

— Nie powinieneś mówić takich rzeczy — zwróciła się pani Morel do syna.

— To tylko prawda, mamó... Ona nie potrafi czytać. Co jej dałaś?

— Jakaś nowelkę Anny Swan. Nikomu nie chce się przecież czytać poważnych książek w niedzielne popołudnie.

— Dobrze. Mogę się założyć, że nie przeczytała nawet dziesięciu linijek.

— Na pewno się mylisz — rzekła matka.

Przez cały ten czas Lili siedziała na kanapie z nieszczęśliwą miną. William zwrócił się do niej nagle.

— Przeczytałaś choć jedną stronę? — zapytał.

— Właśnie że przeczytałam — odparła.

— Ile?

— Skądże mogę pamiętać, ile to było stron.

— Powiedz mi w takim razie, o czym czytałaś!

Nie potrafiła.

Nigdy jeszcze nie udało jej się przebrnąć przez pierwszą stronę książki. William czytał dużo i miał żywy, bystry umysł. Ją interesował tylko flirt i lekka, pusta rozmowa. William przyzwyczajony był przesiewać wszystkie swe myśli przez krytyczne sito umysłu swej matki, kiedy więc szukał zrozumienia, a w odpowiedzi spotykały go zawsze prośby, aby był czułym i tkliwie szczebioczącym kochankiem, nienawidził swojej narzeczonej.

— Wiesz, mamó — powiedział, gdy późnym wieczorem siedzieli z matką we dwój-

kę — że ona nie ma pojęcia o wartości pieniądza, taka jest pusta. Kiedy dostanie pensję, kupuje sobie od razu tyle osmażanych w cukrze kasztanów, że muszę jej potem dawać na bilet miesięczny i inne takie wydatki... nawet na ciepłą bieliznę. Chce, żebyśmy się pobrali, i ja też uważam, że powinniśmy się pobrać w przyszłym roku. Ale w takim razie...

— Ładnie się to zapowiada! — odparła matka. — Zastanowiłabym się nad tym jeszcze, mój chłopcze.

— No tak, ale posunąłem się już za daleko, żeby teraz zrywać — powiedział. — Powinienem ożenić się z nią, gdy tylko będzie to możliwe.

— W porządku, synku. Zrobisz, jak zechcesz, i nikt cię nie będzie powstrzymywał. Ale mówię ci, że nie mogę usnąć, jak zacznę o tym myśleć.

— Och, ona się zmieni, mamó. Jakoś się to ułoży.

— I pozwala ci kupować sobie ciepłą bieliznę? — spytała matka.

— Ma się rozumieć, że nie prosi mnie o to — powiedział usprawiedliwiająco. — Ale pewnego dnia... było strasznie zimno... spotkałem ją na stacji... Trzęsła się i nie mogła ustać w miejscu spokojnie. Zapytałem ją, czy ubrała się dość ciepło. „Chyba tak!” — odparła. Zapytałem ją więc, czy włożyła ciepłą bieliznę. A ona mówi: „Tak, ale mam tylko bawełnianą”. Spytałem ją wtedy, czemu do licha nie włożyła czegoś cieplejszego na taką pogodę, a ona mi na to, że nie ma nic ciepłego. A w dodatku jest skłonna do bronchitów! Musiałem ją wziąć i kupić jej jakieś ciepłe rzeczy. Widzisz, mamó, nie żałowałbym pieniędzy, gdybyśmy ich mieli pod dostatkiem. I rozumiesz przecież, że powinna pomyśleć o tym, aby mieć za co kupić sobie miesięczny bilet. Ale nie... przychodzi potem do mnie i muszę się dopiero głowić, skąd wziąć pieniądze.

— To raczej smutna perspektywa — powiedziała gorzko pani Morel.

Był blady i jego mizerna twarz, niegdyś beztroska i roześmiana, była smutna i pełna niepewności.

— Ale nie mogę już z nią teraz zrywać. Zaszliśmy za daleko — powiedział. — A poza tym z pewnych względów trudno by mi było obejść się bez niej.

— Pamiętaj, synku, że twój los leży w twoich rękach — rzekła pani Morel. —

Nie ma nic gorszego od małżeństwa, jeśli okaże się ono fatalną pomyłką. Moje było dostatecznie smutne, Bóg to wie, i powinno cię to być czegoś nauczyć. Ale mogło być jeszcze gorzej, gdybyśmy zabrnęli na dodatek w długi.

Oparł się plecami o gzyms kominka i stał z rękami w kieszeniach. Był roslym, barczystym mężczyzną i zdawało się, że zdolny byłby zawojować cały świat, gdyby zechciał. Ale matka widziała rozpacz malującą się na jego twarzy

— Nie mogę już z nią zerwać — powtórzył.

— Pamiętaj tylko — rzekła — że bywają w życiu gorsze sytuacje niż zerwanie zaręczyn.

— Nie mogę z nią zerwać... teraz — znowu powtórzył.

Zegar tykał miarowo. Matka i syn w milczeniu siedzieli, wyczuwając ^ sprzeczność swych myśli. Ale William już się nie odzywał. W końcu matka rzekła:

— Idź spać, synku. Rano będziesz się czuł lepiej i może przyjdzie ci jakaś dobra myśl do głowy.

Pocałował matkę i poszedł się położyć. Przegarnęła węgle w palenisku. Było jej ciężko na sercu, jak jeszcze nigdy w życiu. Przedtem, gdy chodziło o męża, zdawało się, że coś obumiera w jej sercu, ale nie zabijało to w niej sił żywotnych. Teraz była zraniona sama istota jej duszy. Wiara w życie została w niej zachwiana.

Jakże często okazywał William nienawiść, którą żywił do swej narzeczonej. Ostatniego wieczoru, spędzonego w domu, szydził z niej z całą otwartością.

— Jeśli nie chcesz mi, mamó, wierzyć, jaka ona jest — mówił — to powiedz, czy może ci się pomieścić w głowie, że była trzy razy u konfirmacji?

— Co za głupstwa! — zaśmiała się pani Morel.

— Głupstwa czy nie głupstwa, ale była trzy razy! Oto, co dla niej znaczy konfirmacja!... Zwyczajny występ teatralny, w którym można odegrać piękną rolę!

— Wcale tak nie było, proszę pani! — wołała dziewczyna. — Wcale nie!

To nieprawda.

— Co takiego? — wpadł na nią ze złością. — Raz w Bromley, raz w Beckenham i raz nie pamiętam już gdzie!

— Już nigdzie — powiedziała ze łzami. — Już naprawdę nigdzie!

— A właśnie, że tak! A jeśli nawet nie, to może powiesz, dlaczego byłaś dwa razy?

— Pierwszy raz miałam niecałe czternaście lat, proszę pani — broniła się ze łzami.

— Tak, tak — rzekła pani Morel. — Zupełnie cię, dziecko, rozumiem. Nie zwracaj na niego uwagi. Powinieneś się wstydzić, Williamie, mówić takie rzeczy.

— Ale to prawda. Ona jest pobożna... Ma oprawną w niebieski aksamit książkę do nabożeństwa... ale naprawdę jest w niej akurat tyle wiary i ludzkich uczuć, co w tej tu nodze stołowej! Być trzy razy u konfirmacji tylko dlatego, żeby móc się pokazać... tylko dla pokazania się... I tak jest ze wszystkim... ze wszystkim!

Dziewczyna siedziała na kanapie płacząc. Nie była dzielna ani wytrzymała.

— A teraz, jeśli chodzi o miłość! — krzychał. — Można by równie dobrze wymagać miłości od głupiej muchy! Będzie chętnie żywiła się twoją...

— Dość, Williamie! Ani słowa więcej! — przerwała stanowczo pani Morel. — Jeśli masz ochotę mówić takie rzeczy, musisz znaleźć sobie jakieś inne miejsce, a nie nasz dom. Wstyd mi za ciebie, Williamie! Nie zachowujesz się po męsku. Jak można doszukiwać się samych najgorszych wad w dziewczynie i udawać przy tym narzeczonego!

Pani Morel była szczerze zgorziona i rozgniewana.

William umilkł, a potem żałował swojego wybuchu i pocieszał narzeczoną. Ale wszystko, co powiedział, było prawdą. Nienawidził jej.

Kiedy wyjeżdżali, pani Morel odprowadziła ich aż do Nottingham. Droga na stację w Keston dłużyła mu się bardzo.

— Widzisz, mamó — mówił William — Gyp jest strasznie płytki. Nie ma w niej żadnych głębszych uczuć.

— Proszę cię, Williamie, żebyś nie mówił takich rzeczy — rzekła stanowczo pani Morel, której było nieprzyjemnie ze względu na idącą u jej boku dziewczynę.

— Ale tak jest, mamó. Jest we mnie teraz bardzo zakochana, ale gdybym umarł, zapomniałaby o mnie w trzy miesiące.

Pani Morel była przerażona. Serce jej zaczęło bić jak oszalałe, gdy usłyszała pełne spokojnej goryczy słowa syna.

— Skąd możesz wiedzieć? — odparła. — A jeśli nie wiesz, nie masz prawa mówić takich rzeczy.

— On tak ciągle mówi! — zawołała dziewczyna.

— W trzy miesiące po moim pogrzebie będziesz już miała kogoś innego i zapomnisz o mnie! — powiedział. — Tyle jest warta twoja miłość!

Pani Morel wsadziła ich do pociągu w Nottingham i dopiero potem zawróciła do domu.

— Jedna jest tylko w tym wszystkim pociecha — powiedziała Pawełkowi — że nigdy nie będzie miał dość pieniędzy, aby się z nią ożenić. Jestem tego pewna. I w ten sposób ona sama go uratuje.

Pocieszyła się tą myślą. Nie było jeszcze czego rozpaczać. Świącie wierzyła, że William nigdy nie ożeni się z Gypsy. Czekwała spokojnie i trzymała Pawełka pod swymi skrzydłami.

Przez całe lato wyczuwało się w listach Williama jakieś gorączkowe podniecenie. Były nienaturalne i pełne jakiegoś napięcia. Czasem przesadnie wesołe, najczęściej płytkie i przesączone goryczą.

— Ach! — martwiła się matka. — Boję się, że zrujnuje sobie zdrowie przez to niemądre stworzenie, które nawet nie zasługuje na jego miłość... a przynajmniej nie więcej jak zwykła szmaciana lalka!

William pragnął znów przyjechać do domu. Letni urlop już minął. Do Bożego Narodzenia trzeba było długo czekać. Z jakąś dziką radością napisał, że będzie mógł przyjechać na sobotę i niedzielę, w początku października.

— Źle wyglądasz, synku — powiedziała matka, gdy go zobaczyła.

Była bliska łez, że ma go znowu wyłącznie dla siebie.

— Tak, źle się czuję — odparł. — Byłem przeziębiony chyba przez cały ostatni miesiąc, ale teraz już zdaje się przechodzi.

Październik był w tym roku bardzo piękny i słoneczny. William szalał z radości niczym sztubak na wagarach albo też siedział milczący i zamknięty w sobie. Był mizerniejszy niż zwykle i miał przygnębiony wyraz oczu.

— Za dużo pracujesz — mówiła mu matka.

Okazało się, że wziął jakąś dodatkową pracę, żeby zarobić trochę pieniędzy i móc się wreszcie ożenić. Z matką rozmawiał dłużej tylko raz, w sobotę wieczorem. Był smutny i zgnębiony z powodu swej narzeczonej.

— Iw dodatku, czy wiesz, mam, że w zamian za to wszystko, gdybym umarł, martwiłaby się najwyżej dwa miesiące, a potem zaraz by o mnie zapomniała. Przekonasz się, że nigdy tu nie przyjedzie, aby pójść na mój grób. Zobaczysz, ani razu.

— Co to ma za sens, Williamie? — rzekła matka. — Nie masz przecież zamiaru umierać, więc po co tyle o tym mówić?

— Ale tak czy inaczej...

— Ona nic na to nie może poradzić. Jest już taka i jeśli ją wybrałeś... to nie powinieś teraz ciągle narzekać — powiedziała matka.

W niedzielę rano wkładając kołnierzyk podniósł w górę brodę i zwrócił się do mat-

ki:

— Spójrz, mamó, jaką pręgę natarł mi ten kołnierzyk pod brodą.

Na samym zgięciu szyi, tuż pod brodą, widać było dużą, czerwoną i zaognioną pręgę.

— To się chyba nie mogło zrobić od kołnierzyka — powiedziała matka. — Weź trochę tej łagodzącej maści. Musisz tymczasem nosić inne kołnierzyki.

Wyjechał w niedzielę w południe. Wyglądał lepiej i zdawało się, że się nawet trochę przez te dwa dni poprawił.

We wtorek rano przyszedł z Londynu telegram, że jest chory. Pani Morel, która myła właśnie podłogę, wstała z klęczek, przeczytała telegram, wezwała sąsiadkę i poszła pożyczyć od właścicielki ich domku suwerena. Zapakowała kilka drobiazgów i wyruszyła śpiesznie do Keston. Zdażyła na pośpieszny pociąg do Londynu, odchodzący z Nottingham. W Nottingham musiała czekać prawie godzinę. Drobną i szczupłą w swej czarnej sukni i czarnym czepku wypytywała niespokojnie bagażowych, czy nie wiedzą, jak jedzie się do Elmers End w Londynie. Podróż trwała trzy godziny. Siedziała w kącie przedziału odrętwiała, nie poruszając się wcale. Na King's Cross w dalszym ciągu nikt nie umiał jej powiedzieć, jak można dostać się do Elmers End. Niosąc sznurkową siatkę, w której była jej nocna koszula, grzebień i szczoteczka do zębów, zapytywała jedną osobę po drugiej o dalszą drogę. W końcu powiedziano jej, aby dojechała kolejką podziemną do Cannon Street.

Była szósta, gdy znalazła się przed domem, w którym mieszkał William. Rolety nie były opuszczone.

— Jak się czuje? — zapytała.

— Niestety, nic nie lepiej — odparła właścicielka domu.

Pani Morel poszła za nią na górę. William leżał na łóżku, z oczami nabiegłymi krwią i twarzą niemal zupełnie bezbarwną. Jego garderoba leżała porozrzucana po pokoju, kominek był wygaszony, szklanka mleka stała nie tknięta na stoliku przy łóżku.

— Co ci jest, synku? — mężnie spytała matka.

Nie odpowiedział. Patrzył na nią, ale jej nie widział. Nagle zaczął mówić głębokim, zmęczonym głosem, jak gdyby powtarzał list, pisany pod dyktando: — Wskutek przecieku w ładowni statku cukier skawalił się i zamienił w twardą bryłę. Trzeba go było rąbać...

Był nieprzytomny. Widocznie do obowiązków jego należało skontrolowanie jakiegoś ładunku cukru w porcie londyńskim.

— Od jak dawna jest w tym stanie? — zapytała matka.

— Wrócił do domu w poniedziałek o szóstej rano i myśleliśmy, że śpi cały dzień. Raptem w nocy usłyszeliśmy, że mówi do siebie, a rano wołał panią. Zadepeszowałam zaraz i sprowadziliśmy doktora.

— Czy mogłaby pani napalić w kominku?

Pani Morel starała się dotrzeć do świadomości syna i robiła wszystko, co możliwe, aby leżał spokojnie.

Przyszedł doktor. Orzekł zapalenie płuc oraz pewien rodzaj róży, która wystąpiła pod brodą, w tym miejscu, gdzie kołnierzyk ocierał szyję, a teraz rozszerzała się na twarz. Doktor wyraził nadzieję, że infekcja nie dotrze do mózgu.

Pani Morel zabrała się do pielęgnacji syna. Modliła się o jego wyzdrowienie i o to, żeby ją poznał. Ale czerwona plama na twarzy rozprzestrzeniała się coraz bardziej. Bredził bez przerwy i ani na chwilę nie odzyskiwał świadomości. O drugiej, w strasznym paroksyzmie konwulsji, skonał.

Pani Morel przez godzinę siedziała nieruchomo w obcym, wynajętym pokoju syna. Potem obudziła domowników.

Oszóstej z pomocą posługaczki umyła i ubrała ciało. Trochę później ponurymi uliczkami londyńskiego przedmieścia udała się do urzędu stanu cywilnego i do doktora.

Odziewiątej rano do domku na Scargill Street nadeszła druga depesza:

„William zmarł tej nocy. Niech ojciec przyjedzie, przywiezie pieniądze”.

Ania, Pawełek i Artur byli w domu. Morel poszedł do pracy. Żadne z trojga dzieci nie powiedziało ani słowa. Ania zaczęła cicho płakać z przerażenia. Pawełek poszedł zawiadomić ojca.

Dzień był piękny. Biały dym z kominów kopalni w Brinsley rozpląwał się powoli w słonecznym blasku, na tle bladobłękitnego nieba. Koła na wieżach migotały wysoko w górze. Rynna zsypująca węgiel do wagonów szczekała pracownicy.

— Chcę się widzieć z ojcem. Musi zaraz jechać do Londynu — powiedział Pawełek pierwszemu z brzegu górnikowi, napotkanemu po drodze.

— Z Walterem Morelem? Wejdz tam do środka i powiedz to Joe Wardowi.

Pawełek wszedł do małego biura na szczycie pagórka.

— Chcę się widzieć z ojcem. Musi zaraz jechać do Londynu.

— Twój ojciec? Jest na dole? Jak się nazywa?

— Morel.

— Co takiego... Walter? Czy się coś stało?

— Musi zaraz jechać do Londynu.

Joe Ward podszedł do telefonu i połączył się z dyżurką pod ziemią.

— Potrzebny jest tu Walter Morel. Numer czterdzieści dwa. Szybko. Coś się stało. Jego chłopak na niego czeka.

Potem odwrócił się do Pawełka.

— Zaraz tu będzie — powiedział.

Pawełek wyszedł do wylotu szybu. Patrzył, jak winda wyjeżdża w górę, wydobywając na powierzchnię wagonik z węglem. Wielka żelazna klatka opadała nieznacznie w dół u kresu swej podróży i wyjeżdżał z niej naładowany wagonik, ustępując miejsca pustemu. W tejże chwili odzywał się gdzieś sygnał dzwonka, winda unosiła się lekko w górę i spadała w dół jak kamień.

Pawełek nie zdawał sobie sprawy, że William umarł. Wydawało mu się to niemożliwe, wśród tego panującego wokoło zgiełku i wrzawy. Jakiś robotnik popchnął wagonik na zwrotnicę, a drugi pobiegł z nim dalej, tocząc go wzdłuż zbrocza po skracających w bok szynach.

„William umarł. Mama jest w Londynie. Jak ona tam sobie radzi?” — powtarzał Pawełek w myśli, jak gdyby była to jakaś trudna zagadka.

Obserwował uważnie każdą ukazującą się windę, ale wciąż jeszcze nie było ojca. Wreszcie zobaczył stojącą obok wagonika sylwetkę mężczyzny. Winda zadrzała za-



trzymując się i wysiadł z niej Morel. Utykał lekko na skutek któregoś ze swoich licznych wypadków.

— To ty, Pawełku? Czy mu jest gorzej?

— Musisz zaraz jechać do Londynu.

Wydostali się poza obręb kopalni, uwalniając się od ciekawych spojrzeń ludzkich. Kiedy szli wzdłuż szyn, mając po jednej ręce wyłożone jesiennym słońcem pola, po drugiej zaś długą ścianę stojących rzędem wagoników, Morel zapytał wylęknionym głosem:

— Czy on umarł, dziecko?

— Tak.

— Kiedy się to stało? — W głosie górnika brzmiało przerażenie.

— Dziś w nocy. Przyszedł telegram od matki.

Morel zrobił jeszcze kilka kroków, a potem stanął i opierając się o wagonik, zakrył dłonią oczy. Nie płakał. Pawełek stał, rozglądając się wkoło, i czekał. Na wielką wagę powoli wjeżdżał wagonik. Pawełek widział wszystko dokoła — prócz ojca, który opierał się o wagonik, jak gdyby był bardzo zmęczony.

Morel był dotychczas tylko jeden raz w Londynie. Jechał tam teraz wylękniony i zbolący, aby pomóc żonie. Była to środa. Dzieci zostały same w domu. Pawełek poszedł do pracy, Artur do szkoły, do Ani zaś przyszła na jej prośbę jedna z koleżanek, aby dotrzymać jej towarzystwa.

W sobotę wieczorem Pawełek skręcał właśnie za róg domu wracając z Keston, gdy zobaczył rodziców nadchodzących od strony stacji w Sethley Bridge. Szli w ciemności milcząco, straszliwie zmęczeni i każde z nich zmagало się oddzielnie ze swym bólem. Chłopiec przystanął i zaczekał na nich.

— Mamo! — odezwał się w ciemnościach.

Drobna postać matki posuwała się dalej, nie słysząc go. Zawołał znowu: — Mamo!

— Pawełku! — powiedziała obojętnie.

Pozwoliła mu się pocałować, ale wyglądała tak, jak gdyby zupełnie nie zdawała sobie sprawy z jego obecności.

W domu zachowywała się nadal tak samo — siedziała drobna, blada i niema. Nie zwracała na nic uwagi i odezwała się tylko raz:

— Trumna będzie tu wieczorem, Walterze. Może pójdziesz poszukać jakiejś pomocy. — Potem zwróciła się do dzieci: — Przywozimy go do domu.

Powiedziawszy to zapadła znów w poprzednie odrętwienie i siedziała niemo wpatrując się w przestrzeń, z rękami splecionymi na kolanach. Pawełkowi zdawało się, że mu brak tchu, kiedy na nią patrzył. W domu panowała śmiertelna cisza.

— Chodziłem do fabryki, mamo — powiedział Pawełek żałośnie.

— Doprawdy? — odparła znużonym głosem.

Po pół godzinie wrócił Morel, strudzony i ogłuszony nieszczęściem.

— Gdzie postawimy? — spytał żonę.

— W jadalnym.

— To może lepiej usunę stół?

— Tak.

— Czy postawić go na krzesłach?

— Może... tak, chyba tak będzie lepiej.

Morel i Pawełek przeszli ze świecą do jadalni. Nie było tam gazu. Ojciec odkręcił owalny mahoniowy blat stołu i opróżnił środek pokoju. Potem ustawił sześć krzeseł w dwóch rzędach naprzeciwko siebie, tak aby mogła na nich stanąć trumna.

— Nie widziałeś jeszcze czegoś tej długości, co on — powiedział górnik, z niepokojem przyglądając się wykonanej robocie.

Pawełek podszedł do okna we wnęce i wyjrzał na dwór. Jesion stał groźny i czarny na straży rozległej, ciemnej pustki. Niebo było niemal zupełnie czarne. Pawełek wrócił do matki.

O dziesiątej Morel zawołał:

— Już są!

Wszyscy zerwali się z miejsc. Rozległ się szcęk odsuwanych rygli i hałas

TLR

otwieranych frontowych drzwi, przez które wprost do pokoju wpadła czarna, ponura noc.

— Przynieście jeszcze jedną świecę! — zawołał Morel.

Ania i Artur poszli naprzód ze świecą, a za nimi matka i Pawełek, który zatrzymał się w progu jadalni i stał, opasując matkę ramieniem. Na środku pustego pokoju czekało sześć zwróconych do siebie krzeseł. Poprzez koronkowe firanki w oknie widać było Artura trzymającego uniesioną w górę świecę, a w otwartych drzwiach stała Ania wychylona do przodu w ciemność nocy, z połyskującym matowo mosiężnym lichtarzem w ręku.

Usłyszeli turkot kół. Na zewnątrz, w panujących na ulicy ciemnościach, Pawełek dostrzegł konie, czarny wehikuł, jedną mdło palącą się lampę oraz kilka bladych, poważnych twarzy. Po chwili rozróżnił postacie paru znajomych górników, którzy bez marynarek, w cienkich koszulach, zdawali się zmagać z czymś w mroku. Potem wyłoniło się z ciemności dwóch mężczyzn, schylonych pod ogromnym ciężarem. Był to Morel i jeden z sąsiadów.

— Ostrożnie! — wołał Morel, ciężko dysząc.

Wstępowali na strome schodki prowadzące z ogródka i po chwili ukazali się w mdłym kręgu świec, z brzegiem trumny rysującym się niewyraźnie nad ich głowami. Za nimi widać było wyprężone ramiona innych mężczyzn. Morel i Burns, idący na przedzie, posuwali się niepewnie i z wielkim trudem. Olbrzymia ciężka skrzynia zakółsała się w górze.

— Ostrożnie, powoli! — zawołał Morel, jak gdyby go coś zabolalo.

W małym ogródku znajdowało się teraz sześciu mężczyzn, trzymających ogromną trumnę w górze. Pozostały im do pokonania jeszcze tylko trzy schodki przed drzwiami. Żółte światło lampy przy wozie błyszczało samotnie na ciemnej drodze.

— Teraz uwaga! — powiedział Morel.

Trumna zakółsała się i mężczyźni zaczęli powoli wstępować ze swym ciężarem na schodki. Świeca zamigotała w ręku Ani, która załkała głucho, gdy ukazało się dwóch pierwszych mężczyzn. Sześciu postępujących za nimi górników usiłowało przedostać się do pokoju z trumną, która płynęła w progi domu na ramionach żywych ludzi jak symbol rozpacz i nieszczęścia.

— Och, mój synu... mój synu! — zawodziła cicho pani Morel za każdym razem, gdy trumna zakółsała się na ramionach mężczyzn, kolejno wstępujących na schodki.

— Mamo! — załkał Pawełek, wciąż obejmując ją ramieniem.

Nie usłyszała go.

— Och, mój synku... mój synku! — powtarzała.

Pawełek widział krople potu spływające po czole ojca. Sześciu mężczyzn weszło do pokoju — sześciu górników, bez marynarek, z naprężonymi, uginającymi się z wysiłku ramionami, wypełniło pokój potracając w przejściu stojące w nim sprzęty. Trumna wykonała pół obrotu w górze i ostrożnie spoczęła na krzesłach. Kilka kropli potu upadło z czoła Morela na lśniące wieko.

— Ależ on jest ciężki, daję słowo! — powiedział jeden z mężczyzn i pięciu górników westchnęło, skłoniło się i, drżąc jeszcze z wysiłku, zeszło po schodkach do ogródka, zamykając za sobą drzwi.

Rodzina została sama w jadalni, z ciemną, politurowaną skrzynią. William, gdy leżał tak wyprostowany, miał sześć stóp i trzy cale długości. Ciężka trumna piętrzyła się jak pomnik na środku pokoju. Pawełkowi wydawało się, że w żaden sposób nie będzie jej można stąd wydostać. Matka nieprzerwanie gładziła politurowane wieko.

Pochowali go w poniedziałek na małym cmentarzyku, z którego rozciągał się widok na pola leżące wokół wysokiego kościoła i niewielkiego miasteczka. Dzień był słoneczny i płatki białych chryzantem zwijały się w ciepłym, nagrzanym powietrzu.

Nie sposób było potem nakłonić panią Morel, aby znów zaczęła rozmawiać z ludźmi i odzyskała chociażby częściowo swoje dawne, żywe zainteresowanie światem. Była całkowicie oderwana od życia i zamknięta w sobie. Wracając z pogrzebu bezustannie powtarzała: — Gdybym to ja mogła być na jego miejscu!

Wracając wieczorem do domu, Pawełek zastawał teraz matkę siedzącą beczynn timer, ze złożonymi rękami, w zwykłym, szorstkim fartuchu. Dawniej zawsze zmieniała suknię i wkładała świeży, biały fartuszek. Teraz Ania podawała mu kolację, a matka siedziała nieruchomo w swoim fotelu na biegunach, wpatrzona niewidzącymi oczami w przestrzeń, z ustami mocno zaciśniętymi. Pawełek natężył wówczas umysł w poszukiwaniu jakichś interesujących wiadomości, które mógłby jej opowiedzieć.

— Mamo, panna Jordan była dziś w fabryce i powiedziała, że mój szkic pracującej kopalni jest bardzo piękny.

Ale słowa jego nie docierały do świadomości pani Morel. Pomimo to codziennie wieczorem wysiłał się, aby jej coś opowiedzieć, nie zważając na to, że go nie słucha. Był bliski utraty zmysłów, gdy widział ją w tym stanie. W końcu zapytał któregoś dnia:

— Co ci jest, mamo?

Nie usłyszała go.

— Co ci jest? — nalegał. — Powiedz, co jest, mamo?

— Dobrze wiesz, co mi jest — odparła gniewnie, odwracając się.

Chłopiec (miał wtedy szesnaście lat) poszedł spać zgnębiony. Był odcięty od matki i nieszczęśliwy przez cały październik, listopad i grudzień, ona zaś, mimo wysiłków, nie mogła otrząsnąć się z rozpacz. Przez cały czas rozmyślała tylko o zmarłym synu. Śmierć zabrała go jej tak okrutnie.

Na koniec, dwudziestego trzeciego grudnia, Pawełek wrócił do domu półprzytomny, z otrzymanymi na gwiazdkę pięcioma szylingami w kieszeni. Matka spojrzała na niego i serce jej zamarło.

— Co ci jest? — spytała.

— Źle się czuję, mamo! — odparł. — Pan Jordan dał mi pięć szylingów na gwiazdkę.

Podał jej pieniądze drżącymi palcami. Odłożyła je na stół.

— Wcale się nie ucieszyłaś! — powiedział z wyrzutem. Wstrząsały nim silne dreszcze.

— Gdzie cię boli? — spytała rozpinając mu płaszcz.

Było to jej dawne pytanie.

— Źle się czuję, mamo.

Rozebrała go i położyła do łóżka. Doktor stwierdził ciężkie zapalenie płuc.

— Czy nie zachorowałby, gdybym go zatrzymała w domu i nie pozwoliła jechać do Nottingham? — brzmiało jedno z pierwszych jej pytań.

— Być może przebieg choroby nie byłby taki ciężki — odparł doktor.

Pani Morel czuła, że sama jest winna temu nowemu nieszczęściu.

— Powinnam była dbać o żywego, a nie zajmować się wciąż tylko umarłym — powiedziała sobie.

Pawełek był ciężko chory. W nocy matka kładła się obok niego, nie mogli sobie bowiem pozwolić na pielęgniarkę. Stan chorego pogarszał się i zbliżał się kryzys. Pewnej nocy Pawełek po ciężkim paroksyzmie kaszlu odzyskał nagle przytomność ze strasliwym uczuciem zamierania. Wszystkie komórki ciała zdają się wówczas pękać w śmiertelnym wysiłku i męce, a świadomość staje się jak gdyby ostatnim błyskiem rozeznania w szaleńczej walce o życie.

— Ja umrę, mamó... umieram! — krzyknął, z trudem łapiąc oddech i wspierając się na poduszkach.

Uniosła go w górę.

— Och, mój synku... mój synku! — wołała cicho.

To go przywiodło do świadomości. Zrozumiał ją. Zdobył się na najwyższy wysiłek woli i pozostał przy życiu. Położył głowę na piersi matki, by zaczerpnąć nowych sił do życia — z jej miłości.

— Pod pewnym względem — mówiła potem jego ciotka — dobrze się stało, że Pawełek rozchorował się podczas Bożego Narodzenia. Myślę, że uratowało to jego matkę.

Pawełek przez siedem tygodni leżał w łóżku. Wstał blady i bardzo słaby. Ojciec kupił mu kilka czerwonożółtych tulipanów w doniczce. Płonęły na oknie w blasku marcowego słońca, gdy Pawełek siedział na kanapie gawędząc z matką. Robiła na drutach jakąś robótkę, a Pawełek pomagał zwijać wełnę. Byli z sobą niezwykle blisko. Życie pani Morel zakotwiczyło się teraz silnie na miłości i trosce o Pawełka.

William okazał się dobrym prorokiem. Pani Morel dostała od Lili na Boże Narodzenie list wraz z drobnym upominkiem. Siostra pani Morel dostała od niej list na Nowy Rok.

„Byłam wczoraj na balu — pisała Lili. — Poznałam tam wiele czarujących osób i bawiłam się znakomicie. Miałam zamówione wszystkie tańce... nie przesiedziałam ani jednego”.

Pani Morel już nic więcej o niej nie usłyszała.

Przez pewien czas po śmierci syna Morel i jego żona byli dla siebie bardzo dobrzy. Morel wpadał czasem w stan jakiegoś dziwnego osłupienia i patrzył wówczas przed siebie szeroko rozwartymi, niewidzącymi oczami. Potem zrywał się nagle i biegł do „Trzech Róż”, skąd wracał prędko i zupełnie trzeźwy. Ale do końca życia nie poszedł już ani razu na spacer do Shepstone drogą obok biura, w którym niegdyś pracował jego syn, i starannie unikał cmentarza.

TLR

## MŁODZIEŃCZA MIŁOŚĆ

Tej jesieni Pawełek często odwiedzał Willey Farm, gdzie zaprzyjaźnił się na początku z dwoma młodszymi chłopcami. Najstarszy Edgar nie chciał jeszcze zniżyć się do jego towarzystwa. Miriam unikała go także. Bała się, że będzie z niej kpił tak samo jak jej bracia. Dziewczynka miała duszę romantyczną. Żyła w świecie bohaterów Waltera Scotta, uwielbianych przez rycerzy w złocistych hełmach lub młodzieńców w kapeluszach ze strusimi piórami. Samą siebie uważała w swej bujnej wyobraźni za coś w rodzaju księżniczki zaklętej w świniarkę. Lękała się więc, aby Pawełek, który mimo wszystko był w jej oczach podobny do jakiegoś bohatera z Waltera Scotta, umiał malować i mówić po francusku, uczył się algebry i jeździł codziennie pociągiem do Nottingham — nie wziął jej za zwykłą świniarkę, niezdolny dostrzec ukrytej pod tym przebraniem księżniczki. Trzymała się więc na uboczu.

Jedyną jej towarzyszką była matka. Obie miały ciemne, piwne oczy i skłonne były do mistycyzmu. Należały do tych kobiet, które całą duszą oddają się wierze, upajają się nią jak wonią kadzidła i wszystko w życiu widzą w aureoli jej mgiełki. Tak więc dla Miriam Chrystus i Bóg jednoczyli się w jednej wszechmocnej Osobie, którą miłowała kornie i namiętnie, gdy pod wieczór płonęła na niebie luna zachodzącego słońca, gdy w świetle poranka Edyty, Luizy i Grenadyny, hrabiowie Brian de Bois Gilbert, Rob Roye i Guy Manneringowie przechadzali się wśród szeleszczących w słońcu drzew lub gdy zasiadali samotnie w jej pokoiku na górze, a za oknami miękko padał śnieg. To było prawdziwe życie Miriam. Resztę czasu wypełniały jej żmudne prace domowe, których nie uważałyby może nawet za krzywdę losu, gdyby bracia w gruby, roboczych butach nie zanosili natychmiast jej czystych czerwonych podłóg błotem. Gorąco pragnęła, aby mały, czteroletni braciszek pozwalał jej obsypywać się pocałunkami i niemal dusić w czułych uściskach. Chodziła nabożnie do kościoła ze spuszczoną głową i drżała z udreki, bolejąc nad wulgarnością pozostałych dziewcząt z chóru i pospolitym brzmieniem głosu proboszcza. Wojowała z braćmi i nie żywiła zbyt wielkiego poważania dla ojca, który nie hołdował i nie pielęgnował w swym sercu wzniosłych, mistycznych ideałów, pragnął natomiast możliwie najprzyjemniej spędzać czas i mieć w porę podawane posiłki, gdy chciało mu się jeść.

Wstydziała się i nienawidziła swojej życiowej pozycji — zwykłej świniarki. Chciała być otoczona uznaniem. Chciała się uczyć, bo wydawało jej się, że gdyby tak jak Pawełek potrafiła przeczytać „Colombę” i „Voyage autour de ma chambre”, świat nabrałby dla niej innego aspektu i zdobyłaby sobie większy szacunek u ludzi. Nie była księżniczką z urodzenia i nie mogła marzyć

o tytułach pozyskanych dzięki bogactwu. Namiętnym jej pragnieniem było więc zdobycie wykształcenia, którym mogłaby się potem chęłpić. Była bowiem inna od reszty ludzi i nie należało traktować jej na równi z pospółstwem. Wykształcenie było dla niej jedyną dostępną drogą wyróżnienia się w życiu.

Jej uroda, nieśmiałość, dziki, nadmiernie wrażliwy stworzenia, była dla niej

niczym. Nie wystarczała nawet wyjątkowa poetyczność duszy. Musiała zdobyć coś, co utwierdziłoby ją w ambicjach, czuła się bowiem inna od reszty świata. Pawełkowi przyglądała się uważnie i z zaciekawieniem. Dotychczas gardziła całą płcią brzydką. Ale on był zupełnie nowym i odmiennym jej przedstawicielem. Był bystry, dowcipny i pełen wdzięku, potrafił być dobry, bywał smutnie zamyślony, był mądry, miał dużo wiadomości i umarł mu rodzony brat. Ubożuchny kęs wiedzy chłopca wynosił go pod niebiosa w oczach rozegzaltowanej dziewczyny. Wbrew jednak temu wszystkiemu usiłowała gardzić nim, nie widział w niej bowiem księżniczki, a tylko zwykłą swniareczkę. A i to ledwie ją zauważał.

Potem rozchorował się ciężko i myślała, że będzie już zawsze słabowity. Będzie zatem od niego silniejsza. Będzie go mogła kochać. Jeśli mogłaby stać się opiekunką czuwającą nad jego zdrowiem, a on, zdając się na nią, pozwoliłby zamknąć się w kręgu jej czułych ramion — jakżeby go wówczas kochała!

Gdy tylko niebo rozchmurzyło się trochę i przekwitły śliwy, Pawełek wybrał się ciężkim, niskim wozem mleczarza do Willey Farm. Pan Leivers zawołał coś po przyjacielsku do chłopca i cmoknął na konia, gdy wczesnym rankiem wolno wjeżdżali pod górę. Białe obłoki przepływały nad ich głowami na drugą stronę wzgórza, które zdawało się wyrastać jeszcze wyżej w świeżym, wiosennym powietrzu. Jezioro Nethermere leżało w dole, głębokim błękitem odcinając się od wyschniętych łąk i krzaków tarniny.

Droga do Willey Farm wynosiła cztery i pół mili. Na żywopłotach, jaśniejących świeżą zielenią, delikatne pączki rozkwitały w drobne różyczki. Drozdy nawoływały się, szpaki darły się i kłóciły. Był to nowy, cudowny świat.

Miriam, zerkając przez kuchenne okno, zobaczyła konia wkraczającego przez wielką, białą bramę na podwórko, za którym ciemną ścianą wznosił się dębowy las, wciąż jeszcze ogołocony z liści. Młody chłopak, w ciężkim płaszczu, ześliznął się na ziemię. Wyciągnął w górę ręce, aby odebrać bat i koc, które podawał mu z wozu pocziwie uśmiechnięty gospodarz o czerwonej, rumianej twarzy.

Miriam stanęła w drzwiach. Miała prawie szesnaście lat i była śliczna ze swymi ciepłymi rumieńcami na smagłej twarzy, ze swą niezwykłą powagą i ciemnymi oczami rozświecającymi się nagle, jak gdyby w ekstazie.

Pawełek nieśmiało odwrócił głowę.

— Wydaje mi się, że wasze narcyzy już zaraz zakwitną — powiedział. — Czy nie za wcześnie? Boję się, że wyglądają, jak gdyby były trochę zmarznięte.

— Ależ nigdy w świecie! — zaprzeczyła Miriam melodyjnym, miękkim głosem.

— Ich zielone pączki... — zaczął i umilkł onieśmielony.

— Pozwól, że wezmę koc — powiedziała Miriam z przesadną uprzejmością.

— Mogę doskonale sam zanieść — odparł lekko dotknięty.

Oddał go jej jednak.

Z kolei pojawiła się pani Leivers.

— Jesteś z pewnością zziębnięty i zmęczony — powiedziała. — Daj mi swój płaszcz. Jest bardzo ciężki i nie powinieneś w nim dużo chodzić.

Pomogła mu zdjąć płaszcz. Pawełek był zgoła nie przyzwyczajony do tak daleko posuniętej pieczołowitości. Pani Leivers niemal ugięła się pod ciężarem okrycia.



— Oho, matko! — zaśmiał się gospodarz, tocząc środkiem kuchni ciężką maselnicę.  
— Coś mi się zdaje, że wzięłaś więcej, niż dasz radę unieść.

Pani Leivers poprawiła poduszki na kanapie, żeby chłopcu było wygodniej.

Kuchenka była mała i nieforemna. Farma należała przedtem do robotnika i znajdujące się tu meble były stare i poniszczone. Ale Pawełkowi wszystko się w tym domu podobało. Lubił zgrzebny worek leżący przed kominkiem zamiast dywanika, śmieszny zakamarek pod schodami i małe okienko w głębokim kącie, przez które, nachyliwszy się trochę, mógł patrzeć na śliwy w ogródku za domem i na piękną panoramę wzgórz rozciągających się w dali.

— Czy nie położysz się na chwilę? — zapytała pani Leivers.

— O nie, dziękuję. Nie jestem wcale zmęczony — odparł. — To tak przyjemnie wywrać się trochę na wieś. Widziałem po drodze kwitnący krzak tarniny i całe mnóstwo kluczyków. Cieszę się, że jest tak słonecznie.

— Może coś zjesz albo wypijesz?

— Nie, dziękuję.

— Jak się czuje mama?

— Wydaje mi się, że jest zmęczona. Myślę, że ma za dużo roboty. Może niedługo pojedzie ze mną do Skegness. Tam sobie trochę odpocznie. Bardzo bym się cieszył, gdyby mogła pojechać.

— O tak — odparła pani Leivers. — To cud, że sama nie zachorowała.

Miriam krzątała się przy gotowaniu obiadu. Pawełek obserwował wszystko, co się działo dokoła. Twarz miał bladą i szczupłą, ale oczy świeciły bystro i żywo, jak zawsze. Patrzył na dziwne, niemal patetyczne ruchy dziewczyny, wsuwającej wielką brytfannę do pieca lub zaglądającej do garnków. Atmosfera, która tu panowała, była zupełnie inna niż u niego w domu, gdzie wszystko było proste i zwyczajne. Kiedy pan Leivers, stojąc przed domem, krzyknął głośno na konia zabierającego się do ogryzania pączków róży w ogródku, Miriam drgnęła i rozejrzała się wkoło ciemnymi oczami, jak gdyby ktoś wtargnął nagle i zamącił spokój jej duszy. Miriam często wydawała się jakąś zaklętą królewną z bajki, błędzącą myślami w odległej, zaczarowanej krainie. Jej stara, spłowiała, niebieska sukienka i zdarte trzewiki wyglądały jak romantyczne łańchmany żebracze żony króla Cophetuy.

Nagle Miriam zdała sobie sprawę z bystrego spojrzenia niebieskich oczu chłopca, ogarniających jej postać. Natychmiast popękane trzewiki i stara, wytarta sukienka zaczęły ją palić boleśnie. Była zła na chłopca, że tak dostrzega każdy szczegół. Widział nawet z pewnością, że opada jej jedna pończocha. Wyszła do spizarki, oblewając się gorącym rumieńcem. Gdy wróciła, ręce jej drżały przy pracy. Wypuszczała niemal wszystko z ręki... Gdy coś zamąciło wewnętrzny świat jej ducha, ciało jej drżało z przejęcia i lęku. Miała żal do Pawełka, że zawsze wszystko zauważa.

Pani Leivers siedziała przez jakiś czas rozmawiając z chłopcem, mimo że bardzo śpieszyło się jej do własnej roboty. Była zbyt uprzejma, żeby go od razu zostawić samego. Po chwili przeprosiła go jednak i odeszła. Wkrótce potem zajrzała do jednego rondla.

— Och, Miriam, kochanie! — zawołała. — Przypaliłaś kartofle!

Miriam poderwała się z miejsca, jakby ją coś boleśnie ukłuło.

— Czy to możliwe, mamó? — wykrzyknęła.

— Nie martwiłabym się tym, Miriam — powiedziała matka — gdyby nie to, że powierzyłam je twojej opiece. — Znów zajrzała do garnka.

Dziewczyna zeszywniała, jak gdyby jej wymierzono policzek. Jej ciemne oczy rozwarły się szeroko i stała nie ruszając się z miejsca.

— Nie wiem, co się stało, mamó — szepnęła boleśnie upokorzona — pewna jestem, że zaglądałam do nich przed paru minutami.

— Tak — odparła matka — wiem, jak to się łatwo robi.

— Są zaledwie trochę przypalone — powiedział Pawełek. — To chyba nic straszne-  
go, prawda?

Pani Leivers spojrzała na chłopca brązowymi oczami, w których malował się lekki wyrzut.

— Oczywiście, że nic by to nie szkodziło, gdyby nie chłopcy — odparła. — Miriam sama wie najlepiej, jakie robią awantury, jeśli kartofle są przypalone.

„Wobec tego — pomyślał Pawełek — nie powinna im pani na te awantury pozwalać”.

W chwilę potem wszedł Edgar. Miał na nogach buty ze sztylpami, oblepione ziemią. Był niedużego wzrostu i zachowywał się trochę zbyt ceremonialnie, jak na farmera. Spojrzał na Pawełka, kiwnął mu z daleka głową i zapytał:

— Obiad jest?

— W tej chwili będzie, Edgarze — uspokajała go matka.

— To szkoda, bo chce mi się jeść — powiedział młody człowiek, biorąc ze stołu gazetę i zabierając się do czytania. Po chwili zjawiała się reszta rodziny. Podano do stołu. Jedli z jakąś zwierzęcą łapczywością. Przesadna uprzejmość i usprawiedliwiający się ton matki tym jaskrawiej podkreślały brutalne maniery jej synów. Edgar skosztował kartofli, zaczął ruszać ustami szybko jak królik i spojrzawszy z oburzeniem na matkę, powiedział:

— Kartofle są przypalone, mamó.

— Tak, Edgarze. Zapomniałam o nich na chwilę. Może weźmiesz kawałek chleba, jeśli nie możesz ich jeść.

Edgar spojrzał ze złością poprzez stół na Miriam.

— A co robiła Miriam, że nie mogła ich dopilnować?

Miriam podniosła głowę i otworzyła usta. Jej ciemne oczy lśniły i powieki drżały, ale nie powiedziała ani słowa. Przełknęła swą złość i upokorzenie, nisko schylając ciemną głowę.

— Jestem pewna, że bardzo się starała — rzekła matka.

— Nie ma nawet tyle oleju w głowie, żeby ugotować kartofle! — powiedział Edgar. — Po co ona w ogóle siedzi w domu?

— Tylko po to, żeby wyjeść wszystko, co zostanie w spizarce — rzekł Maurycy.

— Nie mogą zapomnieć naszej Miriam tych pieczonych ziemniaków — zaśmiał się ojciec.

Miriam była upokorzona do ostatecznych granic. Matka cierpiała w milczeniu, niby święta, która jedynie przez jakąś omyłkę znalazła się wśród zgromadzonych przy stole okrutnych prześladowców.

Pawełek siedział zdumiony. Nie mógł pojąć, aby kilka przypalonych kartofli mogło doprowadzić do tak gwałtownego wybuchu. Matka z całą egzaltacją wynosiła wszystko, każdą najprostszą domową robotę do rzędu jakiejś misji i posłannictwa bożego. Synów wyprowadzało to zupełnie z równowagi. Czuli się wyrzuceni poza nawias i odwzajemniali się wzmożoną brutalnością oraz złośliwą arogancją.

Pawełek przechodził właśnie z wieku dziecięcego w wiek męski. Owa specyficzna atmosfera, w której wszystko nabierało religijnego aspektu, wywierała na niego nieuchwytny urok. Unosił się tu w powietrzu jakiś szczególny nastrój. Jego matka była rozsądnie i logicznie myśląca. Tu spotykał się z czymś zupełnie odmiennym, z czymś, co czasem kochał — i czego chwilami nienawidził.

Do końca obiadu Miriam kłóciła się z braćmi zawzięcie. Po południu, gdy wszyscy chłopcy wyszli, matka powiedziała:

— Zawiodłam się dziś na tobie podczas obiadu, Miriam.

Dziewczyna spuściła głowę.

— Są dzicy, jak zwierzęta! — zawołała nagle, podnosząc roziskrzony gniewem oczy.

— Ale przyrzekałeś mi, że nie będziesz im odpowiadała, prawda? — mówiła matka.

— I wierzyłam ci. Nie mogę znieść, kiedy się tak kłócisz.

— Ale oni są tacy okropni! — zawołała Miriam. — I tacy... tacy... podli.

— Tak, kochanie. Ale ile razy prosiłam cię, żebyś nie odpowiadała Edgarowi? Niech sobie mówi, co mu się podoba!

— Ale dlaczego jemu wolno mówić, co mu się podoba?

— Czy nie jesteś dość silna, aby to znieść, Miriam, chociażby ze względu na mnie? Czy naprawdę masz taką słabą wolę, że musisz się z nim kłócić?

Pani Leivers wznosiła niezachwianie teorię „drugiego policzka”. Nie mogła jej jednak absolutnie zaszczepić chłopcom. Z dziewczętami powiodło jej się to lepiej, a Miriam była jej wybranym dzieckiem. Chłopcy gardzili drugim policzkiem, kiedy im go nadstawiano. Miriam często zdobywała się na wzniosłą pokorę, aby prezentować im swój. Pluli wówczas ze wzgardą i nienawidzili jej. Ale ona obnosiła dumnie swe upokorzenie, zamykając się we własnym świecie.

W rodzinie Leiversów stale wyczuwało się jakiś rozdźwięk i toczyły się ciągłe walki i spory. Chociaż chłopcy tak gorąco nienawidzili wiecznego apelowania do wzniosłych uczuć wyrzeczenia i pokory, pozostawiło to jednak pewien ślad na ich psychice. Nie potrafili na przykład nawiązać z kimś obcym zwykłej znajomości ani zawrzeć umiarkowanej przyjaźni. Stale tęsknili za czymś głębszym. Przeciętni ludzie wydawali im się płytki, trywialni i niewarci zainteresowania. Byli nieobcy i rażąco nieokrzesani w najprostszych towarzyskich rozmowach, cierpiąc zaś nad tym w duchu, w niegrzeczny sposób manifestowali swą wyższość. Pod tą maską kryła się jednak gorąca tęsknota za prawdziwą przyjaźnią, której nie umieli pozyskać, byli bowiem zbyt skryci i każdą próbę zbliżenia z czyjejs strony udaremniawali jawnie okazywaną pogardą. Pragnęli szczerzej zażyłości, a nie potrafili nawiązać najprostszych stosunków towarzyskich, wzdragali się bowiem przed postawieniem pierwszego kroku i drażniła ich pewna nieunikniona zdawkowość w stosunkach z obcymi ludźmi.

Pawełek natomiast był całkowicie pod wpływem i urokiem pani Leivers. Wszystko

nabierało głębszego i mistycznego znaczenia, kiedy z nią przebywał. Jego dotkliwie zraniona i wrażliwa dusza poszukiwała jej, jak niezbędnej do życia strawy. Zdawali się wspólnie szukać prawdy i odsiewać prozę życia od głębszych, duchowych doświadczeń.

Miriam była całą duszą oddana matce. Pewnego słonecznego popołudnia matka z córką wybrały się w towarzystwie Pawełka na przechadzkę w pole. Szukali ptasich gniazd. W żywopłocie otaczającym sad miał swoje gniazdko mysikrólik.

— Musisz je koniecznie zobaczyć — powiedziała pani Leivers.

Pawełek przykucnął i omijając ostrożnie kolce żywopłotu, delikatnie wsunął palec w otwór gniazdka.

— Jakby się czuło żywe ciało ptaszka, tak jest tam ciepło — powiedział. — Mówią, że ptaszek budując sobie gniazdko własną piersią formuje tę głęboką czareczkę. Ciekaw jestem wobec tego, w jaki sposób zaokrągla sobie sklepienie nad głową...

Dopiero teraz gniazdko nabrało pełni życia dla obu kobiet. Odtąd Miriam codziennie przychodziła je oglądać, tak bardzo stało się jej bliskie. Innym znów razem Pawełek, idąc z Miriam wzdłuż żywopłotu, zobaczył postrzępione, złote kępki kluczyków rosnących nad rowem.

— Lubię patrzeć na nie — powiedział — kiedy tak rozchylają płatki do słońca. Wydaje mi się wtedy, że z wszystkich sił garną się do światła i ciepła.

Odtąd kluczyki miały jakiś szczególny, magiczny urok dla niej. Będąc z natury antropomorficzką, usiłowała wpoić Pawełkowi własny sposób patrzenia na rzeczy, które dopiero w tym ujęciu nabierały dla niej życia. Wszystko musiało rozpaść się najpierw w jej sercu lub wyobraźni, zanim zostało przez nią objęte w posiadanie. Od zwykłych codziennych spraw odgradzała ją żarliwa wiara, przeobrażająca jej świat w klasztorny ogródek czy też raj, w którym grzech i wiedza o życiu mogły zdawać się jedynie rzeczą złą, niską i okrutną.

Tak więc miłość tych dwojga młodych poczęła się w atmosferze wspólnego, subtelnego uwielbienia dla nieznanego tajemnic przyrody.

Pawełek przez długi czas przebywał z Miriam nie interesując się prawie jej osobą. Po ostatniej chorobie musiał przez dziesięć miesięcy pozostawać w domu. Wyjechał z matką na pewien czas do Skegness i czuł się tam bezgranicznie szczęśliwy, ale nawet stamtąd pisywał długie listy do pani Leivers, opisując morze i okolicę. Przywiózł swoje ukochane szkice płaskiego wybrzeża Lincoln-shire i był niezmiernie ciekaw, co o nich powiedzą. Zainteresowały one Leiversów znacznie żywiej niż jego matkę. Pani Morel dbała przede wszystkim nie o talent syna, lecz o niego samego i jego życiowe osiągnięcia. Pani Leivers natomiast i jej dzieci czuli się niemal jego uczniami. Dodawali mu zapału i zagrzewali go do pracy, gdy własna matka usiłowała nauczyć go spokojnej determinacji, uporu i wytrwałości.

Pawełek zaprzyjaźnił się wkrótce z chłopcami, których szorstka opryskliwość była tylko pozorną. Wszyscy oni, raz upewniwszy się, że mogą mieć do kogoś zaufanie, byli niezwykle mili i bezpośredni.

— Czy wybierzesz się ze mną w pole? — zapytał go raz Edgar z pewnym wahaniem.

Pawełek zgodził się z radością i przez całe popołudnie pomagał swojemu przyjaciel-

lowi okopywać zagony i przerywać rzepe. Często, leżąc razem z trzema braćmi na świeżo zwiezionym do stodoły sianie, opowiadał im o Nottingham i o zakładzie Jordana. W zamian za to uczyli go doić krowy oraz pozwalali mu spełniać różne lżejsze prace gospodarcze, jak przerzucanie siana lub krajanie rzepey, jeżeli miał na to ochotę. W pełni lata pracował z nimi przez cały czas sianokosów i polubił ich wtedy gorąco. Leiversowie żyli na swojej farmie całkowicie odcięci od świata, można by powiedzieć, jak *les derniers fils d'une race épuidée*. Mimo że chłopcy byli mocni i zdrowi, cechowała ich nadmierna wrażliwość i skrytość, przez co skazani byli w dużej mierze na osamotnienie, lecz jednocześnie stawali się wyjątkowo wiernymi i subtelными przyjaciółmi, gdy już raz pozyskało się ich zaufanie. Pawełek polubił ich prawdziwie, a oni odpłacali mu pełną wzajemnością. Miriam przyszła później. Ale on wszedł w jej życie, zanim jeszcze ona zaczęła znaczyć cokolwiek dla niego. Pewnego dżdżystego popołudnia, gdy mężczyźni byli w polu, a chłopcy w szkole, w domu zaś pozostała tylko Miriam z matką — dziewczynka rzekła po dłuższej chwili wahania:

— Czy widziałeś już naszą huśtawkę?

— Nie! — zawołał. — Gdzie jest?

— W oborze — odparła Miriam.

Zawsze wahała się, gdy miała mu coś zaproponować albo pokazać. Mężczyźni na ogół inaczej oceniają wartość rzeczy aniżeli kobiety, ponadto zaś bracia jej najczęściej wyśmiewali lub wyszydźali to, co jej wydawało się drogie i cenne, była więc pod tym względem szczególnie wrażliwa.

— Chodźmy tam prędko — zawołał Pawełek zrywając się z miejsca.

Na farmie były dwie obory, po jednej z obu stron stodoły. W niższej i ciemniejszej było miejsce dla czterech krów. Kury gdacząc poderwały się w górę i znikły za żłobem, gdy Pawełek i Miriam wszedłszy do środka sięgnęli do długiego, grubego sznura, który zwisał w ciemnościach z potężnej belki nad ich głowami i umocowany był z boku na drewnianym kołku, sterczącym ze ściany.

— Ależ to prawdziwa lina okrętowa! — zawołał Pawełek z uznaniem, siadając na huśtawce, aby ją jak najprędzej wypróbować. Zerwał się jednak natychmiast z powrotem.

— Chodź tu i siadaj pierwsza — powiedział.

— Poczekaj — odparła. — Podkładamy tu zawsze worki na siedzenie. — Wyścieliła starannie huśtawkę, aby mu było wygodniej. Sprawiało jej to wyraźną przyjemność. Pawełek przytrzymał sznur.

— Siadaj — powiedział.

— Nie, nie chcę pierwsza — odparła. Stała z boku, jak zawsze odległa i spokojna.

— Dlaczego?

— Siadaj ty teraz — poprosiła.

Po raz chyba pierwszy w życiu doznawała przyjemności w uleganiu mężczyźnie i psuciu go. Pawełek spojrzał na nią.

— Dobrze — powiedział siadając. — Odsuń się.

Jednym mocnym pchnięciem odbił się od ziemi i już po chwili szybował wysoko w powietrzu, wylatując niemal poza wrota obory, których górna połowa była otwarta. Widać było przez nie padający na dworze deszcz, rozmokłe podwórze, osowiałe stł-

czony był na czarnym tle wozowni i niewyraźnie majaczącą poza tym wszystkim szarozieloną ścianę lasu. Miriam stała w dole, w czerwonym bereciku na głowie, i przypatrywała mu się. Kiedy spojrział na nią z góry, zobaczyła jego błękitne, roziskrzane radością oczy.

— Wspaniała huśtawka! — zawołał.

— Tak.

Wzlatywał w górę, każdą komórką ciała biorąc udział w locie, niby ptak, który rzuca się w powietrze dla samej emocji ruchu. Znów spojrział w dół na Miriam. Czerwona czapeczka przesunęła się na bok na jej ciemnych lokach, a ładna ciepła twarzyczka, dziwnie spokojna w swoim zamyśleniu, zwrócona była w górę, ku niemu. W oborze było ciemno i chłodno. Spod wysokiego sklepienia spadła nagle jaskółka i wyleciała na dwór przez otwarte wrota.

— Nie wiedziałem, że ptak na mnie patrzy! — zawołał.

Huśtał się teraz swobodnie i niedbale. Miriam niemal wyczuwała jego wznoszenie się i opadanie w powietrzu, jak gdyby unoszony był jakąś niewidzialną siłą.

— A teraz umrę — powiedział bezwolnym, sennym głosem, jak gdyby zespalać się z zamierającym ruchem huśtawki. Dziewczyna patrzyła na niego zafascynowana. Nagle zahamował i zeskoczył na ziemię.

— To trwało bardzo długo — powiedział. — Ale huśtawka jest rzeczywiście wspaniała... Naprawdę wspaniała!

Miriam bawiło to bardzo, że Pawełek bierze huśtawkę tak poważnie i rozprawia o niej z przejęciem.

— Dziękuję... Ale pohuśtaj się jeszcze — powiedziała.

— Dlaczego? Czy ty nie masz ochoty? — zapytał zdumiony.

— Nie. Nie bardzo. Może tylko chwileczkę.

Usiadła na huśtawce, a on przytrzymał leżące na siedzeniu worki.

— To jest wspaniałe! — powiedział wprawiając w ruch huśtawkę. — Podciągnij pięty w górę, bo uderzysz o żłób.

Czuła, jak zręcznie pochwycił ją we właściwym momencie oraz jak precyzyjnie obliczył siłę następnego pchnięcia, i ogarnął ją lęk. Gorąca fala strachu spłynęła gdzieś w głąb jej wnętrza. Była w jego rękach. Znów, w odpowiednim momencie, przyszło nowe, pewne i niezawodne uderzenie. Ścisnęła z całych sił sznur, bliska omdlenia.

— Och! — zaśmiała się trwożnie. — Proszę cię, nie wyżej niż teraz!

— Przecież wcale jeszcze nie jesteś wysoko — zaoponował.

— Tak, ale nie chcę wyżej.

Usłyszał lęk w jej głosie i ustąpił. Serce nieomal roztapiało się w niej z bólu, gdy nadeszła chwila, w której powinien był popchnąć ją znowu. Nie uczynił tego jednak. Zaczęła lżej oddychać.

— Czy naprawdę nie chcesz pohuśtać się trochę mocniej? — spytał. — Mam cię utrzymywać na tej wysokości?

— Nie, dziękuję. Będę się huśtać sama — odparła.

Stał z boku i patrzył na nią.

— Ależ ty się prawie wcale nie ruszasz! — zawołał.

Zaśmiała się cicho, zawstydzona, i po chwili zsunęła się na ziemię.

— Mówią, że jeśli ktoś dobrze znosi huśtawkę, nie będzie chorował na morzu — powiedział siadając z powrotem. — Nie wyobrażam sobie, żebym w ogóle mógł cierpieć na morską chorobę.

Wyfrunął w górę. Było w nim coś urzekającego. Przez chwilę był jedynie kłębkim fruwającej w powietrzu materii. Każda najdrobniejsza cząstka jego ciała brała udział w locie. Miriam nigdy nie potrafiłaby się tak zapamiętać i nie potrafiliby tego też jej bracia. Czują wzbierające w niej jakieś ciepło. On zaś zdawał się być płomieniem rozpalającym owo ciepło w jej sercu, gdy tak szybował wysoko w powietrzu.

Stopniowo przyjaźń Pawełka z rodziną Leiversów skoncentrowała się na trzech osobach: matce, Edgarze i Miriam. Do matki udawał się po ową głęboką sympatię i zrozumienie, za które odpłacał jej bezgranicznym zaufaniem. Edgar był jego serdecznym przyjacielem. Miriam zaś traktował mniej lub więcej pobłażliwie, wydawała się bowiem tak bardzo pokorna i uległa.

Powoli jednak Miriam zagarniała go coraz wyłączej dla siebie. Gdy przynosił swój szkicownik, najdłużej z wszystkich wpatrywała się w ostatni szkic, przenosząc wzrok z rysunku na Pawełka. Jej ciemne oczy rozświeślały się nagle, jak woda prześwitująca strumieniem złota wśród mroku.

— Dlaczego tak mi się to podoba? — pytała go niespodzianie.

W takich chwilach dusza jego zawsze wzbierała ukrytym protestem przeciwko zbytnej poufałości tych oczarowanych spojrzeń.

— No, więc powiedz dlaczego? — pytał.

— Nie wiem. Wydaje się to takie prawdziwe.

— To dlatego... to może dlatego, że prawie nie ma tu cienia. Sama tylko barwa... jak gdybym malował skrzącą się protoplazmę, w liściach i we wszystkim... a nie sztywny kształt. Kształt wydaje mi się martwy, jedynie barwa jest prawdziwym życiem. Kształt to martwa skorupa. Barwa jest treścią.

Miriam, ssąc mały palec, długo rozmyślała nad jego słowami. Przywracały jej poczucie życia i ożywiały przedmioty, które dotychczas pozbawione były dla niej wszelkiego znaczenia. Umiała doszukać się treści w tych jego oderwanych, abstrakcyjnych wypowiedziach. Były one wskaźnikiem, za pomocą którego docierała wprost do swoich ulubionych przedmiotów.

Pewnego razu siedziała przy nim pod wieczór, gdy malował sosny płonące w czerwonym blasku zachodu. Pracował w skupieniu.

— O właśnie! — zawołał nagle. — O to mi chodziło! Spójrz teraz na nie i powiedz, czy to są pnie sosen, czy też czerwone płonące w ciemnościach pochodnie? Masz tu przed sobą boży krzak gorejący, wciąż jeszcze w ogniu!

Miriam spojrzała na drzewa i ogarnął ją lęk. Ale pnie sosen wydawały jej się cudowne i niezwykle wyraźne. Pawełek spakował do kasety swoje przyrządy malarskie i wstał. Nagle popatrzył na nią.

— Czemu jesteś zawsze smutna? — zapytał.

— Smutna?! — wykrzyknęła patrząc na niego wystraszonymi, pięknymi brązowymi oczyma.

— Tak — powiedział. — Jesteś zawsze smutna.

— Ależ wcale nie... ani trochę! — zawołała.

— Tak. Nawet twoja radość jest jak płomień wybuchający ze smutku — upierał się. — Nigdy nie bywasz wesoła lub choćby nawet pogodna.

— Nie... — zamyśliła się. — Zastanawiam się, dlaczego tak jest?

— Bo już taka jesteś... bo jesteś w głębi inna, jak sosna... i potem nagle się zapalasz. Ale nie jesteś jak te inne drzewa... wesołe, z szumiącymi liśćmi...

Zapłatał się we własnych słowach. Miriam zamyśliła się nad nimi, a jego ogarnął dziwny niepokój, wywołany nowymi i obcymi mu uczuciami. Stała tak blisko. Było to osobliwie podniecające.

Bywały jednak chwile, że jej nie cierpiał. Najmłodszy braciszek Miriam miał zaledwie pięć lat. Był to wąty, delikatny chłopczyk, o ogromnych, brązowych oczach, dziwnie płonących w mizernej, bladej twarzyczce. Przypominał aniołka z „Chóru aniołów” Reynoldsa, a zarazem małego elfa. Miriam często klękała przed dzieckiem i tuliła je oburącz do siebie.

— Och, Hubercie! — śpiewała głębokim głosem, przesyconym miłością. — Och, Hubercie!

I ściskając go w ramionach, kołysała się z boku na bok, lekko i pieszczotliwie. Twarz miała wzniesioną w górę, oczy półprzymknięte, a głos nabrzmiały miłością.

— Przestań! — prosiło dziecko, zaniepokojone. — Proszę cię, przestań, <• Miriam!

— Przecież mnie kochasz, prawda, że mnie kochasz? — powtarzała gardłowym głosem, niemal pogrążona w transie i słaniając się, jak gdyby za chwilę miała zemdleć w ekstazie.

— Przestań! — powtórzyło dziecko, a na jego jasnym czole ukazała się zmarszczka.

— Kochasz mnie, prawda? — szeptała.

— Cóż ty wyrabiasz! — krzyczał Pawełek do ostateczności wyprowadzony z równowagi jej przesadną czułością. — Czy nie możesz go traktować normalnie?!

Puściła dziecko i wstała bez słowa. To dziwne przeczulenie Miriam, które nie pozwalało jej panować nad swymi uczuciami, doprowadzało Pawełka do szału. Owo zaś straszliwe obnażanie i demonstrowanie uczuć przy lada okazji, napawało go głębokim niesmakiem. Przyzwyczajony był do chłodnej powściągliwości swej matki. I zawsze w takich razach dziękował z głębi duszy i serca Bogu, że ma matkę tak rozsądną i zrównoważoną.

Cały świat przeżyć Miriam zamykał się w jej oczach, które były zazwyczaj ciemne jak wnętrze ciemnego kościoła, lecz nagle potrafiły rozplomienić się pożogą blasku. Z twarzy jej prawie nigdy nie schodził wyraz zamyślenia. Mogłaby być jedną z niewiast, kroczących u boku Marii po śmierci Jezusa. Jej ciało nie miało giętkości ani życia. Chodziła kołyszącym się, ciężkim krokiem, zawsze zamyślona, z pochyloną głową. Nie była niezgrabna, ale ruchy jej nie były takie, jakie być powinny. Zdarzało się często, że wycierając naczynie stawiała przerażona i zmartwiała, gdy okazało się, że kieliszek lub filiżanka pękła na dwoje w jej rękach. Nie dowierzając sobie, zdawała się wkładać zbyt wiele siły we wszystkie swoje czynności. Nie było w niej prostoty i swobody. Wykonywała wszystko zdrewniała z napięcia i ów nadmierny wysiłek zdawał się pochłaniać jej całą energię.

Rzadko kiedy zmieniała swój wychylony do przodu, kołyszący się sposób chodze-



nia. Czasem wybiegała z Pawełkiem w pole i wtedy oczy jej błyszczały w tak jawnej ekstazie, że przejmowało go to nieomal przerażeniem. Była jednak bardzo bojaźliwa. Przelaząc przez płot kurczowo chwyciła się rąk Pawełka i prawie traciła przytomność umysłu. Nie mógł też jej namówić do zeskokczenia z najmniejszej choćby wysokości. Oczy jej rozszerzały się, a serce trzepotało z lęku.

— Nie! — krzyczała na wpół śmiejąc się, przerażona. — Nie!

— Musisz skoczyć! — zawołał pewnego razu Pawełek i silnym pchnięciem do przodu zrzucił ją z płotu. Jej rozpaczliwy okrzyk bólu: „Ach!”, jak gdyby traciła przytomność, przeraził go. Wylądowała jednak bezpiecznie na ziemi i od tego czasu stała się odważniejsza.

Miriam była bardzo niezadowolona ze swego losu.

— Czy nie lubisz swoich zajęć w domu? — zapytał ją zdumiony Pawełek.

— Jakże to można lubić? — odparła stłumionym, żarliwym głosem. — I co mi to daje? Przez cały dzień sprzątam po chłopcach, którzy w pięć minut potem robią znów taki sam nieporządek. Nie chcę siedzieć w domu!

— A co byś wobec tego chciała?

— Chciałabym coś robić. Chcę mieć takie same szanse jak każdy. Czy dlatego, że jestem dziewczyną, mam siedzieć w domu i nie wolno mi stać się kimś w życiu? Powiedz mi, jakie ja mam w domu szanse?

— Szanse na co?

— Żeby coś umieć... żeby się uczyć albo coś robić. To niesprawiedliwe, żeby odmawiać mi tego, bo jestem dziewczyną.

Wydawała się bardzo rozgoryczona. Pawełek był zdumiony. U nich w domu Ania była raczej zadowolona z tego, że jest dziewczyną. Nie obarczało jej to odpowiedzialnością i życie było przez to łatwiejsze. Nigdy nie pragnęła być chłopcem. Miriam natomiast nieomal namiętnie tego pragnęła, a jednocześnie nienawidziła mężczyzn.

— Przecież to wszystko jedno, czy się jest mężczyzną, czy kobietą — powiedział Pawełek marszcząc brwi.

— Aha, właśnie! Mężczyźni mają wszystko.

— Wydaje mi się, że kobiety powinny być równie zadowolone, że są kobietami, jak mężczyźni z tego, że są mężczyznami — odparł.

— O nie! — potrząsnęła głową. — Bynajmniej. Wszystko należy do mężczyzn.

— Ale czego ty chcesz?

— Chcę się uczyć. Dlaczego ma tak być, żebym nic nie umiała.

— No więc co? Chciałabyś się uczyć matematyki i francuskiego?

— Czemu nie miałabym znać matematyki? Właśnie, że tak! — zawołała i w oczach jej zabłysło wyzwanie.

— No więc dobrze. Możesz nauczyć się tyle, ile ja sam umiem — powiedział. — Będę cię uczył, jeśli chcesz.

Żrenice jej się rozszerzyły. Nie ufała mu jako nauczycielowi.

— Chcesz się uczyć? — zapytał.

Miriam stała z opuszczoną głową, ssąc w zamyśleniu palec.

— Tak — powiedziała z wahaniem.

Pawełek zawsze opowiadał matce o wszystkim.

— Będę uczył Miriam algebry — powiedział.

— Ha! — odparła pani Morel. — Chciałabym wierzyć, że jej się to na coś w życiu przyda.

Kiedy następnego poniedziałku Pawełek przyszedł na farmę, zapadał już zmierzch. Miriam sprzątała właśnie kuchnię i klęczała przed paleniskiem, gdy pojawił się w drzwiach. Nikogo poza tym nie było w domu. Obróciła się ku niemu. Jej ciemne oczy lśniły, a piękne, bujne loki opadały na czoło.

— Dobry wieczór! — powiedziała miękko, melodyjnie. — Wiedziałam, że to ty.

— Skąd?

— Znam twój krok. Nikt nie chodzi tak szybko i pewnie.

Usiadł z westchnieniem.

— Czy jesteś gotowa spróbować trochę algebry? — zapytał wydobywając z kieszeni niewielką książkę.

— Ja...

Czuł, jak zamyka się w sobie, gotowa za chwilę się wycofać.

— Przecież mówiłaś, że chcesz — nalegał.

— Już dziś? — zawahała się.

— Specjalnie po to przyszedłem. Jeśli chcesz się uczyć, musisz przecież kiedyś zacząć.

Zgarnęła popiół na śmietniczkę i spojrzała na niego, drżąc z lekka, niepewnie uśmiechnięta.

— Tak, ale czy to konieczne musi być już dziś? Widzisz... nie przygotowałam się na to.

— O, Boże... Wyrzuć popiół i wracaj.

Wyszedł na dwór i usiadł na kamiennej ławce, na podwórku za domem, gdzie suszyły się wywrócone dnem do góry wielkie bańki od mleka. Mężczyźni byli w oborze. Słyszał ostry brzęk strumyczków mleka uderzających o dno skopków. Miriam nadeszła po chwili, niosąc kilka dużych, zielonkawych jabłek.

— Lubisz je, zdaje się — powiedziała.

Ugryzł potężny kęs.

— Siadaj — powiedział z pełnymi ustami.

Miriam miała krótki wzrok i przechylała mu się nad ramieniem, aby lepiej widzieć. Drażniło go to. Szybko oddał jej książkę.

— Patrz tutaj — powiedział. — Nie ma tu cyfr, tylko same litery. Pisze się „a” zamiast dwójki lub szóstki.

Pracowali dalej. On mówił, a ona siedziała z głową schyloną nad książką. Pędził naprzód, z pośpiechem. Miriam nie odzywała się wcale. Kiedy ją pytał: — Czy wszystko rozumiesz? — spoglądała na niego źrenicami lekko rozszerzonymi śmiechem, który rodzi się z lęku. — Nie rozumiesz? — wołał.

Zbyt szybko szedł naprzód. Zadał jej jeszcze kilka pytań i wpadł w gniew. Krew burzyła się w nim, gdy widział ją zdaną niejako na jego łaskę i niełaskę, siedzącą z otwartymi ustami i źrenicami rozszerzonymi śmiechem, za którym krył się lęk, wstyd i pokora. Edgar przeszedł koło nich z dwoma konwiami mleka.

— Hej... no! — zawołał. — Co tam robicie?

— Uczymy się algebry — odparł Pawełek.

— Algebry? — powtórzył Edgar z zaciekawieniem i roześmiewszy się poszedł dalej. Pawełek ugryzł kęs zapomnianego jabłka, patrząc na rosnące w ogrodzie nędzne główki kapusty z liśćmi obskubanymi przez kury, i zapragnął nagle powyrywać je z korzeniami. Spojrzał na Miriam. Siedziała z wzrokiem wlepionym w książkę, na pozór pochłonięta nią, drżąc jednak z obawy, że nie zdoła tego pojąć. Rozzłościło go to. Miała smagłą, opaloną twarz i była bardzo ładna, lecz w duszy jej wyczuwał jakieś gorące błaganie. Zamknęła pokornie podręcznik, widząc zdenerwowanie Pawełka, i w tejże chwili chłopak znów stał się łagodny i delikatny, dostrzegł bowiem, jaką przykrość sprawiało jej to, że nie rozumiała lekcji.

Powoli jednak zaczęła pojmować. Kiedy zaś, wyteżając umysł, siedziała z twarzą przejawiającą najgłębszą pokorę i uległość, krew w nim burzyła się i wybuchał gniewem. Krzyczał na nią, po chwili robiło mu się wstyd, wracał do lekcji i znów, wpadłszy w pasję, zaczynał jej wymyślać. Wysłuchiwała tego w milczeniu. Czasem, bardzo rzadko, usiłowała się bronić. Jej ciemne, wilgotne oczy płonęły.

— Nie dajesz mi dość czasu, żebym się mogła tego nauczyć — mówiła.

— Bardzo proszę — odpowiadał rzucając książkę na stół i zapalając papierosa. Po chwili wracał do Miriam, skruszony. W ten sposób odbywały się lekcje. Pawełek albo wpadał w pasję, albo był niezwykle łagodny i uprzejmy.

— Po co pakujesz się w to ze swoją roztrzęsioną ze strachu duszą? — krzyczał. — Dusza człowiekowi do nauki algebry wcale nie jest potrzebna! Czy nie możesz zacząć posługiwać się po prostu zwykłym rozumem?

Często, gdy wychodził na chwilę do kuchni, pani Leivers spoglądała na niego z wyrzutem.

— Nie bądź taki surowy dla Miriam, Pawełku — mówiła. — Może nie jest bardzo bystra, ale jestem pewna, że stara się, jak może.

— Nie umiem się opanować! — odpowiadał ze skrucą. — Po prostu wychodzę ze skóry.

— Nie gniewasz się na mnie, Miriam, prawda? — pytał ją w chwilę potem.

— Nie — upewniała go swym pięknym, głębokim głosem. — Nie gniewam się na ciebie.

— Przepraszam cię. To wyłącznie moja wina.

Ale wbrew jego woli, krew znowu zaczynała się w nim burzyć. Było to niezrozumiałe, ale nikt inny nie doprowadzał go do takiej furii. Czasem ogarniała go nieprzytomna pasja. Pewnego razu rzucił jej w twarz ołówek. Zapadło milczenie. Odwróciła nieznacznie głowę w bok.

— Ja naprawdę... — zaczął i urwał, gdyż uczuł kompletny bezwład w całym ciele. Miriam nie robiła mu nigdy wymówek i nigdy nie gniewała się na niego. Często rozpaczliwie wstydził się swego postępowania. Mimo to jednak raz po raz wybuchał, jak nazbyt silnie wydęta bańka mydlana. Kiedy widział Miriam skupioną i niemą, z twarzą jak gdyby niewidzącą, miał znowu chęć rzucić w nią ołówkiem. Kiedy zaś patrzył na jej drżące ręce i rozchylone cierpieniem wargi, serce skręcało się w nim z żalu. I właśnie ta gwałtowność uczuć, jaką w nim wywoływała, sprawiała, że jej poszukiwał.

Często jednak unikał jej towarzystwa i przebywał wyłącznie z Edgarem. Miriam i jej starszy brat byli z natury antagonistami... Edgar był realistą, z zaciekawieniem i pewnym naukowym zainteresowaniem podchodził do życia. Miriam była gorzko rozczarowana, gdy Pawełek opuszczał ją dla Edgara, który wydawał jej się dużo mniej inteligentny. Chłopiec jednak czuł się w towarzystwie jej starszego brata znakomicie. Dwaj młodzieńcy spędzali razem popołudnia, w polu lub na stryszku, gdzie zajmowali się stolarką, jeżeli padał i deszcz. Rozmawiali z sobą albo Pawełek uczył Edgara pieśni, których nauczył się sam od Ani, gdy je grała na pianinie. Wszyscy mężczyźni, nie wyłączając pana Leiversa, prowadzili często długie, zaciekle dysputy na temat nacjonalizacji ziemi oraz innych podobnych zagadnień społecznych. Pawełkowi znane były poglądy jego matki, a ponieważ jak dotychczas uważał je zawsze za własne, przytaczał przeto z zapałem jej argumenty. Miriam przysłuchiwała się j i brała milczący udział w tych rozmowach, ale przez cały czas wyczekiwała j chwili, kiedy się to skończy i zainteresowanie Pawełka zwróci się w jej stronę.

„Ostatecznie — mówiła sobie w duchu — jeśli nawet znacjonalizują ziemię, Edgar, Pawełek i ja pozostaniemy tym samym, czym jesteśmy”. — Czekąła więc z upragnieniem chwili, kiedy Pawełek do niej wróci.

Poświęcał się teraz z zapałem malarstwu. Lubił siedzieć wieczorami w domu, sam z matką, i malować całymi godzinami. Pani Morel szyla albo czytała.

Od czasu do czasu Pawełek odrywał wzrok od pracy i przez chwilę oczy jego spoczywały na twarzy matki, pełnej życia i ciepła, po czym z jeszcze większym zapałem powracał do malowania.

— Najlepiej mi się maluje, kiedy siedzisz przy mnie w swoim fotelu na biegunach, mamó — mówił.

— O, właśnie! — odpowiadała pani Morel pociągając nosem z sarkastyczną ironią. Ale w duchu czuła, że tak jest naprawdę i serce w niej drżało z radości. Potrafiła siedzieć tak w ciszy całymi godzinami, czytając albo szyjąc, ledwie świadoma, że syn pracuje w jej pobliżu. On zaś z najwyższym napięciem wodził pędzlem, wyczuwając ciepło matczynej miłości i czerpiąc z niej siłę do pracy. Byli wówczas oboje ogromnie szczęśliwi i oboje nie zdawali sobie z tego sprawy. Pozwalali prawie niepostrzeżenie uchodzić owym chwilom, które znaczyły tak wiele i były ich prawdziwym życiem.

Pawełek osiągał pełną świadomość wartości swej pracy dopiero wówczas, gdy spotkał się z czyjąś krytyką. Kiedy ukończył jakiś rysunek, zawsze pragnął zanieść go Miriam. Dopiero wówczas budziło się w nim zrozumienie pracy, której dokonał nieświadomie. Będąc z Miriam zyskiwał zdolność spojrzenia w głąb, przez co jego wizje stawały się wyrazistsze i pełniejsze. Od matki swej czerpał ciepło życia i moc tworzenia, Miriam zaś rozżarzała to ciepło do intensywnej białości.

Po powrocie Pawełka do fabryki okazało się, że warunki pracy są lepsze. Środowe popołudnia miał wolne, aby mógł chodzić do szkoły rysunków (była to inicjatywa panny Jordan), skąd wracał wieczorem wprost do domu. Poza tym w czwartki i piątki kończono pracę o szóstej, a nie o ósmej wieczorem.

Któregoś letniego wieczoru Miriam i Pawełek wracali z biblioteki do domu przez pola Herod's Farm. Do Willey Farm były już stąd tylko trzy mile. Żółty blask słał się na skoszonym sianie, a wysokie główki szczawiu płonęły purpurą. Gdy szli zбочem

wzgórza, rozlane na zachodzie złoto przeszło w czerwień, czerwień w purpurę, a potem niebieski opar wypełził z ziemi na spotkanie gorejącego blasku.

Wyszli na drogę do Alfreton, która bieliła się wśród ciemniejących pól. Tutaj Pawełek się zawahał. Miał dwie mile do domu, Miriam zaś tylko jedną. Oboje spojrzeli na drogę, która słała się przed nimi w ciemności, pod rozjarzonym północno-zachodnim niebem. Na krawędzi wzgórza czarną sylwetką odcinały się wieże kopalni i nagie domki miasteczka Selby, dziwnie małe na tle wielkiej kopuły niebios.

Pawełek spojrział na zegarek.

— Dziewiąta! — powiedział.

Zatrzymali się, z niechęcią myśląc o rozstaniu, i stali mocno przyciskając książki do piersi.

— Las jest teraz taki piękny — powiedziała Miriam. — Chciałabym, żebyś go zobaczył.

Ruszył za nią powoli, w poprzek drogi, do białej furtki.

— Gderzą na mnie, kiedy późno wracam — powiedział.

— Przecież nie robisz nic złego — odparła Miriam zniecierpliwiona.

Pawełek szedł za nią przez ciemniejące w zmierzchu, ogołoczone pastwisko.

W lesie panował półmrok i było chłodno. W powietrzu unosił się zapach zwiędłych liści i powoju. Dwoje młodych szło w milczeniu. Wieczór zapadał cudownie, wśród niezliczonych, czarnych pni. Pawełek rozglądał się wkoło, wyczekująco.

Miriam chciała pokazać mu krzak dzikiej róży, który właśnie odkryła. Wiedziała, że jest piękny. Zarazem jednak czuła, że nie przyswoi sobie jego piękna w pełni, póki nie zobaczy go Pawełek. Tylko on mógł go jej dać na własność i czynić nieśmiertelnym. Była niespokojna.

Na ścieżkach lśniła już rosa. W starym, dębowym lesie podnosił się z ziemi przejrzysty opar i Pawełek przystanął zastanawiając się, czy ścielący się nisko biały tuman był mgłą, czy może tylko kwiecistym obłokiem białych anemonów.

W miarę jak zbliżali się do sosnowego zagajnika, Miriam stawiała się coraz bardziej niespokojna i coraz bardziej wzrastało jej napięcie.

Krzak róży mógł zniknąć. Może nie uda jej się go odnaleźć, choć tak żarliwie go wypatrywała. Niemal namiętnie pragnęła znaleźć się przy Pawełku w chwili, gdy stanie przed rozkwitłym krzakiem. Czekają ich coś równie uroczystego, jak wspólna komunika — coś, co ją przejmowało dreszczem — wielkie, święte przeżycie, Pawełek szedł obok niej, milcząc. Byli bardzo blisko. Miriam drżała, a Pawełek z nateżoną uwagą wsłuchiwał się w ciszę wieczoru.

Wyszedszy na skraj lasu ujrzeli przed sobą niebo mieniące się całą gamą barw, ni-by koncha perłowa, i poczerniała w mroku ziemię. Gdzieś, z gałęzi najbliższych sosen, powój siał ku nim fale słodkiej woni.

— Gdzie to jest? — spytał Pawełek.

— Tam... przy głównej ścieżce — szepnęła drząc.

Tuż za zakrętem ścieżki Miriam zatrzymała się nagle i znieruchomiła. Na szerokiej drodze, otwierającej się między sosnami, nie mogła w pierwszej chwili ze zdenerwowania niczego rozróżnić. Szarość zmroku odbierała wszelką barwę przedmiotom. Wtem ujrzała swój krzak.

— Ach! — krzyknęła rzucając się do przodu.

Wokoło panowała wielka cisza. Krzak był wysoki i rozłożysty. Przerzucił swoje pędy ponad głogiem i ich długie biczki opadały na trawę, rozświecając ciemności wielkimi, gęsto rozsypanymi gwiazdami śnieżnobiałych kwiatów.

Stulone pączki, koloru kości słoniowej i płaskie rozłożyste kwiaty róż lśniły na tle ciemnej zieleni liści, gałęzi i trawy. Pawełek i Miriam stali obok siebie, patrząc w milczeniu. Białe, nieruchome krążki róż świeciły ku nim z ciemności, rozgrzewając ich serca jakimś nowym, nie znanym dotychczas uczuciem. Mrok kłębił się ciemną chmurą dokoła, nie przesłonił jednak róż.

Pawełek spojrział Miriam w oczy. Była blada i jak gdyby urzeczona zachwytem. Wargi miała rozchylone, a jej ciemne oczy rozwarte były szeroko i bezbronne. Wzrok jego zdawał się sięgać w samą głąb jej duszy. Drżała ze wzruszenia. Było to komunią, której pragnęła. Pawełek odwrócił się gwałtownie, jak gdyby targnął nim ból. Pochylił się nad krzakiem.

— Wyglądają jak przelatujące i otrząsające skrzydła motyle — powiedział.

Miriam spojrzała na swoje róże. Były białe — niektóre stulone i niewinne, inne szeroko rozwarte, jakby w ekstazie. Pień krzewu majaczył ciemno niby cień. Dziewczyna wyciągnęła impulsywnie rękę do kwiatów. Postąpiła naprzód i dotknęła białych płatków w zachwycie.

— Chodźmy — powiedział Pawełek.

W powietrzu unosiła się chłodna woń białych róż — świeża i dziewicza. Coś sprawiło, że Pawełek czuł się niespokojny i jakby uwięziony. Szli obok siebie w milczeniu.

— Przyjdę w niedzielę — powiedział po chwili spokojnie i opuścił ją. Miriam powoli wracała do domu, z duszą wypełnioną uroczystą ciszą i pięknem wieczoru. Pawełek potykał się po omacku na ścieżce. Ledwie jednak wydostał się z lasu na rozległą łąkę, gdzie mógł swobodnie oddychać, począł biec z całych sił. Żył jego pulsowały ożywczą rozkoszą tego biegu.

Ilekcio Pawełek wracał późno po widzeniu się z Miriam, z góry wiedział, że zastanie matkę niespokojną i zagniewaną, choć nie umiał znaleźć na to żadnego wytłumaczenia. Załedwie wszedł do domu zrzucając czapkę z głowy, matka spojrzała na zegar. W czasie jego nieobecności siedziała rozmyślając, gdyż jakieś osłabienie wzroku nie pozwalało jej ostatnio czytać. Czuli, że Miriam odciąga Pawełka od domu, i nie lubiła jej za to. „Należy do tych, które chciałyby wyssać całą duszę mężczyzny, nie pozostawiając mu ani strzępka na własność — powtarzała sobie w duchu. — A on to w sam raz ofiara, która nie potrafi się obronić. Ona mu nigdy nie pozwoli stać się prawdziwym mężczyzną... Już ja to wiem”. Tak więc, gdy Pawełek przebywał z Miriam, zdenerwowanie pani Morel wzrastało coraz bardziej.

Kiedy wrócił do domu, spojrzała na zegar i chłodno, wyraźnie zmęczonym głosem powiedziała:

— Daleko byłeś dziś wieczorem.

Pawełek, wciąż jeszcze rozmarzony i pełen ciepła po chwilach spędzonych z Miriam, wstrząsnął się, niemile dotknięty.

— Musiałeś ją odprowadzić chyba do samego domu — ciągnęła matka.

Milczał. Pani Morel, ogarniając go szybkim spojrzeniem, spostrzegła, że włosy lepią mu się do czoła od szybkiego biegu i że twarz jego przybrała charakterystyczny, zamknięty w sobie i niechętny wyraz.

— Musi być niezwykle fascynująca, skoro nie potrafisz się z nią rozstać, tylko wleczesz się z nią osiem mil o tej porze.

Pawełka boleśnie gnębił rozdźwięk pomiędzy wspomnieniem uroczych chwil z Miriam a świadomością, że matka jest rozżalona. Zamierzał z początku nic nie mówić i na nic jej nie odpowiadać. Nie był jednak w stanie zdobyć się na taką oschłość serca, aby ignorować matkę.

— Bardzo lubię rozmawiać z Miriam — powiedział zirytowany.

— Czy nie masz już nikogo innego do rozmowy?

— Nie powiedziała byś na pewno ani słowa, gdybym był z Edgarem.

— Owszem, wiesz doskonale, że tak. Doskonale wiesz, że niezależnie od tego, z kim byś był, powiedziałabym, że nie powinieneś włączyć się tak daleko późnym wieczorem, kiedy już przedtem byłeś w Nottingham. A poza tym — w głosie jej zabrzmiał nagle gniew i pogarda — to jest obrzydliwe, kiedy para takich dzieciuchów bierze się do zalecanek.

— Wcale się do siebie nie zalecamy! — krzyknął Pawełek.

— Nie wiem, jak to można inaczej nazwać!

— Wcale nie. Myślisz może, że robimy z siebie zakochanych i nie wiadomo co? Po prostu rozmawiamy i to wszystko!

— I musicie się przy tym włączyć nie wiadomo jak daleko i nie wiadomo do której godziny? — z ironią zauważyła matka.

— O co ty się tak złościysz? — spytał. — To wszystko dlatego, że jej nie lubisz.

— Nie mówiłam nigdy, że jej nie lubię. Ale nie podoba mi się, jak się takie dzieci wałęsają wieczorem. Nigdy mi się to nie podobało.

— Nie masz jednak nic przeciwko temu, że nasza Ania spaceruje z Jimem Ingerem.

— Oni mają więcej rozsądku od was.

— Niby dlaczego?

— Nasza Ania nie należy do tych głębokich natur.

Pawełek nie zrozumiał ukrytego sensu tej uwagi. Matka wyglądała na zmęczoną. Od czasu śmierci Williama nie czuła się dobrze i bolały ją oczy.

— Nie wyobrażasz sobie, mamó — powiedział — jak ślicznie jest na wsi. Pan Sleath pytał o ciebie. Powiedział, że stęsknił się za tobą. Czy czujesz się trochę lepiej?

— Powinna już od dawna być w łóżku — odparła.

— Ach, mamó, wiesz przecież sama, że nie położyłabyś się wcześniej jak kwadrans po dziesiątej!

— Właśnie że bym się położyła!

— Ach, ty nieznośna kobieto, teraz gotowa jesteś wszystko powiedzieć, bo jesteś na mnie zła, prawda?

Pocałował ją w czoło, które znał tak dobrze: dwie głębokie zmarszczki między brwiami, zaczynające już siwieć włosy i dumny zarys skroni. Ręka jego zatrzymała się jeszcze przez chwilę pieszczotliwie na jej ramieniu. Potem wolnym krokiem poszedł się położyć. Przed oczyma miał jedynie zarys włosów matki, szesanych do tyłu z wy-

sokiego, ciepłego czoła. Była wyraźnie dotknięta.

Przy następnym spotkaniu z Miriam Pawełek powiedział:

— Proszę cię, nie zatrzymuj mnie dziś długo wieczorem... w każdym razie nie dłużej niż do dziesiątej. Mamę to bardzo denerwuje.

Miriam spuściła głowę, nadszana.

— Czym się twoja matka denerwuje? — zapytała.

— Mówi, że nie powinienem wracać tak późno, bo muszę wcześniej wstawać.

— Rozumiem — powiedziała Miriam spokojnie, z ledwie uchwytną nutką ironii w głosie.

Pawełek odczuł to z przykrością. I przeważnie wracał do domu równie późno, jak dotychczas.

Ani Miriam, ani Pawełek z pewnością nie zgodziliby się z tym, że zaczyna ich łączyć jakiegokolwiek głębsze uczucie. Pawełek sądził, że jest zbyt rozsądny, aby być sentymentalnym. Miriam zaś uważała się za zbyt uduchowioną. Oboje rozwijali się późno, a ich dojrzewanie psychiczne było jeszcze bardziej opóźnione od rozwoju fizycznego. Miriam była niezmiernie wrażliwa, podobnie zresztą jak przez całe życie jej matka. Najmniejsze grubiaństwo przejmowało ją wstrętem i niemal fizycznym bólem. Wszelkie dysputy gospodarskie mężczyźni odbywali zawsze poza domem. Pomimo to jednak, być może pod wpływem niewygasającego cyklu narodzin i rozmnażania, będącego powszednim zjawiskiem na każdej farmie, Miriam była na tym punkcie szczególnie przewrażliwiona i każda najlżejsza nawet wzmianka na ów temat napawała ją głęboką odrazą. Pawełek przejął od niej to nastawienie i ich młodzieńcza przyjaźń upływała w niezwykle czystej i niewinnej atmosferze. Nie można było nawet nadmienić, że jakaś klacz jest żrebna.

Mając dziewiętnaście lat Pawełek zarabiał zaledwie dwadzieścia szylingów tygodniowo, czuł się jednak zupełnie szczęśliwy. Był zadowolony ze swoich postępów w malarstwie i życie układało mu się na ogół pomyślnie. W Wielki Piątek zorganizował pieszą wycieczkę do Hemlock Stone. Miało w niej wziąć udział trzech jego rówieśników, Ania i Artur oraz Miriam i Geoffrey. Artur, który był na praktyce u elektrotechnika w Nottingham, przyjechał do domu na święta. Morel jak zwykle wstał wcześniej i gwizdząc piłował na podwórku.

o siódmej rano cała rodzina słyszała, jak kupował świeże bułeczki po trzy pensy, rozprawiając przy tym z upodobaniem z małą dziewczynką, która je przyniosła. Przemawiał do niej „moje kochanie” i odesłał potem z kwitkiem kilku chłopców, mówiąc każdemu, że już go ubiegła „jedna mała dziewczuszka”. W końcu pani Morel wstała i rodzina zaczęła gromadzić się na dole. Możliwość dłuższego niż zazwyczaj poleżenia w łóżku była dla wszystkich prawdziwą rozkoszą. Paweł i Artur czytali przed śniadaniem książki i zjawili się przy stole bez marynarek i nie umyjni. Był to jeszcze jeden przywilej świątecznego dnia. W pokoju było ciepło. Wszystko tchnęło świąteczną beztraską

1 niefrasobliwością. W domu było spokojnie i dostatnio.

Gdy chłopcy czytali, pani Morel wyszła do ogródka. Mieszkali teraz w innym domu, bardzo starym, niedaleko dawnego domu na Scargill Street, skąd wyprowadzili się wkrótce po śmierci Williama. Nagle dobiegł ich z dworu podniecony okrzyk:



— Pawełku! Pawełku! Chodź prędko zobaczyć!

Był to głos matki. Pawełek rzucił książkę i wybiegł na dwór. Przed domem ciągnął się długi ogródek wychodzący wprost na pole. Dzień był szary i zimny, a od Derbyshire wiał ostry wiatr. Zaledwie o dwa zagony dalej zaczynało się Bestwood, z gęstwą dachów i czerwonymi szczytami domów, spośród których wyrastała wieża kościelna oraz strzelista wieżyczka kaplicy kongregacjonalistów. Poza miasteczkiem ciągnęły się wzgórza i lasy, aż po jasnoszarą linię Gór Pennińskich.

Pawełek rozglądał się po ogródku, szukając matki. Głowa jej ukazała się niespodziewanie wśród młodych krzaków porzeczek.

— Chodź tu! — zawołała.

— Po co? — spytał.

Przyglądała się pączkom na krzakach porzeczek. Pawełek ruszył w jej stronę.

— Pomyśl tylko — powiedziała — że mogłam ich wcale nie zauważyć.

Syn stanął obok niej. Pod płotem, w małym zagłębieniu, widniała kępka wątlých, podobnych do trawek listków, tak słabych, że wyrosnąć mogły jedynie z bardzo jeszcze niedojrzałych cebulek, oraz trzy kwitnące krokusy. Pani Morel wskazywała ich ciemnobłękitne kwiaty.

— No i spójrz tylko na nie! — zawołała. — Patrzyłam na porzeczeki i nagle myślę sobie: „Coś tam leży takiego niebieskiego... czy to nie skrawek papieru z głowy cukru?” A tu... pomyśl tylko! Trzy krokusy. I w dodatku jakie śliczne! Ale jakim cudem się tu znalazły?

— Nie mam pojęcia! — rzekł Pawełek.

— To przecież istny cud! A ja myślałam, że znam każdą trawkę i każdy chwast w tym ogródku... I czyż nie ślicznie, że tu wyrosły? Spójrz, jak ten krzak agrestu je osłania. Dzięki niemu są całe i nie zmarzły!

Pawełek przykucnął i dotknął drobnych błękitnych kielichów.

— Cóż za wspaniały kolor! — powiedział.

— Prawda? — zawołała matka. — Myślę, że pochodzą z Szwajcarii, gdzie podobno mają tyle ślicznych rzeczy. Wyobraź je sobie na śniegu! Ale skąd one się tu wzięły? Przecież nie mogły się wysiać z wiatrem, jak myślisz?

Pawełek przypomniał sobie, że zasadził kiedyś w tym miejscu garstkę rozmaitych cebulek, aby dojrzały w ziemi.

— I nic mi o tym nie powiedziałeś! — rzekła matka.

— Nie. Pomyślałem sobie, że lepiej będzie poczekać, aż rozkwitną.

— No i widzisz! Mogłam ich przecie wcale nie zauważyć. A jeszcze nigdy nie miałam krokusów u siebie w ogródku.

Była pełna szczęścia i niezmiernie podniecona. Ogródek był dla niej niewyczerpanym źródłem radości. Pawełek cieszył się ze względu na nią, że zamieszkali nareszcie w domu z długim pasem ogrodu, wychodzącym wprost na pole. Codziennie po śniadaniu matka wychodziła przed dom i z upodobaniem grzebała się w ziemi. Było to prawdą, że znała na swoim skrawku ziemi każdy chwast i każde najdrobniejsze źdźbło trawy.

Wszyscy uczestnicy wycieczki stawili się już na miejscu. Zapakowano jedzenie i rozradowana, wesoła kompania wyruszyła w drogę. Doszedłszy do młyna, przechylali

się przez murek i rzucali strzępki papieru na wodę z jednej strony tunelu, czekając, aż ukażą się z drugiej. Na stacji w Boathouse stanęli na mostku dla pieszych, ponad torami, i patrzyli na zimno połyskujące wstęgi metalu.

— Powinniście zobaczyć, jak przejeżdża tędy „Latający Szkot” — powiedział Leonard, którego ojciec był kolejarem. — Ale wali, mówię wam! — Cała gromadka patrzyła w dal, wzdłuż szyn, które wiodły w jedną stronę do Londynu, a w drugą — do Szkocji. Wszystkich owionęło tchnienie tych dwóch czarodziejskich punktów świata.

W Ilkeston widzieli grupki górników wyczekujących na ulicy na otwarcie szynków. Było to miasto znane z gnuśności i nieróbstwa. W Stanton Gate buchały ogniem huty żelaza. Każde zaobserwowane zjawisko budziło gorące dyskusje. W Trowell minęli granicę między Derbyshire i Nottinghamshire. Do Hemlock Stone przybyli w porze obiadowej. Całe pole zatłoczone już było wycieczkowiczami z Nottingham i Ilkeston.

Spodziewali się, że ujrzą tu czcigodny i okazały pomnik. Zamiast niego znaleźli niewielki, poszczerbiony i skręcony kikut skały, który sterczał smutno z boku pola, podobny do wielkiego, gnijącego grzyba. Leonard i Dick natychmiast zaczęli żłobić w starym, czerwonym piaskowcu swoje inicjały: „L. W.” i „D. P.”. Paweł nie przyłączył się do nich, zapamiętał sobie bowiem przeczytane kiedyś w gazecie ironiczne uwagi o tych, którzy uwieczniają swoje inicjały, nie mogąc widocznie znaleźć innej drogi do nieśmiertelności. W końcu wszyscy chłopcy wdrapali się na wierzchołek skały, aby rozejrzeć się po okolicy.

W dole, na całym polu, rozsiadły się grupki dziewcząt i chłopców z okolicznych fabryk. Jedli śniadanie lub dokazywali i zabawiali się w rozmaite gry. Dalej ciągnął się stary ogród dworski. Widać w nim było żywopłoty z cisów, zbitą gęstwą krzewów i rabatki żółtych krokusów okalające trawniki.

— Spójrz — powiedział Pawełek do Miriam — jaki ten ogród jest cichy!

Zobaczyła ciemną zielenią cisów i złociste krokusy. Spojrzała na niego

z wdzięcznością. Nie miała uczucia, że należy do niej, wpośród wszystkich tych ludzi. Stawał się wówczas zupełnie inny — nie był jej Pawełkiem, rozumiejącym każde najłżejsze nawet drgnienie jej czystego serca, ale kimś obcym, mówiącym zupełnie odmiennym od niej językiem. Cierpiała nad tym i głuszyło to w niej wszelką zdolność odczuwania. Dopiero gdy naprawdę wracał do niej, opuszczając swoje drugie, jak uważała, uboższe ja — czuła, że znowu wstępuje w nią życie. I oto teraz poprosił, żeby spojrzała na ów cichy ogród, pragnąc nawiązać z nią zerwaną nić porozumienia. Zniecierpliwiona obozującym na łące tłumem, zwróciła się w stronę samotnego trawnika, otoczonego wieńcem na pół rozkwitłych krokusów. Ogarnęło ją uczucie spokoju, bliskie ekstazy. Wydawało się jej niemal, że samotnie przebywa z nim razem w tym pięknym, cichym ogrodzie.

Po chwili Pawełek znów ją opuścił przyłączając się do reszty towarzystwa, a wkrótce potem wyruszyli z powrotem do domu. Miriam błąkała się z tyłu, samotnie. Nie czuła się dobrze w większym gronie, rzadko kiedy bowiem umiała nawiązać z kimś przeciętną, zwykłą rozmowę. Jej ukochanym towarzyszem i przyjacielem była więc Natura. Zobaczyła, że blade słońce chyli się ku zachodowi. Na pociemniałych, zimnych żywopłotach zwisało kilka czerwonych liści. Miriam zatrzymała się, aby je ze-

rwać czułym, namiętym ruchem. Palce jej pieściły liście w miłosnym napięciu. Nagromadzona w sercu czułość spłynęła w krwistą czerwień wiotkich liści.

Nagle Miriam zorientowała się, że została sama na nieznannej drodze, i gwałtownie przyspieszyła kroku. Minawszy zakręt alejki wpadła wprost na Pawełka, który stał lekko pochylony i pracował nad czymś cierpliwie i wytrwale, a zarazem z pewnym zniechęceniem. Miriam zawahała się przez chwilę, zanim podeszła zobaczyć, co robi.

Stał skupiony pośrodku drogi. Na tle jedynej w tym szarym, bezbarwnym wieczorze złotej szczeliny światła sylwetka jego odcinała się ciemnym, wyraźnym konturem płaskorzeźby. Widziała jego mocną, smukłą postać tak, jak gdyby ofiarowywało jej go zachodzące słońce. Nagły ból przeszył jej serce, gdyż zrozumiała, że musi go kochać. Odnalazła go, pojęła jego niezwykłą wewnętrzną moc i zrozumiała jego samotność. Drżąc, jak gdyby w objawieniu, postąpiła wolno kilka kroków naprzód.

Oderwał wreszcie wzrok od swej pracy.

— Ach, to ty! — zawołał z wdzięcznością w głosie. — Zaczekałaś na mnie?

Dostrzegła głęboki cień w jego oczach.

— Co się stało? — zapytała.

TLR

— Sprężyna złamała się tutaj — powiedział i pokazał jej, w którym miejscu parasol został uszkodzony.

Domyśliła się od razu z pewnym wstydem, że nie on, lecz Geoffrey był sprawcą tej szkody.

— To już bardzo stary parasol, prawda? — zapytała.

Dziwiła się, czemu Pawełek, który zazwyczaj nie przywiązywał wagi do drobiazgów, nagle robi z byle głupstwa taką tragedię.

— Tak, ale to był parasol Williama i matka nie może o tym zapomnieć — powiedział spokojnie, zabierając się znów cierpliwie do reperowania parasola.

Jego słowa ostrym bólem przeszły serce Miriam. Oto było potwierdzenie jej wizji o nim. Spojrzała na Pawła. Ale wyczuła w nim pewną rezerwę i nie miała odwagi go pocieszać lub chociażby ciepłej się do niego odezwać.

— Chodźmy — powiedział. — Nie potrafię tego naprawić. — Szli drogą w milczeniu.

Tego samego wieczoru wracali razem cienistą aleją koło Nether Green. Paweł mówił gorączkowo, jak gdyby usiłował przekonać samego siebie.

— Wiesz, Miriam — powiedział z pewnym wysiłkiem — że jeśli ktoś kocha, to ten drugi najczęściej kocha go także.

— Ach — odparła — to tak, jak mi mówiła moja matka, kiedy byłam jeszcze małą: „Uczucie rodzi uczucie”.

— Tak, właśnie coś takiego. Wydaje mi się, że tak musi być.

— Mam nadzieję, że tak jest, w przeciwnym bowiem razie miłość byłaby czymś strasznym.

— Tak, ale tak się dzieje... przynajmniej w większości wypadków — odparł.

A Miriam myśląc, że upewnił się w swym mniemaniu, poczuła się umocniona na duchu. Od tej pory zawsze uważała owo niespodziewane spotkanie Pawła w alei za jakieś niezwykle, duchowe objawienie. Każde zaś słowo rozmowy z nim wryło się w jej umyśle niby obowiązująca litera prawa.

Odtąd była mu całą duszą oddana. Jeżeli zdarzyło się w tym okresie, że zranił uczucia rodzinne w Willey Farm jakąś nazbyt ostrą uwagą, stawała po jego stronie i była przeświadczona, że to on ma słuszość. Snuła o nim w owych dniach gorące i żywe, niezapomniane sny. Miały one powrócić dużo później, przybierając formę psychologicznie o wiele subtelniejszą.

W drugi dzień Wielkanocy ta sama grupa młodych wybrała się na wycieczkę do Wingfield Manor. Dla Miriam wsiadanie do pociągu na stacji w Sethley Bridge, wśród gwaru i zgiełku świątecznego tłumu, było wielką emocją. Wyszli w Alfreton. Pawła zainteresowały ulice tego miasta oraz przechadzający się ze swymi psami górnicy. Górnicy tutaj wyglądali jakoś zupełnie inaczej. Miriam ożyła dopiero wówczas, gdy znaleźli się w kościele. Czuli się trochę onieśmieleni, gdy mieli wejść do środka z torbami zabranych na drogę zapasów, i obawiali się, że mogą zostać wyproszeni. Leonard, zabawny, chudy chłopak, wszedł pierwszy. Pawełek, który wolałby raczej umrzeć, niż być wyproszonym — ostatni. Kościół był uroczyście przystrojony na święta. Setki białych narcyzów zdawały się rosnąć w chrzcielnicy. W świątyni panował mrok, nasycony barwami okiennych witraży oraz delikatną wonią białych lilii i

narcyzów. W takiej atmosferze dusza Miriam rozpalala się zachwytem. Pawełek bał się uczynić coś niewłaściwego. Był przejęty nastrojem świątyni. Dusza Miriam wybiegała ku niemu. Odpowiedział jej. Byli razem. Pawełek nie chciał wejść poza balustradę prezbiterium. Wzbudziło to w Miriam miłość do niego. Zatonęła w modlitwie u jego boku. Szczególny urok mrocznych wewnątrz kościelnych oddziaływał na niego głęboko. Utajony na dnit duszy mistycyzm ogarniał go z całą mocą. Miriam przysunęła się bliżej. Modlił się z nią razem.

Miriam niezmiernie rzadko rozmawiała z innymi chłopcami. W rozmowie z nią stawali się natychmiast skrepowani i sztuczni. Zachowywała więc zazwyczaj milczenie.

Minęło już południe, gdy zaczęli się wspinać po stromej ścieżce prowadzącej do zamku. Wszystko wokoło lśniło łagodnie w blasku słońca, które było tego dnia cudownie ciepłe i ożywcze. Zakwitły fiołki i kluczyki. Wszyscy czuli się szczęśliwi i rozradowani. Łagodnie połyskujące liście bluszczu, przymglona szarość murów zamkowych i dyskretny czar najbliższego otoczenia ruin były doskonale w swym pięknie.

Zamek zbudowany został z twardego, jasnoszarego kamienia, pozostałe zaś mury były nagie i surowe. Gromadka młodych była zachwycona. Szli drżąc z niepokoju, że rozkosz zwiedzania i zgłębiania tajemnic tych odwiecznych ruin może im być w ostatniej chwili odjęta. Na pierwszym dziedzińcu, otoczonym wysokimi, poszczerbionymi ścianami murów, stały zwykłe wozy gospodarskie, z beczynniami leżącymi na ziemi dyszlami. Żelazne obręcze kół połyskiwały czerwonożółtą rdzą. Wokoło panowała cisza.

Pośpiesznie zapłacili po sześć pensów wstępu i nieśmiało przeszli pod pięknie i czysto zarysowanym łukiem zamkowego podwórca. Byli onieśmieleni. Spomiędzy kamiennych płyt w posadzce dawnej sieni wyrastał stary krzak tarniny, okryty pączkami młodziutkich liści. Wokoło nich rozwierały się na wszystkie strony jakieś tajemnicze, mroczne przejścia i wnętrza zrujnowanych komnat.

Po drugim śniadaniu wybrali się raz jeszcze na oglądanie ruin. Dziewczęta towarzyszyły teraz chłopcom, którzy mogli już grać rolę przewodników i udzielać wyjaśnień. W jednym z narożników wznosiła się stara, na pół zrujnowana wieża, w której podobno była ongiś więziona Maria — królowa Szkotów.

— Aż dziwnie pomyśleć, że sama królowa wchodziła po tych schodach! — powiedziała stłumionym głosem Miriam, wdrapując się po wydeptanych stopniach.

— O ile była w stanie wleźć na górę — rzekł Pawełek — bo miała podobno ciężki reumatyzm. Sądzę, że się z nią raczej podle obchodzili.

— Czy nie myślisz, że na to zasługiwała? — spytała Miriam.

— Nie, bynajmniej. Kochała tylko życie.

Wspinali się po krętych schodkach coraz wyżej. Silny wiatr wdarł się przez otwory strzelnic, wbił się szybem w górę i wydał spódniczkę Miriam niby wielki balon. Dziewczyna stanęła zawstydzona i nie ruszyła się z miejsca, póki Pawełek nie pochwycił rąbka jej spódniczki i nie obciągnął go w dół. Uczynił to równie szybko i po prostu, jak gdyby podawał jej upuszczoną rękawiczkę. Zapamiętała to sobie na zawsze.

Wokół uszkodzonego szczytu wieży krzewił się bujnie stary, piękny bluszcz i w pa-

ru miejscach wyrosło kilka goździków o bladych, stulonych pąkach. Miriam chciała wychylić się poza krawędź muru, by zerwać trochę bluszczu, ale Pawełek jej na to nie pozwolił. Musiała stanąć za nim i odbierać gałązki, które ułamywał i wręczał jej, każdą oddzielnie, z istic rycerską galanterią. Wieża zdawała się kołysać razem z wiatrem. Patrzyli na nie kończący się, rozległy krajobraz, mieniący się ciemną zielenią lasów i jasnymi plamami pastwisk.

W podziemiach zamku znajdowała się bardzo piękna i doskonale zachowana krypta. Pawełek postanowił zrobić kilka szkiców, a Miriam pozostała z nim razem. Myślała o Marii — królowej Szkotów, wpatrującej się zrozpaczonymi, nie umiejącymi pojąć swej nędzy oczami w szczyty wzgórz, spoza których nie nadchodziła upragniona pomoc. Z kolei wyobrażała sobie królową siedzącą w tej oto krypcie i słuchającą o Bogu — równie obojętnym i nieczułym, jak otaczające ją mury.

Wkrótce potem ruszyli wesoło w powrotną drogę, oglądając się co chwila na swój ukochany zamek, czysto i wyraźnie rysujący się na szczycie wzgórza.

— Pomyśl, co by to było, gdybyś była właścicielką tej farmy — rzekł Pawełek do Miriam.

— Aha!

— Jakby to było przyjemnie przyjeżdżać do ciebie w odwiedziny!

Otaczała ich teraz naga, skalista kraina, którą sobie upodobał Pawełek, a która wydawała się przeraźliwie obca Miriam, mimo że znajdowali się zaledwie o dziesięć mil od domu. Całe towarzystwo szło bezładnie i powoli. Gdy przecinając rozległą, położoną na stromym stoku łąkę szli usianą lśniącymi punkcikami ścieżką, Pawełek zaplątał palce w siatce, którą niosła Miriam, i w tejże chwili dziewczyna wyczuła za sobą obecność bacznej na wszystko i zazdrosnej Ani. Ale łąka była skąpana w słońcu, ścieżka skrzyła się brylantami i Pawełek dał jej dyskretny znak, co niemal nigdy mu się nie zdarzało. Trzymała rękę nieruchomo zaciśniętą na sznurkach siatki czując dotyk jego palców. Świat wokoło był złoty, niby cudowna wizja.

Dotarli w końcu do pierwszych, szarych domów miasteczka Crich, rozrzuconych szeroko na stoku wysokiego wzniesienia. Po przeciwnej stronie wzgórza znajdował się słynny stadion Crich, który Pawełek mógł dostrzec ze swojego ogródka. Wciąż posuwali się naprzód. Wokoło nich i w dole roztaczał się szeroki, rozległy widok. Chłopcy pragnęli jak najszybciej znaleźć się na szczycie wzgórza, zakończonego okrągłym kurhanem, którego górna połowa była ścięta i służyła za podstawę odwiecznej, mocnej i przysadzistej maszyny. Używano jej ongiś do sygnalizowania i obsługiwała dwie wielkie, rozległe równiny — Nottinghamshire i Leicestershire.

Na tym odsłoniętym wzgórzu wiatr dał z taką mocą, iż trzeba było chronić się pod samym murem, aby zachować bezpieczeństwo. U ich stóp rozwierała się przepaść, gdzie odłupywano wapień. Dalej przeplatały się wzgórza i małe miasteczka — Matlock, Ambergate i Stoney Middleton. Chłopcy chcieli koniecznie dojrzeć kościoł w Bestwood pośród gęsto stłoczonych budynków

— daleko, po lewej stronie. Byli rozczarowani, bo gdy patrzyło się z góry, wyglądał tak, jak gdyby stał na równinie. W milczeniu podziwiali, jak wzgórza Derbyshire przechodzą w monotonną nizinę Midlands, ciągnącą się daleko ku południowi.

Miriam była trochę przerażona wiatrem, chłopcy natomiast znajdowali w walce z

nim dużą przyjemność. Przeszli znów kilka mil piechotą do Whatstandwell. Całe zapasy zostały już zjedzone, wszyscy byli głodni i mieli tylko niewielką sumkę pieniędzy na powrót do domu. Udało im się jednak kupić dużą bułkę z rodzynkami oraz bochenek chleba, które pokrajali scyzorykiem na kawałki, a potem zjedli siedząc na murku w pobliżu mostu. Przyglądali się przy tym jasnej wstędze wartko płynącej Derwent oraz zatrzymującym się przed gospodą wozom, pełnym powracających z Matlock wycieczkowiczów.

Paweł był już blady ze zmęczenia. Przez cały dzień ciążyła na nim odpowiedzialność za wycieczkę i obecnie był u kresu sił. Miriam zauważyła to i trzymała się blisko niego, on zaś z ulgą oddał się jej w opiekę.

Na dworcu w Ambergate musieli czekać całą godzinę. Pociągi przychodziły zatłoczone wycieczkowiczami wracającymi do Manchesteru, Birmingham i Londynu.

— Moglibyśmy i my tam jechać... — powiedział Paweł. — Wielu ludziom mogłoby się doskonale zdawać, że my też jedziemy tak daleko.

Wrócili dość późno. Miriam, idąc do domu z Geoffreyem, patrzyła na wschodzący wielki i czerwony, zamglony księżyc. Czowała, że coś się w jej duszy spełniło tego dnia.

Miriam miała starszą siostrę Agatę, która była nauczycielką. Pomiedzy siostrami toczyła się zadawniona walka. Miriam uważała, że Agata jest zbyt światowa. Sama również pragnęła zostać w przyszłości nauczycielką.

Pewnego sobotniego popołudnia Agata i Miriam ubierały się na górze. Ich sypialnia znajdowała się nad stajnią. Był to niski, niezbyt duży, skąpo umeblowany pokój. Miriam przypięła do ściany reprodukcję Sw. Katarzyny

— Veronese'a. Niezmiernie lubiła tę siedzącą w oknie, pogrążoną w marzeniach kobietę. Jej własne okienka były zbyt małe, aby mogła w nich siadywać. Ale okno frontowe otoczone było gęstwą powoju i dzikiego wina, a ponadto widziało się z niego czubki drzew dębowego lasu, za podwórzem. Tylne okienko, nie większe od chusteczki do nosa, było oknem na wschód i na jutrzenkę wstającą spoza pierścienia ukochanych wzgórz.

Siostry prawie z sobą nie rozmawiały. Agata, która była drobna, jasnowłosa i zdecydowana, zbuntowała się przeciwko panującej w domu atmosferze

- i przeciwko doktrynie „drugiego policzka”. Przebywała teraz poza domem
- i była na dobrej drodze do uzyskania pełnej samodzielności. Przywiązywała dużą wagę do tak światowych wartości, jak wygląd, maniery i stanowisko, które Miriam, w przeciwieństwie do niej, najchętniej całkowicie by ignorowała.

Obydwie siostry starały się być w swym pokoiku na górze, gdy przychodził Paweł. Wolały zbiegać szybko na dół, otwierać frontowe drzwi i zastawać go przed progiem, oczekującego, kiedy się pojawią. Miriam stała pośrodku pokoju, z trudem przesuwając przez głowę różaniec, który jej kiedyś ofiarował. Drobne ogniwa zaczepiały się w jej jedwabistych, gęstych włosach. W końcu jednak dała sobie jakoś radę i czerwono-brązowe paciorki zamigotały pięknie na jej chłodnej, smagłej szyi. Była dobrze rozwiniętą, ładną dziewczyną. Ale w małym lusterku, zawieszonym na pobielanej wapnem ścianie, mogła oglądać jedynie niewielkie fragmenty swojej osoby. Agata kupiła sobie własne lusterko, które umieściła tak, aby mogła się wygodnie przeglądać. Miriam stała blisko okna. Nagle usłyszała dobrze znany szczeł łańcuszka i zobaczyła Pawła, który

otwierał na oścież furtkę, wprowadzając swój rower na podwórze. Zobaczyła, że spogląda na dom, i szybko cofnęła się od okna. Szedł swobodnym, niedbałym krokiem, a jego rower toczył się obok, jak gdyby był żywą istotą.

— Przyszedł Paweł! — zawołała.

— Bardzo się z tego cieszysz? — spytała Agata uszczypliwie.

Miriam znieruchomiała, oszołomiona i zdumiona.

— Przecież i ty się cieszysz — odparła.

— Owszem, ale bynajmniej nie zamierzam mu tego okazywać, aby sobie nie myślał, że mi na nim zależy.

Miriam była zaskoczona. Słyszała, jak Paweł wprowadza swój rower do stajni pod nimi i przemawia do starego konia, Jimmy'ego, który kiedyś pracował w kopalni pod ziemią i teraz prawie do niczego się już nie nadawał.

— No i co, Jimmy? Jak się miewasz, mój stary? Jak zawsze smutny i chory? Oj, Jimmy, Jimmy... nie wstyd ci, stary chłopie?...

Słyszała przesuwający się w otworze łańcuch, gdy koń uwalniał łeb od pieszczoł chłopca. Ogromnie lubiła przysłuchiwać się przemowom Pawła, gdy myślał, że jedynie koń go słyszy. Ale dziś jakiś wąż zakradł się do jej raju. Z całą obiektywnością usiłowała dociec, czy nie pragnie Pawła Morela. Czuła, że byłoby w tym coś poniżającego. Pełna sprzecznych uczuć lękała się, że go jednak pragnie. Stała, potępiając samą siebie. Nagle ogarnęła ją nowa męka wstydu. Niemal zatoczyła się pod brzemieniem tej tortury. Czy pragnęła Pawła Morela i czy on o tym wiedział, że go pragnie? Jak niepostrzeżenie i podstępnie spadła na nią ta hańba... Wydawało jej się, że wstyd rozszarpie jej duszę na strzępy.

Agata pierwsza skończyła się ubierać i zbiegła na dół. Miriam słyszała ją witającą wesoło Pawła i dokładnie wyobraziła sobie, jak rozbłyły przy tym jej szare oczy. Ona sama uważałaby przywitanie go w ten sposób za bezwstydną śmiałość. A jednak sama oskarżała się, że go pragnie, i świadomość ta była prawdziwą torturą. W pełnej goryczy rozterce uklękła i zaczęła się modlić:

— O Boże, spraw, żebym nie kochała Pawła Morela. Strzeż mnie przed tą miłością, jeśli nie powinnam go kochać.

Ale uderzyło ją coś nienormalnego w tej modlitwie. Uniosła głowę i zastanowiła się. Cóż mogło być w tym złego, że go kocha? Miłość jest darem Boga. A jednak gnębił ją wstyd. Czuła, że to przez wzgląd na niego — Pawła Morela. Ale z drugiej strony nie była to przecież jego sprawa, a wyłącznie jej samej — pomiędzy nią i Bogiem. Miała poświęcić się w ofierze. Ale będzie to ofiara dla Boga, a nie dla Pawła Morela i nie dla niej samej. Po kilku minutach ukryła twarz w poduszce i szepnęła:

— Ale jeśli taka jest Twoja wola, Panie, spraw, abym go kochała... jakby to uczynił Chrystus, który umarł za zbawienie dusz ludzkich. Spraw, aby moja miłość do niego była wzniosła i szlachetna, gdyż jest on Twoim synem.

Pozostała przez pewien czas na klęczkach, zupełnie nieruchomo, głęboko przejęta. Jej ciemne włosy ciemniały na tle kapy zszytej z czerwonych i jasno-seledynowych kwadracików materiału. Modlitwa była w jej życiu sprawą zasadniczą. Wpadła w ekstazę całkowitego ofiarowania się, utożsamiając się z Bogiem, który również został poświęcony w najwyższej ofierze — i podobnie jak wiele innych dusz ludzkich zaznała



błogiego ukojenia.

Kiedy zeszła na dół, zastała Pawła rozpartego wygodnie w fotelu i z wielkim ferworem odpierającego docinki Agaty, która znęcała się nad małym obrazkiem, przyniesionym przez niego specjalnie do obejrzenia. Miriam spojrzała na nich z daleka, nie chcąc brać udziału w ich wesołości. Chciała być sama, przeszła więc szybko do saloniku.

Dopiero podczas podwieczorku zdobyła się na to, żeby odezwać się do Pawła, i uczyniła to tak chłodno i z taką rezerwą, iż pomyślał, że musiała się chyba na niego obrazić.

Miriam chodziła dawniej w każdy czwartek wieczorem do czytelnicy w Best-wood, lecz obecnie zaniechała tego zwyczaju. Przez całą wiosnę wstępowała regularnie po Pawła, ale kilka drobnych incydentów i nieuchwytnych afrońtów ze strony jego rodziny uświadomiło jej, jak są do niej nastawieni, zdecydowała się zatem więcej tego nie robić. Oświadczyła pewnego dnia Pawłowi, że nie wstąpi już po niego w czwartek wieczorem.

- Czemu? — zapytał krótko.
- Ach, nic takiego. Ale wolę nie przychodzić.
- Doskonale.
- Jeślibyś jednak chciał — ciągnęła niepewnie — gdzieś się ze mną spotkać, moglibyśmy nadal chodzić razem.
- Spotykać się z tobą... gdzie?
- Gdziekolwiek... gdzie byś chciał.
- Nie mam zamiaru spotykać się z tobą gdzieś na drodze. Nie rozumiem, dlaczego nie możesz w dalszym ciągu po mnie zachodzić. Jeśli ci to jednak nie odpowiada, nie mam ochoty umawiać się z tobą.

Tak więc czwartkowe wieczory, które były takie cenne dla niej i dla niego, urwały się nagle. Pawełek spędzał obecnie ten czas malując w domu. Pani Morel pociągała w milczeniu nosem, zadowolona z takiego obrotu sprawy.

Paweł w żaden sposób nie chciał uznać, że Miriam i on się kochają. Ich zażyłość była zupełną abstrakcją, tak czysto duchową i przysparzającą mu tyle udręki oraz zmagania się z samym sobą — iż uważał to jedynie za platoniczną przyjaźń. Uporczywie zaprzeczał, aby mogło ich łączyć cokolwiek innego. Miriam zachowywała milczenie lub spokojnie się na to godziła. Był szaleńcem, nie zdającym sobie sprawy, co się z nim dzieje. Na mocy milczącego porozumienia oboje nie zwracali uwagi na zaczepki i różne insynuacje znajomych.

- Nie jesteśmy w sobie zakochani, jesteśmy przyjaciółmi — powtarzał jej. — My to dobrze wiemy. Niech sobie inni mówią, co im się podoba. Cóż to ma za znaczenie, że oni coś mówią!

Czasem, gdy szli razem, Miriam wsuwała mu rękę pod ramię. Budziło to w nim jednak zawsze niechęć, o czym Miriam dobrze wiedziała. Rozpętała się w nim bowiem gwałtowna walka. Obcował z Miriam wyłącznie w sferze wzniosłej abstrakcji, a naturalna żądza przeradzała się w subtelne i zawiłe myślowe dysertacje. To Miriam tego pragnęła. Jeśli był wesoły lub, jak to nazywała, „płochy”, czekała, aż do niej

wróci — aż znów dokona się w nim zmiana i zacznie zmagać się z własną, niespokojną i namiętnie poszukującą zrozumienia duszą. Właśnie w tym namiętym pqszukiwaniu zrozumienia ich dusze zespały się z sobą. Ale najpierw trzeba było sprawić, by oderwał się od świata i zatonął całkowicie w abstrakcyjnych rozważaniach.

Kiedy jednak wsuwała mu rękę pod ramię, przyprawiało go to niemal o tortury. Miejsce, w którym dotykały go jej palce, paliło go. Spalał się cały w tej morderczej walce i w odwet za swe cierpienie stawał się dla Miriam okrutny.

Pewnego letniego wieczoru Miriam zjawiała się u nich w domu, zarumieniona i rozgrzana szybkim marszem pod górę. Pawełek był sam w kuchni. W domu panowała zupełna cisza i słychać było, jak matka krząta się na górze.

— Chodź zobaczyć groszki — zaproponował Paweł.

Wyszli do ogrodu. Poza domami i kościołem niebo gorzało pomarańczową czerwienią. Ogródek kwiatowy zalany był dziwnym, ciepłym blaskiem, w którym każdy listek nabierał niezwykłego wyrazu. Pawełek szedł wzdłuż alejki pięknie kwitnących groszków, zrywając od czasu do czasu bladoniebieską lub kremową gałązkę, a Miriam szła obok wdychając słodką woń unoszącą się w powietrzu. Kwiaty przemawiały zawsze do niej z taką siłą, że czuła się niemal zmuszona w jakiś sposób z nimi się jednoczyć. Kiedy schylała się, aby powąchać kwiat, czyniła to jak gdyby w miłosnym zapamiętaniu. Paweł nienawidził jej wtedy. Uważał, że w niedopuszczalny sposób obnaża swoje uczucia

i że jest w tym coś zbyt intymnego.

Kiedy narwał już sporą wiązanekę, wrócili do domu. Przez chwilę wsłuchiwał się w spokojne kroki matki na górze, a potem powiedział:

— Chodź tu. Przypnę ci to do sukienki. — Ułożył kilka gałązek przy wycięciu szyi, cofając się parokrotnie o kilka kroków, żeby sprawdzić efekt.

— Wiesz chyba o tym — powiedział — że kobieta zawsze powinna przypinać sobie kwiaty przed lustrem.

Miriam zaśmiała się. Uważała, że kwiaty powinno się przypinać do sukienki bez specjalnych starań. To, że Pawełek z takim przejęciem przypinał jej groszki, było tylko jego kaprysem.

Poczuł się trochę dotknięty jej śmiechem.

— Niektóre kobiety tak robią... te, które ładnie i elegancko wyglądają — powiedział.

Miriam zaśmiała się znowu. Ale tym razem bez wesołości, gdyż zabolowało ją, że zaliczył ją do ogółu rodu kobiecego. Od większości mężczyzn przyjęłaby taką uwagę obojętnie, ale zrobiło jej się przykro, że właśnie on tak powiedział.

Kończył przypinać groszki, gdy usłyszał kroki matki na schodach. Wpiął pośpiesznie ostatnią szpilkę i odskoczył w bok.

— Nie mów nic mamie — szepnął.

Miriam zebrała swoje książki i stanęła w drzwiach wejściowych, patrząc ze smutkiem na wspaniałą zachód słońca. Nigdy już nie zajdzie po Pawła — postanowiła sobie.

— Dobry wieczór pani — powiedziała z szacunkiem. Brzmiało to tak, jak gdyby czuła, że nie ma prawa się tu znajdować.

— Ach, to ty, Miriam — odparła pani Morel chłodno.

Paweł żądał zawsze, aby wszyscy respektowali jego przyjaźń z Miriam, a pani Morel była zbyt rozsądna, żeby prowadzić jawną walkę.

Dopiero wówczas, gdy Pawełek skończył dwadzieścia lat, rodzina Morelów mogła sobie pozwolić na wyjazd na odpoczynek. Pani Morel, od czasu wyjścia za mąż, ani razu nie wyjeżdżała z domu, poza odwiedzinami u siostry. Pawełek zaoszczędził wreszcie dostateczną ilość pieniędzy i wszyscy mieli wyjechać na wieś. Razem z nimi miało pojechać jeszcze kilka osób, a mianowicie parę koleżanek Ani, przyjaciel Pawełka — młody człowiek, z tego samego biura, w którym dawniej pracował William — oraz Miriam.

Korespondencja w sprawie wynajęcia odpowiedniego mieszkania była zajęciem niezwykle emocjonującym. Paweł i matka prowadzili nie kończące się dyskusje na ten temat. Chcieli wynająć umeblowany domek na dwa tygodnie. Matka uważała, że wystarczy tydzień, ale Pawełek uparł się przy pełnych dwóch tygodniach.

Dostali w końcu wiadomość, że mogą wynająć w Mablethorpe domek, jakiego sobie życzyli, za trzynaście szylingów tygodniowo. Zapanowała ogromna radość. Pawełek był uszczęśliwiony ze względu na matkę. Będzie miała wreszcie prawdziwy odpoczynek. Siedział z nią długo wieczorem, wyobrażając sobie, jak wszystko urządzi. Przyszła Ania, Leonard, Alicja i Kitty. Cieszyli się i dokazywali, snując najrozmaitsze wesołe plany. Pawełek zawiadomił Miriam. Pogrążyła się w radosnej zadumie. Ale dom Morelów rozbrzmiewał wesołością i tętnił życiem.

Mieli wyruszyć w sobotę, pociągiem o siódmej rano. Pawełek zaproponował, żeby Miriam przenocowała u nich, gdyż miała bardzo daleko do stacji. Przyszła więc na kolację. Wszyscy byli tak rozradowani, że nawet Miriam została mile i ciepło powitana. Ale niemal od razu, gdy weszła, w domu zapanował jakiś sztuczny nastrój. Paweł wynalazł wiersz Jean Ingelow, w którym była mowa o Mablethorpe, i chciał koniecznie przeczytać go Miriam. Nie przyszłoby mu nawet na myśl taka sentymentalność, żeby czytać wiersze swojej rodzinie. Tym razem jednak chcieli go posłuchać. Miriam usiadła na kanapie całkowicie pochłonięta Pawłem. Zdawała się być zawsze bez reszty nim pochłonięta i wyłącznie na nim skoncentrowana, ilekroć znalazła się w jego towarzystwie. Pani Morel, trawiona zazdrością, siedziała w swoim fotelu na biegunach. Chciała także posłuchać wiersza. Nawet ojciec i Ania pozostali w pokoju. Morel, z głową przekrzywioną na bok, siedział skupiony, jak ktoś słuchający kazania i do głębi przejęty doniosłością słów kaznodziei. Pawełek pochylił się nad książką. Miał teraz wkoło siebie całe audytorium, na którym mu zależało. Pani Morel i Ania gotowe były niemal współzawodniczyć z Miriam, która z nich okaże się najlepszą słuchaczką i zyska sobie jego uznanie. Był w podniosłym nastroju i wielce dumny z siebie czując, że jest ośrodkiem ogólnego zainteresowania.

— Powiedz mi — przerwała w pewnej chwili pani Morel — co to jest ta „panna młoda z Enderby”, którą niby to mają wydzwaniać dzwony?

— To taka stara melodia, która była ostrzeżeniem, gdy zagrażała powódź. Przypuszczam, że jakaś panna młoda z Enderby utonęła kiedyś podczas powodzi — odparł. Nie miał najmniejszego pojęcia, jak rzecz miała się naprawdę, ale za nic w świecie nie poniżyłby się tak dalece w oczach kobiet, aby się do tego przyznać. Słuchały, co mówił, i

mu wierzyły. W końcu uwierzył sam sobie.

— Czy ludzie wiedzieli, co znaczy ta melodia? — spytała matka.

— Tak... tak samo jak Szkoci słysząc „Kwiaty leśne...” albo dzwony bijącej inaczej niż zwykle, na alarm.

— Jak to? — zdziwiła się Ania. — Przecież dzwon dźwięczy zawsze jednakowo, wszystko jedno, czy się go rozkołysze w jedną, czy w drugą stronę.

— Oczywiście — odparł. — Ale możesz zacząć od niskiego tonu i przejść do najwyższego, o tak... bam... bam... bam... bam... bim... bim... bim... bim.

Przebiegł całą gamę. Wszystkim wydało się to bardzo mądre. On również tak uważał. Odczekał chwilę, a potem skończył wiersz.

— Hm! — chrząknęła pani Morel z widocznym zainteresowaniem, gdy skończył czytać. — Wolałabym jednak, żeby to wszystko nie było takie smutne.

— Ja tam zupełnie nie rozumiem, po co się właściwie topili — odezwał się Morel.

Nastąpiła chwila ciszy. Ania wstała, żeby posprzątać ze stołu.

Miriam podniosła się, aby jej pomóc przy zmywaniu naczyń.

— Pozwól, że ci pomogę — poprosiła.

— Ależ co znowu! — zawołała Ania. — Siedź i daj spokój. Przecież to tylko kilka filiżanek.

1 Miriam, która nie potrafiła być bezpośrednia i odpowiednio nalegać, usiadła z powrotem i zaczęła przeglądać książkę razem z Pawłem.

To on był przywódcą wyprawy. Ojciec zupełnie się do tej roli nie nadawał. Przeżywał więc istne męki niepokoju, czy ich kuferek nie zostanie wyładowany na stacji w Firsby zamiast w Mablethorpe. Nie umiał też poradzić sobie ze zdobyciem dorożki. Dokonała tego jego mała, dzielna matka.

— Halo! — zawołała na woźnicę. — Halo, tutaj!

Pawełek i Ania, zawstyżeni, schowali się za resztą towarzystwa, krztusząc się nerwowym śmiechem.

— Ile chcecie do Brook Cottage? — spytała pani Morel.

— Dwa szylingi.

— Czy to daleko stąd?

— Ładny kawałek drogi.

— Wcale w to nie wierzę — odparła.

Wdrapała się jednak do środka. Stłoczyli się wszyscy w jednej starej, rybackiej bryczuszce.

— No widzicie — powiedziała pani Morel — ostatecznie wypadnie tylko po trzy pensy od każdego, a gdybyśmy jechali tramwajem...

Ruszyli w drogę. Przy każdym domku pani Morel wołała:

— Czy to tu? Tak, to na pewno tutaj!

Wszyscy wstrzymywali oddech. Mijali domek. Następowало ogólne westchnienie ulgi.

— Chwała Bogu, że to nie była ta buda — powiedziała pani Morel. — Ależ się przeraziłam! — Jechali dalej.

Zatrzymali się wreszcie przed stojącym na uboczu domkiem, oddzielonym od szosy głębokim rowem. Mieli wielkie emocje, gdyż musieli przejść przez mały mostek, aby

się dostać do ogródka przy domu. Bardzo im się to podobało, że domek stoi na uboczu i ma przylegającą z jednej strony rozległą nadmorską łąkę. Dalej zaś ciągnęła się, równoległe do nieba, niezmiernie płaska równina upstrzona barwnymi łąkami srebrnego jęczmienia, żółtego owsa, złotej pszenicy oraz zielonych okopowizn.

Pawełek prowadził rachunki. Wspólnie z matką zarządzali całością wyprawy. Ogólny koszt — to znaczy mieszkanie, utrzymanie i wszelkie drobne wydatki — wynosił tygodniowo szesnaście szylingów od osoby. Paweł i Leonard wybrali się rano do kąpieli. Morel wczesnym rankiem wyruszył już na przechadzkę po okolicy.

— Zaczekaj, Pawle — zawołała z sypialni matka — i zjedz kawałek chleba z masłem.

— Już idę! — odparł.

Gdy wrócił do domu, zastał matkę prezydującą przy jadalnym stole. Gospodyni była młodą kobietą. Miała niewidomego męża i przyjmowała bieliznę do prania. Pani Morel zmywała więc zawsze sama naczynia w kuchni i słała łóżka.

— Mówiłaś, że będziesz odpoczywała — przypomniał jej Paweł. — I znowu pracujesz.

— Pracuję! — zawołała z oburzeniem. — Co też ty opowiadasz!

Lubił chodzić z nią polem do miasteczka i nad morze. Bała się przechodzić przez łąki, a on wyśmiewał się z niej, że zachowuje się jak małe dziecko. Prawie przez cały czas opiekował się nią troskliwie, jak najczulszy narzeczony.

Miriam niewiele korzystała z jego towarzystwa, z wyjątkiem chyba tylko tych chwil, gdy wszyscy szli do „włóczęgów”. Miriam była zdania, że „włóczędzy” są nie do zniesienia głupi, był więc przeświadczony, że całkowicie podziela jej opinię, i prawił Ani kazania o niedorzeczności słuchania podobnych bzdur. Umiał jednak wszystkie ich pieśni na pamięć i wyśpiewywał je z zapalem, maszerując po szosach i drogach. Jeśli zaś zdarzyło mu się ich słuchać, rzekoma głupota bardzo go bawiła. Mimo to mówił Ani:

— Cóż za brednie! Nie ma w nich ani krztyny dowcipu czy inteligencji. Nikt, mający odrobinę więcej rozumu niż konik polny, nie potrafiłby tam chodzić i słuchać tych śpiewów. — Do Miriam zaś mówił, pełen pogardy dla Ani oraz reszty młodzieży: — Pewnie znów są u „włóczęgów”.

Dziwnie było patrzeć na Miriam śpiewającą owe piosenki. Jej silnie zarysowana broda była zdecydowanie wysunięta w przód. Śpiewając przypominała zawsze Pawłkowi jakiegoś smutnego anioła z obrazu Botticellego, nawet jeśli to była najzwyklejsza w świecie piosenka, jak na przykład:

## O, przyjdź na ścieżkę zakochanych

### Spotkać mnie i ze mną marzyć...

Tylko kiedy rysował lub gdy wieczorem wszyscy poszli do „włóczęgów”, miała go całkowicie dla siebie. Mówił jej wówczas bez końca o swym umiłowaniu przestrzeni. Niezmierzone równiny i przestworza niebios Lincolnshire były dla niego wyrazem wieczystej i nieskończonej woli, podobnie jak zaokrąglone normandzkie łuki sklepień w kościołach, powtarzające się w długiej perspektywie, wyrażały uporczywe wybieganie naprzód nieokiełznanej duszy ludzkiej, wyrrywającej się wciąż przed siebie, nie wiadomo gdzie i dokąd. Gdy tymczasem strzeliste łuki gotyckie wybiegały — jak mówił — prosto w niebo

i bliskie ekstazy zatracaly się w boskiej nieskończoności. On sam był w duchu romańskim. Miriam zaś uosabiała gotyk. Chyliła spokojnie głowę, godząc się nawet z tym.

Pewnego wieczoru wybrali się z Miriam szerokim, piaszczystym brzegiem w stronę Theddlethorpe. Długie fale, niosące na grzbiecie spienione grzywy piany, rozbijały się z sykiem o brzeg. Wieczór był ciepły. W dalekim zasięgu piasków nie było nikogo prócz nich i nie słyhać było najlżejszego szmeru prócz szumu morza. Pawełek lubił patrzeć, jak fale uderzają z hałasem

o brzeg. Lubiał znajdować się między szumiącym morzem i ciszą piaszczystego wybrzeża. Miriam była przy nim. Wszystko wokół stało się niezwykle wyraziste i intensywne. Gdy wyruszyli z powrotem, było już zupełnie ciemno. Droga do domu wiodła wąwozem wśród piaszczystych wydm, a potem wysokim, porośniętym trawą nasypem, między dwoma rowami. Wokół panowała ciemność i niezmacona cisza. Spoza wydm dobiegał stłumiony szept morza. Szli w zupełnym milczeniu. Nagle Pawełek drgnął gwałtownie. Krew zapłonęła w nim żywym ogniem i prawie nie był w stanie oddychać. Ogromny, pomarańczowy księżyc spoglądał na nich spoza krawędzi piaszczystych wzgórz. Paweł stał nieruchomo i patrzył.

— Ach! — krzyknęła Miriam.

Pawełek stał bez ruchu, wpatrzony w ogromną, krwistą kulę księżyca. Był to jedyny realny kształt, widoczny w niezmiernych ciemnościach zalegających równiny. Serce biło mu gwałtownie, mięśnie ramion naprężyły się.

— Co ci jest? — szepnęła Miriam wyczekująco.

Obrócił się i spojrział na nią. Stała obok niego, w mroku. Jej twarz, ukryta w cieniu kapelusza, patrzyła na niego — sama niewidoczna. Dziewczyna swoim zwyczajem rozmyślała nad czymś, smętnie zadumana. Była trochę wylękniona, do głębi wzruszona i w podniosłe nabożnym nastroju. Ten stan ducha najbardziej jej odpowiadał. Paweł czuł się wobec tej ekstazy zupełnie bezsilny. Krew płonęła mu w żyłach. Nie był jednak w stanie zbliżyć się do niej. Palił go żywy ogień. Ale ona była tego nieświadoma. Oczekiwała w nim jakiegoś nabożnego wzruszenia. Trwała w tym oczekiwaniu, lecz nagle poczęła sobie na pół świadomie zdawać sprawę z szalejących w nim uczuć i spojrziała na niego zalekniona.

— Co ci jest? — szepnęła znowu.

— To księżyc — odparł marszcząc brwi.

— Tak — przytaknęła poważnie. — Prawda, jaki cudowny? — Chciała wiedzieć, co się z nim dzieje. Kryzys minął.

Paweł sam dobrze nie wiedział, co się z nim działo. Był jeszcze bardzo młody, a ich przyjaźń taka idealna, że nie zdawał sobie sprawy, iż pragnął zgnieść ją w ramionach, aby uciszyć ból, który płonął mu w piersi. Bał się jej. Myśl, że mógłby jej pożądać jak mężczyzna kobietę, dławiła go wstydem. Gdy Miriam cofała się w tył, drżąc cała, przejęta męką na samą myśl o czymś podobnym, wszystko się w nim załamywało. I oto owa „niewinność” udaremniła ich pierwszy, miłosny pocałunek. Było to tak, jak gdyby Miriam nie potrafiła znieść wstrząsu fizycznej miłości — chociażby tylko namiętnego pocałunku — on zaś był zbyt nieśmiały i delikatny, aby to na niej wymóc.

Szli teraz przez podmokłą łąkę i Pawełek patrzył na księżyc, nie mówiąc ani słowa. Miriam, znużona, z trudem dotrzymywała mu kroku. Nienawidził jej, gdyż zdawała się w jakiś sposób doprowadzać do tego, że gardził sam sobą. Spojrzawszy przed siebie zobaczył jedyne światło w ciemności. Było to jaśniejsze z daleka okno ich domu.

Z radością pomyślał o matce i całej wesołej gromadce.

— Wszyscy już dawno są w domu — powiedziała matka, gdy weszli.

— No to co? — zawołał ze złością. — Chyba mogę pójść na spacer, jeśli mi się tak podoba, prawda?

— A ja myślę, że mógłbyś wrócić na kolację razem z wszystkimi — rzekła pani Morel.

— Będę robił to, co uważam za stosowne — zawołał poirytowany. — Wcale jeszcze nie jest tak późno. Będę robił to, co mi się podoba.

— Doskonale — odparła matka opryskliwie. — Rób sobie, co chcesz. — I przez resztę wieczoru nie dostrzegła go wcale. Udawał, że tego nie widzi i że mu to jest obojętne. Siedział i czytał książkę. Miriam czytała także, pragnąc stać się niewidoczną. Pani Morel nienawidziła jej za to, że doprowadza jej syna do takiego stanu nerwów. Uważała, że Pawełek robi się coraz bardziej nerwowy, przeczulony i smutny. Całą winę przypisywała Miriam. Nie miała więc nikogo przyjaznego poza Pawełkiem. Nie bolała jednak zbyt nad tym, gdyż pospolitość całej reszty młodego towarzystwa wzbudzała w niej politowanie.

Pawełek zaś nienawidził jej, gdyż w jakiś dziwny sposób pozbawiała go swobody i naturalności. Siedział zgnębiony, zmagając się z uczuciem dotkliwego upokorzenia.

## WALKA Z MIŁOŚCIĄ

Artur ukończył praktykę i dostał pracę w elektrowni przy kopalni Minton. Zarabiał na razie bardzo mało, ale miał pewne widoki na awans. Był niepohamowany i wiecz- nie niespokojny. Nie pił i na ogół nie grał w karty. Mimo to wciąż popadał w jakąś nową biedę, a powodem tego była zawsze jego bezgraniczna bezmyślność. Łowił kró- liki w lesie, jak zwykły kłusownik, zostawał niespodzianie na noc w Nottingham za- miast wrócić do domu, to znów, wykonawszy zły skok do kanału w Bestwood, kale- czył sobie pierś o ostre kamienie

i stare, blaszane puszkę leżące na dnie wody.

Od dłuższego już czasu chodził do pracy, gdy pewnego dnia znów nie wrócił na noc do domu.

— Czy nie wiesz, mamó, gdzie jest Artur? — zapytał Paweł przy śniadaniu.

— Nie wiem — odparła.

— To skończony dureń! — rzekł Pawełek. — Wolałbym już, żeby wreszcie popełnił coś naprawdę złego. Ale gdzie tam... on po prostu nie może w porę wstać od wista al- bo musi odprowadzać jakąś dziewczynę ze ślizgawki... w najlepszych intencjach... a potem przez to nie wraca do domu na noc. Skończony idiota!

— Nie wiem, czyby to było lepiej, gdyby zrobił coś takiego, za co potem musieliby- śmy się wszyscy wstydzić — powiedziała pani Morel.

— Jeśli o mnie chodzi, to miałbym tylko dla niego więcej szacunku — oświadczył Pawełek.

— Nie sądzę — chłodno odparła matka.

Kończyli jeść śniadanie.

— Czy go strasznie kochasz? — zapytał Pawełek matkę.

— Czemu o to pytasz?

— Bo mówią, że matka zawsze kocha najwięcej swoje najmłodsze dziecko.

— Być może, że tak bywa... ale w każdym razie nie ja. O nie... za bardzo mnie de- nerwuje.

— Czy rzeczywiście chciałabyś, żeby był lepszy?

— Chciałabym przede wszystkim, żeby przejawiał więcej zdrowego rozsądku.

Pawełek bywał szorstki i łatwo wpadał w złość. On również często denerwował matkę. Widziała, że coraz bardziej brak mu pogody ducha, i martwiła się tym.

Kończyli właśnie śniadanie, gdy listonosz przyniósł list z Derby. Pani Morel wyte- żała wzrok, żeby przeczytać adres.

— Daj mi go, ślepa staruszko! — zawołał syn wyrywając jej kopertę.

Pani Morel skoczyła i omal że nie wytargała go za uszy.

— To od twego synka Artura! — zawołał.

— Cóż to znowu! — wykrzyknęła pani Morel.

— „Najdroższa mamó — czytał Paweł — sam nie wiem, jak mogłem być takim głupcem. Błagam cię, przyjeźdź i wydostań mnie stąd. Wczoraj, zamiast iść do pracy,



poszedłem z Jakubem Brodonem i zaciągnąłem się do wojska. Jakub powiedział, że ma już dość wysiadywania stołków, a ja, ostatni idiota — jak dobrze wiesz — poszedłem za jego przykładem... Wziąłem królewskiego szylinga, ale gdybyś przyjechała się za mną wstawić, może by mi pozwolili wrócić z tobą do domu. Byłem zwykłym durniem, jak to robiłem. Nie chcę być w wojsku. Kochana mamó, zawsze miałaś ze mną same tylko kłopoty. Ale gdybyś mnie stąd wydostała, przyrzekam ci, że okażę w przyszłości więcej rozsądku i zastanowienia”.

Pani Morel opadła na swój fotel na biegunach.

— No i masz teraz! — zawołała. — Wydostać go!

— Ano właśnie — powiedział Pawełek. — Wydostać go.

Zapadło milczenie. Matka siedziała z rękami złożonymi na fartuchu i z zaciętymi ustami, pogrążona w myślach.

— Ach, jakże ja już mam dość tego wszystkiego! — krzyknęła nagle. — Jak ja mam dość!

— Proszę cię, pamiętaj tylko — powiedział Pawełek, którego czoło zaczęło się marszczyć gniewnie — że nie wolno ci się tym zadrećcać, rozumiesz, mamó?

— Właśnie! Może mam się z tego cieszyć, co? — napadła na niego gniewnie.

— W każdym razie nie masz jeszcze powodu do robienia tragedii — odparł.

— Głupi!... Głupi smarkacz! — zawołała.

— Będzie bardzo pięknie wyglądał w mundurze — powiedział Pawełek prowokująco.

Matka wpadła na niego jak furia.

— O, na pewno! — krzyknęła. — Ale mnie się to nie będzie podobało.

— Powinien postarać się, żeby go przyjęli do jakiegoś pułku kawalerii. Będzie miał święte życie i będzie wspaniale wyglądał.

— Wspaniale! Wspaniale! Wspaniałą pomysł, rzeczywiście!... Prosty żołnierz!

— No więc co? — rzekł Pawełek. — A czym ja jestem jak nie prostym urzędnikiem?

— To zupełnie co innego, mój chłopcze! — zawołała matka, ukłuta do żywego.

— Dlaczego?

— Bo jesteś w każdym razie człowiekiem, a nie manekinem w czerwonej kurtce.

— Nic by mi nie przeszkadzało chodzić w czerwonej kurtce... a może w ciemnoniebieskiej byłoby mi bardziej do twarzy... gdyby mną tylko nie chcieli za bardzo komenderować...

Ale matka przestała już słuchać, co mówił.

— Właśnie teraz, kiedy zaczynał... albo może zacząłby wybijać się w pracy... ach, nieznośny smarkacz!... Właśnie teraz bierze i marnuje sobie całe życie. I co z niego będzie potem, jak wróci? Jak sądzisz?

— Może dostanie dobrą szkołę i ustatkuje się wreszcie — powiedział Pawełek.

— Ustatkuje się! Zmarnują go tam na nic! Żołnierz! Prosty żołnierz!... Manekin, który się rusza, jak posłyszysz wrzask! Wspaniała przyszłość!

— Zupełnie nie mogę zrozumieć, czemu to cię tak denerwuje, mamó — rzekł Pawełek.

— To trudno, jeśli nie możesz. Za to ja mogę! — zagłębiła się w fotelu, wsparłszy

brodę na jednej ręce, a drugą podtrzymując łokieć. Ogarnęła ją bezgraniczna złość i przygnębienie.

— Chcesz jechać do Derby?

— Tak.

— To nic nie pomoże.

— Przekonam się sama.

— Czemu, do licha, nie chcesz go tam zostawić?! Sam by sobie tego z pewnością najbardziej życzył.

— Naturalnie! — krzyknęła matka. — Właśnie ty wiesz, czego on sobie życzy.

Ubrała się i pojechała pierwszym pociągiem do Derby, gdzie zobaczyła się z synem, a także z sierżantem. Nie dało to jednak żadnego rezultatu.

Kiedy Morel jadł wieczorem obiad, odezwała się niespodzianie:

— Musiałam być dziś w Derby.

Górnik wzniosł w górę oczy, łyskając białkami w poczerniałej twarzy.

— Byłaś w Derby, kochasiu? A cóż cię tam poniosło?

— Pojechałam w sprawie Artura.

— O... a ten co znowu zbroił?

— Tyle tylko, że się zaciągnął do wojska.

Morel odłożył nóż i odchylił się do tyłu na krześle.

— Nie! — powiedział. — Tego nie zrobił!

— Jutro rano jedzie od Aldershot.

— Coś podobnego! — wykrzyknął górnik. — To ci dopiero heca! — Rozważał coś przez chwilę, chrząknął: — Hm! — i zabrał się z powrotem do obiadu. Nagle twarz jego wykrzywiła się z wściekłości. — Mam nadzieję, że jego noga nie przekroczy więcej progu tego domu! — krzyknął.

— Też coś! — zawołała pani Morel. — Co ty znów wygadujesz!

— A właśnie, że tak — upierał się górnik. — Jak jest taki głupi, żeby uciekać do wojska, to niech sobie sam radzi. Nic więcej dla niego nie zrobię.

— Dużo dla niego dotąd robiłeś — odparła.

Morel niemal wstydził się pokazać tego wieczoru w oberży.

— No i co, byłaś tam? — zapytał Pawełek matkę, powróciwszy wieczorem do domu.

— Tak.

— I pozwolili ci się z nim widzieć?

— Tak.

— I co mówił?

— Beczał, kiedy odchodziłam.

— Hm!

— I ja także, więc możesz sobie oszczędzić chrząkania.

Pani Morel była niespokojna i denerwowała się o syna. Wiedziała, że wojsko nie będzie mu odpowiadało. I tak też było w istocie. Wszelka dyscyplina była dla niego nie do zniesienia.

— Ale wiesz — opowiadała Pawełkowi z pewną dozą dumy — doktor powiedział, że jest doskonale zbudowany... niemal idealnie. Wszystkie jego wymiary okazały się

przepisowe. Niewątpliwie jest bardzo przystojny, nie ma co mówić.

— O tak, jest wyjątkowo przystojny. Ale dziewczęta nie uganiają się za nim tak jak za Williamem, prawda?

— Nie. Ma zupełnie inne usposobienie. Jest podobny do ojca i tak samo jak on nieodpowiedzialny.

Żeby pocieszyć matkę, Pawełek rzadko w tym okresie chodził do Willey Farm. W jesieni została otwarta w Zamku wystawa prac studentów i zgłosił dwa swoje obrazy — malowany akwarelą krajobraz i olejną martwą naturę. Obie prace zdobyły pierwsze nagrody. Był niezwykle przejęty odniesionym triumfem.

— Jak myślisz, mamó, co dostałem za moje obrazy? — zapytał wróciwszy pewnego wieczoru do domu. Wyczytała radość w jego oczach. Jej twarz rozjaśniła się.

— A skądże mogłabym wiedzieć, synku.

— Pierwszą nagrodę za te szklane dzbany...

— Hm!

— I pierwszą nagrodę za ten szkic z Willey Farm.

— Obie pierwsze?

— Tak.

— Hm!

Twarcz jej zaróżowiła się i pojaśniała ze szczęścia, chociaż nie powiedziała nic więcej.

— Ładnie — rzekł Pawełek. — Prawda?

— O tak, bardzo.

— Czemu więc nie wynosisz mnie pod niebiosa?

Zaśmiała się.

— Bo miałabym potem kłopot ze ściąganiem cię z powrotem — powiedziała.

Czuła się jednak bezbrzeżnie szczęśliwa. William znosił jej kiedyś sportowe trofea. Przechowywała je dotychczas i nie mogła pogodzić się z jego śmiercią. Artur jest przystojny... nawet bardzo urodziwy, a że jest przy tym uczuciowy i ma dobre serce, powinien w końcu jakoś wyjść na ludzi. Ale Pawełek wybije się w życiu. Pokładała w nim wielkie nadzieje, tym bardziej że był nieświadomy swoich własnych możliwości. Tak wiele może się w nim jeszcze objawić. Życie zarysowywało się przed nią pełne obietnic. Doczeka się spełnienia swych marzeń. Jej ciężka walka i trud nie będą daremne.

Podczas trwania wystawy pani Morel kilkakrotnie wybrała się do Zamku, nic o tym nie mówiąc Pawełkowi. Wędrowała po długiej sali, przyglądając się innym pracom. Tak, niewątpliwie były dobre. Ale brakowało im czegoś szczególnego, co mogłoby w pełni zadowolić jej oczekiwania. Niektóre wzbudzały w niej zazdrość — były tak dobre. Przyglądała im się długo, usiłując wykryć w nich jakieś błędy. Potem nagle przychodził wstrząs, który sprawiał, że serce jej zaczynało bić gwałtownie. Tu wisiał obraz Pawelka! Znała go, jak gdyby był wyryty w jej sercu.

## PAWEŁ MOREL — PIERWSZA NAGRODA

Jakże dziwnie wyglądał wystawiony na widok publiczny, na ścianach zamkowej galerii, w której widziała już tyle obrazów w swoim życiu. Rozglądała się dyskretnie

wokoło, aby zobaczyć, czy ją ktoś zauważył stojącą wciąż przed tym samym obrazem.

Czuła się bardzo dumna. Spotykając po drodze wytworne panie, które powracały do swych rezydencji w parku, przemawiała do nich w duchu:

„No tak, bardzo pięknie wyglądacie... ale ciekawa jestem, czy syn którejś z was zdobył dwie nagrody na wystawie w Zamku?”

Mijała je i szła dalej — drobna, szara osóbką i zarazem najdumniejsza kobieta w całym Nottingham. Pawełek zaś czuł, że uczynił dla niej coś istotnego, mimo że był to tylko drobiazg. Cała jego praca należała do niej.

Pewnego dnia idąc w górę Castle Gate spotkał Miriam. Widział się z nią w ubiegłą niedzielę i nie spodziewał się zobaczyć jej w mieście. Szła w towarzystwie kobiety o uderzającej aparycji. Nieznajoma miała pochmurny wyraz twarzy i wyzywający sposób bycia. Było zdumiewające, jak Miriam, ze swą zamyśloną twarzą i pochyloną w przód postacią, malała u boku owej kobiety

o pięknie zarysowanych ramionach. Miriam patrzyła na Pawła badawczo. Ale on nie spuszczał wzroku z nieznajomej, która zdawała się go nie dostrzegać. Zdała sobie sprawę, że w tej chwili bierze w nim górę mężczyzna.

— Halo! — powiedział Paweł. — Nic mi nie mówiłaś, że wybierasz się do miasta.

— Nie wiedziałam, że tu będę — odparła Miriam, jak gdyby chcąc się usprawiedliwić. — Przyjechałam niespodzianie z ojcem na targ.

Patrzył na jej towarzyszkę.

— Opowiadałam ci o pani Dawes — powiedziała Miriam ochryple. Była zdenerwowana. — Czy nie znasz Pawła, Klaro?

— Zdaje mi się, że go już gdzieś widziałam — odparła pani Dawes, obojętnie zamieniając z nim uścisk dłoni. Miała szare oczy, w których malowała się wzgarda, cerę o złocistym połysku miodu i pełne usta z lekko uniesioną górną wargą. Trudno było odgadnąć, czy wyrażały one pogardę dla całego rodu męskiego, czy też pragnienie, aby je całowano — ale wyglądały tak, że można je było raczej posądzać o to pierwsze. Głowę nosiła odrzuconą w tył, jak gdyby manifestując pogardę dla całego świata, a zapewne również i dla mężczyzn. Jej duży kapelusz z czarnego filcu był trochę staroświecki, na sobie zaś miała pretensjonalną, luźną suknię, w której wyglądała zupełnie jak w worku.

Widać było, że jest niezamożna i nie ma zbyt wiele smaku. Miriam na ogół wyglądała ładnie.

— Gdzie mnie pani widziała? — zapytał Pawełek panią Dawes.

Spojrzała na niego, jak gdyby nie zamierzała trudzić się odpowiedzią.

Potem rzuciła krótko:

— Na spacerze z Louie Travers.

Louie była jedną z dziewczyn od Jordana.

— Ach, zna ją pani? — zapytał.

Nie odpowiedziała mu. Obrócił się więc do Nfirittfe.

— Dokąd idziesz? — zapytał.

— Do Zamku.

— Którym pociągiem wracasz do domu?

— Pojadę wozem z ojcem. Chciałabym, żebyś się zabrał z nami. O której będziesz

wolny?

— Wiesz przecież, że nie wcześniej jak o ósmej. Niechby to lichy wzięło!

Miriam i pani Dawes ruszyły dalej.

Pawełek przypomniał sobie, że Klara Dawes była córką starej przyjaciółki pani Leivers. Miriam odszukała Klarę; pracowała ona kiedyś jako nadzorczyń u Jordana, a mąż jej, Baxter Dawes, z zawodu kowal, wyrabiał dla tej fabryki żelazne części do aparatów dla kalek. Miriam spodziewała się, że uzyska przez nią bezpośrednią łączność z fabryką Jordana i będzie mogła lepiej orientować się w sytuacji Pawła. Ale pani Dawes żyła w separacji z mężem i wstąpiła do Związku Walczących o Prawa Kobiet. Uważano ją za inteligentną. I właśnie to zainteresowało Pawła.

Baxtera Dawesa znał i nie lubił go. Kowal miał około trzydziestu lat. Od czasu do czasu przechodził w fabryce przez kąt, w którym pracował Pawełek. Był wysokim, dobrze zbudowanym, przystojnym mężczyzną i również miał coś uderzającego w wyglądzie. Pomiedzy nim i jego żoną istniało jakieś szczególne podobieństwo. Miał taką samą jasną cerę o złotawym odcieniu. Był szatynem, a włosy miał ciemnoblonde. W jego zachowaniu i postawie przejawiało się podobnie jak u niej wyzwanie. Tu jednak następowała wyraźnie zarysowująca się różnica. Jego ciemnobrązowe, nieco wypukłe, rozbiegane oczy były rozwiązłe i spoglądały spod opadających powiek z wyrazem bliskim niemal nienawiści. Jego usta były również zmysłowe. W całym zachowaniu kowala przebijało ukryte wyzwanie, jak gdyby gotów był okrutnym ciosem powalić każdego, kto by go potraktował lekceważąco. Być może dlatego, że w gruncie rzeczy sam dla siebie nie miał szacunku.

Pawła znienawidził od pierwszego spotkania. Czując oderwany, bezosobowy wzrok chłopca, wnikliwym spojrzeniem artysty obejmujący jego twarz, wpadał w furję.

— No, czego się gapisz? — ryczał z ordynarną pogroźką w głosie.

Chłopiec odwracał wzrok. Ale kowal zatrzymywał się często przed kontuarem i wszczynał rozmowę z panem Pappleworthem. Jego sposób wyrażania się był nieprzyzwoity, z jawną skłonnością do używania plugawych słów. Po chwili znów poczuł zimny, krytyczny wzrok chłopca utkwiony w jego twarzy. Obrócił się gwałtownie, jak gdyby ukłuty znieczeka jadowitym żądłem.

— Czego się gapisz, ty durny szczeniaku? — wrzasnął.

Chłopiec nieznacznie wzruszył ramionami.

— Ja ci tu zaraz pokażę, ty...! — ryknął Dawes.

— Dajcie mu spokój — powiedział pan Pappleworth perswadującym tonem, który należało rozumieć: „To po prostu zwykły niedojda, który się gapi, bo wiele więcej nie potrafi”.

Od tej pory chłopiec przy każdym spotkaniu zwykł był przyglądać się kowalowi z tym samym krytycznym zaciekawieniem, odwracając wzrok, zanim spotkały się ich oczy. Doprowadzało to Dawesa do furii. Nienawidzili się wzajemnie, skrycie i w milczeniu.

Klara Dawes nie miała dzieci. Gdy opuściła męża, ich dom rozpadł się i zamieszkała u matki. Dawes przeniósł się do swojej siostry. Mieszkała tam również szwagierka i Paweł był podświadomie przekonany, że dziewczyna ta — Louie Travers — żyje teraz z Dawesem. Była to przystojna, wyzywająca brunetka, która wyśmiewała się w fabry-

ce z chłopca, co nie przeszkadzało jej rumienić się, kiedy idąc na stację odprowadzał ją po drodze do domu.

Wybrał się do Miriam w sobotę wieczorem. Czekala na niego w saloniku przy kominku, na którym płonął ogień. Wszyscy domownicy, prócz rodziców i młodszych dzieci, byli poza domem. Miriam i Pawełek mieli więc salonik do swojej wyłącznej dyspozycji. Był to długi, niski, ciepły pokój. Na ścianach wisiały trzy niewielkie szkice Pawła, a na gzymsie kominka stała jego fotografia. Na stole i na starym pianinie z różanego drzewa złożyły się w wazonach pęki jesiennych kolorowych liści. Pawełek usiadł w fotelu, a Miriam skuliła się u jego nóg, na dywaniku przed kominkiem. Na jej ładną, myślącą twarz padał ciepły blask, gdy klęczała przed ogniem niczym kapłanka pogrążona w rozmyślaniach.

— Jak ci się podoba pani Dawes? — zapytała spokojnie.

— Nie wydała mi się zbyt uprzejma — odparł.

— Być może. Ale czy nie uważasz, że jest ładna? — spytała swym niskim, głębokim głosem.

— Tak... ma ładną postawę. Ale nie ma ani odrobiny gustu. Podoba mi się z pewnych względów. Czy jest bardzo niemila?

— Nie, nie powiedziałabym tego. Sądzę, że jest raczej rozgoryczona.

— A to dlaczego?

— Czy myślisz, że to przyjemnie być na całe życie związaną z takim mężczyzną jak jej mąż?

— Po co za niego w takim razie wychodziła, jeśli tak szybko nabrała do niego odrazy?

— A właśnie, po co! — powtórzyła Miriam z goryczą.

— A poza tym wydaje mi się, że ma dość animuszu do walki, żeby być godną przeciwniczką — ciągnął dalej.

Miriam spuściła głowę.

— O, naprawdę? — spytała z ironicznym powątpiewaniem. — Czemu tak myślisz?

— Popatrz na jej usta... są stworzone do miłosego zapamiętania... A jej sposób noszenia głowy... — Odrzucił w tył głowę, naśladując wyzywający ruch Klary.

Miriam opuściła głowę jeszcze niżej.

— Tak — rzekła.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której Pawełek myślał o Klarze.

— A co ci się w niej podobało? — zapytała Miriam.

— Sam nie wiem... Jej skóra i może świeżość cery... i jej... sam nie wiem... jest w niej jakaś szczególna zapalczywość. Oceniam ją jako artysta. I to wszystko.

— Tak.

Dziwiło go, czemu Miriam siedzi skulona na dywaniku, pogrążona w jakiejś nieokreślonej zadumie. Irytowało go to.

— Ty jej chyba w gruncie rzeczy nie lubisz, prawda? — zapytał.

Spojrzała na niego wielkimi, zadumanymi, ciemnymi oczyma.

— Lubię ją — rzekła.

— Nie... nie lubisz. Nie tak naprawdę.

— Więc jak? — spytała Miriam z namysłem.

— Ach, sam nie wiem... może ją lubisz dlatego, że jest wrogiem mężczyzn.

Była to najprawdopodobniej jedna z przyczyn, dla których on sam zainteresował się panią Dawes, ale nie przyszło mu to na myśl. Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Brwi Pawełka ściągnęły się w głęboką zmarszczkę, co weszło mu ostatnio w przyzwyczajenie, szczególnie gdy przebywał z Miriam. Pragnęła gorąco wygładzić tę zmarszczkę, ale nie śmiała. Wydawało jej się, że jest to piętno znamionujące mężczyznę, z którym nie miała nic wspólnego, a który jednak istniał w Pawle Morelu.

Wśród stojących w wazonie liści znajdowały się jakieś czerwone jagody. Wyciągnął rękę i pochwycił małą gałązkę.

— Powiedz mi, dlaczego, choćbyś sobie wpięła czerwone jagody we włosy, wyglądałabyś zawsze jak czarodziejka albo kapłanka, a nie jak zwykła, rozbawiona dziewczyna?

Zaśmiała się, trochę boleśnie i bezbrinnie zarazem.

— Nie wiem — odparła.

Jego mocne, gorące ręce bawiły się nerwowo czerwonymi jagodami.

— Dlaczego nie potrafisz się śmiać? — zapytał znowu. — Nigdy się naprawdę nie śmiejesz. Śmiejesz się jedynie wtedy, gdy ci się coś wyda osobliwe albo dziwaczne, a i wtedy ma się wrażenie, że ci to sprawia ból.

Spuściła głowę, dotknęła do żywego.

— Chciałbym, żebyś się zaśmiała... żebyś się do mnie naprawdę zaśmiała, choćby tylko przez jedną, krótką minutę... Czuję, że to by coś w nas wyzwoliło.

— Ależ... — Miriam spojrzała na niego wystraszonymi, błagalnymi oczyma — ja się do ciebie śmieję... naprawdę się śmieję.

— Nie, nigdy. W twoim śmiechu jest zawsze jakieś wewnętrzne napięcie. Kiedy się śmiejesz, ogarnia mnie chęć płaczu. To tak, jakbyś w ten sposób objawiała swoje cierpienie. Och, doprowadzasz do tego, że nawet moja dusza marszczy brwi w posępnej zadumie.

Miriam z rozpaczą potrząsnęła powoli głową.

— Wierz mi, że wcale tego nie pragnę — powiedziała.

— Czuję się zawsze taki diabelnie uduchowiony, kiedy z tobą przebywam! — krzyknął.

Nic mu nie odpowiedziała, ale pomyślała w duchu: „Czemu więc nie próbujesz być inny?” Spojrzała na jej zasepioną twarz, na drobną, skuloną bezradnie figurkę i uczył, że serce mu się kraje z litości.

— Wiesz, Miriam, jest jesień — powiedział. — I każdy czuje się jak dusza potępiona.

Znów zapadło milczenie. Ów dziwny smutek, który ich ogarniał, napawał ją lękiem. Pawełek wydawał jej się niezwykle piękny w tej chwili... z pociemniałymi oczami, których głębi nie można było przeniknąć.

— Przy tobie staję się taki uduchowiony — wyrzekął. — A ja nie chcę być uduchowiony.

Z lekkim cmoknięciem wyjęła palec z ust i spojrzała na niego niemal wyzywająco. Ale z jej dużych ciemnych oczu wзираła czysta, niewinna dusza i widział w nich to samo, co zawsze, błagalne wezwanie. Gdyby ich pocałunek mógł pozostać idealnie

niewinny, nie wahałby się. Ale nie był zdolny pocałować jej w ten sposób, a ona zdawała się wykluczać wszystko inne. A przy tym tęskniła do niego.

— No cóż — powiedział — przyniesiesz francuski i poczytamy trochę... trochę Verlaina.

— Dobrze — odparła głucho, niemal z rezygnacją. Wstała i przyniosła książki. Jej zaczerwienione, drżące nerwowo ręce wyglądały tak żałośnie, że zapragnął głęboko pocieszyć ją i pocałować. Nie śmiał jednak, a może nie mógł. Coś go powstrzymywało. Jego pocałunki byłyby w jej pojęciu czymś występny. Czytali do dziesiątej wieczór, a potem przeszli do kuchni i Pawełek, znalazłszy się w towarzystwie rodziców Miriam, stał się znów wesoły i naturalny. Jego ciemne oczy błyszczały żywo. Wszyscy byli pod jego urokiem.

Kiedy poszedł do stodoły wyprowadzić swój rower, okazało się, że przednie koło jest przedziurawione.

— Przyniesiesz mi w garnuszku odrobinę wody — poprosił Miriam. — Spóźnię się i znowu mi się dostanie.

Zapalił latarkę stojącą, zrzucił kurtkę, odwrócił rower do góry kołami i zabrał się spieszyć do roboty. Miriam przyniosła w dzbanku wodę i stała tuż przy nim, obserwując jego pracę. Niezmiernie lubiła patrzeć na jego rękę, gdy coś robił. Był szczupły i silny, a w jego ruchach była łatwość i swoboda nawet gdy się najbardziej śpieszył. Zajęty swą pracą, zdawał się nie pamiętać

o Miriam. Owładnęła ją miłość do niego. Zapragnęła przesunąć ręką wzdłuż jego boków. Zawsze pragnęła go objąć i przytulić do siebie, póki o tego nie pragnął.

— Gotowe! — zawołał wstając nagle. — No powiedz, potrafiłabyś to zrobić prędzej?

— Nie — zaśmiała się.

Wyprostował się. Stał zwrócony do niej plecami. Wsunęła mu rękę pod ramiona i szybko przesunęła je w dół.

— Jesteś taki zgrabny! — powiedziała.

Zaśmiał się, choć nienawidził w tej chwili brzmienia jej głosu. Krew spłynęła mu w żyłach gorącą falą pod dotknięciem jej rąk. Zdawała się zupełnie nie brać pod uwagę jego uczuć. Mógłby równie dobrze być martwym przedmiotem. Nigdy nie pomyślała, że jest mężczyzną.

Zapalił latarkę przy rowerze, uderzył kołami o klepisko stodoły, żeby się przekonać, czy są dobrze napompowane, i zapiął kurtkę.

— W porządku! — powiedział.

Miriam sprawdzała hamulec, bo pamiętała, że był zepsuty.

— Czy naprawiłeś go? — spytała.

— Nic!

— Czemu jeszcze tego nie zrobiłeś?

— Tylne trochę działa.

— Wiesz przecież, że to jest niebezpieczne.

— Mogę hamować podeszwą.

— Chciałabym, żebyś to naprawił — szepnęła.

— Nie niepokój się... Przyjdźcie jutro na podwieczorek z Edgarem.



- Och, naprawdę?
- Ależ tak... przyjdźcie koło czwartej. Wyjdę wam na spotkanie.
- Doskonale.

Ucieszyła się z zaproszenia. Przeszli przez ciemne podwórze do furtki. Obejrzał się na dom i zobaczył w nie zasłoniętym oknie kuchni głowy państwa Leivers, spowite w ciepłym blasku. Izba wydawała się bardzo przytulna. Przed nim otwierała się droga, zupełnie czarna między dwoma rzędami wysokich sosen.

- Do widzenia! — zawołał wskakując na rower.
- Uważaj na siebie, dobrze? — prosiła.
- Tak!

Jego głos dobiegł ją już z ciemności. Stała przez chwilę patrząc, jak światło jego latarki ślizga się w ciemnościach nad ziemią. Potem bardzo wolno zawróciła do domu. Orion windował się w górę ponad lasem, a za nim połyskiwał jego Pies, na pół tylko widoczny. Poza tym świat tonął w ciemnościach i panowała zupełna cisza, przerywana tylko oddechem bydła stojącego w oborze. Tego wieczoru Miriam gorąco modliła się, aby Paweł szczęśliwie dojechał do domu. Gdy ją opuszczał, często długo leżała bezsennie, pełna niepokoju, czy mu się nic nie stanie w drodze.

Paweł szybko mknął na rowerze ze wzgórze. Droga była twarda, mógł więc jechać prędko. Z rozkoszą czuł, jak maszyna rozpędza się coraz bardziej, spadając z końcowego, bardzo stromego odcinka drogi. „Klasa jazda!” — pomyślał. Było to ryzykowne z powodu czyhającego w dole, niewidocznego w ciemnościach zakrętu oraz furgonów z browaru ze śpiącymi na kozłach, pijanymi woźnicami. Rower zdawał się wyslizgiwać spod niego w pędzie, co mu sprawiało żywiołową przyjemność. Lekkomyślne ryzyko jest często stosowaną pomstą mężczyzny nad ukochaną. Czując, że nie jest należycie ceniony, ryzykuje własną zagładę, by uświadomiła sobie, czym był dla niej.

Gdy pędził nad brzegiem jeziora, odbijające się w wodzie gwiazdy zdawały się wyfruwać w górę jak koniki polne, migocąc srebrzyście w ciemnościach. Potem miał już do przebycia tylko długie zbocze, prowadzące do domu.

- Masz, mamó! — zawołał rzucając na stół liście i jagody.
- Hm! — chrząknęła pani Morel. Spojrzała przelotnie na' jego dar i znów wróciła do książki. Siedziała czytając, samotna jak zawsze.

- Prawda, jakie ładne?
- Tak.

Wiedział, że się gniewa i ma żal do niego. Po paru chwilach odezwał się znowu:

- Miriam i Edgar przyjdą do nas jutro na podwieczorek.

Nic nie odpowiedziała.

- Nie gniewasz się o to, prawda?

Znów nie odpowiedziała.

- Czy masz coś przeciwko temu?
- Sam dobrze wiesz, czy mam, czy nie mam.
- Nie rozumiem, o co ci chodzi. Ja tam wciąż jestem na jakimś jedzeniu.
- Wiem o tym.
- Czemu więc im żałujesz szklanki herbaty?
- Komu żałuję herbaty?

— Dlaczego jesteś taka okropna, mamó?

— Och, daj już spokój! Zaprosiłaś ją na podwieczorek i nie ma o czym mówić. Przyjdzie na pewno.

Pawełek był bardzo na matkę rozżalony. Wiedział, że oponowała wyłącznie przeciwko Miriam. Rzucił do kąta buty i poszedł spać.

Nazajutrz po południu udał się na spotkanie swoich przyjaciół. Ucieszył się, gdy ich zobaczył. Do domu przyszli około czwartej. Wszystko było starannie wysprzątane i panowała cisza niedzielnego popołudnia. Pani Morel siedziała w swojej odświętnej czarnej sukni i czarnym fartuszk. Wstała na powitanie gości. Dla Edgara była serdeczna, ale do Miriam odnosiła się chłodno i niechętnie. Pomimo to Pawełek był zdania, że Miriam wygląda bardzo ładnie i wdzięcznie w swojej brązowej wełnianej sukience.

Pomagał matce przy podwieczorku. Miriam chętnie zaofiarowałyby swoje usługi, bała się jednak to uczynić. Pawełek był raczej dumny ze swojego domu. Uważał, że odznacza się on teraz pewnego rodzaju dystynkcją. Krzesła były, co prawda, tylko drewniane, a kanapa bardzo stara, ale dywanik przed kominkiem i kolorowe poduszki wyglądały przytulnie. Na ścianach wisiały szkice świadczące o dobrym smaku domowników. Wszystko było tu pełne prostoty i było mnóstwo książek. Zarówno Pawełek, jak Miriam nigdy nie wstydziła się swoich domów, oba bowiem były takie, jak być powinny, i pełne ciepła. Był również dumny z nakrycia stołu. Porcelana była ładna, a obrus cienki. Nic nie szkodziło, że łyżeczki nie były srebrne i noże nie miały trzonek z kości słoniowej — całość wyglądała bardzo przyjemnie. Podczas gdy dzieci dorastały, pani Morel prowadziła gospodarstwo w sposób godny podziwu i obecnie w domu nie wyczuwało się żadnych braków.

Miriam rozmawiała trochę o książkach. Był to jej niezawodny i ulubiony temat. Ale pani Morel nie była życzliwie nastrojona i wkrótce zwróciła się do Edgara.

Dawniej Edgar i Miriam siadywali zawsze w kościelnej ławce pani Morel. Morel nigdy nie chodził na nabożeństwa, wołał bowiem spędzać ten czas w oberży.

Pani Morel patronowała młodym, siedząc w głębi ławy. Pawełek zajmował miejsce u wejścia, obok zaś niego siedziała z początku Miriam. W kaplicy było zacisznie jak w domu. Pięknie zbudowana, miała smukłe, wysokie kolumny i ciemne ławki. Wszędzie było pełno kwiatów. Od czasu dzieciństwa Pawełka ci sami ludzie zasiadali tu zawsze na tych samych miejscach. Siedząc tak przez półtorej godziny obok Miriam i w pobliżu matki, jednoczył w swym sercu, w podniosłym nastroju, obie swoje miłości i doznawał zupełnego ukojenia. Przenikało go wówczas jakieś błogie ciepło, czuł się szczęśliwy i uduchowiony. Po skończonym nabożeństwie odprowadzał Miriam do domu, a pani Morel spędzała resztę wieczoru u swojej dawnej przyjaciółki, pani Burns. W czasie tych niedzielnych, wieczornych przechadzek z Miriam i Edgarem Pawełek niezwykle żywo na wszystko reagował. Nie zdarzyło mu się przechodzić nocą obok kopalni, obok jasno oświetlonych magazynów z lampami, obok wysokich czarnych wież wyciągowych i obracających się wolno jak cienie skrzydeł odwieczników, by myśl o Miriam nie narzucała mu się ostro i wyraziście, stając się niemal nie do zniesienia.

Miriam nie korzystała długo z ławki Morelów. Ojciec jej postarał się

o własną ławkę dla siebie i swojej rodziny. Stała we wnęce pod galeryjką, naprzeciwko Morełów. Kiedy Pawełek wchodził z matką do kaplicy, ławka Leiversów była zawsze jeszcze pusta. Niepokoił się więc, czy Miriam przyjdzie. Miała tak daleko do kościoła i tak często w niedziele padał deszcz. W końcu, chociaż czasem bardzo już późno, wchodziła do kaplicy swym długim, posuwistym krokiem, ze zwieszoną głową i twarzą ukrytą pod szerokim rondem ciemnozielonego, aksamitnego kapelusza. Gdy siedziała naprzeciwko, twarz jej pozostawała zawsze w cieniu. Mimo to ogarniało go na jej widok dziwnie palące uczucie, jak gdyby serce płonęło mu w piersi. Nie była to owa duma, ciepło i szczęście, jakiego doznawał opiekując się matką, lecz uczucie o wiele cudowniejsze, mniej ludzkie i doprowadzone do tak bolesnego napięcia, że nie był w stanie go ogarnąć.

Był to okres, w którym zaczął wątpić w kanony wiary. Miał dwadzieścia jeden lat, a Miriam dwadzieścia. Ona z kolei zaczęła lękać się wiosny, Pawełek bowiem stawał się wtedy kapryśny, nieposkromiony i dokuczał jej ponad miarę. Przez całą drogę do domu bezlitośnie miażdżył jej najświętsze przekonania, ku zadowoleniu Edgara, który miał umysł krytyczny i był raczej obojętnie do tych spraw ustosunkowany. Miriam jednak cierpiała straszliwie, gdy ukochany przez nią mężczyzna ostrym jak skalpel intelektem godził w religię, którą żyła, oddychała i która była treścią jej istnienia. On zaś nie szczędził jej. Był okrutny. A kiedy byli sami, stawał się jeszcze bezwzględniejszy, jak gdyby chciał zabić w niej duszę. Godził w jej najświętsze przekonania, aż nieomal traciła przytomność.

„Miriam triumfuje... triumfuje odciągając go ode mnie — wołała w duchu pani Morel, gdy Pawełek wychodził z domu. — To nie jest zwykła kobieta, która pozostawiałaby mi w nim to, co należy do mnie. Ona chce go pochłonąć całkowicie. Chce wszystko z niego wycisnąć i pochłonąć go bez reszty, aby nic z niego nie zostało, nawet dla niego samego... Paweł nigdy nie stanie mocno na własnych nogach... ona go wyswie...” — Matka siedziała ciężko strapiona, walcząc z wzbierającą w jej sercu goryczą.

Pawełek zaś, wracając do domu ze spacerów z Miriam, męczył się jak potępieniec. Z zagryzionymi wargami, zaciskając pięści, pędził przed siebie w pośpiechu. Potem, natrafiwszy nagle na jakiś przełaz, zatrzymywał się i stał bez ruchu przez kilka minut. Przed nim rozwierała się głęboka przepaść ciemności. Po czarnym stoku przeciwległego zbocza ślizgały się mdłe światełka, a na dnie owej ciemnej otchłani gorzała kopalnia. Wszystko było niesamowite i przerażające. Czemu był tak udręczony, w półprzytomny i prawie niezdolny poruszyć się z miejsca? Czemu jego matka siedziała w domu cierpiąc? Wiedział bowiem, że bardzo cierpiała. Ale dlaczego? Czemu nienawidził Miriam i stawał się wobec niej tak okrutny, gdy pomyślał o swojej matce? Jeśli Miriam była powodem cierpienia jego matki — musiał jej nienawidzić. I jakże łatwo mu to przychodziło! Czemu doprowadzała go do tego, iż stawał się chwiejny, tracił wiarę w siebie i był tak bezwolny, jak gdyby brakło mu skutecznej osłony, chroniącej go przed wtargnięciem nocy i pustki w głąb jego duszy? O, jakże jej nienawidził! A potem nagle ogarniała go fala bezbrzeżnej czułości i pokory.

Pograżył się znowu w ciemnościach biegnąc pędem do domu. Matka dostrzegła na jego twarzy ślady cierpienia, ale nie odezwała się ani słowem. On jednak chciał ją koniecznie zmusić do rozmowy. Zaczęła się więc na niego gniewać, że tak daleko od-

prowadzał Miriam.

— Dlaczego jej nie lubisz, mamó? — zawołał z rozpaczą.

— Nie wiem, synku — odparła żałośnie. — Robiłam, co mogłam, żeby ją polubić. Naprawdę robiłam wszystko, co było w mojej mocy... ale nie mogę... och! nie mogę!

W takich chwilach ogarniał Pawełka beznadziejny smutek i czuł się zupełnie bezsilny — pomiędzy nimi dwiema.

Wiosna była najgorszą porą. Pawełek żył wówczas w bezustannym napięciu nerwów, był zmienny i okrutny. Postanowił więc trzymać się z dala od Miriam. Ale potem przychodziły godziny, w których czuł, że ona go oczekuje. Obserwująca go matka widziała, jak stawał się coraz niespokojniejszy. Nie mógł pracować. Nie był w ogóle w stanie nic robić. Wydawało się, że jakaś przemożna siła ciągnie go do Willey Farm. Wkładał wreszcie kapelusz i wychodził bez słowa. Ale matka wiedziała, że idzie do Miriam. Pawełek zaś, zaledwie znalazł się na drodze, zaczynał oddychać swobodniej. Kiedy już jednak był z Miriam, stawał się znowu okrutny.

Pewnego marcowego dnia Pawełek leżał na brzegu jeziora Nethermere, a Miriam siedziała obok niego. Dzień był białoniebieski i cudownie roziskrzony. Wielkie, jasne obłoki przesuwały się w górze, a ich cienie bezszelestnie ślizgały się po wodzie. Wolne od chmur kawałki nieba lśniły przejrzystym, chłodnym błękitem. Pawełek leżał na wznak wśród starej, jesiennej trawy i patrzył w górę. Nie był w stanie patrzeć na Miriam. Zdawała się pragnąć go, a on się temu opierał. Opierał się ciągle. Chciał jej ofiarować swą czułość i namiętą pasję — i nie mógł się na to zdobyć. Czuł, że pragnęła jego wysublimowanej z ciała duszy, a nie jego samego. Sączyła z niego całą energię i wszystkie siły, chłonąc je w siebie przez jakiś niewidzialny, łączący ich kanał. Nie chciała złączyć się z nim, było więc wciąż ich dwoje, mężczyzna i kobieta

— obcujący tylko z sobą. Pragnęła wchłonąć go całkowicie. Doprowadzało go to do napięcia nerwów bliskiego szaleństwu i oszołamiającego jak narkotyk.

Mówił o Michale Aniele. Słuchając go Miriam czuła się tak, jak gdyby dotykała drżących pod jej palcami tkanek i docierała do samej protoplazmy życia. Napawało ją to najgłębszą satysfakcją. Ale w końcu zaczął ogarniać ją lęk. Oto leżał przy niej, trawiony gorączką twórczych dociekań, a jego głos budził w niej coraz większą trwogę — taki był głuchy i jednostajny, prawie nieludzki, dobywający się jak gdyby w transie.

— Przestań... nie mów już więcej — poprosiła łagodnie, kładąc mu rękę na czole.

Leżał zupełnie spokojnie, niezdolny się poruszyć. Jego ciało zdawało się odrzucone gdzieś poza nawias życia.

— Dlaczego? Czy jesteś zmęczona?

— Tak. I ciebie to wyczerpuje.

Zaśmiał się krótko, zrozumiałwszy, co miała na myśli.

— A jednak zawsze mnie do tego doprowadzasz.

— Na pewno tego nie pragnę — powiedziała bardzo cicho.

— Nie... jeśli czujesz, że posunęłaś się za daleko i nie możesz już tego znieść. W swojej podświadomości jednak zawsze się tego ode mnie domagasz. I myślę, że ja też tego pragnę.

Mówił dalej tak samo bezdźwięcznie jak przedtem:

— Gdybyś mogła zapragnąć wreszcie mnie samego, a nie tylko tego, co mogę z siebie wykrzesać... dla ciebie.

— Ja? — zawołała z goryczą Miriam. — Ja? Czy kiedykolwiek pozwoliłeś mi dotrzeć do siebie?

— A więc to moja wina — powiedział. Opanował się i podniósłszy się z ziemi, zaczął mówić o różnych drobiazgach. Czuł się zawieszony w próżni. W jakiś nieokreślony sposób nienawidził jej za to. Zdawał sobie przy tym sprawę, że w jednakowym stopniu może winić siebie samego. Ale to bynajmniej nie przeszkadzało nienawidzić Miriam.

Szedł z nią pewnego wieczoru drogą prowadzącą do farmy Leiversów. Nie mogąc się rozstać przystanęli na pastwisku, za którym zaczynał się las. Na niebie ukazały się gwiazdy, a zaraz potem nadciągnęły chmury. W ułamku chwili pochwycili na wschodzie zarys konstelacji Orion, którą uważali za swoją własną. Klejnoty Oriona lśniły przez chwilę, a za nim biegł nisko przykurczony jego Pies, z trudem torując sobie drogę wśród spienionych obłoków.

Orion był dla nich najważniejszy i najbliższy im spośród gwiazdnych konstelacji. Wpatrywali się w niego z zachwytem w godzinach osobliwego napięcia uczuć, aż wreszcie wydawało im się, że żyją na każdej z jego gwiazd. Tego wieczoru Pawełek był posępny i w złym humorze. Orion wydawał mu się zwykłą konstelacją. Walczył z jego sugestywnym czarem i niezwykłym urokiem. Miriam bacznie obserwowała nastroj ukochanego. Ale on nie powiedział nic, co by go zdradziło, aż do chwili rozstania. Stał patrząc spod zmarszczonych brwi na kłębiące się chmury, za którymi wielka konstelacja nadal wędrowała niewidocznie po ogromie niebios.

Następnego dnia miało się odbyć w jego domu niewielkie przyjęcie, na które Miriam była również zaproszona.

— Nie wyjdę ci jutro na spotkanie — powiedział.

— Och, nie szkodzi... pogoda nie jest teraz zbyt ładna — odparła powoli.

— Nie, to nie dlatego... tylko widzisz, u mnie w domu tego nie lubią. Mówią, że więcej dbam o ciebie niż o innych. Rozumiesz mnie, prawda? Wiesz przecież, że to tylko przyjaźń.

Miriam była zaskoczona i zrobiło jej się przykro za niego. To, co powiedział, kosztowało go wiele wysiłku. Pozostawiła go więc samego, chcąc mu oszczędzić dalszego upokorzenia. Czuła się boleśnie dotknięta i gardziła nim, że ulega bezwolnie każdemu podmuchowi czyjegoś wpływu. W najtajniejszym zaś zakątku serca czuła podświadomie, że Pawełek usiłuje od niej odejść. Z tym jednak nie była w stanie się pogodzić. Było jej go żal.

W tym samym mniej więcej okresie Pawełek stał się w fabryce ważną osobistością. Pan Pappleworth wyszedł od Jordana, aby założyć własny interes, i Pawełek objął po nim kierownictwo dziewiarni. Z końcem roku jego pobory miały wzrosnąć do trzydziestu szylingów, jeśli wszystko się dobrze ułoży.

Miriam w dalszym ciągu prawie w każdy piątek przychodziła na lekcję francuskiego. Pawełek o wiele rzadziej odwiedzał teraz Willey Farm i Miriam martwiła się, że jej edukacja może zostać przerwana. Ale nadal oboje lubili z sobą przebywać, pomimo wszelkich zgrzytów i nieporozumień. Czytali więc Balzaka, pisali wypracowania i

czuli się wielkimi intelektualistami.

Co piątek wieczór odbywał się obrachunek górników. Morel „rozliczał” zarobek, to znaczy rozdzielał go pomiędzy górników ze swej grupy w „Nowej Gospodzie” w Bretty albo u siebie w domu, zależnie od życzenia swoich kolegów. Barker stał się abstynentem i górnicy rozliczali się teraz zawsze w domu Morela.

Ania, która wyjechała na pewien czas na posadę jako nauczycielka, znów była w domu. Nadal była „trzpiotem”, chociaż wkrótce już miała wyjść za mąż. Pawełek uczył się rysunku.

W piątek wieczór Morel był zawsze w doskonałym humorze, o ile tylko tygodniówka nie okazała się zbyt skąpa. Natychmiast po obiedzie zaczynał krzątać się gorączkowo, przygotowując się do gruntownego mycia. Powszechnie przyjęty zwyczaj nakazywał, aby kobiety nie były obecne przy obrachunkach mężczyzn. Było to niedopuszczalne, aby miały wgląd do spraw tak czysto męskich, poza tym było raczej niewskazane, żeby zbyt dokładnie orientowały się, ile wyniosła tygodniówka. Kiedy więc ojciec mył się i chlapał w sionce, Ania wyszła na godzinną pogawędkę do sąsiadki. Pani Morel zajęta była pieczeniem.

— Zamykaj drzwi! — wrzasnął Morel.

Ania trzasnęła drzwiami i szybko znikła.

— Jeśli mi zostawisz jeszcze raz drzwi otwarte, kiedy się myję, tak oberwiesz, że ci zęby powylatują — odgrażał się Morel pryskając mydlaną pianą. Jego żona i Pawełek słuchali go z obrzydzeniem.

Naraz górnik wybiegł z sionki do kuchni, ociekając mydlinami i drżąc z zimna.

— Uf... uuff! — wołał. — Gdzie mój ręcznik?

Ręcznik grzał się na poręczu krzesła przed kominkiem, inaczej bowiem Morel znowu awanturowałby się i wyklinał. Przysiadł na piętach przed rozpalonym piekarnikiem, żeby się prędzej osuszyć.

— Ufff! — sapał udając, że trzęsie się z zimna.

— Na miłość boską, człowieku, nie rób z siebie takiego dzieciucha! — zawołała pani Morel. — Wcale tu nie jest zimno.

— Spróbuj sama rozebrać się do naga i szorować się po pracy w tej sionce — wyrzekł górnik wycierając sobie włosy. — Istna lodownia.

— Z pewnością nie robiłabym o to tyle hałasu — odparła mu żona.

— O nie, tylko by ci te twoje piszczele zeszywniały i przewróciłybyś się, martwa jak kołek.

— Dlaczego kołek ma być bardziej martwy niż cokolwiek innego? — zainteresował się Pawełek.

— A bo ja wiem... ale tak się mówi — odparł ojciec. — W tej sionce tak ciągnie, że ci wieje przez żebra jak przez furtkę z pięcioma sztachetami.

— Myślę, że przez twoje żebra wcale nie byłoby to takie łatwe — rzekła pani Morel.

Górnik ze strapioną miną popatrzył na swoje boki.

— Przez moje? — zawołał. — Wyglądam jak odarty ze skóry królik. Wszystkie kości mi sterczą!

— Chciałabym wiedzieć gdzie! — odparła pani Morel.

— Wszędzie! Jestem jak worek suchych szczap!

Pani Morel się roześmiała. Miał bowiem wciąż jeszcze zadziwiająco młode ciało, muskularne i pozbawione odrobiny tłuszczu. Jego skóra była gładka i czysta. Mógłby uchodzić za dwudziestoosmioletniego mężczyznę, gdyby nie zbyt liczne, podobne do tatuażu sine blizny w miejscach, gdzie węgiel wgryzł mu się pod skórę, oraz obfite uwłosienie na piersiach. On jednak z wyraźnym niepokojem przesunął dłońmi po bokach. Ponieważ nie tył, wbił sobie do głowy, że jest chudy jak szczur.

Pawełek patrzył, jak grube, brunatne ręce ojca, z połamanymi paznokciami i pokryte bliznami, przesuwały się po gładkiej skórze na żebrach, i ów rażący kontrast uderzył go z całą mocą. Wydawało się nieomal niemożliwe, by mogły stanowić jedno ciało.

— Musiałeś być kiedyś dobrze zbudowany — zwrócił się Pawełek do ojca.

— E, tam! — zachnął się górnik i obejrzał się, zaskoczony i zmieszany jak dziecko.

— Miał wspaniałą figurę! — wykrzyknęła pani Morel. — Tylko że się wiecznie o wszystko obijał, jak gdyby chciał wleźć w każdą, nawet najmniejszą dziurę.

— Ja? — zawołał Morel. — Ja miałem dobrą figurę? Zawsze wyglądałem jak szkielet.

— Człowieku! — krzyknęła jego żona. — Jak ci nie wstyd być takim mazgajem!

— Bzdury! — powiedział. — Odkąd mnie poznałaś, było ze mną z każdym dniem gorzej.

Pani Mord usiadła na stołku i wybuchnęła śmiechem.

— Miałeś żelazne zdrowie — powiedziała. — Każdy by ci mógł pozazdrościć. Gdybyś go widział, jak był młody! — zawołała nagle do Pawełka i wyprostowała się z dumą, naśladując dawną urodziwą postawę męża.

Morel patrzył na nią wstydliwie. Ujrzał znów błysk namiętności, jaką kiedyś wzbudzał w żonie. Twarz jej płonęła przez chwilę. On zaś był spłoszony, trochę wylekły i niemal pokorny. Na jeden krótki moment wróciło mu poczucie dawnej chwały. Natychmiast jednak uświadomił sobie ruinę, do jakiej doprowadził się w ciągu ubiegłych lat. Zaczął się nerwowo krzątać, pragnąc jakoś ukryć swoje zmieszanie i jak najszybciej pozbyć się tej niemiłej świadomości.

— Wyszoruj mi trochę plecy — poprosił żonę.

Przyniosła obficie namydloną barchanową myjkę i energicznie plasnęła go po ramieniu. Skoczył w górę.

— Ach, ty wiedzmo! — krzyknął. — Toż to zimne jak śmierć.

— Powinieneś się być urodzić salamandrą — zaśmiała się myjąc mu plecy. Niezmiernie rzadko wyświadczała mu tak osobiste usługi. Zazwyczaj czyniły to dzieci. — Chyba nawet na tamym świecie nie będzie ci dość ciepło — dodała.

— Tak — odparł. — Jeszcze się przekonasz, że będzie tam dla mnie za bardzo wiało.

Ale ona już skończyła mycie. Pobieźnie wytarła mu plecy, poszła na górę i natychmiast ukazała się z powrotem niosąc jego domową parę spodni. Morel, osuszywszy się dokładnie, wciągnął koszulę. Z zarumienioną, błyszczącą twarzą, z rozczochranymi włosami i w świeżej flanelowej koszuli, wyrzuconej na robocze spodnie, stanął przed ogniem grzejąc pozostałe części garderoby, które miał za chwilę na siebie włożyć. Oglądał je starannie i przewracał na drugą stronę, przysuwając możliwie najbliżej

ognia.

— Na litość boską, człowieku! — zawołała pani Morel. — Ubierzże się wreszcie!

— Chciałbym cię zobaczyć, czybyś tak chciała wskoczyć w te portki, zimne jak beczka lodowatej wody! — odparł.

W końcu jednak zdecydował się i zdjawszy robocze spodnie, włożył przyzwoite czarne ubranie. Przez cały czas stał na dywaniku przed kominkiem i z pewnością wszystko odbywałoby się tak samo, gdyby w kuchni znajdowała się Ania lub któraś z jej przyjaciółek.

Pani Morel obróciła chleb w piecu. Następnie ze stojącej w kącie czerwonej, glinianej dzieży zaczerpnęła nową kulę ciasta, nadała jej kształt i umieściła w blaszanej formie. Była zajęta chlebem, gdy zastukał i wszedł Barker. Był to spokojny, krępy, nieduży mężczyzna i patrząc na niego miało się wrażenie, że nie oparłby mu się najpotężniejszy nawet mur. Miał krótko przystrzyżone czarne włosy i kościstą czaszkę. Był blady jak większość górników, ale zdrowy, silny i krzepki.

— Dobry wieczór, pani gospodyni — skłonił się pani Morel i usiadł z westchnieniem.

— Dobry wieczór — odparła przyjaźnie.

— Ho, ho, aleś się, chłopie, postarał! — rzekł Morel.

— Nic mi o tym nie wiadomo — odparł Barker.

Usiadł starając się usunąć w kąt, jak zawsze wszyscy górnicy w kuchni u Morełów.

— Jak się żona czuje? — spytała pani Morel.

Zwierzył jej się niedawno: „Wie pani, spodziewamy się wkrótce trzeciego dziecka”.

— Ha, cóż! — odparł skrobiąc się w głowę. — Myślę, że jakoś sobie radzi.

— Chwileczkę... kiedyż to będzie? — zastanawiała się pani Morel.

— Wcale bym się nie zdziwił, żeby przyszło w każdej chwili.

— O! I nic żonie nie brak?

— Nie. Wszystko jest w porządku.

— No, to chwała Bogu, bo wiem, że nie jest zbyt silna.

— Tak... A ja znów palnąłem głupstwo.

— Cóż takiego?

Pani Morel wiedziała dobrze, że Barker nie byłby zdolny popełnić jakiegokolwiek niedorzeczności.

— Zapomniałem wziąć z domu torby na zakupy.

— Mogę panu dać moją.

— E, nie... może być pani potrzebna.

— Nie będę jej potrzebowała. Zawsze biorę z sobą siatkę na sprawunki.

Pani Morel widywała małego, upartego górnika, jak załatwiał zakupy na cały tydzień w sklepie spożywczym, a w piątki wieczór chodził do rzeźnika po mięso, i szczerze go za to podziwiała. — Barker jest mały — mówiła do męża

— ale jest dziesięć razy więcej wart jako mężczyzna niż ty.

Z kolei zjawił się Wesson. Był chudy, o dość wątej budowie. Uśmiechał się niewinnie i z jakąś chłopięcą niemal szczerością, choć był ojcem siedmiorga dzieci. Jego żona była znaną jędzą.



— Widzę, że pośpieszyłeś się i zdążyłeś przede mną — powiedział uśmiechając się raczej blado.

— Ano tak — odparł Barker.

Nowo przybyły zdjął czapkę i gruby wełniany szalik. Nos miał czerwony i dziwnie spiczasty.

— Zdaje mi się, że bardzo pan zmarzł, panie Wesson — zatroszczyła się pani Morel.

— No tak, trochę dziś szczypie — odparł górnik.

— Niechże więc pan siądzie bliżej ognia.

— Eh, nie, dziękuję. Dobrze mi tu, gdzie jestem.

Obydwaj górnicy usiedli z dala, pod ścianą. Za nic nie daliby się namówić na zajęcie miejsc bliżej ognia. Kominek był wyłącznie dla domowników.

— Zbieraj się, chłopie, i siadaj tutaj w fotelu — wesoło zawołał Morel.

— Och, nie, dziękuję. Bardzo mi tutaj wygodnie.

— Ależ proszę, oczywiście. Niech pan tu koniecznie usiądzie — nalegała pani Morel.

Wesson wstał i niezgrabnie przeszedł przez kuchnię. Ciężko i nieporadnie usiadł w fotelu Morela. Uważał to za zbyt daleko posuniętą poufałość. Ale płynące od ognia ciepło napawało go błogą rozkoszą.

— Jakże tam teraz z pana piersiami? — zapytała pani Morel.

Uśmiechnął się znowu niebieskimi, pogodnymi oczami.

— O, zupełnie znośnie — odparł.

— Aha... Tylko że mu w nich grzechocze jak w starym kotle — wtrącił Barker.

— O, t, t, t! — koniuszką języka szybko cmoknęła pani Morel. — Czy kupił pan sobie nareszcie ten flanelowy kaftan?

— Jeszcze nie — uśmiechnął się.

— No więc, czemu pan z tym tak zwleka? — niecierpliwie krzyknęła pani Morel.

— Pewno już niedługo to zrobię — uśmiechnął się znowu.

— Aha, właśnie! W sam raz na Sąd Ostateczny zdążysz! — zawołał Barker.

Wesson irytował zarówno jego, jak Morela. Obaj byli jednak wyjątkowo krzepcy i zdrowi fizycznie.

Kiedy Morel był już prawie ubrany, podsunął Pawełkowi woreczek z pieniędzmi.

— Policz to, synu — powiedział nieśmiało.

Pawełek niechętnie oderwał się od książek i ołówka. Wysypał całą zawartość woreczka na stół. Było tam pięć funtów srebrem — w suwerenach i drobnej monecie. Przeliczył szybko, sprawdzając kwitki (na świstkach papieru wypisana była ilość węgla), i posegregował pieniądze. Barker przejrzał pobieżnie kwity.

Pani Morel poszła na górę, a trzech mężczyzn zasiedli przy stole. Morel, jako pan domu, usiadł w fotelu, plecami do płonącego kominka. Dwaj górnicy zajęli chłodniejsze miejsca, dalej od ognia. Żaden z nich nie liczył pieniędzy.

— Ile to, mówiliśmy, będzie dla Simpsona? — zapytał Morel. Górnicy obliczali przez chwilę jego dniówkę. Potem zarobek Simpsona został odłożony na bok.

— A ile dla Billa Naylora?

Pieniądze Billa również zostały wydzielone z całości.

Potem Morel i Barker wzięli sobie po cztery szylingi i sześć pensów, ponieważ We-

sson mieszkał w jednym z domków Towarzystwa i jego komorne zostało potrącone w rachunku. Dalej Barker i Wesson wzięli znów po cztery szylingi, Morelowie bowiem otrzymali swój deputat węglowy, za który należność również została pobrana. Teraz sprawa była już prosta. Morel rozdawał każdemu po suwerenie, póki ich starczyło. Potem każdemu po pół korony, póki nie zabrakło półkoronówek. I w końcu każdemu po szylingu, póki nie zabrakło szylingów. Jeśli zostawała jakaś reszta, Morel zabierał ją i stawiał potem przyjaciołom kolejkę.

Dokończywszy podziału trzech mężczyzn wstali i wyszli z domu. Morel wymknął się, zanim żona zdołała zejść na dół. Pani Morel, usłyszawszy zamykające się drzwi, zeszła natychmiast do kuchni. Zajrzała pośpiesznie do chleba w piecu. Potem zobaczyła pozostawione dla niej na stole pieniądze. Pawełek przez cały czas nie przerywał pracy. Teraz jednak dotarło do jego świadomości, że matka liczy tygodniówkę i że wzbiera w niej gniew.

— T... t... t... t! — skandował jej język.

Chłopiec zmarszczył brwi. Nie mógł pracować, gdy matka się denerwowała. Jeszcze raz przeliczyła pieniądze.

— Nędzne dwadzieścia pięć szylingów! — zawołała. — Ile dziś było na kwicie?

— Dziesięć funtów i jedenaście szylingów — odparł Pawełek ze złością. Lękał się tego, co miało nastąpić.

— A ten daje mi zasmarkane dwadzieścia pięć szylingów i zapłać tu jeszcze za niego jego klub w tym tygodniu! Ale już ja go znam. Myśli, że jak ty zarabiasz, to on nie potrzebuje dawać na dom. Tak to jest... Uważa, że może teraz przechlać wszystko, co dostaje. Ale już ja mu pokażę!

— Och, mam, przestań! — zawołał Pawełek.

— Co mam przestać, chciałabym wiedzieć? — krzyknęła pani Morel.

— Przestań się nad tym rozwodzić. Nie mogę pracować.

Pani Morel natychmiast zrobiła się bardzo spokojna.

— Tak, wszystko to bardzo pięknie — powiedziała — ale może mi powiesz, jak mam dać sobie z tym radę?

— Masz rację, ale rozwodzenie się nad tym nic ci nie pomoże.

— Chciałabym tylko wiedzieć, co byś ty robił, gdybyś musiał dawać sobie z tym radę?

— Przecież to nie będzie długo. Możesz wziąć moje pieniądze. I niech go diabli wezmą!

Powrócił do swojej pracy, a pani Morel posepnie związywała wstążki czepeczka pod brodą. Nie mógł znieść, gdy matka się czymś martwiła. Ostatnio jednak zaczął nalegać, aby jego też trochę brała pod uwagę.

— Te dwa bochenki na górze — powiedziała pani Morel — będą za dwadzieścia minut gotowe. Nie zapomnij o nich.

— Dobrze — obiecał. I matka wyszła na targ.

Pozostał teraz sam ze swoją pracą. Ale jego zwykle intensywne skupienie zostało zakłócone. Nasłuchiwał skrzypnięcia furtki. Kwadrans po siódmej rozległo się ciche pukanie i weszła Miriam.

— Jesteś sam w domu? — zapytała.

— Tak.

Zdjęła berecik i długi płaszczyk, po czym powiesiła je na kołku, jak gdyby była u siebie w domu. Pawełka przebiegł dreszcz. Mógłby to być ich własny dom — jego i jej. Miriam podeszła bliżej i pochyliła się nad jego pracą.

— Co to jest? — zapytała.

— Ciągłe jeszcze te wzory... na materiały dekoracyjne i na hafty.

Pochyliła się nisko nad rysunkiem mrużąc krótkowzroczne oczy.

Pawełka irytowało, że zawsze wnikała w jego pracę, jak gdyby chciała odszukać w niej jego samego. Wyszedł do jadalni i wrócił ze zwojem ciemnego płótna. Rozwinął je ostrożnie i rozesał na podłodze. Jak się okazało, była to zasłona czy też portiera, pokryta wspaniałym, powtarzającym się wzorem z róż.

— Ach, jakież to piękne! — zawołała Miriam.

Rozwinięty zwój materiału — grając wspaniałą czerwienią róż i zielonością ciemnych łądyg, o rysunku na pozór tak prostym i zarazem dziwnie jakoś grzesznym — leżał u jej stóp. Miriam osunęła się obok na kolana, a jej ciemne loki zwisały nisko nad ziemią. Patrząc na nią, schyloną pożądliwie nad jego dziełem, poczuł, że serce zaczyna mu bić szybciej. Nagle podniosła na niego oczy.

— Dlaczego wydaje się to takie okrutne? — zapytała.

— Co?

— Jest w tym coś okrutnego — powtórzyła.

— Tak czy owak, to dobra rzecz... — powiedział zwijając swoją pracę kochającymi rękami.

Miriam wstała powoli, zamyślona.

— Co chcesz z tym zrobić? — zapytała.

— Poślę do Liberty. Robiłem to dla matki, ale myślę, że pewno będzie chciała dostać pieniądze.

— Tak — powiedziała Miriam. W jego głosie brzmiała nutka goryczy, która wzbudziła w niej współczucie. Dla niej pieniądze nie znaczyłyby nic.

Paweł odniósł zwój do jadalni. Gdy wrócił, rzucił Miriam na kolana niewielki kwadrat płótna. Było to pokrycie na poduszkę, ozdobione takim samym wzorem.

— Zrobiłem to dla ciebie — powiedział.

Miriam drżącymi rękami bez słowa głaskała materiał. Poczul się zakłopotany.

— O Boże, chleb! — krzyknął.

Wyjął górne bochenki z pieca i opukał je energicznie. Były gotowe. Położył je na kominku, żeby ostygły. Potem poszedł do zlewu, zmoczył ręce, zaczerpnął ostatnią białą kulę ciasta z dzieży i ułożył w blasze. Miriam wciąż jeszcze tkwiła pochyłona nad swoim kawałkiem malowanej tkaniny. Pawełek stał zeskrobując resztki ciasta z rąk.

— Podoba ci się? — zapytał.

Spojrzała na niego czarnymi oczyma, rozplomienionymi miłością. Zaśmiał się zakłopotany. Potem zaczął mówić o deseniu. Mówiąc z Miriam o swojej pracy doznawał najwyższej przyjemności. Cała jego pasja namiętności, wszystka wrząca w nim krew znajdowała ujście w tym zbliżeniu z nią, gdy opowiadał jej i zastanawiał się nad swoją pracą. Rozbudzała w nim wyobraźnię. Była tego nieświadoma i nie pojmowała swej

roli, podobnie jak kobieta, która w łonie swym poczyna dziecko. Było to jednak życiem — dla niej i dla niego.

Kiedy tak siedzieli rozmawiając, do kuchni weszła młoda, może dwudziestodwuletnia kobieta, drobna i blada, o głęboko zapadniętych oczach oraz ostrym, niemiłym wyrazie twarzy. Była znajomą Morełów.

— Proszę cię, rozbierz się — powiedział Pawełek.

— Dziękuję, zaraz idę — odparła.

Usiadła w fotelu, naprzeciwko kanapy, na której siedzieli Miriam i Pawełek. Miriam odsunęła się nieznacznie od niego. W domu było gorąco i pachniał świeżo upieczony chleb. Rumiane, chrupkie bochenki leżały na kominku.

— Wcale się nie spodziewałam, że cię tu dziś zastanę, Miriam Leivers — złośliwie powiedziała Beata.

— Czemu? — szepnęła ochryple Miriam.

— Och, spójrz tylko na swoje buciki.

Miriam siedziała sztywna i zakłopotana.

— Jeśli nie spojrzysz, nie będziesz wiedziała dlaczego — zaśmiała się Beata.

Miriam wysunęła stopy spod sukni. Jej trzewiki miały dziwny, nieokreślony i raczej nieszczęsny wygląd, który zdradzał brak pewności siebie oraz nieśmiałość ich właścicielki. Były całe oblepione błotem.

— Litości! Cóż za kupa brudu! — wykrzyknęła Beata. — Kto ci czyści buciki?

— Sama sobie czyszczę.

— No to chyba specjalnie szukałaś roboty — zawyrokowała Beata. — Trzeba by chyba całej gromady mężczyzn, żeby mnie tu ściągnąć z góry w taki wieczór, jak dziś. Ale miłość kpi sobie z błota, prawda, mój miły Pawle Apostole?

— *Inter alia* — odparł.

— O Boże! Czy masz zamiar bluzgać obcymi językami? Co to znaczy, Miriam?

W tym ostatnim pytaniu zawierała się dotkliwa ironia, ale Miriam tego nie wyczuła.

— „Między innymi”, zdaje mi się — powiedziała pokornie.

Beata wysunęła koniuszek języka pomiędzy zębami i zaśmiała się złośliwie.

— „Między innymi”, Apostole? — powtórzyła. — Czy oznacza to, że miłość kpi sobie z matek, ojców, sióstr, braci, przyjaciół, a może nawet z samego ukochanego?

Udawała bezgraniczną naiwność.

— W zasadzie jest to po prostu jeden wielki śmiech — odparł.

— Tak, tak... ale śmiech w kułak, Apostole Morelu... wierzaj mi. — Znów zaniósła się bezgłośnym, złośliwym chichotem.

Miriam siedziała w milczeniu, całkowicie zamknięta w sobie. Wszyscy znajomi Pawła znajdowali szczególną przyjemność w atakowaniu jej, on zaś pozostawiał ją na pastwę, a nawet zdawał się brać sobie w ten sposób pewien odwet.

— Czy wciąż jeszcze pracujesz w szkole?

— Tak.

— Nie dostałaś więc wypowiedzenia?

— Spodziewam się go na Wielkanoc.

— Czy to nie skandal usuwać cię tylko dlatego, że nie zdałaś egzaminu?

— Nie wiem — chłodno odparła Beata.

— Agata mówi, że jesteś równie dobrą nauczycielką, jak każda inna. Wydaje mi się to zupełnie śmieszne. Dziwię się, czemu nie zdałaś egzaminu?

— Jestem po prostu tępa... co, mój Apostole? — przerwała krótko Beata.

— A może po prostu zbyt ostra w języku — powiedział Paweł śmiejąc się.

— Ach, niegodziwcze! — zawołała. Zerwała się z miejsca i skoczywszy naprzód, zaczęła go okładać pięściami. Miała bardzo ładne, małe dłonie. Pochwycił ją za przeguby i mocowali się przez chwilę. W końcu jednak wyswobodziła się i chwyciwszy garściami czub jego gęstych, ciemnych włosów, poczęła nim szarpać z całej siły.

— Bibi — zawołał przeczesując palcami potarganą czuprynę. — Nienawidzę cię. Zaśmiała się wesoło.

— Strzeż się! — zawołała. — Chcę usiąść koło ciebie.

Równie chętnie miałbym wiedźmę za sąsiadkę — powiedział usuwając się jednak i robiąc jej miejsce pomiędzy sobą i Miriam.

— Ale ci się poczochrały te cudne włoski! — zawołała Beata i przeczesła je starannie własnym grzebykiem. — I twoje śliczne wąsiki! — wykrzyknęła. Przegięła mu głowę do tyłu i przyglądała grzebykiem jego młodzieńczy zarost.

— To są niebezpieczne wąsiki, mój Apostole — powiedziała. — Bardzo kuszące. Masz może te swoje papierosy?

Wyjął papierośnicę z kieszeni. Zajrzała do środka.

— I pomyśleć, że wypaliłam ostatniego papierosa biednemu Connie! — skonstatowała przygryzając ustnik. Podał jej zapaloną zapałkę. Wypuściła z wdziękiem mały obłoczek dymu.

— Dziękuję ci, kochanie — powiedziała drwiąco.

Sprawiła jej to jakąś przewrotną przyjemność.

— Czy nie uważasz, Miriam, że bardzo zgrabnie to zrobił? — spytała.

— O tak! — przyznała Miriam.

Pawełek również wyjął sobie papierosa.

— Ognia, staruszkę? — zaproponowała Beata wysuwając w jego stronę papieros.

Pochylił się, aby od niej odpalić. Mrugnęła do niego porozumiewawczo. Miriam dostrzegła jakieś złe ogniki tańczące w jego oczach i zauważyła, że jego pełne, niemal zmysłowe wargi zadrżały. Nie był w tej chwili sobą, a ona nie mogła tego znieść. Gdy był w takim nastroju, traciła z nim wszelki kontakt. Mogła równie dobrze wcale nie istnieć. Zauważyła, że papieros drży w jego pełnych, czerwonych wargach. Nienawidziła w tej chwili jego ciemnych, gęstych włosów za to, że opadały mu w nieładzie na czoło.

— Mały kochaneczek — powiedziała Beata, koniuszkiem palca unosząc mu brodę i składając lekki pocałunek na jego policzku.

— Oddam ci ten pocałunek, Bibi — powiedział.

— O, co to, to nie! — zachichotała zeskakując z kanapy i uciekając w drugi koniec pokoju. — Czy on nie jest bezwstydnym, Miriam?

— Tak — powiedziała Miriam. — Ale nawiasem mówiąc, czy przypadkiem nie zapomniałaś o chlebie?

— O Boże! — krzyknął otwierając gwałtownie drzwiczki piecyka.

Buchnął z nich siny kłęb dymu i w kuchni rozszedł się zapach spalenizny.

— O rety! — zawołała Beata stając obok niego. Przykucnął przed otwartym piecykiem, a ona zaglądała mu przez ramię. — Oto, do czego doprowadza zapamiętanie miłosne, mój chłopcze!

Paweł ze strapioną miną wyjmował bochenki. Jeden był zwęglony od spodu, drugi twardy jak kamień.

— Biedna mama! — powiedział Paweł.

— Musisz to zeskrobać — doradzała Beata. — Przynieś mi tarkę.

Poprawiła chleb w piecu. Paweł przyniósł tarkę, a Beata zaczęła oskrobywać chleb nad rozłożoną na stole gazetą. Otworzył drzwi, żeby wywietrzyć woń spalenizny. Beata skrobała zawzięcie, zaciągając się papierosem i ścierając węgiel z nieszczęsnego bochenka.

— Już ja ci mówię, Miriam, tym razem wsiąkłaś na dobre!

— Ja?! — zawołała Miriam zdumiona.

— Niech cię lepiej tu nie będzie, kiedy jego matka wróci. Wiem, czemu król Alfred spalił ciasto. Teraz widziałam to na własne oczy! Nasz Apostoł wymyśliłby pewno jakąś historyjkę o swojej pracy, przez którą zapomniał

o świecie Bożym, gdyby choć trochę wierzył, że to się zda na cokolwiek. Żeby owa staruszka nadeszła trochę wcześniej, wytargałaby za uszy beczelną osobę, odpowiedzialną za to niebiańskie zapamiętanie, a nie biednego Alfreda!

Chichotała oskrobując chleb. Nawet Miriam zaśmiała się wbrew woli. Zgnębiony Paweł poprawiał ogień na piecyku.

Wtem usłyszeli trzaśnięcie furtki.

— Prędko! — zawołała Beata oddając Pawłowi oskrobany bochenek. — Zawiń to w mokrą ścierekę.

Pawełek zniknął w spizarce. Beata pośpiesznie wrzuciła do ognia gazetę ze zwęglonymi okruszynami i usiadła z niewinną miną. Do kuchni wpadła Ania. Była teraz smukłą, zupełnie ładną panną. Zmrużyła oczy w mocnym świetle lampy.

— Pachnie tu spalenizną! — zawołała.

— To papierosy — chłodno skonstatowała Beata.

— Gdzie Paweł?

Leonard wszedł za Anią. Miał zabawnie wydłużoną twarz i niebieskie, bardzo smutne oczy.

— Pewnie zostawił was same, żebyście to załatwiły między sobą — powiedział. Pozdrowił życzliwie Miriam i przybrał ton ironicznej uprzejmości w stosunku do Beaty.

— Nie — odparła Beata. — Wyszedł z numerem dziewiątym.

— Spotkałem po drodze numer piąty, który się o niego dopytywał — rzekł Leonard.

— Cóż... będziemy go chyba musiały podzielić, jak swego czasu Salomon niemowlę — zaproponowała Beata.

Ania roześmiała się.

— Och, okropność! — zawołał Leonard. — Na którą część reflektujesz?

— Sama nie wiem — odparła Beata. — Pozwolę chyba, żeby wszystkie inne wybrały pierwsze.

— I zgodzisz się na resztki, prawda? — zapytał Leonard krzywiąc się zabawnie.

Ania zajrzała do piecyka. Miriam siedziała zapomniana przez wszystkich. W

drzwiach ukazał się Paweł.

— Nie ma co, ślicznie ten chleb wygląda, mój drogi Pawełku — rzuciła Ania.  
— To trzeba było zostać w domu i samej go dopilnować — odburknął Paweł.  
— Chciałeś chyba powiedzieć, że trzeba było dotrzymać tego, co się obiecywało — odparła Ania.

— A właśnie... obiecywało się, obiecywało! — wołała Beata.  
— Wydaje mi się, że i tak miał pełne ręce roboty — powiedział Leonard.  
— Miałaś pewno okropną drogę, Miriam? — spytała Ania.  
— Tak... ale cały tydzień siedziałam w domu...  
— I miałaś ochotę na odrobinę jakiejś odmiany, prawda? — życzliwie wtrącił Leonard.

— Nie możesz przecież wiecznie siedzieć przykuta do domu — zgodziła się Ania. Była naprawdę miła i uprzejma. Beata włożyła płaszcz i wyszła razem z Anią i Leonardem. Miała się spotkać ze swoim chłopcem.

— Nie zapomnij tylko o chlebie, mój Pawełku! — zawołała Ania. — Dobranoc, Miriam. Mam nadzieję, że nie będzie padało.

Kiedy już wszyscy poszli, Pawełek chwycił zawiniątko z chlebem, odwinął je i przyglądał się nieszczęsnemu bochenkowi ze smutkiem.

— Ładnie wygląda! — westchnął.  
— Ach! — zniecierpliwiła się Miriam. — Cóż to jest w gruncie rzeczy za strata... najwyżej dwa i pół pensa.

— Tak, ale widzisz... matka tak się namęczyła robiąc go... i będzie się czuła dotknięta. Nic jednak nie pomoże, jak się będę martwił.

Odniosł z powrotem bochenek do spiżarki. Pomiedzy nim i Miriam wyczuwało się teraz pewne oddalenie. Stał przez kilka minut naprzeciw niej kołysząc się lekko i rozmyślając o swym zachowaniu wobec Beaty. Czuł się w głębi duszy winny, a zarazem był zadowolony. Z jakichś niewyjaśnionych powodów słusznie się to Miriam, jego zdaniem, należało. Nie miał zamiaru się kajać. Miriam zastanawiała się, o czym on może myśleć, gdy tak stoi pogrążony w zadumie. Bujne włosy spadały mu na czoło. Dlaczego nie może zdobyć się na to, żeby je odgarnąć i usunąć ślady grzebienia Beaty? Czemu nie może go objąć mocno obu ramionami? Jego ciało wydawało się spięte i każdą komórką pulsujące życiem. Pozwoliłby na to każdej innej dziewczynie, czemu więc tylko nie jej?

Nagle wrócił do życia. Niemal zadrżała z przerażenia, gdy szybkim ruchem odgarnął włosy z czoła i podszedł do niej.

— Pół do dziewiątej! — zawołał. — Bierzmy się lepiej prędko do roboty! Gdzie twój francuski?

Miriam nieśmiało i z pewnym rozgoryczeniem podała mu zeszyt. Pisała dla niego zawsze przez cały tydzień coś w rodzaju dziennika swych duchowych przeżyć, wyrażając je w miarę umiejętności w języku francuskim. Pawełek przekonał się, że był to jedyny sposób, aby ją zmusić do pisania wypracowań. Dziś jej dziennik był nieomal listem miłosnym. Będzie go teraz czytał. Czuła się tak, jak gdyby miał sprofanować za chwilę spowiedź jej duszy. Usiadł przy niej. Obserwowała jego rękę. ciepłą i stanowczą, skrupulatnie poprawiającą jej pracę. Czytał jedynie francuskie wyrazy nie zasta-

nawiając się nad wyzierającą z nich jej duszą. Stopniowo jednak jego ręka zaniechała pracy. Czytał w milczeniu, zastygły w bezruchu. Miriam drżała.

„*Ce matin les oiseaux m'ont éveillé —* czytał. — *Il faisait encore un crépuscule. Mais la petite fenêtre de ma chambre était blême, et puis jaune, et tous les oiseaux du bois éclatèrent dans une chanson vive résonnante. Toute l'aube tressaillit. J'avais rêvé de vous. Est-ce que vous voyez aussi l'aube? Les oiseaux m'éveillent presque tous les matins, et toujours il y a quelque chose de terreur dans le cri des grives. Il est si clair...*”

Miriam siedziała drżąca, nieomal zawstydzona. Paweł milczał starając się wszystko dobrze zrozumieć. Wiedział jedynie, że ona go kocha. Lękał się tej miłości. Była dla niego zbyt wzniosła i czuł, że nie potrafi jej sprostać. Wina leżała po jego, a nie po jej stronie. Zawstydzony, poprawiał zeszyt kreśląc nieśmiało litery ponad jej słowami.

— Spójrz — powiedział spokojnie — imiesłów czasu przeszłego odmieniany ze słowem *avoir* zgadza się z podmiotem, o ile ten go poprzedza.

Miriam pochyliła się do przodu usiłując odnaleźć właściwe miejsce w tekście i zrozumieć, o co mu chodzi. Jej gęste, miękkie loki polechtały go po twarzy. Wzdrygnął się, jak gdyby było to rozpalone do czerwoności żelazo. Patrzył na pochyloną nad zeszytem Miriam, na jej czerwone, żałośnie rozchylone wargi i na czarne loki wijące się wokół opalonych, smagłych policzków. Twarz jej miała żywą barwę granatu. Oddech chłopca stawał się urywany, w miarę jak na nią patrzył. Nagle spojrziała na niego. Jej ciemne oczy, w których zawierała się cała głębia miłości, patrzyły błagalnie. Jego oczy były też ciemne i przeszywały ją bólem. Zdawały się brać ją we władanie. Straciła całkowicie kontrolę nad sobą, obezwładniona lękiem. On zaś wiedział, że zanimby ją pocałował, musiałby wydrzeć coś z siebie z piersi. I znów wkradł mu się do serca cień nienawiści do niej.

Zabrał się nerwowo do roboty i kończył poprawiać jej zeszyt.

Nagle rzucił ołówek na stół i znalazłszy się jednym susem przy kuchni, począł obracać bochenki. Był zbyt szybki w ruchach dla Miriam. Drgnęła gwałtownie, jak gdyby rzeczywiście boleśnie ją zranił. Nawet jego sposób kucania przed piecykiem przyprawiał ją o cierpienie. Coś okrutnego zdawało się być w jego pozycji, a także w błyskawicznej szybkości, z jaką wyrzucał gorące bochenki z blachy, zręcznie chwytając je w powietrzu. Gdyby jego ruchy były łagodniejsze, czułaby się przepojona ciepłem i szczęściem. Ale tak czuła się tylko boleśnie zraniona.

Wrócił na miejsce i skończył poprawiać wypracowanie.

— Dobrze w tym tygodniu napisałaś — pochwalił ją.

Widziała, że czuje się pochlebiony jej dziennikiem. Nie było to dla niej jednak pełnym zadośćuczynieniem.

— Czasem twój talent prawdziwie rozkwita — mówił dalej. — Powinnaś pisać wiersze.

Uniosła z radością głowę, a potem potrząsnęła z niedowierzaniem.

— Nie wierzę w swoje możliwości — powiedziała.

— Powinnaś spróbować.

Znów potrząsnęła głową.

— Poczytamy jeszcze, czy jest już za późno? — zapytał.



— Jest późno... ale możemy jeszcze troszeczkę poczytać — poprosiła.

W istocie rzeczy gromadziła teraz strawę na cały następny tydzień. Kazał jej przepisać „Le balcon” Baudelaire’a. Potem przeczytał jej ten wiersz głośno. Gdy był głęboko wzruszony, miał zwyczaj w pewien szczególny sposób rozchyłać wargi, odsłaniając zęby z pełną goryczy pasją. Czynił to właśnie teraz. W Miriam wzbudzało to takie uczucie, jak gdyby po niej deptał. Nie śmiała spojrzeć na niego i siedziała ze spuszczoną głową. Nie mogła pojąć, czemu Paweł popada w takie podniecenie i pasję. Czowała się nieszczęśliwa. Nie lubiła Baudelaire’a w ogóle... ani Verlaine’a.

**Posłuchaj, jak śpiewa w polu  
i samotna twoja dziewczyna...**

Oto, czym karmiła się jej dusza. Tak samo „Jasnowłosą Inez.” Albo:

**Był piękny wieczór, spokojny i czysty  
Tchnący świętością i ciszą, niby młoda mniszka..**

To było, jak ona sama. A oto on deklamował zdławionym goryczą głosem

**Tu te rappelleras la beauté des caresses...**

Wiersz dobiegł końca. Paweł wyjął chleb z pieca i ułożył spalone bochenki na spodzie dzieży, a dobre na wierzchu. Zwęglony bochenek spoczywał starannie zawinięty w spizarcie.

— Lepiej, żeby matka nie dowiedziała się o tym do rana — powiedział. — Nie zde nerwuje jej to tak bardzo, jak wieczorem.

Miriam zajrzała do szafki bibliotecznej, upewniła się, jakie kartki i listy Pawełek ostatnio otrzymał, i przejrzała stojące w niej książki. Wzięła jedną, która go kiedyś specjalnie zainteresowała. Paweł zgasił gaz i wyszli z domu. Nie zamknął nawet drzwi na klucz.

Wrócił dopiero za kwadrans jedenasta. Matka siedziała w fotelu na biegunach. Ania, z warkoczem opadającym na plecy, przykucnęła na niskim stołeczku przed ogniem, wsparta łokciami o kolana i zamyślona ponuro. Na stole leżał odwinięty ze ścierki, nieszczęsny bochenek chleba. Paweł wszedł niemal bez tchu. Nikt się nie odezwał. Matka czytała miejscową gazetę. Zdjął kurtkę i skierował się w stronę kanapy. Matka usunęła się zimno, aby go przepuścić. Nikt nic nie mówił. Paweł czuł się bardzo przygnębiony. Przez parę minut siedział udając, że czyta gazetę, którą znalazł na stole. Nagle powiedział:

— Zupełnie zapomniałem o tym chlebie, mamó.

Żadna z kobiet nie odpowiedziała.

Tu te rappelleras la beauté des caresses... I o co wreszcie chodzi? — zawołał. — O głupie dwa i pół pensa! Mogę ci je zaraz zwrócić.

Był rozdrażniony i zły, położył więc trzy pensy na stole i posunął je w stronę matki. Odwróciła głowę w przeciwną stronę. Usta miała mocno zaciśnięte.

- No tak! — odezwała się Ania. — Nie wiesz nawet, jak źle mama się czuje. Dziewczyna siedziała wpatrzona posepnie w ogień.
- Czemu się źle czuje? — zapytał Paweł szorstko.
- Cóż! — odparła Ania. — Z trudem dowlokła się do domu. Spojrzał uważnie na matkę. Wyglądała na chorą.
- Czemu nie mogłaś dojść do domu? — pytał nadal ostrym tonem. Nie odpowiedziała.
- Zastałam ją tutaj bladą jak prześcieradło — powiedziała Ania głosem wezbranym łzami.
- Tak, ale dlaczego? — upierał się Paweł. Jego brwi były ściągnięte, a źrenice rozszerzyły się w gniewie.
- Każdy by się zdenerwował — odezwała się pani Morel. — Dźwigać tyle paczek... mięso, jarzyny i jeszcze te firanki...
- Po co więc dźwigałaś to sama? Wcale nie potrzebowałaś tego robić.
- Ciekawa jestem, kto by to zrobił?
- Trzeba było posłać Anię po mięso.
- Pewnie, żebym chętnie poszła, ale skąd mogłam wiedzieć. Ty sobie poszedłeś z Miriam, zamiast być w domu, jak matka wróci.
- Ale co ci było? — pytał Paweł matkę.
- Przypuszczam, że to serce — odparła. I rzeczywiście wargi miała wyraźnie sine.
- Czy zdarzyło ci się to już kiedyś przedtem?
- O tak... nawet dość często.
- Dlaczego mi nic nie mówiłaś? I czemu nie poszłaś do lekarza?
- Pani Morel poprawiła się w krześle, rozgniewana jego perorami.
- Ty nigdy nie widzisz niczego, co się wkoło ciebie dzieje — wtrąciła Ania. — Za bardzo ci śpieszno, żeby wylecieć z Miriam.
- Ach, tak... czy naprawdę bardziej niż tobie z Leonardem?
- Ja byłam w domu za kwadrans dziesiąta.
- Przez chwilę panowało milczenie.
- Wydawało mi się — powiedziała pani Morel z goryczą — że jej towarzystwo nie pochłonie cię tak całkowicie, żeby aż spalić pełen piec chleba.
- Oprócz niej była tu i Beata.
- Być może, ale my dobrze wiemy, czemu cały chleb jest do wyrzucenia.
- No czemu? — krzyknął.
- Bo straciłeś głowę przez Miriam — zapalczywie rzuciła pani Morel.
- Och, doskonale... tylko że właśnie wcale tak nie było! — odparł Paweł ze złością. Był podenerwowany i zgnębiony. Chwycił gazetę i zaczął ją czytać. Ania, w rozpiętej bluzce i z długimi włosami ciasno splecionymi w warkocz, poszła na górę spać, rzuciwszy mu tylko krótkie i suche dobranoc.
- Pawełek siedział udając, że czyta. Wiedział, że matka ma ochotę robić mu dalsze wymówki. On zaś chciał się dowiedzieć powodu jej zasłabnięcia, gdyż to go niepokoiło. Dlatego też, zamiast uciec do łóżka, na co miał wielką ochotę, siedział wyczekując. Ich milczenie było pełne napięcia. Zegar tykał głośno.
- Idź się lepiej położyć, zanim ojciec wróci — zimno odezwała się matka. — A je-

śli masz ochotę coś zjeść, weź sobie sam.

— Nie będę nic jadł.

Matka miała zwyczaj przynosić mu w piątek coś dobrego na kolację, gdyż był to dla górników wieczór szaleństwa i rozpusty. Był dziś jednak w złym humorze, nie chciało mu się pójść do spiżarni i poszukać. Matka poczuła się tym urażona.

— Wyobrażam sobie, co by była za awantura, gdybym to ja zechciała wysłać cię w piątek wieczorem do Selby — rzekła pani Morel. — Ale nigdy nie jesteś zbyt zmęczony, żeby iść na spacer, kiedy ona po ciebie przyjdzie. Nie chce ci się nawet potem jeść ani pić.

— Nie mogę przecież puszczać jej samej.

— Nie możesz? A dlaczego tu przychodzi?

— Z pewnością nie na moje zaproszenie.

— Nie przychodziłaby, gdybyś sobie tego nie życzył...

— A gdybym sobie nawet tego życzył, no to co?... — zawołał.

— Oczywiście, że nie, gdyby w tym była odrobina sensu czy rozsądku. Ale włóczyć się całe mile po błocie, wracać do domu o północy, a potem zrywać się rano, żeby zdążyć do Nottingham...

— Gdybym nie musiał wstawać, złośliłabyś się tak samo.

— Tak, złośliłabym się, bo nie ma w tym żadnego sensu. Czy ona jest naprawdę aż tak fascynująca, że musisz za nią latać taki kawał drogi? — Pani Morel była sarkastycznie cierpka. Siedziała spokojnie z odwróconą twarzą, miarowo gładząc drżącą ręką czarny satynowy fartuch. Ten ruch bolał patrzącego na nią Pawełka.

— Lubię ją! — powiedział. — Ale...

— Lubisz ją! — rzekła pani Morel tym samym zgryźliwym tonem. — Wydaje mi się, że nie lubisz niczego i nikogo poza nią. Nikt dla ciebie nie istnieje teraz: ani ja, ani Ania, ani nikt inny.

— Cóż ty za głupstwa opowiadasz, mamó... Wiesz, że jej nie kocham... Nie chodzi nawet ze mną pod rękę, bo sobie tego nie życzę.

— Czemu więc latasz do niej tak często?

— Lubię z nią rozmawiać... nigdy temu nie przeczyłem. Ale jej nie kocham.

— Czy nie masz już nikogo innego, z kim mógłbyś rozmawiać?

— Nie o takich rzeczach, o których z nią rozmawiamy. Jest cała masa spraw, które cię wcale nie interesują, o których...

— Jakież to sprawy?

W głosie pani Morel brzmiało takie napięcie, że Pawełek zaczął ciężko oddychać.

— No więc malarstwo i książki... Ty nie interesujesz się na przykład Herbertem Spencerem...

— Nie — padła smutna odpowiedź. — I ciebie też nie będzie on interesował, gdy będziesz w moim wieku.

— Tak, ale interesuje mnie teraz... i Miriam też...

— A skąd ty możesz wiedzieć — wybuchła pani Morel zaczepnie — że mnie by to nie interesowało? Czy próbowałaś kiedykolwiek o tym ze mną porozmawiać?

— Ale i tak cię to nie zainteresuje, mamó. Wiesz sama, że wcale cię nie obchodzi, czy jakiś rysunek jest, czy nie jest dekoracyjny. Nie interesuje cię, jakiego rodzaju

sztuka się pod tym kryje.

— Skąd wiesz, że mi to jest obojętne? Czy kiedykolwiek próbowałeś się o tym przekonać? Czy kiedykolwiek rozmawiałeś ze mną o tych sprawach, aby się upewnić?

— Bo to nie są sprawy, które miałyby dla ciebie istotne znaczenie. Sama o tym wiesz, mammo...

— A co... co w takim razie ma znaczenie dla mnie? — wybuchnęła.

Brwi jego ściągnęły się boleśnie.

— Ty jesteś stara, mammo. A my jesteśmy młodzi.

Chciał przez to tylko powiedzieć, że zainteresowania jej wieku nie są dla niego odpowiednie. Zaledwie jednak skończył, zdał sobie sprawę, że powiedział coś zgoła fałszywego.

— Tak, dobrze wiem, że jestem stara. I wobec tego powinnam trzymać się na uboczu. Nie mam już z tobą nic wspólnego. Mam ci tylko usługiwać... reszta jest dla Miriam.

Nie był w stanie tego znieść. Zdawał sobie instynktownie sprawę, że był całym jej życiem. A w gruncie rzeczy i ona była dla niego najważniejszą istotą — jedyną i cenniejszą ponad wszystko.

— Wiesz, że tak nie jest, mammo... Doskonale wiesz, że to nieprawda.

Jego szczery okrzyk wzbudził w niej litość.

— Tak to jednak w dużej mierze wygląda — powiedziała, prawie uspokojona w swej rozpacz.

— Nie, mammo... ja naprawdę jej nie kocham. Rozmawiam z nią, ale jednocześnie chcę wrócić do domu, do ciebie.

Zdjął już przedtem kołnierzyk i krawat. Wstał z obnażoną szyją, aby pójść się położyć. Kiedy pochylił się nad matką, żeby ją pocałować, zarzuciła mu nagle ręce na szyję, ukryła twarz na jego ramieniu i załkała tak żałośnie, głosem tak obcym, że Pawełek zadrżał, do głębi wstrząśnięty.

— Nie mogę tego znieść. Pogodziłabym się z jakąś inną kobietą... tylko nie z nią. Ona nie pozostawi ani odrobiny... ani skraweczka miejsca dla mnie.

W tej samej chwili Pawełek uczuł gorzką nienawiść do Miriam.

— Nigdy nie miałam... wiesz, synku, nigdy nie miałam męża... tak naprawdę...

Gładził włosy matki i jego usta dotykały jej szyi.

— A ona z taką pasją odciąga ciebie ode mnie... Nie jest taka jak inne zwykłe dziewczęta.

— Powiedziałem ci już, że jej nie kocham, mammo — szepnął schylając głowę i z rozpaczą kryjąc oczy na ramieniu matki. Poczł jej długi, gorący pocałunek.

— Synku! — szepnęła głosem wibrującym bezgraniczną, namiętą miłością.

Na pół świadomym ruchem delikatnie pogładził jej twarz.

— No, dość tego — opamiętała się matka. — Idź już teraz spać. Jutro będziesz taki zmęczony... — W tejże chwili usłyszała kroki męża. — Ojciec wraca. Idź już! — Nagle spojrzła na niego nieomal z lękiem. — A może ja jestem samolubna? Jeśli ją chcesz, weź ją, synku.

Wyglądała tak dziwnie zmieniona, że Pawełek pocałował ją, drżąc ze zdenerwowania.

— Ach, mammo! — powiedział miękko.

Morel wszedł poruszając się niepewnie. Kapelusz miał przekrzywiony na jedno oko. Zatoczył się w progu.

— Znów spiskujecie, co? — mruknął jadowicie.

Silne wzruszenie pani Morel przeobraziło się nagle w gwałtowną nienawiść do tego pijaka, który ośmielił się wtargnąć w jej najgłębsze przeżycia.

— W każdym razie jesteśmy trzeźwi — odparła.

— Hum... nm! Hm! — chrząkał groźnie. Poszedł do korytarza i powiesił tam swój kapelusz i kurtkę. Potem usłyszeli, że zszedł po trzech schodkach do spiżarni. Wrócił trzymając w garści kawałek pasztetu wieprzowego, który pani Morel kupiła dla syna.

— Nie dla ciebie to kupowałam, możesz być pewien. Jeżeli potrafisz dawać tylko dwadzieścia pięć szylingów tygodniowo, nie wyobrażaj sobie, że ci będę pasztety kupowała, żebyś się nimi jeszcze na dodatek opychał, jak już napompowałeś sobie piwem brzuch do pełna.

— Coo?... Jak? — ryknął Morel, z trudem utrzymując równowagę. — Co takiego? Nie dla mnie? — Spojrzał na trzymany w ręku kawał mięsa i nagle, w gwałtownym przypiływie złości, rzucił go w ogień.

Pawełek skoczył na równe nogi.

— Marnuj, ale swoje pieniądze! — krzyknął.

— Co... coś ty powiedział?! — wrzasnął niespodzianie Morel, zrywając się z miejsca, z pięścią zwiniętą w kułak. — Ja cię nauczę, ty dumny błaznie!

— Dobrze, naucz mnie — odparł Paweł rozwścieczony, przechylając głowę na bok. — Naucz mnie, proszę bardzo!

Odczuwał w tej chwili wręcz dzikie pragnienie, aby w coś grzmotnąć. Morel zgięty w półprzysiadzie, z wzniesionymi do góry pięściami, gotował się do skoku. Chłopiec stał uśmiechając się kącikami ust.

— Uu... szsza! — syczał przez zęby Morel wymierzając potężny cios tuż przed twarzą syna. Chociaż był tak bliski celu, nie śmiał naprawdę tknąć chłopca i w ostatniej chwili cofnął się o jeden cal.

— W porządku... — powiedział Pawełek, z wzrokiem utkwionym w to miejsce na ustach ojca, gdzie za chwilę miała ugodzić jego pięść. Niemal boleśnie pragnął tego ciosu. Nagle jednak usłyszał za swymi plecami słaby jęk. Matka stała śmiertelnie blada, a usta jej otaczała sina obwódka. Morel tańczył w miejscu gotując się do ponownego uderzenia.

— Ojczy! — powiedział Paweł takim tonem, że aż powietrze zadźwięczało echem.

Morel drgnął i stanął na baczność.

— Matka! — jęknął chłopiec. — Mammo!

Toczyła ciężką walkę sama z sobą. Jej szeroko rozwarte oczy patrzyły na syna, ale nie była w stanie się poruszyć. Stopniowo zaczęła wracać do siebie. Położył ją na kanapie i pobiegł na górę, po odrobinę wódki, którą w końcu z trudem przełknął. Łzy spływały po jego twarzy. Nie szlochał klęcząc przed matką, tylko łzy toczyły mu się po policzkach, jedna za drugą. Morel usiadł w przeciwnym kącie, wsparł łokcie na kolanach i patrzył na nich ponuro, z daleka.

— Co jej się stało? — zapytał.

— Zemdląła — odparł Pawełek.

— Hm!

Po chwili stary górnik począł rozsznurowywać buty. Ciężko powlókł się do łóżka. Jego ostatnia walka w tym domu została rozegrana.

Paweł klęczał obok kanapy głaszcząc ręce matki.

— Nie choruj, mamó... proszę cię, nie choruj... — powtarzał raz po raz.

— To nic, to zaraz przejdzie, synku — szepnęła.

Wstał w końcu, przyniósł dużą bryłę węgla i rozpałił na kominku wielki ogień. Po-tem posprzątał, doprowadził wszystko do porządku, nakrył stół do śniadania i przy- niósł matce świecę.

— Czy masz dość siły, żeby pójść do łóżka, mamó?

— Tak, zaraz idę.

— Śpij dziś z Anią, mamó. Nie z nim.

— Nie, synku. Będę spała w swoim własnym łóżku.

— Nie śpij z nim, mamó!

— Będę spała w swoim własnym łóżku.

Podniosła się, a on zgasił gaz i troskliwie odprowadził ją na górę, niosąc świecę. Na końcu schodów ucałował matkę czule.

— Dobranoc, mamó.

— Dobranoc! — odparła.

Wtulił twarz w poduszkę w napadzie gwałtownej rozpacz. A jednak gdzieś głębo-ko, na samym dnie duszy, czuł spokój, wciąż bowiem jeszcze najbardziej kochał swo- ją matkę. Był to gorzki spokój rezygnacji.

Wysiłki, jakie nazajutrz czynił ojciec, aby się z nim pojednać, wzbudziły w Pawle uczucie upokarzającego niesmaku.

Wszyscy starali się zapomnieć o tym, co zaszło.

## PORAŻKA MIRIAM

Pawełek był niezadowolony z samego siebie i w ogóle z wszystkiego dokoła. Jego najgłębsze uczucie należało do matki. Gdy czuł, że ją dotknął albo w jakiś sposób drażnił swoją miłość do niej, nie mógł tego znieść. Była wiosna i pomiędzy nim a Miriam toczyła się walka. W tym roku miał jej wiele do zarzucenia. Zdawała sobie z tego mgliście sprawę. Dawne przeczucie, że będzie musiała paść ofiarą miłości do niego, które nawiedziło ją kiedyś przy modlitwie, wracało teraz przy każdym silniejszym wzruszeniu. W głębi duszy nie wierzyła, by kiedykolwiek mogła go mieć dla siebie. Przede wszystkim zaś nie wierzyła w siebie samą, wątpiąc, aby mogła stać się dla niego tym, czego od niej oczekiwał. A już zupełnie nie wyobrażała sobie, by mogła z nim żyć w szczęściu długie lata. Widziała przed sobą tragedię, smutek i konieczność ofiary. Ale poświęcała się z dumą i z całym hartem przyjmowała wyrzeczenie, miała jednak wątpliwości, czy wytrzyma trudy codziennego życia. Była przygotowana na przeżycia wielkie i głębokie, takie jak tragedia. Nie dowierzała jednak sobie, by kiedykolwiek mogło ją zaspokoić proste życie codzienne.

Święta Wielkanocne zaczęły się pomyślnie. Pawełek był swobodny i szczery jak dawniej. Czują jednak, że sprawy przybiorą zły obrót. W niedzielę po południu stała w oknie swojej sypialni, patrząc poprzez podwórze na dębowy las. Między konarami drzew gęstniała szara mgiełka pod jasną kopułą popołudniowego, pogodnego nieba. Szarozielone rozetki listków powoju zwieszały się przed oknem i Miriam wydało się, że niektóre z nich puszczają już pączki. Przyszła wiosna, którą kochała i której lękała się zarazem.

Usłyszawszy stuknięcie furtki znieruchomiała w oczekiwaniu. Dzień był trochę mglisty, lecz pogodny. Pawełek wszedł na podwórze prowadząc rower, który połykiwał u jego boku. Zazwyczaj dzwonił głośno i śmiał się patrząc w stronę domu. Dziś szedł z zaciętymi ustami, zimnym, okrutnym krokiem, w którym przejawiało się jakieś szyderstwo pomieszane z niedbałą determinacją. Znała go już tak dobrze, że patrząc z daleka na jego sprężystą, młodzieńczą sylwetkę od razu mogła powiedzieć, co się w nim dzieje. Odstawił rower na zwykłe miejsce z zimną precyzją, która przyprawiła ją o skurcz serca.

Zdenerwowana zeszła na dół. Ubrała się dziś w nową tiulową bluzkę sądząc, że w niej ładnie wygląda. Bluzka miała wysoki kołnierzyk, wykończony wąską kryzką, która przypominała jej Marię, królową Szkotów. Uważała, że wygląda w tym stroju niezwykle kobieco i dystyngowanie. Mając dwadzieścia lat była dobrze rozwinięta fizycznie i miała już pięknie ukształtowaną figurę. Jej twarz zachowała swą charakterystyczną nieruchomość, która czyniła ją podobną do subtelnej w kolorycie maski. Ale oczy, kiedy je uniosła, były cudowne. Bała się Pawła. Na pewno zauważy jej nową bluzkę.

On zaś, będąc w chłodnym, ironicznym nastroju, zabawiał zgromadzoną przy stole rodzinę opowiadaniem o nabożeństwie, jakie odbyło się w kaplicy metodystów i było

celebrowane przez jednego ze znanych kaznodziejów tej sekty. Siedział na początku stołu i jego ruchliwa twarz, o oczach, które potrafiły być niezwykle piękne, gdy lśniły czułością lub gdy tańczyły w nich iskierki śmiechu, przybierała teraz coraz to inny wyraz, w miarę jak naśladował najrozmaitszych ludzi, przedrzeźniając ich bezlitośnie. Jego talent naśladowania innych zawsze ją bolał. Zbyt bliski był wtedy prawdy, nazbyt zręczny i okrutny. Miriam wiedziała, że gdy oczy jego mają taki wyraz jak dziś, aż brzemienisty szyderczą nienawiścią, nie będzie nikogo oszczędzał — nawet samego siebie. Ale pani Leivers ocierała oczy ze śmiechu, a pan Leivers, który tylko co wstał po niedzielnej drzemce, pocierał z zadowolenia głowę. Trzej bracia siedzieli bez marnarek, rozczochrani i z sennymi minami, wybuchając od czasu do czasu śmiechem. Cała rodzina nade wszystko lubiła takie „występy”.

Paweł nie spojrział na Miriam. Trochę później dostrzegła, że zauważył jej nową bluzkę i że zyskała jego uznanie jako artysty, nie budząc w nim jednak nawet błysku cieplejszego zainteresowania. Miriam była nadal zdenerwowana i ledwie mogła sięgnąć po stojące na półkach filiżanki.

Kiedy mężczyźni wyszli do udoju, ośmieliła się zwrócić wprost do Pawełka.

— Spóźniłeś się — powiedziała.

— Doprawdy? — odparł.

Zapanowało krótkie milczenie.

— Czy bardzo ciężką miałeś drogę? — zapytała.

— Nie. Nie zwracałem na to uwagi.

Nakrywała szybko do stołu, a kiedy skończyła, zaproponowała:

— Podwieczorek będzie dopiero za parę minut. Czy pójdziesz ze mną zobaczyć narocyzy?

Podniósł się bez słowa. Poszli do małego ogródka za domem, gdzie rosły okryte pączkami śliwy. Wzgórza i niebo były chłodne i czyste. Wszystko zdawało się świeżo wymyte i zimne. Miriam spojrzała na Pawła. Był blady i obojętny. Wydało jej się okrutne, że jego oczy i brwi, które kochała, mogą swoim wyrazem tak boleśnie ranić.

— Czy zmęczył cię wiatr? — zapytała. Wyczuwała w nim jakieś ukrywane znużenie.

— Nie. Nie jestem chyba zmęczony — odparł.

— Musi dziś bardzo silnie wiać na drodze... drzewa w lesie tak szumią.

— Łatwo jest zorientować się po chmurach, że wiatr wieje z południa.

Mógł mi więc tylko pomagać, kiedy tu jechałem.

— Nie jeżdżę na rowerze, więc się na tym nie znam — szepnęła.

— Nie trzeba jeździć na rowerze, żeby to wiedzieć — odparł.

Pomyślała, że jego ironia była zbyt skuteczna. Szli dalej w milczeniu. Wkoło rosnącego nierównymi kępami trawnika za domem ciągnął się kolczasty żywopłot, spod którego wychylały się osłonięte szarozielonymi, szablastymi liśćmi pierwsze żonkile. Płatki kwiatów były zielonkawe od chłodu. Pomimo to kilka z nich rozwinęło się w pełni i ich wiotkie kryzy jarzyły się z daleka, nastroszone i złote. Miriam uklękła przed jedną z kępek, ujęła w dłonie rozkwitły żonkil, obróciła jego złocistą twarz ku swojej i pochyłona tuliła go do swoich warg, brwi i policzków. Paweł stał z boku patrząc na nią, z rękami w kieszeniach. Odwracała ku niemu, jak gdyby błagalnie, twa-



rze żółtych, świeżo rozpekłych kwiatów, przez cały czas pieszcząc je żarliwie.

— Czyż nie są cudowne? — szepnęła.

— Cudowne? Powiedziałbym, że to trochę za wiele... są po prostu ładne.

Pochyliła się znów nad kwiatami boleśnie ugodzona tą krytyką wygłoszonej przez nią pochwały. Patrzył na nią, schyloną nisko i obsypującą kwiaty gorącymi pocałunkami.

— Czemu musisz zawsze wszystko pieścić i głaskać? — zapytał poirytowany.

— Lubię ich dotykać — odparła, niemile dotknięta jego uwagą.

— Czy ty doprawdy nie możesz zachować się spokojnie, jak coś lubisz... a nie zaraz rzucić się, ścisnąć i dusić... Czy nie możesz czegoś lubić bez ściskania i duszenia, jakbyś chciała wyrwać z wszystkiego duszę? Czy nie możesz się zdobyć na trochę powściągliwości czy opanowania... ach! sam nie wiem już czego!

Spojrzała na niego, zraniona do żywego, a potem znów zaczęła wolno gładzić ustami nastrzępiony kwiat. Zapach żonkili, który wdychała, był o wiele przyjaźniejszy niż on. Chciało jej się nieomal płakać.

— Zawsze chciałabyś wyłudzić z wszystkiego całą duszę — odezwał się znów. — Ja nigdy bym niczego nie wyłudzał... a w każdym razie szedłbym prostą drogą do celu.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, co mówił. Słowa wymykały mu się z ust zupełnie machinalnie. Miriam spojrzała na niego. Nawet jego ciało zdawało się być napięte przeciwko niej, zdecydowanie i nieugięte jak cięciwa.

— Ty się zawsze korzysz i błagasz o miłość — ciągnął dalej — jak gdybyś była żebraczką... Nawet do kwiatów musisz się koniecznie łąsić...

Miriam rytmicznie kołysała żonkilem i gładziła go ustami, wdychając zapach, który odtąd zawsze napawał ją (dreszczem, ilekroć wpadł jej w nozdrza.

— Ty sama nie chcesz kochać... Twoim wiecznym i anormalnym pragnieniem jest być kochaną. Nie jesteś czynna, jesteś stroną absolutnie bierną. Chłoniesz i chłoniesz w siebie, jak gdybyś musiała napęlić się miłością, bo sama jesteś w pewien sposób upośledzona...

Była ogłuszona jego okrucieństwem i nie słyszała poszczególnych słów. On zaś nie miał pojęcia, co mówi. Było to tak, jak gdyby jego udręczona, niespokojna dusza, płonąca nie zaspokojoną namiętnością, wyrzucała z siebie słowa, niby snop elektrycznych iskieł. Miriam nie pojmowała tego, co mówił. Siedziała kuląc się pod ciosami jego okrucieństwa i nienawiści. Nigdy niczego nie pojmowała od razu. Miała zwyczaj rozmyślać nad wszystkim bez końca.

Po podwieczorku Pawełek przebywał z Edgarem i resztą braci nie zwracając na Miriam uwagi. Ona zaś, bezgranicznie nieszczęśliwa w owo tak gorąco upragnione popołudnie, czekała, aż do niej wróci. W końcu ustąpił i podszedł do niej. Była zdecydowana szukać istotnej przyczyny jego złego humoru, póki nie odnajdzie prawdziwego jej źródła. Nie przypisywała jego zachowaniu głębszego znaczenia, kładąc je wyłącznie na karb złego humoru.

— Czy przejdziemy się kawałek lasem? — zapytała wiedząc, że nie potrafi odmówić bezpośredniej prośbie.

Poszli dołem, przez królikarnię. Na wiodącej środkiem ścieżce natknęli się na pu-

łapkę w kształcie niedużej podkowy z świerkowych gałązek, z podrzuconymi na przyłętnę wnętrzościami królika. Paweł spojrział na to marszcząc brwi. Miriam podchwyciła jego spojrzenie.

— Prawda, jakie to straszne? — powiedziała.

— Ach, sam nie wiem! Czy to naprawdę jest gorsze od łasicy wpijającej zęby w gardło królika? Jedna łasica lub wiele królików... Albo jedno, albo drugie musi zginąć.

Nie umiał ustosunkować się właściwie do gorzkiej prawdy życia. Miriam zrobiło się przykro.

— Wracajmy do domu — powiedział. — Nie chcę iść daleko.

Minęli krzak bzu z nie rozwiniętymi jeszcze brązowymi pączkami liści. Ze stogu siana pozostała tylko niewielka resztkę, brunatny prostokątny obelisk, podobny do kamiennego monumentu. Pod nim leżała niewielka kupa siana — pozostałość z ostatniego pokosu.

— Siądźmy tu na chwilę — zaproponowała Miriam.

Usiadł niechętnie i wbrew własnej woli, opierając się plecami o zbitą ścianę stogu. Przed nimi ciągnął się pierścień wzgórz oświetlonych zachodem słońca. Na ich zboczach widniały białe domki, złociste łąki i ciemne, a zarazem rozświetlone lasy, z wierzchołkami drzew układających się rzędami, jedno nad drugimi, co szczególnie dobrze uwidoczniło się z większej odległości. Niebo pod wieczór rozpogodziło się i zachód jaśniał ognistą purpurą, w której blasku spoczywała ziemia cicha i urodzajna.

— Prawda, jak cudnie? — zauważyła Miriam.

Ale on siedział nachmurzony. W obecnym nastroju wolałby raczej, by świat był brzydki i ponury.

W tejże chwili wyskoczył na nich rozpedzony bulterier. Rzucił się z otwartym pyskiem na Pawełka i oparłszy mu łapy na ramionach, począł go gwałtownie lizać po twarzy. Pawełek śmiejąc się odsunął się w tył. Zjawienie się Billa sprawiło mu prawdziwą ulgę. Odepchnął psa na bok, ale ten natychmiast powrócił w podskokach.

— Wynoś się stąd — zawołał chłopiec — bo oberwiesz!

Ale pies nie dawał się odpędzić. Pawełek musiał więc stoczyć z nim utarczkę odganiając od siebie biednego Billa, który uparcie i hałaśliwie rzucał się z powrotem, oszalały z radości. Walczyli z sobą — przy czym człowiek śmiał się niechętnie, a zwierzę cały czas radośnie szczyrzyło zęby. Miriam obserwowała ich zapasy. W zachowaniu człowieka było coś wzruszającego. Tak bardzo pragnął kochać i być czułym. Szorstki sposób, w jaki obalił psa na ziemię, był w gruncie rzeczy pełen miłości. Bill powstał dysząc ze szczęścia i tocząc brązowymi ślepiami, wyraźnie odcinającymi się od białej sierści na pysku, po czym znów skoczył naprzód. Uwielbiał Pawła. Chłopiec zmarszczył brwi.

Tu te rappelleras la beauté des caresses... Bill, mam cię dość — powiedział.

Ale pies stanął tylko, wsparłszy się dwiema ciężkimi, drżącymi z miłości łapami na udzie Pawła, i usiłował polizać go przyjacielsko czerwonym jęzorem po twarzy. Paweł cofnął się.

— Nie — powiedział. — Nie... Mam już dosyć!

Po chwili pies zawrócił i odbiegł uszczęśliwiony, szukając nowej zabawy.

Paweł pozostał na miejscu, posępnie wpatrując się w dalekie góry, które irytowały

go swym pięknem i spokojem. Pragnął pojeździć na rowerze z Edgarem. Nie miał jednak odwagi zostawić Miriam samej.

— Czemu jesteś smutny? — zapytała nieśmiało.

— Wcale nie jestem smutny. Czemu miałbym się smucić? — odparł. — Jestem taki, jak zwykle.

Zastanowiło ją, dlaczego Paweł upiera się zawsze, że jest taki, jak zwykle, właśnie wtedy, gdy jest szczególnie niemiły.

— Powiedz mi, co ci się stało? — prosiła próbując rozbroić go czułością.

' — Nic.

— Nieprawda... — szepnęła.

Podniósł leżący obok patyk i zaczął ryć nim w ziemi.

— Lepiej byś zrobiła nic nie mówiąc — powiedział.

— Ale ja chcę wiedzieć — nalegała Miriam.

Roześmiał się gorzko.

— Zawsze do tego dążysz — powiedział.

— To nie jest lojalne wobec mnie — szepnęła.

Kłuł coraz uparciej ziemię ostro zakończonym patykiem, wyrzucając w górę niewielkie grudki, jak gdyby trawił go paroksyzm złości. Łagodnie, ale stanowczo położyła mu rękę na dłoni.

— Przestań — poprosiła. — Daj spokój.

Odrzucił patyk w krzaki porzeczek i oparł się plecami o stóg. Wszystko się w nim teraz gotowało.

— Co ci jest? — nalegała łagodnie.

Leżał nieruchomo, jedynie jego oczy żyły i były pełne udręczenia.

— Wiesz — powiedział w końcu znużonym głosem — wiesz... skończmy lepiej to wszystko...

Przyszło więc to, czego się wciąż obawiała. Cały świat nagle pociemniał jej w oczach.

— Dlaczego? — szepnęła. — Co się stało?

— Nic się nie stało. Musimy po prostu zdać sobie wreszcie sprawę, jak to właściwie jest. To wszystko nie ma sensu...

Czekała w milczeniu, smutno i cierpliwie. Niecierpliwość do niczego by z nim nie doprowadziła. W każdym razie powie jej teraz, co go dręczy.

— Zgodziliśmy się, że to będzie przyjaźń — ciągnął bezbarwnym, monotonnym głosem. — Ile razy zgodziliśmy się, że będzie to tylko przyjaźń! A tymczasem... ani się to na tym nie kończy, ani nie prowadzi do niczego innego.

Umilkł znowu. Miriam rozmyślała nad jego słowami. O co mu chodzi? Był taki męczący. Ukrywał coś, od czego najwidoczniej nie chciał odstąpić. Musi być jednak nadal bardzo cierpliwa.

Tu te rappelleras la beauté des caresses... Mogę cię darzyć jedynie przyjaźnią... nie stać mnie na nic innego... to po prostu jakiś błąd w mojej naturze. Ten fakt zdecydowanie przeważa szalę na jedną stronę... a ja nie znoszę chwiejnej równowagi. Skończmy z tym raz.

W jego ostatniej wypowiedzi wrzała tłumiona pasja. Miał na myśli, że Miriam ko-

chała go bardziej niż on ją. Może nie był w ogóle zdolny jej pokochać. Być może nie było w niej tego, czego szukał. Ów brak wiary w samą siebie był przewodnią ideą jej duszy, sięgającą tak głęboko, że nawet sama przed sobą nie śmiała się do tego przyznać ani też w pełni zdać sobie z tego sprawy. Być może była w jakiś sposób upośledzona. Powstrzymywało ją to zawsze, niby uczucie niesłuchanie drażliwego wstydu. Jeśli okaże się to prawdą, będzie musiała wyrzec się Pawła. Nie pozwoli sobie nigdy pragnąć go egoistycznie. Musi się jednak najpierw w pełni o tym przekonać.

— Ale co się stało? — jeszcze raz powtórzyła.

— Nic. Wszystko to tkwi we mnie... a teraz wydostało się tylko na zewnątrz. Zawsze stajemy się tacy około Wielkanocy...

Wił się tak bezradnie, że zdjęła ją litość nad nim. Ostatecznie ona nigdy nie szamotała się w tak politowania godny sposób. Biorąc w końcu ich oboje pod uwagę — to głównie on był upokorzony.

— Czego więc pragniesz? — zapytała.

— No więc... nie mogę tak często tu przychodzić... i to właściwie wszystko. Z jakiego powodu miałbym cię monopolizować, kiedy nie jestem... Widzisz, jestem w stosunku do ciebie w jakiś sposób upośledzony...

Chciał powiedzieć, że jej nie kocha i powinien zostawić jej pełne szanse w stosunku do innych mężczyzn. Jakże był ślepy, szalony i rozpaczliwie niezręczny! Cóż dla niej znaczyli inni mężczyźni? Co dla niej w ogóle znaczyli mężczyźni? Ale on? Och, tak! Kochała bowiem jego duszę. Czy rzeczywiście był w czymś upośledzony? Być może tak.

— Nie mogę zrozumieć — szepnęła ochryple. — Wczoraj...

W miarę jak gęstniał mrok, zapadała rozbrzmiewająca echem dźwięków nienawistna mu noc. Miriam ugięła się pod ciężarem swego cierpienia.

— Wiem — krzyknął — że nigdy nie zrozumiesz... Nigdy nie uwierzysz, że nie mogę, że po prostu nie jestem w stanie fizycznie, tak samo jak nie potrafię wzlecieć w górę niczym skowronek...

— Czego nie możesz? — szepnęła. Bała się teraz.

— Kochać ciebie.

Nienawidził jej w tej chwili z całą zaciętością, gdyż cierpiała przez niego. Kochać ją! Była pewna, że ją kocha. Cała ta teoria o braku fizycznej czy też cielesnej miłości była zwykłym wykretem z jego strony, którym się zasłaniał, bo wiedział, że ona go kocha. Był niemądry jak dziecko. Należał do niej. Jego dusza szukała jej. Domyślała się, że ktoś wpłynął na niego. Wyczuwała w nim zawziętość oraz jakąś obcość wylęglą pod cudzym wpływem.

— Co mówili u ciebie w domu? — zapytała.

— To nie o to chodzi — odparł niechętnie.

Teraz już była pewna, że właśnie o to chodziło. Gardziła jego bliskimi z powodu ich pospolitości. Ci ludzie nie uświadamiali sobie istotnej wartości życia.

Niewiele więcej powiedzieli sobie tego wieczoru. Paweł opuścił ją w końcu, aby pojeździć na rowerze z Edgarem.

Wrócił teraz do matki. Łączyły go z nią najsilniejsze więzy. Kiedy wszystko rozważał, Miriam ustępowała na drugi plan. Na myśl o niej ogarniała go niepewność i po-

czucie dziwnej nierealności. Nikt poza tym w ogóle się nie liczył. Był na świecie tylko jeden punkt, który niezawodnie tkwił w miejscu i nie rozplątywał się w nicość. W punkcie tym znajdowała się jego matka. Wszyscy inni mogli rozpełznąć się w mroku i nieomal przestać dla niego egzystować — ale nie ona. Było to tak, jak gdyby główną osią, wokół której obracało się jego życie i od której nie mógł uciec, była matka.

W ten sam sposób ona wyczekiwała na niego. Na nim koncentrowało się teraz jej życie. W rezultacie życie niewiele dotychczas ofiarowało pani Morel. Nauczyła się, że w nas samych leży twórcza moc czynu, a właśnie czyny znaczą dla niej najwięcej. Paweł wykaże, że miała rację. Stanie się człowiekiem, którego nic nie zdoła zachwiać i który w istotny sposób wpłynie na zmianę oblicza świata. Czuła, że jej dusza wszędzie mu towarzyszy. Czuła też, że cokolwiek czynił, jej dusza stała przy nim, w każdej chwili gotowa podać mu potrzebne narzędzie. Nie mogła ścierpieć, gdy przebywał z Miriam. Wil- liiiiiin me żył. Będzie walczyła, aby zachować Pawła.

Powrócił do niej teraz. W głębi duszy to samopoświęcenie napawało go uczuciem zadowolenia, gdyż okazał się wierny matce. Ona kochała go przed wszystkim i dla niego też była pierwszą. A jednak nie było to wystarczające. Jego wszechmocna i władcza młodość pchała go ku czemuś nowemu. Wprowadzało go to w stan niemal szaleńczego wewnętrznego niepokoju. Matka widziała to i gorzko żałowała, że Miriam nie jest kobietą zdolną przejąć te świeżo wybijające pędy życia, pozostawiając jej korzenie. Paweł walczył z matką niemal tak samo, jak z Miriam.

Minął tydzień, zanim wybrał się znów do Willey Farm. Miriam wiele przecierpiała i obawiała się ponownego widzenia z nim. Czyż miała znowu przeżywać gorzkie upokorzenie, że ją rzucił? Ale będzie to tylko pozorne i krótkotrwałe. On do niej wróci. Klucze do jego duszy spoczywały w jej dłoni. Tymczasem jednak jakże straszliwie będzie ją dręczył walką, którą z nią toczył. Myślała o tym z przerażeniem.

Przyszedł jednakże na podwieczorek w pierwszą niedzielę po Wielkanocy. Pani Leivers ucieszyła się widząc go. Domyślała się, że go coś gnębi i że jest mu ciężko na duszy. Zdawał się szukać u niej pociechy. Była więc dobra dla niego. Wyświadczyła mu wielką przysługę, traktując go nieomal z szacunkiem.

Zastał ją z młodszymi dziećmi w ogrodzie, przed domem.

— Bardzo się cieszę, że przyszedłeś — powiedziała pani Leivers patrząc na niego swymi dużymi, dobrymi, brązowymi oczami. — Słońce dziś tak pięknie świeci. Wybierałam się właśnie na spacer w pole, pierwszy raz w tym roku.

Czuł, że pani Leivers ma ochotę, aby jej towarzyszył. Było to dla niego pewnym ukojeniem. Poszli razem prowadząc zwykłą, codzienną rozmowę. Skłonny był nieomal płakać z wdzięczności za to, że odnosiła się do niego z szacunkiem. Czuł się do- tąd bezustannie upokorzony.

Na końcu Mow Close natrafili na gniazdo drozda.

— Czy chciałaby pani zobaczyć jajeczka? — zapytał Paweł.

— Ach, tak! — ucieszyła się pani Leivers. — Są dla mnie zwiastunami wiosny i budzą we mnie nadzieję.

Paweł rozczołgał ciernie i wydobył jajeczka układając je w zagłębieniu dłoni.

— Są jeszcze zupełnie ciepłe... musieliśmy spłoszyć ją z gniazda.

— Biedaczka! — szepnęła pani Leivers.

Miriam nie mogła się powstrzymać, by nie dotknąć jajeczek i jego dłoni, która ujmowała je tak zręcznie i z tak wzruszającą pieczołowitością.

— Czyż to nie zadziwiające ciepło? — szepnęła pragnąc się do niego zbliżyć.

— Ciepło matki — odparł.

Przyglądała mu się, gdy je odkładał przyciśnięty bokiem do żywopłotu, z wolna przesuwając między cierniami ramię i dłoń, opiekuńczo stuloną wokół jajeczek. Był cały pochłonięty tą czynnością. Kochała go, gdy był taki. Zdawał się ogromnie prosty i całkowicie sam sobie wystarczający. A ona nie mogła przedostać się do niego.

Po podwieczorku przystanąła niepewnie przed półką z książkami. Wziął „Tartarin de Tarascon”. Znowu usiedli na progu z siana pod stogiem. Przeczytał kilka stron, bez najmniejszego jednak zapału. Znów pędem nadbiegł pies, aby powtórzyć tę samą, co w tamtym dniu, zabawę. Łasił się, gwałtownie ocierając pysk o pierś Pawła, który przez chwilę gładził jego uszy, a potem stanowczo odepchnął od siebie.

— Idź sobie, Bill — powiedział. — Mam cię dość.

Bill odbiegł, a Miriam zastanawiała się z lękiem, co teraz nastąpi. Paweł milczał w sposób, który utrzymywał ją w trwożnym, niemy napięciu. Nie jego ataków złości, ale spokojnej decyzji obawiała się najbardziej.

Odwrócił lekko głowę, tak aby nie mogła widzieć jego twarzy, i począł wolno mówić zgnębionym głosem:

— Czy myślisz, że gdybym nie przychodził tu tak często... mogłabyś polubić kogoś innego... jakiegoś innego mężczyznę?

A więc wciąż jeszcze nad tym przemyślał.

— Przecież ja nie znam żadnych mężczyzn. Czemu mnie o to pytasz? — odpowiedziała ściszonego głosem, w którym brzmiał jak gdyby wyrzut.

— Dlatego, że ludzie mówią — wybuchnął — że nie powinienem tu przychodzić... jeżeli nie mamy zamiaru się pobrać...

Miriam była oburzona, że ktoś uzurpuje sobie prawo rozstrzygania ich czysto osobistych spraw. Miała za złe własnemu ojcu, gdy żartem dawał do zrozumienia Pawłowi, że wie, czemu tak często ich odwiedza.

— Kto tak mówi? — spytała zastanawiając się, czy nie wchodził tu w grę ktoś z jej rodziny. Z pewnością jednak tak nie było.

— Matka... i inni także. Mówią, że wobec tego każdy będzie mnie uważał za zaręczonego i że ja sam tak to powinienem traktować, bo inaczej nie byłbym wobec ciebie w porządku. Staralem się więc odpowiedzieć sobie na to... i nie wydaje mi się, że bym cię tak kochał, jak mężczyzna powinien kochać swoją żonę. Co ty o tym sądzisz?

Miriam schyliła zachmurzoną twarz. Irytowała ją cała ta walka. Ludzie powinni zostawić ich własnemu losowi.

— Nie wiem — szepnęła.

— Czy uważasz, że kochamy się wystarczająco, aby się pobrać? — zapytał wprost. Miriam zdrząła.

— Nie — odparła szczerze. — Nie wydaje mi się. Jesteśmy jeszcze za młodzi.

— Myślałem — rozpaczliwie brnął dalej — że ty, z twoją intensywnością przeżywania wszystkiego, będziesz mi może dawała więcej... niż ja byłbym zdolny dać tobie. Ale nawet zaraz... jeżeli uważasz, że tak będzie lepiej... możemy się zaraz zaręczyć.

Miriam była bliska łez, ale też i zła na niego. Był dziecinnie bezbronny wobec ludzi, którzy w końcu zawsze robili z nim, co chcieli.

— Nie, bynajmniej tak nie uważam — powiedziała zdecydowanie.

Zastanawiał się chwilę.

— Widzisz — powiedział — jeśli o mnie chodzi... wydaje mi się niemożliwe, by ktoś jeden mógł zawładnąć mną całkowicie... być wszystkim dla mnie. Sądzę, że nigdy nie byłoby to możliwe.

Nigdy dotychczas nie zastanawiała się nad tym z tego punktu widzenia.

— Tak — szepnęła. Nagle, po krótkiej chwili milczenia, spojrzała na niego i jej ciemne oczy rozbłysły.

— To zasługa twojej matki — powiedziała. — Dobrze wiem, że mnie nigdy nie lubiła.

— Ach, nie... to nie to... — zaprzeczył pośpiesznie. — Tym razem miała właśnie twoje dobro na względzie. Powiedziała tylko, że jeśli nadal będzie to tak trwało, powinienem uważać się za twego narzeczonego. — Nastąpiła chwila milczenia. — Ale jeśli kiedyś poproszę, żebyś do nas przyszła, nie będziesz się wymawiała, prawda?

Nic nie odpowiedziała. Była w tej chwili bardzo rozgniewana.

— Cóż więc mamy zrobić? — zapytała krótko. — Przypuszczam, że będzie lepiej, jak przerwiemy lekcje francuskiego. Zaczynałam właśnie jako tako sobie z tym radzić. Ale myślę, że potrafię uczyć się dalej sama.

— Nie uważam, żeby to było konieczne — odparł. — Doskonale mogę uczyć cię dalej francuskiego.

— No i... chodziłoby jeszcze o niedzielne popołudnia. Nie przestanę chodzić do kaplicy, bo bardzo to lubię, a poza tym jest to jedyne miejsce, gdzie widuję trochę ludzi. Ale nie potrzebujesz mnie odprowadzać do domu. Mogę chodzić sama.

— Dobrze — odparł, raczej zaskoczony tym, co usłyszał. — Ale jeśli poproszę Edgara, będzie zawsze wracał z nami, a wtedy nikt już nie będzie mógł nam nic zarzucić.

Znów zapadło milczenie. Miriam myślała, że w gruncie rzeczy prawie nic w rezultacie nie straci. Pomimo całej tej gadaniny w jego domu, wszystko pozostanie nieomal bez zmiany. Gorąco pragnęła, aby jego rodzina zaczęła wreszcie zajmować się własnymi sprawami.

— Ale nie będziesz ciągle nad tym rozmyślała i martwiła się z tego powodu, prawda? — zapytał.

— Ach, naturalnie, że nie będę — odparła Miriam nie patrząc na niego.

Paweł zamilkł. Miriam pomyślała, że jest bardzo zmienny. Nie miał ugruntowanych przekonań ani mocnej kotwicy, która by go przy nich utrzymywała.

— Bo widzisz — ciągnął dalej po chwili — mężczyzna ma swój rower... chodzi do pracy... i robi całą masę innych rzeczy. A kobieta siedzi w domu i rozmyśla.

— Nie, nie będę się martwiła — obiecała Miriam. I naprawdę tak myślała.

Zrobiło się chłodno, wrócili więc do domu.

— Ach, jaki Paweł jest blady! — wykrzyknęła pani Leivers. — Niepotrzebnie pozwoliłaś mu siedzieć tyle czasu na dworze, Miriam. Czy się aby nie przeziębiłeś, Pawełku.

— Ależ nie! — zaśmiał się.

Był jednak u kresu sił. Męczył go konflikt rozgrywający się w jego duszy. Miriam było go teraz żal. Bardzo wcześnie, bo już przed dziewiątą, wstał, by się pożegnać.

— Chyba jeszcze nie idziesz do domu? — spytała pani Leivers, zaniepokojona.

— Pójdę już — odparł. — Obiecałem wcześniej wrócić. — Był zakłopotany.

— Przecież jest naprawdę bardzo wcześnie — zauważyła pani Leivers.

Miriam siedziała w fotelu na biegunach nie odzywając się ani słowem.

Zawahał się oczekując, że wstanie i jak zwykle odprowadzi go do stodoły, gdzie stał jego rower. Nie ruszyła się jednak z miejsca. Poczul się tym zaskoczony.

— No to... dobranoc wszystkim! — wykrztusił.

Powiedziała mu dobranoc razem z innymi. Ale kiedy przechodził pod oknem, zajrzał do pokoju. Zobaczyła, że jest bardzo blady, że jego brwi są ściągnięte w charakterystyczny sposób, a oczy ma pociemniałe z bólu.

Wstała i podeszła do drzwi, aby skinąć mu ręką na pożegnanie, gdy przejeżdżał przez furtkę. Jechał powoli w cieniu sosen, czując się podłym i nieszczęśliwym. Rower zjeżdżał zygzakami ze wzgórza pędząc na chybił trafił. Pawełkowi przyszło na myśl, że z ulgą skreśliłby sobie teraz kark.

W dwa dni potem posłał Miriam książkę i krótki list, w którym zachęcał ją do czytania i wzmożonej pracy.

Całą swą przyjaźń przelał w tym okresie na Edgara. Był gorąco przywiązany do całej rodziny Leiversów i nade wszystko kochał farmę. Była ona dla niego najdroższym miejscem na świecie. Jego własny dom ani w części nie był tak przyjemny. Mieszkała w nim co prawda matka. Ale z równym powodzeniem mógłby z nią mieszkać wszędzie. Willey Farm natomiast kochał namiętnie. Kochał małą, skromną kuchenkę z zadeptaną podłogą i psem drzemającym z jednym ślepiem na pół otwartym z obawy, że mu zaraz przydepczą ogon. Wieczorami wisiała w niej nad stołem lampa i wszystko wokół pogrążone było w zupełnym spokoju. Kochał długi, wąski salonik Miriam z jego niskim sufitem, romantyczną atmosferą, kwiatami, książkami i wysokim pianinem z różanego drzewa. Kochał ogród i kryte czerwonymi dachami zabudowania, stojące na samym skraju pola i wślizgujące się do lasu w poszukiwaniu zacisza. A także dziką przestrzeń schodzącą w głąb doliny i wspinającą się po drugiej stronie na nieuprawne zbocza wzgórz. Tylko tu rozweselał się i był szczęśliwy. Kochał panią Leivers, odebraną od świata i w szczególny sposób cyniczną. Pana Leiversa, dziwnie młodego, serdecznego i pełnego wdzięku. Kochał Edgara, który rozpromieniał się na jego widok. I chłopców, i dzieci, i Billa... Nawet maciorę Circe i indyjskiego koguta, zwanego Tippoo. Kochał to wszystko niezależnie od Miriam. Nie mógł się tego wyrzec.

Przychodził więc równie często, jak dawniej, tylko prawie wyłącznie przebywał z Edgarem. Dopiero wieczorami cała rodzina, nie wyłączając ojca, gromadziła się przy grach i szaradach. Potem Miriam zbierała wszystkich i z taniego, broszurowego wydania czytali „Makbeta” rozdzielając między siebie poszczególne role. Było to niezwykle przyjemne. Miriam była zadowolona, pani Leivers również, a pan Leivers wręcz to uwielbiał. Czasem, zebrani wokół kominka, uczyli się pieśni ze starego śpiewnika. Paweł bardzo rzadko teraz bywał sam z Miriam. Ona cierpliwie czekała. Kiedy we trójkę z Edgarem wracali do domu z kaplicy albo z kółka literackiego w Be-



stwood. wiedziała, że jego gwałtowne, a ostatnio coraz bardziej buntownicze dyskursy są dla niej przeznaczone. Zazdrościła jednak Edgarowi przejażdżek z Pawłem na rowerze, piątkowych wieczorów i wspólnej pracy w polu. Jej piątkowe wieczory i lekcje francuskiego urwały się. Była prawie ciągle sama, samotnie spacerowała po lesie zatopiona w rozmyślaniach, czytała, uczyła się, marzyła — i nadal czekała. Pisywał do niej często.

Pewnego niedzielnego wieczoru zapanował pomiędzy nimi dawny, przyjazny nastrój. Edgar, zaciekawiony, jak tego rodzaju instytucja się przedstawia, poszedł z panią Morel do Kooperatywy. Pawełek i Miriam szli więc sami do domu. Był znów trochę pod jej wpływem. Starym zwyczajem dyskutowali na temat kazania. Paweł zwrócił się teraz całą duszą ku agnostycyzmowi, ale pojętemu tak religijnie, że Miriam nie bolała nad tym zbyt. Byli właśnie na etapie „Vie de Jesus” Renana. Miriam odgrywała rolę klepiska, na którym młócił swoje poglądy. Kiedy przesiewał swe idee na gruncie jej duszy, objawiała mu się prawda. Jedynie Miriam mogła być tym klepiskiem. Tylko ona mogła mu pomóc w formułowaniu ostatecznych konkluzji. Niemal biernie poddawała się jego argumentom i wywodom. Nie wiadomo czemu, dzięki niej uświadamiał sobie powoli swoje omyłki. Wszystkie jego osiągnięcia były jej osiągnięciami. Czowała, że nie może sobie bez niej poradzić.

Przyszli do pustego i cichego domu. Pawełek wziął klucz ze schowka przy oknie i weszli do środka. Przez cały czas nie przerywał swojej dysputy. Zapalił gazową lampę, poprawił ogień na kominku i przyniósł Miriam trochę ciasteczek z kredensu. Siedziała spokojnie na kanapie trzymając talerzyk na kolanach. Była w dużym kapeluszu z różowymi kwiatami. Kapelusz był tani, ale Pawełkowi się podobał. W cieniu kapelusza jaśniała jej spokojna, zamyślona twarz o smagłej cerze i różowych policzkach. Uszy miała, jak zawsze, ukryte w krótkich, bujnych lokach. Patrzyła na niego.

Lubiła go w stroju niedzielным. Miał ciemne ubranie, które podkreślało

gibkość jego figury. Kontury smukłej sylwetki rysowały się jasno i zdecydowanie. W dalszym ciągu snuł przed nią swoje wywody. Nagle sięgnął po Biblię. Miriam lubiła jego sposób sięgania — szybki i celny. Prędko przerzucił kartki i zaczął czytać jeden z rozdziałów św. Jana. Kiedy tak, siedząc w fotelu, czytał skupiony, wiernie oddając głosem myśli, miała wrażenie, że nieświadomie posługuje się jej osobą jak rzemieślnik używający swoich narzędzi przy pracy, nad którą się trzodzi. Cieszyło ją to. Jego żarliwy głos zdawał się sięgać po coś

i miała uczucie, że to po nią sięga. Siedziała z dala od niego na kanapie, ale ulegała złudzeniu, że jest właśnie tym niezbędnym instrumentem w jego dłoni. Sprawiało jej to wielką radość.

Ale nagle zaczął się zająkiwać, odzyskując poczucie rzeczywistości. A kiedy doszedł do słów: „Kobieta, która rodzi, cierpi ból, albowiem nadeszła jej godzina” — opuścił je. Miriam czuła, że ogarnęło go zakłopotanie. Drgnęła, gdy nie padły dobrze jej znane słowa. Smutek i wstyd zmusiły ją do schylenia nisko głowy. Sześć miesięcy temu nie zawahałby się po prostu tego przeczytać. Teraz powstała jakaś skaza w jego stosunku do niej. Czuła, że naprawdę jest między nimi coś wrogiego. Coś, czego musieli się wstydzić.

Machinalnie gryzła ciastko. Usiłował kontynuować swoje wywody, ale nie mógł odzyskać właściwej nuty. Wkrótce przyszedł Edgar. Pani Morel poszła do znajomych w odwiedziny. Wyruszyli więc we troje do Willey Farm.

Miriam zastanawiała się nad panującym między nimi rozłamem. Paweł zdawał się mieć teraz jakieś zgoła inne pragnienia. Nic go nie mogło zadowolić. Nie dawał jej spokoju. Wciąż byli na wojennej stopie. Chciała mu dowieść swej racji. Była przekonana, że jest dla niego oparciem w życiu. Gdyby udało jej się przekonać go o tym i samą siebie też, reszta z pewnością jakoś by się ułożyła. Mogłaby z całym zaufaniem patrzeć w przyszłość.

Pewnego dnia, w maju, zaprosiła go do Willey Farm, gdzie miał się spotkać z panią Dawes. Znać było, że dręczy go jakaś tęsknota czy też pragnienie. Miriam zauważyła, że ilekroć zaczynali mówić o Klarze Dawes, zrywał się z miejsca, lekko poirytowany. Mówił, że nie lubi Klary. Mimo to zależało mu na wiadomościach o niej. Niechaj zatem wystawi się sam na próbę. Miriam uważała, że w jego duszy kryją się wyższe i niższe dążenia i że te wyższe muszą zwyciężyć. W każdym razie powinien sam się przekonać. Zapomniała jednak, że jej „wyższe” i „niższe” były stronnicze.

Paweł czuł się lekko podniecony na myśl o spotkaniu z Klarą w Willey Farm. Pani Dawes wybrała się tam na cały dzień. Ciężkie, ciemnoblonde włosy miała upięte wysoko na głowie. Była w białej bluzce i granatowej spódnicy

i gdy tylko się gdzieś pojawiła, wszystko wokoło zaczynało się wydawać jakieś dziwnie małe i niepozorne. Kuchnia stała się nagle bardzo mała i uboga, gdy weszła do niej Klara. Uroczy, cokolwiek mroczny salonik Miriam nabrał idiotycznie sztywnego wyglądu. Cała rodzina Leiversów była zgaszona i z pewnym trudem znosiła obecność gościa. A jednak Klara była nienagannie uprzejma, choć może trochę nieprzystępna i obojętna.

Paweł przyszedł po południu. Zjawił się dość wcześnie. Miriam zauważyła, że zsiadając z roweru obrzucił dom wyczekującym spojrzeniem. Byłby zapewne rozczarowa-

ny, gdyby się okazało, że spodziewany gość zawiódł. Miriam wyszła mu na spotkanie z pochyloną głową, bo słońce świeciło bardzo jasno. Nasturcje jaśniały czerwienią na tle świeżej zieleni liści. Dziewczyna stała z głową okoloną ciemnymi lokami. Cieszyła się, że go widzi.

— Czy Klara nie przyszła? — zapytał.

— Ależ tak — odparła Miriam swym melodyjnym głosem. — Siedzi i czyta.

Wprowadził rower do stodoły. Miał dziś wyjątkowo ładny krawat, z którego był poniekąd dumny, i starannie dobrane do niego skarpetki.

— Czy Klara przyszła dziś rano? — dowiadywał się.

— Tak — odparła Miriam idąc obok niego. — Obiecałeś mi przynieść list tego pana z Liberty. Czy pamiętałeś o tym?

— O, do licha, nie! — zawołał. — Ale męcz mnie, póki tego nie zrobię.

— Wcale nie mam ochoty cię męczyć.

— Rób to jednak, radzę ci. Czy Klara jest dziś odrobinę miłsza niż zwykle?

— Przecież wiesz, że mnie Klara zawsze wydaje się miła.

Nie odpowiedział. Jego wcześniejszy przyjazd należało wyraźnie przypisać spodziewanemu gościowi. Miriam zrobiło się w końcu przykro. Szli razem w stronę domu. Paweł zdjął zapinki z nogawek spodni, ale pomimo eleganckich skarpetek i krawata, był za leniwy, by wytrzeć z kurzu buty.

Klara siedziała czytając w chłodnym saloniku. Najpierw zobaczył jej białą, odsłoniętą szyję i bujne włosy, upięte w górze. Wstała patrząc na niego obojętnie. Przy powitaniu wyciągnęła przed siebie rękę ruchem, który miał go utrzymać w pewnej odległości, a zarazem robił takie wrażenie, jak gdyby mu coś rzucała. Zauważył jej falujące pod bluzką piersi i piękny kształt ramienia rysujący się pod cienkim muślinem.

— Wybrała pani ładny dzień — powiedział.

— Tak się złożyło — odparła.

— Właśnie — rzekł. — Bardzo się z tego cieszę.

Usiadła, nie odpowiedziawszy na jego uprzejme słowa.

— Co robiłyście całe rano? — zwrócił się do Miriam.

— Właściwie, to wiesz... — Miriam chrząknęła, jak gdyby przeszkadzała jej chrypka. — Klara przyszła dopiero z ojcem... no i... jest tu niedawno.

Klara siedziała schylona nad stołem trzymając się na uboczu. Zauważył, że ma duże, ale starannie utrzymane ręce. Skóra na nich sprawiała wrażenie szorstkiej i stwardniałej, ale była biała i pokryta delikatnym, złotawym meshkiem. Nie wzruszało jej to, że Paweł przygląda się jej ręką. Postanowiła traktować go pogardliwie. Jej ciężkie ramiona spoczywały niedbale na stole. Usta miała zacięte, jak gdyby była obrażona, i twarz trzymała zwróconą nieznacznie w przeciwną stronę.

— Wczoraj wieczorem była pani na zebraniu u Małgorzaty Bonford? — zagadnął ją Paweł.

Miriam nie знаła tego ugrzecznionego, rycerskiego Pawła. Klara spojrzała na niego.

— Tak — powiedziała krótko.

— Jak to? — spytała Miriam. — Skąd ty o tym wiesz?

— Zaszedłem tam na chwilę, przed samym odejściem pociągu — odparł.

Klara odwróciła się znów, niemal pogardliwie.

— Wydaje mi się, że to bardzo miła mała kobietka — odezwał się Paweł.  
— Małgorzata Bonford?! — wykrzyknęła Klara. — Ona jest o wiele mądrzejsza od wielu mężczyzn.

— Ależ ja wcale nie powiedziałem, że nie jest mądra — rzucił lekko. — Może być jednak pomimo to bardzo miła.

— I naturalnie tylko to coś znaczy — oschle zauważyła Klara.

Potał czoło, trochę poirytowany, a trochę znudzony.

— Sądzę, że to naprawdę wiele więcej znaczy od jej mądrości — powiedział — która, mimo wszystko, nie zaprowadzi jej do raju.

— Ona wcale nie pragnie pozyskać sobie raju... tylko należną jej część na ziemi — odparła Klara. Mówiła takim tonem, jak gdyby czyniła go odpowiedzialnym za wszelki niedostatek, jaki musiała wycierpieć panna Bonford.

— W każdym razie — powiedział Paweł — wydała mi się pełna wdzięku i ogromnie miła... tylko bardzo wątpła. Wolałbym, żeby sobie wygodnie siedziała w spokoju...

— Cerując skarpetki mężowi — pogardliwie wtrąciła Klara.

— Jestem pewien, że nie miałaby nic przeciwko temu, żeby pocerować nawet moje skarpetki — odparł. — I na pewno dobrze by to zrobiła. Tak samo i ja chętnie oczyściłbym jej trzewiki, gdyby tego potrzebowała.

Ale Klara nie miała chęci odpowiadać na jego zaczepki. Porozmawiał chwilę z Miriam. Ich towarzyszka trzymała się z dala.

— No, to pójdę chyba poszukać Edgara — powiedział Paweł. — Czy poszedł w pole?

— O ile wiem, pojechał po węgiel — odparła Miriam. — Powinien zaraz wrócić.

— Wobec tego — zdecydował — wyjdę mu na spotkanie.

Miriam nie miała odwagi wysunąć żadnej propozycji dla nich trojga. Wstał więc i pozostawił je same.

Na głównej drodze, przy końcu żywopłotu, zobaczył Edgara krocącego u boku kłaczy, która potrzasała łbem z białą strzałką na czole, mozolnie ciągnąc klekoczącą furę z węglem. Twarz młodego farmera rozpromieniła się na widok przyjaciela. Edgar był przystojny i miał ciemne oczy o miłym, ciepłym wejrzeniu. Chociaż jego ubranie było stare i w podłym gatunku, w postawie jego zaznaczała się pewnego rodzaju dumę.

— Jak się masz! — zawołał widząc na drodze Pawła z gołą głową. — Gdzie idziesz?

— Wszedłem ci na spotkanie. Nie mogę znieść tej „Nigdy więcej”.

Edgarowi zabłysły zęby w szerokim, wesołym uśmiechu.

— Któż to jest? — zapytał.

— Ta pani... pani Dawes... Przecież ona jak ów słynny kruk powtarza tylko: „nigdy więcej”.

Edgar śmiał się wesoło.

— Nie lubisz jej? — zapytał.

— Nie za bardzo — odparł Paweł. — A ty?

— Nie. — W jego głosie brzmiało głębokie przekonanie. — Nie. — Edgar wydał

wargi. — Nie mogę powiedzieć, żeby była w moim guście. — Nucił przez chwilę, a potem spytał nagle: — Czemu nazywasz ją „Nigdy więcej”?

— Bo mi się zdaje — odparł Paweł — że patrząc na każdego mężczyznę mówi wyniośle: „nigdy więcej!”, a jak się przegląda w lustrze, musi pewno mówić: „nigdy więcej”, pogardliwie. Gdy wspomina przeszłość, mówi ze wstrętem, a myśląc o przyszłości — z całym cynizmem.

Edgar zastanawiał się chwilę nad tą przemową, ponieważ jednak niewiele udało mu się z niej zrozumieć, zapytał śmiejąc się:

— Myślisz, że jest wrogiem mężczyzn?

— To ona tak myśli — odparł Paweł.

— A ty tak nie uważasz?

— Nie — rzekł Paweł.

— To może była miła dla ciebie?

— Czy wyobrazasz ją sobie miłą dla kogokolwiek?

Edgar roześmiał się. Zładowywali razem węgiel na podwórzu. Paweł był nieco przesadnie pewny siebie, bo wiedział, że Klara może ich widzieć, jeśli spojrzy przez okno. Nie wyjrzała jednak ani razu.

W sobotę po południu odbywało się zawsze na farmie czesanie i oprzątanie koni. Paweł i Edgar pracowali razem krztusząc się kurzem wyczesywanym z sierści Jimmy’ego i Flower.

— Czy nie znasz jakiejś nowej piosenki, której mógłbyś mnie nauczyć? — zapytał Edgar.

Nie ustawał w pracy. Kiedy się pochylał, widać było jego spalony od słońca kark, a zaciśnięte na szczotce palce były grube i obrzmiałe w stawach. Paweł co jakiś czas spoglądał na niego.

— „Mary Morrison”? — zaproponował.

Edgar zgodził się. Miał dobry tenor i z zapalem uczył się wszystkich pieśni od swego przyjaciela, by je potem śpiewać powożąc końmi. Paweł miał bardzo przeciętny baryton, ale dobry słuch. Śpiewał więc niezbyt głośno, krępując się Klary. Edgar powtarzał każde słowo czystym, donośnym tenorem. Co jakiś czas przerywali, aby kichnąć, i to jeden, to drugi wyklinał swego konia.

Miriam irytowali mężczyźni. Tak niewiele trzeba, aby ich zabawić — nawet Pawła. Uważała za nienormalne, że może całą duszą oddawać się tak pospolitemu zajęciu.

Skończyli czyścić konie przed samym podwieczorkiem.

— Co to za piosenkę śpiewaliście? — spytała Miriam.

Edgar powiedział nazwę. Rozmowa zesła teraz na temat śpiewu.

— Czasem wszyscy bawimy się wesoło — wyjaśniała Miriam Klarze.

Pani Dawes jadła powoli i dystyngowanie. W obecności mężczyzn zawsze zachowywała się z rezerwą.

— Czy lubisz śpiew? — zapytała ją Miriam.

— Tylko pod warunkiem, że jest naprawdę dobry — odparła.

Paweł, oczywiście, się zarumienił.

— To znaczy, jeśli głos jest wysokiej klasy i znakomicie wyszkolony? — zapytał.

— Sądzę, że trzeba sobie najpierw wyszkolić głos, jeżeli śpiew ma być coś wart —

odparła.

— Mogłaby pani z równym powodzeniem wymagać, żeby ludzie szkolili sobie glosy, zanim pozwoli się im mówić — oburzył się. — Proszę mi wierzyć, że na ogół każdy śpiewa dla własnej przyjemności.

— I czasem ku utrapieniu innych.

— Mogą sobie zatykać watą uszy — burknął.

Chłopcy wybuchnęli śmiechem. Zapadło milczenie. Paweł zaczerwienił się gwałtownie i jadł w milczeniu.

Po podwieczorku, kiedy wszyscy mężczyźni prócz Pawła wyszli z pokoju, pani Leivers zapytała Klarę:

— Czy naprawdę jesteś teraz szczęśliwsza?

— Bez porównania.

— I jesteś zupełnie zadowolona?

— O ile tylko potrafię utrzymać swobodę i niezależność.

— I niczego ci w życiu nie brakuje? — życzliwie dopytywała się pani Leivers.

— Wszystko to mam już poza sobą.

Paweł czuł się skrepowany podczas tego dialogu. Wstał z miejsca.

— Zobaczysz pani, jak się będzie pani ciągle potykała o to, co jest poza nią — powiedział. Zaraz potem poszedł do obory. Czuł, że udało mu się to powiedzenie, i jego męska duma triumfowała. Pogwizdywał idąc brukowaną ścieżką.

Miriam odszukała go wkrótce, aby zapytać, czy ma ochotę wybrać się z nią i z Klarą na spacer. Poszli do Strelley Mili Farm. Gdy idąc brzegiem strumyka po stronie Willey Water spojrzeli w głąb rosnących na skraju lasu zarośli, w których gąszczu, w świetle skąpych promieni słonecznych różowiły się gdzieś kłkole, dostrzegli między pniami drzew i wiotkimi gałązkami leszczyny jakiegoś człowieka prowadzącego poprzez leśne bruzdy wielkiego, spletanego konia. Ogromne, ogniście brązowe zwierzę przedzierało się poprzez mroczny, zielony gąszcz leszczyny i nikło w spowitej cieniem dali, jak gdyby uchodząc w przeszłość wśród więdnących, bladoniebieskich dzikich hiacyntów, które być może zakwitły dla Driady czy Izoldy.

Trójka młodych stanęła w zachwycie.

— Ach, gdybym mógł być średniowiecznym rycerzem i mieć tu swój zamek — westchnął Paweł.

— I trzymać nas bezpiecznie w zamknięciu — wtrąciła Klara.

— Tak — odparł. — Haftowałybyście śpiewając ze swymi służebnymi. A ja nosiłbym wasz proporzec o barwie białej, zielonej i lila. I miałbym na tarczy wyryte W.S.P.U.\*<sup>3</sup> pod podobizną kobiety-wojowniczką.

— O, nie wątpię, że wolałby pan walczyć za kobietę, niż dać jej walczyć samej za siebie — powiedziała Klara.

— A właśnie tak. Kiedy kobieta walczy, robi się podobna do psa przed lustrem, doprowadzonego przez własne odbicie do szaleńczego obłędu.

— A pan jest może tym lustrem? — zapytała pogardliwie krzywiąc usta.

— Albo odbiciem — zareplikował.

---

<sup>3</sup> \* W.S.P.U. (Women's Social and Political Union) — Społeczne i Polityczne Stowarzyszenie Kobiet.

— Obawiam się, że jest pan za mądry — rzekła sucho Klara.

— Z największą chęcią pozostawiam dobroć pani — odparł śmiejąc się. — Proszę być dobrą, droga pani, i łaskawie pozwolić mi być mądrym.

Ale Klarę zmęczyła jego błyskotliwość. Kiedy na nią spojrział, spostrzegł nagle, że wyraz jej twarzy nie jest pogardliwy, lecz raczej smutny. Wzbudziło to w nim nie usprawiedliwioną czułość dla całego świata. Pozostawił Klarę w spokoju i zaczął mile rozmawiać z Miriam, którą dotychczas zupełnie zaniedbywał.

Na skraju lasu spotkali Limba. Był to chudy, czterdziestokilkuletni dzierzawca Strelley Mili, który prowadził na swojej farmie hodowlę bydła. Szedł trzymając za kantar potężnego ogiera tak obojętnie, jak gdyby go to nudziło. Trójka młodych zatrzymała się pozwalając mu pierwszemu przeprowadzić się przez kamienisty bród strumyka. Paweł był pełen podziwu, że tak wielkie zwierzę potrafi stąpać równie sprężyście, z całym nieokiełznanym animuszem. Limb przedostał się przed nimi na drugi brzeg.

— Proszę powiedzieć ojcu, panno Leivers — zwrócił się do Miriam osobliwie piskliwym głosem — że jego źrebak wyłamał trzy dni temu płot i poszedł w pole.

— Gdzie? — spytała Miriam drżąc z przejęcia.

Wielki gniadosz sapał ciężko, rozdymając potężne boki i podejrzliwie wznosząc w górę wielkie, wspaniałe oczy, spod opadającej nisko na spuszczonego łeb grzywy.

— Proszę pójść za mną kawałek, to zaraz pani pokażę — powiedział Limb.

Dierzawca i ogier poszli przodem. Koń tańczył na boki przebierając białymi pięciami i płosząc się, jak gdyby czuł jeszcze strumyk pod kopytami.

— No, no... tylko bez kawałów — czule przemówił dzierzawca do konia.

Wielki ogier zszedł na brzeg w drobnych podskokach i spokojnie przeprowadził się wpław przez drugi strumień. Klara szła, jak gdyby w sennym otepieniu, przyglądając mu się z na pół lekceważącym zachwytem. Limb przystanął

i wskazał na płot przy pobliskich wierzbach.

— O, widzi pani, któredy się przedostają — powiedział. — Mój fernal już trzy razy zaganiał je z powrotem.

— Tak — wykrztusiła Miriam czerwieniąc się, jak gdyby było to jej winą.

— Czy zajdziecie do nas? — zapytał dzierzawca.

— Nie, bardzo dziękuję. Chcielibyśmy pójść nad staw.

— Proszę bardzo. Idźcie, gdzie wam się tylko podoba — odparł.

Koń od czasu do czasu rżał cicho z radości, że jest tak blisko domu...:

— Cieszy się, że wrócił do domu — zauważyła Klara, która lubiła zwierzęta.

— Tak... zrobił dziś spory kawał drogi.

Przeszli przez furtkę i zobaczyli idącą na ich spotkanie od strony dużego, ładnego domu drobną, ciemnowłosą, trzydziestoparoletnią kobietę, która wydawała się bardzo nerwowa. Jej włosy były lekko przyprószone siwizną, a ciemne oczy miały jakiś błędny wyraz. Szła z rękami schowanymi za plecy. Brat ruszył naprzeciw. Wielki gniady ogier znów zarżał radośnie na jej widok.

— Nareszcie wróciłeś do domu, synku! — czule powitała konia, pomijając brata. Olbrzymi gniadosz skierował się wprost do niej wysuwając łeb. Znienacka wsunęła mu do pyska żółte pomarszczone jabłko, które chowała za plecami, a potem pocało-

wała go tuż koło oka. Koń parsknął z zadowolenia, a ona przycisnęła oburącz jego łeb do piersi.

— Jakież on jest cudowny! — zwróciła się do niej z entuzjazmem Miriam.

Panna Limb podniosła głowę. Jej ciemne oczy patrzyły prosto na Pawła.

— Dobry wieczór, panno Miriam — rzekła. — Całe wieki pani u nas nie była.

Miriam przedstawiła swoich przyjaciół.

— To rzeczywiście pierwszorzędny koń — powiedziała Klara.

— Prawda? — Znów go pocałowała. — A kochający i wierny jak człowiek.

— Przypuszczam, że nawet wierniejszy od wielu ludzi — odparła Klara.

— Dobrze z mego chłopisko! — zawołała kobieta, znów całując koma.

Klara, zachwycona wielkim gniadoszem, podeszła poklepać go po szyi.

— Jest bardzo łagodny — powiedziała panna Limb. — Czy pani nie zauważyła, że olbrzymy zazwyczaj są łagodne?

— Jest niebywale piękny! — odparła na to Klara.

Chciała zajrzeć koniowi w oczy. Chciała też zmusić go, żeby na nią spojrzał.

— Jaka szkoda, że nie umie mówić — powiedziała.

— Ależ tak!... naturalnie, że umie... to jest... prawie tak, jakby umiał — zaprzeczyła panna Limb.

Brat zabrał konia, aby go odprowadzić do stajni.

— Może zajdą państwo do nas? Bardzo proszę, panie... przepraszam, ale nie dosłyszałam pańskiego nazwiska.

— Morel — odpowiedziała Miriam. — Dziękujemy bardzo, nie wstąpimy do państwa, ale chcielibyśmy pójść nad staw przy młynie.

— Ależ tak... bardzo proszę. Czy pan jest wędkarzem, panie Morel?

— Nie — rzekł Paweł.

— Bo gdyby pan tylko miał chęć, mógłby pan zawsze przychodzić tu na ryby — wtrąciła panna Limb. — Przez cały tydzień nie widzimy żywej duszy. Byłoby mi naprawdę bardzo miło.

— Jakie ryby są w tym stawie? — zapytał Paweł.

Przeszli ogrodem przed domem, minęli służę i stromym brzegiem wyszli nad staw, który leżał pogrążony w cieniu, z dwiema zadrzewionymi wysepkami pośrodku. Paweł szedł z panną Limb.

— Chętnie bym tu kiedyś popływał — powiedział.

— Ależ świetnie — odparła. — Niech pan przychodzi, kiedy pan tylko zechce. Mój brat będzie niezwykle rad, że będzie mógł z panem porozmawiać.

Zrobił się takim milczkiem, bo nie ma tu do kogo ust otworzyć. Niech pan przychodzi pływać.

Klara podeszła do nich.

— Jak tu musi być głęboko — powiedziała. — I jaka czysta woda.

— A tak — potwierdziła panna Limb.

— Czy pani pływa? — zapytał Paweł Klarę. — Panna Limb mówiła właśnie przed chwilą, że możemy tu przychodzić, kiedy tylko zechcemy.

— Proszę tylko pamiętać, że mamy na farmie fornali — uprzedziła panna Limb.

Rozmawiali jeszcze chwilę i odeszli w stronę dziko porośniętego wzgórza pozosta-



wiając nad stawem samotną kobietę o błędnym wyrazie oczu.

Zbocze tonęło w słońcu. Zupełnie dzikie i zarośnięte kępami traw, wydane było na pastwę królików. Trójka młodych szła w milczeniu.

– Czuję się przy niej zupełnie wytracony z równowagi — powiedział nagle Paweł.

– Myślisz o pannie Limb? — spytała Miriam. — Masz rację.

– Co jej właściwie jest? Czy żyjąc na tym odludziu dostała bzika?

– Tak — przyznała Miriam. — To nie jest odpowiedni dla niej tryb życia. Wydaje mi się bardzo okrutne, że jest tu taka żywcem pogrzebana. Powinnam właściwie częściej ją odwiedzać. Ale... strasznie mnie to zawsze denerwuje.

– Bardzo mi jej żal... choć jest naprawdę męcząca — stwierdził Paweł.

– A ja myślę, że jej po prostu brak mężczyzny — palnęła nagle Klara.

Tamtych dwoje zamilkło na chwilę.

– Chyba to jednak samotność w pierwszym rzędzie przyczyniła się do tego, że jest taka narwana — zauważył Paweł.

Klara, nic nie odpowiedziawszy, poczęła zamaszystym krokiem przemierzać wzgórze. Jej nogi uginały się miękko potracając zeschnięte osty i depcząc po kępach trawy, a ramiona zwisały luźno. Jej dorodna postać zdawała się raczej błąkać bez celu aniżeli wchodzić na wzgórze. Pawła opłynęła gorąca fala krwi. Klara go ciekawiła. Może życie okazało się wobec niej okrutne. Zapomniał

o Miriam, która, idąc obok, coś do niego mówiła. Spojrzała na niego zdumiona, że nic nie odpowiada. Jego oczy były utkwione w idącej przodem Klarze.

– Czy dalej uważasz, że jest niemiła? — zapytała Miriam.

Nie zwrócił uwagi na to nagłe pytanie. Zgadzało się bowiem z biegiem jego myśli.

– Coś z nią nie jest w porządku — odparł.

– Tak — przyznała Miriam.

Na szczycie wzgórza znaleźli ukrytą, dziką łąkę, która z dwóch stron otoczona była lasem, a z dwóch pozostałych luźno rosnącym żywopłotem z głogu i dzikiego bzu. Między nadmiernie wybujałymi krzakami znajdowały się przerwy, przez które zapewne przedostawało się bydło, o ile w ogóle pasło się tu ostatnio. W miejscach tych murawa była gładka jak aksamit, gdzieniegdzie tylko podeptana i podziurawiona przez króliki. Sama łąka była porośnięta szorstką trawą i usiana wielkimi, wysokimi kluczykami, które panoszyły się tu swobodnie, nigdy nie ścinane. Wszędzie rosły całe kępy tych bujnych kwiatów górując nad szorstkimi miotełkami sitowia. Przypominało to redę, zatłoczoną wysokimi masztami jakichś baśniowych okrętów.

– Ach! — wykrzyknęła Miriam i spojrzała na Pawła rozszerzonymi zachwytem ciemnymi oczami. Uśmiechnął się w odpowiedzi. Napawali się wspólnie pięknem tej rozkwitłej łąki. Trochę dalej Klara patrzyła tęsknie na kluczyki. Paweł i Miriam stali blisko siebie rozmawiając ściszym głosem. Paweł przykląkł na jedno kolano i rwąc szybko najpiękniejsze kwiaty przerzucał się niespokojnie od jednej do drugiej kępy, przez cały czas coś cicho opowiadając. Miriam zrywała kwiaty miłośnie, długo się przy nich zatrzymując. Paweł wydawał jej się zawsze za prędki i zbyt naukowo podchodził do przyrody. Mimo to w jego bukietach było dużo więcej naturalnego piękna niż w jej. Kochał kwiaty, jak gdyby uważając, że są jego własnością i że ma do nich prawo. Ona natomiast odnosiła się do nich z dużo większym respektem. Miały w sobie

coś, czego ona nie posiadała.

Kwiaty były niezwykle świeże i wonne. Miał ochotę pić z ich kielichów. Zrywając gryzł żółte, wiotkie łodyżki. Klara w dalszym ciągu smętnie błędziła po łące. Idąc w jej stronę zapytał:

- Czemu nie narwie sobie pani trochę kwiatów?
- Nie bawi mnie to. Dużo ładniej wyglądają rosnąc na łące.
- A nie chciałaby ich pani mieć?
- One chcą, żeby je tu zostawić.
- Nie wydaje mi się, aby tak naprawdę było.
- Nie chcę mieć koło siebie ich trupów — powiedziała Klara.

— Cóż to za ciasne i nienormalne poglądy! — oburzył się Paweł. — Kwiaty nie więdną ani trochę szybciej w wodzie niż w ziemi. A poza tym w bukiecie wyglądają ładnie... wyglądają wesoło. Przecież tylko wtedy mówimy, że coś jest trupem, kiedy ma trupi wygląd.

- Nawet niezależnie od tego, czy tak jest rzeczywiście, czy też nie?
- Dla mnie wcale tak nie jest. Zwiędły kwiat nie ma nic wspólnego z trupem.

Klara zignorowała go tym razem.

- A gdyby nawet... jakim prawem je pan zrywa?
- Bo je lubię, chcę je mieć... i jest tu ich mnóstwo.
- I to wystarcza?

— Naturalnie. Czemużby nie? Jestem pewien, że pachniałyby ślicznie w pani pokoju w Nottingham

- A ja miałabym przyjemność przyglądać się, jak więdną
- No dobrze... ale przecież nic się nie stanie, jak zwiędną!

Zaraz potem ją opuścił i poszedł potykając się o splecione kępy kwiatów rozsiane gęsto na łące, niby jasne wysepki świetlistej piany. Miriam podeszła do niego blisko. Klara przyklękała i wdychała delikatną woń kluczyków.

— A ja myślę, że jak się z nimi obchodzić z szacunkiem, to nie wyrządza się im żadnej krzywdy — powiedziała Miriam. — Najważniejsze jest to, z jakim uczuciem się je zrywa.

— Tak — odparł. — Chociaż nie... Zrywa się je, bo chce się je mieć. I na tym koniec. — Wyciągnął przed siebie bukiet.

— Spójrz na nie! — wykrzyknął. — Mocne i żywotne, jak młode drzewka albo jak mali chłopcy na grubych nóżkach.

Kapelusz Klary leżał nie opodal na trawie. Wciąż jeszcze klęczała pochylona, wdychając zapach kwiatów. Ostry ból szarpnął nim na widok jej szyi, tak doskonale pięknej, choć w danej chwili nie było w niej dumy z własnej urody. Piersi Klary lekko falowały pod bluzką. Łuk pleców był piękny i mocny. Nie nosiła gorsetu. Nagle, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, wysypał całą garść kwiatów na jej głowę i szyję, mówiąc:

**Popiół w popiół, a proch w proch niech się obróci,**

**Jeśli Bóg cię nie zechce, diabeł będzie musiał...**

Chłodne płatki kwiatów upadły na jej szyję. Spojrzała na niego niemal żalnymi,

wystraszonymi, szarymi oczami, zdumiona tym, co zrobił. Kwiaty upadły jej na twarz i zamknęła oczy.

Paweł, który w dalszym ciągu stał nad nią, poczuł się nagle zmieszany.

— Myślałem, że chce pani zostać pogrzebana — powiedział bez sensu.

Klara zaśmiała się jakoś dziwnie i wstała wyjmując kwiaty z włosów.

Podniosła kapelusz i przypięła kilka z nich do wstążki. Jeden kwiat zaplątał się w jej włosach. Paweł widział to, ale umyślnie nic nie mówił. Zbierał z ziemi kwiaty, którymi przedtem ją obrzucił.

Na skraju lasu dzikie hiacynty niebieską falą zalały łąkę, jak gdyby uniesione przy-  
pływem. Zaczynały już więdnąć. Klara skierowała się w ich stronę, a Paweł wolno  
szedł za nią. Kwiaty zachwyciły go.

— Niech pani spojrzy, jak wyszły z lasu! — zawołał.

Odwróciła się z błyskiem ciepła i jak gdyby wdzięczności w oczach.

— Tak — uśmiechnęła się.

?

Krew zawrzała mu w żyłach.

— Przyszło mi nagle na myśl, jakie przerażenie musiało ogarniać dzikich mieszkań-  
ców puszczy, kiedy po raz pierwszy stanęli przed otwartą przestrzenią.

— Myśli pan, że naprawdę się bali? — spytała Klara.

— Ciekaw tylko jestem, które ze starych plemion bały się bardziej... Czy te, co z  
mroków puszczy wypadały wprost na jasność otwartej przestrzeni, czy też te, które z  
bezkresnych pól wkradały się w głąb odwiecznych borów...

— Chyba raczej te drugie — odparła.

— Tak. Pani jest właśnie takim mieszkańcem otwartych przestrzeni, gwał-, tem usi-  
lującym nawyknąć do mroku, prawda?

— Skądże mam wiedzieć? — odparła zagadkowo.

Rozmowa ich na tym się skończyła.

Wieczór obejmował ziemię coraz głębszą ciemnością. Wkrótce dolina wypełniła się  
cieniem. Jedyne naprzeciwko, gdzie znajdowała się farma Cros- sleigh Bank, widniał  
niewielki kwadrat światła. Na szczytach wzgórz kładł się płynny blask wieczoru. Mi-  
riam, z twarzą ukrytą w dużym, luźnym pęku kwiatów, zbliżyła się wolnym krokiem,  
brodząc po kostki w pianistych falach kwiecia. Mające za nią drzewa przemieniały  
się w cienie, stopniowo pogrążając się w mroku.

— Czy nie trzeba już iść? — spytała Miriam.

Wyruszyli więc w powrotną drogę do domu. Wszyscy troje milczeli. Schodząc  
ścieżką w dół widzieli przed sobą światła domu, a na samym grzbiecie wzgórza wid-  
niał wąski, ciemny pas migoczący mdłymi światełkami w miejscu, gdzie osada gór-  
nicza sięgała nieba.

— Prawda, że było przyjemnie? — zapytał Paweł.

Miriam potaknęła szeptem, ale Klara milczała.

— Czy jest pani innego zdania? — nalegał.

Ale ona szła z wzniesioną głową i w dalszym ciągu nie odpowiadała. Zachowywa-  
ła się tak, jak gdyby jej na niczym nie zależało, ale Paweł domyślił się, że nad czymś  
cierpi.

W tym samym mniej więcej czasie Paweł zabrał matkę do Lincoln. Była jak zaw-

sze ożywiona i rozradowana, ale kiedy siedział naprzeciwko niej w przedziale kolejowym, wydało mu się, że wygląda wątko i mizernie. Ogarnęło go nagle paniczne przerażenie, że matka mu się wymyka i może zniknąć zupełnie. Zapraagnął pochwycić ją, a nawet związać lub przykuć do siebie łańcuchem. Czuł, że za wszelką cenę musi ją mieć w zasięgu swej ręki.

Zbliżali się do miasta. Oboje tkwili w oknie wypatrując katedry.

— Jest, mamó! — zawołał.

Zobaczyli wielki masyw katedry górujący nad całą równiną.

— Ach! — wykrzyknęła pani Morel. — Oto ona!

Spojrzał na matkę. Jej niebieskie oczy spokojnie wpatrywały się w katedrę. Znowu zdawała się być poza jego zasięgiem. Coś z wiekuistego spokoju wyniosłej katedry, szlachetną, zimną sylwetką rysującej się na tle nieba, znajdowało swój refleks w twarzy matki. Był w tym jakiś fatalizm. Co ma być, będzie. Nie był w stanie tego odwrócić, nawet najwyższym wysiłkiem swej młodej woli. Patrzył na twarz matki, wciąż jeszcze świeżą, różową i pokrytą delikatnym meszkiem, na zmarszczki rysujące się w pobliżu oczu, na nieruchome, nieco opuszczone powieki i usta, które były mocno zaciśnięte, z wyrazem rozczarowania. Było w niej to samo wiekuiste wejrzenie, jak gdyby znany był jej ostateczny wyrok przeznaczenia. Buntował się przeciwko temu całą mocą młodej duszy.

— Spójrz, mamó, jak góruje nad miastem! Pomyśl tylko, ile ulic leży w dole. A ona wydaje się większa i potężniejsza niż całe miasto.

— I jest potężniejsza! — zawołała matka, ochoczo wracając do życia. Ale on wciąż widział ją siedzącą spokojnie i patrzącą przez okno na katedrę, z twarzą skupioną i oczami, w których odbijała się świadomość nieubłaganego losu. Zmarszczki wokół jej oczu i mocno zaciśnięte usta doprowadzały go do szaleństwa.

W Lincoln zjedli obiad, co pani Morel uważała po prostu za rozpustę.

— Nie wyobrażaj sobie, że lubię coś podobnego — mówiła jedząc kotlet. — Możesz być pewien, że mi się to wcale nie podoba. Pomyśl tylko, ile pieniędzy zmarnowałeś!

— Nie zawracaj sobie głowy pieniędzmi — odparł. — Zapominasz, że jestem młodzieńcem, który swoją pannę zaprosił na wycieczkę.

I kupił jej bukietek fiołków.

— Uspokój się w tej chwili, jaśnie panie! — protestowała pani Morel. — Nie mogę ci na to wszystko pozwalać!

— Nie masz tu nic do mówienia. Stój spokojnie!

Zatrzymali się na samym środku ulicy i Paweł przypiął jej fiolki do płaszcza.

— Dajże spokój... taka stara baba, jak ja! — broniła się marszcząc nos.

— Zrozum — powiedział — że chciałbym, aby wszyscy myśleli, że jesteśmy wielcy państwo. Miej więc bardzo ważną minę.

— Zdaje się, że zaraz oberwiesz po głowie! — zaśmiała się.

— Cicho! Stąpaj dumnie! — rozkazywał jej. — Napusz się jak paw.

Musiał poświęcić całą godzinę na przejście z nią jednej ulicy. Przystanąła przed Glory Hole, przystanąła przed Stone Bow, słowem przystawała co krok i wykrzykiwała z zachwytem.

Jakiś człowiek podszedł do nich, zdjął kapelusz i ukłonił się pani Morel.

— Czy łaskawa pani pozwoli oprowadzić się po mieście? — zapytał.

— Nie, dziękuję panu — odparła. — Wystarczy mi mój syn.

Paweł robił jej potem wyrzuty, że powinna była wyniosłej potraktować natręta.

— Dajże mi raz spokój! — zawołała pani Morel. — Ach, to pewno jest bóżnica. Słuchaj, Paweł, czy pamiętasz tę lekcję...

Trudno jej było jednak wejść na katedralną górę. Nie zauważył tego. Dopiero po jakimś czasie spostrzegł nagle, że matka nie jest w stanie powiedzieć słowa. Zabrał ją do pobliskiej restauracji, gdzie trochę odpoczęła.

— To nic wielkiego — mówiła. — Po prostu serce na starość odmawia mi posłuszeństwa. Należało się tego spodziewać.

Nic nie odpowiedział, tylko spojrzał na nią. Znowu rozżarzona obręcz zacisnęła mu się na sercu. Chciało mu się płakać i miażdżyć wszystko dokoła z wściekłości.

Poszli dalej wolniutko, krok za krokiem. Ale każdy krok ciążył mu nieznośnie. Zdawało mu się, że serce mu pęknie. Weszli w końcu na sam szczyt wzgórza. Pani Morel stanęła oczarowana, przenosząc wzrok z bramy zamkowej na fronton katedry. Zapamiętała się, całkowicie przejęta podziwem.

— Ależ to jeszcze piękniejsze, niż sądziłam! — zawołała.

On jednak znenawidził katedrę. Szedł za matką krok w krok, zasępiony. W kościele usiedli w ławce, obok siebie. Przysłuchiwali się krótkiemu nabożeństwu i śpiewom. Pani Morel była onieśmielona,

— Mam nadzieję, że każdemu wolno tu siedzieć? — spytała syna.

— Oczywiście — odparł. — A ty może myślałaś, że będą tacy bezczelni, żeby nas stąd wyprosić?

— Jestem pewna, że od razu by to zrobili, gdyby słyszeli, co wygadujesz! — upomniała go.

Podczas nabożeństwa jej twarz rozświetliła się znowu wyrazem szczęścia i spokoju. Ale Paweł cały czas miał ochotę szaleć, wszystko miażdżyć i płakać.

Gdy wkrótce potem, przechyleni przez mur, spoglądali na leżące w dole miasto, wybuchnął nagle:

— Czemu nie można mieć zawsze młodej matki? Co za sens, żeby matka się starzała!

— Wydaje mi się — zaśmiała się pani Morel — że trudno jej coś' na to poradzić.

— No, to czemu nie urodziłem się najstarszym synem? Słuchaj... mówi się zawsze, że młodsze dzieci są szczęśliwsze... ale posłuchaj tylko... przecież tamte mają młodą matkę. Powinnaś była mnie pierwszego urodzić.

— To nie ode mnie zależało — zaprotestowała pani Morel. — Zastanów się, że równie dobrze można winić o to ciebie, jak mnie.

Obrócił się do niej, blady, z rozwścieczonymi oczami.

— Po co się starzejesz? — krzyczał doprowadzony do szaleństwa poczuciem własnej bezradności. — Dlaczego nie możesz chodzić? Dlaczego nie możesz wszędzie mi towarzyszyć?!

— Dawniej — odparła — wbiegłabym pod tę górę dużo łatwiej od ciebie.

— Dużo mi z tego przyjdzie! — wołał tłukąc pięścią w mur. Z kolei począł się użalać: — Jaka ty jesteś niedobra, moja malutka, żeby chorować... jak możesz...

— Choruję! — oburzyła się pani Morel. — Zaczynam się po prostu trochę starzeć, a ty musisz się z tym pogodzić. I to wszystko.

Umilkli. Nie byliby w stanie znieść już niczego więcej. Po podwieczorku wrócił im dobry humor. Gdy siedząc na przystani w Brayford przyglądali się statkom, Paweł opowiedział matce o Klarze. Zaczęła zadawać mu niezliczone pytania.

— Az kim ona wobec tego mieszka?

— Ze swoją matką w Bluebell Hill.

— Czy mają z czego żyć?

— Wydaje mi się, że nie bardzo. Robią, zdaje się, jakieś koronki.

— A na czym polega jej wdzięk, synku?

— Nie wiem właściwie, czy można powiedzieć, że w ogóle ma wdzięk, mamó. Ale jest miła. Wydaje mi się bardzo prosta... rozumiesz... nie jest wcale głęboka... ani trochę.

— Ale jest od ciebie o wiele starsza.

— Ma trzydzieści lat, a ja niedługo skończę dwadzieścia trzy.

— Nie powiedziałaś mi jeszcze, dlaczego ją lubisz.

— Bo sam nie wiem... Może dlatego, że w jej zachowaniu jest jakieś zuchwalstwo... jak gdyby była o coś zła.

Pani Morel długo się nad tym zastanawiała. Bardzo by sobie życzyła, żeby jej syn zakochał się w jakiejś kobiecie, która chciałaby... nie umiała jaśniej sobie tego sprecyzować. Paweł był teraz ciągle zdenerwowany, wpadał nagle w furję albo dla odmiany stawał się melancholijny. Bardzo by chciała, żeby poznał jakąś miłą kobietę... sama w końcu nie wiedziała, czego by chciała, ale wołała pozostawić to nie rozstrzygnięte. W każdym razie myśl o Klarze nie budziła w niej sprzeciwu.

Ania miała także wkrótce wyjść za mąż. Leonard przeniósł się do Birmingham, gdzie dostał pracę. Kiedy pewnego razu przyjechał na niedzielę do domu, pani Morel zauważyła:

— Nie za dobrze jakoś wyglądasz, mój chłopcze.

— A bo trochę dziwnie się czuję — odparł. — Nie mogę sobie miejsca znaleźć, mamó.

Nazywał już od pewnego czasu panią Morel „mamą” z młodzieńczą bez-

pośredniością.

— Czy tylko masz dobre mieszkanie? — dopytywała się troskliwie.

— Ach tak, wszystko jest pod tym względem w porządku. Tylko... To jakoś tak dziwnie nalewać sobie samemu herbatę... i nikt nawet nie gderze, jak przeleję i wszystko się wychłapie... nie wiem czemu, ale cały smak się przez to traci.

Pani Morel roześmiała się.

— I to cię tak gnębi? — zapytała.

— A bo ja wiem... Chciałbym się już ożenić! — wybuchnął nagle wykręcając sobie ze stawów palce i patrząc w dół na czubki własnych bucików. Zapadło milczenie.

— O ile sobie dobrze przypominam, to mówiłeś, że chcesz poczekać do przyszłego roku — powiedziała pani Morel.

— Tak jest. Pamiętam, że to mówiłem — powtórzył uparcie.

Pani Morel znów się zastanowiła.

— Wiesz przecież, Leonardzie — zaczęła po chwili — że z naszej Ani jest trochę rozrzutnica. Oszczędziła wszystkiego jedenaście funtów. O ile wiem, moje dziecko, to i tobie nie bardzo się poszczęściło.

Leonard zaczerwienił się po uszy.

— Uzbierałem trzydzieści trzy funty — powiedział.

— Niedaleko się z tym zajedzie — odparła pani Morel.

Nic na to nie odpowiedział, tylko dalej wykręcał sobie palce.

— I jak ci wiadomo — ciągnęła dalej — ja także nic nie mam...

— Przecież ja nic nie chcę, mam! — zawołał. Był czerwony, nieszczęśliwy i dotknięty.

— Wiem o tym dobrze, mój chłopcze. Żałuję po prostu, że nic nie mam. Odejmijmy jeszcze pięć funtów na wesele i inne wydatki... to zostanie wszystkiego trzydzieści dziewięć. Niewiele za to można zrobić.

W dalszym ciągu bezradnie i uparcie wykręcał sobie palce nie podnosząc spuszczonej głowy.

— Powiedz mi jednak, czy naprawdę chciałbyś się już ożenić? — spytała . pani Morel. — Czy czujesz, że powinienes?

Rzucił na nią jedno krótkie spojrzenie swoich niebieskich oczu.

— Tak — powiedział.

— Wobec tego — zdecydowała pani Morel — musimy wszyscy zrobić, co tylko będzie można, mój chłopcze.

Kiedy znów na nią spojrzał, miał łzy w oczach.

— Nie chciałbym, żeby Ania czuła się pokrzywdzona — powiedział walcząc z sobą.

— Słuchaj, synu — powiedziała pani Morel — jesteś solidny, masz przyzwoitą pracę. Gdybym to ja była niezbędna jakiemuś mężczyźnie, wyszłabym za niego, nawet jeśli by miał tylko ostatnią tygodniówkę w kieszeni. Ani może się wydawać ciężkie, że będziecie skromnie zaczynali. Dziewczęta już są takie. Marzą o pięknym domu po wyjściu za mąż. Ale ja miałam kosztowne meble. To jeszcze nie wszystko.

Ślub odbył się wkrótce. Przyjechał Artur, wspaniale prezentujący się w mundurze. Ania ładnie wyglądała w sukience gołębiego koloru, uszytej skromnie, żeby mogła

nosić ją potem i w niedziele. Morel nazywał ją wariatką, że zdecydowała się wyjść za męża, i był oziębły wobec zięcia. Pani Morel miała przy czepku białą falbankę oraz białe przybranie bluzki i obaj synowie prześladowali ją, że wystroiła się jak wielka dama. Leonard był wesoły i serdeczny, czuł się jednak szalenie głupio. Paweł nie mógł zrozumieć, po co właściwie Ania wychodzi za męża. Byli do siebie bardzo przywiązani. W gruncie rzeczy miał jednak nadzieję, choć była w tym nutka melancholii, że małżeństwo Ani ułoży się pomyślnie. Artur wyglądał zdumiewająco przystojnie w złocie i czerwieni, z czego doskonale zdawał sobie sprawę, choć w skrytości ducha wstydził się swego munduru. Ania wypłakiwała oczy w kuchni na myśl o rozstaniu z matką. Pani Morel również popłakała chwilę, ale potem poklepała córkę po ramieniu mówiąc:

— Przestań płakać, dziecko. Zobaczysz, że Leonard będzie dla ciebie dobry.

Morel tupał nogą i powtarzał, że Ania jest wariatką, że chce opuszczać dom i wiązać sobie życie. Leonard był blady i przejęty. Pani Morel rzekła do niego:

— Powierzam ci ją, mój chłopcze, i czynię cię za nią odpowiedzialnym.

— Może mi mama zaufać — odparł niemal śmiertelnie wyczerpany tym uroczystym ceremoniałem. I na tym się wszystko skończyło.

Kiedy Artur i Morel poszli spać, Paweł zatrzymał się jeszcze na dole na rozmowę z matką, jak to się często im zdarzało.

— Chyba się nie martwisz, że Ania wyszła za męża, co, mamó? — spytał.

— Nie, nie martwię się, ale... wydaje mi się takie dziwne, że odeszła ode mnie i nie będzie jej w domu. Wprost trudno mi się z tym pogodzić, że wolała odejść z Leonardem. Matki są już takie... wiem przecież, że to głupio z mojej strony.

— Ale nie będziesz martwiła się o nią?

— Kiedy pomyślę o moim własnym ślubie, mogę tylko pragnąć, żeby jej życie inaczej się potoczyło — odparła matka.

— Chyba ufasz Leonardowi, że będzie dla niej dobry?

— O, tak. Mówią, że nie jest dość dobrą partią dla Ani. Ale ja uważam, że jeśli mężczyzna jest z natury prawy i uczciwy jak Leonard, a dziewczyna go lubi... to... to wszystko powinno być w porządku. Leonard jest równie zacy jak Ania.

— Nie będziesz się więc martwiła?

— Nigdy nie pozwoliłabym mojej córce wyjść za męża, jeśli nie byłabym pewna, że wybrała sobie człowieka z gruntu prawego i uczciwego. Ale w domu będzie teraz pustka po jej odejściu.

Czuli się oboje nieszczęśliwi i pragnęli, żeby Ania wróciła. Pawłowi zdawało się, że matka wygląda smutno i samotnie w swojej nowej, czarnej, jedwabnej bluzce, przybranej białą koronką.

— Możesz być w każdym razie pewna, mamó, że ja się nigdy nie ożenię — powiedział.

— Tak. Wszyscy tak mówicie, synku. Po prostu nie spotkałeś jeszcze swojej dziewczyny. Ale poczekaj tylko rok, dwa.

— Zobaczysz, że się nie ożenię, mamó. Będę mieszkał z tobą i będziemy mieli służącą.

— Łatwo się to mówi, synku. Ale zobaczymy, co będzie, jak przyjdzie pora.



- Jaka znów pora? Mam już prawie dwadzieścia trzy lata.
- Tak, nie należysz do tych, którzy się wcześniej żenią. Ale za jakieś trzy lata...
- Będę ciągle z tobą, tak samo jak dziś.
- Zobaczymy, synku, zobaczymy...
- Ale nie chciałabyś, żebym się ożenił, prawda?
- Wcale by mi nie było przyjemnie myśleć, że nie masz w życiu nikogo, **kto** by się troszczył i dbał o ciebie... o nie!
- Uważasz więc, że powinienem się ożenić?
- Każdy mężczyzna wcześniej czy później powinien to uczynić.
- Ale wolałabyś, abym to zrobił raczej później?
- Będzie to dla mnie ciężkie... nawet bardzo ciężkie. Mówi się pizecież:

**Syn zostaje synem, póki się nie ożeni,  
A córka jest córką i się nie odmieni...**

- I ty myślisz, że pozwoliłbym, by mnie żona od ciebie odciągnęła?
- No cóż, nie będziesz jej chyba prosił, żeby wyszła za męża jednocześnie za ciebie i za twoją matkę... — Pani Morel uśmiechnęła się.
- r Będzie mogła sobie robić, co zechce. Ale nie wtrącać się między nas.
- Nie będzie się wtrącała... póki cię nie złapie... a potem... przekonasz się.
- Wcale się nie przekonam. Nie ożenię się, póki mam ciebie... ani mi się śni żenić.
- Ale ja wcale nie chcę zostawiać cię samego, synku! — zawołała.
- Dlaczego masz mnie zostawić? Ile ty masz lat? Pięćdziesiąt trzy. Wróżę ci co najmniej siedemdziesiąt pięć. No i widzisz, będę wtedy gruby, będę miał czterdzieści cztery lata i pojnę za żonę jakąś stateczną niewiastę. Pomyśl tylko!
- Matka usiadła i zaśmiała się.
- Idź spać! — powiedziała. — Idź już spać!
- Będziemy mieli ładny domek, ty i ja. Weźmiemy służącą i wszystko będzie wspaniałe. Może zrobię majątek na moim malarstwie.
- Idź już wreszcie spać!
- Będiesz wtedy miała powozik i zaprzęg kucyków. Wyobraź sobie... Będiesz jeździła po mieście niby mała królowa Wiktoria!
- Mówiłam ci już, żebyś szedł spać — śmiała się matka.

Pocałował ją i poszedł na górę. Jego plany na przyszłość były zawsze takie same.

Pani Morel siedziała dalej rozmyślając o córce, o Pawle i o Arturze. Martwiła się utratą Ani. Byli bardzo zżytą rodziną. Pani Morel czuła, że teraz musi żyć dla swoich dzieci. Życie jej stało się takie bogate. Paweł potrzebował jej, Artur również. Artur nie zdawał sobie dotąd sprawy, jak bardzo kocha matkę. Zawsze żył chwilą. Nigdy dotychczas nie miał okazji zastanawiać się nad sobą. Wojsko zdyscyplinowało jego ciało, ale nie duszę. Cieszył się znakomitym zdrowiem i był bardzo przystojny. Jego ciemne, bujne włosy przylegały gładko do kształtnej głowy. Było coś dzieciennego w jego nosie i coś niemal dziewczęcego w ciemnobłękitnych oczach. Ale pod kasztanowatym wąsem kryły się czerwone, pełne usta mężczyzny: szczękę miał silnie zarysowaną. Były to usta ojca, oczy zaś i nos były spuścizną po rodzinie matki — ludziach o

wybitnej urodzie i słabym charakterze. Pani Morel niepokoiła się o niego. Kiedy się raz wreszcie wyszumi, wszystko będzie w porządku. Ale do czego dojdzie w życiu?

Wojsko mu właściwie wcale nie wyszło na dobre. Gorzko buntował się przeciwko despotycznej władzy młodszych oficerów. Cierpiał, kiedy wymagano od niego posłuszeństwa, jak gdyby był zwierzęciem. Miał jednak dość zdrowego rozsądku, żeby nie wierzczać. Dokładał więc wszelkich starań, by urządzić się możliwie najwygodniej. Umiał śpiewać i był wesołym kompanem. Często wpadał w takie czy inne tarapaty, były to jednak męskie sprawy, dające się łatwo załagodzić. Wiódł więc zupełnie przyjemne życie, chociaż jego godność osobista cierpiała dotkliwie. Wierzył, że przystojna twarz, zgrabna figura, ogłada towarzyska i wykształcenie, jakie odebrał, zapewnią mu niemal wszystko, czego pragnął, i w istocie nie zaznał pod tym względem rozczarowania. Wciąż jednak trawił go niepokój. Coś go skrycie gnębiło. Nie mógł usiedzieć na miejscu i nie znosił samotności. Do matki odnosił się z pokorą. Pawła podziwiał, kochał i jednocześnie trochę lekceważył. Paweł zaś podziwiał go, kochał i również trochę lekceważył.

Pani Morel odziedziczyła w spadku po ojcu niewielką sumkę i postanowiła wykupić swego syna z wojska. Artur był nieprzytomny z radości. Zachowywał się teraz zupełnie jak sztubak na wakacjach.

Beata Wyld zawsze mu się podobała i w czasie swego urlopu z wojska odnowił z nią znajomość. Miała obecnie więcej sił i zdrowie jej uległo widocznej poprawie. Często chodzili we dwójkę na długie spacery. Artur prowadził ją pod rękę z wojskową, nieco sztywną galanterią. Czasem Beata przychodziła akompaniować mu na pianinie do śpiewu. Artur rozpinął wtedy kołnierz munduru. Rumieńce występowały mu na policzki i oczy błyszczały, gdy śpiewał. Siadywali zazwyczaj potem obok siebie na kanapie. Artur zdawał się pysznić swym ciałem. Beata była ustawicznie świadoma jego bliskości — jego szerokiej piersi, wciętej talii i ud zgrabnie rysujących się w ciasno opiętych spodniach.

W rozmowach z nią Artur chętnie używał gwary. Beata lubiła wypalić z nim papierosa. Czasem zaś zaciągała się tylko parę razy jego papierosem.

— Nie! — powiedział pewnego wieczoru, kiedy sięgnęła po jego papieros. — Nie ma tak dobrze. Możesz najwyżej dostać całusa z dymem, jeśli masz na to ochotę.

— Nie chcę żadnego całusa, daj mi się tylko zaciągnąć — odparła.

— No to się będziesz mogła zaciągnąć, ale tylko przez całusa — oświadczył Artur.

— Chcę tylko raz pociągnąć! — zawołała starając się wyrwać mu papieros z ust.

Siedzieli tak blisko, że dotykał jej ramieniem. Była drobna, a przy tym szybka jak błyskawica. Zaledwie zdołał jej umknąć.

— Dostaniesz całusa z dymem — upierał się.

— Arturze Morel, jesteś nudny jak flaki z olejem — rzekła Beata wracając na swoje miejsce.

— Chcesz całusa?

Dziarski żołnierz pochylił się ku niej z uśmiechem. Jego twarz znalazła się tuż przy jej twarzy.

— Nie — powiedziała odwracając głowę.

Zaciągnął się mocno papierosem, wysunął wargi i przybliżył je niemal do samej

twarży dziewczyny. Jego ciemnobrązowe, krótko przystrzyżone wąsiki sterczały jak szczyotka. Beata spojrzała na jego stulone, czerwone wargi i, wyrwawszy mu niespodziewanie papierosa, rzuciła się do ucieczki. Skoczył za nią i chwycił grzebień tkwiący z tyłu w jej włosach. Odwróciła się i cisnęła w niego papierosem. Pochwycił go w locie, włożył do ust i z powrotem usiadł na kanapie.

— Ty nieznośny wstręciuchu! — krzyknęła Beata. — Oddaj mi mój grzebień.

Bała się, że jej włosy, specjalnie dla niego ułożone, opadną w dół. Stała trzymając ręce przy głowie. Artur ukrył grzebień między ściśniętymi kolanami.

— Nie mam go — powiedział.

Papieros drżał mu w ustach z tłumionego śmiechu.

— Ty kłamczuchu! — zawołała.

— To święta prawda, jak mnie tu widzisz! — śmiał się rozkładając puste ręce.

— Ty wstrętny diable! — krzyknęła rzucając się do walki o grzebień ukryty między jego kolanami. Kiedy mocowała się z nim szarpiąc gładko opięte kolana, śmiał się tak bardzo, że aż odchylił się w tył na oparcie kanapy. Papieros wypadł mu z ust nieomal parząc mu szyję. Lekko sparzone miejsce piekło go trochę, lecz Artur śmiał się, aż oczy zaszły mu łzami i gardło obrzękło z wysiłku. W końcu wyprostował się. Beata wpinała sobie grzebień we włosy.

— Przyjemnie łaskoczesz, Bibi — powiedział grubiańsko.

Jej drobna, biała ręka mignęła w powietrzu jak błyskawica i uderzyła go w twarz. Poderwał się z kanapy wpatrując się w dziewczynę ponuro. Przez chwilę oboje mierzyli się wzrokiem. Rumieniec oblał jej twarz, spuściła oczy, a potem schyliła głowę. Artur usiadł nadąsany. Beata poszła do umywalni doprowadzić do porządku włosy. Uroniła tam w skrytości kilka łez, sama nie wiedząc czemu.

Wróciła chłodna i wyniosła. Ale była to tylko maska ukrywająca kipiący w niej ogień. Artur z rozburzoną czupryną siedział nadąsany na kanapie. Usiadła w fotelu naprzeciwko niego i żadne z nich nie odzywało się przez chwilę. Tykanie zegara brzmiało w tej ciszy jak uderzenia młota.

— Jesteś małą diablicą, Bibi — powiedział w końcu, na pół usprawiedliwiająco.

— Nie pozwalaj sobie za wiele — odparła.

Znów zapadło dłuższe milczenie. Artur pogwizdywał cicho, mocno wzburzony, lecz nieustępliwy. Nagle Beata wstała, przeszła przez pokój i pocałowała go w policzek.

— Masz, drogie biedactwo! — powiedziała drwiąco.

Podniósł głowę i uśmiechnął się, zaciekawiony.

— Pocałujesz? — poprosił ją.

— Myślisz, żebym się bała? — zapytała.

— No to spróbuj! — prowokował ją.

Zupełnie rozmyślnie, z szczególnym, drżącym uśmiechem, który zdawał się opływać całe jej ciało, położyła usta na jego wargach. W tej samej chwili oplotły ją jego ramiona. Gdy długi pocałunek dobiegł końca, Beata odchyliła w tył głowę, delikatnymi palcami obejmując mu szyję pod rozpiętym kołnierzem munduru. Potem zamknęła oczy zatracając się w następnym pocałunku.

Działała dobrowolnie, z własnej, nieprzymuszonej woli. Robiła, co chciała, nie czyniąc nikogo za to odpowiedzialnym.

Paweł czuł, że otaczające go życie przeobraża się. Zmieniły się warunki i zwyczaje lat dziecińczych. Był to już teraz dom samych dorosłych ludzi. Ania była mężatką. Artur gonił za własnymi przyjemnościami nie opowiadając się rodzinie. Przez długie lata żyli razem w domu i razem spędzali czas na rozrywkach. Obecnie życie Ani i Artura toczyło się poza domem matki. Przyjeżdżali tylko na święta albo na wypoczynek. Dom tchnął więc teraz dziwną pustką jak gniazdo, z którego wyleciały ptaki. W Pawle narastał coraz większy niepokój. Ania i Artur odeszli. Ciągnęło go, aby pójść w ich ślady. Jednakże dla niego dom mógł istnieć jedynie u boku matki. Lecz było jeszcze coś innego, coś poza kręgiem ich życia, czego oczekiwał i pragnął coraz silniej.

Niepokój jego wzmagął się. Miriam nie wystarczała mu już. Dawne, szaleńcze pragnienie, aby jak najwięcej z nią przebywać, osłabło. Klarę spotykał czasem w Nottingham, czasem chodził z nią na zebrania, a czasem widywał w Willey Farm. Przy tych ostatnich okazjach sytuacja stawała się jednak coraz bardziej naprężona. Paweł, Klara i Miriam stanowili trójkąt wiecznej niezgody. W obecności Klary Paweł przybierał uprzejmy, światowy, szyderczy ton, którego Miriam nie znosiła. Nie wchodziło w grę nic z tego, co działo się przed chwilą. Mógł prowadzić z Miriam poufną rozmowę i mogła smucić się z nim razem. Wystarczyło jednak, aby zjawiała się Klara, a wszystko pierzchało i Paweł zwracał się wyłącznie do nowo przybyłej.

Miriam spędziła z nim jeden piękny wieczór przy sianie. Grabił pole i ukończywszy to zajęcie, przyszedł jej pomóc ustawiać siano w kopki. Potem opowiadał jej o swoich planach, nadziejach i zawodach obnażając przed nią całą swą duszę. Miała wrażenie, że ogląda pulsowanie krwi w żywej tkance jego serca. Wszedł księżyc. Wracali do domu. Zdawało się, że Paweł przyszedł do niej, gdyż była mu bardzo potrzebna, ona zaś słuchała go, oddając mu całą swą miłość i wiarę. Pomyślała, że przyniósł jej wszystko, co w nim było najwartościowsze, a ona zachowa ten skarb i będzie go strzegła przez całe życie. Nawet niebo, wieczność i w spokoju czuwające nad swymi gwiazdami, nie może otoczyć ich czulszą pieczęcią niż ona, gdy będzie strzec dobra duszy Pawła Morela. Wracała dalej samotnie, pełna wzniosłych uczuć, czerpiąc ze swej wiary nową radość i szczęście.

Ale następnego dnia zjawiała się Klara. Mieli zjeść podwieczorek na polu. Miriam patrzyła, jak nadchodzący wieczór kładzie na niebie złote blaski i cienie. Paweł przez cały czas żartował i drażnił się z Klarą. Ustawiał coraz wyższe kopki siana, przez które potem przeskakiwali. Miriam nie pociągała ta zabawa, trzymała się więc na uboczu. Edgar, Geoffrey, Maurycy, Klara i Paweł skakali po kolei. Paweł wygrał, dzięki swej lekkości. W Klarze zawrzała krew. Umiała biegać jak prawdziwa amazonka. Pawłowi podobało się zdecydowanie, z jakim Klara rzucała się do kopki siana i przesadzała ją jednym skokiem, lądując po drugiej stronie z falującymi piersiami i bujnymi włosami rozsypanymi w nieładzie.

— Zawadziła pani! — krzyczał. — Widziałem, jak pani zawadziła.

— Wcale nie! — Klara zaczerwieniła się i zwróciła do Edgara: — Prawda, że nie zawadziłam? Prawda, że dobrze skoczyłam?

— A skąd ja mogę wiedzieć — śmiał się Edgar.

Żadne z nich nic chciało się wypowiedzieć.

— Zawadziła pani i przegrała — oświadczył Paweł.

- Nie zawadziłam! — upierała się Klara.
- Widziałem na własne oczy, najwyraźniej na świecie — twierdził Paweł.
- Niech go pan wytarga ode mnie za uszy! — zawołała do Edgara.
- O nie! — zaśmiał się Edgar. — Boję się. Niech pani sama spróbuje.
- I tak nic nie zmieni faktu, że pani zawadziła — śmiał się Paweł.

Była na niego wściekła. Jej drobny triumf, odniesiony na oczach gromadki chłopców i młodych ludzi, został zniweczony. Całą duszą zapamiętała się w tej zabawie. A on chciał teraz umniejszyć jej zwycięstwo.

- Uważam, że jest pan podły — powiedziała.

Znów zaśmiał się w sposób, który był męką dla Miriam.

- Byłem pewien, że pani nie przeskoczy przez tę kopkę — prowokował Klarę.

Odwróciła się do niego plecami. Wszyscy jednak wiedzieli, że jedyną osobą, na której słowa lub obecność reagowała, był Paweł i że to samo działo się z nim w stosunku do niej. Mężczyźni z upodobaniem obserwowali ich walkę. Ale dla Miriam było to męczarnią.

Zrozumiała, że Paweł zamiast wyższych może wybrać pospolitsze wartości. Może zdradzić samego siebie, zdradzić prawdziwego, głębokiego Pawła Morela. Poważne niebezpieczeństwo kryło się w tej budzącej się w nim płochości, w tym gonieniu za własną przyjemnością, podobnie jak to czynił Artur lub jego własny ojciec. Miriam z goryczą myślała, że Paweł gotów jest zapomnieć

o własnej duszy, porwany wesołym nurtem pospolitej przygody Klary. Chodziła więc milcząca i pełna goryczy, gdy tamtych dwoje docinało sobie wzajemnie, w czym przede wszystkim celował Paweł.

Potem jednak, choć nie chciał się do tego przyznać, robiło mu się wstyd samego siebie i kajał się przed Miriam. Ale wkrótce znów się buntował.

— Religia nie polega na tym, żeby być świadomie religijnym — dowodził. — Moim zdaniem najzwyczajniejsza wrona także jest religijna, kiedy wzbija się do nieba. A przecież robi to tylko dlatego, że unosi ją w tym kierunku jakaś siła, a nie dlatego, żeby była świadoma nieśmiertelnego istnienia.

Miriam jednak była przeświadczona, że należy zawsze postępować zgodnie z religią i odnajdywać Boga w każdym przejawie Jego istnienia, obecnego wszędzie i we wszystkim.

— Nie wierzę, aby Bóg wiedział aż tyle o swojej Istocie! — krzyczał Paweł. — Bóg nie wie o wszystkim, on jest wszystkim. Jestem pewien, że Bóg nie może być sentymentalny i drobiazgowy.

Miriam doznała wówczas wrażenia, że Paweł chce dostosować pojęcie Boga do swych teorii, gdyż pragnie iść własną drogą mając przede wszystkim własną przyjemność na względzie. Toczyła się teraz między nimi długotrwała walka. Był jej we wszystkim niewierny, nawet w jej obecności. Wstydział się potem tego i żałował, aby znów ją znienawidzić i odejść. I tak się to bezustannie powtarzało.

Budziła w nim niepokój przenikający do dna duszy. Tam bowiem zachował się jej obraz — smutnej, zamyślanej, uwielbiającej. A on skazywał ją na cierpienie. To żałował jej, to znów nienawidził. Była jego sumieniem i w pewnym stopniu zdawał sobie sprawę, że zyskał sumienie ponad własną miarę. Nie mógł jej opuścić, gdyż z nią wią-

zało się wszystko, co było w nim najlepsze. Z drugiej zaś strony nie mógł przy niej pozostać, bo nie była zdolna pogodzić się z resztą, która stanowiła trzy czwarte jego natury. Podjudzał więc sam siebie do bezwzględnej surowości wobec Miriam.

Kiedy kończyła dwadzieścia jeden lat, napisał list, który jedynie do niej mógł być napisany.

„Pozwól mi ostatni raz mówić o naszej dawnej, minionej miłości. Ona też zmieniła się, prawda? Czy zgadzasz się, że sama istota tego uczucia umarła pozostawiając ci swoją niedosiężną duszę? Zrozum mnie, mogłem ci dać miłość duchową i dawałem ci ją długi, długi czas. Ale nie miłość zmysłową. Zrozum to, jesteś jak mniszka. Dawałem ci to, co mógłbym ofiarować świętej mniszce, gdybym sam był mnichem-mistykiem, a ty uduchowioną mniszką. To jest dla ciebie z pewnością najcenniejsze. A jednak żałujesz... nie, to dawniej żałowałaś... owej drugiej strony. W naszych wzajemnych stosunkach ciało i zmysły nie wchodzi w grę. Nie przemawiam do ciebie poprzez zmysły, raczej tylko duchowo. Oto dlaczego nie możemy się kochać w zwykłym sensie tego słowa. Nasza miłość nie jest codzienna. Jesteśmy jednak tylko zwykłymi śmiertelnikami i nasze wspólne życie byłoby jakimś strasznym błędem, gdyż sam nie wiem dlaczego, ale nie potrafię przy tobie być długo pospolitym, ciągle zaś wznoszenie się ponad poziom byłoby w efekcie tylko przekreśleniem wszelkiego poziomu. Jeśli ludzie się pobierają, to muszą później żyć jak oddani sobie ludzie, którzy obcuja z sobą prosto i naturalnie, bez żadnego skrepowania — a nie jak dwie dusze. Tak przynajmniej ja to rozumiem.

Czy powinienem wysłać ten list?... Nie wiem. Ale jednak... lepiej chyba jest wszystko rozumieć. *Au revoir*

Miriam przeczytała ten list dwa razy, a potem ponownie zapieczętowała kopertę i dopiero w rok później złamała pieczętkę, aby pokazać list matce.

„Jesteś mniszką... jesteś mniszką...” Słowa te wciąż nurtowały w jej sercu. Nigdy jeszcze nie powiedział niczego, co tak głęboko utkwiłoby w jej duszy i jątrzyło się uparcie jak śmiertelna rana.

Odpisała mu w dwa dni po urodzinowym przyjęciu.

„Nasze uczucie byłoby cudowne, gdyby niejedna drobna omyłka — zacytowała w swoim liście. — Czy to była omyłka z mojej strony?”

Odpowiedział jej niemal natychmiast, listownie z Nottingham, przesyłając w tym samym czasie niewielki tomik Omara Chajjama.

„Cieszę się, że mi odpisałaś. Jesteś taka spokojna i naturalna, że aż mnie to zawstydzę. Jakże ja potrafię deklamować! Często brak nam wzajemnego zrozumienia. Myślę jednak, że w zasadniczych sprawach zawsze będziemy jednomyślni.

Dziękuję ci za zainteresowanie moim malarstwem i rysunkami. Wiele szkiców jest tobie zadedykowanych. Liczę zawsze na twoją krytykę, która, ku mojemu wielkiemu wstydowi, a zarazem chwale, z reguły wyraża się w samych pochwałach. Ostatnie zdanie to piękny i udany kalambur. *Au revoir*”.

Taki był koniec pierwszej fazy miłości Pawła. Miał dwadzieścia trzy lata i wciąż jeszcze był dziewiczy, ale instynkt płciowy, który Miriam przez tak długi czas w nim przesubtelniała, stał się obecnie niezwykle silny. Często teraz, kiedy rozmawiał z Klarą Dawes, krew zaczynała mu wrzeć i szybciej krążyć w jego żyłach i doznawał przy

tym dziwnego ucisku w piersiach, jak gdyby rozrastało się tam coś żywego, jakieś nowe ja lub może ośrodek nowej świadomości, ostrzegający go, że wcześniej czy później będzie musiał zwrócić się do tej czy innej kobiety.

Ale on należał do Miriam. Była o tym tak święcie przekonana, że i on w pełni uznawał jej prawa.

TLR

KLARA

Paweł miał dwadzieścia trzy lata, kiedy posłał jeden ze swych pejzaży na wystawę w Zamku, w Nottingham. Panna Jordan okazywała mu w jego zamierzeniach dużo zainteresowania i zapraszała go do siebie do domu, gdzie miał okazję spotykać się z innymi artystami. Budziły się w nim coraz większe ambicje.

Pewnego ranka w domu państwa Morel zjawił się listonosz, właśnie w chwili gdy Paweł mył się w komórcie przy kuchni. Raptem usłyszał nieprzytomny krzyk matki. Wypadł do kuchni i zastał ją na dywaniku przed kominkiem powiewającą jakimś listem i krzyczącą niesamowicie: „Hura!”, jak gdyby nagle oszalała. Paweł stanął wstrząśnięty i przerażony.

— Co się stało, mamó? — zawołał.

Rzuciła się do niego, na chwilę zawisła na jego szyi i znów zaczęła powiewać listem krzycząc:

— Hura, synku! Wiedziałam, że nam się to uda!

Paweł zląkł się jej — drobna, surowa kobieta z siwiejącymi włosami wpadająca nagle w taki szal. Listonosz nadbiegł z powrotem przerażony, że stało się coś złego. Zobaczyli jego spiczastą czapkę migającą nad zazdrostkami w oknie. Pani Morel rzuciła się do drzwi.

— Jego obraz dostał pierwszą nagrodę, Fredzie! — krzyczała. — I został sprzedany za dwadzieścia gwinei!

— Coś podobnego... słowo daję! — zdumiał się młody listonosz, którego znali od powijków.

— A kupił go major Moreton! — krzyczała pani Morel.

— Zdaje mi się, że to naprawdę coś znaczy, daję słowo, pani Morel! — powiedział listonosz, a błękitne oczy iskrzyły mu się radością. Był uszczęśliwiony, że przyniósł taki pomyślny list. Pani Morel wróciła do kuchni i usiadła drżąc ze wzruszenia. Paweł bał się, że matka mogła coś źle zrozumieć w liście i że w końcu spotka go rozczarowanie. Przeczytał uważnie list, raz i drugi. Tak, teraz przekonał się, że to prawda. Usiadł z sercem bijącym z radości.

— Mamo! — zawołał.

— A nie mówiłam, że nam się to uda?! — powtórzyła starając się ukryć łzy.

Paweł zdjął imbryk z ognia i zaparzył herbatę. ; . 'u

— Nie spodziewałaś się, mamó... — zaczął wahająco.

— Nie, synku... nie aż tego... ale dużo sobie obiecywałam.

— Ale nie to — powiedział.

— Nie... nie... ale wiedziałam, że się nam uda!

Odzyskała wreszcie swoje zwykłe panowanie nad sobą, przynajmniej pozornie. Siedział z odwiniętym szeroko kołnierzem koszuli odsłaniającym jego młodą, delikatną jak u dziewczyny, szyję. W rękę trzymał ręcznik, a jego mokre włosy sterczały nastro-



szone w górę.

— Dwadzieścia gwinei, mamó! Właśnie tyle ci było trzeba, żeby wykupić Artura. Nie będziesz teraz musiała pożyczać. Akurat wystarczy!

— Za nic nie wezmę całych twoich pieniędzy — powiedziała.

— A to czemu?

— Bo nie wezmę.

— Jak chcesz... Weź wobec tego dwanaście funtów, a ja będę miał dziewięć.

Spierali się o podział owych dwudziestu gwinei. Matka godziła się wziąć tylko pięć funtów, których jej brakło. Paweł nie chciał o tym nawet słyszeć. W ten sposób, kłócąc się, przebrnęli przez pierwszy moment najsilniejszego wzruszenia.

Morel, przyszedłszy wieczorem do domu z kopalni, powiedział:

— Mówili mi, że Paweł wziął pierwszą nagrodę za swój obraz i sprzedał go lordowi Henrykowi Bentleyowi za pięćdziesiąt funtów.

— Och, czego też ci ludzie nie wymyślą! — zawołała pani Morel.

— Właśnie! — odparł. — Od razu im powiedziałem, że to musi być łgarstwo. Ale upierali się, że im to mówił Fred Hodgkisson.

— Jakbym to ja mu naopowiadała takich bajek!

— Ano, właśnie! — potwierdził Morel.

— Był jednak wyraźnie rozczarowany.

— Że dostał pierwszą nagrodę, to prawda — rzekła pani Morel.

Górnik usiadł ciężko na krześle.

— Wziął, dziękować Bogu! — wykrzyknął.

Patrzył uparcie na żonę.

— Ale co do tych pięćdziesięciu funtów... to nonsens! — Umilkła na chwilę. — Major Moreton kupił obraz za dwadzieścia gwinei i to jest prawda!

— Dwadzieścia gwinei! Kto by to pomyślał! — zawołał Morel.

— Tak. I wart jest tyle.

— No! — rzekł Morel. — Wcale nie wątpię. Ale znów dwadzieścia gwinei za ten kawałek malowidła, które on machnie w godzinę, a najwyżej w dwie...

Umilkł przejęty podziwem dla syna. Pani Morel pociągnęła nosem, jak gdyby uważała to za bagatelkę.

— A kiedy dostanie tę forszę do ręki? — zapytał górnik.

— Tego ci jeszcze nie mogę powiedzieć. Pewno po zakończeniu wystawy, jak odeślą obraz.

Zapanowało milczenie. Morel siedział wpatrzony w cukierniczkę, zamiast jeść obiad. Jego czarne ramię, z dłonią żylastą od pracy, spoczywało na stole. Żona udawała, że nie widzi, jak grzbietem ręki ociera oczy, ani nie dostrzega rozmazanej wilgocią sadzy na czarnej od węgla twarzy męża.

— Tak, a tamten nasz chłopak też nie byłby gorszy, żeby go nie zabili — spokojnie powiedział górnik.

Wspomnienie Williama przeszło matkę na wskroś zimnym ostrzem. Uczuła się znużona i zapragnęła odpoczynku.

Paweł został przez pana Jordana zaproszony na obiad. Powiedział potem matce:

— Muszę mieć wizytowe ubranie, mamó.

— Tak, synku, obawiam się, że ci teraz będzie potrzebne — odparła. Była kontenta. Na chwilę zapanowało milczenie. — Jest w domu garnitur Williama — ciągnęła matka. — Kosztował, jak sam wiesz, cztery funty i dziesięć szylingów, a on miał go wszystkiego trzy razy na sobie.

— Chciałabyś, żebym go nosił, mamó? — spytał Paweł.

— Tak. Myślę, że będzie na ciebie dobry... a w każdym razie marynarka. Spodnie trzeba będzie pewno skrócić.

Poszedł na górę przymierzyć kamizelkę i marynarkę, a kiedy zszedł na dół, wyglądał zabawnie we flanelowym kołnierzyku i codziennej koszuli przy wizytowej marynarce i kamizelce. Ubranie było na niego za luźne.

— Krawiec to dopasuje — powiedziała matka gładząc go dłonią po ramieniu. — To piękny materiał. Nie miałam serca pozwolić ojcu, żeby nosił spodnie od tego ubrania i teraz bardzo się z tego cieszę.

Głaszcząc jedwabny kołnierz marynarki myślała o swoim starszym synu. Ale w tym drugim pulsowało życie pod powłoką ubrania. Przesunęła ręką w dół po jego plecach, chcąc wyczuć go lepiej. Żyje i należy do niej. Tamten umarł. Straciła go na zawsze.

Paweł często chodził na prośzone obiady w swoim wizytowym ubraniu, które dawniej było własnością Williama. Za każdym razem serce matki wzbierało radosną dumą. Zaczynał się wybijać. Spinki, które wraz z dziećmi kupiła kiedyś Williamowi w prezencie, tkwiły teraz w gorsie jego koszuli. Miał na sobie jedną z pięknych koszul Williama. Wyglądał elegancko. Miał grube rysy, ale za to ciepły i ujmujący wyraz twarzy. Nie wyglądał co prawda na wielkiego dżentelmena, ale uważała, że ma prawdziwie męską prezentację.

Opowiadał jej o wszystkim, co się wydarzyło, oraz wszystko, co ludzie mówili. Czowała się tak, jakby tam była, na miejscu. Paweł za wszelką cenę pragnął zaprezentować ją swoim nowym przyjaciołom, którzy obiad jadaliby o pół do ósmej wieczór.

— Też masz pomysły, synku! — broniła się. — A cóż im z tego przyjdzie, że mnie poznają?

— Właśnie, że tak! — krzyczał. — Jeśli im zależy na mnie... a tak twierdzą... to i na tobie, bo jesteś akurat taka sama mądra, jak ja.

— Daj spokój, dziecko! — śmiała się.

Zacząła jednak oszczędzać swoje ręce. One również nosiły ślady ciężkiej pracy. Skóra była świecąca od zbyt częstego zetknięcia z ukropem, a stawy mocno obrzmiały. Ale pani Morel zaczęła teraz chronić je systematycznie przed sodą. Z żalem wspominała, jak wyglądały kiedyś... jakie były drobne i delikatne. Gdy zaś Ania zaczęła nalegać, aby nosiła odpowiednie dla jej wieku, ale modniejsze bluzki, uległa bez specjalnego oporu. Posunęła się nawet tak daleko, że pozwoliła wpiąć sobie we włosy aksamitną kokardę. Pociągnęła tylko potem nosem w swój ironiczny sposób, przeświadczona, że wygląda jak straszdyło. Paweł orzekł, że wygląda jak prawdziwa dama, równie dystygowanie jak pani majorowa Moreton, tylko o wiele, wiele milej. Rodzina Morełów zaczęła wypływać na powierzchnię. Jedynie Morel pozostał taki, jakim był, a raczej powoli staczał się coraz niżej.

Paweł prowadził teraz z matką długie dyskusje o życiu. Zagadnienie religii zaczęło usuwać się na drugi plan. Odrzucił na bok wszelkie teorie, które mogły go krępować,

oczyścił grunt i doszedł do mniej lub więcej uzasadnionego przeświadczenia, że każdy musi we własnym sumieniu rozstrzygać, co jest złe a co dobre, i cierpliwie uświadamiać sobie stopniowo istotę swego Boga. Życie interesowało go obecnie o wiele więcej.

— Wiesz, mamó — powiedział pewnego razu — nie chciałbym należeć do średniej, zamożnej klasy. Wolę swoich prostych ludzi. Należę do prostych ludzi.

— Ale gdyby ci to powiedział ktoś inny, synku, ciekawa jestem, czy nie znalazłbyś się w kropce. Sam dobrze wiesz, że uważasz się za równego każdemu dżentelmenowi.

— Tak, ale wyłącznie duchem — odparł. — Nie uważam się natomiast za równego środowiskiem, wykształceniem ani obyczajami. Mimo to czuję się równy im duchem.

— A zatem wszystko w porządku. Nie rozumiem tylko, po co to całe twoje opowiadanie o prostych ludziach.

— Bo widzisz... różnica między ludźmi nie polega na ich przynależności do jakiegoś środowiska, ale leży w nich samych. Tylko że idee czerpie się wyłącznie z klasy średniej, a od ludzi prostych... samo życie i jego ciepło. Czuje się ich miłość i nienawiść.

— Wszystko to bardzo piękne, mój chłopcze. Powiedz mi więc, czemu nie chodzisz na rozmowy do kompanów twojego ojca?

— Bo oni są inni.

— Wcale nie. To są właśnie zwykli, prości ludzie. A pomijając wszystko inne, z kim się właściwie zadajesz... spośród prostych ludzi? Z tymi, którzy lubią prowadzić dyskusje, tak samo jak robi to klasa średnia. Pozostali cię nie interesują.

— Tak... ale w nich jest życie...

— Wcale nie wierzę, żeby Miriam miała w sobie o krztę życia więcej niż każda wykształcona panna... chociażby panna Moreton. To właśnie ty snobujesz się w swoim poglądzie na przynależność klasową.

Nie tała, że pragnęłaby, aby wszedł do klasy średniej, co, jak wiedziała, nie byłoby dla niego' zbyt trudne. Pragnęła, aby ożenił się w końcu z panną z dobrego domu.

Zacząła teraz zwalczać w nim wiecznie trawiący go niepokój. W dalszym ciągu utrzymywał znajomość z Miriam, nie mogąc zdobyć się ani na zerwanie, ani na ostateczną decyzję zaręczenia się z nią. To ciągle niezdecydowanie zdawało się wyczerpywać w nim wszelką energię. Matka podejrzewała go poza tym o nieświadomą skłonność do Klary, a ponieważ była to mężatka, wolałaby, żeby jej syn zakochał się w jakiejś pannie o szczęśliwszej pozycji socjalnej. Paweł jednak był pod tym względem szczególnie niemądry i nie dość, że zdecydowanie bronił się przed zakochaniem, ale nie pozwalał sobie zachwycać się żadną panną, o ile tylko stała od niego wyżej towarzysko.

— Wiesz co, mój chłopcze — mówiła mu matka — całe to twoje mądrzenie się, że zrywasz z dawnymi poglądami i ujmujesz ster życia we własne ręce, nie zdaje się przynosić ci wiele szczęścia.

— A czym jest szczęście?! — krzyczał. — Nie zależy mi na nim. I co mi ma dać szczęście?

To proste pytanie ją zaniepokoiło.

— To już twoja rzecz o tym decydować, mój chłopcze. Ale gdyby udało ci się spotkać jakąś dobrą kobietę, która potrafiłaby uczynić cię szczęśliwym... i gdybyś zaczął

myśleć o ułożeniu sobie życia... gdy zdobędziesz już odpowiednie środki... tak, żebyś mógł nareszcie pracować bez tego wiecznego niepokoju... byłoby to dla ciebie najlepsze, co może być.

Paweł nachmurzył się. Matka ugodziła w otwartą ranę, jaką dla niego była Miriam. Z oczami palającymi bólem odgarnął zmierzwiłone włosy z czoła.

— Łatwo to sobie wszystko wyobrażasz, mamó! — zawołał. — Oto właśnie typowo kobieca doktryna życia... spokój ducha i materialny dostatek. A ja tym gardzę!

— O, naprawdę gardzisz! — ironicznie zdziwiła się matka. — A twój ideał życia to ów boski niepokój, prawda?

— Tak. Nie obchodzi mnie jego boskość. Ale do diabła z twoim szczęściem! Póki życie jest pełne, wszystko jedno, czy jest szczęśliwe, czy nie. Obawiam się, że twoje szczęście szybko by mi się znudziło.

— Nigdy nie próbowałeś się o tym przekonać — odparła. I nagle jej namiętny niepokój o niego zerwał wszelkie tamy. — Ale to wcale nie jest wszystko jedno! — krzyknęła. — Powinieneś być szczęśliwy, powinieneś się

o to starać i żyć po to, aby być szczęśliwym! Jakżebyś mogła znieść myśl, że twoje życie nie będzie szczęśliwe!

— Twoje było wystarczające złe, mamó, ale nie stałaś się przez to wiele gorsza od tych, którym powiodło się lepiej. W moim przeświadczeniu zdałaś swój życiowy egzamin. I ja jestem taki sam. Czy może uważasz, że jestem na to zbyt słaby?

— Nie, synku. Ale walczysz... walczysz... i cierpisz. To właściwie wszystko, co robisz, o ile zdołałam zauważyć.

— A dlaczego by nie, moja kochana? Mówię ci, że to najlepsze.

— Wcale nie. Każdy człowiek powinien być szczęśliwy... naprawdę powinien.

Pani Morel drżała gwałtownie. Tego rodzaju walki niejednokrotnie już zdarzały się pomiędzy nią a synem, gdy walczyła o jego życie wbrew jego własnemu pragnieniu śmierci. Wziął ją w ramiona. Czuła się chora i nieszczęśliwa.

— To wszystko jest nieważne, maleńka — szeptał czule. — Póki nie uważasz, że życie jest podłe i niegodziwe, reszta się nie liczy, czy to ma być szczęście, czy nieszczęście.

Przytuliła się do niego mocno.

— Ale ja chcę, żebyś był szczęśliwy — powiedziała ze smutnym patosem.

— Ach, moja kochana... powiedz raczej, że chcesz, bym żył.

Pani Morel doznała uczucia, że serce gotowe jej pęknąć z niepokoju o niego. Wiedziała, że w tych warunkach nie będzie żył długo. Była w nim owa niepokojąca obojętność względem samego siebie, własnego życia i cierpienia, która jest formą powolnego samobójstwa. Serce jej nie mogło tego udźwignąć.

Całą mocą swej namiętnej natury nienawidziła Miriam za to, że w nieuchwytny sposób podminowała w nim wszelką radość życia. Nie liczyła się z tym, że Miriam nic na to nie mogła poradzić. Ona to sprawiła, a więc jej nienawidziła z głębi serca.

Jakże pragnęła, aby zakochał się w jakiejś dziewczynie, która byłaby godna stać się jego towarzyszką — która byłaby wykształcona i silna. Ale on nie chciał patrzeć na żadną pannę wyżej od niego stojącą towarzysko. Zdawał się lubić panią Dawes. Było to przynajmniej normalne, zdrowe uczucie. Matka modliła się cierpliwie i wytrwale,

aby go nie musiała utracić. To było całą jej modlitwą. Nie prosiła o dobro duszy lub prawość syna, a tylko i wyłącznie — aby żył. Zwykle spał już dawno, gdy ona rozmyślała i modliła się za niego całymi godzinami.

Paweł oddalał się od Miriam niepostrzeżenie, nie zdając sobie sprawy, że od niej odchodzi. Artur ożenił się, za ledwie zdążył wyjść z wojska. Dziecko urodziło się w sześć miesięcy po ślubie. Pani Morel wystarała mu się o pracę w dawnej firmie, za dwadzieścia jeden szylingów tygodniowo. Z pomocą matki Beaty umeblowała mu mały, dwuizbowy domek. Dał się schwytać na dobre. Mógł wierzgać i bronić się, ile mu się podobało, ale nie miało to praktycznie żadnego znaczenia, był bowiem mocno uwiązany. Przez jakiś czas złościł się i irytował na swoją młodą żonę, która go szczerze kochała. Doprowadzało go do szaleństwa, gdy dziecko, wątłe z natury, krzyczało lub przysparzało jakichś innych kłopotów. Godzinami wyrzekał przed swoją matką. Mówiła mu jednak tylko: „Tak, mój chłopcze, ale masz, czego sam chciałeś. Staraj się teraz, żeby wszystko ułożyło się jak najlepiej”. W końcu jednak odezwała się w nim energia. Zabrał się do roboty, zaczął spełniać swoje obowiązki i pogodził się z myślą, że należy do żony i dziecka. Nigdy nie był zbyt mocno związany ze swoją rodziną. Teraz odszedł od nich na dobre.

Mijały powoli miesiące. Paweł, dzięki znajomości z Klarą, wszedł w mniej lub więcej przyjacielskie stosunki z socjalistami, sufrażystkami i unitarystami w Nottingham. Pewnego dnia przyjaciółka jego i Klary poprosiła, aby przekazał pewną wiadomość pani Dawes. Udał się więc wieczorem przez Sneiton Market do Bluebell Hill. Odnalazł poszukiwany dom w małej, ubogiej, wybrukowanej kocimi łbami uliczce, po której obu stronach biegnęły ciemnoniebieskie pasy wydeptanych cegieł. Frontowe drzwi domów wznosiły się za ledwie

o jeden stopień ponad wyboistym chodnikiem, na którym szurały i dudniły kroki przechodniów. Brązowa farba na drzwiach była tak stara, że miejscami przegładało w szparach surowe drewno. Zatrzymał się na chodniku i uderzył kołatką. Za drzwiami rozległy się czyjeś ciężkie kroki. Wielka, otyła kobieta, około sześćdziesiątki, wyrosła tuż nad nim. Wzniósł na nią oczy stojąc w dole, na chodniku. Twarz jej była surowa.

Wpuściła go do pokoju, który wychodził wprost na ulicę. Była to mała, posępna izdebka, umeblowana mahoniowymi meblami i pełna portretów zmarłych osób rysowanych węglem. Pani Radford wyszła zostawiając go samego. Była bardzo godna, nieomal dostojna. Natychmiast jednak zjawiła się Kia Spłonęła żywym rumieńcem, a jej zmieszanie udzieliło się i jemu. Widocznie lubiła, gdy ją oglądano w domowych warunkach.

— Nie wierzyłam, aby to mógł być naprawdę pana głos — rzekła Klara.

Ale było już jej teraz wszystko jedno. Poprosiła go więc z mauzoleum do kuchni.

Była to również mała i ciemna izdebka, ale cała tonęła w zwojach białej koronki. Matka wróciła już na swoje miejsce przy komodzie i siedziała, wyciągając cienką nici z wielkiego, białego motka. Po jej prawej ręce leżał puszysty kłęb splątanej bawełny, po lewej sterta na cał szerokiej koronki, przed nią zaś piętrzyła się na dywaniku góra koronkowej przędzy. Nitki kędzierzawej bawełny ciągnęły się spośród niezliczonych łokci koronki ponad kratą i okapem kominka. Paweł nie śmiał ruszyć się z miejsca w

obawie, że nadepnie na białą pajęczynę koronek.

Na stole stał przyrząd do nawijania. Obok leżała paczka prostokątnych, brązowych tekturek, druga paczka nawiniętych koronek i małe pudełko szpilek. Na kanapie zaś piętrzyła się sterta zwojów koronki.

Cała izdebka tonęła w koronkach. Było w niej przy tym tak ciemno i duszno, że biała, puszysta powódź jeszcze bardziej rzucała się w oczy.

— Skoro pan się tu dostał, proszę nie zwracać uwagi na naszą pracę — odezwała się pani Radford. — I tak mamy jej wyżej głowy. Ale niech pan siada, proszę bardzo.

Klara, wyraźnie zakłopotana, postawiła mu krzesło pod ścianą. Sama zajęła miejsce na kanapie.

— Wypije pan porteru? — zapytała pani Radford. — Klaro, przynieś panu butelkę.

Paweł zaprotestował, ale pani Radford nalegała w dalszym ciągu.

— Tak pan blade wygląda, że dobrze to panu robi — powiedziała. — Czy nigdy nie miewa pan choć odrobiny rumieńców?

— Mam już po prostu z natury taką grubą skórę, że krew przez nią wcale nie prze-gląda — odparł.

Klara, zakłopotana i zmieszana, podała mu butelkę porteru i szklanę. Nalał sobie trochę ciemnego płynu.

— A więc — powiedział unosząc szklanę — pani zdrowie.

— Dziękuję panu — rzuciła pani Radford.

Pociągnął łyk porteru.

— Proszę też zapalić papierosa, tylko niech pan nie puści przy tej okazji całego do-mu z dymem — zapraszała pani Radford.

— Dziękuję — powiedział.

— Eh, nie ma mi pan za co dziękować — odparła. — Z przyjemnością powącham znów trochę dymu. Moim zdaniem dom, w którym mieszkają tylko same kobiety, jest równie martwy jak dom, w którym wygasł kominek. Nie jestem pajakiem, który chce mieć swój kąt tylko dla siebie. Lubię mieć przy sobie mężczyznę, choćby się nawet nadawał tylko na to, żeby się na niego pozłościć.

Klara zabrała się do pracy. Jej nawijarka kręciła się ze stłumionym warkotem. Biała koronka wysuwała się spod palców Klary i owijała na tekturce. Po chwili tekturka była pełna. Klara ucięła pasmo i przypięła luźny koniec do nawiniętej koronkowej taśmy. Potem włożyła następną tekturkę do nawijarki.

Paweł patrzył na nią. Siedziała dorodna i majestatycznie piękna. Jej szyja i ramiona były obnażone. Wysoko na szyi, za uszami, widać było, jak w jej żyłach krew nadal pulsuje mocno ze wzburzenia. Trzymała głowę nisko schyloną, zmieszana i upokorzona. Wzrok miała utkwiony w robocie. Jej ramiona nabierały lekko kremowej barwy i zdawały się przedziwnie żywe na tle martwej bieli zwojów koronki, a starannie utrzymane ręce pracowały spokojnym, zrównoważonym ruchem, jak gdyby wcale się jej nie śpieszyło. Patrzył na nią cały czas, nie zdając sobie z tego sprawy. Widział łuk, jaki jej szyja tworzyła ramieniem, kiedy pochylała głowę. Widział węzeł ciemnokasz-tanowatych włosów. Widział poruszające się, jaśniejące w mroku ramiona.

— Słyszałam trochę o panu od Klary — ciągnęła matka. — Pracuje pan u Jordana, prawda? — Nie przerywała swojej roboty.

— Tak.

— Ano tak, tak... A ja pamiętam czasy, kiedy Tomasz Jordan zwykł był dopraszać się u mnie cukierka.

— Naprawdę? — zaśmiał się Paweł. — A dostawał?

— Czasem dostawał, a czasem nie... ostatnio coraz rzadziej. Bo on jest z tych, co chcieliby wszystko wziąć, ale nic nie dać. Taki to on jest... a w każdym razie był.

— Uważam go za bardzo przyzwoitego człowieka — rzekł Paweł.

— No, to dobrze... cieszy mnie to.

Pani Radford spojrzała na Pawła uważnie. Była w niej jakaś determinacja, która mu się podobała. Skóra na jej twarzy była zwiotczała, ale oczy patrzyły spokojnie i wyczuwało się w niej jakąś siłę, trudno więc było uważać ją za staruszkę. Zmarszczki i obwisłe policzki zupełnie do niej nie pasowały. Miała siły i spokój kobiety w pełnym rozkwicie życia. Przędła nieprzerwanie koronkę powolnym, statecznym ruchem. Długie zwoje pięły się w natarczywych skrętach po jej fartuchu, a koniec pasma koronki spadał w dół, obok jej kolan. Miała kształtne ramiona, ale skóra na nich była świecąca i pożółkła jak stara kość słoniowa. Brak im było szczególnej matowej jasności, która go tak zachwycała u Klary.

— Chodził pan z Miriam Leivers, prawda? — zapytała pani Radford.

— Hm... — zaczął i urwał.

— To miła dziewczyna — ciągnęła dalej — bardzo miła, ale zbyt oderwana od ziemi, żeby mogła mi się podobać.

— Trochę jest taka — przyznał.

— Nic jej nie zadowoli, póki nie dostanie skrzydeł i nie będzie mogła unosić się nad głowami zwykłych ludzi — mówiła pani Radford.

Klara wmieszała się do rozmowy i Paweł przekazał jej otrzymane polecenie. Rozmawiała z nim pokornie. Zaskoczył ją niespodziewanie na codziennej harówce. Gdy widział ją taką pokorną, czuł, że coś mu każe unosić w górę głowę — jak gdyby w oczekiwaniu.

— Czy pani lubi tę pracę? — zapytał.

— A cóż kobieta może robić lepszego? — odparła gorzko.

— Czy to wyzysk?

— W mniejszym lub większym stopniu. Czyż nie jest tak zawsze, gdy chodzi o pracę kobiet? To jeszcze jeden z nieuczciwych sposobów, na jakie wzięli się mężczyźni, odkąd staramy się przedostać na rynek pracy.

— Już ty sobie nie strzep języka na mężczyznach — wtrąciła się matka. — Gdyby baby nie były głupie, mężczyźni nie byłiby tacy źli, zawsze ci to powtarzam. Żaden mężczyzna nie zrobił mi nic złego... bez tego, żeby zaraz ode mnie nie dostał za swoje z powrotem. Co innego, że to banda hultajów, nie ma co do tego dwóch zdań.

— Ale w gruncie rzeczy niczego im nie można zarzucić, prawda, proszę pani? — zapytał Paweł.

— Ano cóż, są trochę inni niż kobiety — powiedziała pani Radford.

— Czy chciałaby pani wrócić do Jordana? — spytał Paweł Klarę.

— Chyba raczej nie — odparła.

— Na pewno by chciała! — zawołała matka. — Dziękowałaby swojej szczęśliwej

gwieździe, jeśli by jej się udało dostać tam z powrotem. Niech pan jej wcale nie słucha. Ona zawsze chciałaby dosiadać wysokiego konia, ale jej kobyła jest zagłodzona i ma taki wychudzony grzbiet, że ani się obejrzy, jak ją przetnie na pół.

Klara cierpiała przez matkę istne męki. Paweł czuł się tak, jak gdyby nagle otwarły mu się oczy. Czy rzeczywiście nie powinien brać zbyt serio groźnych deklaracji Klary? Nawijała pilnie koronkę. Uczuł nagle radosny skurcz serca, że Klara może potrzebować jego pomocy. Zdawała się odmawiać sobie tak wielu rzeczy w życiu. Jak mechanicznie poruszało się jej ramię, które nie powinno było być wydane na pastwę maszyny, i jak nisko schylała się nad koronką jej głowa, która nigdy nie powinna się była pochylać. Wykonując swą żmudną pracę zdawała się wyrzucona przez życie na mieliznę, wśród bezużytecznego śmiecia. Musiało to jej przysparzać wiele goryczy, że życie zepchnęło ją na bok, jak gdyby była zgoła niepotrzebna. Nic dziwnego, że się buntowała.

Odprowadziła go do drzwi. Stał na nędznej uliczce patrząc w górę, na Klarę. Była taka piękna i miała taką dumną, wspaniałą postawę, że przywiodła mu na myśl zdetrozowaną Junonę. Stała w otwartych drzwiach, obca tej nędznej uliczce i całemu swemu najbliższemu otoczeniu.

— Czy wybierze się pani z panią Hodgkisson do Hucknall?

Mówił coś zupełnie bezmyślnie, byleby tylko patrzeć na nią. Szare oczy Klary napotkały w końcu jego wzrok. Wydawały się nieme w swej pokorze i miały błagalny wyraz istoty nadmiernie umęczonej. Paweł poczuł się do głębi wstrząśnięty i wytrącony z równowagi. Zawsze uważał Klarę za silną i nieugiętą.

Kiedy się z nią pożegnał, miał ochotę puścić się biegiem. Drogę do stacji odbył jak we śnie i znalazł się w domu nie zdając sobie sprawy, że opuścił ulicę, na której Klara mieszkała.

Dowiedział się, że Zuzanna, nadzorczym dziewiarni, ma wkrótce wyjść za mąż. Zapytał ją o to następnego dnia:

— Słuchaj, Zuziu, wpadło mi w uszy, że podobno wybierasz się za mąż. Czy to prawda?

Zuzanna zaczerwieniła się gwałtownie.

— Kto panu o tym mówił? — zapytała.

— Nikt specjalnie. Doszły mnie po prostu takie słuchy, że zamierzasz...

— A więc tak, to rzeczywiście prawda, ale nie potrzebuje pan o tym szeroko rozpowiadać. A w dodatku wolałabym, żeby to nie była prawda.

— Ależ Zuziu, chyba nie chcesz, żebym w to uwierzył.

— Tak pan myśli? A jednak może pan wierzyć, że tak jest, jak mówię. Tysiąc razy wolałabym tu zostać.

Paweł był zaskoczony.

— Czemu, Zuziu?

Dziewczyna zaczerwieniła się po uszy i oczy jej rozblęły.

— No, bo tak!

— Czy wobec tego musisz to robić?

Spojrzała na niego zamiast odpowiedzi. Była w nim jakaś szczególna rzetelność i szlachetność, które zjednywały mu zaufanie kobiet. Pojął od razu.



— Och, przepraszam! — powiedział.

Łzy jej nabiegły do oczu.

— Ale zobaczysz, że wszystko będzie dobrze. Zrobisz, co można, żeby było dobrze — zakończył trochę smutno.

— Nie pozostaje mi nic innego.

— Owszem, można również zrobić wszystko, żeby było jak najgorzej. Staraj się zrobić wszystko, co możliwe, aby było jak najlepiej.

Wkrótce znalazł okazję, żeby znów odwiedzić Klarę.

— Czy miałaby pani ochotę wrócić do Jordana? — zapytał ją.

Odsunęła robotę, złożyła piękne ręce na stole i przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu. Rumieniec wypełzał stopniowo na jej policzki.

— Czemu pan o to pyta? — powiedziała wreszcie.

Paweł poczuł się trochę onieśmielony.

— Zuzanna nosi się z zamiarem opuszczenia fabryki — odparł.

Klara puściła w ruch nawijarkę. Biała koronka drobnymi skokami owijała się na tekturce. Paweł czekał na odpowiedź. Nie podnosząc głowy powiedziała w końcu dziwnie niskim głosem:

— Czy wspominał pan już coś o tym komukolwiek?

— Poza panią nikomu ani słowa.

Znów zapanowało długie milczenie.

— Zgłoszę się, jak się ukaże ogłoszenie — powiedziała.

— Zgłosi się pani wcześniej. Dam pani znać, jak tylko będzie trzeba.

Obracała miarowo swoją maszynkę nie wyrażając sprzeciwu.

Klara wróciła do Jordana. Niektóre dawne robotnice, a w ich liczbie i Fanny, pamiętały jej poprzednie rządy i do wspomnień tych odnosiły się z szczerą niechęcią. Klara była zawsze „lodowata”, sztywna i wyniosła. Nie przyłączała się nigdy do towarzystwa dziewcząt, jako jedna z nich. Jeśli zdarzyło jej się znaleźć błąd, czyniła to chłodno i z idealną uprzejmością, która winowajczyni poczytywała sobie za zniewagę, gorszą od każdej ostrej nagan\ Wobec biednej, przewrażliwionej garbuski Fanny Klara była zawsze niezawodnie współczująca i uprzejma, co w rezultacie kosztowało Fanny o wiele więcej gorzkich łez, niż ich przelała przez ostre języki wszystkich innych nadzorczyń.

Było w Klarze coś, czego Paweł nie lubił, ale wiele rzeczy silnie go w niej pociągało. Kiedy znajdował się blisko, patrzył zawsze na jej mocno zarysowaną szyję albo na kark, na którym wiły się nisko miękkie puszyste włosy. Jej twarz i ramiona pokryte były delikatnym, ledwie widocznym meszkiem i odkąd raz go zauważył, widział go już zawsze.

Czasem, kiedy malował po południu, Klara przychodziła i stawała przy nim, zupełnie nieruchomo. Natychmiast wyczuwał jej obecność, choćby się wcale nie odezwała ani nawet go nie dotknęła. Nie mógł już wtedy dłużej malować. Odrzucał pędzle i odwracał się, aby z nią porozmawiać.

Czasem chwaliła jego pracę, a czasem była chłodna i krytyczna.

— W tym obrazku jest pan afektowany — mawiała. A ponieważ w jej potępieniu było ziarno prawdy, krew gotowała się w nim z oburzenia.

- A co pani o tym sądzi? — pytał następnym razem, rozentuzjasmowany.
- Hm! — chrząkała cicho i niezdecydowanie. — Nie bardzo mnie to interesuje.
- Bo pani tego nie rozumie — ucinał krótko.
- To po co mnie pan w takim razie pyta?
- Bo myślałem, że pani zrozumie.

Wzruszyła ramionami z pogardą dla jego dzieła. Doprowadzała go tym do szału.

Ogarniała go wściekłość. Wymyślał jej i z pasją objaśniał swe prace. Klarę to bawiło i drażniło zarazem. Nigdy jednak nie przyznawała mu, że nie miała racji.

Od dziesięciu lat uczestnicząc w ruchu kobiecym zdobyła pewien zasób wiadomości i mając tak samo jak Miriam ambicję zdobywania wiedzy, opanowała na tyle francuski, że z pewnym trudem mogła czytać książki w tym języku. Uważała się za kobietę samotną i niczym nie związaną ze swoim środowiskiem. Wszystkie dziewczęta pracujące w dziewiarni pochodziły z porządnych rodzin. Było to drobne, specjalne rzemiosło, cieszące się dużą popularnością. W obydwóch salach fabrycznych wyczuwało się pewną oglądę. Ale Klara trzymała się z dala nawet od swoich współtowarzyszek pracy.

Nie zdradzała się jednak z tym przed Pawłem. Nie leżało to w jej naturze, żeby się przed kimś zwierzać. Otaczała ją atmosfera jakiejś tajemniczości. Była tak zamknięta w sobie, że Paweł czuł, iż musi mieć ku temu istotne powody. Historia jej życia była pozornie znana, ale jej głębszy sens pozostawał przed wszystkimi ukryty. Było to ogromnie intrygujące. Od czasu do czasu zdarzało się, że chwycił jej chmurne, badawcze spojrzenie, które na niego rzucała spod ściągniętych brwi, i serce zaczynało mu bić szybciej. Klara często spotykała jego wzrok. Ale oczy jej kryły się zaraz pod powiekami i niczego z nich wyczytać nie było można. Uśmiechała się do niego słabym, łagodnym uśmiechem. Klara ciekawiła go bardzo, gdyż zdawała się posiadać świadomość życia i zakosztowała owoców doświadczenia, które dla niego były dotychczas nieosiągalne.

Pewnego dnia zauważył na jej ławce w fabryce tom powieści „Lettres de mon Moulin”.

- Jak to? To pani czyta po francusku?! — wykrzyknął.

Klara obejrzała się obojętnie. Była zajęta tkaniem elastycznej pończochy z fioletowego jedwabiu i obracała maszynę powolnym, starannie odmierzonym ruchem, pochylając się od czasu do czasu, aby sprawdzić wynik swojej pracy lub ustawić igły. Jej piękna szyja, porośnięta meszkiem i delikatnym puchem ciemnych włosów, jaśniała wówczas olśniewającą bielą na tle fioletowego, lśniącego jedwabiu. Zrobiła jeszcze kilka obrotów i zatrzymała maszynę.

- Co pan mówi? — zapytała uśmiechając się mile.

Oczy Pawła zaiskrzyły się w odpowiedzi na tę jawnie okazywaną mu ironiczną obojętność.

— Nie wiedziałem, że pani czyta po francusku — powiedział uprzedzająco grzecznie.

- Doprawdy? — odparła z lekkim sarkazmem.

- Nadęta gęś! — mruknął, tak jednak cicho, że trudno go było usłyszeć.

Zaciał ze złością usta patrząc na nią. Zdawała się gardzić swoją mechanicznie wy-

konywaną robotą. Pomimo to pończocha utkana była tak doskonale, jak tylko było to możliwe.

— Nie lubi pani pracy na dziewiarce — zauważył.

— Och, każda praca jest dobra — odparła, jak gdyby wszystko w tej dziedzinie było jej dobrze znane.

Jej chłód zdumiewał go. On sam robił wszystko na gorąco. Klara wydawała mu się niezwykłą istotą.

— Co pani wołałaby robić? — zapytał.

Uśmiechnęła się do niego pobłażliwie.

— Jest to tak mało prawdopodobne — powiedziała — żebym kiedykolwiek miała możliwość wyboru, że nigdy się nad tym nie zastanawiam.

— Ba! — teraz on był z kolei ironiczny. — Mówi pani tak, bo jest pani zbyt dumna, aby się przyznać, że czegoś pani pragnie, a nie może osiągnąć.

— Widzę, że dobrze mnie pan poznał — zimno odparła Klara.

— Wiem, że uważa się pani za niesłuchanie ważną i wielką i żyje w ciągłym przekonaniu, że praca w fabryce panią obraża.

Czuł się zawiedziony i był bardzo szorstki. Klara po prostu odwróciła się do niego pogardliwie plecami. Powędrował gwiżdżąc w drugi koniec sali, gdzie zaczął żartować i śmiać się z Hildą.

W chwilę potem pytał sam siebie:

„Czemu właściwie byłem taki opryskliwy wobec Klary? — Był raczej zły na siebie, a jednocześnie odczuwał pewną satysfakcję. — Dobrze jej tak. Mało nie pęknie, tak się dmie” — powtarzał sobie ze złością.

Po południu zszedł znowu na dół. Jakiś ciężar leżał mu na sercu i zapragnął go się pozbyć. Przyszło mu na myśl, że może będzie mu lżej, gdy kupi Klarze czekoladki.

— Czy można panią poczęstować? — zapytał. — Kupiłem sobie trochę słodczy w nadziei, że to dobrze wpłynie na mój charakter.

Ku jego wielkiej uldze przyjęła czekoladkę. Usiadł na ławce obok jej maszyny, okręcając sobie strzępek jedwabiu koło palca. Klara lubiła jego szybkie, niespodziewane ruchy, przypominające młode, rozbrykane zwierzę. Kołysał w zamyśleniu nogami. Czekoladki leżały rozsypane na ławce. Klara nachylała się lekko nad maszyną pracując wytrwale. Od czasu do czasu pochylała się niżej, żeby sprawdzić pończochę, która własnym ciężarem opadała w dół. patrzył na piękny łuk jej przegiętych pleców i na wijące się na podłodze, skręcone końce tasiemek jej fartucha.

— Pani ciągle wydaje się na coś czekać — powiedział. — Cokolwiek by pani robiła, nigdy nie jest pani naprawdę obecna. Czekają pani... jak Penelopa tkająca swą przędzę. — Nie mógł powstrzymać cisnącej mu się na usta złości: — Będę panią nazywał Penelopą — powiedział.

— Czy cokolwiek się przez to zmieni? — zapytała, uważnie wymieniając igłę w maszynie.

— To obojętne, byleby mi się to podobało. Jakoś mi się zdaje, że pani zupełnie zapomina, że jestem jej szefem. Właśnie mi to w tej chwili przyszło na myśl.

— I cóż to ma za znaczenie? — zapytała chłodno.

— To znaczy, że mam prawo zwracać pani uwagę.

— Czy robię coś, co by panu dawało powody do niezadowolenia?  
— Och, czy pani koniecznie musi być zaraz taka nieprzyjemna? — zapytał roz-  
łoszczony.

— Nie rozumiem, o co panu chodzi — odparła nie przerywając pracy. -

— Chcę, żeby się pani do mnie zwracała miło i z szacunkiem.

— Może mam do pana mówić „panie szefie”? — zapytała spokojnie.

— Doskonale, proszę mnie nazywać szefem. Będę zachwycony.

— A więc może będzie pan łaskaw pójść do siebie na górę, panie szefie.

Paweł zacisnął usta i spochmurniał. Zeskoczył nagle z ławki.

— Jest pani taka przekłęcie wyniosła, że nie warto się do pani odzywać — powie-  
dział.

I poszedł do innych dziewcząt. Czuł, że nie było sensu wpadać aż w taką złość. W rezultacie zaczął sam siebie podejrzewać, że urządza demonstracje. Ale jeśli nawet by tak było, będzie je robił nadal. Klara słyszała, jak śmiał się z dziewczętami w sąsiedniej sali w sposób, jakiego nienawidziła.

Kiedy wieczorem przechodził przez pustą dziewiarnię, zobaczył, że jego czekoladki leżały nie tknięte na ławce przy maszynie Klary. Zostawił je tam. Rano leżały nadal, a Klara pracowała pilnie jak zwykle. Trochę później Mimi, drobna brunetka, którą nazywali Kicią, zawołała do Pawła:

— Słuchaj, Paweł, czy nie znajdzie się tam u ciebie przypadkiem jakaś czekoladka?

— Bardzo żałuję, Kiciu — odparł. — Miałem zamiar poczęstować was wczoraj, ale wyszedłem i zupełnie o tym zapomniałem.

— Tak mi się właśnie zdawało.

— Przyniosę ci po południu. Nie masz chyba ochoty na te, które tak długo się tu przeleżały, prawda?

— Ach, nie jestem wybredna! — uśmiechnęła się Kicia.

— O nie! Na pewno już się zakurzyły.

Podszedł do ławki Klary.

— Przepraszam, że zostawiłem tu po sobie ten bałagan — powiedział.

Klara zaczerwieniła się gwałtownie. Zebrał wszystkie czekoladki w garść.

— Teraz już się zakurzyły — rzekł. — Trzeba je było zjeść. Dziwię się, że pani te-  
go nie zrobiła. Miałem, zdaje się, zamiar powiedzieć pani, że zrobiłoby mi to przy-  
jemność.

Wyrzucił czekoladki przez okno na podwórze. Spojrzał przy tym na Klarę przelot-  
nie. Jej oczy umknęły przed jego wzrokiem.

Po południu przyniósł nową torebkę czekoladek.

— Czy zechce pani skosztować? — zapytał częstując Klarę pierwszą. — Te są  
świeże.

Wzięła jedną czekoladkę i położyła ją na ławkę.

— Och, niechże pani weźmie więcej... na szczęście — powiedział.

Wzięła jeszcze kilka i również odłożyła na ławkę. Potem odwróciła się do  
swojej pracy, aby ukryć zmieszanie. Paweł przeszedł dalej, w głąb sali.

— Proszę cię, Kiciu — powiedział. — Tylko nie bądź łakoma!

— Wszystko ma być dla jednej? — krzyczały pozostałe dziewczęta zrywając się ze

swoich miejsc.

— Ależ nie — odparł.

Dziewczęta otoczyły Kicię hałaśliwą gromadą, ale ona im się wyrwała.

— Wynoście się! — krzyknęła. — Ja pierwsza mam prawo wyboru, prawda, Paweł?

— Bądź dla nich miła! — zawołał kierując się do wyjścia.

— Jest pan naszym skarbem! — wołały za nim dziewczęta.

— Za całych dziesięć pensów — odparł.

Minał Klarę bez słowa. Miała wrażenie, że trzy mleczne czekoladki sparzą jej palce, jeśli ich dotknie. Musiała zdobyć się na całą odwagę, aby je wetknąć do kieszeni fartucha.

Dziewczęta lubiły Pawła, ale bały się go zarazem. Był bardzo miły, kiedy był miły, ale jeśli poczuł się czymś urażony, stawał się lodowato zimny i niemal nie dostrzegał swoich pracowników albo traktował je, jak gdyby były szpulkami nici. Jeśli pozwoliły sobie na arogancję, mówił spokojnie: — Może zabrałybyście się trochę do roboty — i stał przyglądając się ich pracy.

Kiedy obchodził dwudzieste trzecie urodziny, w domu było wiele kłopotów. Artur miał się wkrótce ożenić. Matka nie czuła się dobrze. Ojciec, który zrobił się starym człowiekiem i był kaleką wskutek licznych wypadków, dostawał marną, źle płatną robotę. Miriam była wiecznym wyrzutem sumienia. Uważał, że winien się jej poświęcić, ale nie mógł się na to zdobyć. W domu również potrzebowano jego oparcia. Był rozrywany we wszystkich kierunkach. Urodziny wcale go nie cieszyły. Czuł się tylko bardziej rozgoryczony.

Przyszedł do fabryki o ósmej rano. Nie było jeszcze większości personelu. Dziewczęta nie musiały stawiać się do pracy przed wpół do dziewiątej. Zmieniał właśnie marynarke, kiedy usłyszał za sobą czyjś głos.

— Chodź, chodź tu, Pawle! Jesteś mi potrzebny.

Była to garbuska Fanny, która, stojąc na szczycie wiodących do jej sali schodków, uśmiechała się tajemniczo. Paweł spojrzał na nią zdumiony.

— Jesteś mi potrzebny — powtórzyła.

Stał zdezorientowany.

— Chodź prędzej — przywoływała go. — Chodź, nim jeszcze zabierzesz się do poczty.

Zszedł sześć schodków w dół do dusznej i wąskiej „wykańczalni”. Fanny szła przed nim. Jej czarna bluzka była krótka, a stan tak wysoko pod pachami, że zielonkawoczarna, wełniana spódnica wydawała się przesadnie długa, gdy Fanny stąpała zamaszyście wielkimi krokami przed młodym człowiekiem, który był tak harmojnie zbudowany. Podeszła do swego miejsca w końcu sali, skąd okno wychodziło wprost na dymniki. Paweł patrzył na jej chude ręce o zaczerwienionych i spłaszczonych kostkach, szarpiące nerwowo biały fartuch, rozpostarty przed nią na ławce. Wahala się chwilę.

— Może myślałeś, że o tobie zapomnimy? — zapytała z wyrzutem.

— O co ci chodzi? — zdziwił się. Zupełnie w tej chwili nie pamiętał o urodzinach.

— O co mi chodzi? Dobry sobie! O co mi chodzi? No to masz, popatrz tu! — Wskazała na kalendarz, na którym Paweł zobaczył setki małych, pozostawionych czarnym

ołówkiem krzyżyków wokoło dużej, czarnej cyfry „21”.

— O, całusy na moje urodziny! — zaśmiał się. — Skąd się dowiedziałyście?

— Aha, chciałbyś wiedzieć? — Fanny droczyła się z nim uszczęśliwiona. — Masz po jednym całusie od każdej z nas... z wyjątkiem lady Klary... a od niektórych nawet po dwa. Ale nie powiem ci, ile ja ich postawiłam.

— Oho, dobrze wiem, że masz czułe serce — powiedział.

— No to się grubo mylisz! — zawołała Fanny oburzona. — Już ja na pewno taka nie jestem! — Miała mocny, dźwięczny, kontraltowy głos.

— Zawsze udajesz, że masz serce twarde jak kamień — śmiał się Paweł — a sama dobrze wiesz, że jesteś sentymentalna jak...

— Już wolę, żeby mnie nazywano sentymentalną, niż być kawałem mrożonego mięsa — wybuchnęła Fanny. Paweł wiedział, że miała na myśli Klarę,

o uśmiechnął się.

— Czy to o mnie mówisz takie ładne rzeczy? — zażartował.

— O nie, mój mały — odparła garbuska z niezmierną czułością. Miała trzydzieści dziewięć lat. — Nie, złotko, bo ty sobie nie wyobrażasz, że jesteś piękną statuą z marmuru, a my wszystkie zwykłym błotem u jej stóp. Jestem taka sama dobra, jak ty, prawda? — Zapytanie to wprawiło ją w zachwyty.

— No cóż, chyba nikt z nas nie jest lepszy od drugiego, jak ci się zdaje, Fanny? — odparł.

— Ale ja jestem taka sama dobra, jak ty, powiedz! — upierała się zaczepnie.

— Oczywiście, że tak. Jeżeli chodzi o dobroć, to jesteś nawet lepsza.

Fanny była trochę speszona nastrojem, jaki się wytworzył. Lada chwila gotowa była wpaść w histerię.

— Pomyślałam sobie, że będzie lepiej, jak się tu zakradnę przed innymi... Będą mówiły, że jestem chytrus. A teraz zamknij oczy...

— Otwórz usta, a zobaczysz, co ci zsyła Bóg — dokończył stosując swoje czyny do słów i spodziewając się, że mu wpadnie kawałek czekolady. Usłyszał szelest fartucha i słaby brzęk metalu. — Już patrzę, Fanny! — ostrzegł.

Otworzył oczy. Fanny bacznie patrzyła na niego. Jej obwisłe policzki płonęły rumieńcem, a niebieskie oczy błyszczały silnie. Na ławce leżała przed nim garstka tubek z farbami. Zbladł silnie.

— Nie, Fanny — wyrwało mu się gwałtownie.

— To od nas wszystkich — zapewniła go szybko.

— Ależ to...

— Czy są takie, jak trzeba? — zapytała kołysząc się z uciechy.

— Na Boga! Są najlepsze w całym katalogu.

— Ale czy ten gatunek ci odpowiada? — krzyknęła niecierpliwie.

— Wszystkie, co do jednej, figurowałyby na liście, którą bym sobie sporządził, gdyby mi się raptem poszczęściło. — Paweł zagryzł wargi.

Fanny była podniecona do nieprzytomności. Czowała, że musi zmienić temat rozmowy.

— Wszystkie dziewczęta paliły się do tego i każda zaraz zapłaciła swój udział. Wszystkie... z wyjątkiem królowej Saby.

Królową Sabą była Klara.

— A ona nie chciała się do was przyłączyć? - zapytał Paweł.

— Nie miała najmniejszej szansy. Nikt jej nic nie powiedział. Nie miałyśmy wcale ochoty, żeby nami komenderowała i aranżowała całą tę imprezę. Nie chciałyśmy, żeby miała z tym coś wspólnego.

Pawła ubawiło zaciętrzewienie Fanny. Był szczerze wzruszony. W końcu musiał już jednak iść. Fanny stała tuż koło niego. Nagle zarzuciła mu ręce na szyję i ucałowała go gwałtownie.

— Wolno mi ciebie dzisiaj pocałować — powiedziała usprawiedliwiająco. — Zrobiłeś się taki blady, że aż mi się serce krajało.

Paweł pocałował ją i wrócił do siebie na górę. Ramiona Fanny były tak pajęczo chude, że z żalu nad nią ścisnęło mu się serce.

Tego dnia spotkał się z Klarą, gdy zbiegał na dół umyć ręce w porze obiadu.

— Nie poszła pani do domu na obiad! — zawołał zdumiony. Było to u niej coś niezwykłego.

— Nie. I mam takie uczucie, jak gdybym objadła się starych chirurgicznych akcesoriów. Muszę teraz pójść się przejść, bo inaczej będzie mi się wydawało, że jestem cała zrobiona ze starej gumy.

Ociągała się z wyjściem. Paweł natychmiast podchwycił rzucony przez nią projekt.

— Czy ma pani zamiar pójść w jakimś określonym kierunku? — zapytał.

Poszli razem w górę, w kierunku Zamku. Klara ubierała się na ulicę bardzo niewyszukanie, sprawiała niemal wrażenie zaniedbanej. W domu wyglądała zawsze bardzo ładnie. Szła obok Pawła niepewnie, z głową schyloną i odwracając się od niego. Pochylona, wyglądała w swoim zaniedbanym stroju bardzo niekorzystnie. Paweł zaledwie mógł dopatrzeć się w niej owej zazwyczaj silnej, promieniującej ukrytą mocą Klary. Wyglądała niemal niepozornie, gdy rezygnując ze swej pięknej postawy unikała wzroku przechodniów.

Wokół Zamku rozpościerały się ożywczo świeże i zielone ogrody. Wdrapując się stromym podejściem pod górę Paweł śmiał się i żartował. Klara zaś była milcząca i zdawała się nad czymś rozmyślać. Mieli za mało czasu, aby wejść do środka obszernej, czworokątnej budowli, wieńczącej urwisty brzeg skały. Przystanęli, wsparci na murze w miejscu, gdzie grzbiet skały niemal pionowo opadał do leżącego w dole parku. Poniżej muru, w wykruszonych w piaskowym zboczu dziurach, gołębie wygładzały sobie dzióbkami piórka gruchając czule. Daleko w dole, na bulwarze u podnóża skały, rosły w kałużach własnego cienia małe drzewka i przemykały miniaturowe figurki ludzkie, niemal zabawne w swoim poczuciu własnej ważności.

— Patrząc stąd wydaje się, że można by zaczerpnąć tych ludzi pełną garścią jak zwykle kijanki — powiedział Paweł.

Klara śmiejąc się odparła:

— Tak. Nie trzeba daleko chodzić, żeby zobaczyć nas we właściwych proporcjach. Drzewa wydają się dużo dostojniejsze.

— To tylko kwestia rozmiaru — zauważył.

Zaśmiała się cynicznie.

W dali, za bulwarem, wąskie paski metalu znaczyły linię toru kolejowego, zarzuc-

nego po obu stronach niewielkimi stosami drzewa, przy których uwijały się, podobne do zabawek, lokomotywy. Dalej srebrzyły się pasemka kanału rzucone niedbale wśród czarnych hałd. Po drugiej stronie domki, zbite gęsto w płaskiej dolinie rzeki, wyglądały jak czarne trujące polipy, pleniące się w zwartych rzędach i osiadłe gąszczem na grzędach lub wystrzelające tu i ówdzie mocniejszym pędem. Ciągnęły się one aż do miejsca, w którym rzeka zataczała lśniący hieroglif na gołej, odkrytej płaszczyźnie. Strome, urwiste skały na drugim brzegu rzeki wydawały się małe i pozbawione znaczenia. Wielkie połacie ziemi, ciemne w miejscach porośniętych lasem i gdzieś tam tylko rozjaśnione polami zbóż, ciągnęły się aż po majaczące w szarej mgle ciemnoniebieskie szczyty wzgórz.

— Pocieszająca jest myśl — powiedziała pani Dawes — że miasto nie posuwa się dalej. Jak dotąd tworzy tylko niewielką bliznę wśród pól.

— Taki mały liszaj — powiedział Paweł.

Klara wzdygnęła się. Nienawidziła miasta. Kiedy posepnie patrzyła na otwartą równinę, dla niej niedostępną, twarz jej, nieruchoma, blada i zacięta, przypominała Pawłowi oblicze straconego, gorzko, żałującego anioła.

— Ale z miastem jest wszystko w porządku — powiedział. — To tylko uleczałny wrzód. To, co wznosimy teraz, to przejściowe, prymitywne i nieudane wyjście z sytuacji, któreśmy sobie wykoncypowali, nie mogąc jeszcze wpaść na właściwe rozwiązanie. Miasta będą kiedyś piękne.

W rozpadlinach skalnych, między pnącymi się po stoku krzakami, gruchały pieszczotliwie gołębie. Po lewej stronie wznosił w niebo potężne swe wieże kościół Panny Marii dotrzymując w górnych rejonach towarzystwa Zamkowi, wysoko ponad leżącym u ich stóp bezładnym rumowiskiem miasta. Pani Dawes uśmiechnęła się promiennie, patrząc na rozległą przestrzeń w dole.

— Już się czuję lepiej — powiedziała.

— Dziękuję pani! — zawołał. — To prawdziwy komplement.

— O, miły bracie! — zaśmiała się.

— Hm! Że też pani musi zaraz wszystko popsuć — skarżył się żartobliwie.

Zaśmiała się ubawiona.

— Proszę mi teraz powiedzieć, co się pani stało? — zapytał. — Zauważyłem, że coś musiało panią specjalnie dotknąć. Jeszcze teraz widać to na pani twarzy.

— Zdaje mi się, że lepiej, bym panu nic nie mówiła — odparła Klara.

— W porządku. Niech się pani sama tym delektuje — rzekł Paweł.

Zaczerwieniła się i przygryzła wargi.

— No, więc dobrze — powiedziała. — Chodzi po prostu o dziewczęta.

— A cóż one zrobiły? — zapytał Paweł.

— Przez cały tydzień ciągle z sobą spiskowały, a dziś doszło to już chyba do zenitu. Wszystkie są jednakowe. Obrażają mnie swoimi wiecznymi tajemnicami.

— Tak pani sądzi? — zapytał zmartwiony.

— Nic by mnie to nie obchodziło — ciągnęła Klara głuchym, gniewnym głosem — gdyby się z tym ciągle umyślnie przede mną nie obnosiły... że mają swoje sekrety...

— Jak wszystkie kobiety — wtrącił Paweł.

— Te ich podłe spiski przede mną są wstrętne! — zawołała Klara z urazą w głosie.



Paweł milczał. Dobrze wiedział, co było powodem tego spisku. Było mu przykro, że mimo woli stał się przyczyną nowych nieporozumień.

— Mogą mieć swoje sekrety, ile im się podoba — ciągnęła Klara rozżalona — ale mogłyby wstrzymać się od ciągłego przechwalania się tym... Czuję się wtedy jeszcze samotniejsza niż zwykle. To jest... to jest prawie nie do zniesienia.

Paweł myślał przez chwilę. Czuł się bardzo zakłopotany.

— Zaraz pani powiem, o co mi chodzi — rzekł blady ze zdenerwowania. — Dziś są moje urodziny i dostałem od nich piękny komplet olejnych farb... Wszystkie się na to złożyły. Są o panią zazdrosne — poczuł, że Klara ochłodziła przy słowie „zazdrosne” — po prostu dlatego, że czasem przynoszę pani do czytania jakąś książkę — dodał powoli. — Widzi więc pani, że to tylko drobiazg. Niech się pani tym nie przejmuje... bo... — zaśmiał się nagle. — Ciekaw jestem, co by powiedziały, gdyby zobaczyły nas tu teraz razem, po tym swoim wspaniałym zwycięstwie!

Klarę rozgniewała w pierwszej chwili jego niedelikatna aluzja do ich samotnego spaceru. Było to z jego strony prawie bezczelnością. Powiedział to jednak z takim spokojem, że mu wybaczyła, chociaż musiała się przy tym zdobyć na spory wysiłek.

Ich dłonie leżały obok siebie na szorstkiej, kamiennej krawędzi zamkowego muru. Paweł, który odziedziczył drobne kości po matce, miał ręce małe i silne. Ręce Klary były duże, proporcjonalne do jej rosłej sylwetki, ale przy tym białe i zręczne. Patrząc na nie Paweł odgadł Klarę. „Ona potrzebuje kogoś, kto by wziął jej ręce w swoje... mimo że tak nami gardzi” — powiedział sobie w duchu. Ona zaś nie widziała niczego dokoła, wpatrzona w jego ciepłe, energiczne dłonie, które zdawały się istnieć tylko dla niej. Patrzył teraz zasepiony, spod pochmurnie ściągniętych brwi, na leżący w dole krajobraz. Interesująca różnorodność kształtów zatarła się i znikła. Pozostała tylko ogromna, ciemna płaszczyzna nieszczęścia i smutku, obejmująca na równi wszystko — domy, rzekę, ludzi i ptaki. Wszystko to różniło się między sobą jedynie kształtem. Teraz zaś, kiedy zatarły się wszelkie kontury, pozostała jedynie bezkształtna masa wypełniająca całą przestrzeń przed nimi — posepny ogrom walki i cierpienia. Fabryka, dziewczęta, miasta, wielki wznoszący swe wieże w niebo kościół, mroczny gąszcz miasta — wszystko tonęło w ciężkiej zadumie smutku i bólu, aż po najdrobniejszą cząsteczkę.

— Czyżby to już była druga? — zawołała ze zdumieniem pani Dawes.

Paweł wstrząsnął się i natychmiast wszystko wskoczyło z powrotem w zwykłe ramy, odzyskując swe indywidualne kształty, błahość i wesoły, pogodny wygląd.

Pośpieszyli z powrotem do pracy.

Paweł przygotowywał właśnie gorączkowo wieczorną pocztę i kontrolował pachnące jeszcze gorącym żelazkiem stopy pończoch z sali Fanny, gdy zjawił się listonosz z wieczornego obchodu.

— Pan Paweł Morel — powiedział z uśmiechem, wręczając Pawłowi paczkę. — Kobiece pismo! Niech się pan strzeże, żeby nie zobaczyły tego dziewczęta.

Listonosz, który sam był faworytem dziewcząt, lubił żartować z ich sympatii dla Pawła.

W paczce był tom poezji z krótką kartką: „Proszę przyjąć ode mnie ten drobiazg i wybawić mnie w ten sposób z mego przykrego odosobnienia. Ja również dołączam się

do ogólnych wyrazów sympatii i życzeń Panu wszystkiego dobrego. K. D.”

Paweł oblał się gorącym rumieńcem:

— O Boże! Klara Dawes. Ależ jej nie stać na podobne prezenty. Mój Boże, kto by to pomyślał!

Poczuł się nagle głęboko wzruszony. Wspomnienie ciepła bijącego od Klary przeniknęło go na wskroś. Przejęty żarem czuł jej bliskość, niemal tak, jak gdyby była przy nim — jej ręce, ramiona, piersi... widział je, wyczuwał ich kształty, wchłaniał w siebie.

Ten serdeczniejszy odruch Klary doprowadził do znacznego zacieśnienia ich wzajemnych stosunków. Wszystkie pozostałe dziewczęta zauważyły, że gdy Paweł spotykał panią Dawes, oczy jego wybiegały ku niej z wyrazem jakiegoś szczególnego, radosnego powitania, którego przyczyn nie mogły się domyślić. Wiedząc, że czyni to nieświadomie, Klara nie brała mu tego za złe i jedynie odwracała głowę, kiedy się zbliżał.

Często teraz wychodzili razem w czasie przerwy obiadowej. Robili to jawnie i otwarcie. Wszyscy woleli wierzyć, że Paweł nie zdaje sobie sprawy ze stanu swych uczuć, i nie dopatrywali się w tym niczego złego. Paweł rozmawiał teraz z Klarą z podobnym zapałem jak dawniej z Miriam, ale dużo mniejszą do tych rozmów przywiązywał wagę. Nie zależało mu na tym, jakie z nich ostatecznie wyciągnie konkluzje.

Pewnego październikowego popołudnia wybrali się do Lambley na podwieczorek. Na szczycie wzgórza zatrzymali się nieoczekiwanie. Paweł wdrapał się i usiadł na furtce, Klara usadowiła się na jakimś pieńku. Popołudnie było niezwykle ciche, owiane lekką mgiełką, w której lśniły pożółkłe liście. Oboje byli w milczącym nastroju.

— Ile pani miała lat, kiedy wychodziła pani za męża? — zapytał Paweł spokojnie.

— Dwadzieścia dwa.

Jej głos był stłumiony, niemal uległy. Teraz powie mu wszystko.

— Czyli przed ośmiu laty?

— Tak.

— A kiedy pani od niego odeszła?

— Trzy lata temu.

— Pięć lat! Czy pani go kochała, kiedy za niego wychodziła?

Klara milczała przez dłuższą chwilę, a potem powiedziała powoli:

— Tak mi się wydawało... Nie bardzo się nad tym zastanawiałam. On mnie pragnął. Byłam wtedy bardzo nieśmiała.

— I pani weszła w to wszystko ot, tak sobie, wcale się nad tym nie zastanawiając?

— Tak. Całe moje poprzednie życie było jak gdyby snem.

— Somnambulizm? A kiedy się pani właściwie przebudziła?

— Nie wiem, czy w ogóle się obudziłam, czy też zostałam obudzona... od czasu mego dzieciństwa.

— To znaczy, że zasnęła pani wówczas, kiedy zaczęła przeobrażać się w kobietę? Jakie to dziwne. A on pani nie zbudził?

— Nie. Nigdy tam nie sięgnął... — odparła bezdźwięcznie.

Nad żywopłotem, na którym widniały z daleka szkarłatne, ogołoczone korale głogu, przemknęły jakieś brunatne ptaki.

— Nie sięgnął gdzie? — zapytał Paweł.

— We mnie. W głąb mojej duszy. Nigdy nic dla mnie naprawdę nie znaczył.

Popołudnie było niezwykle łagodne. W powietrzu wisiała lekka mgiełka. Czerwone dachy domów płonęły wpośród niebieskiej mgły. Paweł uwielbiał taką pogodę. Wyczuwał sens, ale nie mógł pojąć tego, co mówiła Klara.

— Ale czemu pani od niego odeszła? Czy był dla pani wstrętny?

Klara lekko zadrżała.

— On... on mnie jak gdyby degradował. Próbował mnie tyranizować, bo nie mógł zapanować nade mną... A ja czułam się tak, jak gdybym chciała uciec... ale byłam skrepowana i uwiązana. A poza tym budził we mnie wstręt.

— Rozumiem — powiedział Paweł.

Ale właściwie nic nie rozumiał.

— A czy zawsze budził w pani wstręt?

— Może trochę... — odparła powoli. — A potem wydawało się, że już nigdy nie będzie mógł do mnie dotrzeć... tak naprawdę. I wtedy zrobił się brutalny... Był brutalny!

— Ale dlaczego pani od niego ostatecznie odeszła?

— Bo... bo mnie zdradził...

Oboje milczeli przez chwilę. Klara, kołysząc się lekko, oparła rękę na słupie furtki, Paweł położył na niej swoją dłoń. Serce biło mu szybko.

— Ale czy pani... czy była pani... czy dała mu pani kiedykolwiek szansę?

— Szansę? Jaka?

— Zbliżyć się do siebie.

— Wyszłam za niego za męża... i byłam gotowa...

Oboje starali się utrzymać normalny ton głosu.

— Myślę, że on panią kocha — powiedział Paweł.

— Tak się zdaje — odparła.

Chciał cofnąć rękę, ale nie mógł tego zrobić. Klara pomogła mu usuwając swoją. Po chwili milczenia znów zaczął mówić:

— Czy przez cały ten czas nie brała go pani w ogóle w rachubę?

— To on mnie rzucił — powiedziała Klara.

— Mam wrażenie, że w żaden sposób nie mógł do tego doprowadzić, aby stać się dla pani wszystkim w życiu.

— Próbował nakłonić mnie do tego groźbami.

Rozmowa ta poruszyła oboje do głębi. Nagle Paweł zeskoczył na ziemię.

— Chodźmy dalej — powiedział. — Pora na podwieczorek.

Znaleźli jakąś małą gospodę i usiedli w chłodnej salce. Klara nalewała herbatę. Była milcząca. Paweł czuł, że znów zamknęła się w sobie. Wypiwszy herbatę wpatrywała się pośepnie w dno pustej filiżanki, przez cały czas machinalnie obracając na palcu ślubną obrączkę. Pograżona w zadumie, ściągnęła obrączkę, postawiła ją na stole i zakręciła. Złote kółeczko przemieniło się w przejrzystą, świecąca kulkę. Po chwili upadło i na stole drżał zwykły pierścionek. Klara raz po raz wprawiała w ruch obrączkę. Paweł patrzył jak urzeczony.

Ale Klara była mężatką, a on wierzył w przyjaźń. Uważał, że zachowuje się w stosunku do niej nienagannie. Była to tylko przyjaźń między kobietą i mężczyzną, do jakiej każdy cywilizowany człowiek winien być zdolny.

Był taki sam, jak wielu jego rówieśników. Popęd płciowy uległ w nim takiemu skomplikowaniu, że gotów był gwałtownie zaprzeczać, aby kiedykolwiek mógł pożądać Klary, Miriam czy którejkolwiek innej znanej mu kobiety. Pożądanie płciowe było dla niego pojęciem oderwanym, nie wiążącym się z żadną kobietą. Kochał Miriam miłością duchową. Myśl o Klarze budziła w nim ciepło, walczył z nią i tak dokładnie pamiętał linię jej piersi i ramion, jak gdyby je w swej wyobraźni modelował. Nie było to jednak konkretne pożądanie. Zaprzeczyłby temu z całą stanowczością. Uważał się za związanego z Miriam. Gdyby się w ogóle miał kiedyś ożenić... kiedyś w odległej przyszłości... jego obowiązkiem byłoby ożenić się z Miriam. Dał to Klarze wyraźnie do zrozumienia, a ona nic nie odpowiedziała, pozostawiając mu całkowitą swobodę sądu. Przychodził do niej, do pani Dawes, kiedy tylko mógł. Do Miriam pisywał często i odwiedzał ją od czasu do czasu. Spędził w ten sposób całą zimę, wydawał się jednak dużo spokojniejszy. Matka też z lżejszym sercem o nim myślała. Sądziła, że zaczął oddalać się od Miriam.

Miriam widziała teraz, jak silnie pociąga go Klara. Była jednak w dalszym ciągu przekonana, że zwycięży lepsza strona jego natury. Jego uczucie do pani Dawes — która w dodatku była mężatką — było płytkie i nietrwałe w porównaniu z miłością do niej. Była pewna, że do niej wróci, być może utraciwszy nieco ze swej młodzieńczej świeżości, ale za to uleczony z pragnień niższego rzędu, które inne kobiety mogły zaspokoić. Gotowa była znieść to wszystko, o ile tylko duchowo pozostanie jej wierny i w końcu do niej powróci.

Paweł nie widział w swym postępowaniu nic anormalnego. Miriam była jego długoletnią przyjaciółką i miłością, należała do Bestwood i była związana z jego domem

oraz wczesną młodością. Klara była nowszą przyjacią, należała do Nottingham i była związana z życiem, ze światem. Wydawało mu się to zupełnie oczywiste.

W jego stosunkach z panią Dawes często zdarzały się dłuższe lub krótsze okresy ochłodzenia, w czasie których rzadko się widywali. Zawsze jednak w końcu do siebie wracali.

— Czy była pani bardzo niedobra dla Baxtera Dawesa? — zapytał ją.

Sprawa ta zdawała się niepokoić go w dalszym ciągu.

— Jak to?

— Ach, sam nie wiem. Ale czy nie była pani dla niego zbyt surowa? Czy nie zrobiła pani czegoś, co nim do reszty zachwiało?

— Ale konkretnie, czego?

— Czegoś, przez co zaczął się czuć kompletnym zerem, po prostu nikim... już ja to wiem — oświadczył Paweł.

— Jest pan niezwykle mądry, mój przyjacielu — chłodno odparła Klara.

Na tym urwała się ich rozmowa. Ale Klara traktowała go potem przez pewien czas ozięble.

Z Miriam widywały się teraz rzadko. Ich przyjaźń nie została zerwana, ale znacznie osłabła.

— Czy będzie pan na koncercie w niedzielę po południu? — spytała Klara Pawła wkrótce po świętach Bożego Narodzenia.

— Przyrzekłem być w Willey Farm — odparł.

— Och, naturalnie.

— Nie ma chyba pani nic przeciwko temu? — zapytał.

— Skądże znowu... — odparła Klara.

Poczuł się niemal dotknięty.

— Widzi pani — powiedział — miałem szesnaście lat, kiedy zaczęliśmy się - przyjaźnić z Miriam... to już siedem lat.

— Tak, to bardzo długo.

— Ale ona jakoś... jakoś to nie wychodzi...

— Czemu? — spytała Klara.

— Bo to jest trochę tak, jak gdyby bezustannie i systematycznie wszystko ze mnie wysysała... jak gdyby nie mogła dopuścić, żeby choć jeden włos samowolnie spadł mi z głowy i pofrunął z wiatrem... zaraz by go pochwyciła.

— Pan lubi taką niewolę?

— Wcale nie — odparł. — Ani trochę. Pragnąłbym, żeby to było normalne... brać i dawać... tak jak my dwoje... ja i pani. Lubię, żeby mnie kobieta mocno trzymała przy sobie, ale nie chcę, żeby mnie przechowywała w swojej kieszonce.

— Tak, tylko jeśli pan ją kocha, nie może to być takie zupełnie normalne... jak między mną i panem.

— Ależ owszem. I dużo więcej bym ją wtedy kochał. Ona tak pragnie mnie zagarnąć, że nie jestem w stanie dać jej siebie.

— Jak to?

— Chce wyciągnąć całą duszę ze mnie. Muszę się przed tym instynktownie bronić.

— A jednak ją pan kocha.

- Nie. Nie kocham jej. Nigdy jej nawet nie pocałowałem.
  - Dlaczego? — zapytała Klara.
  - Nie wiem.
  - Przypuszczam, że brak panu odwagi.
  - Nie, nic podobnego. Tylko coś tak piekielnie się we mnie przeciwko niej buntuje... Ona jest taka dobra, a ja nie jestem dobry.
  - Skąd pan wie, jaka ona jest?
  - Wiem! Ona pragnie czegoś w rodzaju duchowego zjednoczenia.
  - Ale skąd pan może wiedzieć, czego ona pragnie?
  - Chodziłem z nią siedem lat.
  - I nie dowiedział się pan o niej najważniejszej rzeczy.
  - A mianowicie czego?
  - Że ona wcale nie pragnie tej pańskiej komunii dusz. Wszystko to jest tylko pana własną wyobraźnią. Ona pragnie pana.
- Przez chwilę zastanawiał się nad jej słowami. Może naprawdę się mylił
- Ależ ona...
  - Nigdy pan nie spróbował — odparła Klara.

### PRÓBA MIRIAM

Z nadejściem wiosny wróciło znów dawne szaleństwo i dawna walka. Paweł zdawał sobie sprawę, że będzie musiał bywać częściej u Miriam. Ale na czym właściwie polegała jego niechęć? Tłumaczył sobie, że było to tylko winą nadmiernie wybudanej w nim i w Miriam dziewiczości, której żadne z nich nie umiało w sobie przełamać. Mógł się z nią ożenić. Ale było to dość trudne z uwagi na jego sytuację domową, a ponadto właściwie nie pragnął się żenić. Małżeństwo jest związkiem na całe życie, oni zaś z Miriam byli parą bliskich przyjaciół i Pawłowi wcale nie zdawało się, że ich przyjaźń nieodwołalnie musi skończyć się małżeństwem. Nie miał chęci żenić się z Miriam. Pragnąłby, żeby tak było. Wiele by za to oddał, by zbudziła się w nim żywa, radosna chęć poślubienia i posiadania Miriam. Czemu więc nie mógł tej chęci w sobie wzbudzić? Istniała jakaś przeszkoda, ale na czym ona polegała? Przyczyny należało szukać w więzach natury fizycznej. Paweł wzdrygnął się na samą myśl o fizycznym kontakcie. Ale dlaczego? Będąc z Miriam czuł się wewnętrznie skrępowany. Nie umiał się wyzwolić i zbliżyć do niej. Toczył z sobą walkę, ale nie mógł się zdobyć na zbliżenie do niej. Dlaczego? Przecież go kochała. Klara mówiła, że Miriam go nawet pragnie. Czemu więc nie umiał po prostu pójść do niej, pieścić ją i całować? Czemu, gdy idąc obok niego, nieśmiało wsuwała mu rękę pod ramię, miał ochotę brutalnie wybuchnąć sprzeciwem? Sam przyznawał, że do niej należy. Chciał do niej należeć. Może więc ów wewnętrzny sprzeciw i opór były symptomem uczucia, w jego pierwszym stadium gwałtownej wstydlivosti? Nie żywił do Miriam wstrętu. Nie, wręcz przeciwnie — była to silna żądza, walcząca z jeszcze silniejszym wstydem i oporami dziewiczości. Było to tak, jak gdyby dziewiczość była realną potęgą, która buntowała się i zwyciężała w nich obojgu. Czuł, że szczególnie trudno mu ją pokonać właśnie w stosunku do Miriam. Zarazem jednak był z Miriam najbliżej i jedynie z jej pomocą mógł całkowicie świadomie starać się to w sobie przezwyciężyć. Czuł, że należy do Miriam. Gdyby więc udało mu się pomyślnie ułożyć swoje sprawy, mogliby się pobrać. Ale on nie ożeni się, jeśli nie będzie czuł, że czyni to z radością — za nic w świecie. Nie mógłby matce spojrzeć w oczy. Wydawało mu się, że poświęcenie się w niepożądanym małżeństwie byłoby poniżające i przekreśliłoby całe jego życie, sprowadzając je do kompletnej nicości. Wolał więc jeszcze zaczekać.

Miał dla Miriam wiele czułości. Była teraz zawsze smutna i zatopiona w swoich religijnych rozważaniach. On zaś również był dla niej do pewnego stopnia religią. Czuł, że nie potrafi jej zawieść. Ale wszystko ułoży się dobrze, jeżeli tylko będą się o to oboje starali.

Rozglądał się wokół siebie. Najwartościowsi spośród znanych mu młodych ludzi byli jak on skrępowani swoją dziewiczością, z której więzów nie umieli się oswobodzić. Byli tak przewrażliwieni w stosunku do bliskich im kobiet, że woleliby raczej wyrzec się ich na zawsze, aniżeli zranić je lub skrzywdzić. Byli synami matek, których mężowie dość brutalnie gwałcili wszelkie niewieście świętości i w przeciwnie-

stwie do swych ojców sami stali się zbyt skromni i nieśmiali. Łatwiej im było zrezygnować ze swych pragnień, niż narazić się na wymówkę kobiety. Każda bowiem kobieta była podobna do ich matki, oni zaś byli swym matkom całą duszą oddani. Woleli więc raczej cierpieć przykre strony celibatu, aniżeli narażać drugą osobę.

Paweł wrócił do Miriam. Było w niej coś, co pobudzało go do łez, gdy na nią patrzył. Pewnego dnia stał za nią, kiedy śpiewała. Ania grała na fortepianie jakąś pieśń. Usta śpiewającej Miriam zdawały się dziwnie bezradne. Śpiewała jak mniszka ofiarująca swą pieśń niebiosom. Wyraz jej oczu i ust tak był uduchowiony, że przypominał mu anioła z obrazu Botticellego, wielbiącego Madonnę. Znow przeszył go ostry, kłujący ból. Czemu musi się od niej domagać owej drugiej strony miłości? Czemu burzy się w nim krew na jej widok? Dałby sobie uciąć prawą rękę, żeby tylko mógł być zawsze dla niej czuły i dobry oraz przebywać z nią w sferze marzeń i podniosłych religijnych nastrojów. Zranić ją byłoby czymś niegodnym. Było w niej coś wieczyście dziewczęcego. Ilekroć zdarzyło mu się pomyśleć o jej matce, widział wielkie, brązowe oczy zatrwożonej i spłoszonej dziewczyny, wciąż jeszcze nieświadomej życia — pomimo siedmiorga dzieci, które urodziła. Jak gdyby urodziły się bez jej udziału — nie z niej, lecz całkowicie poza nią. Nigdy więc nie mogła pozwolić im od siebie odejść, jako że ich nie posiadała.

Pani Morel spostrzegła, że Paweł znow często odwiedza Miriam, i była tym zdziwiona. Nie mówił z nią na ten temat. Nie tłumaczył i nie usprawiedliwiał się przed nią. Jeśli wracał do domu późno i matka robiła mu wymówki, marszczył brwi i odpowiadał jej ostro:

- Będę wracał, o której mi się podoba! — oświadczał. — Nie jestem dzieckiem.
- Czy ona koniecznie musi trzymać cię tak długo?
- To ja siedzę tak długo.
- A ona ci pozwala? Ale bardzo dobrze, rób, co chcesz — mówiła matka.

Kładła się teraz spać nie czekając na niego i zostawiała mu drzwi otwarte, leżała jednak nasłuchując, póki nie wrócił, a czasem jeszcze długo potem nie spała. Czuła się bardzo rozgoryczona, że znow wrócił do Miriam. Zdawała sobie sprawę z bezcelowości wszelkiej dalszej ingerencji. Chodził teraz do Willey Farm jako dorosły mężczyzna, niejako chłopak. Nie miała już nad nim władzy. Zapanowało między nimi duże ochłodzenie. Nie zwierzał się przed nią prawie z niczego. Pominięta, usługiwała mu w dalszym ciągu, dbała o jego posiłki i z przyjemnością zamezczała się dla niego, ale twarz jej znow stała się nieprzenikniona jak maska. Nic już jej obecnie nie pozostawało poza gospodarstwem. Jej syn po wszystko inne zwrócił się do Miriam. Nie mogła mu tego darować. Miriam zabijała w nim wszelkie ciepło i całą radość życia. Był dawniej takim wesołym, czule przywiązanym chłopcem, a teraz stawał się coraz ozięblejszy, coraz bardziej nerwowy i posepny. Przypominało jej to Williama, ale z Pawłem było jeszcze o wiele gorzej. Angażował się we wszystko uczuciowo w dużo większym stopniu i znacznie lepiej wiedział, do czego dąży. Matka zdawała sobie sprawę, jak męczy go pragnienie kobiety, i wiedziała, że znow zaczął chodzić do Miriam. Gdyby raz powziął jakieś postanowienie, żadna siła nie mogłaby go od tego odwieść. Pani Morel była zmęczona. Zaczęła się w końcu poddawać. Wszystko się już dla niej skończyło. Czuła się tylko zawada.



Paweł trwał zdecydowanie przy swoim. Mniej lub więcej dokładnie zdawał sobie sprawę z tego, co czuje matka. Ale czyniło go to tylko jeszcze bezwzględniejszym. Starał się być nieczuły i nie zwracać uwagi na matkę, ale w praktyce było to tak, jak gdyby nie zwracał uwagi na własne zdrowie. Wkrótce podkopało to jego siły. Trwał jednak uparcie przy swoim.

Ktoregoś wieczoru leżał oparty wygodnie w fotelu na biegunach w Willey Farm. Od kilku tygodni wiele z Miriam rozmawiał, nie poruszył jednak jeszcze zasadniczego tematu. Teraz powiedział nagle:

— Mam już prawie dwadzieścia cztery lata.

Miriam siedziała pogrążona w swych myślach. Spojrzała na niego zaskoczona.

— Tak. Ale czemu mi to mówisz?

W napiętej atmosferze wyczuwała coś, czego się obawiała.

— Tomasz Moore mówi, że mając dwadzieścia cztery lata można się żenić.

Zaśmiała się trochę sztucznie.

— Czy rzeczywiście wymaga to aż sankcji Tomasza Moore'a? — spytała.

— Nie. Ale w tym wieku powinien się już człowiek ożenić.

— Być może — odparła w zamyśleniu. Czekala, co nastąpi dalej.

— Nie mogę się z tobą ożenić — ciągnął powoli — a przynajmniej jeszcze nie teraz, bo nie mamy pieniędzy, a w domu liczą na moje zarobki.

Siedziała nieruchomo, po części odgadując, co teraz nastąpi.

— Chcę się jednak już teraz ożenić...

— Chcesz się ożenić? — powtórzyła.

— Z kobietą... wiesz, co mam na myśli.

Miriam milczała.

— Teraz już wreszcie muszę — powiedział.

— Tak — odparła.

— Czy ty mnie kochasz?

Zaśmiała się gorzko.

— Czemu się wstydzisz? — nalegał. — Jeżeli nie wstydzisz się pized swoim Bogiem, czemu się wstydzisz przed ludźmi?

— Nie — odparła Miriam poważnie. — Nie wstydzę się.

— Wstydzisz się — rzekł z goryczą. — I to jest moja wina. Ale chyba wiesz, że nic na to nie mogę poradzić, że jestem... taki, jaki jestem... prawda?

— Wiem o tym — odparła.

— Bardzo cię kocham... a jednak wciąż jeszcze czegoś tu brak.

— Gdzie? — spytała podnosząc na niego oczy.

— Ach, we mnie samym! To ja powinienem się wstydzić... jak gdybym był duchowym kaleką. I naprawdę się wstydzę. To jest rozpaczliwe. Czemu musi tak być?

— Nie wiem — odparła Miriam.

— I ja też nie wiem — powtórzył. — Czy nie sądzisz, że przesadzaliśmy w naszej, jak się to mówi, skromności? Czy nie uważasz, że w takim nadmiernym lęku i awersji może być coś... jak gdyby brudnego?

Spojrzała na niego ciemnymi, wystraszonymi oczami.

— Broniłaś się dotąd przed wszystkimi takimi sprawami, a ja przejąłem to od ciebie

i odżegnywałem się także. Może nawet jeszcze bardziej.

Przez chwilę panowało milczenie.

— Tak — powiedziała Miriam. — To prawda.

— Łączą nas — mówił dalej — te wszystkie lata bliskiej zażyłości. Czuję się dostatecznie przed tobą obnażony. Czy mnie rozumiesz?

— Sądzę, że tak — odparła.

— I kochasz mnie?

Zaśmiała się.

— Nie bądź przykra — poprosił.

Spojrzała na niego i uczuła w sercu litość. Jego oczy były ciemne od męki. Ulitowała się nad nim. Było mu niewątpliwie ciężiej z tą jego ułomną miłością niż jej, która nigdy nie mogła doznać zaspokojenia. Był wiecznie podenerwowany i bezustannie wybiegał naprzód, daremnie szukając jakiegoś wyjścia. Niech więc uczyni, co zechce, i czerpie z niej wszystko, czego zapragnie.

— Nie — powiedziała łagodnie — wcale nie chcę być przykra.

Czuła, że wszystko potrafi dla niego znieść. Będzie dla niego cierpiała. Siedział w fotelu, pochylony do przodu. Położyła mu rękę na kolanie. Podniósł ją do ust i ucałował, ale przyprawiło go to o cierpienie. Czuł, że znów usuwa siebie samego na drugi plan. Siedział oto, poświęcając całego siebie w imię jej niewinności, która zdawała mu się pustym, nic nie znaczącym pojęciem. Jakże mógł całować jej rękę namiętnie, skoro wiedział, że ją tylko tym spłoszy i zasieje w jej sercu smutek? Przyciągnął ją jednak łagodnie do siebie i pocałował.

Znali się nawzajem zbyt dobrze, aby cokolwiek udawać. Całując go Miriam patrzyła mu w oczy, które spoglądały w głąb pokoju. Jarzył się w nich jakiś szczególny, ciemny błysk, który ją urzekał. Paweł nie poruszał się. Czuła, jak serce ciężko bije mu w piersi.

— O czym myślisz? — zapytała go.

Błysk w jego oczach zadrżał i przygasł.

— Myślałem przez cały czas, że cię kocham. Wciąż to sobie powtarzałem.

Złożyła głowę na jego piersi.

— Tak — szepnęła.

— I to jest wszystko — powiedział. Głos jego brzmiał pewnie. Wodził ustami po jej szyi.

Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy, wzrokiem pełnym miłości. Tańczący w jego źrenicach błysk walczył przez chwilę i starał się umknąć jej, a potem zagasł. Paweł szybko odwrócił głowę. Była to chwila męczarni.

— Pocałuj mnie — szepnęła Miriam.

Zamknął oczy całując ją, a jego ramiona oplatały ją coraz ciaśniej.

Kiedy odprowadzała go przez pola do domu, powiedział:

Cieszę się, że wróciłem do ciebie. Staję się przy tobie taki prosty... jak gdybym nie miał nic do ukrywania. Czy będziemy z sobą szczęśliwi?

— Tak — szepnęła. I lży nabiegły jej do oczu.

— Tkwi w nas jakaś przewrotność — mówił — wzbraniając i odciągając nas od tego, czego w istocie najbardziej pragniemy. Musimy z nią walczyć.

— Tak — szepnęła Miriam. Czowała się ogłuszona.

Kiedy przystanęli pod opadającymi nisko gałęziami akacji, w ciemnościach na brzegu drogi, całował ją znowu, a palce jego błędziły po jej twarzy. Gdy nie mógł jej widzieć w mroku, a tylko czuł ją przy sobie, ogarnęła go fala namiętności. Objął Miriam i przyciągnął ją blisko do siebie.

— Któregoś dnia będziesz moją? — szepnął kryjąc twarz na jej ramieniu. Tak trudno było to wyznać.

— Nie dzisiaj — poprosiła.

Poczuł się zawiedziony. Ogarnęło go znużenie.

Zwolnił uścisk obejmujących ją ramion.

— Lubię czuć twoją rękę... o, tutaj! — szepnęła przyciskając do **swych** pleców obejmujące ją ramię. — Tak dobrze wtedy wypoczywam.

Oplótł więc znów mocno ramieniem jej plecy, aby ją uspokoić.

— Należymy do siebie — powiedział.

— Tak.

— Czemu więc nie mamy należeć do siebie zupełnie?

— Ależ... — zaczęła.

— Wiem, że żądam od ciebie bardzo wiele — mówił Paweł. — Ale przecież nie ma w tym dla ciebie żadnego ryzyka... w sensie Gretchen. Możesz mi chyba pod tym względem zaufać, prawda?

— Och, tak. Wiem, że ci mogę zaufać. — Jej odpowiedź padła nieoczekiwanie szybko i brzmiała zdecydowanie. — To nie to... to nie o to chodzi... tylko...

— Tylko co?

Ze stłumionym okrzykiem bólu ukryła twarz na jego ramieniu.

— Nie wiem—jęknęła.

Zachowywała się nieco histerycznie, jak gdyby przejęta była zgrozą. Serce w nim zamarło.

— Czy uważasz, że to jest brzydkie? — zapytał.

— Nie, już nie teraz. Nauczyłeś mnie, że tak nie jest.

— Boisz się tylko?

Opanowała się szybko.

— Tak, tylko się boję — odparła.

Pocałował ją czule.

— Nie martw się — powiedział. — Będzie, jak zechcesz.

Nagle zacisnęła mocno jego ramiona wkoło siebie i przytuliła się do niego sztywniejąc cała.

— Będę twoją — powiedziała przez zaciśnięte zęby.

Serce znów zaczęło walić mu w piersi jak młotem. Przytulił ją do siebie blisko i całował jej szyję. Nie mogła tego znieść. Odsunęła się od niego. Wypuścił ją natychmiast z objęć.

— Czy nie spóźnisz się do domu? — zapytała łagodnie.

Westchnął, niemal nie słysząc, co do niego mówiła. Czekala, kiedy już pójdzie. Na koniec pocałował ją szybko i wdrapał się na płot. Kiedy spojrzał poza siebie, dostrzegł w dole bladą plamę jej twarzy, jaśniejącą w mroku, pod zwieszającymi się nisko gałę-

ziami akacji. Poza tą bladą plamą nie pozostało z niej nic więcej.

— Do widzenia! — zawołała cicho. Nie miała ciała, tylko głos i majaczącą niewyraźnie twarz. Odwrócił się i zaciskając pięści pobiegł w dół drogą. Znalazłszy się przy murze nad jeziorem, przechylił się ponad nim i, jak skamieniały, patrzył w czarną tafłę wody.

Miriam wracała do domu na przełaj przez łąki. Nie bała się ludzi ani tego, co o niej powiedzą. Obawiała się tylko skutków owej próby — z nim. Tak, odda mu się, jeśli będzie na to nalegał. Ale kiedy znów wróciła do tego myśłą, opuściła ją cała odwaga. Będzie się czuł zawiedziony, jeżeli nie znajdzie w niej zaspokojenia swych pragnień. Opuści ją wówczas. Ale nalegał tak bardzo. Czyżby z powodu czegoś, czego ona nie uważała za najważniejsze, miała wygasnąć ich miłość? Ostatecznie był tylko taki sam jak inni mężczyźni i szukał własnego zadowolenia. Och, ale przecież musi w nim być coś więcej — coś głębszego! Musi w to wierzyć, wbrew wszystkiemu, czego od niej wymagał. Mówił jej, że akt miłosny jest wielkim przeżyciem, w którym koncentrują się wszystkie wielkie wzruszenia. Może była to prawda. Było w tym zatem coś boskiego. Podda się więc nabożnie składając siebie w ofierze. Będzie ją miał. Ale na myśl o tym ciało jej prężyło się bezwiednie, jak gdyby przed czymś się broniąc. Życie jednak żądało od niej, aby przeszła przez tę bramę cierpienia, będzie więc musiała się poddać. W każdym razie Paweł będzie miał to, czego chce i co jest jego najgłębszym pragnieniem. Usiłując oswoić się z tą myśłą, wciąż się nad tym zastanawiała i przekonywała sama siebie mozolnie, że powinna mu ulec.

Ubiegał się o nią teraz jak zakochany. Często, gdy zapalała się w nim żądza, odsuwała od siebie jego twarz, ujmowała ją w obie dłonie i patrzyła mu w oczy. Nie mógł znieść jej spojrzenia. Jej ciemne oczy, pełne miłości, poważne i badawcze, kazały mu odwracać głowę. Ani na chwilę nie pozwalała mu zapomnieć. Wciąż musiał dręczyć się myśłą o swojej i jej odpowiedzialności. Nie mógł zaznać chwili odprężenia ani zatracić się w abstrakcyjności i wielkim głodzie cielesnej żądy. Zmuszała go, aby znów stawał się świadomą, myślącą istotą. Budziła go jak gdyby z ekstazy i ściągała przemocą w dół, do drobnych, mało ważnych spraw wzajemnego stosunku dwojga ludzi. Nie mógł tego znieść. Chciało mu się krzyżeć: „Zostaw mnie... odejdz!” Ona zaś pragnęła, żeby na nią patrzył pełnymi miłości oczami. Jego pociemniałe i zapamiętałe żądzą oczy nie należały do niej.

W Willey Farm tego roku niezwykle obrodziły czereśnie. Wielkie, stare drzewa w sadzie za domem obwieszane były czerwonymi i szkarłatnymi owocami wyzierającymi spod ciemnozielonych liści. Pewnego popołudnia Paweł i Edgar obrywali czereśnie. Po upalnym dniu, na ciemnym, gorącym niebie kłębiły się chmury. Paweł wdrapał się wysoko na drzewo i znalazł się ponad czerwonymi dachami zabudowań. Wiatr, zawodząc monotennie, kołysał łagodnym i podniecającym rytmem całe drzewo, pobudzając krew do szybszego krążenia. Młody człowiek, uczepiony niepewnie wiotkich gałęzi i bliski zawrotu głowy wskutek ciągłego, jednostajnego kołysania, sięgał po obwieszane czerwonymi koralami gałęzie rwąc pełnymi garściami aksamitne i chłodne, mięsiste owoce. Czereśnie łaskotały go w szyję i uszy, gdy wychylał się w przód, a ich dotyk przejmował go niespokojnym dreszczem. Wszystkie odcienie czerwieni, od złocistego cynobru aż do głębokiej purpury, lśniły wspaniałym blaskiem przed jego

oczyma, wyzierając spod ciemnego listowia.

Zachodzące słońce nagle oświetliło postrzępione chmury. Na południowym zachodzie zapłonęły olbrzymie słupy złota rozpluwając się w łagodnej poświacie, wysoko, pośrodku nieba. Ziemia, dotychczas szara i przygasła, odbijała złocisty blask, jak gdyby zdumiona. Wszystko wokoło — drzewa, trawa i płynąca w oddali rzeka — wystąpiło z cienia i lśniło światłem.

Z domu wyszła Miriam i stanęła, zachwycona.

— O! — usłyszał Paweł jej łagodny, melodyjny głos. — Prawda, jakie to cudowne?

Na jej twarzy, zwróconej ku niemu, kładł się delikatny, złocisty cień światła, owiewając ją miękką, łagodną mgiełką.

— Jak wysoko wszedłeś! — zawołała.

Obok niej na liściach rabarbaru leżały cztery martwe ptaki-złodziejaszki, zastrzelone na gorącym uczynku. Paweł dostrzegł na drzewie kilka bielejących pestek czereśni, które zwisały jak oskubane z mięsa szkielety. Znowu spojrzał na Miriam.

— Chmury płoną! — powiedział.

— Jak pięknie! — zawołała.

Wydawała się dziwnie mała, łagodna i tkliwa stojąc tak z daleka, w dole. Rzucił w nią garść czereśni. Drgnęła zaskoczona zniechęta. Zaniósł się cichym, zdławionym śmiechem i zasypał ją gradem pocisków. Uciekła, by się schronić, podnosząc po drodze kilka czereśni. Dwie piękne, czerwone parki zawiesiła sobie na uszach. Potem znów spojrzała w górę.

— Czy przypadkiem nie masz już dość? — spytała.

— Prawie. Mam takie wrażenie, jak gdybym siedział na okręcie.

— A długo jeszcze tam będziesz?

— Póki słońce nie zajdzie.

Podeszła do płotka i usiadła pod nim patrząc na złote, rozpadające się w kawałki chmury, które wielkim zwałem różowych ruin sunęły ku ciemności. Złoto spłonęło czerwienią, jak ból u szczytu swego napięcia. Potem czerwień przeszła w barwę różową, z kolei różowość zmieniła się w purpurę i gorejąca pasja niespodziewanie szybko znikła z nieba. Cały świat stał się ciemnoszary. Paweł, schodząc szybko z koszykiem na dół, rozdarł po drodze rękaw koszuli.

— Jakie śliczne — powiedziała Miriam przesypując w dłoni czereśnie.

— Rozdarłem sobie rękaw — odparł.

Ujęła palcami trójkątne rozdarcie.

— Będę ci to musiała naprawić — powiedziała. Dziura była blisko ramienia. Miriam wsunęła palce pod rozdarte płótno. — Jak ciepło!

Paweł zaśmiał się. W jego śmiechu zadźwięczała nowa, obca nuta, która przyspieszyła bicie serca Miriam.

— Czy zostaniemy na dworze? — zapytał.

— Myślisz, że nie będzie padało? — odparła.

— Nie. Chodźmy się trochę przejść.

Poszli polami i zagłębili się w gęsty, jodłowy i sosnowy zagajnik.

— Czy wejdziemy pomiędzy drzewa? — zapytał.

— Masz ochotę?

— Tak.

W jodłowym gąszczu było bardzo ciemno i ostre igiełki kłuły ją w twarz. Bała się. Paweł był milczący i obcy.

— Kocham ciemność — powiedział. — Pragnąłbym, żeby była jeszcze głębsza... głęboka, wspaniała ciemność.

Nie interesowała go jej psychika. Istniała dla niego tylko jako kobieta. Bała się.

Oparł się o pień sosny i wziął ją w ramiona. Zdała się na jego łaskę, była to jednak ofiara, która przejmowała ją przerażeniem. Ów ochrypliwy, zaślepiony mężczyzna był jej zupełnie obcy.

Później rozpadał się deszcz. Pnie sosen pachniały silnie. Paweł leżał na posłaniu z zeschniętych, sosnowych igieł, z głową na ziemi, wsłuchując się w ostry szum deszczu, w ciągły, wyraźny szum ciężkich kropeł. Był przygnębiony i smutny. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że Miriam przez cały ten czas nie była z nim razem, że jej dusza wyodrębniła się w obłądnym lęku. Doznał jedynie fizycznego ukojenia, ale niczego więcej. Ogromnie zgnębiony, smutny i tkliwy, z współczuciem błędził palcami po jej twarzy. Teraz znów kochała go całym sercem. Był czuły i piękny.

— Deszcz! — szepnął.

— Tak... pada na ciebie?

Wodziła rękami po jego ciele, po jego włosach i ramionach, aby poczuć padające na niego krople. Kochała go tkliwie. On zaś leżał zanurzony twarzą w zeschniętych, sosnowych igłach i ogarniał go coraz większy spokój. Było mu obojętne, że pada na niego deszcz. Pragnął tak leżeć, choćby miał przemoknąć do nitki. Wszystko zdawało mu się nieważne, jak gdyby jego życie zacierało się w otchłani niebytu, bliskiej mu i nadszpiewanie przyjemnej. To dziwne, łagodne przebywanie na pograniczu śmierci było dla niego zupełnie nowym przeżyciem.

— Musimy już iść — powiedziała Miriam.

— Tak — odparł nie ruszając się z miejsca.

Życie wydawało mu się teraz tylko cieniem. Dzień był białym cieniem. Noc, śmierć, cisza, bezruch — oto, co zdawało się być prawdziwym życiem. Żyć, być czynnym i wytrwale do czegoś dążyć — równało się niebytowi. Szczytem wszystkiego było wtopić się w ciemność i kołysać się w niej utożsamiając się z Najwyższą Istotą.

— Deszcz na nas pada — powiedziała Miriam.

Wstał i pomógł jej się podnieść.

— Szkoda — powiedział.

— Czego?

— Że musimy już iść. Czuję się taki pełen spokoju.

— Spokoju! — powtórzyła.

— Spokojniejszy niż kiedykolwiek w życiu.

Szedł z ręką w jej dłoni. Ścisnęła jego palce, trochę zaniepokojona. Zdawał się przebywać poza jej zasięgiem. Ogarnął ją lęk, że może go utracić.

— Te jodły w ciemnościach przejmują uczuciem czyjeś obecności... jak gdyby w każdym drzewie obecny był człowiek...

Miriam milczała, wylęknięta.

— Coś w rodzaju wieczystej ciszy. Noc przejęta zdumieniem i uśpiona. Myślę, że

właśnie to czynimy po śmierci... śpimy w wiekuistym zdumieniu.

Przedtem bała się w nim zwierzęcia, teraz — mistyka. Szła przy nim w milczeniu. Deszcz z głuchym szumem padał na korony drzew. Doszli w końcu do wozowni.

— Zostańmy tu chwilę — powiedział.

Zewsząd dochodził szum deszczu zagłuszając wszelkie inne dźwięki.

— Tak dziwnie i spokojnie się czuję z tym wszystkim wokoło — powiedział Paweł.

— Tak — szepnęła cierpliwie.

Znów zdawał się nieświadomy jej obecności, chociaż mocno trzymał jej rękę w swojej dłoni.

— Pozbyć się własnej osobowości, która jest naszą wolą, naszych dążeń... żyć bez wysiłku, w pewnego rodzaju świadomym śnie... myślę, że byłoby to bardzo piękne. To właśnie jest nasze przyszłe życie... nasza nieśmiertelność.

— Tak myślisz?

— Tak... i taka przyszłość jest bardzo piękna.

— Nie zawsze to mówiłeś.

— Nie, nie zawsze.

W chwilę potem weszli do domu. Wszyscy spojrzeli na nich ciekawie. Paweł zachował w oczach spokojne, znużone spojrzenie oraz szczególny spokój w głosie. Wszyscy instynktownie pozostawili go sobie samemu.

Mniej więcej w tym samym czasie zachorowała babka Miriam. Mieszkała ona w małym, miłym domku w Woodlinton i posłano tam wnuczkę, aby zajęła się gospodarstwem. Była to bardzo piękna miejscowość. Przed domem ciągnął się duży ogród otoczony czerwonym murem z cegieł, po którym pięły się śliwy. Drugi ogródek, z tyłu domu, oddzielony był od pól starym, wysokim żywopłotem. Było to bardzo ładne. Miriam nie miała wiele do roboty i z łatwością znajdowała czas na lekturę ulubionych książek oraz na pisanie krótkich, introspektywnych szkiców, co dawało jej wiele zadowolenia.

Przed świętami babka Miriam poczuła się lepiej i odwieziono ją do Derby, gdzie miała przez kilka dni pozostać u swojej córki. Starsza dama miewała jednak bardzo kapryśne humory i można było spodziewać się jej powrotu nawet na drugi lub trzeci dzień. Miriam została więc tymczasem sama na gospodarstwie, co jej ogromnie odpowiadało.

Paweł odwiedzał ją często, przyjeżdżając na rowerze, i czas upływał im na ogół spokojnie i wesoło. Nie sprawiał jej swoją osobą specjalnego kłopotu. Ale w świąteczny poniedziałek miał z nią spędzić cały dzień.

Pogoda była wspaniała. Paweł pożegnał się z matką mówiąc jej, dokąd się wybiera. Zostawała na cały dzień sama. Psuło mu to trochę humor. Ale miał przed sobą trzy dni wyłącznie dla siebie, w ciągu których będzie mógł robić, co mu się tylko spodoba. Jakże przyjemnie było jechać na rowerze rankiem przez łąki.

Przybył do domku babki około jedenastej. Miriam gotowała obiad. Bardzo ładnie wyglądała w roli gosposi, gdy z zaróżowioną twarzą krzątała się pracowicie przy kuchni. Pocałował ją i siadł z boku, aby się jej przyglądać. Kuchenka była mała i przytulna. Całą kanapę zaścielała kapa zszyta z czerwonych i bładoniebieskich kwadratów, bardzo stara i sprana, ale niewątpliwie ładna. Nad stojącą w rogu komódką wisiała

wypchana sowa w oszklonej szafce. Światło słoneczne przesiewało się przez liście stojących na oknie pachnących pelargonii. Miriam piekła kurczę na jego cześć. Był to, na ten jeden dzień, ich własny domek, a oni byli mężem i żoną. Paweł ukręcił za nią żółtka i obrał kartofle. Pomyślał, że Miriam roztacza wkoło siebie ciepłą atmosferę domu rodzinnego, niemal jak jego matka. Nie można też było ładniej wyglądać niż ona, z potarganymi, luźno opadającymi lokami i zaróżowioną od ognia twarzą.

Obiad był wielkim sukcesem. Paweł krajał i dzielił kurczę, jak przystoi młodemu małżonkowi. Przez cały czas mówił z niesłabnącym zapałem. Po obiedzie wytarł zmyte przez nią naczynia i poszli na spacer w pole. Mały, wesoły strumyk spływał do bagienka u stóp bardzo stromego nasypu. Błądząc w jego pobliżu znaleźli jeszcze kilka jaskrów oraz mnóstwo wielkich, błękitnych niezapominajek. Miriam usiadła potem na brzegu nasypu z rękami pełnymi kwiatów, wśród których najwięcej było złotych kaczęćców. Gdy wtuliła w nie twarz, padł na nią łagodny, żółty blask.

— Twoja twarz jaśnieje — powiedział — jak przemieniona.

Spojrzała na niego pytająco. Zaśmiał się do niej kładąc ręce na jej dłoniach. Potem zaczął całować jej palce i pochyloną nad kwiatami twarz.

Świat tonął w słonecznym blasku, spokojny i cichy, ale jeszcze nie uspiony, tylko jak gdyby drżący oczekiwaniem.

— Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś równie pięknego — powiedział Paweł. Przez cały czas mocno obejmował ją w pól.

— I ten strumyk, który sam sobie śpiewa płynąc... czy lubisz tego słuchać? — Spojrzała na niego wzrokiem pełnym miłości. Jego oczy płonęły i były bardzo ciemne.

— Czy nie uważasz, że dziś jest wspaniały dzień? — zapytał.

Szeptem wyraziła zgodę. Była szczęśliwa, wyraźnie to widział.

— To jest nasz dzień... tylko nas dwojga — dodał.

Posiedzieli jeszcze trochę, a potem poszli dalej. Przystanęli na chwilę nad poletkiem słodko pachnącego tymianku. Paweł spojrzał w oczy Miriam.

— Czy już pójdziemy? — zapytał.

Wracali do domu w milczeniu, trzymając się za ręce. Kurczęta wyległy radośnie na ścieżkę do Miriam. Paweł zamknął drzwi na klucz i mieli mały ” domek wyłącznie dla siebie.

Nigdy potem nie mógł zapomnieć widoku Miriam leżącej na łóżku, kiedy on rozpinął kołnierzyk koszuli. Z początku widział tylko jej piękność, która go oślepiła. Miała o wiele piękniejsze ciało, niż mógł sobie wyobrazić. Stał nie mogąc ruszyć się z miejsca ani przemówić i patrzył na nią z półśmiechem zachwytu i zdumienia. A potem ocknęła się w nim żądza, ale kiedy szedł ku niej, jej ręce uniosły się nieznacznie błagalnym gestem. Spojrzał wówczas na jej twarz i zatrzymał się. Jej wielkie, brązowe oczy patrzyły na niego spokojnie, z miłością i rezygnacją. Leżała, jak gdyby oddając siebie w ofierze. Oto jej ciało czekało na niego. Ale wyraz czający się w głębi jej oczu, podobny spojrzeniu wyleknionego zwierzęcia, zatrzymał go w miejscu i poczuł nagły odpływ krwi z serca.

— Czy jesteś pewna, że mnie chcesz? — zapytał.

— Tak, zupełnie pewna.

Leżała bardzo spokojna i cicha. Zdawała sobie jedynie sprawę, że pragnie coś dla



niego uczynić. Nie mógł tego znieść. Leżała, aby mu się poświęcić, bo go tak bardzo kochała. On zaś miał to poświęcenie przyjąć. Przez chwilę pragnął niemal być istotą bezpłciową albo umrzeć. A potem zamknął oczy, aby stracić sprzed nich jej obraz, i znowu krew zawrzała mu w żyłach.

A potem kochał ją... kochał ją każdym najdrobniejszym nerwem swego ciała. Kochał ją. Ale nie wiedzieć czemu, chciało mu się płakać. W jego przeżyciach było coś, czego nie mógł znieść myśląc o niej. Został z nią razem aż do późna w nocy. Jadąc potem na rowerze do domu czuł, że nareszcie zaczął nowe życie. Przestał już być nie-doświadczonym młodzieniaszkiem. Czemu jednak czuł głuchy ból w sercu? Czemu myśl o śmierci i przyszłym życiu wydawała mu się taka słodka i taka kojąca?

Spędził z Miriam cały tydzień i wyczerpywał ją swoją żądzą, zanim zdołał się nasyścić. Za każdym razem musiał świadomie eliminować ją w swych myślach idąc jedynie za zwierzęcym popędem namiętności. Nie udawało mu się to jednak zbyt często i zawsze potem zostawało mu poczucie doznanej gorzkiej porażki, budziła się tęsknota za śmiercią. Jeśli chciał z nią być naprawdę, musiał przekreślić siebie i swoją żądzę. Jeśli chciał ją mieć, musiał najpierw ją przekreślić.

— Kiedy do ciebie przychodzę — mówił z oczami pociemniałymi od bólu i wstydu — wcale mnie naprawdę nie pragniesz. Powiedz, Miriam?

— Ależ tak — odparła szybko.

Spojrzał na nią.

— Nie — powiedział zdecydowanie.

Miriam zaczęła drzeć.

— Widzisz — powiedziała ujmując jego twarz w obie dłonie i kryjąc ją na swoim ramieniu. — Widzisz... tak, jak teraz jesteśmy... jakże ja mam się do ciebie przyzwyczaić? Wszystko ułożyłoby się dobrze, gdybyśmy byli małżeństwem.

Uniósł jej głowę i spojrzał w jej oczy.

— Chcesz powiedzieć, że teraz jest to zawsze zbyt dużym wstrząsem?

— Tak... i...

— Zawsze zamykasz się w sobie przede mną.

Miriam drżała z podniecenia.

— Widzisz — powiedziała — nie jestem oswojona z myślą...

— Ostatnio już tak — przerwał jej.

— Ale ja mówię o całym dotychczasowym życiu. Matka zawsze mi mówiła: „W małżeństwie jedna rzecz jest zawsze okropna, ale trzeba ją znieść”. I ja w to wierzyłam.

— I wciąż jeszcze wierzysz — powiedział.

— Nie! — krzyknęła z pośpiechem. — Wierzę, tak samo jak ty, że miłość nawet w tej formie jest najwyższym wcieleniem życia.

— Co wcale nie zmienia faktu, że jej nigdy nie pragniesz.

— Nie — odparła obejmując ramionami jego głowę i kołysząc się z rozpaczą miarowym ruchem. — Nie mów tak. Ty tego nie rozumiesz. — Zakołysała się mocno z bólu. — Czyż nie pragnę twoich dzieci?

— Ale nie mnie.

— Jak możesz tak mówić? Ale żeby mieć dzieci, musielibyśmy się wpraw

pobrać...

— Może się więc pobierzmy? Chciałbym, żebyś miała ode mnie dzieci. Pocałował ją z powagą w rękę. Zastanawiała się przez chwilę smutno, patrząc na niego.

— Jesteśmy jeszcze za młodzi — powiedziała w końcu.

— Mamy dwadzieścia cztery i dwadzieścia trzy lata...

— Jeszcze nie teraz — poprosiła kołysząc się z rozpaczą.

— Kiedy zechcesz — odparł.

Schyliła smutno głowę. Nuta beznadziejności, z jaką mówił te słowa, straszliwie ją przygnębiała. Nic się nigdy pomiędzy nimi nie układało prosto i szczęśliwie. Miriam milcząco zgadzała się z nim w jego rozterce.

Po tygodniu miłości Paweł powiedział nagle pewnej niedzieli do swojej matki, właśnie gdy mieli iść spać.

— Nie będę już tak często chodził do Miriam, mamo.

Była zaskoczona, ale nie chciała go o nic pytać.

— Rób, jak chcesz — rzekła.

Poszedł więc spać. Ale był w nim teraz jakiś spokój, który ją zastanawiał. Niemal domyślała się całej prawdy. Woliała jednak nie zadawać mu pytań. Pośpiech mógł jedynie wszystko popsuć. Obserwowała go w jego osamotnieniu zastanawiając się, jaki będzie tego koniec. Był chory i o wiele, jak na niego, za spokojny. Miał teraz stale na czole głęboką zmarszczkę między brwiami, zupełnie taką samą, jaką widywała u niego, gdy był jeszcze małym dzieckiem i która potem zniknęła na wiele lat. Teraz wróciła znowu. A ona nie mogła nic dla niego uczynić. Musiał sam iść naprzód i sam torować sobie drogę w życiu.

Pozostał w dalszym ciągu wierny Miriam. Kiedyś, przez jeden dzień, kochał ją bezgranicznie. Ale to już nigdy nie miało wrócić. Ogarniało go coraz silniejsze poczucie zawodu. Z początku był to tylko smutek. Potem stracił cierpliwość. Chciał uciec, wyjechać za granicę, gotów był na każde szaleństwo.

Stopniowo przestał prosić Miriam o miłość. Oddalało ich to tylko coraz bardziej. W końcu uświadomił sobie z całą pewnością, że wszystko to nie ma żadnego sensu. Nie warto było nawet próbować. Pod tym względem Miriam i on nigdy nie osiągną porozumienia.

Przez kilka ostatnich miesięcy bardzo rzadko widywał Klarę. Czasem chodzili razem na pół godzinki spaceru w porze obiadowej. Poza tym Paweł rezerwował cały swój wolny czas dla Miriam. Ale kiedy był z Klarą, czoło wypogadzało mu się i wracała dawna wesołość. Traktowała go pobłaźliwie, jak gdyby był dzieckiem. Zdawało mu się, że jest mu to obojętne. Ale w głębi duszy czuł się urażony.

Czasem Miriam pytała:

— Co się dzieje z Klarą? Nic o niej ostatnio nie słyszałam.

— Byłem z nią wczoraj ze dwadzieścia minut na spacerze — odpowiadał.

— I o czym z tobą mówiła?

— Sam nie wiem. Wydaje mi się, że to ja gadałem cały czas... prawie i zawsze tak jest. O ile pamiętam, opowiadałem jej o strajku i o tym, jak na niego reagowały kobiety.

— Aha.

W taki to sposób zdawał jej o sobie sprawozdanie.

Ale chociaż nie bardzo uświadamiał to sobie, ciepłe uczucia, jakie żywił dla Klary, odciągały go podstępnie i niepostrzeżenie od Miriam, za którą czuł się odpowiedzialny i której winien był wierność. Uważał, że jest jej całkowicie wierny. Nie jest łatwo oceniać temperaturę i siłę swoich uczuć dla jakiejś ; kobiety, póki wraz z nią nie umkną one z serca.

Zaczął poświęcać więcej czasu kolegom. A więc był Jessop, który studiował sztuki piękne. Był Swain, laborant chemii na uniwersytecie. Newton, który był nauczycielem, a poza tym Edgar i młodsi bracia Miriam. Tłumacząc się I pracą, chodził rysować i uczyć się razem z Jessopem. Zachodził na uniwersytet I po Swaina i wypuszczali się we dwóch „na miasto”. Jeśli wracał pociągiem razem z Newtonem, wstępował z nim do gospody „Pod Gwiazdami i Księżycem” na partyjkę bilardu. Tłumacząc się przed Miriam spotkaniem z jakimś kolegą, czuł się w zupełności usprawiedliwiony. Pani Morel zaczęła oddychać swobodniej. Zawsze jej mówił, gdzie był.

W lecie Klara nosiła czasem lekką, bawełnianą sukienkę z luźnymi rękawami. Kiedy unosiła do góry ręce, rękawy opadały do tyłu odsłaniając jej piękne, silne ramiona.

— Chwileczkę! — zawołał kiedyś. — Niech się pani nie rusza i trzyma rękę tak, jak teraz.

Zrobił kilka szkiców jej ręki oraz ramienia i w rysunkach tych zachował się w pewnej mierze czar, którym urzekął go żywy model. Miriam przeglądając skrupulatnie, jak zawsze, jego książki i papiery zobaczyła owe rysunki.

— Uważam, że Klara ma śliczne ramiona — powiedział.

— Tak jest. A kiedy to narysowałaś?

— We wtorek, w fabryce. Wiesz, że mam tam swój kącik, w którym mogę pracować. Często udaje mi się załatwić wszystkie, najdrobniejsze nawet sprawy oddziałowe przed obiadem. Rysuję sobie wtedy po południu i dopiero wieczorem sprawdzam, czy wszystko jest w biurze w porządku.

— Ach, tak — powiedziała Miriam obracając kartki szkicownika.

Często nienawidził Miriam z głębi serca. Nienawidził jej, kiedy pochylała się w przód i pilnie przyglądała się jego pracom. Nienawidził jej zwyczaju cierpliwego sumowania cech jego charakteru, jak gdyby był jakimś nie kończącym się rachunkiem psychologicznym. Będąc z nią razem nienawidził jej za to, że oddając mu się nie była naprawdę jego, i torturował ją za to. Zarzucał jej, że bierze wszystko nie dając nic w zamian. W każdym razie nie dawała z siebie ciepła. Nie było w niej życia i niczego nie umiała ożywić. Szukać w niej tego byłoby tym samym, co gonić za czymś nie istniejącym. Była tylko jego sumieniem, a nie towarzyszką. Nienawidził jej gwałtownie i stawał się dla niej coraz bardziej okrutny. Ciągnęło się to aż do następnego lata. Paweł coraz częściej widywał się z Klarą.

W końcu przemówił. Pewnego wieczoru siedział i pracował w domu. Pomiedzy nim i matką zapanował szczególny stosunek dwojga ludzi, którzy otwarcie stawiają sobie wzajemnie zarzuty. Pani Morel czuła się teraz pewniejsza siebie. Nie zapowiadało się, by Paweł miał ostatecznie pozostać przy Miriam. Wszystko więc było w porządku.

Mogła spokojnie stać z boku, póki sam jej czegoś nie powie. Już od dłuższego czasu wzbierał w nim ów wybuch, po którym do niej wróci. Tego wieczora utrzymywał się między nimi stan szczególnego napięcia. Paweł pracował gorączkowo i mechanicznie, szukając ucieczki przed samym sobą. Zrobiło się późno. Przez otwarte drzwi wpływał ukradkiem zapach białych lilii, jak gdyby skradając się z dworu. Paweł wstał nagle i wyszedł do ogrodu.

Noc była taka piękna, że chciało mu się niemal krzyżeć. Zamglony, złocisty sierp księżycy wisi nisko poza czerniejącym w głębi ogrodu platanem, rozświetlając niebo żywą purpurą swej łuny. Nieco bliżej majaczyła biała ściana lilii przecinająca ogród w poprzek, a powietrze zdawało się falować wokół zapachem, jak gdyby drżało w nim życie. Paweł przeszedł przez grządkę goździków, których ostra woń ożywczo przedzierła się przez mdlący, ciężki zapach lilii, i zatrzymał się przed białą, kwietną barierą. Główki lilii zwisały bezwładnie, jak gdyby ciężko dysząc. Upojna woń przyprawiła go o zawrót głowy. Wyszedł w pole popatrzeć na zachodzący księżyc.

Na łące uparcie odzywał się derkacz. Księżyc szybko ześlizgiwał się w dół, coraz czerwieńszy. Wysokie lilie zdawały się wychylać za Pawłem z ogrodu, jak gdyby go nawoływały. Nagle wstrząsnął nim jakiś nowy zapach, ostry i przenikliwy. Zaczął szukać wokół siebie, znalazł kepe fioletowych irysów

i dotknął ostrożnie mięsistego gardła i ciemnych szponów kwiatu. A więc w końcu jednak coś znalazł. Irysy stały w ciemnościach, sztywne i wyprostowane. Ich zapach był nieomal brutalny. Księżyc roztapiał się niknąc powoli za szczytem wzgórza. Wreszcie zaszedł. Zapanowała ciemność. Derkacz nie przestawał wytrwale nawoływać.

Paweł zawrócił nagle do domu zrywając po drodze goździk.

— Chodź, synku — powiedziała pani Morel, gdy ukazał się w drzwiach. — Najwyższa pora, żebyś poszedł już spać.

Stał z goździkiem przy ustach.

— Zerwę z Miriam, mamó — powiedział spokojnie.

Spojrzała na niego sponad okularów. Patrzył na nią i nie odwrócił twarzy. Na chwilę spotkała się z jego wzrokiem, a potem zdjęła okulary. Był bardzo blady. W chwili tej doszedł w nim do głosu mężczyzna. Nie chciała go widzieć zbyt wyraźnie.

— A ja myślałam... — zaczęła.

— Trudno. Nie kocham jej — przerwał. — Nie chcę się z nią żenić... lepiej więc z tym skończyć.

— Ależ — zawołała matka zdumiona — zdawało mi się, że ostatnio zdecydowałeś się właśnie z nią pobrać. Dlatego nic nie mówiłam.

— Tak jest... chciałem tego... ale teraz już nie chcę. To nie ma sensu. Zerwę z nią w niedzielę. Powinienem to zrobić, prawda?

— Sam wiesz najlepiej. Pamiętasz przecież, jak mówiłam to już od dawna.

— Nie mogę nic na to poradzić. Zerwę z nią w niedzielę.

— No więc trudno — powiedziała matka. — Myślę, że tak będzie najlepiej. Ale ostatnio byłam przekonana, że zdecydowałeś się z nią ożenić, i dlatego nic nie mówiłam. Nie chciałam nic mówić. Ale teraz powtórzę ci to, co mówiłam zawsze, że nie uważam, aby Miriam była dla ciebie odpowiednia.

— Zerwę z nią w niedzielę — powiedział wachając goździk. Włożył różowy kwiat w usta. Bezmyślnie obnażył zęby, zacisnął je mocno na koronie kwiatu i usta napęłniły mu się mnóstwem płatków. Wypluł je w ogień na kominku, pocałował matkę i poszedł na górę spać.

W niedzielę poszedł do Willey Farm wczesnym popołudniem. Napisał do Miriam, że wybiorą się polem do Hucknall. Matka okazywała mu wiele czułości. Nie mówił nic więcej. Ale widziała, ile wysiłku kosztował go ten zamiar. Uspokoił ją szczególny, zdecydowany wyraz jego twarzy.

— Nie martw się, synku — powiedziała. — Będzie ci znacznie lżej, kiedy już będzie po wszystkim.

Paweł spojrział na matkę przelotnie, ze zdziwieniem i niechęcią. Nie potrzebował współczucia.

Miriam czekała na niego na skraju łąki. Miała na sobie nową sukienkę z wzorzystego muślinu, z krótkimi rękawami. Te krótkie rękawy i wyglądające spod nich opalone ramiona, dziwnie bezbronnie i zrezygnowane, wzbudziły w nim tak dotkliwy ból, że w pewnym stopniu dopomogły mu być okrutnym. To dla niego chciała tak pięknie i świeżo wyglądać. Kwitła wyłącznie i tylko dla niego. Ilekroć na nią spojrział — była teraz młodą, dojrzałą już kobietą i wyglądała prześlicznie w swojej nowej sukni — bolało go to tak bardzo, że zdawało mu się, że serce mu pęknie w tych okrutnych więzach, które na nie dobrowolnie nałożył. Ale powziął postanowienie i decyzja jego była nieodwołalna.

Usiedli na trawie na szczycie wzgórza i Paweł oparł głowę na jej kolanach, a ona bawiła się jego włosami. Wiedziała, że „jest nieobecny”, jak to nazywała. Często, gdy był z nią, szukała go, lecz nie mogła odnaleźć. Ale owego popołudnia nie była na to przygotowana.

Dochodziła piąta, kiedy jej powiedział. Siedzieli nad brzegiem strumienia pod okrągłym występem zielonej darni, zwisającym nad wąskim, żółtym pasem płaskiego gruntu. Paweł rył zaciekle patykiem w ziemi, jak zwykł czynić zawsze, gdy był wzburzony i wzbierało w nim okrucieństwo.

- Myślałem właśnie o tym — powiedział — że powinniśmy z sobą zerwać.
- Dlaczego? — zawołała zdumiona.
- Bo nie ma sensu ciągnąć tego dalej. —
- Dlaczego nie ma sensu?
- Bo nie ma. Nie chcę się żenić. Nie chcę się w ogóle żenić. A skoro nie mamy zamiaru się pobrać, nie ma sensu dalej tego ciągnąć.
- Ale czemu mówisz mi to teraz?
- Bo się zdecydowałem.
- A co w takim razie miały znaczyć ostatnie miesiące i wszystko, co mi wtedy mówiłeś?
- Nic na to nie poradzę. Nie chcę tego dłużej ciągnąć.
- Nie chcesz mnie już więcej?
- Chcę, żebyśmy zerwali... żebyś ty uwolniła się ode mnie, a ja od ciebie.
- A co w takim razie znaczyły ostatnie miesiące?
- Nie wiem. Mówiłem ci tylko to, co uważałem za prawdę.

- Czemu więc nagle się zmieniłeś?
- Nie zmieniłem się... jestem taki sam... tylko wiem już, że nie ma sensu tego ciągnąć.
- Nie powiedziałeś mi jednak, dlaczego to nie ma sensu.
- Bo nie chcę już tego... i nie chcę się żenić.
- Ile razy proponowałeś mi małżeństwo, a ja się nie godziłam?
- Wiem, ale chcę z tym skończyć.

Milczeli przez chwilę. Paweł ze złością rył ziemię. Pochyliła głowę smutno zamyślona. Był nierozsądny jak dziecko. Przypominał niemowlę, które, napiwszy się do syta, odtrąca od siebie i tłucze flaszkę. Spojrzała na niego czując, że mogłaby go przytrzymać i wymóc na nim odrobinę logiki i konsekwencji. Była jednak bezradna.

– Mówiłam ci kiedyś — zawołała po chwili — że masz czternaście lat... ale nie, ty masz zaledwie cztery!

Nic jej nie odpowiedział, tylko powtarzał sobie w duchu: „Być może. Ale skoro jestem czteroletnim dzieckiem, czego ona ode mnie chce? Nie trzeba mi drugiej matki”. Nie odzywał się jednak ani słowem i znów trwało milczenie.

- Czy mówiłeś o tym u siebie w domu?
- Powiedziałem matce.

Znów nastąpiła dłuższa chwila milczenia.

- Czego zatem chcesz? — spytała Miriam.
- Cóż... chcę, żebyśmy się rozstali. Przez tyle lat żyliśmy pasożytując jedno na drugim... Skończmy z tym raz. Ja pójdę swoją drogą, bez ciebie, a ty swoją... beze mnie. Będziesz miała własne, niezależne życie.

Było w tym trochę prawdy, której pomimo całego swego rozgoryczenia nie mogła zaprzeczyć. Zdawała sobie sprawę, że czuje się w pewnej mierze od niego zależna, czego nienawidziła, nie będąc zdolna tych uczuć kontrolować.

Nie znosiła swojej miłości do niego, odkąd stała się ona dla niej zbyt silna.

I w głębi duszy nienawidziła go za to, że go kochała, a on nad nią dominował. Broniła się przed tą jego przewagą ze wszystkich sił. Walczyła, aby utrzymać swoją niezależność nawet w ostatnim okresie. I zachowała tę wolność w znacznie większym stopniu niż on.

– I tak — ciągnął dalej — każde z nas zostanie na zawsze w dużej mierze dziełem drugiego. Zrobiłaś wiele dla mnie, a ja dla ciebie. Teraz zacznijmy od nowa i spróbujmy żyć samodzielnie.

- Co masz zamiar zrobić? — zapytała.
- Nic... Chcę być tylko wolny — odparł.

Ona jednak była w głębi serca pewna, że to ze względu na Klarę domagał się od niej wolności. Ale nic nie powiedziała.

- A co mam powiedzieć matce? — zapytała.
- Ja powiedziałem swojej — odparł — że zrywam... ostatecznie i całkowicie.
- Nie powiem na razie nic u siebie w domu — rzekła Miriam.
- Jak chcesz — odparł marszcząc brwi.

Zdawał sobie sprawę, że to on doprowadził ją do tak ciężkiej i przykrej sytuacji, a teraz zostawia ją na pastwę losu. Złościło go to.

— Powiedz im, że nigdy nie chciałaś i w dalszym ciągu nie chcesz wyjść za mnie, wobec czego zerwałaś — powiedział. — Będzie to wystarczająco prawdziwe.

Gryzła w zamyśleniu palec. Rozważała tę całą sprawę. Wiedziała, że kiedyś do tego dojdzie. Przez cały czas przeczuwała, że tak będzie. Wszystko zgadzało się z jej najbardziej gorzkimi przewidywaniami.

— Zawsze... zawsze tak było! — wykrzyknęła. — Przez cały czas trwała między nami jedna długa walka... Ty zawsze mnie od siebie odpychałeś.

Padło to z jej ust niespodziewanie jak uderzenie pioruna. Serce Pawła przestało bić na chwilę. A więc ona tak na to patrzyła?

— Miewaliśmy przecież chwile zupełnego szczęścia... bywaliśmy z sobą idealnie szczęśliwi — zaprotestował błagalnie.

— Nie! Nigdy! — zawołała. — Nigdy! Zawsze mnie odpychałeś.

— Nie zawsze... nie na początku! — opierał się.

— Zawsze... od samego początku... zawsze było tak samo!

Skończyła, ale to, co powiedziała, wystarczyło. Paweł siedział porażony, bez tchu. Chciał powiedzieć: „Było pięknie, ale się skończyło”. A ona... ona, w której miłość ślepo wierzył i często robił sobie z jej przyczyny wyrzuty, zaprzeczała, by kiedykolwiek ich uczucie było miłością. Zawsze ją odpychał od siebie?! Wobec tego wszystko to było wręcz potworne. Wobec tego nigdy nie było między nimi prawdziwej miłości. Przez cały czas wyobrażał sobie coś, czego w rzeczywistości wcale nie było. A ona o tym wiedziała. Wiedziała tak wiele, a tak mało mu mówiła. Wiedziała przez cały czas. Przez cały czas na dnie duszy chowała tę świadomość.

Siedział milczący i przeżywał swoje gorzkie rozczarowanie. W końcu cała ta sprawa nabrała w jego oczach jakiegoś cynicznego aspektu. W rezultacie to ona się nim bawiła, a nie on nią. Ukrywała przed nim swój ujemny sąd o nim, schlebiała mu, a jednocześnie nim gardziła. Gardzi nim i teraz. Pobudziło to jego intelekt do wyrafinowanego okrucieństwa.

— Powinnaś wyjść za męża za kogoś, kto by cię uwielbiał — powiedział z rozmysłem. — Mogłabyś z nim wtedy postępować, jak by ci się podobało. Zareczam ci, że mnóstwo mężczyzn będzie cię uwielbiało, jeśli potrafisz się wcisnąć w ich osobiste przeżycia. Powinnaś wyjść za kogoś takiego za męża. Nigdy nie będzie cię odpychał.

— Dziękuję ci bardzo! — odparła. — Ale nie doradzaj mi więcej, żebym wyszła za męża za kogoś innego. Już kiedyś mi to radziłeś.

— Jak chcesz — oświadczył. — Nie powiem nic więcej.

Siedział i milczał, z takim uczuciem, jak gdyby to on otrzymał cios, zamiast go wymierzyć. Osiem lat ich przyjaźni i miłości, pełnych osiem lat jego życia zostało zniweczonych jednym pociągnięciem.

— Kiedy zacząłeś o tym myśleć? — zapytała.

— Zdecydowałem się w czwartek wieczór.

— Czulaam, że to się zbliża — powiedziała Miriam.

Sprawilo mu to gorzką satysfakcję. „Och, wobec tego wszystko w porządku. Nie spadło to w takim razie na nią jak coś nieoczekiwanego” — pomyślał\*

— Mówiłeś coś Klarze? — pytała dalej Miriam.

— Nie. Ale powiem jej teraz.

Znów zapadło milczenie.

— Czy pamiętasz to wszystko, co mówiłeś mi w zeszłym roku, kiedy byliśmy w domku mojej babki... ach, chociażby miesiąc temu?

— Tak! — powiedział. — Pamiętam. I naprawdę tak czułem. Nic nie mogę poradzić, że jakoś to nie wyszło.

— Nie wyszło, bo pragniesz teraz czegoś innego.

— Nie wyszłoby równie dobrze z tego czy innego względu. Nigdy we mnie nie wierzyłaś.

Miriam zaśmiała się obco.

Paweł siedział w milczeniu. Był głęboko przeświadczony, że go oszukała. Gardziła nim, kiedy był pewien, że go uwielbia. Pozwalała mu mówić rzeczy nieprawdziwe, nie przecząc mu. Pozwalała mu walczyć samotnie. Ale najbardziej dotkliwie zabolalo go to, że nim gardziła, kiedy był pewien, że go uwielbia. Powinna mu była powiedzieć, gdy widziała w nim coś złego. Postępowała nielojalnie. Nienawidził jej. W ciągu wszystkich tych lat traktowała go jak bohatera, a w skrytości ducha uważała za dziecko... za niemądre dziecko. Czemu więc pozwalała niemądemu dziecku się łudzić? Jego serce zacinało się w nienawiści do niej.

Miriam siedziała głęboko rozgoryczona. Wiedziała... och, jakże dobrze wiedziała! Cały czas, kiedy go przy niej nie było, podsumowywała cechy jego charakteru, widziała jego małość, jego podłość, jego szaleństwo. Nawet ona strzegła przed nim swą duszę. Nie była obecnie wytracona z równowagi, złamana ani nawet dotknięta zbyt boleśnie. Przeczuwała to wszystko od dawna. Tylko czemu, nawet teraz, kiedy tu siedział, nadal posiadał nad nią tę dziwną przewagę? Nawet jego ruchy urzekały ją, jak gdyby była przez niego zahipnotyzowana. Był godzien pogardy, był obłudny, niewierny i podły. Czemu więc była w jego niewoli? Czemu zwykły ruch jego ręki działał na nią silniej niż cokolwiek na świecie? Czemu czuła się z nim związana? Czemu nawet teraz, gdyby na nią spojrział i coś jej rozkazał, nie potrafiłaby go nie usłuchać? Byłaby mu posłuszna w najbłahszych nawet sprawach. Ale gdyby go raz usłuchała, miałyby go w rękę i dobrze wiedziała, że umiałyby go wtedy zaprowadzić, dokąd by się jej podobało. Była sobie pewna. Tylko ten nowy, obcy wpływ! Ach, naprawdę, on nie był mężczyzną. Był małym dzieckiem, które płacze o nową zabawkę. I nic go nie powstrzyma, nawet prawdziwe, duchowe przywiązanie. A więc dobrze, niech sobie idzie. Ale z pewnością wróci, jak się już znudzi tymi nowymi wrażeniami.

Rył w ziemi, póki Miriam nie poczuła, że już dłużej tego nie zniesie. Powstała z miejsca. Siedział rzucając dalej grudki ziemi do strumyka.

— Czy wypijemy gdzieś tutaj herbatę? — zapytał.

— Dobrze — odparła.

Rozmawiali w czasie podwieczorku o różnych obojętnych sprawach. Rozwodził się obszernie nad przesadnym zamiłowaniem do ozdób (temat ten nasunął mu wygląd salki, w której siedzieli) oraz o związku, jaki to ma z prawdziwą estetyką. Miriam była chłodna i opanowana. Kiedy wracali do domu, zapytała:

— Czy nie będziemy się wcale widywali? ... ,<

— Nie... a w każdym razie bardzo rzadko — odparł. i

— Ani pisywali do siebie? — zapytała niemal sarkastycznie.



— Jak będziesz miała ochotę — powiedział. — Nie jesteśmy sobie nigdy do tego nie dojdzie, choćby nie wiem co się stało. Będę do ciebie pisywał od czasu do czasu. A ty rób, jak chcesz.

— Rozumiem! — odparła uszczypliwie.

Ale on był teraz doprowadzony do stanu, w którym nic nie mogło go już dotknąć. W życiu jego dokonał się wielki przełom. Doznał ogromnego wstrząsu, kiedy mu powiedziała, że ich miłość była zawsze jedynie walką. Nic się poza tym nie liczyło. Jeśli zawsze oznaczało to tak niewiele, nie było o co robić tyle hałasu, kiedy się wreszcie skończyło.

Rozstał się z Miriam na skraju łąki. Kiedy wracała do domu samotnie, w swojej nowej sukience, aby u końca tej drogi stanąć przed całą swoją rodziną, patrzył za nią z szosy, jak gdyby przykuty do miejsca, i myślał z bólem

i wstydem o cierpieniu, na jakie ją naraził.

Broniąc się przed ostateczną utratą szacunku do samego siebie zaszedł do gospody „Pod Wierzbami” na kieliszek jakiegoś trunku. Zastał tam cztery dziewczyny, które po całodziennym wycieczce raczyły się skromną szklaneczką porto. Na ich stoliku leżały rozsypane czekoladki. Paweł usiadł niedaleko od nich, ze swoją whisky. Zauważył, że dziewczęta trącają się łokciami i szepczą coś między sobą. Nagle jedna z nich, ładna, wesoła brunetka, pochyliła się w jego stronę.

— Chcesz czekoladkę? — zapytała.

Jej towarzyszki głośnym śmiechem powitały tę śmiałą zaczepkę.

— Dobrze, wezmę jedną — powiedział Paweł. — Ale twardą... z orzechem. Nie lubię nadziewanych.

— No to proszę — zaśmiała się dziewczyna — oto migdał dla ciebie.

Trzymała czekoladkę w dwóch palcach. Otworzył usta. Wsunęła w nie czekoladkę i zaczerwieniła się.

— Jesteś bardzo miła!

— Wydało nam się, że masz dosyć wszystkiego — odparła. — I one mnie namówiły, żebym cię poczęstowała czekoladką.

— Nie pogniewałbym się, gdybyś mi dała jeszcze jedną... inną — powiedział Paweł. Zaczęli się wszyscy razem śmiać i żartować.

Wrócił do domu dopiero o dziewiątej wieczorem, gdy zaczynało się ściemniać. Wszedł do kuchni w milczeniu. Matka, która czekała na niego, podniosła się niespokojnie z krzesła.

— Powiedziałem jej wszystko — rzekł Paweł.

— Cieszy mnie to — rzekła matka. W głosie jej brzmiała prawdziwa ulga.

Znużonym ruchem powiesił czapkę na wieszaku.

— Powiedziałem jej, że skończyliśmy z sobą na dobre — dodał.

— Słusznie zrobiłeś, mój chłopcze — rzekła matka. — Będzie to dla niej na razie ciężkie, ale z pewnością okaże się dobre w przyszłości. Nie byliście dobrani.

Zaśmiał się sucho, siadając na kanapie.

— Miałem taką zabawną przygodę z jakimiś dziewczętami w gospodzie.

Matka spojrzała na niego. Zapomniał w tej chwili o Miriam. Opowiadał

jej o spotkanych „Pod Wierzbami” dziewczętach. Pani Morel patrzyła na niego. Je-

go wesołość wydawała się dziwnie nierealna. Zbyt dużo kryło się za nią zgrozy i cierpienia.

— Zjedz coś teraz — powiedziała bardzo łagodnie.

Po kolacji zwierzył się matce smutno:

— Nigdy nie wierzyła, że się pobierzemy, mamo. Nie wierzyła od samego początku i dzięki temu się nie rozczarowała.

— Obawiam się — rzekła matka — że nawet teraz nie wyrzekła się jeszcze nadziei na ciebie.

— Może — odparł. — Może tak jest.

— Przekonasz się, że dobrze zrobiłeś zrywając — powiedziała.

— Nie wiem! — zawołał z rozpaczą.

— W każdym bądź razie pozostaw ją teraz samej sobie — zdecydowała pani Morel.

Opuścił więc Miriam i została sama. Niewielu miała przyjaciół i rzadko się kimś interesowała. Została sama i zdana tylko na siebie. Czekwała...

TLR

## ŻADZA

Paweł powoli dążył do tego, by z czasem zarabiać na życie wyłącznie sztuką. Firma Liberty zakupiła kilka jego wzorów malowanych na rozmaitego rodzaju tkaninach, a poza tym udawało mu się czasem sprzedać jakiś wzór do haftu, na szaty kościelne lub podobne rzeczy, w jeszcze paru innych miejscach. Zarobki jego nie były na razie zbyt wysokie, ale w przyszłości mogły znacznie wzrosnąć. Zaprzyjaźnił się również z pewnym projektantem wzorów dla fabryki porcelany, zdobywając dzięki temu pewien zasób wiedzy w zakresie sztuki, którą trudnił się jego nowy znajomy. Sztuki stosowane bardzo go interesowały. Jednocześnie pracował powoli nad swymi obrazami. Lubił malować postacie duże i pełne światła, lecz nie składające się wyłącznie z gry światła i cieni, jak u impresjonistów, ale wyraźne w rysunku i promieniujące własnym blaskiem. Przypominały niektóre postacie Michała Anioła. Wkomponowywał je potem w jakiś odpowiedni krajobraz pilnie przestrzegając, aby właściwe proporcje były ściśle zachowane. Tworzył przeważnie z pamięci, obierając za model pierwszą lepszą znaną mu osobę. Był głęboko przeświadczony, że jego prace są dobre i wartościowe. Zdarzały mu się co prawda chwilowe napady depresji i zniechęcenia, na ogół jednak niezbyt wierzył w swój talent.

Miał dwadzieścia cztery lata, kiedy po raz pierwszy zwierzył się matce w zaufaniu.

— Zobaczysz, mamó — powiedział — że stanę się jeszcze kiedyś sławnym malarzem.

Pani Morel pociągała nosem w swoisty sposób. Przypominało to wzruszenie ramionami z pewną dozą zadowolenia.

— Bardzo pięknie, synku, zobaczymy — odparła.

— Zobaczysz, moja najmilsza. Zobaczysz, czy nie będziesz jeszcze pewnego pięknego dnia chodziła dumna jak paw!

— Jestem najzupełniej zadowolona ze swego losu, synku — uśmiechnęła się.

— Musisz się jednak zmienić, mamó. Spójrz tylko, co ty wyrabiasz z Minnie.

Minnie była to mała, czternastoletnia dziewczynka, służąca Morelów.

— A co ty znów chcesz od Minnie? — zapytała pani Morel z godnością.

— Słyszałem, jak wołała dziś rano: „Ach, pani Morel! Właśnie miałam to zrobić!”, kiedy posłaś w najgorszy deszcz po węgiel — wyrzucał matce Paweł. — To tylko pierwszorzędny dowód, jak świetnie umiesz zarządzać służbą.

— Ach, daj już spokój! To była po prostu zwykła troskliwość tej małej o mnie — westchnęła pani Morel.

— Tak, i jeszcze jej tłumaczyłaś: „Nie możesz przecież robić dwóch rzeczy naraz, Minnie”.

— Zmywała wtedy naczynia — spokojnie odparła pani Morel.

— I co ci odpowiedziała? „Przecież równie dobrze można z tym było jeszcze chwilę

zaczekać. A teraz proszę tylko spojrzeć, jak wyglądają pani buty, pani Morel”.

— Tak... bezczelne, małe dziewczuszyko! — uśmiechnęła się pani Morel.

Spojrzał na matkę i roześmiał się. Jej twarz była zaróżowiona i znów pełna ciepłej miłości dla niego. Wyglądała tak promiennie, jak gdyby skoncentrowało się na niej przez chwilę! całe światło słoneczne. Zabrał się znów z zadowoleniem do malowania. Matka tak dobrze wyglądała, kiedy czuła się szczęśliwa, że zupełnie zapomniał o jej siwych włosach.

Tego roku pojechała razem z nim wypocząć na wyspę Wight. Wydawało się to im obojgu aż nazbyt piękne i podniecające. Pani Morel nie posiadała się z radości i zachwytu. Ale Paweł wyciągał ją na spacerów znacznie dłuższe, niż na to pozwalały jej siły. Pewnego razu zemdląła. Był to ciężki przypadek

i twarz jej stała się przeraźliwie szara, a usta zupełnie zsiniały. Paweł cierpiał strasznie. Czuł się tak, jak gdyby ktoś wbijał mu nóż w samo serce. Później nastąpiła duża poprawa i Paweł znowu zapomniał. Ale niepokój w nim pozostał i trapił go niby jątrząca się rana.

Niemal natychmiast po opuszczeniu Miriam zwrócił się do Klary. W poniedziałek, następnego dnia po zerwaniu, zszedł na dół do pracowni. Klara spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Nie zdając sobie nawet z tego sprawy, ogromnie się do siebie ostatnio zbliżyli. Klara dostrzegła w jego twarzy jakieś zupełnie nowe ożywienie.

— Dzień dobry, królowo Sabo! — zawołał śmiejąc się.

— Czemu mnie tak nazywasz? — zdziwiła się.

— Bo uważam, że to do ciebie pasuje. Masz dziś nową suknię.

Zarumieniła się lekko.

— No i co o niej powiesz? — zapytała.

— Ładnie ci w niej... nawet bardzo ładnie! Ale dopiero ja wymyśliłbym odpowiedni fason dla ciebie!

— Ciekawa jestem, jakby to wyglądało?

Stał przed nią i z błyszczącymi oczami objaśniał swój projekt. Wzrokiem swym przykuwał jej oczy. Nagle schwycił ją. Cofnęła się przestraszona. Naciągnął mocniej materiał bluzki i wygładził go na jej piersiach.

— O, coś w tym rodzaju! — tłumaczył.

Ale twarze obojga płonęły i Paweł zaraz uciekł. Dotknął jej! Cały aż drżał z przejęcia.

Od pewnego czasu istniało między nimi ciche porozumienie. Następnego wieczoru wybrał się z nią na film, który kończył się kilka minut przed jego pociągiem. Kiedy zajęli swoje miejsca, spojrzał na rękę Klary leżącą tuż obok, na poręczy. Nie śmiał jej w pierwszej chwili dotknąć. Obrazy na ekranie tańczyły i zamazywały mu się przed oczami. Potem wziął jej rękę w swoją. Była duża i silna. Wypełniała jego całą dłoń. Trzymał ją w mocnym uścisku. Klara nie poruszyła się i nie odwzajemniła się nawet najmniejszym znakiem. Kiedy wyszli z kina, miał zaledwie kilka minut do odejścia pociągu. Zawahał się.

— Dobranoc — powiedziała Klara.

Rzucił się biegiem przez jezdnię na drugą stronę ulicy.

Następnego dnia przyszedł znów, żeby z nią porozmawiać. Przyjęła go dosyć wy-

niośle.

— Czy nie poszłabyś ze mną na spacer w poniedziałek? — zaproponował. Odwróciła od niego twarz.

— Czy powiesz Miriam o tym? — spytała ironicznie.

— Zerwałem z nią — powiedział.

— Kiedy?

— Ostatniej niedzieli.

— Pokłóciliście się.

— Nie. Doszedłem po prostu do wniosku, że to jest konieczne. Powiedziałem jej zdecydowanie, że z tą chwilą uważam się za wolnego.

Klara nic na to nie odpowiedziała, a on wrócił na górę, do swojej pracy. Była taka spokojna i taka wspaniała!

W sobotę wieczorem poprosił ją, żeby się spotkali po skończonej pracy

i żeby z nim poszła na filiżankę kawy do jakiejś restauracji. Klara zjawiała się bardzo chłodna i daleka. Miał trzy kwadranse czasu do odejścia pociągu.

— Przejdźmy się jeszcze trochę — zaproponował.

Zgodziła się i poszli do parku leżącego z tyłu, poza Zamkiem. Odczuwał jakiś lęk przed nią. Szła obok nachmurzona, niechętnym, gniewnym krokiem. Nie miał odwagi wziąć ją za rękę.

— Którędy pójdziemy? — zapytał, gdy zanurzyli się w mrok.

— Wszystko mi jedno.

— Chodźmy więc tymi schodkami pod górę.

Nagle zawrócił. Minęli już schodki, które wiodły do parku. Klara stała nieruchomo, nadałana, że ją tak nieoczekiwanie opuścił. Obejrzał się za nią. Stała samotna i daleka. Porwał ją nagle w ramiona, na chwilę mocno do siebie przyciągnął i pocałował, ale natychmiast puścił.

— Chodźmy — powiedział skruszony.

Szła spokojnie za nim. Ujął jej rękę i całował końce palców. Szli w zupełnym milczeniu. Gdy wynurzyli się na światło, puścił jej rękę. Żadne z nich nie odezwało się aż do samej stacji. Dopiero wtedy spojrzeli sobie głęboko w oczy.

—..Dobranoc — powiedziała Klara.

Wsiadł do swego pociągu. Jego ruchy były mechaniczne. Ludzie coś do niego mówili. Słyszał, jak odpowiada im słabe echo czyjś głosu. Czuł, że oszaleje, jeżeli natychmiast nie nadejdzie poniedziałek. W poniedziałek znów ją zobaczy. Całym sobą wybiegał naprzód do owej chwili. Oddzielała go od niej niedziela. Jak on to zniesie! Nie będzie mógł zobaczyć jej przed poniedziałkiem. Dzielila ich jeszcze cała niedziela, która będzie się wlokła nieskończenie długimi godzinami wyczekiwania i tęsknoty. Po drodze do domu wstąpił na szklaneczkę whisky, ale pogorszyło to jedynie jego samopoczucie. Matka nie powinna się denerwować, oto, co na razie było najważniejsze. Szczęśliwie udało mu się ją zwieść i szybko poszedł spać do siebie na górę. Usiadł w ubraniu na łóżku, oparł brodę na podciągniętych w górę kolanach i patrzył przez okno na dalekie wzgórza, na których migotało kilka świateł. Nie spał ani

o niczym nie myślał, tylko siedział tak zupełnie nieruchomo, patrząc przed siebie. A kiedy w końcu zmarzył tak bardzo, że aż go to otrzeźwiło, przekonał się, że jego ze-

garek zatrzymał się o pół do trzeciej. Musiało więc już być na pewno dobrze po trzeciej. Czuł się ogromnie wyczerpany, ale wciąż dręczyła go myśl, że jest to dopiero niedziela rano. Położył się do łóżka i usnął. Potem przez cały dzień jeździł na rowerze, póki nie poczuł się do ostatka wyczerpany z sił. Niezupełnie zdawał sobie sprawę z tego, gdzie był ani co robił. Ale nazajutrz będzie już poniedziałek. Spał do czwartej rano. Potem leżał i rozmyślał. Zaczął po trosze odnajdywać samego siebie... zaczynał już widzieć siebie nieomal realnie, wybiegając myślą naprzód. Ona pójdzie z nim dziś po południu na spacer... Dziś po południu! Wydawało mu się, że od tej chwili dzielą go jeszcze całe lata.

Godziny wlokły się powoli. Pierwszy wstał ojciec. Słyszał go obijającego się na dole. Potem jego ciężkie buty zaszurały na podwórzu i stary górnik poszedł do kopalni. Koguty wciąż jeszcze piały. Jakiś wóz zadudnił ciężko na drodze. Wreszcie wstała matka. Rozpaliła ogień na kominku i po chwili zawołała na niego ściszone głosem. Odpowiedział jej, jak gdyby dopiero co się obudził. Jego zewnętrzne ja działało niezawodnie.

Wędrował na stację piechotą... całą, nieskończenie długą milę! A potem pociąg zbliżał się do Nottingham. Czy zatrzyma się przed tunelem? Ale nie było to właściwie ważne. I tak zdąży dojechać przed obiadem. Był już u Jordana. Ona przyjdzie za pół godziny. W każdym razie będzie już od niego niedaleko. Przeczytał pocztę. Klara powinna już być. A może nie przyszła? Zbiegł na dół. Ach! Zobaczył ją przez szybę w oszklonych drzwiach. Jej ramiona, pochylone lekko nad robotą, sprawiły, że nie mógł ruszyć się z miejsca. Nie mógł już tego dłużej wytrzymać. Wszedł do pracowni. Był błąd, zdenerwowany, skrzepowany i chłodny. Czy ona go aby zrozumie? Nie mógł ukazać swego prawdziwego ja przez ową zewnętrzną skorupę.

— A dziś po południu — wykrztusił z trudem — czy przyjdiesz?

— Myślę, że tak — odparła szeptem.

Stał przed nią niezdolny wymówić słowa. Odwróciła twarz, kryjąc ją przed nim. Znowu doznał takiego uczucia, jak gdyby miał zaraz stracić przytomność. Zaciął zęby i wrócił do siebie na górę. Dotychczas wykonywał wszystkie swoje obowiązki zupełnie poprawnie i tak być musi w dalszym ciągu. Przez cały ranek wszystko docierało do niego z oddali, jak do kogoś znajdującego się pod narkozą. Czuł się unieruchomiony ciasnymi więzami przymusu. Gdzieś daleko znajdowało się jego drugie ja, poruszające się, spełniające rozmaite czynności i pilnie wpisujące liczne pozycje do ksiąg, on zaś sam bacznie obserwował tego kogoś drugiego, pilnując go, aby przypadkiem nie popełnił jakiejś omyłki.

Ale wysiłek i cierpienie, jakie mu to sprawiło, nie mogły już trwać dłużej. Pracował bez przerwy, niestrudzenie. A jednak była dopiero dwunasta. Jak przykutą łańcuchem, stał przy swoim pulpicie i pracował uparcie, zmuszając się do każdego pociągnięcia piórem. Była za kwadrans pierwsza. Mógł wreszcie wyjść. Szybko zbiegł na dół.

— Spotkamy się o drugiej przy fontannie — powiedział.

— Mogę przyjść dopiero o pół do trzeciej — odparła.

— Tak — szepnął zawiedziony.

Zobaczyła jego pociemniałe, oszalałe oczy.

— Może uda mi się zdążyć kwadrans po drugiej.

Musiał się tym zadowolić. Poszedł i zjadł obiad. Przez cały czas działał nadal jak w narkozie i minuty ciągnęły się w nieskończoność. Zrobił kilka mil włączając się po ulicach. Nagle wydało mu się, że spóźni się na miejsce spotkania. Był przy fontannie pięć po drugiej. Następny kwadrans oczekiwania był wyrafinowaną męczarnią, której nie da się wyrazić słowami. Było to obłędne pragnienie, by nareszcie jego żywe, prawdziwe ja połączyło się z nieszczęsną skorupą. Wreszcie zobaczył ją. Przyszła! I on też był na miejscu.

— Spóźniłaś się! — powiedział.

— Tylko pięć minut — odparła.

— Ja nigdy bym ci tego nie zrobił — zaśmiał się z wyrzutem.

Miała na sobie ciemnoniebieski kostium. Szybko ogarnął wzrokiem jej śliczną, zgrabną figurę.

— Brakuje ci jakiegoś kwiatka — zdecydował kierując się do najbliższej kwaciarni.

Towarzyszyła mu w milczeniu. Kupił jej kilka jaskrawoczerwonych goździków. Rumieniąc się przypięła je sobie do zakietu.

— Oto prawdziwie wspaniały kolor! — zawołał.

— Wolalabym raczej coś spokojniejszego — powiedziała Klara.

— Czy czujesz się jak wielka plama cynobru spacerująca po ulicy? — zapytał.

Onieśmielona zwiesiła głowę unikając wzroku spotykanych po drodze przechodniów. Przyglądał się jej z boku, idąc koło niej. Miała na twarzy, tuż przy samym uchu, cudowne zagłębienie, którego nagle gorąco zapragnął dotknąć. Była w niej jakaś ociężałość, przypominała dorodny kłos uginający się dostojnie na wietrze, co przyprawiało go o zawrót głowy. Czuł, że niemal zatacza się po ulicy, a wszystko wokół wiruje z nim razem.

Kiedy usiedli w tramwaju, wsparła się ciężko na jego ramieniu, a on ujął jej rękę. Czuł, że się budzi z narkozy i zaczyna normalnie oddychać. Jej ucho, na pół schowane w jasnych włosach, było tuż koło niego. Pokusa, aby je pocałować, była nie do przezwyciężenia. Ale na górnej platformie tramwaju jechali oprócz nich jeszcze inni pasażerowie. Pomimo to straszliwa pokusa nie ustępowała. Ostatecznie nie był w tej chwili sobą, a tylko jednym z przydadków do jej urody, podobnie jak blask słoneczny oświecający jej twarz.

Odwrócił się szybko. Rankiem padał tego dnia deszcz. Przepaściste urwisko zamkowej skały lśniło wielką, moką ścianą ponad leżącym w dole miastem. Przecieli ciemną, otwartą przestrzeń torów w Midland i minęli bielejące z dala ogrodzenie dla bydła. Później jechali wzdłuż nędznej Wilford Road.

Klara chwiała się lekko, kołysana rytmem tramwaju, a ponieważ wspierała się na ramieniu Pawła, kołysała się z nim razem. Był silnym, szczupłym mężczyzną o niespożytej energii. Twarz miał pospolitą, rysy typowe dla ludzi prostych. Ale świecące pod gęstymi brwiami oczy były tak pełne życia, że wręcz fascynowały ją swoim blaskiem. Zdawały się tańczyć, a zarazem tchnęły spokojem, balansując na samej granicy śmiechu. Tak samo jego usta, gotowe wybuchnąć niemal za chwilę paroksyzmem zwycięskiego śmiechu, jednak się od tego powstrzymywały. Wyczuwało się w nim jakieś ostre, wewnętrzne napięcie. Klara zasepiona przygryzła wargi. Jego ręka zaciskała się mocno na jej dłoni.

Zapłacili przy kołowrocie u wejścia dwie półpensówki i przeszli przez most. Wody Trent były wezbrane. Rzeka płynęła pod mostem cicho i zdradliwie, wielkim, łapczym strumieniem. W ostatnich czasach padały obfite deszcze. Na niskim brzegu lśniła płasko rozlana woda. Niebo było szare, gdzieś tylko rozjaśnione srebrzystym blaskiem.

Na cmentarzu w Wilford dalej stały nasiąkłe wodą, jak wielkie ciemnopurpurowe kule. Na ścieżce, biegnącej przez zieloną łąkę wzdłuż wiązowego szpaleru, nie było żywego ducha.

Zwiewna, delikatna mgielka unosiła się nad srebrzycie ciemną taflą wody, nad zielonym skrajem łąki i w górze, nad szpalerem połyskujących złotem wiązków. Rzeka skradała się w dole, niby milcząca, niezwykle ręce cielsko jakiegoś rzadkiego, skomplikowanego zwierza, wijące się w niezliczonych splotach. Klara szła u boku Pawła zaszepiona i chmurna.

— Dlaczego — zapytała w końcu tonem, w którym zabrzmiała jakaś przykra nuta — dlaczego rzuciłeś Miriam?

Zmarszczył brwi.

— Bo uważałem za stosowne rozstać się z nią.

— Ale dlaczego?

— Bo nie chciałem tego dłużej ciągnąć. I nie chciałem się żenić.

Klara milczała przez chwilę. Posuwali się ostrożnie naprzód po rozmokłej ścieżce. Z mokrych gałęzi wiązków spadały na nich krople wody.

— Nie chciałeś ożenić się z Miriam, czy nie chcesz się w ogóle żenić? — zapytała.

— I jedno, i drugie — odparł zdecydowanie.

Na drodze lśniły wielkie kałuże wody i musieli omijać je starannie, aby dostać się do przełazu w żywopłocie.

— A co ona na to powiedziała? — zapytała Klara.

— Miriam? Powiedziała, że jestem czteroletnim dzieckiem i że zawsze usiłowałem ją od siebie odepchnąć.

Klara zastanawiała się nad tym chwilę.

— Ale przecież ty naprawdę chodziłeś z nią przez pewien czas? — spytała.

— Tak.

— A teraz już wcale jej nie chcesz?

— Nie chcę. Zrozumiałem, że to nie ma sensu.

Znów zastanawiała się przez chwilę.

— Czy nie wydaje ci się, że raczej źle się z nią obszedłeś? — pytała w dalszym ciągu Klara.

— Tak. Powinienem był to zrobić dobrych kilka lat wcześniej. Ale nie było sensu ciągnąć tego dalej. Podwójne zło nie doprowadzi do niczego dobrego. ...

— Ile ty masz lat? — zapytała Klara.

— Dwadzieścia pięć.

— A ja trzydzieści — powiedziała szczerze.

— Wiem o tym.

— Niedługo skończę trzydzieści jeden... a może już skończyłam?

— Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Cóż to może mieć za znaczenie?



Wyszli teraz na skraj lasu. Mokra, czerwona ścieżka klejąca się od opadłych, rozmokłych liści biegła w górę stromym stokiem, pomiędzy trawą. Po obu jej stronach rosły smukłe wiązy, niby kolumny wzdłuż wielkiej nawy, zakończone łukiem i tworzące u góry strzeliste sklepienie, z którego opadały zeschnięte liście. Wokoło było pusto, cicho i mokro. Klara stanęła na szczycie przełazu, a on trzymał obie jej ręce. Śmiejąc się spojrzała mu z wysoka w oczy. Potem skoczyła. Jej piersi oparły się o jego pierś. Przytrzymał ją i zasypał jej twarz pocałunkami.

Pięli się w górę śliską, stromą, czerwonawą ścieżką. Potem Klara uwolniła ręce z jego uścisku. Wzięła go za rękę i opasała się nią w pół.

— Uciskasz mi żyłę w ręce, kiedy mnie tak mocno trzymasz — powiedziała.

Szli dalej. Czubkami palców wyczuwał falowanie jej piersi. Wokoło była zupełna pustka i cisza. Po lewej stronie, poprzez pnie i gałęzie wiązów, prześwitywały mokre, czerwone bruzdy zaoranej ziemi. Z prawej, patrząc w dół, mogli dostrzec wierzchołki wiązów rosnących nisko w dole i od czasu do czasu do uszu ich dobiegał stłumiony bełkot rzeki. Czasem też mogli rzucić okiem na wezbraną po brzegi, wijącą się w łagodnych skrętach Trent i na podmokłe, nadbrzeżne łąki, usiane drobnymi punkcikami pasącego się bydła.

— Niewiele się zmieniło od czasu, kiedy przechadzał się tu mały Kirke White — powiedział Paweł.

Ale patrzył przy tym na jej szyję, poniżej ucha, gdzie nikły, delikatny rumieniec przechodził stopniowo w lekko kremową biel, oraz na jej trochę wysunięte, bezradne i niepocieszone usta. Idąc ocierała się chwilami o niego i czuła, że jego ciało jest napięte jak cięciwa.

W połowie wysokiej kolumnady wiązów, tam gdzie las wznosił się najwyżej ponad rzeką, musieli nagle przystanąć. Poprowadził ją na przełaj do trawy rosnącej pod drzewami na skraju ścieżki. Strome urwisko brunatnej gliny spadało gwałtownie w dół, wśród drzew i zarośli, wprost do rzeki połyskującej srebrzyście wśród ciemnych liści. Dalekie, podmokłe łąki w dole, poniżej ich stóp, wydawały się bardzo zielone. Stali wsparci o siebie, milczący i zalęknieni, tuląc się do siebie całym ciałem. Z dołu dobiegał do ich uszu gwałtowny, urywany bełkot wody.

— Dlaczego — zapytał ją w końcu — znenawidziłaś Baxtera Dawesa?

Zwróciła się w jego stronę wspaniałym ruchem, ofiarowując mu do pocałunku usta i szyję. Oczy miała na w pół przymknięte, a piersi jej uniosły się w górę, jak gdyby go wołając. Zaśmiał się krótkim, urywanym śmiechem, zamknął oczy i złączył się z nią w długim, pełnym pocałunku. Jej wargi rozpląły się pod jego ustami, a ciała ich zwały się i płonęły. Minęło kilka długich minut, zanim się rozłączyli. Stali na skraju ścieżki.

— Czy zejdziemy nad rzekę? — zapytał.

Spojrzała na niego poddając się jego inicjatywie. Przekroczył krawędź urwiska i zaczął wolno schodzić w dół.

— Ślisko tu jest — powiedział.

— To nie szkodzi — odparła.

Brunatny, gliniasty stok opadał w dół niemal prostopadle. Ślizgając się przeskakiwał z jednej kępy trawy na drugą czepiając się krzaków i zmierzając w ten sposób do

niewielkiego, płaskiego skrawka gruntu u stóp drzewa. Czekał tam na nią śmiejąc się w podnieceniu. Jej buciki były całe oblepione brunatną gliną. Było jej trudno schodzić. Paweł zmarszczył brwi. W końcu jednak pochwycił jej rękę i Klara stanęła obok niego. Nad nimi wyrastał wysoki stok urwiska i stromo opadał w dół pod ich stopami. Twarz Klary była zaróżowiona, a oczy świeciły mocno. Spojrzał w otwierającą się przed nimi głęboką przepaść.

— To jest ryzykowne — powiedział — a w każdym razie mocno się ubrudzimy. Czy zawrócimy?

— Ale nie ze względu na mnie! — pośpiesznie zastrzegła się Klara.

— Wobec tego dobrze. Ale widzisz, że nie mogę ci pomóc. Daj mi tę paczuszkę i rękawiczki. Ach, twoje nieszczęsne buciki!

Stali pod drzewami, na samym skraju pochyłości.

— Pójdę znów przodem powiedział.

Począł schodzić ślizgając się, zataczając i zsuwając w dół, aż do następnego drzewa, na które wpadł z takim impetem, że prawie stracił dech w piersiach. Klara postępowała za nim ostrożnie, czepiając się gałązek i trawy. Zeszli tak, krok za krokiem, nad sam brzeg rzeki. Tutaj Paweł skonstatował z niezadowoleniem, że wylew urwał i zniósł ścieżkę, wskutek czego brunatny stok wpadał wprost w wodę. Wbił obcasy w ziemię i gwałtownie zahamował. Owiązujący paczuszkę sznurek pękł z trzaskiem. Brązowa paczka podskakując potoczyła się w dół, wpadła do wody i bezszelestnie popłynęła w dal. Paweł stał uczepony drzewa.

— Niech mnie diabli wezmą! — zaklął ze złością. Ale zaraz znów się roześmiał. Klara z trudem zsuwała się po niebezpiecznym odcinku stoku w dół.

— Uważaj! — ostrzegł.

Stał oparty plecami o drzewo i czekał na nią. — Teraz chodź! — zawołał otwierając szeroko ramiona.

Puściła się pędem. Schwycił ją i stali patrząc razem w ciemną głębię wody otwierającą się tuż za urwistą krawędzią. Paczuszka znikła już z oczu.

— Nic nie szkodzi — powiedziała Klara.

Przycisnął ją mocno do siebie i pocałował. Ledwie mieli gdzie postawić nogi.

— To naprawdę świński kawał! — rzekł Paweł. — Ale widzę tu odcisnięty ślad czyjeś stopy, jeśli więc pójdziemy za nim, z pewnością znów trafimy na ścieżkę.

Rzeka zwiwała w łagodnych skrętach swe wielkie cielsko. Na drugim brzegu widać było bydło pasące się na smutnej, pustej równinie. Ponad głowami Pawła i Klary, po ich prawej ręce, spadzisty stok wyrastał wysoko w górę. Stali oparci o drzewo, zagubieni w panującej wokoło pustce i ciszy.

— Spróbujmy pójść dalej — powiedział. Zaczęli brnąć mozolnie przez brunatną glinę trzymając się śladów odcisniętych przez mężczyznę w podkutych butach. Byli zgrzani i czerwoni z wysiłku. Oblepione gliną buty ciążyły im na nogach. W końcu odnaleźli przerwana ścieżkę. Pokrywało ją naniesione przez wodę śmiecie, ale mimo to było im łatwiej posuwać się po niej. Oczyścili sobie buty gałązkami. Serce Pawła biło ostrym, przyśpieszonym rytmem.

Kiedy nagle wynurzył się na małą płaszczyznę, spostrzegł sylwetki dwóch mężczyzn stojących w milczeniu nad krawędzią wody. Serce raptownie skoczyło mu w

piersiach. Łowili ryby. Odwrócił się i ostrzegawczo machnął ręką w stronę Klary. Zawahala się przez chwilę i zapięła żakiet. Poszli dalej razem.

Wędkarze odwrócili się ciekawie, aby przyjrzeć się dwójce intruzów, którzy zakłócili ich samotność i ciszę. Mieli obok siebie rozpalone ognisko, które jednak prawie zupełnie wygasło. Wszyscy czworo zachowywali zupełną ciszę i spokój. Mężczyźni znów zajęli się łowieniem i stali nad szarą, iskrzącą się taflą wody, nieruchomi jak dwa posągi. Klara przeszła obok nich zaczerwieniona, z nisko spuszczoną głową. Paweł śmiał się w duchu. Zaraz potem znikli za przybrzeżnymi wierzbami.

— Należałoby ich właściwie utopić — pogodnie zauważył Paweł.

Klara nic nie odpowiedziała. Brnęli naprzód wąską ścieżką nad brzegiem rzeki. Nagle ścieżka znów znikła im z oczu. Mieli przed sobą stromy stok twardej brunatnej gliny, opadającej pionowo wprost w wodę. Paweł stał i kłął cicho, zacinając ze złości zęby.

— Tutaj nie damy już rady — powiedziała Klara.

Stał wyprostowany, rozglądając się wkoło. Na wprost nich wystawały z wody dwie małe wysepki porośnięte łożyną. Były jednak zupełnie nieosiągalne. Urwisty stok opadał w dół niemal prostopadłą ścianą, która zaczynała się wysoko nad ich głowami. Za sobą, w niewielkiej odległości, mieli mężczyzn łowiących ryby. W oddali, po drugiej stronie rzeki, pasło się bydło w zupełnej pustce szarego, smętnego popołudnia. Paweł znów zaczął kłąć, cicho i dosadnie. Spojrzał w górę, wzdłuż stromej, wysokiej ściany. Czy rzeczywiście nie mieli już innego wyjścia, jak forsować ponownie tę nieznośną błotnistą ścieżkę?

— Zaczekaj chwilę — powiedział i wbijając ukosem obcasy w brunatną, gliniastą ścianę, począł zwinnie pisać się pod górę. Oglądał bacznie korzenie wszystkich pobliskich drzew. W końcu znalazł to, czego szukał. Dwa rosące obok siebie buki tworzyły u podnóża, między swymi korzeniami, niewielką, płytką jamę. Była usłana wilgotnymi liśćmi, ale mimo to można się było w niej schronić. Była prawdopodobnie dostatecznie zakryta przed wzrokiem dwóch mężczyzn łowiących ryby. Rzucił na dno jamy swój płaszcz od deszczu i zaczął kiwać do Klary, aby za nim poszła.

Z trudem dostała się do niego. Znalazłszy się na górze, spojrzała na niego pokornie spod ociężałych powiek i położyła głowę na jego ramieniu. Przytulił ją mocno, rozglądając się wkoło. Wydawało się, że są zupełnie bezpieczni i ukryci przed światem, z wyjątkiem dalekich, małych krów pasących się samotnie po drugiej stronie rzeki. Przywarł ustami do jej szyi i poczuł głucho pulsującą w jej żyłach krew. Nie dochodził do nich żaden dźwięk. W niezmaconej ciszy i spokoju owego sennego popołudnia istniało tylko ich dwoje.

Kiedy Klara wstała, Paweł, wciąż jeszcze wpatrzony w ziemię, zobaczył rozsypane na czarnych, mokrych korzeniach buków purpurowe płatki goździków, podobne do wielkich, rozlanych kropli krwi. Drobne, czerwone płatki spadały w dalszym ciągu z piersi Klary spływając wąską stróżką po sukni, aż do jej stóp.

— Twoje kwiaty przepadły — powiedział.

Spojrzała na niego spod ciężkich, opuszczonych powiek, upinając rozrzucone włosy. Dotknął nagle czubkami palców jej policzka.

— Dlaczego jesteś taka przybita? — zapytał ją z wyrzutem.

Uśmiechnęła się smutno, jak gdyby skarżąc się na swoje zupełne osamotnienie. Głaskał palcami jej policzek, a potem pocałował ją czule.

— Nie! — powiedział. — Pamiętaj, że nie wolno ci się martwić.

Chwyciła mocno jego palce i zaśmiała się nerwowo. Opuściła potem bezwolnie rękę w dół. Odgarnął jej włosy z czoła, całując i głaszcząc delikatnie jej skronie.

— Nie wolno ci się martwić — prosił ją tkliwie.

— Ja się nie martwię — zaśmiała się miękko, z rezygnacją w głosie.

— Właśnie że tak. Nie martw się już dłużej — błagał pieszcząc ją czule.

— Nie, naprawdę się nie martwię! — starała się go pocieszyć, całując' przy tym serdecznie.

Mieli przed sobą kawałek trudnej wspinaczki, by wydostać się z powrotem na górę. Zabralo im to cały kwadrans. Ledwie znaleźli się na porośniętym trawą, równym terenie, Paweł zrzucił czapkę z głowy, otarł czoło i westchnął.

— No, wreszcie mamy znów normalny grunt pod nogami — powiedział.

Usiadła na ziemi porosłej kępami trawy, z trudem łapiąc oddech. Jej policzki były mocno zaróżowione. Pocałował ją, a ona odetchnęła radośnie po przebytych trudach.

— A teraz oczyszczę ci buty, żebyś mogła się pokazać wśród szanujących się ludzi — powiedział.

Ukląkł u jej stóp i pracował wytrwale posługując się patykami i wiechciami zrywanej trawy. Zanurzyła mu palce we włosy i przyciągnęła do siebie jego głowę, całując ją.

— Może mi jednak powiesz, co mam robić — powiedział patrząc na nią roześmiany. — Czy czyścić buty, czy zasypać cię pocałunkami? Może mi na to odpowiesz?

— Rób to, co ci bardziej odpowiada — odparła.

— A więc tymczasem jestem tylko twoim czyścibutem i niczym więcej! — Ale ciągle patrzyli sobie w oczy, roześmiani. A potem całowali się krótkimi, oderwanymi pocałunkami.

— T-t-t-t-t! — kląskał koniuszkiem języka o zęby, tak samo jak jego matka. — Mówię ci, że nie podobna niczego dokonać, jeśli jakaś kobieta znajdzie się w pobliżu.

I znów zabrał się do czyszczenia butów, cicho coś podśpiewując. Klara pogładziła jego gęste włosy, a on pocałował jej palce. Czyścił buty zapamiętale. W końcu udało mu się doprowadzić je do zupełnie przyzwoitego stanu.

— No, proszę, spójrz tylko! — zawołał. — Może nie mam prawdziwego talentu przywracania ci szacownego wyglądu? Wstawaj! Wyglądasz równie nieskazitelnie jak sama Brytania!

Potem oczyścił trochę swoje buty i umył ręce w kałuży, podśpiewując wesoło. Skierowali się w stronę Clifton. Był w niej do szaleństwa zakochany. Każdy jej ruch, każda zmarszczka na jej ubraniu poruszała w nim gorącą falę krwi i wydawała mu się zachwycająca.

Starsza pani, u której jedli podwieczorek, wyraźnie rozweseliła się w ich towarzystwie.

— Żałuję tylko, że nie mieli państwo ładniejszego dnia — powiedziała krzątając się koło nich.

— Ależ gdzie tam! — zaśmiał się. — Właśnie tylko co mówiliśmy, jak było ślicz-

nie.

Starsza dama przyjrzała mu się z zaciekawieniem. Promieniował jakimś szczególnym ciepłem, pełen dziwnego uroku. Jego oczy były ciemne i roześmiane. Zadowolonym ruchem pocierał wąsy.

— Czy naprawdę tak państwo mówili? — zawołała i w jej starych oczach zabłysło światełko.

— A jakże! — zaśmiał się.

— W takim razie jestem pewna, że dzień był rzeczywiście piękny — powiedziała starsza dama.

Kręciła się po pokoju i nie chciała od nich odejść.

— Właśnie sobie myślałam, czy nie miałyby pani ochoty zjeść kilku rzodkiewek — zwróciła się do Klary. — Mam ich trochę w ogródku... a może znajdzie się i jakiś ogóreczek...

Klara zarumieniła się. Wyglądała bardzo ładnie. »

— Zjadłabym chętnie parę rzodkiewek.

Starsza dama radośnie podreptała do ogródka.

— Gdyby ona wiedziała! — zwróciła się Klara do Pawła z całą otwartością.

— Ale nie wie. A to dowodzi, że musimy razem zupełnie miło wyglądać. Ty wyglądasz wystarczająco ładnie, żeby zadowolić nawet samego archaniola, a ja z całą pewnością jestem nieszkodliwy... a więc, jeśli przez to ładnie wyglądasz, a ponadto ludzie się cieszą, gdy u nich jesteśmy, i jeśli sami dzięki temu czujemy się szczęśliwi... to naprawdę nie oszukujemy ich znów tak niecznie!

Kończyli podwieczorek. Kiedy odchodzili, starsza dama zjawiała się nieśmiało z trzema maleńkimi, w pełni rozkwitłymi daliami. Były nakrapiane szkarłatem i bielą. Pachniały świeżością. Stała przed Klarą, niezmiernie zadowolona z samej siebie.

— Nie wiem, czy pani... — zaczęła i nieśmiało wyciągnęła w jej stronę pomarszczoną ze starości rękę, w której trzymała kwiaty.

— Ach, jakie śliczne! — zawołała Klara biorąc dalie.

— Czy wszystkie mają być dla niej? — zwrócił się Paweł z wyrzutem do starej kobiety.

— Tak, wszystkie! — odparła rozpromieniona. — Panu i tak dosyć już dzisiaj przypadło w udziale.

— Oho, ja ją zaraz poproszę, żeby mi jedną dała — żartował Paweł.

— To już pani zrobi, jak będzie chciała — powiedziała starsza dama uśmiechając się. I złożyła im leciutki dyg, niezmiernie zachwycona.

Klara wracała raczej milcząca i jak gdyby czymś przygnębiona.

Kiedy uszli kawałek drogi, Paweł zapytał nagle:

— Czy tylko przypadkiem nie uważasz się za zbrodniarkę? Powiedz zaraz!

Spojrzała na niego szarymi, wystraszonymi oczami.

— Za zbrodniarkę? — powtórzyła. — O nie!

— Ale wyglądasz tak, jak gdybyś się martwiła, że uczyniłaś coś złego.

— Nie! — odparła. — Myślę tylko ciągle: „Gdyby oni wiedzieli!”

— Gdyby wiedzieli, przestaliby z nami sympatyzować. A tak jak jest, są dla nas wyrozumiali i odnoszą się do nas życzliwie. Ale cóż oni znaczą? Ot, teraz, kiedy jesteś

tylko ze mną i z tymi pięknymi drzewami, na pewno w najmniejszym nawet stopniu nie czujesz się winowajczynią, prawda?

Wziął ją pod ramię i zmusił, żeby się obróciła do niego, wiążąc jej wzrok swoim spojrzeniem. Coś go widocznie gnębiło.

— Nie jesteśmy grzesznikami, prawda, Klaro? — powiedział marszcząc lekko brwi, jak gdyby odrobinę zaniepokojony.

— Nie! — odparła.

Pocałował ją i roześmiał się.

Promieniowało z niej jakieś ciepło i spokój, które napawały go szczęściem. Kiedy po rozstaniu z nią znalazł się sam w wagonie kolejowym, był nieprzytomny z radości i przeświadczony, że ludzie są niezwykle mili, noc bardzo piękna, a wszystko dokoła układa się jak najlepiej.

Kiedy wrócił do domu, pani Morel siedziała jeszcze, czytając książkę. Nie czuła się ostatnio dobrze i jej twarz powleczona była ową przezroczystą bladością, której Paweł na razie nie zauważał, a której nigdy potem nie był w stanie zapomnieć. Nie mówiła mu nic o swoich dolegliwościach. Nie uważała, aby to miało być coś poważnego.

— Późno dziś wróciłeś! — powiedziała patrząc na syna.

W jego oczach błyszczało szczęście, a twarz zdawała się promieniować. Uśmiechnął się do niej.

— Tak. Byłem z Klarą w Clifton Grove...

Matka spojrzała na niego powtórnie.

— Czy tylko ludzie nie zaczną plotkować?

— A cóż by mieli za powody? Wszyscy wiedzą, że Klara jest sufrażystką i tak dalej... A nawet gdyby zaczęli plotkować, to i co z tego?

— Naturalnie, że może w tym nie być nic złego — powiedziała matka. — Ale wiesz, jacy są ludzie, i jeśli Klara raz się dostanie na języki...

— No, to trudno, nic na to nie mogę poradzić. A poza tym wydaje mi się, że ta cała ich głupia gadanina nie jest znów czymś tak szalenie ważnym.

— A ja uważam, że powinieneś brać pod uwagę Klarę.

— Tak też robię! A cóż nam ludzie mogą zarzucić?... Że chodzimy razem na spacer. Wydaje mi się, że jesteś po prostu zazdrosna, mamo.

— Dobrze wiesz, że bardzo bym się z tego cieszyła... gdyby ona nie była mężatką.

— Ale zastanów się, moja kochana... Ona żyje w separacji z mężem i przemawia na trybunach, jest więc i tak uważana za parszywą owcę i, o ile wiem, nie ma wiele do stracenia. Bynajmniej! Życie nie przedstawia dla niej żadnej wartości, a jakaż może być cena czegoś, co nie jest nic warte? Chodzi ze mną... i to przynajmniej coś znaczy. Musi więc za to płacić... musimy płacić oboje! A ludzie zawsze tak się boją płacenia... Wolą przymierać głodem albo zgoła umrzeć, byleby tylko nie płacić!

— Bardzo dobrze, synku. Ale zobaczymy, jak to się skończy.

— Bardzo dobrze, mamo. Poczekam do końca.

— Zobaczymy.

— A Klara jest... ona jest strasznie miła, mamo. Naprawdę! Nie masz nawet pojęcia!

— Tak, ale to nie to samo, co gdybyś mógł się z nią ożenić.

— A mnie się zdaje, że to może jest nawet dużo lepsze.

Umilkli na chwilę. Paweł chciał o coś matkę zapytać, ale nie mógł się na to zdobyć.

— Czy chciałabyś ją poznać? — zawahał się.

— Tak — chłodno odparła pani Morel. — Chciałabym zobaczyć, jaka ona jest.

— Jest naprawdę bardzo miła, mamó, wierz mi. I wcale nie jest pospolita.

— Nigdy przecież nic takiego nie mówiłam.

— Ale zdaje się, myślisz, że ona jest... że nie jest równie dobra, jak... Jest lepsza do dziewięćdziesięciu dziewięciu ludzi na sto... Mówię ci! Tak jest naprawdę! Jest ładna, szczerą i prostolinijna. Z niczym się nie ukrywa i wcale nie jest wyniosła. Nie uprzedzaj się do niej tak obrzydliwie!

Pani Morel rozgniewała się.

— Wcale się do niej nie uprzedzam! Może być właśnie taka, jak mówisz, ale...

— Nie pochwalasz tego — dokończył.

— A ty czego się spodziewałeś? Myślałeś może, że będę to pochwałała? — zapytała chłodno.

— Ależ tak! Tak! Jeśli się tylko za bardzo nie uprzedzisz, będziesz się z tego naprawdę cieszyła! Czy rzeczywiście chcesz ją zobaczyć?

— Mówiłam ci już, że tak.

— Przyprowadzę ci ją więc... Czy mogę ją tu przyprowadzić?

— Jak chcesz.

— Przyjdę więc z nią tutaj... którejś niedzieli... na podwieczorek. Nigdy ci nie daruję, jeśli sobie o niej coś złego pomyślisz!

Matka roześmiała się.

— Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie — powiedziała. Ale on już wiedział, że wygrał.

— Ach, jak to cudownie być z nią razem! Ona jest na swój sposób doprawdy królewska...

Wracając z kaplicy Paweł w dalszym ciągu odprowadzał czasem Miriam i Edgara kawałek w stronę ich domu. Nie chodził teraz do Willey Farm. Ale Miriam odnosiła się do niego prawie zupełnie tak samo jak dawniej, nie czuł się więc w jej towarzystwie skrępowany. Pewnego wieczoru odprowadzał tylko ją samą. Zaczęli rozmawiać o książkach. Był to ich niezawodny temat. Pani Morel mawiała, że ich wzajemny stosunek jest niby ogień podsycany książkami... i że gdy zabraknie książek, wszystko wygaśnie. Miriam zaś lubiła się chlubić, że umie w nim czytać jak w otwartej księdze i w każdej chwili może wskazać palcem odpowiedni rozdział i wiersz. Paweł, który łatwo dawał się zasugerować, naprawdę wierzył, że Miriam wie o nim więcej aniżeli ktokolwiek inny na świecie. Z przyjemnością opowiadał jej o sobie jak każdy zwykły egoista. Rozmowa bardzo szybko zeszła na temat tego, co się z nim działo i co w ostatnich czasach robił. Niezmiernie mu to pochlebiało, że jest przedmiotem tak żywego zainteresowania.

— A co robiłeś ostatnio?

— Ja?... Ach, nic wielkiego! Zrobiłem tylko szkic Bestwood od strony ogródka. Jest nareszcie prawie zupełnie dobry. To była chyba setna próba.

Rozmawiali tak jeszcze chwilę. Wreszcie Miriam zapytała:

— Nie byłeś więc nigdzie ostatnio?

— I owszem. Byłem w poniedziałek po południu z Klarą w Clifton.  
— Pogoda była zdaje się nieszczęśliwa — zauważyła Miriam.  
— Ale miałem ochotę się przejść i było bardzo przyjemnie. Trent ogromnie przybrała.

— Byliście także w Barton? — zapytała.

— Nie. Zjedliśmy podwieczorek w Clifton.

— Naprawdę? Ach, to musiało być bardzo przyjemne!

— O, tak! Co za przemiła, wesoła staruszka! Dała nam kilka małych dali, takich ślicznych, że trudno sobie wyobrazić!

Miriam schyliła głowę zamyślona. Nie umiał niczego przed nią ukryć.<sup>1</sup>

— A dlaczego właściwie je wam ofiarowała? — zapytała.

Zaśmiał się.

— Może dlatego, żeśmy jej przypadli do serca... i że byliśmy weseli.

Miriam włożyła palec do ust.

— Czy spóźniłeś się do domu? — zapytała.

Dostrzegł wreszcie szczególną nutę w jej głosie, która go ubodła.

— Złapałem pociąg o pół do ósmej.

— Ach, tak!

Szli dalej w milczeniu. Paweł był zły.

— A co słyhać u Klary? — zapytała Miriam.

— Zdaje mi się, że wszystko w porządku.

— To dobrze — zauważyła z odrobiną ironii. — Ale przy sposobności... czy nie wiesz przypadkiem, co się dzieje z jej mężem? Nigdy nic o nim nie słyhać.

— Ma jakąś inną kobietę i zapewne też jakoś sobie życie ułożył — odparł. — Tak mi się przynajmniej wydaje.

— Rozumiem... nie wiesz jednak nic pewnego. Czy nie uważasz, że tego rodzaju sytuacja jest bardzo trudna dla kobiety?

— Piekielnie trudna!

— Jakie to jest niesprawiedliwe! — zawołała Miriam. — Mężczyzna robi, co mu się podoba...

— Niech więc kobieta postępuje tak samo — przerwał jej.

— Przecież nie może! A gdyby się nawet na to odważyła... wyobraź sobie tylko jej sytuację!

— Cóż z tego?

— Jak to? Przecież to niemożliwe. Nie wyobrażasz sobie, co kobieta traci...

— Nie. Nie wyobrażam sobie. Ale jeżeli kobieta ma się żywić jedynie swoją dobrą sławą i niczym więcej, to wydaje mi się, że musi to być bardzo postna strawa i nawet osioł by od tego zdechł!

Tak więc pojęła ostatecznie, jakie jest jego moralne stanowisko oraz że będzie zgodnie z nim postępował.

Nigdy nie pytała go o nic wprost, ale i bez tego zawsze wydobywała z niego wszystko, co chciała wiedzieć.

Kiedy znów spotkał Miriam, ich rozmowa zeszła na temat małżeństwa i z kolei na



małżeństwo Klary z Dawesem.

— Widzisz — mówił — ona zupełnie nie zdawała sobie sprawy z przeraźliwej doniosłości małżeństwa. Wyobrażała sobie, że to zwykła kolej rzeczy... że to musi przecież kiedyś nastąpić... a Dawes... cóż, wiele kobiet sprzedałoby własną duszę, żeby go zdobyć. Czemu więc nie miał być on? Potem, w konsekwencji, zrobiła się *femme incomprise* i gotów jestem założyć się o nie wiem co, że go fatalnie traktowała.

— I odeszła od niego dlatego, że jej nie rozumiał?

— Tak sędzę. Myślę, że musiała to zrobić. Właściwie kwestia wzajemnego zrozumienia nie jest tu najważniejsza, tylko po prostu życie. Klara była przy nim tylko na pół obudzona. Reszta w niej spała, jak gdyby obumarła. Wtedy to śpiąca kobieta stała się *femme incomprise* i po prostu musiał ktoś przyjść ją obudzić...

— A co z nim?

— Tego nie wiem. Przypuszczam, że ją kocha, a nawet bardzo kocha... ale to jest szalenie.

— To przypomina trochę twoją matkę i ojca — zauważyła Miriam.

— Tak. Ale mam nadzieję, że moja matka na samym początku zaznała z ojcem prawdziwej radości i zaspokojenia. Wydaje mi się, że ją pociągał i dlatego przy nim została. A poza tym byli oczywiście z sobą związani.

— Tak — rzekła Miriam.

— Wydaje mi się — ciągnął Paweł — że jest jedna rzecz najważniejsza, która każdemu człowiekowi jest niezbędnie potrzebna i którą musi przeżyć... prawdziwie płomienny pociąg do drugiej osoby... jeden raz w życiu... jeden jedyny raz... choćby to miało trwać tylko przez trzy miesiące. O, spójrz, moja matka wygląda tak, jak gdyby otrzymała wszystko, co jej było potrzebne do życia i pełnego rozwoju. Nie wyczuwa się w niej w najmniejszym stopniu nawet odrobiny jakiegoś wyjałowienia.

— Tak — przyznała Miriam.

— Jestem pewien, że z moim ojcem zaznała na początku owej cudownej przemiany. Ona wie. Przeżyła to. To można w niej wyczuć, a także w nim i w setkach innych ludzi, których codziennie spotyka się na każdym kroku. I jeśli ktoś raz tego zazna, może mu być potem wszystko odjęte, a mimo to rozwinie się i dojrzeje w pełni.

— Ale czego zazna... powiedz dokładnie? — zapytała Miriam.

— To bardzo trudno powiedzieć, lecz chodzi o to coś wielkiego i głębokiego, co człowieka całkowicie zmienia i przeistacza, jeśli rzeczywiście w pełni złączył się z tą drugą osobą. To jest tak, jak gdyby to nieomal użyźniło duszę sprawiając, że można już potem samoistnie się rozwijać i dojrzeć w pełni.

— I myślisz, że twoja matka zaznała tego z twoim ojcem?

— Tak. I dlatego jest mu w głębi duszy wdzięczna, że jej to dał, nawet dziś, choć są sobie tak straszliwie dalecy.

— I myślisz, że Klara nigdy tego nie doznała?

— Jestem zupełnie pewien.

Miriam zastanowiło to. Zrozumiała, czego poszukiwał... Miał to być pewnego rodzaju chrzest w ogniu zapamiętania. Pojęła, że Paweł nie zazna spokoju, póki przez to nie przejdzie. Zdawał się należeć do tych mężczyzn, którzy muszą wyszumieć się w młodości. Kiedyś w przyszłości, gdy już wreszcie się wyżyje i przestanie miotać się w

wiecznym niepokoju, ustatkuje się zapewne i odda swe życie w jej ręce. A więc trudno, jeśli musi odejść, niech idzie i zazna owej pełni... tego wielkiego i głębokiego przeżycia, jak to nazywał. W każdym razie, kiedy już raz tego zazna, przestanie wreszcie łaknąć... sam to przecież powiedział. Zacznie pragnąć owej drugiej rzeczy, którą mu ona dać może. Odda się jej w opiekę, aby móc pracować. Napawało ją to rozgoryczeniem, że Paweł musi od niej odejść, ale tak samo, jak pozwoliłaby mu pójść do oberży na szklanek whisky, tak samo może mu teraz pozwolić odejść do Klary, jeśli ma to w nim zaspokoić gorączkę owego łaknienia i raz na zawsze uwolnić go od wszelkich tego rodzaju pragnień. A potem do niej powróci.

— Czy powiedziałaś swojej matce o Klarze? — zapytała go.

Wiedziała, że będzie to najlepszym sprawdzianem, czy traktuje swoją miłość do tej drugiej kobiety poważnie. Zdawała sobie sprawę, że jeżeli mówił o tym z matką, będzie to dowodem, że chodzi do Klary po coś, co jest mu niezbędnie potrzebne w życiu, a nie dla zwykłego fizycznego zaspokojenia, po które mężczyzna zwraca się do prostytutki.

— Tak — odparł Paweł. — Ma do nas przyjść w niedzielę na herbatę.

— Do ciebie do domu?

— Tak. Chcę, żeby ją mama zobaczyła.

— Ach, tak!

Zapadło milczenie. Sprawa posuwała się naprzód prędzej, niż się tego spodziewała. Poczła nagle wielką gorycz, że mógł od niej odejść tak szybko

o tak całkowicie. A może jeszcze Klara zostanie życzliwie przyjęta przez jego rodzinę, która do niej ustosunkowywała się zawsze tak wrogo?

— Może wpadnę na chwilę po drodze do kaplicy — powiedziała. — Dawno już nie widziałam Klary.

— Bardzo proszę — odparł zdziwiony i mimo woli zły na nią.

W niedzielę wybrał się po południu do Keston, żeby spotkać Klarę na stacji. Stojąc na peronie starał się wybadać samego siebie, czy ma jakieś przeczucia.

— Czy czuję, że ona przyjedzie? — zapytywał sam siebie i starał się to odgadnąć. Miał w sercu jakiś dziwny ucisk. Może to było przeczucie? Ale w takim razie oznaczałoby ono, że Klara nie przyjedzie. A więc nie przyjedzie, a on zamiast poprowadzić ją polem do domu, jak to sobie wyobrażał, będzie musiał wracać samotnie. Pociąg się spóźniał. Całe popołudnie i wieczór będą pewno zmarnowane. Nienawidził jej w tej chwili za to, że nie przyjechała. Czemu w ogóle obiecywała, jeżeli nie mogła dotrzymać słowa? Może spóźniła się na pociąg... jemu również często się to zdarzało... ale to jeszcze nie powód, żeby ona miała się spóźnić właśnie tym razem. Był na nią zły, a nawet wściekły.

Nagle zobaczył pociąg wypełzający powoli, jak gdyby ukradkiem zza zakrętu. Oto więc wreszcie był pociąg, ale Klara oczywiście nie przyjechała. Zielona lokomotywa z rykiem przetoczyła się wzdłuż peronu, sznur brązowych wagonów zatrzymał się w miejscu i wiele drzwiczek otwarło się naraz. Tak! Nie przyjechała. Nie! Tak. Ach, oto ona. Miała na głowie duży, czarny kapelusz. W jednej chwili znalazł się przy niej.

— Myślałem, że nie przyjedziesz — zaśmiał się nerwowo.

Klara śmiała się, prawie bez tchu, wyciągając na przywitanie rękę. Ich oczy spotka-

ły się. Poprowadził ją szybko peronem, nie przestając ani na chwilę mówić, aby ukryć swoje wzruszenie. Klara wyglądała ślicznie. Na kapeluszu miała wielkie jedwabne róże o barwie starego złota. Kostium, uszyty z czarnego sukna, pięknie leżał na jej piersiach i ramionach. Gdy szedł z nią, rosła w nim duma. Czuł, że ludzie na stacji, którzy go znali, przyglądają się Klarze z podziwem i zachwytem.

— Byłem przekonany, że nie przyjedziesz — zaśmiał się krótko, nerwowo.

Ona również zaśmiała się w odpowiedzi i zabrzmiało to jak cichy, tłumiony szloch.

— A ja siedząc w pociągu martwiłam się, co zrobię, jeżeli ciebie nie będzie na stacji.

Pochwycił impulsywnie jej rękę i wąskim wyjściem opuścili stację. Wyszli na drogę wiodącą do Nuttall, a potem przez Reckoning House Farm. Dzień był błękitny i pogodny. Wszędzie wokoło leżały rozsypane pożółkłe liście. Na żywopłocie, u skraju lasu, czerwieniły się obficie jagody głogu. Paweł zerwał kilka, aby je przypiąć Klarze.

— Chociaż właściwie — powiedział przypinając głóg do jej zakietu — powinnaś zaprotestować, że je zrywam, ze względu na ptaki. Co prawda niezbyt dbają one o głóg w tej okolicy, gdzie i tak mają mnóstwo pożywienia. Często jeszcze na wiosnę znajduje się tu gnijące jagody głogu.

Opowiadał tak coś w dalszym ciągu, nie wiedząc prawie, co mówi, świadomy tylko jednego — że przypina korale głogu do zakietu na jej piersiach, a ona stoi cierpliwie, czekając, aż skończy. Klara zaś patrzyła na jego zwinne ręce, tak pełne życia, i myślała, że nigdy dotąd nie widziała niczego naprawdę. Wszystko na świecie było dotychczas niewyraźne i zamglone.

Przechodzili obok kopalni. Stała czarna i milcząca wśród pól dojrzałego zboża. Jej ogromna, piętrząca się wysoko hałda żużlu zdawała się wyrastać wprost z owsa.

— Jaka szkoda, że ta kopalnia musi znajdować się akurat tutaj, gdzie jest tak pięknie — zauważyła Klara.

— Tak uważasz? — odparł. — A czy uwierzysz, że ja się już tak do niej przyzwyczaiłem, że byłoby mi jej brak? A poza tym lubię napotkać po drodze kopalnię. Lubię patrzeć w dzień na rzędy wagoników, na wieże wiertnicze i na pióropusze pary, a w nocy na światła z dala. Kiedy byłem dzieckiem, wyobrażałem sobie zawsze, że słup obłoków w ciągu dnia i słup ognia w nocy na sklepieniu nieba to właśnie musi być kopalnia z jej kłębamii pary i płonąca hałda oraz że na samym jej szczycie na pewno siedzi Bóg.

Kiedy znaleźli się niedaleko domu, Klara stała się milcząca i zwolniła kroku. Ścisnął mocno jej palce. Zarumieniła się, ale nie odwzajemniła uścisku.

— Czy nie chcesz pójść do nas? — zapytał.

— Tak. Bardzo chcę — odparła.

Nie przyszło mu na myśl, że Klara w jego domu znajdzie się w dość szczególnej i przykrew sytuacji. Odwiedziny jej wydawały mu się czymś równie naturalnym, jak gdyby przedstawiał matce któregoś ze swych kolegów — tyle tylko, że dużo miłszego.

Morelowie mieszkali na brzydkiej ulicy, biegnącej z boczem stromego wzgórza. Ulica była sama w sobie odrażająca, dom Morełów natomiast prezentował się trochę okazalej od pozostałych. Był stary, okopcony, miał duże, półkoliście wychodzące na ulicę okno i stał osobno, oderwany od sąsiednich domków. Wyglądał ponuro. Ale kie-

dy Paweł otworzył furtkę od ogrodu, wszystko stało się od razu inne. Piękne słoneczne popołudnie lśniło pełnym blaskiem sprawiając wrażenie innego ładu. Wzdłuż ścieżki rosły nagietki i małe drzewka. Przed oknami zielenił się skrawek trawnika otoczony krzakami starego bzu. Dalej ciągnął się ogród z kępami strzępiastych chryzantem, zwróconych do słońca, a w samym jego końcu rósł wielki platan na skraju pól, za którymi widać było czerwone dachy kilku domków, a dalej wzgórze skąpane w blasku jesiennego, pięknego popołudnia.

Pani Morel siedziała w swoim fotelu na biegunach, ubrana w odświętną, czarną, jedwabną bluzkę. Jej ciemne, siwiejące włosy były gładko szesane z czoła i szlachetnie zarysowanych skroni. Była bardzo blada. Klara, udęczona i smutna, weszła za Pawłem do kuchni. Pani Morel wstała. Klara pomyślała, że wygląda jak prawdziwa dama, choć jest nieco sztywna i wyniosła. Młoda kobieta była bardzo zdenerwowana. Wyglądała smutno i zrezygnowanie.

— Mamo... to jest Klara — powiedział Paweł.

Pani Morel z uśmiechem podała jej rękę.

— Paweł dużo mi o pani opowiadał — powiedziała.

Policzki Klary spłonęły rumieńcem.

— Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, że przyszedłam — wyjąkała niepewnie.

— Bardzo się ucieszyłam, kiedy mi powiedział, że chce panią przyprowadzić — odparła pani Morel.

Paweł patrząc na nią poczuł, że serce kurczy mu się z bólu. Matka wydawała się taka drobna, blada i zgaszona obok wspaniale kwitnącej Klary.

— Jak dziś ślicznie na dworze, mamo! — powiedział. — I wiesz, widzieliśmy krajkę.

Matka spojrzała na niego. Stał zwrócony w jej stronę. Pomyślała, że wygląda jak dojrzały mężczyzna, w swoim ciemnym, dobrze skrojonym ubraniu. Był blady i zdawał się błądzić myślami gdzieś daleko. Trudno będzie każdej kobiecie utrzymać go przy sobie. Jej serce zabiło radością. Potem jednak zrobiło jej się żal Klary.

— Może zostawi pani swoje rzeczy w saloniku — zaproponowała uprzejmie młodej kobiecie.

— Och, bardzo dziękuję — odparła Klara.

— Chodź ze mną — powiedział Paweł i zaprowadził ją do małego, frontowego pokoju. Stały tam ich dawne mahoniowe meble i stare pianino, a na poźółkłym, marmurowym kominku palił się ogień. Pokój był zarzucony książkami i deseczkami do rysowania. — Nie sprzątam moich rzeczy — powiedział Paweł. — To o tyle wygodniej mieć wszystko pod ręką!

Klarze spodobał się ów artystyczny nieład wśród książek i rodzinnych fotografii. Nieomal od razu zaczął jej szybko objaśniać: — To jest William, a to narzeczona Williama w wieczorowej sukni, to Ania z mężem, a to Artur, jego żona i dziecko. — Klara czuła się tak, jak gdyby wprowadzano ją i przyjmowano do jego rodziny. Pokazywał jej fotografie, książki, rysunki i przez chwilę z sobą rozmawiali. Potem wrócili do kuchni. Pani Morel odłożyła książkę. Klara miała na sobie bluzkę z lekkiego, jedwabnego szyfonu, w czarno-białe, wąziutkie paseczki. Uczesana była bardzo prosto, włosy

miała upięte wysoko z tyłu głowy. Wyglądała raczej poważnie i zachowywała się spokojnie.

— Mieszka pani na Sneiton Boulevard? — zapytała pani Morel. — Kiedy byłam młodą dziewczyną... ach, co ja mówię!... kiedy byłam młodą mężatką, mieszkaliśmy przez pewien czas na Minerva Terrace.

— Och, naprawdę? — zawołała Klara. — Mam tam przyjaciółkę. Mieszka pod szóstym.

I rozmowa gładko potoczyła się dalej. Opowiadały sobie o Nottingham i jego mieszkańcach. Dla obu było to interesujące. Klara była wciąż jeszcze lekko zdenerwowana. Pani Morel nadal zachowywała trochę sztywną powagę. Wyrażała się bardzo poprawnie, starannie dobierając słowa. Ale Paweł widział, że obie czują się dobrze w swoim towarzystwie.

Pani Morel porównywała swe siły z tą o tyle młodszą kobietą i szybko uznała się za silniejszą. Klara traktowała ją z dużym respektem. Wiedziała, z jakim niezwykle szacunkiem Paweł odnosi się do matki, i obawiała się tego spotkania, wyobrażając sobie, że pani Morel okaże się osobą raczej trudną i oziębłą. Była więc zdumiona ujrzawszy tę drobną, wszystkim interesującą się kobietę, która z nią tak chętnie gawędziła. A potem poczuła to samo, co czuła w stosunku do Pawła — że lepiej nie stawiać pani Morel na drodze. W matce Pawła wyczuwało się tyle stanowczości i pewności siebie, jak gdyby nigdy jeszcze niczego się w życiu nie ulękła.

Z kolei zjawił się na dole Morel, rozczochrany i ziewający po południowej drzemce. Drapał się w posiwiałą głowę i powłóczył nogami odzianymi w same tylko skarpety, a spod rozpiętej kamizelki wystawała mu koszula. Wyglądał jak niespełna rozumu.

— To jest pani Dawes, ojciec — powiedział Paweł.

Wówczas Morel ocknął się. Klara zauważyła sposób witania się i podawania ręki identyczny z Pawłem.

— Och, rzeczywiście! — wykrzyknął Morel. — Bardzo mi miło... proszę mi wierzyć. Ale proszę sobie nie przeszkadzać. Nie, nie, niech pani siądzie wygodnie i czuje się jak u siebie w domu.

Klara była zdumiona tym wybuchem gościnności starego górnika. Był taki niezwykle uprzejmy i uważający. Uznała, że jest po prostu przemiły.

— Czy przyjechała pani z daleka? — zapytał.

— Tylko z Nottingham — odparła Klara.

— Z Nottingham! No, to wybrała się pani naprawdę w śliczną pogodę.

Powędrował potem do sionki za kuchnią umyć twarz i ręce, po czym jak zawsze przeszedł z ręcznikiem do kuchni, żeby się wytrzeć przy ogniu.

Podczas podwieczorku Klara podziwiała obycie i zrównoważenie pani domu. Pani Morel pełniła swoje obowiązki z całą swobodą. Nalewała herbatę i dbała o wszystkich niepostrzeżenie, nie przerywając przy tym rozmowy. Przy owalnym stole było jeszcze dużo miejsca. Zastawa z porcelany w delikatny, ciemnoniebieski wzór pięknie wyglądała na lśniącym, ładnym obrusie. Pośrodku stał wazonik z małymi, żółtymi chryzantemami. Klara czuła, że zamyka ich małe kółko, i sprawiło jej to dużą przyjemność. Czuła się jednak trochę onieśmielona opanowaniem i spokojem Morełów, zarówno ojca, jak i pozostałych dwojga. Przybrała ich ton. Zapanowała atmosfera przyjemnej

równowagi. Był to miły, pogodny nastrój, w którym wszyscy zachowywali się naturalnie i dobrze się z sobą czuli. Klarze odpowiadało to bardzo, ale na dnie jej duszy nadal czaił się lęk.

Paweł sprzątał ze stołu, gdy matka i Klara siedziały rozmawiając. Klara była przez cały czas świadoma jego gibkiego, zwinnego ciała, gdy wychodził i wracał, jak gdyby unosił go podmuch wiatru. Przypominało to taniec liścia na wietrze, pojawiającego się i znikającego niespodziewanie. Klara nieomal całą sobą była przy nim. Ze sposobu, w jaki wychylała się naprzód, jak gdyby nasłuchując, pani Morel mogła bez trudu odgadnąć, że Klara rozmawia z nią machinalnie, ale duchem przebywa gdzie indziej — i starej kobiecie znowu zrobiło się jej żal.

Paweł skończył sprzątać ze stołu i wyszedł do ogrodu pozostawiając obie kobiety na swobodnej pogawędce. Było słoneczne, przyćmione lekką mgiełką popołudnie, wyjątkowo łagodne i ciepłe. Klara tęsknie spoglądała przez okno za Pawłem błędzącym wśród krzaków chryzantem. Czuła, że wiąże ją z nim coś namacalnego, czego mogłaby nieomal dotknąć. On natomiast wydawał się tak dalece niczym nie skrepowany, doskonale swobodny i obojętny, gdy z leniwym wdziękiem niedbale przywiązywał do palika gnące się pod własnym ciężarem łodygi kwiatów, że miała ochotę prawie krzyknąć w poczuciu własnej bezsilności.

Pani Morel wstała.

— Czy mogę pomóc pani zmywać?

— Eh, dziękuję bardzo. Jest tego tak niewiele, że zajmie mi najwyżej minutę.

Klara jednak wytarła naczynia i była bardzo zadowolona, że jest tak dobrze z matką Pawła. Ale nadal było dla niej nieomal męką, że nie może mu towarzyszyć w ogrodzie. W końcu odważyła się na to, by pójść do niego. Miała wrażenie, że oswobodziła się z pętli, która więziła ją na miejscu.

Popołudnie zawisło złocistym blaskiem nad wzgórzami Derbyshire. Paweł stał przy krzaku bladych astrów, patrząc na ostatnie pszczoły uwijające się koło ula. Usłyszał kroki zbliżającej się Klary i odwrócił się do niej swobodnym gestem.

— No, to już na dzisiaj koniec pracy dla tych pań! — powiedział.

Klara stanęła przy nim. Poza czerwonym, niskim murem, otaczającym ogród od frontu, widać było pola i dalekie wzgórze, otulone złocistą mgiełką.

Właśnie w tej chwili Miriam stanęła w ogrodowej furtce. Zobaczyła Klarę idącą do Pawła, zobaczyła jego ruch, gdy odwracał się do niej i to, jak ucicha w nich niepokój krótkiego rozstania. W ich całkowitym oderwaniu od świata było coś, co ją upewniło, że wszystko między nimi już się dokonało i że są

— jak ona to określiła — małżeństwem. Szła bardzo wolno po wysypanej popiołem ścieżce, przez całą długość ogródka.

Klara zerwała z krzaka podłużny owoc głogu i rozłupywała go chcąc wydobyć nasionka. Nad jej pochyloną głową kołysały się różowe kwiaty, jak gdyby gotowe jej bronić. Ostatnie pszczoły zlatywały na noc do ula.

— Policz swoje pieniądze! — zaśmiał się Paweł patrząc na Klarę wydłubującą ze złocistomiedzianego rulonika płaskie nasionka, jedno za drugim. Spojrzała na niego.

— Jestem naprawdę bogata — powiedziała uśmiechając się.

— Pokaż, ile masz? Phi! — Strzelił palcami. — Czy mogę ci je zamienić na złoto?

— Obawiam się, że nie — roześmiała się.

Spojrzeni sobie z uśmiechem w oczy. W tejże samej chwili spostrzegli Miriam. Jak za pociśnięciem magicznego guzika wszystko się wokół nich natychmiast zmieniło.

— Jak się masz, Miriam! — zawołał. — Ach, prawda! Mówiłaś, że przyjdiesz.

— Tak. Czy o tym zapomniałaś?

Podąła Klarze rękę mówiąc:

— Jakie to dziwne się wydaje, że cię tu widzę!

— Tak — odparła Klara. — Mnie też wydaje się dziwne, że tu jestem.

Nastąpiła chwila wahania.

— Ładnie tu, prawda? — zapytała Miriam.

— Tak. Bardzo mi się podoba — odparła Klara.

Wówczas Miriam zdała sobie sprawę, że Klarę przyjęto tak, jak jej się nigdy w tym domu nie zdarzyło.

— Czy przyszłaś sama, Miriam? — zapytał Paweł.

— Tak. Wybrałam się do Agaty na podwieczorek. Mamy razem pójść do kaplicy na nabożeństwo. Wstąpiłam tylko na chwilę, żeby zobaczyć się z Klarą.

— Powinnaś była przyjść do nas na podwieczorek — powiedział.

Miriam zaśmiała się sucho. Klara niecierpliwie odwróciła się w drugą stronę.

— Czy lubisz chryzantemy? — zapytał Paweł.

— Tak. Są bardzo ładne — odparła Miriam.

— A które ci się najbardziej podobają?

— Sama nie wiem. Chyba te rude.

— Przypuszczam, że nie widziałaś jeszcze wszystkich odmian. Chodź je zobaczyć. Chodź, Klaro, i zobacz, które ci się najbardziej będą podobały?

Zaprowadził je obie do własnego ogródka, gdzie wzdłuż wiodącej w pole ścieżki rosły luźnym szpalerem nastrzępione krzaki różnokolorowych kwiatów. Sytuacja, w jego pojęciu, wcale nie była krępująca.

— Spójrz, Miriam. To są te białe z twojego ogrodu. Ale nie rosną tu tak ładnie jak u was, prawda?

— Tak — odparła Miriam.

— Za to są mocniejsze. Twoje są takie osłonięte. Wszystko wtedy wysoko wyrasta i jest delikatne, a potem prędko umiera. Lubię te małe, żółte. Czy chcesz wziąć ich trochę z sobą?

Stali jeszcze w ogródku, gdy zaczęły bić dzwony kościelne niosąc się głośnym echem przez miasto i pola. Miriam spojrzała na wieżę wyrastającą dumnie spośród ciasno stłoczonych dachów i przypomniały jej się szkice, które jej Paweł przynosił. Wszystko wtenczas było inaczej, ale nie opuścił jej jeszcze zupełnie i na zawsze. Poprosiła go, żeby jej pożyczył coś do czytania. Wpadł szybko do domu.

— A któż to znowu? Czy to Miriam? — zapytała go matka chłodno.

— Tak. Mówiła, że przyjdzie zobaczyć się z Klarą.

— To ty powiedziałaś jej, że Klara tu będzie? — padło sarkastyczne pytanie.

— Tak. A dlaczego miałbym jej tego nie mówić?

— Ach, tak! Oczywiście, że nie miałeś najmniejszego powodu, żeby jej nie mówić

— powiedziała pani Morel i wróciła do swojej książki. Paweł poczuł się jednak dotkliwie zraniony kłującą ironią matki i niecierpliwie zmarszczył brwi myśląc: „Ciekaw jestem, czemu mi nie wolno robić tego, co chcę?”

— Czy nigdy przedtem nie widziałas pani Morel? — pytała Klarę Miriam.

— Nie. Ale ona jest taka miła!

— Tak — powiedziała Miriam zwieszając głowę. — Pod niektórymi względami jest rzeczywiście wyjątkowa.

— Tak mi się zdaje.

— Czy Paweł dużo ci o niej opowiadał?

— Tak. Wiele mi o niej mówił.

— Ach, tak!

Zapanowało milczenie, które trwało, póki nie wrócił Paweł z książką.

— Kiedy mam ci ją oddać? — zapytała Miriam.

— Kiedy ci będzie dogadzało — odparł.

Klara zawróciła w stronę domu, gdy on odprowadzał Miriam do furtki.

— Kiedy nas odwiedzisz w Willey Farm? — zawołała za nią Miriam.

— Trudno mi to powiedzieć — odparła Klara.

— Mama prosiła, aby ci powtórzyć, że zawsze będzie jej miło cię widzieć, jeśli zechcesz przyjść.

— Dziękuję bardzo. Przyjdę z przyjemnością, ale nie wiem jeszcze, kiedy będę mogła.

— Och, jak chcesz! — wykrzyknęła Miriam z goryczą, odwracając się.

Szła ścieżką do furtki wtulając usta w kwiaty, które jej ofiarował.

— Nie zajdziesz do nas nawet na chwilę? — zapytał.

— Nie, dziękuję.

— Wybieramy się do kaplicy.

— Ach, w takim razie zobaczymy się jeszcze. — Miriam była bardzo rozgoryczona.

— Tak.

Rozstali się. Czuł się wobec niej winny. Miriam była rozgoryczona i gardziła nim. Uważała, że nadal tylko do niej należy. A jednak pomimo to mógł kochać Klarę, przyprowadzać ją do domu, siedzieć z nią w kaplicy obok swej matki i podsuwać jej tę samą książkę do nabożeństwa, którą przez tyle lat dawał jej — Miriam. Usłyszała, jak biegł szybko do domu.

Nie wszedł jednak od razu do środka. Zatrzymawszy się na trawniku usłyszał najpierw głos matki, a potem odpowiedź Klary:

— Czego w Miriam nie znoszę, to tego jej zmysłu węszenia jak u psa.

— Tak — szybko odparła matka. — Tak. No i czy nie dała dowodu tego, chociażby dzisiaj?

Paweł poczuł, jak gorąca fala krwi uderza mu do głowy. Był zły na nie obie, że rozmawiały o Miriam. Jakie prawo miały tak o niej mówić? W słowach ich było coś, co z początku wzbudziło w nim gwałtowną nienawiść do Miriam. Potem jednak wszystko w nim zbuntowało się przeciwko Klarze, która pozwalała sobie mówić w ten sposób o Miriam. Ostatecznie, jeśli już chodziło o dobroć, to Miriam z pewnością była lepsza od nich dwóch. Wszedł do domu. Matka wyglądała na bardzo podnieconą.



Uderzała miarowo ręką

o poręcz kanapy, jak to czynią kobiety, gdy je coś dręczy. Nigdy nie mógł na ten ruch patrzeć spokojnie. Zapanowało milczenie. Potem on zaczął coś mówić.

W kaplicy Miriam widziała, jak wyszukiwał Klarze teksty w śpiewniku zupełnie tak samo, jak to dawniej zwykł był robić dla niej. A w czasie kazania Paweł mógł dojrzeć siedzącą po przeciwnej stronie Miriam, z twarzą ocienioną szerokim rondem kapelusza. Co ona sobie może myśleć widząc go razem z Klarą? Nie przestawał się nad tym zastanawiać. Czuł, że okazał się względem Miriam bardzo okrutny.

Po nabożeństwie wybrał się z Klarą na przechadzkę po Pentrich. Wieczór był ciemny, jesienny. Pożegnali się z Miriam i serce ścisnęło mu się gwałtownie, gdy zostawiał ją samą. „Ale niech ma to, na co zasłużyła” — powiedział sobie w duchu i sprawiło mu to niemal przyjemność, że odchodzi na jej oczach z inną, ładną kobietą.

W ciemnościach unosił się zapach zwiędłych liści. Ręka Klary spoczywała ciepła i bezwładna, kiedy tak szli obok siebie. Serce jego było pełne sprzecznych uczuć. Ta szalejąca w nim walka doprowadzała go do rozpacz.

Idąc Pentrich Hill w górę Klara wsparła się o niego ramieniem. Czuł pod ręką sprężyste ruchy jej ciała, gdy szła obok. Jeszcze przez chwilę ciążyły mu wyrzuty sumienia z powodu Miriam, a potem znów opłynęła go zaborcza, gorąca fala. Przyciskał Klarę do siebie coraz mocniej.

Nagle powiedziała spokojnie: — Ciągłe jeszcze spotykasz się z Miriam.

— Tylko z sobą rozmawiamy. Właściwie nigdy nie łączyło nas wiele więcej jak te rozmowy — powiedział gorzko.

— Twoja matka jej nie lubi — rzekła Klara.

— Tak. Gdyby nie to, byłbym się z nią może ożenił. Ale to się już na zawsze skończyło.

Raptem głos wezbrał mu nienawiścią:

— Gdybym teraz był z nią, deklamowalibyśmy z pewnością o misterium chrześcijaństwa czy czymś podobnym. Chwalić Boga, jest trochę inaczej.

— Ale nie możesz zdobyć się na to, żeby zupełnie z nią zerwać — rzekła Klara.

— Nie zrywam, bo nie ma czego zrywać — powiedział.

— Dla niej zapewne jest.

— Nie widzę powodu, dlaczego byśmy nie mieli pozostać z sobą w przyjaźni do końca życia — powiedział Paweł. — Ale to już będzie tylko zwykła przyjaźń i nic więcej.

.....

Klara odsunęła się unikając styczności z nim.

— Dlaczego się ode mnie odsuwasz? — zapytał.

Nie odpowiedziała, ale odsunęła się jeszcze dalej.

— Dlaczego chcesz iść sama? — powtórzył pytanie.

W dalszym ciągu nie odpowiadała. Szła obok ze spuszczoną posepnie głową.

— To pewno dlatego, że ci powiedziałem, że będę się dalej przyjaźnił z Miriam! — wybuchnął.

Nie raczyła mu odpowiedzieć.

— Mówię ci, że między mną i Miriam są tylko słowa i nic więcej — tłumaczył usiłując objąć ją znowu.

Opierała się. Nagle wysunął się przed nią i zastąpił jej drogę.

— A niech to wszyscy diabli wezmą! — zaklął. — Czego ty znowu teraz chcesz?

— Biegaj sobie lepiej za Miriam! — zadrwiła Klara.

Krew zakipiała w nim. Stał odsłaniając ze złością zęby. Klara zwiesiła posepnie głowę. Ulica była ciemna i zupełnie pusta. Nagle chwycił ją w ramiona, pochylił się gwałtownie w przód i przycisnął usta do jej twarzy we wściekłym pocałunku. Walczyła zapamiętale usiłując się od niego uwolnić. Ale trzymał ją mocno. Jego usta spadły na nią twarde i nieubłagane. Piersi bolały ją od ucisku jego żeber. W końcu osunęła się bezsilnie w jego ramionach, a on nie przestawał całować jej z jakąś obłądną pasją.

Usłyszał kroki ludzi schodzących z góry.

— Stań! Stań! — powtarzał ochryple, ściskając jej ramię aż do bólu. Gdyby ją puścił, upadłaby na ziemię.

Westchnęła i stanęła o własnych siłach, oszołomiona i półprzytomna. Poszli dalej w pełnym milczeniu.

— Pójdziemy przez pole — powiedział. I dopiero wtenczas ocknęła się.

Pozwoliła jednak, żeby jej pomógł na przełazie i milcząc przeszła z nim pierwsze ciemne pole. Wiedziała, że idą w stronę Nottingham i w stronę stacji. Zdawała się rozglądać wokoło. Weszli na nagi szczyt wzgórza, na którym stały czarne ruiny zburzonego młyna. Tutaj Paweł zatrzymał się. Stali obok siebie, wysoko w ciemnościach, patrząc na światła błyszczące przed nimi w mroku, niby rozrzucone pełnymi garściami świetliste punkciki, tlejące wyżej i niżej, na lewo i na prawo — wszędzie tam, gdzie znajdowały się zagubione w ciemnościach wsie i miasteczka.

— Jak gdybyśmy stąpali wśród gwiazd — zaśmiał się. Głos mu drżał.

Potem wziął ją w ramiona i przyciągnął mocno do siebie. Ale Klara, odwracając usta, spytała głucho i stanowczo:

— Która godzina?

— Przecież to wszystko jedno — odparł ochryple.

— Nie... nie wszystko jedno! Muszę już iść.

— Jest jeszcze wcześniej!

— Która godzina? — nalegała.

Wkoło nich rozciągała się nieprzenikniona czerń nocy, wyznaczona i pobłyskująca świetlistymi punkcikami.

— Nie wiem.

Przesunęła ręką po jego piersi szukając zegarka. Poczul gwałtowne gorąco we wszystkich stawach. Szperała w kieszonce jego kamizelki, a on stał dysząc ciężko. W ciemnościach widziała tylko okrągłą, bladą tarczę zegarka, ale nie mogła dostrzec cyfr. Pochylała nisko głowę starając się je zobaczyć dokładniej. Paweł oddychał z trudem, wyczekując chwili, kiedy ją będzie mógł znowu wziąć w ramiona.

— Nic nie widzę — powiedziała Klara.

— To daj spokój.

— Tak. Idę już — powiedziała odwracając się.

— Czeka! Zaraz zobaczę! — Ale także nie mógł nic dojrzeć. — Poświecę zapalką.

Miał cichą nadzieję, że będzie już za późno, by zdążyła na pociąg. Klara zobaczyła czerwono żarzącą się konchę jego rąk, którymi osłaniał płomień, a potem jego oświe-

tloną twarz i utkwione w tarczy zegarka oczy. Nagle wszystko znów pograżyło się w ciemnościach. Wszystko przed jej oczami zmieniło się w nieprzeniknioną czerń. Tylko zapalka czerwono żarzyła się u jej stóp. Gdzie on?

- Co się stało? — spytała wystraszona.
- Już nie zdążysz — doszedł ją głos z ciemności.

Umilkli. Klara czuła się w jego mocy. Wyczuwała w jego głosie jakiś szczególny ton, który ją przeraził.

- Która godzina? — zapytała spokojnie i rzeczowo, bez cienia nadziei.
- Za dwie minuty dziewiąta — odparł, z trudem zdobywając się na prawdę.
- Czy zdążę stąd na stację w czternaście minut?
- Nie. W każdym razie...

Znów mogła odróżnić jego ciemną sylwetkę stojącą o kilka kroków dalej. Chciała za wszelką cenę uciec.

- Czy na pewno nie zdążę? — nalegała.
- Chyba że będziesz biegła — odparł krótko. — Ale mogłabyś z łatwością dojść piechotą, Klaro. Jest stąd wszystkiego siedem mil do tramwaju. Mogę cię odprowadzić.

- Nie. Chcę pojechać pociągiem.
- Ale dlaczego?
- Bo tak chcę... bo chcę pojechać pociągiem.

Jego głos nagle zmienił brzmienie.

- A więc dobrze — powiedział sucho i twardo. — Chodźmy.

Rzucił się pierwszy w ciemności znikając jej z oczu, Klara biegła za nim, bliska płaczu. Był teraz dla niej twardy i okrutny. Biegła za nim przez ciemne, wyboiste pole, prawie bez tchu i co chwila niemal padając. Ale podwójny rząd świateł na stacji stawał się coraz bliższy.

Nagle Paweł krzyknął:

- Jedzie! — i puścił się pędem.

Do uszu ich dobiegło słabe dudnienie. Po ich prawej ręce, daleko w ciemnościach nocy, pełzał pociąg, niby długa, świecąca gaśienica. Dudnienie nagle ucichło.

- Przejechał wiadukt. Zdążysz!

Klara biegła, z trudem łapiąc oddech, i w ostatniej sekundzie wpadła do wagonu. Rozległ się świst lokomotywy i Paweł znikł jej z oczu. Nie było go! A ona siedziała w przedziale pełnym ludzi. Odczuwała boleśnie brutalność tego rozstania.

Paweł zawrócił i rzucił się pędem przez ciemności do domu. Zanim się zorientował, gdzie jest, był już w kuchni, we własnym domu. Był bardzo blady. Matka spojrzała na niego.

- No! — zawołała. — Ale masz buty w ślicznym stanie, nie ma co!

Spojrzał na swoje nogi. Potem zdjął płaszcz. Matka zastanawiała się, czy nie jest pijany.

- A więc Klara zdążyła na pociąg — powiedziała.

— Tak.

— Mam nadzieję, że nie ubrudziła sobie butów jak ty. Daję słowo, nie mam pojęcia, gdzie ją ciągałeś!

Przez jakiś czas stał bez ruchu i milczał.

— Czy ci się podobała? — zapytał w końcu niechętnie.

— Owszem, podobała mi się. Ale znużysz się nią, synku. Sam dobrze wiesz, że tak będzie.

Nic nie odpowiedział. Zauważyła, że z trudem wciąga powietrze.

— Musiałeś chyba biec? — zapytała.

— Biegliśmy, żeby zdążyć na pociąg.

— Zamordujesz się jeszcze kiedyś, zobaczysz. Napij się lepiej ciepłego mleka.

Nie mogło być w tej chwili dla niego lepszego lekarstwa, ale odmówił i poszedł na górę spać. Znalazłszy się w swoim pokoju, upadł na łóżko i kryjąc twarz w kołdrze przelewał gorzkie łzy wściekłości i upokorzenia. Dręczył go wręcz fizyczny ból, który sprawiał, że gryzł wargi aż do krwi, panujący zaś w głowie chaos odbierał mu zdolność myślenia, a nawet nieomal czucia.

— Oto, co ona ze mnie robi — powtarzał raz po raz w duchu, wtulając twarz w poduszkę. Nienawidził jej. Przebiegał wciąż myślą scenę, jaka się między nimi rozegrała, i ogarniała go fala coraz silniejszej nienawiści.

Następnego dnia Klara wyczuła jakiś dziwny chłód w jego zachowaniu. Była dla niego miła, niemal czuła. Ale on traktował ją z pewnym dystansem, a nawet lekkim cieniem pogardy. Westchnęła usiłując być w dalszym ciągu łagodną i miłą. Dał się w końcu ugłaskać.

W tym samym tygodniu Sara Bernhardt miała wystąpić na wieczornym przedstawieniu „Damy Kameliowej” w Teatrze Royal, w Nottingham. Paweł chciał koniecznie zobaczyć na scenie tę starą sławną artystkę, zaprosił więc Klarę, aby wybrała się z nim razem. Zapowiedział matce, że późno wróci prosząc, żeby mu zostawiła klucz od domu na oknie.

— Czy mam wziąć bilety? — zapytał Klarę.

— Tak. I włóż wieczorowe ubranie, dobrze? Jeszcze cię nigdy w nim nie widziałam.

— Na miłość boską, Klaro! Wyobraź sobie mnie w wieczorowym ubraniu w teatrze! — zaprotestował.

— Czy za nic nie chcesz tego zrobić?

— Zrobię to, jeśli koniecznie chcesz. Ale będę się czuł jak skończony dureń!

Roześmiała się z niego.

— Bądź więc nim raz, dla mnie, dobrze?

Jej prośba poruszyła go do głębi.

— Przypuszczam, że na tym się skończy.

— Po co bierzesz z sobą walizkę? — zapytała go matka.

Zaczerwienił się gwałtownie.

— Klara mnie o to prosiła — odparł.

— A jakie macie miejsca?

— Środkowy balkon... po trzy szylingi i sześć pensów.

— Musiałeś chyba zwariować! — wykrzyknęła matka z ironią.

— Raz w życiu można sobie pozwolić na ekstrawagancję — powiedział Paweł.

Przebrał się w fabryce, narzucił płaszcz, włożył czapkę i poszedł spotkać się z Klarą w cukierni. Była w towarzystwie jednej ze swoich przyjaciółek - sufrażystek. Miała na

sobie stary, długi płaszcz, w którym wyglądała nieładnie, i głowę owiazaną lekką chusteczką, której nie znosił. Wyszli z cukierni we trójkę.

W teatrze Klara zdjęła płaszcz na schodach i wówczas przekonał się, że była w eleganckiej sukni, która obnażała jej szyję i ramiona. Miała modną fryzurę, a prosto uszyta suknia z zielonej krepy uwydatniała świeżość jej urody. Pomyślał sobie, że wygląda naprawdę wspaniale. Widział jej piękną figurę rysującą się wyraźnie pod obcisłą suknią. Sprężystość a zarazem delikatność jej wyprostowanego ciała zdawały się niemal namacalne, gdy na nią patrzył. Zacisnął pięści.

Przez cały wieczór miał siedzieć obok niej dotykając niemal jej pięknego, obnażonego ramienia, patrząc na smukłą szyję nad cudownym dekoltem, na piersi śmiało rysujące się pod zieloną tkaniną sukni i na łagodną krągłość jej ud uwydatniających się pod obcisłą suknią. Wzbudziła się w nim znów pewnego rodzaju nienawiść do niej za to, że swoją bliskością naraża go na mękę. Jednocześnie zaś kochał ją i nie mógł odebrać od niej oczu, gdy z lekko przechyloną głową i wysuniętymi do przodu wargami patrzyła wprost przed siebie, zasłuchana i nieruchoma, jak gdyby poddając się losowi, który w walce z nią okazał się nazbyt silny. Nie mogła nad sobą zapanować. Coś o wiele od niej potężniejszego trzymało ją na uwieczni. Jakaś wieczysta tęsknota w jej twarzy, przypominająca zadumę sfinksa, sprawiła, że poczuł nieprzepartą chęć ucałowania jej. Upuścił program, a potem pochylił się, aby podnosząc go z podłogi móc ucałować jej rękę. Jej piękność była dla niego męką. Siedziała nieruchomo. Dopiero gdy światła zgasły, przysunęła się nieznacznie do niego i mógł gładzić palcami jej ramię i rękę. Czuł delikatny zapach jej perfum. Przez cały czas uderzały o jego serce rozgrzane do białości fale krwi, za każdym przypiływem zabijając w nim na krótką chwilę wszelką świadomość.

Dramat na scenie rozgrywał się dalej. Widział to wszystko, ale jak gdyby ginące mu w oddali z oczu. Nie wiedział, gdzie się gubiło, zdawało mu się jednak, że w jakiejś niezgłębionej dali — w nim samym. Przeobrażał się w białe, silne ramiona Klary, w jej szyję, w jej falujące łono. Znów zdawało mu się, że to one są nim samym. A potem wracała świadomość rozgrywającej się sztuki i z kolei wcielał się w dramat, jaki toczył się na scenie. Przestał istnieć. Szare, o dużych, czarnych źrenicach oczy Klary, jej falujące piersi, ramię, które trzymał w mocnym uścisku swych rąk — oto wszystko, co istniało naprawdę. Poczuł się mały i bezradny wobec jej przemożnej władzy nad nim.

Jedynie przerwy, podczas których zapalało się światło, przywracały go do przytomności i męczyły niewypowiedzianie. Pragnął gdzieś uciec, póki znów nie stanie się ciemno. Zataczając się jak błędny wychodził czegoś się napić. Gdy wracał, światła gasły i dziwna, niesamowicie realistyczna sugestywność Klary i na przemian sztuki obejmowała go znów niepodzielnie w swoje władanie.

Sztuka ciągnęła się dalej. Nagle opanowało go nieprzeparte pragnienie pocałowania drobnej, niebieskiej żyłki pulsującej w zgięciu łokcia Klary. Czuł ciepło tętniącej w niej krwi. Muskuly jego były napięte z pragnienia, które ugasić mógł tylko w tym pocałunku. Musi to zrobić. Ale cóż pomyślą ludzie! W końcu pochylił się szybko naprzód i musnął upragnioną żyłkę ustami. Jego wąsy ukłuły delikatną, czułą skórę. Klara drgnęła i cofnęła ramię.

Gdy sztuka skończyła się, zapaliły się światła i publiczność biła brawo. Paweł wró-

cił do przytomności i spojrzał na zegarek. Jego pociąg chyba już odszedł.

— Będę pewno musiał wrócić piechotą do domu — powiedział.

Klara spojrzała na niego.

— Czy już jest za późno na pociąg? — spytała.

Skinął potakująco głową. Pomagał jej wkładać palto.

— Kocham cię! Ślicznie ci w tej sukni! — szeptał nad jej ramieniem, wśród gwaru rojącego się tłumu.

Klara zachowywała spokój. Wyszli razem z teatru. Objął wzrokiem przejeżdżające samochody i przechodzących ulicą ludzi. Wydało mu się, że napotkał parę brązowych oczu patrzących na niego z nienawiścią, ale nie był tego pewien. Oboje z Klarą automatycznie skręcili w boczną ulicę zdążając w stronę stacji.

Jego pociąg odszedł. Będzie więc musiał iść dziesięć mil piechotą do domu.

— To nic nie szkodzi — powiedział. — Przejdę się nawet z przyjemnością.

— Czy nie wolałbyś — powiedziała Klara rumieniąc się silnie — przenocować u nas w domu? Mogę przespać się razem z matką.

Spojrzał na nią. Ich oczy spotkały się.

— A co na to powie twoja matka? — zapytał.

— Nie będzie miała nic przeciwko temu.

— Jesteś tego pewna?

— Zupełnie pewna.

— A czy naprawdę chcesz, żebym to zrobił?

— Jeśli tylko masz na to ochotę.

— A więc dobrze.

Zawrócili. Na pierwszym przystanku wsiedli do tramwaju. Świeży powiew wiatru owionął ich twarze. Miasto było ciemne. Tramwaj kołysał się w pędzie. Paweł siedział trzymając mocno w swej dłoni rękę Klary.

— Czy twoja matka będzie już spała? — zapytał.

— Możliwe. Ale mam nadzieję, że nie.

Szli śpiesznie małą, cichą uliczką. Byli na niej jedynymi przechodniami. Klara szybko weszła do domu. Paweł zawahał się.

— Chodź — powiedziała.

Jednym susem skoczył na schodek i od razu znalazł się w pokoju. W prowadzących do kuchni drzwiach pojawiła się postać matki, wielka i wroga.

— Kogo tu sprowadziłaś? — zapytała.

— To pan Morel. Spóźnił się na pociąg. Przyszło mi więc na myśl, że mogłybyśmy go przenocować, żeby mu oszczędzić dziesięćmilionowego spaceru o tej porze.

— Hm! — chrząknęła pani Radford. — To twoja sprawa. Jeżeli zaprosiłaś, bardzo mi miło go powitać, jeżeli o mnie chodzi. Ty rządzisz w tym domu!

— Jeżeli to pani nie odpowiada, mogę zaraz pójść — wtrącił Paweł.

— Nie, nie... to niepotrzebne. Proszę bardzo, niech pan wejdzie dalej. Nie wiem tylko, co pan pomyśli o kolacji, którą dla niej przygotowałam.

Cały posiłek składał się z półmisek smażonych kartofli i kawałka boczku. Stół był niedbale nakryty na jedną osobę.

— Możecie dostać jeszcze trochę boczku — mówiła dalej pani Radford. — Ale kartofli już nie ma.

— Bardzo mi przykro panią trudzić — rzekł Paweł.

— O, proszę się tylko nie usprawiedliwiać. To ze mną do niczego nie doprowadzi. Ostatecznie zaprosił ją pan przecież do teatru, może nie? — w tym ostatnim pytaniu zabrzmiała lekka nutka sarkazmu.

— No, więc co z tego? — zaśmiał się Paweł zaniepokojony i zmieszany.

— To, że cóż przy tym znaczy ten kawałek boczku. Niech pan zdejmie płaszcz.

Wielka, sztywno wyprostowana kobieta usiłowała zdać sobie sprawę z sytuacji i należycie ją ocenić. Krzątała się przy kredensie. Klara zdjęła płaszcz. Kuchnia wyglądała bardzo ciepło i przytulnie w kręgu padającego z lampy światła.

— O, ludzie! — wykrzyknęła pani Radford. — Oboje tacy elegancy, słowo daję! I po co ta cała maskarada, chciałabym wiedzieć?

— My sami nie bardzo wiemy — odparł Paweł zmieszany i udęczony.

— Nie ma w tym domu miejsca dla takich jaśnie państwa, co aż tak wysoko fruwać! — drwiła z nich. Cios był wymierzony dotkliwie.

Paweł w swym wytwornym ubraniu i Klara w wieczorowej, zielonej sukni, z obnażonymi ramionami, stali zmieszani. Czuli, że muszą wzajemnie się bronić i osłaniać w tej małej kuchence.

— A teraz spójrzcie tylko na ten kwiatusek! — drwiła dalej pani Radford wskazując Klarę. — Co ona sobie myśli? Po co to wszystko zrobiła?

Paweł spojrzał na Klarę. Policzki miała zaróżowione. Jej szyja wydawała się objęta ciepłem tego rumieńca. Przez chwilę panowało milczenie.

— Aż przyjemnie pani na nią spojrzeć, prawda? — zapytał.

Stara kobieta miała ich w swojej mocy. Pawłowi serce cały czas biło gwałtownie i nerwy miał napięte do ostateczności. Ale czuł, że musi ją zwalczyć.

— Mnie ma być przyjemnie na nią spojrzeć? — zawołała pani Radford. — A cóż to za przyjemność patrzeć, jak robi z siebie idiotkę!

— Widziałem ludzi, którzy robili z siebie większych idiotów — powiedział. Klara była teraz pod jego opieką.

— O, doprawdy? Ciekawa jestem, jak to robili? — padło ironiczne pytanie.

— Robiąc z siebie maskary — odparł spokojnie.

Pani Radford, ogromna i groźna, stała na dywaniku przed kominkiem dzierżąc w ręku widelec.

— No, to też byli idioci. Każdy na swój sposób — odparła w końcu, znów odwracając się do ognia.

— Nie — powiedział walcząc mężnie. — Ludzie powinni starać się wyglądać najlepiej, jak mogą!

— I pan uważa, że to jest ładne? — krzyknęła wskazując z pogardą Klarę widelcem. — To... to... to wygląda po prostu, jak gdyby nie ubrała się przyzwoicie!

— A mnie się wydaje, że pani jej zazdrości, bo sama pani nie może być elegancka — zaśmiał się.

— Ja? Ja kiedyś mogłam paradować w wieczorowej sukni, z kim by mi się tylko zamarzyło, mój panie! — padła pogardliwa odpowiedź.

— To dlaczego pani nie chciała? — zapytał podstępnie. — Czy też może robiła to pani?

Nastąpiła długa chwila ciszy. Pani Radford obracała boczek na patelni. Serce biło mu mocno z obawy, że ją obraził.

— Ja? — wykrzyknęła w końcu. — Nie, ja nie chodziłam z kawalerami. A kiedy byłam na służbie, to jak któraś dziewczyna latała wydekoltowana na sześciopensową potańcówkę, z miejsca wiedziałam, co to za ziółko!

— A pani uważała, że to nie dla pani takie tańce za sześć pensów, prawda? — zapytał.

Klara siedziała z głową nisko spuszczoną. Oczy Pawła były ciemne i bardzo błyszczące. Pani Radford zdjęła z ognia patelnię i stanęła obok niego nakładając mu na talerz kawałki smażonego boczku.

— Ma pan tu pyszny, chrupiący plasterek — powiedziała.

— Proszę mi nie dawać najlepszych kawałków! — zawołał.

— Ona już ma, czego chciała! — krótko ucięła matka.

W głosie jej usłyszał nutę pogardliwego pobłażania, z czego wywnioskował, że złość jej powoli topnieje.

— Weź chociaż kawałek! — zwrócił się do Klary.

Spojrzała na niego szarymi oczami, z których wyczytał, jak bardzo, czuła się samotna i upokorzona.

— Nie, dziękuję — odparła.

— Czemu nie chcesz jeść? — zapytał serdecznie.

Krew żywym ogniem płynęła mu w żyłach. Pani Radford wreszcie usiadła, wielka, imponująca i obojętna. Paweł opuścił Klarę całkowicie, aby poświęcić się matce.

— Mówią, że Sara Bernhardt ma już pięćdziesiąt lat — powiedział.

— Pięćdziesiąt! Dawno już ma sześćdziesiątkę! — padła wzgardliwa odpowiedź.

— Nigdy bym tego nie pomyślał — rzekł Paweł. — Jeszcze dzisiaj doprowadziła mnie niemal do tego, że chciało mi się wyć.

— Już ja chciałabym widzieć siebie wyjąca przez to stare pudło! — ironicznie zawołała pani Radford. — Najwyższy czas, żeby sobie uświadomiła, że mogłaby być babką, zamiast się drzeć jak katamaran.

Zaśmiał się.

— Katamaran to rodzaj czółna, którego używają Malaje — powiedział.

— I słowo, którego mnie się podoba używać — odparła bynajmniej nie zbита z tropu.

— Moja matka też czasem tak mówi i nie mogę jej tego wytłumaczyć — powiedział Paweł.

— Spodziewam się, że dostaje się panu za to od niej po uszach — zauważyła dobrodusznie pani Radford.

— Z pewnością miałyby na to ochotę i nieraz mi to obiecuje. Przynoszę jej wtedy mały stołeczek, żeby miała na czym stanąć.

— To właśnie jest najgorsze z moją matką — wtrąciła Klara — że jej stołek nigdy nie jest potrzebny.

— A jednak często nie może dosięgnąć tej młodej damy nawet długim drągiem. —



Pani Radford zwróciła się z odpowiedzią wprost do Pawła.

— Wcale się nie dziwię, że jej się to nie podoba — zaśmiał się Paweł. — Ja bym też tego nie lubił.

— A przydałoby się wam obojgu, żeby was ktoś stuknął kijem po głowie — wybuchnęła niespodziewanie śmiechem.

— Za co pani tak się mści na mnie? — rzekł Paweł. — Nic pani przecież nie ukradłem.

— Racja. Ale będę się przed tym dobrze pilnowała — zaśmiała się stara kobieta.

Wkrótce skończyli kolację. Pani Radford nadal siedziała w swoim fotelu na straży. Paweł palił papierosa. Klara poszła na górę i po chwili wróciła z piżamą, którą rozwiesiła na kracie przed kominkiem, aby ją przewietrzyć.

— Ach, zupełnie o niej zapomniałam! — zawołała pani Radford. — Skąd ty ją teraz wytrzasnąłeś?

— Z mojej szuflady.

— Hm! Kupiłaś ją dla Baxtera, a on nie chciał jej nosić, co? — śmiała się stara kobieta. — Mówił, że może się obejść w łóżku bez spodni. — Zwróciła się poufale do Pawła mówiąc: — Nie znosił piżam i tych wszystkich nowych wymysłów.

Młody człowiek siedział wypuszczając małe kółka dymu z papierosa.

— Cóż, każdy ma swój gust — zaśmiał się.

Potem nastąpiła krótka dyskusja na temat zalet piżamy.

— Moja matka bardzo mnie lubi w piżamie — powiedział. — Mówi, że wyglądam jak pierrot.

— Tak. Wyobrażam sobie, że musi pan dobrze w niej wyglądać — zgodziła się pani Radford.

Po chwili Paweł spojrział na niewielki zegar tykający na parapecie kominka. Było pół do pierwszej.

— To zabawne — powiedział — że po teatrze tak długo trzeba czekać, żeby się chciało spać.

— A już pora byłaby na to — powiedziała pani Radford sprząając ze stołu.

— Czy jesteś zmęczona? — zapytał Klarę.

— Ani trochę — odparła unikając jego spojrzenia.

— Może zagramy w karty? — zaproponował.

— Zapomniałam już, jak się gra.

— To ci przypomnę. Czy możemy zagrać w karty, pani Radford? — zapytał.

— Jak sobie chcecie — odparła. — Ale już jest bardzo późno.

— Zagramy jedną albo dwie partyjki i prędzej zachce się nam spać — odparł.

Klara przyniosła karty, usiadła i obracała na palcu obręczkę, gdy Paweł tasował. Pani Radford zmywała w sionce naczynia. Paweł czuł, że w miarę jak czas upływa, nastrój staje się coraz bardziej naprężony.

— Trzydzieści, czterdzieści pięć... sześćdziesiąt!

Na zegarze wybiła pierwsza. Gra trwała dalej. Pani Radford ukończyła już wszystkie drobne czynności przygotowawcze przed pójściem spać. Zamknęła drzwi od ulicy na klucz i napełniła wodą kociołek. Paweł w dalszym ciągu rozdawał karty i liczył punkty. Nie mógł oderwać myśli od ramion i szyi Klary. Był pewien, że potrafi

dokładnie odgadnąć, w którym miejscu rozpoczyna się łagodne wgłębienie rozdziela-  
jące jej piersi. Nie mógł jej opuścić. Klara patrzyła na jego ręce i czuła, że na widok  
jego szybkich, zwinnych ruchów ogarnia ją niemoc. Siedziała tak blisko niego. Miała  
niemal wrażenie, że jej dotyka. Pawła ogarnął bunt. Nienawidził w tej chwili pani  
Radford. Siedziała nadal w swym fotelu, niemal zasypiając, ale uparta i zdetermino-  
wana. Paweł popatrzył na nią, a potem na Klarę. Spotkała spojrzenie jego oczu

– złych, drwiących i twardych jak stal. Jej własne odpowiedziały mu ze wstydem.  
Wiedział w każdym razie teraz, że ona była po jego stronie. Grał dalej.

W końcu pani Radford sztywno podniosła się z fotela.

– Czy to nie najwyższa pora na was, żeby iść spać? — zapytała.

Paweł nie odpowiedział i grał dalej. Nienawidził jej w tej chwili tak bardzo,  
że mógłby ją zamordować.

– Jeszcze minutkę — powiedział.

Stara kobieta wstała i demonstracyjnie pozełgowała do sionki. Wróciła ze świecą,  
którą postawiła na parapecie kominka. Potem usiadła z powrotem w swoim fotelu.  
Paweł zawrzał taką nienawiścią, że aż upuścił z rąk karty.

– Skończmy już — powiedział, ale w głosie jego wciąż brzmiało wyzwanie.

Klara widziała jego mocno zaciśnięte usta. Znów na nią spojrzał. Było to jak tajem-  
ne porozumienie. Pochyliła się nad swymi kartami i kaszlnęła niepewnie.

– Bardzo się cieszę, że nareszcie skończyliście — powiedziała pani Radford. —  
Proszę, tu są pana rzeczy — wcisnęła mu do ręki wygrzaną piżamę

– a tu jest świeca. Pański pokój jest nad kuchnią. Trudno się pomylić, bo i tak są  
wszystkiego dwa pokoje na górze. No już, dobranoc. Życzę, żeby się panu dobrze spa-  
ło.

– To na pewno. Zawsze doskonale sypiam — powiedział.

– Tak też powinno być w pana wieku — odparła.

Uklonił się Klarze z daleka na dobranoc i poszedł. Kręte schodki z białych, czysto  
wyszorowanych desek trzeszczały i skrzypiały przy każdym stąpieniu. Wchodził po  
nich ze złością. Na górze było dwoje znajdujących się naprzeciwko siebie drzwi. Po-  
szedł do swego pokoju i lekko przymknął drzwi za sobą, nie zamykając ich na klamkę.

Był to mały pokój, z dużym, szerokim łóżkiem. Na toalecie leżało kilka szpilek do  
włosów Klary... jej szczotka... Suknie i spódniczki Klary wisiały za zasłoną w kącie  
pokoju. Zauważył jeszcze parę jej pończoch, przewieszoną przez poręcz krzesła. Od-  
był dokładną inspekcję pokoju. Znalazł tylko dwie leżące na półce książki, w dodatku  
jego własne. Rozebrał się, złożył ubranie i usiadł na łóżku nasłuchując. Potem  
zdmuchnął świecę, położył się i po dwóch minutach już prawie zasypiał. Wtem —  
znów jak za pociśnięciem magicznego guziczka — poczuł się całkowicie rozbudzony i  
zaczął zwijać się w męce.

Przyszło to zupełnie nagle doprowadzając go niemal do szału. Usiadł z pod-  
winiętymi nogami na łóżku i rozglądał się w ciemnościach po pokoju, całkowicie nie-  
ruchomy i zasłuchany. Usłyszał kota miauczącego gdzieś daleko za oknem, potem  
ciężkie, równomierne stapanie pani Radford i wreszcie dźwięczny, wyraźny głos Kla-  
ry:

– Czy możesz odpiąć mi suknię, mamo?

Przez chwilę panowało milczenie. W końcu matka powiedziała:

— No, już! Nie idziesz jeszcze na górę?

— Nie. Jeszcze nie — spokojnie odparła Klara.

— Rób, jak chcesz! Jeśli uważasz, że jeszcze nie jest dość późno, siedź sobie dalej! Pamiętaj tylko, żebyś mnie nie obudziła, jak przyjdiesz, o ile bym już spała.

— Nie będę długo siedziała — odparła Klara.

Zaraz potem Paweł usłyszał kroki matki ciężko wstępującej na schody. Światło świecy przedostawało się przez szparę w drzwiach. Zamiotła suknią o drzwi i serce skoczyło mu w piersiach. Potem zapanowały ciemności i usłyszał trzask jej klamki. Marudziła okropnie przygotowując się do snu. Dopiero w długą chwilę potem zapadła zupełna cisza. Siedział sztywno wyprostowany na łóżku, drżąc lekko. Jego drzwi były uchylone na szerokość cala. Jak Klara będzie szła na górę, pochwyci ją. Czekał. Wokoło panowała śmiertelna cisza. Wybiła druga. Nagle usłyszał lekki chrobot o kratę kominka na dole. Nie mógł się już dłużej powstrzymać. Nie mógł opanować wstrząsających jego ciałem dreszczy. Czuł, że musi tam iść, bo inaczej umrze.

Wyszedł z łóżka i stał przez chwilę drżąc. Potem udał się prosto do drzwi. Starł się stapać lekko. Pierwszy stopień trzasnął jak wystrzał. Nasłuchiwał. Stara kobieta poruszyła się na łóżku. Na schodach było ciemno. Tylko pod drzwiami prowadzącymi do kuchni połyskiwała wąska szpara światła. Stał przez chwilę. Potem zaczął schodzić na dół jak automat. Każdy stopień trzeszczał i plecy kuliły się mu ze strachu, że stara kobieta otworzy za nim swoje drzwi, na górze schodów. Szukał po omacku drzwi na dole. Ustąpiły skrzypiąc głośno. Wszedł do kuchni i z hałasem zatrzaskał drzwi za sobą. Pani Radford teraz nie odważy się przyjść.

Stanął przygwożdżony w miejscu. Klara klęczała na stosie białej bielizny, piętrzącym się na dywaniku przed kominkiem, zwrócona do drzwi plecami, i grzała się w ciepłe ognia. Nie obejrzała się, lecz siedziała na podkurczonych piętach, z twarzą schowaną. Zwrócona była w jego stronę ślicznym łukiem wygiętych pleców. Nagrzewała swoje ciało przed ogniem, szukając pociechy. Z jednej strony oblewał ją różowy blask, z drugiej tonęła w miękkim, ciepłym cieniu. Jej ramiona zwieszały się luźno.

Zadrżał gwałtownie, z całej siły zaciskając pięści i usta, aby nie stracić panowania nad sobą. Potem poszedł wprost ku niej. Położył jej jedną rękę na ramieniu, a drugą dłonią ujął ją pod brodę, chcąc obrócić jej twarz ku sobie. Ciałem Klary wstrząsnął konwulsyjny dreszcz, raz i drugi, przy każdym jego dotknięciu. Głowę trzymała nisko schyloną.

— Przepraszam — szepnął, gdyż zdał sobie sprawę, że musiał mieć bardzo zimne ręce.

Spojrzała na niego przerażona, jak gdyby zdjął ją śmiertelny lęk.

— Mam takie zimne ręce — szepnął.

— Lubię je — usłyszał cichutki szept. Zamknęła oczy.

Poczuł ciepłe tchnienie jej słów na swoich wargach. Objęła go ramionami za kolana. Pasek piżamy zakotłosał się nad nią i drgnęła zaskoczona. W miarę przenikającego go coraz mocniej ciepła czuł, jak powoli mijają dreszcze.

Wreszcie, nie mogąc już stać tak dłużej, podniósł ją, a ona ukryła twarz na jego ramieniu. Wodził wolno rękami po jej ciele w nieskończenie czulej pieczy. Przy-

warła mocno do niego usiłując ukryć swe ciało. Trzymał ją tuż przy sobie.

W końcu spojrzała na niego niemo i błagalnie, aby się przekonać, czy musi się wstydzić.

Jego oczy były ciemne, bardzo głębokie i bardzo spokojne. Jak gdyby jej piękność oraz to, że ją od niej przyjmował, bolały go i napawały smutkiem. Spojrzał na nią z cichym żalem i uczuł lęk. Był taki nędzny w porównaniu z nią. Całowała gorączkowo jego oczy, najpierw jedno, a potem drugie, tuląc się do niego. Oddawała mu się. Trzymał ją mocno przy sobie. Był to moment napięcia niemal równie silnego, jak konanie.

Stała pozwalając mu podziwiać się i drżał z radości na widok jej piękna. Koilo to jej zranioną ambicję. Uzdrowiało ją. Dawało jej radość. Pozwalało jej rozprostować się swobodnie i znów być dumną. Jej duma została głęboko zadraśnięta. Czuła się przedtem umniejszona. Teraz znów promieniowała radością i dumą. Hołd, jaki złożył jej urodzie, odrodził ją i uszczęśliwił.

Spojrzał na nią rozpromieniony. Uśmiechnęli się do siebie i przytulił ją do serca. Biegły sekundy, mijały minuty, a oni wciąż stali spleceni uściskiem, z ustami na ustach, jak gdyby byli posągami wykutym w jednej bryle.

Potem znów jego dłonie zaczęły błądzić po jej ciele — niespokojne, poszukujące, spragnione. Rozgorączkowana krew uderzała w nim fala za falą. Położyła głowę na jego ramieniu.

— Chodź do mego pokoju — poprosił.

Spojrzała na niego i potrząsnęła przecząco głową. Usta jej dyszały łaknieniem, oczy miała ciężkie od żądz. Patrzył na nią uporczywie.

— Tak! — powiedział. Znowu potrząsnęła głową.

— Ale dlaczego?

Patrzyła na niego nadal poważnie i smutno. Znowu potrząsnęła głową. Jego oczy z powrotem stały się twarde i poddał się jej prośbie.

Kiedy w jakiś czas potem znalazł się z powrotem w łóżku, zastanawiał się, dlaczego Klara nie chciała przyjść do niego otwarcie, aby jej matka wiedziała

o tym. W każdym razie rzecz by się wówczas wyjaśniła i mogłaby pozostać z nim na noc, zamiast iść spać, jak to zrobiła, w jednym łóżku z matką. Było to dziwne i nie mógł tego pojąć. A potem niemal natychmiast usnął.

Obudził się rano ze świadomością, że ktoś do niego mówi. Otworzył oczy, zobaczył wielką i dostojną postać pani Radford. pochylającą się nad nim. Trzymała w ręku filiżankę herbaty.

— Czy pan sobie wyobraża, że będzie pan spał aż do dnia Sądu Ostatecznego? Od razu się roześmiał.

— Chyba jest dopiero jakaś piąta — powiedział.

— Dobry sobie! — zawołała. — Jest wpół do ósmej, choć się to może panu nie podobać. Ma pan. Przyniosłam panu filiżankę herbaty.

Potał twarz, odrzucił zmierzwione włosy z czoła i usiadł na łóżku.

— Dlaczego jest tak późno? — mrucał niezadowolony.

Nie lubił, gdy go budzono. Ubawiło to panią Radford. Zobaczyła jego szyję wychylającą się z flanelowego kołnierza piżamy, białą i krągłą jak u dziewczyny. Przegarniał

palcami ze złością potargane włosy.

— Nic to panu nie pomoże, że się pan będzie drapał po głowie — powiedziała. — Na pewno nie zrobi się przez to wcześniej. Czy pan sobie wyobraża, że jeszcze długo będę tak stała z tą filiżanką?

— O, do licha z tą całą herbatą! — wykrzyknął.

— Trzeba było wcześniej iść spać — powiedziała pani Radford.

Spojrzał na nią uśmiechając się bezczelnie.

— Poszedłem wcześniej od pani — oświadczył poważnie.

— Tak, mój skarbie! Poszedł pan dużo wcześniej! — zawołała.

— Jeszcze mi się nic podobnego nie zdarzyło — mówił mieszając herbatę — żeby mi ktoś przynosił herbatę do łóżka. Moja matka uważałaby, że jestem zgubiony.

— A ona nigdy tego nie robi? — zapytała pani Radford.

— Prędzej bym się spodziewał, że zacznie fruwać!

— Ach! A ja moich tak zawsze rozpuszczałam! To pewno dlatego porobili się tacy niegodziwi! — zawołała stara kobieta.

— Miała pani tylko Klarę — powiedział. — A pan Radford jest w niebiosach. Wydaje mi się, że pozostaje tylko pani jedna, jeżeli chodzi o tę niegodziwość.

— Ja nie jestem niegodziwa. Jestem za miękka — powiedziała wychodząc z pokoju. — Jestem tylko głupia, ot co!

Klara była bardzo spokojna podczas śniadania, ale odnosiła się do niego, jakby uważała go za swoją własność, co mu ogromnie odpowiadało. Pani Radford wyraźnie go polubiła. Zaczął mówić o swoich obrazach.

— I co panu przyjdzie — zawołała pani Radford — z tego strugania, mozolenia się, ślęczenia i jeszcze brudzenia się w dodatku przy tym całym pacykowaniu? Co pan ma z tego, chciałabym wiedzieć? Lepiej by już pan poszedł się gdzie zabawić.

— O! — wykrzyknął Paweł. — Ale ja przecież zarobiłem na tym ponad trzydzieści gwinei w zeszłym roku.

— Naprawdę? No, to już zawsze coś znaczy, ale to nic w porównaniu z czasem, który pan na to poświęca.

— I winni są mi jeszcze cztery funty, prócz tego. Jakiś facet obiecał mi pięć funtów, jeśli namaluję go z żoną i z psem, na tle ich domku. Poszedłem więc, ale namalowałem mu kury zamiast psa. Zaczął się strasznie użalać i musiałem opuścić mu jednego funciora. Miałem już tego wszystkiego dość i pies mi się nie podobał. Zrobiłem z tego istne arcydzieło. Co mam zrobić z tymi czterema funtami, jak mi je zapłaci?

— Nie wiem! Sam pan najlepiej wie, na co panu potrzebne pieniądze — powiedziała pani Radford.

— Ale ja chcę przepuścić te cztery funty. Może byśmy się wybrali nad morze na jakiś dzień albo dwa?

— To znaczy kto?

— Pani, Klara i ja,

— I to za pana pieniądze! — zawołała oburzona.

— A dlaczego nie?

— Wiele czasu nie upłynie, zanim pan sobie kark skręci — przepowiedziała mu pani Radford.

- Tym lepiej, jeśli tylko mi ten czas przyjemnie upłynie dzięki moim pieniądzom.  
Pojedzie pani?
- Także coś! Omówcie to sobie sami, między sobą.
- Ale pani się zgadza? — zapytał zdumiony i uradowany zarazem.
- I tak zrobicie, jak się wam będzie podobało — rzekła pani Radford. — Czy się na to zgodzę, czy nie.

TLR

## BAXTER DAWES

Wkrótce po swej bytności z Klarą w teatrze Paweł siedział w gospodzie „Pod Baryłką Ponczu” pijąc z kilkoma znajomymi, gdy na salę wszedł niespodziewanie Dawes. Mąż Klary zaczął tyć, obrzmiałe powieki zwiślały mu ciężko nad brązowymi oczami, utracił zdrową jędrność mięśni. Było najzupełniej oczywiste, że znajduje się na drodze do upadku. Pokłóciwszy się z siostrą, przeniósł się do taniego, sublokatorskiego pokoju. Przyjaciółka opuściła go dla mężczyzny, który obiecywał się z nią ożenić. Spędził już jedną noc w areszcie za bójkę po pijanemu i był ponadto zamieszany w jakąś ciemną aferę związaną z nieuczciwie zawartym zakładem.

Byli z Pawłem zaprzysięgłymi wrogami, a jednocześnie wiązało ich z sobą owo szczególne uczucie, że w skrytości ducha są sobie wzajemnie bliscy, jakie wytwarza się czasem między ludźmi, którzy prawie się nie znają. Paweł często myślał o Baxterze Dawesie, często też chciał się do mego zbliżyć i zaprzyjaźnić z nim. Czuł, że Dawes również często o nim myśli i że coś tego człowieka ciągnie do niego z tych czy innych względów. A jednak obaj nigdy nie spojrzeli na siebie inaczej jak z nienawiścią.

Ponieważ Paweł zajmował w fabryce u Jordana wyższe stanowisko, jego rzeczą było zaproponować Dawesowi jakiś trunek.

— Czego się pan napije? — zapytał go.

— Nie piję z takim zasmarkanym fundatorem jak ty! — odparł kowal.

Paweł odwrócił się od niego z lekkim, pogardliwym wzruszeniem ramion, które było bardzo prowokujące.

— Arystokracja — kończył swój wykład — jest właściwie instytucją czysto wojskową. Weźmy na przykład Niemcy. Są tam tysiące arystokratów, dla których jedynym źródłem utrzymania jest kariera wojskowa. Są diabelnie biedni i życie cholernie im się wlecze. Marzą więc o wojnie. Wyglądają tej wojny, jako swojej szansy wypłynięcia na powierzchnię. Jak długo nie ma wojny, są beczynnymi niedołęgami. Gdy tylko wybuchnie wojna, stają się przywódcami i rozkazodawcami. Sami więc rozumiecie, że pragną wojny.

Paweł nie był lubianym mówcą w gospodzie. Mówił bowiem zbyt szybko i za bardzo narzucał swe zdanie. Irytował starszych mężczyzn zarozumiałością i pewnym siebie sposobem bycia. Słuchali go w milczeniu i nie martwili się, gdy kończył swoje oracje.

Dawes przerwał potok słów młodego człowieka, zapytując z jawną pogroźką w głosie:

— Ciekaw jestem, czy się tego wszystkiego nauczyłeś tamtego wieczoru w teatrze?

Paweł spojrzał na niego. Ich oczy spotkały się. Teraz już nie miał wątpliwości, że Dawes widział ich wtedy wychodzących z teatru.

— Dlaczego? O co ci chodzi z tym teatrem? — zapytał jeden z towarzyszy Pawła, wietrząc jakiś lepszy numer i ciesząc się, że zyska broń przeciwko młodemu zarozu-

mialcowi.

— Oho! Był tam ten podkasany lalusz, wygalowany na całego — wycedził przez zęby Dawes w stronę Pawła.

— To zaczyna być ciekawe — powiedział ich wspólny przyjaciel. — Z babą?

— A jakże! — odparł Dawes.

— Jedźże dalej! Gadaj, co wiesz! — wykrzyknął wspólny przyjaciel.

— Masz już wszystko — powiedział Dawes. — A spodziewam się, że nasz Morelek miał dużo więcej.

— A to ci heca! — cieszył się wspólny przyjaciel. — A jak tam baba? Przyjazna?

— Baba? A jakże.

— Skąd wiesz?

— Och! — powiedział Dawes. — Tak sobie kalkuluję, że nockę...

Gruchnął śmiech i przez dłuższą chwilę zabawiali się kosztem Pawła.

— Ale co to za jedna? Czy znasz ją? — zapytał wspólny przyjaciel.

— Tak się spodziewam — rzekł Dawes. i Wywołało to drugi wybuch śmiechu.

u — No, to wypłujże wreszcie do końca — powiedział wspólny przyjaciel.

Dawes potrząsnął głową i pociągnął łyk piwa.

— To cud, że sam dotąd nic nie powiedział — odparł. — Zobaczycie, że za chwilę będzie paplał na prawo i lewo.

— No, Pawle — powiedział przyjaciel. — Przestań się ukrywać. Mógłbyś równie dobrze sam wreszcie się przyznać.

— Przyznać, do czego? Że zdarzyło mi się zabrać znajomą do teatru?

— No, więc dobrze. Jeżeli wszystko było w porządku, powiedz nam, co to za jedna, chłopcze — powiedział przyjaciel.

— Och, był taki czas, że była porządna — rzekł Dawes.

Paweł był wściekły. Dawes otarł blond wąsy wierzchem dłoni uśmiechając się drwiąco.

— Ach, do licha... to taka! — zawołał wspólny przyjaciel. — Pawle, jestem zdumiony. A ty ją znasz, Baxter?

— Cośkolwiek.

Mrugnął przy tym porozumiewawczo do pozostałych mężczyzn.

— Eh tam, głupstwa gadacie — powiedział Paweł. — Pójdę już lepiej do domu.

Wspólny przyjaciel położył mu rękę na ramieniu, by go zatrzymać.

— Nie! — powiedział. — Nie wykręcisz się tak tanim kosztem, mój chłopcze. Musimy mieć dokładne sprawozdanie z tej historii.

— To niech je wam złoży Dawes — odparł Paweł.

— Nie powinienesz zapierać się swoich czynów, młody człowieku — protestował przyjaciel.

Wówczas Dawes wtrącił uwagę, która doprowadziła do tego, że Paweł cisnął mu pełen piwa kufel w twarz.

— Ach, panie Morel! — krzyknęła kelnerka i przycisnęła guzik dzwonka wzywając „wykidajkę” na pomoc.

Dawes splunął i ruszył na młodego człowieka. W tej samej chwili rudawy, rosły



mężczyzna, w koszuli z podwiniętymi rękawami i w spodniach ciasno opinających się na biodrach, wmieszał się do akcji.

— Tylko bez awantur — powiedział stając przed Dawesem i zagradzając mu drogę piersiami.

— Wyłaż tutaj! — krzyknął Dawes.

Paweł blady i drżący opierał się o mosiężną poręcz bufetu. Nienawidził Dawesa i pragnął, żeby coś natychmiast zgładziło go ze świata. A jednocześnie patrząc na mokre włosy oblepiające mu czoło pomyślał, że wygląda tragicznie i smutno. Nie ruszył się z miejsca.

— Wyłaż, ty... — syknął Dawes.

— Dość tego, Dawes! — krzyknęła kelnerka.

— Chodź pan — rzekł „wykidajło” z przyjazną perswazją w głosie. — Pora się zbierać.

I zmuszając Dawesa do ciągłego cofania się przed jego napierającą pierśią, wypchnął go aż do drzwi.

— To ten mały gówniarz zaczął to wszystko! krzyknął Dawes, na wpoi zastraszony, wskazując na Pawła Morela.

— Co za bajki pan opowiada, panie Dawes! — wykrzyknęła kelnerka. — Sam pan wie, że to pan go cały czas prowokował.

„Wykidajło” w dalszym ciągu nacierał na Dawesa, a on wciąż wycofywał się powoli, aż znalazł się w drzwiach, a potem na schodkach. Wówczas odwrócił się znowu.

— W porządku — powiedział i skinął głową prosto w stronę swego rywala.

Paweł doznał dziwnego uczucia litości, a może nawet współczucia, pomieszanego z gwałtowną nienawiścią do tego człowieka. Jasno malowane drzwi gospody zatrzasnęły się. Na sali zapanowało milczenie.

— Słusznie mu się to należało — powiedziała kelnerka.

— Ale to podłość tak mu cisnąć kuflem piwa w oczy — odparł wspólny przyjaciel.

— A ja się właśnie ucieszyłam, że dostał — oświadczyła kelnerka. — Można panu nalać świeży, panie Morel?

Uniosła pytająco kufel Pawła w górę. Skinął głową na znak zgody.

— Baxter Dawes to człowiek gotowy na wszystko — odezwał się któryś z mężczyzn.

— O, naprawdę! — wykrzyknęła kelnerka. — A mnie się zdaje, że jest tylko zawsze gotów się przechwalać, a to się na wiele nie zda. Już ja wolę powściągliwego w języku mężczyznę, jeżeli o mnie chodzi.

— Pamiętaj tylko, Pawle, mój chłopcze — powiedział przyjaciel — że będziesz się teraz musiał przez pewien czas mieć na baczności.

— Nie powinien pan wchodzić mu w oczy i tyle — rzekła kelnerka.

— Umiesz się trochę boksować? — zapytał przyjaciel.

— Wcale — odparł Paweł, wciąż jeszcze bardzo blady.

— Mogę ci pokazać ze dwa chwyt — ofiarowywał się przyjaciel.

— Dziękuję, nie mam czasu.

Zaczął się zbierać do wyjścia.

— Niech pan z nim pójdzie, panie Jenkinson — szepnęła kelnerka mrugając do pana

Jenkinsona porozumiewawczo.

Ten ostatni skinął głową w odpowiedzi, wziął swój kapelusz, zwrócił się do wszystkich z bardzo przyjaznym: „Dobranoc!” i wyszedł za Pawłem wołając:

— Chwileczkę, mój stary! Idziemy zdaje się w tę samą stronę!

— Pan Morel nie lubi takich awantur — powiedziała kelnerka. — Przekonacie się, że rzadko go teraz będziemy widywali. A szkoda, bo to dżentelmen. A Baxtera Dawesa warto by zamknąć. Uspokoiliby się może wtedy.

Paweł wolałby raczej umrzeć, niżby matka miała się dowiedzieć o całej tej sprawie. Cierpiał prawdziwe męki, czując się upokorzony i dotknięty w swojej ambicji. Było teraz w jego życiu wiele rzeczy, o których z prostej konieczności nie mógł mówić z matką. Dotychczas tylko jeden wycinek jego życia był ściśle przed nią zamknięty — jego życie zmysłowe. Resztą wciąż jeszcze władała. Ale czuł, że teraz musi ukryć przed nią pewne sprawy i wyprowadzało go to z równowagi. Panowało teraz między nimi jakieś osobliwe milczenie i czuł, że musi się przed nią milcząco usprawiedliwiać. Czuł się przez nią potępiany. Czasem nienawidził jej i buntował się przeciw tej niewoli. Życie wzywało go, aby się od niej wyswobodził. Było to jak zamknięte koło, wewnątrz którego obracało się jego całe życie, nie wychodząc poza zakreśloną linię obwodu. Ona go urodziła, kochała, utrzymywała przy życiu i miłość jego stale wracała do niej, nie mógł więc swobodnie iść naprzód w życie ani prawdziwie pokochać żadnej innej kobiety. W tym okresie buntował się bezwiednie przeciwko wpływowi matki. Nie mówił jej wielu rzeczy. Dzielił ich teraz pewien dystans.

Klara była szczęśliwa i czuła się niemal zupełnie pewna Pawła. Czuła, że ma go nareszcie wyłącznie dla siebie. Ale potem znów wróciła niepewność. Opowiedział jej żartobliwie o awanturze, jaką miał z jej mężem. Zaczerwieniła się gwałtownie, a jej szare oczy zabłyśły gniewem.

— To zupełnie do niego podobne! — zawołała. — Co za prostak! Nie nadaje się do tego, żeby przebywać w towarzystwie przyzwoitych ludzi.

— Mimo to wyszłaś za niego za mąż — powiedział.

Wpadła w wściekłość, kiedy jej to wypomniał.

— Tak! Wyszłam! — krzyknęła. — Ale skąd mogłam to wtedy wiedzieć?

— Myślę, że musiał być raczej przyjemny — powiedział Paweł.

— Myślisz, że to ja doprowadziłam do tego, że stał się taki, jak jest?! — zawołała.

— O, nie! Sam się do tego doprowadził. Ale jest w nim coś...

Klara spojrzała uważnie na swego ukochanego. Nienawidziła w nim tego bezstronnego i obojętnego krytycyzmu w stosunku do niej, tej szczególnej oziębłości, które doprowadzały do tego, że jej kobiece serce zacinało się uparcie.

— I co masz zamiar teraz zrobić? — zapytała.

— Jak to?

— Z Baxterem.

— Nie wydaje mi się, żeby można było cokolwiek zrobić, jak myślisz?

— Myślę, że dasz mu radę w razie czego, prawda? — spytała Klara.

— Nie. Nie czuję ani odrobiny zapału do walki na pięści. To jest nawet śmieszne. Prawie wszystkim mężczyznom zwykły instynkt każe zacisnąć kułak i uderzać. U mnie nie ma mowy o czymś takim. Musiałbym mieć nóż, rewolwer czy coś podobne-

go, aby w ogóle zacząć walczyć.

— To noś lepiej jakąś broń przy sobie — poradziła mu Klara.

— Nie — zaśmiał się. — Nie jestem nożownikiem.

— Ale on ci w końcu zrobi coś złego. Nie znasz go.

— Trudno — powiedział. — Zobaczymy.

—Dopuszczysz więc do tego?

—Może. Jeśli się nie da inaczej

—A jeżeli cię zabije?

—Będzie mi bardzo przykro, zarówno ze względu na niego, jak na mnie.

Klara milczała przez chwilę.

—To nic nowego — zaśmiał się.

—Ale dlaczego jesteś taki niemądry? Nie znasz go.

— I nie mam ochoty go znać.

— Nie masz chyba zamiaru pozwalać, żeby byle drab robił z tobą, co zechce?

— A cóż ja na to mogę poradzić? — odparł śmiejąc się.

— Na twoim miejscu nosiłabym przy sobie rewolwer — powiedziała. — Wiem, że Dawes potrafi być niebezpieczny.

— Mógłbym sobie jeszcze odstrzelić palce — odparł.

— Już o to bądź spokojny. Będziesz nosił broń? — poprosiła.

— Nie.

— Ani nawet noża?

— Nie.

— I pozwolisz na to, żeby on...

— Tak.

— No, to jesteś wariat!

— Masz rację.

Zacięła ze złością zęby.

— Mogłabym nie wiem co z tobą zrobić! — zawołała wpadając w pasję.

— Dlaczego?

— Pozwalać takiemu człowiekowi, żeby z tobą zrobił, co mu się będzie podobało!

— Będiesz mogła do niego wrócić, jeśli zwycięży — powiedział Paweł.

— Czy chcesz, żebym cię znienawidziła?

— Nie. Mówię ci to tylko na wszelki wypadek — odparł.

— I ty mówisz, że mnie kochasz! — zawołała dotknięta i oburzona.

— Czy mam go zabić, żeby ci zrobić przyjemność? — zapytał. — Ale pomyśl sama, jaką by dopiero wtedy zyskał nade mną przewagę.

— Czy uważasz mnie za idiotkę?

— Wcale nie. Ale mnie nie rozumiesz, kochanie.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Przyrzeknij, że nie będziesz się narażał — poprosiła.

Wzruszył ramionami.

**Mąż prawy i bez skazy**

**Zbrojny szlachetnych orężem**

## Nie szuka ostrza szpady

### Ani trucizny podstępnej...

— zacytował.

Spojrzała na niego szukając w jego twarzy wyjaśnienia.

— Chciałabym móc cię zrozumieć — powiedziała.

— Myślę, że nie ma tu nic do rozumienia — zaśmiał się.

Klara zwiesiła głowę, zmartwiona.

W ciągu kilku następnych dni Paweł ani razu nie widział Dawesa. Aż wreszcie pewnego ranka, biegnąc z dziewiarni schodkami na górę, omal że nie zderzył się z barczystym mistrzem kowadła.

— Co za...! — wrzasnął kowal.

— Przepraszam — powiedział Paweł mijając go.

— Przepraszam... widzieliście go! — ironicznie powtórzył tamten.

Paweł gwizdał beztrosko i wesoło: „Daisie, Daisie...”

— Już ja cię oduczę gwizdać, szczeniaku! — krzyknął kowal.

Paweł nie zwracał na niego uwagi.

— Zaraz mi odpowiesz za tamto w knajpie!

Paweł podszedł do swojego pulpitu stojącego w kącie sali i zaczął obracać karty grubego foliału.

— Pójdź do Fanny i powiedz jej, że mi jest zaraz potrzebne zamówienie 097! — polecił swemu gońcowi.

Dawes stał w drzwiach, wielki i groźny, patrząc na czubek głowy młodego człowieka.

— Sześć pensów plus pięć jest jedenaście, plus siedem jest jeden szyling i sześć pensów... — dodawał głośno Paweł.

— Słyszysz, ty! — krzyknął Dawes.

— Pięć szylingów i dziewięć pensów. — Wpisał cyfrę do księgi. — O co chodzi? — zapytał.

— Ja ci pokażę, o co chodzi! — zawołał kowal.

Paweł zaczął znów głośno dodawać cyfry.

— Ty cholerny tchórze... boisz się nawet spojrzeć mi w oczy!

Paweł szybko chwycił ciężką linię z biurka. Dawes rzucił się naprzód. Młody człowiek podkreślił kilka pozycji w księdze. Dawes zatrzymał się rozwścieczony.

— Poczekaj no tylko, niech ja cię dopadnę gdziekolwiek... Już ja ci wtedy stłukę mordę na kotlet, świntuchu jeden!

— W porządku — powiedział Paweł.

Kowal ruszył wreszcie ciężko w kierunku wyjścia. W tejże chwili rozległ się głośny sygnał gwizdka. Paweł podszedł do tuby wewnętrznego telefonu.

— Tak — powiedział i przez chwilę uważnie słuchał. — A... tak! — Znów słuchał, a potem roześmiał się. — Zejdę zaraz na dół. Mam teraz gościa.

Dawes odgadł z brzmienia jego głosu, że rozmawiał z Klarą. Posunął się krok naprzód.

— Ty szczeniaku przeklęty! — krzyknął. — Zaraz tu zobaczysz gościa! Myślisz

może, że pozwolę ci zalecać się pod samym moim nosem, co?

Urzednicy pracujący na sali podnieśli głowy. Zjawił się goniec Pawła z czymś białym w ręku.

— Fanny powiedziała, że mógł pan to mieć już wczoraj wieczorem, gdyby pan jej dał znać — wyrecytował szybko.

— W porządku — odparł Paweł oglądając pończochę. — Zabierz to.

Dawes stał zbity z tropu i bezradny z wściekłości. Paweł odwrócił się.

— Przepraszam na chwilkę — powiedział do Dawesa i chciał zbiec na dół.

— Do jasnej cholery! Ja cię nauczę tam ganiać! — krzyknął kowal chwytając go za ramię. Paweł odwrócił się szybko.

— Hej! Hej! — zawołał goniec przestraszony.

Tomasz Jordan wypadł ze swego oszklonego kantorku i szedł śpiesznie przez salę.

— O co chodzi? Co się tu dzieje? — wołał cienkim, starczym dyszkantem.

— Zabieram się tylko dobrze oporządzić tego małego... i to wszystko! — desperacko powiedział Dawes.

— Jak mam to rozumieć? — warknął Tomasz Jordan.

— Tak jak powiedziałem — odparł Dawes, ale pohamował się trochę.

Morel stał oparty o biurko, zawstydzony i z sztucznym, wymuszonym uśmiechem na ustach.

— Co się tu stało? — zapytał Tomasz Jordan.

— Nie wiem — odparł Paweł potrząsając głową i wzruszając ramionami.

— O właśnie, nie wiesz, nie wiesz! — wykrzyknął Dawes wysuwając do przodu, rozwścieczoną twarz i zaciskając pięści.

— Dosyć, Dawes! — krzyknął stary fabrykant prostując się groźnie. — Zabierajcie się do swojej roboty i nie przychodźcie mi tu pijani od samego rana!

Dawes odwrócił powoli swoją ciężką postać w jego stronę.

— Pijany? — powtórzył. — Kto jest pijany? Jestem akurat taki pijany jak pan!

— Słyszeliśmy już tę piosenkę — uciał stary fabrykant. — A teraz wynoście się stąd, i to zaraz. Jak śmiecie tu przychodzić i wyprawiać awantury?

Kowal spojrzał pogardliwie w dół na swego pracodawcę. Jego ręce, wielkie i poczerniałe, ale dziwnie foremne jak na wykonywaną przez niego pracę, poruszały się odruchowo i bez przerwy. Paweł uświadomił sobie, że ręce te należą do męża Klary, i wezbrała w nim fala gwałtownej nienawiści.

— Wynoście się stąd, nim was siłą wyrzucą! — krzyknął ostro Tomasz Jordan.

— Ciekaw jestem, kto to mnie będzie wyrzucał? — odparł Dawes ironicznie i pogardliwie.

Pan Jordan drgnął. Podeszedł do kowala wskazując mu ręką drzwi i napierając na niego z bliska swoją małą, okrągłą figurką.

— Proszę się wynosić z mojej fabryki!... Zabierać mi się stąd natychmiast!

Schwycił Dawesa za ramię i szarpnął nim.

— Odczep się! — krzyknął Dawes i jednym ruchem łokcia odrzucił małego fabrykanta gwałtownie w tył.

Zanim ktokolwiek zdążył temu zapobiec, Tomasz Jordan uderzył plecami w małe drzwiczki, przytrzymywane sprężyną. Ustąpiły pod jego ciężarem i z trzaskiem poto-

czył się z sześciu schodków w dół, aż na podłogę w pracowni Fanny. Obecni osłupieli na chwilę, a następnie wszyscy, mężczyźni i kobiety, rzucili mu się na pomoc. Dawes stał przez chwilę patrząc ironicznie na rozgrywającą się przed nim scenę, a potem zawrócił i wyszedł.

Tomasz Jordan doznał ogólnego wstrząsu i posiniaczył się, ale nie odniósł poważniejszych obrażeń. Był jednak rozwścieczony do ostateczności. Zwolnił Dawesa z pracy i podał go do sądu o napaść.

W czasie rozprawy Paweł Morel, pozwany jako świadek do złożenia zeznań, kiedy go zapytano, w jaki sposób doszło do awantury, odpowiedział:

— Dawes pozwolił sobie obrazić panią Dawes i mnie, ponieważ pewnego wieczoru towarzyszyłem jej do teatru. Chlusnąłem mu wtedy kuflem piwa w twarz i od tej pory szukał sposobności, żeby się na mnie zemścić.

— *Cherchez la femme* — uśmiechnął się sędzia.

Powództwo zostało oddalone, przedtem jednak sędzia powiedział Dawesowi, że uważa go za hultaja.

— To ty położyłeś sprawę — warknął pan Jordan na Pawła.

— Nie wydaje mi się, żeby tak było — odparł Paweł. — A poza tym nie zależało panu chyba na skazującym wyroku?

— A po co go podawałem do sądu, jak ci się zdaje?

— W takim razie — powiedział Paweł — przykro mi, że powiedziałem coś, czego nie należało mówić.

Klara była także bardzo niezadowolona.

— Po co było wciągać moje imię w to wszystko? — zapytała.

— Lepiej było powiedzieć otwarcie, niż pozwolić, by ludzie szeptali po kątach.

— Uważam, że to wcale nie było konieczne — oświadczyła Klara.

— Nic na tym nie straciliśmy — powiedział obojętnie.

— Ty może nie — odparła.

— A ty? — zapytał.

— Nie należało w ogóle wspominać o mnie.

— Bardzo mi przykro — powiedział. Ale w jego głosie nie brzmiała skrucha.

Mówił sobie, nie przejmując się tym zbytnio: „Klara na pewno wkrótce się przeprosi i udobrucha”. I tak się rzeczywiście stało.

Opowiedział matce o zajściu z panem Jordanem i o sprawie sądowej Dawesa. Pani Morel przyglądała mu się uważnie.

— I co ty o tym wszystkim myślisz? — zapytała go.

— Myślę, że Dawes jest szalony.

Ale pomimo to było mu nieprzyjemnie.

— Czy zastanawiałeś się kiedykolwiek, jak się to skończy? — zapytała matka.

— Nie — odparł. — Wszystko w życiu zazwyczaj jakoś samo się układa.

— Owszem, ale najczęściej tak, jak sobie tego najmniej życzymy — rzekła matka.

— I wtedy należy się z tym po prostu pogodzić — oświadczył Paweł.

— Jeszcze się przekonasz, że bynajmniej nie będzie ci tak łatwo pogodzić się z różnymi rzeczami, jak to sobie wyobrażasz — odparła matka.

Kończył gwałtownie jakiś rysunek.

— A czy ty ją w ogóle pytasz o zdanie? — po długiej chwili odezwała się matka.  
— Na jaki temat?  
— Co sobie myśli o tobie i o całej tej sprawie?  
— Nie interesuje mnie jej zdanie o mnie. Jest we mnie straszliwie zakochana, ale to nie jest bardzo głębokie.

— Zapewne równie głębokie, jak twoja miłość do niej.

Spojrzał na matkę ciekawie.

— Tak — powiedział. — Wiesz, mam, wydaje mi się, że ja po prostu już z natury nie potrafię kochać. Kiedy Klara jest ze mną, zawsze czuję, że ją kocham. Czasem, gdy o niej myślę tylko jako o kobiecie, kocham ją, mam. Ale potem, jak zacznę mówić i wygłaszać swoje teorie, często wcale jej nie słucham.

— A przecież nie ma mniej rozsądku niż Miriam.

— Być może. I kocham ją bardziej niż Miriam. Ale czemu żadna nie potrafi mnie przy sobie utrzymać?

To pytanie zabrzmiało niemal jak krzyk rozpacz. Matka odwróciła głowę i siedziała zapatrzona przed siebie, spokojna i poważna, jak gdyby zrezygnowana.

— Ale nie chciałbyś ożenić się z Klarą? — zapytała.

— Nie. Z początku miałem może nawet ochotę. Ale dlaczego... dlaczego nie mam chęci żenić się ani z nią, ani z nikim innym? Czasem zdaje mi się, że krzywdzę kobiety, z którymi się stykam.

— W jaki sposób, synku?

— Ach, sam nie wiem.

Malował dalej, prawie z rozpazą. Dotknął samego dna swego cierpienia.

— A jeśli chodzi o tę chęć ożenku — powiedziała matka — to masz jeszcze na to dużo czasu.

— Nie, mam. Ja nawet naprawdę kocham Klarę, a przedtem kochałem Miriam. Ale poświęcić się im całkowicie przez małżeństwo nie mógłbym w żadnym przypadku. Nie mógłbym należeć do nich bez reszty. One chcą mieć mnie całego, a ja nie mógłbym nigdy im tego dać.

— Nie spotkałeś jeszcze tej jedynej kobiety.

— I nie spotkam jej, póki ty żyjesz — odparł.

Matka siedziała milcząca i bardzo spokojna. Ostatnio znów czuła się zmęczona i bliska zupełnej utraty sił.

— Zobaczymy, jak to będzie, synku — powiedziała.

Uczucie, że wszystko ciągle toczy się w kręgu zamkniętego koła, doprowadzało go do obłądzenia.

Klara była w istocie do szaleństwa w nim zakochana, a on w niej, kiedy działały zmysły. W ciągu dnia przeważnie o niej zapominał. Pracowała w tym samym budynku, ale on nie był tego w pełni świadomy. Był zajęty pracą i jej istnienie nic wówczas dla niego nie znaczyło. Natomiast ona pracując w swojej dzielni przez cały czas miała fizyczne poczucie jego obecności na gorze oraz tego, że przebywa w jej pobliżu. W każdej sekundzie oczekiwała jego pojawienia się w drzwiach, a kiedy rzeczywiście przychodził, doznawała prawdziwego wstrząsu. On zaś często zachowywał się wobec

niej zdawkowo i obojętnie. Wydawał jej polecenia oficjalnie, urzędowym tonem, zachowując służbowy dystans. Słuchała go pilnie, resztką przytomności zmuszając się do myślenia. Nie śmiała czegoś źle zrozumieć albo nie zapamiętać, lecz wydawało jej się to okrutne. Pragnęła dotknąć jego piersi. Znała dokładnie ich kształt ukryty pod kamizelką i pragnęła ich dotknąć. Jego głos, automatycznie wydający polecenia związane z pracą, doprowadzał ją do szaleństwa. Chciała przedrzeć się przez te obłudne pozory, stłuc małostkową powłokę spraw handlowych, osłaniającą go twardą skorupą, i odnaleźć pod nią żywego człowieka. Ale nie śmiała się na to zdobyć i zanim zdążyła wyczuć w nim najłżejsze tchnienie ciepła, odchodził pozostawiając ją na pastwę jej cierpienia.

Wiedział, że przesiadywała samotna i zgnębiona wieczorami, jeżeli do niej nie przyszedł, poświęcał więc jej wiele swojego czasu.

Dnie upływały jej nieraz w smutku, lecz wieczory i noce były zazwyczaj dla nich obojga błogosławieństwem. Byli wówczas cisi i milczący. Całymi godzinami siedzieli razem lub spacerowali w ciemności, wymieniając tylko rzadkie i mało znaczące słowa. Ale on trzymał jej rękę w swojej dłoni, a jej pierś tchnęła ciepłem, napawając go uczuciem osiągniętej pełni.

Pewnego wieczoru, gdy spacerowali nad kanałem, Paweł był czymś zgnębiony. Wzdiała, że błądzi myślami gdzieś daleko. Przez cały czas gwizdał coś zawzięcie zatopiony we własnych myślach. Przysłuchiwała się uważnie, przeczuwając, że więcej jej to powie, niżby się dowiedziała z jego słów. Była to jakaś smutna, pełna wewnętrzznego niepokoju melodia, z której wyczuła, że Paweł nie pozostanie przy niej. Szła dalej milcząc. Gdy doszli do zwodzonego mostu, usiadł na jednym z jego potężnych słupów, patrząc na przeglądające się w wodzie gwiazdy. Był od niej daleko. Zamyśliła się również.

- Czy masz zamiar zawsze pracować u Jordana? — zapytała go.
- Nie — odparł bez chwili namysłu. — Nie zostanę w Nottingham i wyjadę za granicę... już wkrótce.
- Za granicę? Po co?
- Nie wiem. Czuję się tu wciąż niespokojny.
- Ale co tam będziesz robił?
- Będę musiał z początku postarać się o jakieś stałe zajęcie we wzornictwie i znaleźć sposób sprzedawania swoich obrazów — powiedział. — Maluję coraz lepiej. Wiem, że tak jest.
- A jak myślisz, kiedy pojedziesz?
- Nie wiem. Nie będę mógł wyjechać na długo, póki matka tu jest.
- Nie zostawiłbyś jej?
- W każdym razie nie na długo.

Klara patrzyła na gwiazdy odbijające się w ciemnej wodzie. Leżały na powierzchni olśniewająco białe i patrzyły na nią nieruchomo. Było to męką wiedzieć, że ją opuści, ale było to też niemal męką mieć go przy sobie.

- A jeśli byś zarobił dużo pieniędzy, to co wtedy zrobisz? — zapytała.
- Zamieszkał z moją matką w jakimś ładnym domu, niedaleko Londynu.
- Rozumiem.



Nastąpiła długa chwila ciszy.

— Mógłbym tu w dalszym ciągu przyjeżdżać i widywać się z tobą — powiedział. — Zresztą sam nie wiem. Nie pytaj mnie o to, co będę robił. Sam tego nie wiem.

Znów zapadło milczenie. Gwiazdy zadrżały i poczęły załamywać się na wodzie. Owionął ich lekki podmuch wiatru. Paweł podszedł do niej nagle i położył jej rękę na ramieniu.

— Nie pytaj mnie o przyszłość — powiedział znekany. — Sam nic nie wiem. Bądź ze mną teraz, jeśli możesz, nie myśląc, co będzie dalej.

Wzięła go w ramiona. Ostatecznie była przecież mężatką i nie miała prawa nawet do tego, co jej obecnie dawał. Potrzebował jej bardzo. Trzymała go w swych objęciach, lecz on nadal czuł się nieszczęśliwy. Wchłonęła go w siebie, owionęła go swym ciepłem, pocieszyła go, okazywała mu swą miłość. Chciała dać mu całkowite zapomnienie.

Po chwili uniósł głowę, jak gdyby chciał coś powiedzieć.

— Klaro... — zaczął z wysiłkiem.

Przyciągnęła go gwałtownie do siebie tuląc mocno jego głowę do swej piersi. Nie mogła znieść brzmiącego w jego głosie cierpienia. W głębi duszy była przerażona. Musi mu dać z siebie wszystko... da mu wszystko, czego zapagnie. Ale nie chciała wiedzieć. Czowała, że nie byłaby w stanie tego znieść. Chciała, aby zaznał przy niej ukojenia, aby dał się ukoić. Stała tuląc go do siebie i pieścąc, ale był dla niej czymś nieznanym... czymś, co przejmowało ją niemal lękiem. Pragnęła ukołysać go aż do zupełnego zapomnienia.

Wkrótce ucichła walka tocząca się w jego duszy i zapomniał. Ale to nie Klara była przy nim — to była kobieta, żywe ciepło, coś, co kochał i niemal wielbił wpośród otaczającej go ciemności... To nie była Klara, a jednak mu uległa. Nieposkromiony głód i bezwzględność jego miłości, jakaś ślepa i okrutna w swojej prymitywności moc uczyniły tę godzinę niemal straszną dla Klary. Wiedziała, jak bardzo się czuł opuszczony i samotny, zrozumiała więc wielkość tego, że się do niej uciekł. Uległa mu po prostu i bez wahania, bowiem jego łaknienie było potężniejsze aniżeli ona lub on, i zapanował w jej duszy spokój. Uczyniła to dla niego, w jego potrzebie, choćby ją nawet miał opuścić, bo go kochała.

Przez cały czas w polu nawoływały czajki. Kiedy wróciła mu świadomość, zastanawiał się przez chwilę, co tak falowało przed jego oczyma, prężne i pełne życia, i czyj to głos dobiegał do jego uszu. Potem zdał sobie sprawę, że była to trawa i że wołały czajki. Ciepło było oddechem unoszącym pierś Klary. Uniósł głowę i spojrzał głęboko w jej oczy. Były ciemne, błyszczące i dziwne. Na ich dnie legło się szaleństwo życia i patrzyły w jego życie, obce mu, a jednak wychodzące mu naprzeciw. Ukrył głowę na jej szyi, przerażony. Czym ona była? Bujnym, obcym, szalonym życiem, które swym oddechem łączyło się z jego życiem w ciemnościach owej godziny. Było to o tyle potężniejsze od nich obojga, że trwał w milczeniu, nie śmiać się odezwać. W ich złączeniu zawarło się burzliwe falowanie niezliczonych łodyżek trawy, nawoływanie czajek i migotanie gwiazd krążących po ciemnym niebie.

Kiedy podnieśli się z ziemi, dostrzegli inną parę kochanków przemykającą się pod sąsiednim żywopłotem. Zdawało się to zupełnie naturalne, że tam byli. Noc mieściła

ich w sobie.

Po takim wieczorze byli oboje bardzo spokojni i cisi, poznawszy potęgę żądz. Czuli się mali, zaleknieni, dziecięco bezradni i zdziwieni, jak Adam i Ewa, gdy utraciwszy niewinność zdali sobie sprawę ze wspaniałości owej potęgi, która wygnała ich z raju, skazując na wieczystą wędrówkę poprzez nieskończone noce i dni całej ludzkości. Było to dla każdego z nich wtajemniczeniem i zaspokojeniem zarazem. Poznaniem własnej nicości oraz niepohamowanej potęgi nurtu życia, który ich unosił napawając wewnętrznym spokojem i ukojeniem. Jeżeli taka wielka, wszechmocna potęga mogła nimi zawładnąć i tak dalece utożsamić ich z sobą, iż pojęli, że są tylko drobnymi ziarenkami w potężnym tchnieniu, niosącym moc wzrostu każdemu źdźbłu trawy i każdemu drzewu, i wszystkiemu, co żyło — czemu mieliby się martwić o swój los? Mogli dać się bezwolnie unosić życiu i znajdowali spokój i ukojenie, jedno w drugim. Zaznali razem jak gdyby utwierdzenia w prawdzie. Nic nie mogło tego zniweczyć, nic nie mogło im tego odebrać. Było to niemal ich wyznaniem wiary w życie.

Ale Klara nie była w pełni zadowolona. Wiedziała, że przeżywa coś wielkiego. Czowała, że to coś ogarnia ją zewsząd swym tchnieniem. Ale nie umiała tego utrzymać. Rano wszystko było inne. Poznali prawdę, lecz ona nie potrafiła zachować w sobie tej chwili. Pragnęła, aby się powtórzyła. Chciała, by trwała wiecznie. Nie pojęła jej w pełni. Sądziła, że pragnie tylko jego — Pawła. Nie czuła się całkowicie pewna i bezpieczna. To, czego razem dostąpili, może się już nigdy nie powtórzyć. On może ją opuścić. Czowała, że nie należy do niej całkowicie i nieodwołalnie. Nie była zadowolona. Przeżyła, lecz nie schwyciła tego... owego czegoś... Sama nie wiedziała, co to miało być... ale nieprzytomnie pragnęła to osiąść.

Paweł doświadczał rano uczucia dużego spokoju i czuł się wewnętrznie szczęśliwy. Mogło się nawet zdawać, że przeszedł już chrzest w ogniu żądz i osiągnął spokój. Ale to nie była Klara. Było to coś, co wydarzyło się za jej przyczyną, ale nie było nią samą. Nie stali się sobie bliżsi. Było to tak, jak gdyby byli tylko ślepym narzędziem jakiejś potężnej siły.

Kiedy następnego dnia po owym wieczorze ujrzała go w fabryce, serce jej rozplynęło się jak drobna kropla w ogniu. Było to jego ciało, jego oczy. Gorąca kropla rozrastała się pożarem w jej piersiach. Musi go przy sobie zatrzymać. Ale on, bardzo spokojny i bardzo cichy tego dnia, w dalszym ciągu wydawał jej swoje polecenia. Zeszła za nim do ciemnej, odrażającej piwnicy i znalazłszy się tam, wyciągnęła do niego ramiona. Całował ją i znów zapłonęła w nim żądza. Ktoś się zbliżał do drzwi. Paweł pobiegł na górę, a Klara wróciła do swojej pracowni poruszając się jak we śnie.

Potem ów wielki płomień począł z wolna przygasać. Paweł czuł coraz wyraźniej, że jego wielkie przeżycie było bezosobowe i że nie była to Klara. Kochał ją. Miał dla niej ogromną czułość, jaką pozostawia po sobie wspólnie przeżyte wielkie wzruszenie. Ale nie była owym kimś, kto mógłby w nim utrzymać spokój ducha. Pragnął, aby stała się dla niego czymś, czym w żadnym razie być nie mogła.

Ona zaś pragnęła go nieprzytomnie. Zobaczywszy go, za każdym razem nie mogła oprzeć się pragnieniu, aby go chociaż móc dotknąć. W fabryce, gdy rozmawiał z nią o elastycznych pończochach, przesuwała ukradkiem dłonią po jego boku. Biegła za nim do piwnicy na krótki pocałunek. Nie spuszczała z niego oczu, zawsze pełnych niemej

tęsknoty i niepohamowanej żądy. Bał się aby się nie zdradzała zbyt jawnie przed resztą dziewcząt. Czekala na niego niezmiennie w czasie przerwy obiadowej, aby ją pocałował przed wyjściem. Czuł jej bezradność, stawała mu się niemal ciężarem i irytowało go to niepomierne.

— Czy ty sobie wyobrażasz, że można tak ciągle się ściskać i całować? — mówił.  
— Na wszystko jest przecież odpowiednia pora.

Spojrzała na niego i jej oczy zabłysły nienawiścią.

— Czy uważasz, że ciągle chcę się całować? — zapytała.

— Ciągle, nawet kiedy przyjdę zapytać cię o coś ściśle związanego z pracą. Kiedy pracuję, nie chcę mieć nic do czynienia z miłością. Praca jest pracą...

— A czym jest miłość? — przerwała mu. — Czy musi mieć swoje specjalne godziny?

— Tak. Poza pracą.

— I chcesz ją regulować według godzin, kiedy kończy się praca u pana Jordana?

— Tak. I zgodnie z czasem wolnym od wszelkich innych zajęć i spraw.

— A zatem ma prawo istnieć jedynie w wolnych chwilach?

— Tak. I nawet wtedy nie zawsze... a przynajmniej nie wyrażać się w ciągłym całowaniu.

— I to jest wszystko, co o tym sądzisz?

— To najzupełniej wystarczy.

— Cieszy mnie, że tak myślisz.

Była potem przez pewien czas bardzo chłodna w stosunku do niego. Nienawidziła go. Paweł zaś nie mógł znaleźć sobie miejsca, kiedy go traktowała obojętnie i pogardliwie. Czuł się nieszczęśliwy, póki mu znów nie wybaczyła. Ale kiedy zaczęli od nowa, nie czuli się sobie bliżsi. Utrzymywał ją przy sobie, nigdy jej bowiem w pełni nie zaspokajał.

Na wiosnę wyjechali razem nad morze. Wynajęli pokój w małym domku nieopodal Middlethorpe, i żyli tam jak mąż z żoną. Pani Radford czasem jeździła z nimi.

W Nottingham było ogólnie wiadomo, że Paweł Morel i pani Dawes chodzą z sobą, ponieważ jednak nie było w tym nic zbytnio rzucającego się w oczy i Klara od dawna była kobietą samotną, on zaś zdawał się prosty i niewinny, nikomu to specjalnie nie przeszkadzało.

Paweł lubił wybrzeże Lincolnshire, a Klara kochała morze. Często chodzili wczesnym rankiem kąpać się razem. Szarość świtu, rozległe, opustoszałe bagna, schłostane lodowatym wiatrem w zimie, oraz nadbrzeżne łąki porośnięte bujnym zielskiem były dostatecznie wymowne w swej surowości, by go zachwycić. Kiedy, minawszy drewniany mostek, wychodzili na główną drogę

i obejmowali wzrokiem bezgraniczną monotonię otaczającej ich równiny, ziemię niewiele ciemniejszą od nieba i szumiące cicho poza piaszczystymi wydmiami morze, serce jego wypełniała ostra świadomość nieubłaganego okrucieństwa życia. Klara kochała go w takich chwilach. Zdawał się wówczas samotny

i silny, a jego oczy lśniły wspaniałym światłem.

Drżeli z zimna. Ścigał się z nią wzdłuż drogi, aż do zielonego, darniowego mostka. Klara biegła dobrze. Rumieńce występowały szybko na jej policzkach, miała obnażo-

ną szyję, oczy jej błyszczały. Kochał w niej to, że była jednocześnie tak dorodnie ciężka i tak szybka. On sam był lekki. Ciało Klary było mocne i piękne w biegu. Rozgrzewali się wkrótce i szli dalej trzymając się za ręce.

Na niebie pojawił się różowy blask; blady księżyc, zawieszony w połowie drogi ku zachodowi, rozpływał się niepostrzeżenie. Na majaczącej w cieniu ziemi ciemne kształty zaczynały nabierać życia, a rośliny o dużych liściach stawały się coraz wyraźniej widoczne. Szli ścieżką wiodącą między dużymi, chłodnymi, piaszczystymi wydrami. Wychodzili na plażę. Długa, pusta przestrzeń morskiego brzegu leżała wzdychając u stóp jutrzenki i morza. Ocean wyglądał jak płaska ciemna wstęga, obrzeżona białym rąbkiem. Ponad posępnym morzem niebo stawało się czerwone. Wkrótce luna pożaru rozlewała się między chmurami i rozpraszała je. Purpura przechodziła w barwę ciemno-pomarańczową, a potem w matowozłotą. Słońce wschodziło w złocistym blasku, iskrząc się żywym ogniem na drobnych falach i jak gdyby wędrując ich grzbietem rozlewało po drodze jasne bryzgi światła.

Spienione bałwany wbiegały na brzeg długimi uderzeniami, szumiąc ochryple. Małeńkie mewy krążyły ponad długą smugą piany, podobne do drobnych kropel wody. Ich krzyk zdawał się potężniejszy od nich samych. W oddali brzeg wrastał w morze rozplywając się i niknąc w świetle poranka. Piaszczyste wydmy, porośnięte kępami ostrych traw, zdawały się zbiegać do jednego poziomu z wodą. Po prawej ręce widniało Mablethorpe, małe jak zabawka. Mieli całą tę przestrzeń wybrzeża, morze, wschodzące słońce, cichy szum fal i ostry krzyk mew wyłącznie dla siebie.

Wyszukali sobie zaciszną jamkę w piasku, gdzie nie docierał wiatr. Paweł stał i patrzył na morze.

— Piękny dzień dzisiaj — powiedział.

— Nie rób się tylko sentymentalny — rzekła Klara.

Irytowało ją, gdy stał wpatrzony w fale jak samotny, zatopiony w rozmyślaniach poeta. Zaśmiał się. Klara rozebrała się szybko.

— Dziś jest wspaniała fala — powiedziała triumfująco.

Pływała lepiej od niego. Stał bez ruchu patrząc na nią.

— Nie idziesz ze mną? — zapytała.

— Przyjdę za chwilę — odparł.

Skóra jej była biała i aksamitnie gładka, a ramiona szerokie i silne. Lekki wiatr, napływający od strony morza, owiewał jej ciało i targał włosy.

Ranek jaśniał najczystszy złotem. Smugi cienia odpływały ku północy i południowi. Klara stała kurcząc się lekko przed podmuchami wiatru rozwiewającego jej włosy. Nadmorska trawa rosła poza bielejącym na jej tle nagim ciałem kobiety. Spojrzała na morze, a potem na niego. Obserwował ją ciemnymi oczami, które kochała i których nie mogła zrozumieć. Objęła oburącz swe piersi kuląc się ze śmiechem.

— Brr, ależ będzie zimno!

Pochylił się i pocałował ją, a potem nagle przytulił do siebie mocno i pocałował jeszcze raz. Stała wyczekująco. Spojrzał jej w oczy, a potem znów odwrócił wzrok w stronę płowych piasków.

— Idź więc! — powiedział spokojnie.

Zarzuciła mu ramiona na szyję, przyciągnęła go do siebie i pocałowała namiętnie, a

potem odeszła.

— Ale niedługo przyjdiesz? — zawołała.

— Za chwilę.

Odeszła brnąc ciężko w piasku, miękkim jak aksamit. Stał na szczycie wydmy patrząc za nią, jak gubiła się i nikła mu z oczu na rozległym, bladym wybrzeżu. Robiła się coraz mniejsza i zatracala swój kształt, stając się tylko wielkim, białym ptakiem, z trudem wędrującym przed siebie.

— Jest nie większa od dużego ziarnka żwiru na plaży, nie większa od plamki piany wyrzuconej przez falę na brzeg — powtarzał sobie.

Zdawała się poruszać bardzo wolno na rozległej, szerokiej plaży. Patrzył za nią, lecz nagle stracił ją z oczu. Pochłoneło ją słońce, które oślepiło go na chwilę. Potem znów ją zobaczył i zdawała się już tylko białym punkcikiem zdążającym w stronę białej, szumiącej krawędzi wody.

— Patrz, jaka ona jest mała — mówił do siebie. — Jest zagubiona jak ziarnko piasku na plaży... jest po prostu ciemniejszym w oddali punkcikiem, drobnym, białym pęcznikiem piany... niemal niczym w zestawieniu z tym rankiem. Czemu mnie absorbuje?

Nic teraz nie mąciło już poranka. Klara zanurzyła się w morzu. Daleki, szeroki pas morskiego brzegu, piaszczyste wydmy okryte błękitnym cieniem, lśniące fale — wszystko to jaśniało w bezbrzeżnej, niczym nie zakłóconej samotności.

— Czym ona ostatecznie jest? — pytał sam siebie. — Oto jest nadmorski poranek, wielki, wspaniały i odwieczny. Tam zaś ona, pełna niepokoju, stale niezadowolona i przelotna jak bańka piany. Co ona ostatecznie dla mnie znaczy? Coś sobą przedstawia, podobnie jak bańka piany przedstawia morze... Ale czym ona jest sama przez się? To nie ją kocham.

Potem, przerażony własnymi, podświadomie nasuwającymi mu się myślami, które zdawały się przemawiać tak głośno i wyraźnie, że mógł je usłyszeć poranek, rozebrał się i szybko pobiegł poprzez plażę. Klara oczekiwała go. Jej białe ramię zabłysło ku niemu, uniosła się w górę na grzbiecie fali, a potem znów opadła. Ramiona jej wynurzały się z pieniających bryzgów płynnego srebra. Przeskakiwał przez łamiące się bałwany i po chwili jej ręka spoczęła na jego ramieniu.

Był marnym pływakiem i nie mógł długo zostawać w wodzie. Klara igrała triumfalnie wkoło niego, popisując się swą przewagą, której jej zazdrościł. Blask słoneczny lśnił wspaniale na wodzie. Przez chwilę pozostawali jeszcze śmiejąc się w morzu, a potem ścigali się, kto pierwszy dopadnie wydmy.

Kiedy się później wycierali dysząc ciężko, spojrział na jej roześmianą, zadyszaną twarz, na jej piękne ramiona, na piersi, które kołysały się i budziły w nim niepokój, gdy je tarła ręcznikiem.

„Ona jest jednak wspaniała — pomyślał znowu — wspanialsza nawet od poranka i morza. Czy ona...? Czy ona jest...?”

Klara, zauważywszy jego ciemne, wpatrzone w nią oczy, przestała się na chwilę wycierać.

— Na co tak patrzysz? spytała.

— Na ciebie — odparł radośnie.

Ich oczy spotkały się i w tejże chwili począł całować jej białe, okryte gęsią skórką

ramię, myśląc: „Czym ona jest? Czym jest?”

Kochała go o tej porannej godzinie. Było w nim wówczas jakieś oderwanie od świata, a jego pocałunki stawały się mocne i pożądlive, jak gdyby świadomy był jedynie własnej woli, zapominając całkowicie o niej i o tym, że ona go pragnęła.

W ciągu dnia szedł zazwyczaj rysować.

— Ty — mówił — idź lepiej z matką do Sutton. Jestem taki nudny.

Stała patrząc na niego. Wiedział, że chciałaby pójść z nim razem, ale wolał być sam. Kiedy z nim była, czuł się uwięziony, jak gdyby nie mógł zaczerpnąć swobodnie świeżego powietrza i coś ciężkiego zdawało się przygniatać go ku ziemi. Czowała, że chce być od niej uwolniony.

Wieczorem znów do niej powracał. Szli brzegiem morza w ciemności, a potem siadali na chwilę pod osłoną wydm.

— Wydaje mi się — powiedziała, gdy patrzyli na ciemniejące w oddali morze, na którym nie migotało ani jedno światełko — wydaje mi się, że kochasz mnie tylko w nocy... że w dzień nie kochasz mnie wcale.

Przesypywał zimny piasek pomiędzy palcami czując się w duchu winnym.

— Noce należą do ciebie — odparł. — W dzień chcę być sam.

— Ale dlaczego? — zapytała. — Czy musi tak być nawet teraz, w ciągu tego krótkiego urlopu?

— Nie wiem. Pieszczoty w dzień dławią mnie.

— Ale przecież nie musimy się ciągle pieścić — odparła.

— Tak to jednak jest zawsze — powiedział — kiedy jestem z tobą.

Siedziała bardzo rozżalona.

— Czy choć przez chwilę chciałaś, żebyśmy się pobrali? — zapytał ciekawy.

— A ty? — odparła.

— Tak. Bardzo bym chciał, żebyśmy mieli razem dzieci — powiedział powoli.

Siedziała ze zwieszoną głową rysując palcem po piasku.

— Nie masz w zasadzie zamiaru rozwieść się z Baxterem, prawda? — zapytał ją.

Uplynęła dłuższa chwila, zanim odpowiedziała.

— Nie — rzekła z całym przekonaniem. — Nie wydaje mi się.

— Dlaczego?

— Nie wiem.

— Czy masz takie uczucie, jak gdybyś do niego należała?

— Nie. Nie czuję nic podobnego.

— Czemu więc w takim razie?

— Myślę, że on należy do mnie.

Milczał przez kilka minut wsłuchując się w wiatr wiejący nad ochrypłym, ciemnym morzem.

— I naprawdę nigdy nie miałaś zamiaru należeć do mnie?

— Tak. Należę do ciebie — rzekła

— Nie — odparł poważnie. — Bo przecież nie chcesz się rozwieść.

Był to węzeł, którego nie umieli rozplątać, zostawili go więc na uboczu i zadowalali się tym, co było dla nich osiągalne, nie interesując się tym, czego osiągnąć nie mogli.

— Uważam, że traktowałaś Baxtera w sposób obrzydliwy — powiedział innym razem.

Był prawie pewien, że Klara odpowie mu, jakby to zrobiła jego matka: „Pilnuj lepiej własnych spraw i nie interesuj się za bardzo, co robią inni”. Ale ona, ku jego własnemu zdumieniu, wzięła jego słowa na serio.

— Dlaczego? — zapytała.

— Przypuszczam, iż wyobraziłaś sobie, że Baxter jest konwalijką, wsadziłaś go więc do odpowiedniego wazonika i stosownie do tego hodowałaś. Wmówiłaś sobie, że jest konwalijką, i nie było na to żadnej rady, chociaż on był w istocie podobniejszy do pastewnego buraka. Nie chciałaś się za nic z tym zgodzić.

— Z pewnością nigdy sobie nie wyobrażałam, że jest konwalijką.

— Tak, ale wyobrażałaś sobie, że jest czymś, czym nie był. Tak właśnie robią wszystkie kobiety. Myślą, że doskonale wiedzą, co jest dobre dla mężczyzny, i zaczynają zabiegać o to, żeby to miał. I choćby nawet umierał z głodu, może sobie siedzieć i gwizdać z żalu nad tym, co mu jest do życia potrzebne, ale nadaremnie, bo ona trzyma go w ręku i daje mu to, co sama uważa za dobre dla niego.

— A ty co robisz? — spytała Klara.

— Zastanawiam się, jaką mam gwizdać melodię — zaśmiał się.

Zamiast wytargać go za uszy, znowu potraktowała go poważnie.

— Czy ja też chcę ci dawać tylko to, co uważam za dobre dla ciebie? — zapytała.

— Mam nadzieję. Ale miłość powinna dawać uczucie pełnej swobody, a nie zamknięcia w więzieniu. Miriam doprowadzała mnie do tego, że czułem się jak uwiązany do palika osioł. Mogłem karmić się tylko na jej łączce i nigdzie indziej. Mdło mi się od tego robiło!

— A czy ty pozwoliłbyś kobiecie postępować, jak zechce?

— Tak. Będę się usilnie starał o to, żeby miłość do mnie dawała jej radość. A jeśli nie... to proszę bardzo! Nie trzymałbym jej siłą.

— Gdybyś naprawdę był taki nadzwyczajny, jak mówisz... — zaczęła Klara.

— Byłbym cudem, którym jestem — zaśmiał się.

Nastąpiła chwila ciszy, w której nienawidzili się wzajemnie, chociaż się uśmiechali.

— Miłość to pies na kupie siana — powiedział.

— A które z nas dwojga jest tym psem? — zapytała.

— Ach, oczywiście, że ty!

Tak więc rozpoczęła się pomiędzy nimi walka. Klara wiedziała, że nigdy nie miała go naprawdę i w pełni. Nad jakąś częścią, wielką i niezwykle w nim żywotną, nie udało jej się zapanować. Nigdy też do tego nie dążyła ani nawet nie usiłowała sobie zdać sprawy, co to właściwie było. On zaś odgadł w jakiś sposób, że Klara nadal uważa się za panią Dawes. Nie kochała Dawesa obecnie i zapewne nigdy go nie kochała, ale wierzyła, że on ją kochał, a w każdym razie czuł się od niej zależny. Myśląc o nim miała uczucie pewności, którego nigdy nie doznawała w stosunku do Pawła Morela. Namiętna miłość do tego młodego człowieka wypełniła całą jej duszę, dała jej pewną satysfakcję i w dużej mierze złagodziła jej nieufność wobec samej siebie oraz wyjaśniła wiele wątpliwości. Czymkolwiek była, uzyskała wewnętrzny spokój i pewność. Było to niemal tak, jak gdyby odzyskała samą siebie osiągając przez to wyraźną

i pełną osobowość. Życie udzieliło jej confirmacji. Ale ani przez chwilę nie myślała, że jej życie należy do Pawła Morela, a jego do niej. Rozstaną się w końcu i reszta jej dni upłynie w tęsknocie za nim. Ale w każdym razie była teraz świadoma i pewna samej siebie. I niemal to samo można było powiedzieć

o nim. Dostąpili razem chrztu życia i mieli to sobie wzajemnie do zawdzięczenia. Teraz życiowe posłannictwo zmuszało ich do pójścia odmiennymi drogami. Tam, gdzie on chciał pójść, ona nie mogła iść z nim razem. Będą musieli rozstać się prędzej czy później. Nawet gdyby się pobrali i byli sobie wierni, on musiałby ją opuścić i samotnie dążyć do celu, jej zaś pozostawałaby jedynie dbałość i troska o niego w domu. Ale to nie było możliwe. Każde z nich pragnęło towarzysza, który by szedł razem, krok w krok, przez życie.

Klara zamieszkała z matką w Mapperley Plains. Pewnego wieczoru, gdy szli we dwójkę z Pawłem wzdłuż Woodborough Road, spotkali Dawesa. Pawłowi mignęła podświadomie sylwetka zbliżającego się mężczyzny, ale był tak zatopiony w myślach, że tylko przelotnym spojrzeniem objął sylwetkę tego przechodnia. Zaraz potem obrócił się nagle do Klary i z uśmiechem położył jej rękę na ramieniu.

— Idziemy tu tak niby obok siebie, a tymczasem ja jestem w Londynie dyskutuję z wyimaginowanym panem Orpenem\*<sup>4</sup>! — zawołał. — A ty gdzie byłaś?

Właśnie w tej chwili minął ich Dawes, niemal potracając Pawła. Młody człowiek spojrzał na niego i zobaczył płonące ciemnobrązowe oczy, pełne nienawiści, a zarazem zmęczone.

— Kto to był? — zapytał Klarę.

— Baxter — odparła.

Paweł zdjął rękę z jej ramienia i rozejrzał się wkoło. Zobaczył wtedy sylwetkę kowala tak samo wyraźnie jak przed chwilą, gdy Dawes zbliżał się do niego. Baxter wciąż jeszcze trzymał się prosto i chodził z wyprostowanymi ramionami i głową uniesioną w górę. Ale jego oczy spoglądały ukradkiem, przez co odnosiło się wrażenie, że pragnąłby przemknąć się obok każdego spotkanego przechodnia nie zauważony, patrząc podejrzliwie spode łba, aby się przekonać, co tamten sobie o nim pomyślał. Jego ręce również poruszały się tak, jak gdyby chciały się ukryć. Miał na sobie stare, zniszczone ubranie, spodnie rozdarte na kolanie i brudną chustkę owiązaną niedbale wkoło szyi. Ale czapka wciśnięta była zawadiacko na bakier. Ujrzawszy go, Klara poczuła się winna. Widoczne na jego twarzy zmęczenie i desperacja wzbudziły w niej nagłą nienawiść, gdyż ją zabolowały.

— Wygląda bardzo nędznie — powiedział Paweł.

Nuta litości w jego głosie wzburzyła ją i twarz jej przybrała twarde, nieustępliwy wyraz.

— Cała jego pospolitość wychodzi teraz na jaw — rzekła.

— Czy ty go nienawdzisz? — zapytał Paweł.

— Dużo opowiadasz — odparła — o okrucieństwie kobiet. Chciałabym, abyś poznał okrucieństwo mężczyzn, w całej brutalności. Wydają się po prostu nie zauważać istnienia kobiety.

— Czy ja także? — zapytał.

<sup>4</sup> Sir William Orpen (1878—1931) — znany malarz irlandzki.



- Tak — odparła.
- Czy nie wiem, że ty istniejesz?
- O mnie nic nie wiesz — powiedziała gorzko. — Nic.
- Nie więcej, niż wiedział Baxter?
- Może nawet nie tyle.

Paweł poczuł się zaintrygowany, bezradny i zły. Szła u jego boku, nie znana mu, mimo że doznali razem tak wielkiego przeżycia.

- Ale ty znasz mnie dobrze? — zapytał.

Nie odpowiedziała.

- Czy Baxtera znałaś równie dobrze jak mnie? — zapytał znów.

- Nie chciał na to pozwolić — odparła.

- A czy ja ci się pozwoliłem poznać?

— Żaden mężczyzna nie chce do tego dopuścić. Nigdy nie pozwala kobiecie naprawdę zbliżyć się do siebie — powiedziała Klara.

- A ja też nie dałem ci się zbliżyć?

— Dałeś — odparła powoli. — Ale sam nigdy się do mnie nie zbliżyłeś. Nie umiesz się wyzwolić i wyjść poza siebie samego, zupełnie tego nie potrafisz. Baxter lepiej to od ciebie umiał.

Szedł dalej i rozmyślał nad jej słowami. Był na nią zły za to, że przyznała wyższość Baxterowi.

- Zaczynasz, widzę, cenić Baxtera teraz, kiedy go już nie masz — odezwał się.

- Nie. Tylko widzę pewne różnice między wami.

Ale on czuł, że miała do niego żal.

Pewnego wieczoru, kiedy wracali przez pola do domu, zaskoczyła go pytaniem:

— Czy uważasz, że to jest warte... Czy czujesz, że... myślę o seksualnej stronie zagadnienia.

- O akcie miłosnym, tak?

- Tak. Czy on dla ciebie ma jakąś wartość?

— Ależ jakże można w ogóle go oddzielać! — wykrzyknął. — Jest przecież kulminacją wszystkiego. Cała nasza bliskość i zażyłość właśnie w nim osiągają swój szczyt.

- Ze mną tak nie jest — odparła Klara.

Umilkł. Zapłonął do niej nagłą nienawiścią. A więc nie dał jej pełnego zadowolenia nawet pod tym względem, chociaż myślał, że oboje w pełni sobie odpowiadają. Okazuje się, że zbyt pochopnie wierzył jej tak bezgranicznie

- i bez żadnych zastrzeżeń.

— Czuję to tak — kończyła wolno — jak gdybym nie miała ciebie całego, jak gdybyś nie był przy mnie całym sobą i jak gdybym nie była tą, którą posiadasz...

- Ciekaw jestem, kto zatem?

— Nie kto, a raczej coś, dostępne tylko dla ciebie. Było to takie piękne, że nie śmiem o tym myśleć. Ale czy ty pragnąłeś mnie, czy tylko tego?

Paweł znów poczuł się winny. Czy istotnie pomijał Klarę? Czy pragnął posiadać jedynie kobietę? Ale pomyślał, że jest to zwykłym dzieleniem włosa na dwoje.

— Kiedy byłam z Baxterem, kiedy naprawdę go miałam, czułam, że go mam całego — powiedziała Klara.

- I to było lepsze?
- Tak. Tak. Bardziej pełne. Ale wcale nie chcę przez to powiedzieć, że nie dałeś mi więcej, aniżeli on mi dał kiedykolwiek.
- Albo mógł ci dać.
- Tak, zapewne. Ale ty nigdy nie oddałeś mi się cały, bez reszty.
- Ściągnął gniewnie brwi.
- Kiedy do ciebie przychodzę — powiedział wolno — staję się jak liść niesiony przez wiatr.
- I nie myślisz o mnie — rzekła.
- A wówczas to już nic dla ciebie nie znaczy... — szepnęła niemal odrętwiała ze zmartwienia.
- Ależ tak, znaczy. A czasem porywałeś mnie z sobą... całkowicie... pamiętam to... i jestem ci za to wdzięczna... ale...
- Daruj mi już to „ale” — powiedział całując ją pośpiesznie. Znow objął go płomień żądz.

Uległa jego prośbie i umilkła. Było to prawdą, co powiedział. Zawsze u progu miłostnego stosunku ogarniało go wzruszenie tak silne, że porywało z sobą wszystko — myśl, duszę, krew — potężnym nurtem, podobnie jak rzeka unosząca w sobie bezszelstnie podstępne wiry i gwałtowne, ukryte prądy. Stopniowo zatracał się w nim wszelki małostkowy krytycyzm i drobne wzruszenia, gubiła się również myśl i wszystko porywała z sobą potężna fala przyływu. Nie był wtedy myślącym człowiekiem, zamieniał się w ślepy, wszechmocny instynkt. Jego ręce stawały się żywymi stworzeniami. Jego ciało żyło samoistnie, nie poddając się jego woli i tętniąc własnym, odrębnym pulsem. W tym stanie, w którym się wówczas znajdował, nawet zimno świecące na niebie gwiazdy zdawały się tchnąć życiem. W nim i w nich pulsował ten sam płomienny nurt i ta sama radosna moc, za której przyczyną pąki paproci na jego oczach rozwijały się w liście, a jego ciało przeżyło się, giętkie i silne. Było to tak, jak gdyby jego, gwiazdy, trawę, zioła, kwiaty i Klarę zbliżał potężny ognisty jezor zmiatający wszystko z powierzchni ziemi, przed nimi i za nimi. Wszystko wokół niego wibrowało życiem. Wszystko było pogodne, spokojne i samo w sobie szczęśliwe — łącznie z nim. Ten cudowny spokój, rodzący się w każdym istnieniu porwanym najpłomienniejszą ekstazą życia, zdawał się być najwyższym, doskonałym szczęściem.

Klara wiedziała, że to ów potężny nurt pociąga go ku niej i sama również bezwolnie dawała się unosić żądzy. Niestety jednak często doznawała zawodu. Niezmiernie rzadko udawało się im już teraz osiągnąć szczytową rozkosz, jak owego razu, gdy w ich pobliżu nawoływały czajki. Coraz częściej mechaniczny wysiłek umniejszał radość miłosnego aktu lub gdy przychodziła chwila najwyższej rozkoszy, doznawali jej oddzielnie, nie osiągając wskutek tego pełni zadowolenia. Bardzo często jedynie on porwany był żądzą. Często zdawali sobie sprawę, że spotkał ich zawód i nie osiągnęli zaspokojenia. Czasem odchodził od niej wiedząc, że ten wieczór pozostawił po sobie jedynie przykrą rysę między nimi. Ich fizyczna miłość stawała się coraz bardziej mechaniczna i pozbawiona cudownego czaru płomiennej żądz. Stopniowo zaczęli próbować coraz nowych podniet, aby znow zaznać chociaż częściowego zaspokojenia.

Wybierali na przykład miejsce w pobliżu rzeki, a nawet niebezpiecznie blisko rzeki, tak iż czarny, wartki nurt toczył się niemal przy samej jego twarzy — i to dawało pewien dreszczyk. Albo chronili się w niewielkiej jamie, pod płotem ogradzającym podmiejską ścieżkę, którą od czasu do czasu przechodzili ludzie. Nasłuchiwali zbliżających się kroków, niemal czuli ich wibrację, i przysłuchiwali się temu, co mówili przechodnie — dziwnym, błahym strzępkom rozmowy, nie przeznaczonym dla niczyich uszu. Zawsze potem oboje czuli się zawstydzeni i te chwile dzieliły ich od siebie coraz bardziej; Paweł zaczął trochę gardzić Klarą, jak gdyby w istocie na to zasłużyła.

Pewnego wieczoru pożegnał się z nią wcześniej, chciał bowiem pójść polami do stacji w Daybrook. Było bardzo ciemno i zanosilo się, że zacznie padać śnieg, mimo że wiosna była już dość zaawansowana. Paweł nie miał wiele czasu, zanurzył się więc szybko w ciemności. Miasto urywało się niemal niespodziewanie na krawędzi stromego zbocza. Świecące żółtymi okienkami domki zdawały się być zawieszane w ciemności. Paweł przeszedł przez furtkę i zbiegłszy szybko w dół wydostał się na nisko leżące pola. Na farmie Swinehead jedno małe okno jarzyło się ciepło w ciemnościach sadu. Paweł rozejrzył się wkoło. Za nim czaiły się na samej krawędzi stromego zbocza czerwieniejące na tle nieba domy, niby dzikie bestie patrzące ciekawie żółtymi ślepiami w rozpościerającą się w dole ciemność. Było to jednak tylko dzikie i wrogie miasto, które pozostawiał za sobą, posepnie wpatrzone w chmury. Jakieś stworzenia poruszały się pod wierzbami rosnącymi nad stawem. Ale było zbyt ciemno, żeby cokolwiek rozróżnić.

Był już bardzo blisko następnej furtki, gdy zauważył ciemną sylwetkę opierającą się plecami o sztachety. Człowiek ów usunął się na bok.

- Dobry wieczór! — odezwał się.
- Dobry wieczór! — odparł Paweł nie przyglądając mu się.
- Paweł Morel? zapytał mężczyzna.

Dopiero wówczas Paweł zorientował się, że to był Dawes. Kowal zaszedł mu drogę.

- Mam cię, co? — powiedział zduszonym głosem.
- Nie chciałbym się spóźnić na pociąg — powiedział Paweł.

Nie mógł dostrzec twarzy Dawesa. Zauważył tylko, że szczekał zębami, gdy mówił.

- Teraz wreszcie ode mnie dostaniesz — powiedział Dawes.

Paweł chciał zrobić krok naprzód. Kowal zastąpił mu drogę.

- Zdejmujesz płaszcz? — zapytał. — Czy wolisz w nim nakryć się nogami, co?

Paweł wystraszył się, czy Dawes nie zwariował.

- Nie umiem się bić — powiedział.

— No, to w porządku — odparł kowal i zanim młody człowiek połapał się, co się z nim dzieje, zatoczył się gwałtownie w tył, oszołomiony strasznym ciosem w twarz.

Cały świat przemienił się w czarną noc. Paweł zerwał z siebie płaszcz i marynarkę, robiąc unik przed uderzeniem, i rzucił swe ubranie z rozmachem kowalowi na głowę. Dawes zaklął ordynarnie. Paweł, bez marynarki, w samej tylko koszuli, odzyskał swobodę ruchów i zręczność. Był wściekły. Czuł, że całe jego ciało pręży się do walki, jak szpony drapieżnego ptaka. Nie umie walczyć, będzie więc posługiwał się sprytem. Jego przeciwnik wystąpił z mroku i stał się wyraźniej widoczny. Paweł rozróżniał teraz jego sylwetkę, a szczególnie biały przód koszuli. Dawes potknął się o ubranie Pawła,

a potem ruszył naprzód. Usta młodego człowieka krwawiły. Umierał z żądy dorwania się do ust tego drugiego człowieka i pragnienie to było tak silne, że równało się niemal meče. Przebiegł szybko przez furtkę na drugą stronę płotu, a gdy Dawes mijał ją jak błyskawica w pogoni za nim, wymierzył mu potężny cios w usta. Dawes sunął teraz powoli naprzód, spluwając. Paweł przeraził się. Próbował półkolem dotrzeć znowu do furtki. Nagle, jak gdyby znikąd, spadło na jego ucho straszliwe uderzenie, po którym bezsilnie przewrócił się na plecy. Słyszał ciężkie sapanie Dawesa, niczym dzikiego zwierza, a potem przyszło kopnięcie w kolano, które przeszło go tak strasznym bólem, że porwał się z ziemi i oślepiiony skoczył przeciwnikowi do gardła. Czuł spadające na jego ciało ciosy i kopniaki, ale nie sprawiały mu bólu. Wisiał uczepony wyższego mężczyzny, jak dziki kot, aż w końcu Dawes, tracąc przytomność umysłu, upadł z łomotem na ziemię. Paweł upadł razem z nim. Wiedziony ślepym instynktem chwycił Dawesa dłońmi za szyję i zanim kował zamroczony szalem i bólem zdołał się wyswobodzić, pięści Pawła wplątały się w szalik, a ich kostki wgniotły się w szyję przeciwnika. Działał wiedziony ślepym instynktem, bez namysłu i zastanowienia. Jego ciało, naprężone i wspaniałe, przywarło do miotającego się ciała Dawesa. Ani jeden jego mięsień nie zluźnił napięcia. Był zupełnie nieprzytomny. Wiedział tylko jedno, że musi zabić tego drugiego człowieka. On sam nie czuł nic i nie myślał. Leżał przywarty z całych sił do przeciwnika, a jego ciało dostosowywało się do swego jedyne go celu — musi zadusić tamtego mężczyznę, odpierając we właściwym momencie i z właściwą siłą próby obrony Dawesa. Paweł walczył w milczeniu, napięty i nieubłagany, wciśkając stopniowo coraz głębiej kostki zaciśniętej pięści i czując, że miotanie się owego drugiego ciała staje się coraz bardziej dzikie i paniczne. Jego ciało prężyło się jak sru-  
ba stopniowo zwiększająca swój ucisk, aż coś pod nią pęknie.

Nagle Paweł zwolnił uścisk, zdumiony i przejęty obawą. Opór Dawesa słabł. Paweł czuł, jak ciało jego ogarnia płomień bólu, w miarę powracającej świadomości. Wysiłki Dawesa nagle wzmogły się w szaleńczym spazmie. Ręce Pawła puściły szal, w którym się oplątały, a on sam, odrzucony w bok, legł bezradnie. Słyszał przerażający odgłos sapania swego wroga, ale leżał ogłuszony. Potem, wciąż jeszcze oszołomiony, poczuł kopnięcie butów Dawesa i stracił przytomność.

Dawes, sapiąc z bólu jak rozjuszona zwierzę, kopał rozciągnięte na ziemi ciało rywala. Nagle dobiegł jego uszu przenikliwy gwizd pociągu. Obrócił się i patrzył podejrzliwie. Co się zbliżało? Zobaczył światła pociągu przecinające pobliskie pole. Zląkł się, że mogą nadejść ludzie. Rzucił się polem na przełaj w stronę Nottingham. Idąc wyczuwał instynktownie nogą miejsce, w którym jego but natrafił na jakąś kość w ciele chłopca. Uderzenie to zdawało się odbijać echem w jego mózgu. Biegł coraz prędzej, aby od tego uciec.

Paweł obudził się i stopniowo wracał do świadomości. Wiedział, gdzie jest i co zaszło, ale nie chciało mu się ruszyć. Leżał bez ruchu, a drobne płatki śniegu łaskotały mu twarz. Przyjemnie było leżeć spokojnie, zupełnie cicho. Czas mijał. Płatki śniegu budziły go, choć nie chciał się obudzić. W końcu znów zaczął działać mechanizm jego woli.

— Nie mogę tu leżeć — szepnął. — To głupota.  
Ale w dalszym ciągu nie poruszał się wcale.

— Mówiłem już, że trzeba wstać — powtórzył. — Czemu leżę?

Ale upłynęło jeszcze sporo czasu, zanim zdołał zebrać się na taki wysiłek, żeby się poruszyć. Potem stopniowo, powoli podniósł się z ziemi. Ból zamraczał i osłabiał go, ale myślał jasno. Zataczając się, namacał leżące na ziemi ubranie i włożył je, nasuwając kołnierz płaszcza wysoko na uszy. Dużo czasu zabrało mu odszukanie czapki. Nie wiedział, czy jego twarz jeszcze krwawi. Stąpając po omacku i przy każdym kroku słabnąc z bólu, wrócił się do stawu i umył w nim twarz i ręce. Lodowata woda piekła straszliwie, ale pomogła mu przyjść do siebie. Wpełzł na czworakach pod górę zdążając do pociągu. Chciał jak najprędzej dostać się do matki... musiał się do niej dostać... było to jego jedynym obłądnym pragnieniem. Zakrył twarz, jak tylko mógł, i włókł się drogą na pół żywy. Zdawało mu się ciągle, że ziemia zapada się przed nim i że ze strasznym zawrotem głowy spada gdzieś w dół. W ten sposób, niby w obłądnym koszmarze, przebył drogę do domu.

Wszyscy już spali. Obejrzał się w lustrze. Jego twarz była przeraźliwie blada i umazana krwią. Przypominała twarz trupa. Umył się i położył. Noc upłynęła w gorączkowym śnie. Rano uprzytomnił sobie, że matka patrzy na niego. Jej niebieskie oczy... ach! tylko je jedno chciał zobaczyć. Była tu. Znajdował się w jej rękach.

— To nic wielkiego, mamó — powiedział. — To Baxter.

— Powiedz mi, gdzie cię boli? — zapytała spokojnie.

— Sam nie wiem... chyba ramię. Mów wszystkim, że to wypadek rowerowy, mamó.

Nie mógł ruszyć ręką. Po chwili mała służąca Minnie przysłała na górę, niosąc mu herbatę.

— Pani Morel tak mnie przestraszyła, że mało nie postradałam zmysłów... Raptem zemdląłem — powiedziała Minnie.

Paweł czuł, że nie jest w stanie tego znieść ani zapomnieć. Matka pielęgnowała go. Opowiedział jej wszystko.

— A teraz na twoim miejscu skończyłabym z nimi na zawsze — powiedziała spokojnie.

— Zrobię to, mamó.

Otuliła go kołdrą.

— Nie myśl już o tym — powiedziała. — Staraj się tylko zasnąć. Doktor przyjdzie o jedenastej.

Paweł miał wybite ramię, a na drugi dzień wywiązał się ostry bronchit. Matka była teraz blada jak śmierć i bardzo chuda. Siedziała i patrzyła na niego, a potem przenosiła wzrok gdzieś daleko, w przestrzeń. Było między nimi coś, o czym żadne nie śmiało wspomnieć. Klara przysłała go odwiedzić. Powiedział potem matce:

— Ona mnie męczy, mamó.

— Tak. Wolalabym, żeby nie przychodziła — odparła pani Morel.

Któregoś z następnych dni przysłała Miriam, ale wydawała mu się prawie obca.

— One mnie nic nie obchodzą, wiesz, mamó? — powiedział później Paweł.

— Obawiam się, że tak jest rzeczywiście, synku — odparła smutno.

Wszystkim mówiono, że był to wypadek rowerowy. Paweł wkrótce mógł wrócić do pracy, ale był smutny, przybity i w głębi serca bez przerwy wszystko roz-

pamiętywał. Poszedł do Klary, ale będąc u niej miał takie uczucie, jak gdyby nikogo nie zastał. Nie mógł pracować. Oboje z matką zdawali się siebie unikać. Dzieliła ich jakaś tajemnica, której nie byli w stanie znieść. Paweł nie starał się jej dociec. Wiedział tylko, że jego życie utraciło równowagę, jak gdyby miało rozpaść się w kawałki.

Klara nie wiedziała, co się z nim dzieje. Zauważyła, że był jak gdyby nieświadomy jej istnienia. Nawet kiedy do niej przychodził, zdawał się nie dostrzegać jej obecności i błędził myślami gdzieś daleko. Czepiała się go kurczowo, a on wciąż się wymykał. Dręczyło ją to, zadreżczała więc jego. Przez cały miesiąc trzymała go z dala od siebie. Nienawidził jej właściwie, ale coś go do niej pociągało wbrew woli. Większość czasu spędzał teraz w męskim towarzystwie, przesiadując stale u George'a lub „Pod Białym Kogutem”. Jego matka była chora, daleka i spokojna. Snuła się po domu jak cień. Jej oczy wydawały się ciemniejsze, jej twarz stawała się coraz bardziej woskowa. Ale wciąż jeszcze zmuszała się do wykonywania swych obowiązków.

Paweł powiedział matce, że chce się wybrać w Zielone Świątki na cztery dni do Blackpool ze swoim przyjacielem Newtonem. Był to wielki, wesoły chłopak, trochę postrzelony. Paweł uważał, że matka powinna pojechać do Sheffield i spędzić tydzień z Anią, która tam mieszkała. Może ta zmiana dobrze jej zrobi. Pani Morel jeździła do Nottingham radzić się lekarza. Powiedział, że jej serce i przewód pokarmowy nie są w porządku. Zgodziła się pojechać do Sheffield, chociaż nie miała na to ochoty. Ale teraz gotowa była zrobić wszystko, o co poprosił ją syn. Paweł powiedział, że piątego dnia przyjedzie po nią do Sheffield i zostanie tam do końca świąt. W ten sposób wszystko zostało ustalone.

Dwaj młodzi ludzie z radością wybierali się do Blackpool. Pani Morel była ożywiona i niemal wesoła, gdy Paweł całował ją na pożegnanie. Zaledwie znalazł się na stacji, zapomniał o wszystkim. Cztery dni upłynęły niczym nie zmałowane. Ani cienia niepokoju, ani jednej przykrej myśli. Dwaj młodzi ludzie bawili się doskonale. Paweł stał się innym człowiekiem. Zapomniał o wszystkim — nie było Klary, Miriam ani matki, o którą stale się niepokoił. Napisał do nich wszystkich, a przede wszystkim do matki, długie listy. Ale były to wesołe listy, które ją rozśmieszyły. Spędzał przyjemnie czas na wszelkiego rodzaju rozrywkach, których młodzi ludzie mogą zaznać w takiej miejscowości jak Blackpool. Ale na dnie tego wszystkiego ciągle krył się nikły cień niepokoju o matkę.

Paweł cieszył się myślą o spotkaniu z matką w Sheffield. Newton miał spędzić ten dzień razem z nimi. Pociąg się spóźnił. Żartując i śmiejąc się, z fajkami w zębach, młodzi ludzie rzucili swoje torby podróżne na platformę tramwaju. Paweł kupił matce kołnierzyk z prawdziwej koronki i chciał ją jak najprędzej w nim zobaczyć, aby móc jej podokuczać na ten temat.

Ania mieszkała w ładnym domu i miała do pomocy młodą dziewczynę. Paweł biegł wesoło po schodach. Spodziewał się, że zobaczy matkę śmiejącą się do niego w przedpokoju, ale drzwi otworzyła mu Ania. Wydała mu się chłodna i daleka. Stał chwilę zawiedziony i niepewny, co robić. Ania pozwoliła mu pocałować się w policzek.

— Czy mama chora? — zapytał.

— Tak. Nie jest z nią dobrze. Staraj się jej nie męczyć.

— Leży w łóżku?

— Tak.

Nagle doznał dziwnego uczucia, jak gdyby opuściło go światło słoneczne i wszystko okryło się ciemnością. Upuścił torbę podróżną na podłogę i pobiegł na górę. Zawahał się chwilę i powoli otworzył drzwi. Matka siedziała w łóżku, w szlafroku koloru zwiędłej herbacianej róży. Spojrzała na niego błagalnie i niemal pokornie, jak gdyby jej było wstyd za samą siebie. Zauważył popielatą bladość jej twarzy.

— Mamo! — szepnął.

— Myślałam, że już nigdy nie przyjedziesz — odparła wesoło.

Ale on upadł na kolana przy jej łóżku i ukrył twarz w pościeli, płacząc z rozpacz.

— Mamo... mamo... mamo! — powtarzał.

— Nie płacz — powiedziała. — Nie płacz. To naprawdę nic wielkiego.

Ale jemu wydawało się, że jego łzy spływają krwią, i nie przestawał płakać przerażony i pełen bólu.

— Nie płacz... nie płacz już — szeptała matka.

Nadal wolno gładziła jego włosy. Na wpół przytomny po doznanym wstrząsie, szlochał rozpaczliwie, a każdy nerw jego ciała zwijał się w bólu. Nagle ucichł nie mając jednak odwagi oderwać twarzy od pościeli.

— Spóźniłeś się, synku. Gdzie byłeś? — spytała matka.

— Pociąg się spóźnił — odparł głosem stłumionym przez pościel.

— Tak. Ta nieszczęsna kolej! Czy Newton przyjechał z tobą?

— Tak.

— Jesteście pewno głodni? Obiad dawno już na was czeka.

Oderwał gwałtownie głowę i spojrzał na matkę.

— Co to jest, mamo? — zapytał brutalnie.

Odwróciła oczy.

— To tylko taki mały guzek, synku. Nie masz się co martwić. Siedzi tam już... takie zgrubienie... od dawna.

Umysł miał jasny i trzeźwy, ale jego ciało płakało.

— Gdzie? — zapytał.

Położyła rękę na boku.

— Tu. Ale przecież wiesz, że taki guz można usunąć.

Stał oszołomiony i bezradny jak dziecko. Pomyślał, że może rzeczywiście tak jest, jak mówiła matka. Tak. Starał się przekonać sam siebie, że tak jest naprawdę. Ale przez cały czas jego ciało i krew wiedziały z niezbitą pewnością,

o co tu chodzi. Usiadł na łóżku i ujął jej rękę. Nigdy, w całym swym życiu nie miała innego pierścionka... tylko tę swoją ślubną obrączkę.

— Kiedy się tak źle poczułaś? — zapytał.

— Zaczęło się wczoraj — odparła pokornie.

— Miałaś bóle?

— Tak. Ale niewiele gorsze, niż często miewałam w domu. Wydaje mi się, że doktor Ansell jest panikarzem.

— Nie powinnaś była sama jechać koleją — powiedział, bardziej do siebie niż do niej.

— A cóż to mogło mieć za związek z moją chorobą? — odparła szybko.

Milczeli przez chwilę.

— Idź teraz zjeść obiad — powiedziała. — Musisz być głodny.

— A ty już jadłaś?

— Tak. Dostałam pyszną rybę. Ania jest dla mnie bardzo dobra.

Porozmawiali jeszcze chwilę, a potem Paweł zszedł na dół. Był bardzo blady i wyczerpany. Newton siedział nieszczęśliwy, nie wiedząc, jak okazać swoje współczucie.

Po obiedzie Paweł poszedł do sionki pomóc Ani w zmywaniu naczyń. Jej mała służąca poszła po sprawunki.

— Czy to naprawdę jest guz? — zapytał.

Ania znów zaczęła płakać.

— Te bóle, które wczoraj miała... Nigdy nie widziałam, żeby ktoś cierpiał tak nie-ludzko! — szlochała. — Leonard pobiegł jak oszalały po doktora Ansella, a kiedy ją położyłam do łóżka, powiedziała mi: „Zobacz, Aniu, ten guz na moim boku. Ciekawa jestem, co to może być?” Spojrzałam wtedy i myślałam, że zemdleję. Mówię ci, jak mnie tu widzisz, to jest takie wielkie, jak moje dwie pięści razem wzięte. Powiedziałam: „Na litość boską, mam, skąd się to wzięło?” „Ach, dziecko — odparła — mam to już od dawna”. Myślałam, że umrę! Wierz mi, Pawle, że byłam tego bliska. Pomyśleć tylko, że miała te bóle w domu już od kilku miesięcy i nikt się nią nie zajął.

Łzy nabiegły mu do oczu, ale nagle wyschły.

— Jeździła przecież do doktora w Nottingham... i nic mi nigdy nie mówiła — powiedział.

— Gdybym ja była w domu — odparła Ania — sama bym to zauważyła.

Czuł się jak człowiek błądzący we śnie. Po południu wybrał się do doktora.

Był to mądry, przyjemny człowiek.

— Ale co to jest? — zapytał go Paweł.

Doktor spojrzał na młodego człowieka, a potem splótł palce obu dłoni.

— Może to być wielki tumor, który uformował się na błonie brzusznej — powiedział powoli — i który być może uda się nam rozpedzić.

— Czy można to zoperować? — zapytał Paweł.

— Nie w tym miejscu — odparł doktor.

— Jest pan tego pewien?

— Zupełnie pewien.

Paweł zastanawiał się przez chwilę.

— Czy jest pan pewien, że to tumor? — zapytał. — Dlaczego doktor Jameson z Nottingham wcale tego podczas badania nie zauważył? Matka jeździła do niego już od dobrych kilku tygodni, a on przepisywał jej lekarstwa na serce i na trawienie.

— Pani Morel nigdy doktorowi Jamesonowi o tym guzie nie wspomniała — odparł doktor.

— A czy pan ma zupełną pewność, że to tumor, a nie co innego?

— Nie. Nie jestem tego pewien.

— A co by to mogło być innego? Pytał się pan mojej siostry, czy ktoś w naszej rodzinie nie chorował na raka. Czy pan podejrzewa, że to może być rak?



— Nie wiem tego.  
— A co pan zamierza zrobić?  
— Bardzo bym chciał zbadać ją razem z doktorem Jamesonem.  
— Proszę więc to uczynić.  
— Musiałby to pan zaaranżować. Jego honorarium wyniesie na pewno najmniej dziesięć gwinei za przyjazd z Nottingham tutaj.  
— Kiedy pan sobie życzy, żeby tu przyjechał?  
— Będę u chorej dziś wieczorem i wtedy pomówimy o tym.  
Paweł opuścił gabinet doktora zagryzając usta.

Doktor pozwolił pani Morel schodzić na dół na podwieczorek. Paweł poszedł pomóc jej zejść. Miała na sobie różowy szlafrok ofiarowany niegdyś Ani przez Leonarda i, z lekko zaróżowioną twarzą, znów wydała się Pawłowi zupełnie młoda.

— Bardzo ładnie w tym wyglądasz, mamó — powiedział.  
— Tak. Tak mnie wystroili, że samej trudno mi się poznać — odparła pani Morel.  
Ale kiedy podniosła się, żeby zejść na dół, krew uciekła z jej policzków. Paweł pomagał jej iść, na wpeł ją niosąc. Na górze schodów zemdląła. Wziął ją na ręce i szybko zniósł na dół. Położył ją na kanapie. Była lekka i zdawała się bardzo wątła. Jej twarz z mocno zaciśniętymi, sinymi wargami wyglądała, jak gdyby już nie żyła. Otworzyła oczy... swoje niebieskie, niezawodne oczy... i spojrzała na Pawła błagalnie, niemal tak, jakby go chciała prosić o przebaczenie. Przysunął do jej warg kieliszek koniaku, ale jej usta pozostawały zamknięte. Cały czas patrzyła na niego z miłością. Martwiła się tylko o niego i żałowała go. Łzy spływały bez przerwy po jego twarzy, ale nie drgnął w niej ani jeden mięsień. Usiłował jej wlać odrobinę koniaku pomiędzy zaciśnięte wargi. Wkrótce udało jej się przełknąć łyżeczkę trunku. Wyciągnęła się potem na kanapie, tak ją to wyczerpało. Łzy spływały nadal po jego twarzy.

— Przecież to zejdzie — szepnęła z trudem. — Nie płacz.  
— To mimo woli — odparł.  
Po chwili znów poczuła się lepiej. Paweł klęczał obok niej, przy kanapie. Patrzyli sobie w oczy.

— Nie chcę, żebyś robił z tego powodu dużo zamętu — rzekła.  
— Nie, mamó. Musisz mieć tylko zupełny spokój, a wtedy szybko poczujesz się lepiej.

Ale miał zbielejące wargi i gdy na siebie spojrzeli, ich oczy zrozumiały się. Jej oczy były takie niebieskie... błękitne jak niezapominajki! Poczuli, że gdyby tylko były choć trochę innego koloru, łatwiej byłoby mu znieść to wszystko. Miał wrażenie, że serce powoli rozsada mu piersi. Klęczał przy niej trzymając jej rękę i żadne z nich nic nie mówiło. Potem weszła Ania.

— Czy dobrze się czujesz? — szepnęła do matki nieśmiało.  
— Oczywiście — odparła pani Morel.  
Paweł usiadł obok i opowiadał matce o Blackpool. Słuchała z zainteresowaniem.  
W parę dni potem wybrał się do doktora Jamesona do Nottingham, aby zaprosić go na konsylium. Praktycznie biorąc nie miał wcale pieniędzy. Ale mógł je pożyczyć.  
Matka jeździła zazwyczaj do doktora w sobotę rano, gdyż był to dzień ogólnych przyjęć, w którym doktor pobierał za poradę jedynie nominalną opłatę. Jej syn poje-

chał w tym samym dniu. Poczekalnia była pełna ubogo wyglądających kobiet, które siedziały cierpliwie na ławkach pod ścianami. Paweł wyobraził sobie matkę w jej czarnym kostiumiku, siedzącą tu i czekającą tak samo jak one. Doktor spóźniał się. Wszystkie kobiety wyglądały trochę wystraszone. Paweł poprosił dyżurną pielęgniarkę, żeby mógł zobaczyć się z doktorem natychmiast po jego przyjściu. Obiecała mu to. Kobiety, siedzące cierpliwie wkoło ścian poczekalni, przyglądały się młodemu człowiekowi z zaciekawieniem.

W końcu nadszedł doktor. Był to czterdziestoletni, przystojny mężczyzna o smagłej cerze. Umarła mu żona, którą bardzo kochał, i odtąd poświęcił się specjalnie dolegliwościom kobiecym. Paweł wymienił nazwisko swojej matki. Doktor nie mógł jej sobie przypomnieć.

— Numer czterdziesty szósty — powiedziała pielęgniarka i doktor odszukał tę pozycję w swojej księdze chorych.

— Ma wielki guz, który może się okazać złośliwy — powiedział Paweł. — Ale doktor Ansell miał napisać do pana w tej sprawie.

— A, tak! — odparł doktor wyciągając z kieszeni list. Był bardzo przyjacielski, zapracowany i ludzki. Obiecał przyjechać do Sheffield następnego dnia.

— Czym jest pański ojciec? — zapytał.

— Górnikiem — odparł.

— Nie bardzo mu się przelewa, prawda?

— To... to ja ponoszę koszty, panie doktorze — powiedział.

— A pan? — uśmiechnął się doktor.

— Jestem urzędnikiem w fabryce akcesoriów ortopedycznych Jordana.

Doktor uśmiechnął się do niego.

— No więc... za wyjazd do Sheffield? — powiedział składając czubki palców i uśmiechając się kącikami ust. — Osiem gwinei, dobrze?

— Dziękuję panu! — powiedział Paweł czerwieniąc się i wstając. — I będzie pan doktor jutro, czy tak?

— Jutro... w niedzielę? Tak! Czy może mi pan powiedzieć, o której odchodzi stąd jakiś popołudniowy pociąg?

— Odchodzi o czwartej piętnaście.

— A w jaki sposób będę mógł dostać się do was do domu? Czy trzeba będzie iść piechotą? — Doktor uśmiechnął się.

— Jest tramwaj — odparł Paweł. — Linia Western Park.

Doktor zapisał to sobie w notesie.

— Dziękuję! — powiedział i uściśnęli sobie na pożegnanie ręce.

Potem Paweł pojechał do domu, żeby zobaczyć się z ojcem, który został wyłącznie na opiece Minnie. Walter Morel bardzo ostatnio posiwiiał. Paweł zastał go w ogródku, kopiącego jakąś grządkę. Napisał do niego uprzednio list. Podali sobie na powitanie ręce.

— Jak się masz, synu! Wylądowałeś w domu nareszcie? — zapytał ojciec.

— Tak — odparł Paweł. — Ale wieczorem jadę z powrotem.

— Chyba jesteś pomyłony! — zawołał górnik. — A jadłeś już coś?

— Nie.

— To do ciebie podobne — powiedział Morel. — Chodźże do środka.

Ojciec bał się wspomnieć o żonie. Paweł jadł w milczeniu. Ojciec z czarnymi od ziemi rękami i podwiniętymi rękawami koszuli usiadł w fotelu naprzeciwko i patrzył na syna.

— No więc, jak się matka czuje? — zapytał górnik w końcu ściszym głosem.

— Może siadać. Można ją znosić na dół na podwieczorek — powiedział Paweł.

— No, chwała Bogu! — zawołał Morel. — Mam nadzieję, że w takim razie będziemy ją już tu prędko mieli. A co o niej mówił ten doktor z Nottingham?

— Ma przyjechać ją jutro zbadać.

— Naprawdę ma przyjechać? To będzie kosztowało ładny kawał grosza, coś mi się zdaje!

— Osiem gwinei.

— Osiem gwinei! — powtórzył górnik z zapartym tchem. — Ha, trudno! Będziemy to musieli skądś wytrzasnąć.

— Mogę sam to zapłacić — rzekł Paweł.

Przez chwilę trwało pomiędzy nimi milczenie.

— Matka mówiła, że spodziewa się, że sobie dobrze radzicie z Minnie powiedział Paweł.

— Tak. Wszystko u mnie w porządku i chciałbym, żeby u niej było tak samo — odparł Morel. — A Minnie to naprawdę dobre dziewczynisko, niech ją Bóg ma w swojej opiece. — Stary górnik wyglądał przygnębiony.

— Będę musiał wyjechać o pół do czwartej — powiedział Paweł.

— Ano, to nie lada studnia, mój synu. Osiem gwinei! A jak myślisz, kiedy będzie już wolno jej jechać tak daleko, żeby tu wróciła?

— Musimy poczekać, co jutro powiedzą doktorzy — rzekł Paweł.

Morel westchnął głęboko. Dom wydawał się dziwnie pusty i Paweł pomyślał, że ojciec wygląda opuszczony, zagubiony i stary.

— Powinieneś pojechać i odwiedzić ją w przyszłym tygodniu, ojcie — powiedział.

— Mam nadzieję, że do tego czasu już będzie w domu — odparł Morel.

— Ale jeżeli nie wróci — rzekł Paweł — powinieneś pojechać.

— Nie wiem, czy znajdę pieniądze — powiedział Morel.

— Napiszę ci, co powiedział doktor — obiecał Paweł.

— Ale ty piszesz w taki sposób, że nic z tego nie mogę wyczytać — poskarżył się Morel.

— Dobrze, będę pisał wyraźnie.

Nie miało sensu prosić Morela o odpowiedź, zaledwie bowiem umiał się podpisać.

Doktor przyjechał zgodnie z umową. Leonard uznał za swój obowiązek czekać na stacji z dorożką. Badanie nie trwało długo. Ania, Artur, Paweł i Leonard niespokojnie oczekiwali na wynik w saloniku. Po chwili doktorzy zeszli na dół. Paweł spojrział na nich. Właściwie od początku nie miał żadnej nadziei, poza krótkimi momentami, gdy usiłował sam siebie oszukać.

— To może być tumor. Musimy poczekać, aż się to wyjaśni — powiedział doktor Jameson.

— A jeśli by tak było — zapytała Ania — czy uda się go rozpędzić?

— Prawdopodobnie — odparł doktor.

Paweł położył osiem i pół funta na stole. Doktor przeliczył pieniądze, wyjął z portmonetki dwa szylingi i zwrócił je Pawłowi.

— Dziękuję panu — powiedział. — Ogromnie mi przykro, że pani Morel jest taka chora. Ale musimy poczekać, aby się upewnić, co będziemy mogli zrobić.

— Czy można by zrobić operację? — zapytał Paweł.

Doktor potrząsnął głową.

— Nie — powiedział. — A nawet gdyby była taka możliwość, serce by nie wytrzymało.

— Czy jej serce jest zagrożone? — zapytał Paweł.

— Tak. Trzeba być z nią bardzo ostrożnym.

— Poważnie zagrożone?

— Nie... hm!... nie, nie! Trzeba po prostu uważać.

Obaj doktorzy wyszli razem.

Paweł zniósł potem matkę na dół. Trzymał ją z łatwością na rękach jak dziecko. Ale na schodach objęła go za szyję i przywarła do niego mocno.

— Tak się boję tych paskudnych schodów — powiedziała.

On bał się także. Następnym razem będzie to musiał zrobić Leonard. Czuł, że nie jest w stanie nosić jej na rękę.

— Doktor sądzi, że to jest tylko tumor! — zawołała Ania na widok matki. — I uważa, że to można rozpedzić.

— Dawno to wiedziałam — oświadczyła pani Morel lekceważąco.

Udawała, że nie zauważyła, iż Paweł wyszedł z pokoju. Usiadł z papierosem w kuchni. Potem spróbował strząsnąć odrobinę popiołu ze swego ubrania. Spojrzał uważniej. Był to siwy włos matki. Jaki długi! Podniósł go w górę i włos poszybował do kominka. Pozwolił mu lecieć. Długi siwy włos spłynął w powietrzu i znikł w czarnej czeluści paleniska.

Następnego ranka Paweł poszedł ją pocałować przed wyruszeniem do pracy. Było bardzo wcześnie i byli zupełnie sami w pokoju.

— Nie będziesz się o mnie niepokoił, synku? — spytała.

— Nie, mamo.

— Pamiętaj. To byłoby niemądre. I uważaj na siebie.

— Dobrze — obiecał. A po chwili dorzucił: — Przyjadę w następną sobotę. Czy chcesz, żebym przywiózł ojca?

— Myślę, że chciałby przyjechać — odparła. — A w każdym razie, jeśli będzie miał taki zamiar, trzeba mu będzie na to pozwolić.

Pocałował ją znowu i odgarnął jej włosy ze skroni łagodnie i czule jak zakochany.

— Czy się nie spóźnisz? — szepnęła.

— Zaraz idę — odparł bardzo cicho.

Przesiedział jednak jeszcze chwilę, gładząc jej posiwiałe skronie.

— A ty nie będziesz się gorzej czuła, mamo?

— Nie, synku.

— Obiecujesz mi to?

— Tak, obiecuję. Na pewno nie będę się czuła gorzej.

Pocałował ją,trzymał przez chwilę w ramionach i szybko wyszedł. Biegąc wczesnym, słonecznym rankiem na stację, płakał przez całą drogę. Sam nie wiedział dlaczego. A jej niebieskie oczy otwierały się szeroko i stawały się zamyślane, gdy myślała o nim.

Po południu poszedł na spacer z Klarą: Usiedli w niewielkim lasku, gdzie rosły dzikie hiacynty. Wziął ją za rękę.

— Zobaczysz — powiedział — że matka nie wyzdrowieje.

— Ach, skąd możesz to wiedzieć! — wykrzyknęła Klara.

— Wiem o tym.

Przytuliła go impulsywnie do piersi.

— Staraj się o tym nie myśleć, kochany — powiedziała. — Staraj się zapomnieć.

Ciepło jej piersi kołło go, tuliła go do siebie i głaskała po włosach. Przynosiło mu to ulgę i otoczył ją ramionami, ale nie mógł zapomnieć. Rozmawiał z Klarą o byle czym. I tak było zawsze. Kiedy czuła, że taka chwila wraca, że znowu zaczyna się jego męka, wołała:

— Nie myśl o tym, Pawle! Nie myśl o tym, kochany!

Tuliła go do siebie, kołysała i pocieszała jak dziecko. Wówczas, przez wzgląd na nią, odsuwał od siebie swój smutek, aby natychmiast wrócić znów do niego, zaledwie odeszła i został sam. Chodząc i spełniając różne czynności, płakał przez cały czas mimo woli, jak gdyby mechanicznie. Jego umysł i ręce pracowały. Płakał sam nie wiedząc czemu. Wydawało się, że płacze w nim krew. Czuł się równie osamotniony, kiedy przebywał z Klarą, jak w towarzystwie przyjaciół „Pod Białym Koniem”. Tylko on sam i ów ucisk w sercu

— jedynie to zdawało się istnieć naprawdę.

W sobotę Walter Morel pojechał do Sheffield. Wyglądał smutny i opuszczony, jak gdyby nie miał nikogo bliskiego na świecie. Paweł pobiegł na górę.

— Ojciec przyjechał — powiedział całując matkę.

— Naprawdę? — zapytała znużonym głosem.

Stary górnik wszedł do sypialni. Wydawał się zalekniony.

— No, jak się tam czujesz, kochasiu? — powiedział zbliżając się do niej i całując ją pośpiesznie i nieśmiało.

— Tak sobie. Średnio — odparła.

— Właśnie to widzę — powiedział. Stał patrząc na nią. Potem otarł oczy chustką. Wyglądał bezradny i opuszczony przez wszystkich.

— Jak tam sobie radzicie w domu? — zapytała żona zmęczonym głosem, jak gdyby rozmowa z nim była dla niej wysiłkiem.

— Jakoś idzie — odparł. — Minnie czasem spóźnia się trochę z robotą, jak się tego można było spodziewać.

— Czy zdąża na czas z twoim obiadem? — zapytała pani Morel.

— Na ogół tak, ale musiałem ją raz czy dwa skrzyć — powiedział górnik.

— I powinienesz zawsze to zrobić, jak obiad nie będzie w porę. Lubi zostawiać wszystko na ostatnią chwilę.

Dała mężowi jeszcze kilka wskazówek i poleceń. Siedział patrząc na nią tak, jak gdyby była osobą niemal zupełnie mu obcą, przy której czuł się onieśmielony i upoko-

rzony. Zdawało się, że stracił przytomność umysłu i chciałby uciec. Właśnie to jego pragnienie ucieczki oraz świadomość, że siedzi jak na szpilkach, czekając tylko sposobnej chwili, by wyrwać się z tej niemiłej sytuacji, i zwleka jedynie jeszcze trochę, bo tak wypada — czyniły jego obecność tak męczącą. Z nieszczęśliwą miną unosił wysoko brwi i zaciskał złożone na kolanach pięści, czując się zagubiony i nieporadny w obliczu tak wielkiej troski.

W zdrowiu pani Morel nie nastąpiły większe zmiany. Pozostała w Sheffield jeszcze przez dwa miesiące. Pod koniec pobytu czuła się być może nawet trochę gorzej. Ale chciała już wracać do domu. Ania miała małe dzieci, którymi musiała się zajmować. Pani Morel chciała wrócić do siebie, do domu. Wynajęli więc z Nottingham samochód (była zbyt słaba, by mogła jechać pociągiem) i przewieźli ją do domu w piękny, słoneczny dzień. Był właśnie sierpień. Na świecie było ciepło i wesoło. W blasku odkrytego, błękitnego nieba wszyscy musieli spostrzec, że zbliża się do niej śmierć. Ona jednak dawno już nie była taka wesoła, jak tego dnia. śmieli się więc i rozmawiali.

— Aniu! — zawołała. — Widziałam jaszczurkę... o, tam! Na tamtym kamieniu!

Jej oczy były tak niezwykle spostrzegawcze. Wciąż jeszcze była pełna życia.

Morel wiedział, że żona ma przyjechać. Otworzył frontowe drzwi. Wszyscy byli poruszeni. Połowa ulicy wyległa przed dom. Z daleka usłyszeli głośnie warczenie samochodu. Pani Morel, uśmiechnięta, jechała długą ulicą do swego domu.

— Popatrzcie tylko, przecież oni wszyscy wyszli mnie zobaczyć! — mówiła. — Ale muszę przyznać, że pewno sama bym zrobiła to samo. Dzień dobry, pani Mathews! Jak się pani ma, pani Harrison!

Żadna z kobiet nie mogła jej usłyszeć, ale widziały, jak się uśmiechała i kiwała im ręką. Wszystkie za to dostrzegły na jej twarzy zbliżającą się śmierć, jak potem mówiły. Było to wielkim wydarzeniem dla całej ulicy.

Morel chciał sam wnieść żonę do domu, ale był na to za stary. Artur wziął ją na rękę jak małe dziecko. Przygotowali dla niej wielki, głęboki fotel obok kominka, w miejscu, gdzie stał zwykle jej fotel na biegunach. Kiedy ją rozebrano i posadzono, wypła troszkę koniaku i rozejrzała się wkoło.

— Nie myśl, Aniu, że mi było źle u ciebie — powiedziała — ale przyjemnie mi, że wróciłam do własnego domu.

I Morel powiedział ochryplym głosem:

— Tak, kochasiu, tak.

A Minnie, mała zabawna służąca, zawołała:

— I my się cieszymy, że pani do nas wróciła!

W ogródku żółtą chmurą pięknie kwitły słoneczniki.

Pani Morel spojrzała przez okno.

— O, moje słoneczniki — powiedziała.

## ROZSTANIE

— Ach, prawda — powiedział doktor Ansell pewnego wieczoru, kiedy Paweł był w Sheffield — mamy tu u nas w zakaźnym szpitalu chorego, który pochodzi z Nottingham... niejakiego Dawesa. Nie zdaje się mieć wiele życzliwych osób na tym świecie.

— Baxter Dawes! — wykrzyknął Paweł.

— O, właśnie ten sam... Musiał być kiedyś pięknym mężczyzną... tak mi się przynajmniej wydaje. Ostatnio trochę podupadł. Czy pan go zna?

— Pracował kiedyś w tej samej firmie co ja.

— Naprawdę? Czy pan wie o nim coś bliższego? Trapi się czymś, bo gdyby nie to, już dawno miałyby się dużo lepiej.

— Nie wiem nic o jego stosunkach rodzinnych, poza tym, że rozszedł się z żoną, i wydaje mi się, że przechodził ciężki okres w życiu. Ale proszę wspomnieć mu o mnie, dobrze? Proszę mu powiedzieć, że go odwiedzę.

Kiedy następnym razem spotkał lekarza, zapytał go:

— Jak tam z Dawesem?

— Zapytałem go — odparł doktor — „Czy zna pan z Nottingham niejakiego Morela?”, a on spojrzał na mnie tak, jak gdyby chciał mi skoczyć do gardła. Powiedziałem więc: „Widzę, że zna pan to nazwisko. To jest Paweł Morel”. A potem powiedziałem mu jeszcze, że chce go pan odwiedzić. „Czego on ode mnie chce?”, zapytał, zupełnie tak, jak gdyby pan był policjantem.

— A czy zgodził się, żebym przyszedł? — zapytał Paweł.

— W ogóle nic nie odpowiedział... ani słowa — odparł doktor.

— Dlaczego?

— To jest właśnie to, co chciałbym wiedzieć. Leży w łóżku posepny dniem i nocą. Nie można z niego wydobyć ani słowa informacji.

— Czy myśli pan, że mogę do niego pójść?

— Niewątpliwie.

Między obu rywalizującymi mężczyznami utrzymywało się owo uczucie wspólnoty, które od czasu bójki stało się silniejsze niż kiedykolwiek. Morel czuł się niejako winny wobec tego drugiego i w mniejszym lub większym stopniu wobec niego odpowiedzialny. W obecnym zaś swoim stanie ducha czuł nieomal bolesną bliskość z Dawesem, który też cierpiał i rozpaczał. Poza tym spotkali się kiedyś w najwyższym, odartym z wszelkich osłonek napięciu nienawiści i to było również więzią. Żyjący w każdym z nich utajony pierwotny mężczyzna spotkał się z tym drugim w walce.

Paweł udał się z biletem doktora Ansell'a do szpitala dla chorych zakaźnie. Pielęgniarka, młoda i zdrowa Irlandka, zaprowadziła go na oddział.

— Przyszedł do pana gość, panie Wrona — powiedziała.

Dawes obrócił się gwałtownie na łóżku i chrząknął niespokojnie.

— He?

— Kra, kra! — przedrzeźniała go pielęgniarka. — On nie umie nic innego, tylko

kracze i kracze. Przyprowadziłam jednego pana, panie Dawes, który przyszedł pana odwiedzić. Niech pan teraz powie ładnie „dziękuję” i okaże jakie takie wychowanie.

Dawes spojrział szybko ciemnymi, niespokojnymi oczami na stojącego za plecami siostry Pawła. Wzrok jego był pełen obawy, nieufności, nienawiści i rozpacz. Paweł spotkał spojrzenie tych niespokojnych, ciemnych oczu i zawahał się. Obaj lękali się owej prymitywnej bestii, która wówczas objawiła się w każdym z nich.

— Doktor Ansell powiedział mi, że jest pan tutaj — rzekł Paweł wyciągając rękę.

Dawes mechanicznie podał mu swoją.

— Pomyślałem więc sobie, że pana odwiedzę — ciągnął dalej Paweł.

Dawes nie odpowiadał. Leżał patrząc nieruchomo na przeciwległą ścianę.

— Niech pan zakracze: „kra! kra!” — drwiła pielęgniarka. — Panie Wrona, słyszy pan, co mówię? Niech pan powie: „kra!”

— Jak on się czuje? — zapytał ją Paweł.

— Zupełnie dobrze. Leży tu i wyobraża sobie, że umrze — odparła pielęgniarka — i ten strach dusi mu każde słowo na ustach.

— A pani koniecznie musi mieć kogoś, z kim by mogła rozmawiać, co? — zaśmiał się Paweł.

— A żeby pan wiedział! — potwierdziła pielęgniarka. — Leży tu tylko dwóch starych mężczyzn i mały chłopak, który ciągle płacze. Diabli mogą człowieka wziąć! Umieram wprost z chęci usłyszenia głosu pana Wrony, a on nic, tylko od czasu do czasu zakracze: „kra! kra!”

— Ciężki jest pani los! — powiedział Paweł.

— Oj, prawda! — odparła pielęgniarka.

— Wydaje mi się, że jestem tu zesłany przez bogów — zaśmiał się.

— Och! Spadł pan wprost z nieba! — odwzajemniła mu się pielęgniarka.

Potem wyszła z pokoju, zostawiając ich samych. Dawes zeszczuplał i stał się przy- stojny jak dawniej, ale wyglądał, jak gdyby brakowało mu chęci do życia. Zgodnie z tym, co mówił doktor, gryzł się i dręczył, nie chcąc uczynić ani kroku w kierunku wy- zdrowienia. Wydawało się, że każde uderzenie serca budzi w nim tylko urazę i nie- chęć.

— Czy bardzo źle się panu powodziło? — zapytał Paweł.

Nagle Dawes spojrział na niego.

— Co pan tu robi, w Sheffield? — zapytał.

— Moja matka zachorowała w domu mojej siostry, na Thurston Street A co pan robi w szpitalu?

Nie było odpowiedzi.

— Od jak dawna jest pan tutaj? — zapytał Morel.

— Nie umiem tego dokładnie powiedzieć — odparł Dawes niechętnie.

Leżał z wzrokiem utkwionym w przeciwległej ścianie, jak gdyby usiłując wmówić w siebie, że Morela nie ma obok niego. Paweł czuł, jak w jego sercu wzbiera gniew i zawziętość.

— Doktor Ansell powiedział mi, że pan tu jest — rzekł chłodno.

Dawes nadal milczał.

— Tyfus to ciężka choroba — nie ustępował Paweł.



Nagle Dawes przemówił.

— Po co pan tu przyszedł?

— Bo doktor Ansell powiedział, że nie ma pan tu nikogo znajomego. Czy to się zgadza?

— Nie znam nigdzie nikogo — odparł Dawes.

— No cóż — odparł Paweł — to pewnie dlatego, że nie chce pan mieć znajomych.

Znów zapadło milczenie.

— Zabierzemy matkę do domu, jak tylko będzie można — mówił Paweł.

— Co jej jest? — zapytał Dawes z typowym zainteresowaniem chorego dla wszystkich chorób.

— Ma raka.

Znów milczeli przez pewien czas.

— Ale chcemy ją zabrać do domu — powiedział Paweł. — Będziemy musieli wy-  
starać się o jakiś samochód.

Dawes namyślał się przez chwilę.

— Dlaczego nie poprosi pan Tomasza Jordana, żeby panu pożyczył swój? — po-  
wiedział w końcu.

— Nie jest dostatecznie duży — odparł Paweł.

Dawes mrugał ciemnymi oczami, rozmyślając.

— Wobec tego niech pan poprosi Jacka Pilkingtone'a. Na pewno panu pożyczy.  
Przecież go pan zna.

— Myślę, że chyba wynajmę jakiś samochód — powiedział Paweł.

— Będzie pan wariatem, jeśli pan to zrobi — obruszył się Dawes.

Chory kowal miał wymizerowaną twarz i znów wyglądał przystojnie. Pawłowi zro-  
biło się go żal, gdyż jego oczy wyglądały tak bardzo zmęczone.

— Czy dostał pan tu pracę? — zapytał.

— Byłem tu zaledwie dwa dni, zanim zachorowałem — odparł Dawes.

— Powinien pan pojechać do sanatorium dla rekonwalescentów — rzekł Paweł.

Twarz Dawesa znów spochmumiała.

— Nie pojedę do żadnego sanatorium — powiedział.

— Mój ojciec był kiedyś w takim zakładzie w Seathorp i bardzo sobie chwalił. Dok-  
tor Ansell mógłby panu dać skierowanie.

Dawes leżał i nad czymś rozmyślał. Było widoczne, że nie śmie znów stanąć twarzą  
w twarz z życiem.

— W tej porze roku byłoby nad morzem bardzo przyjemnie — powiedział Morel. —  
Słońce na wydmach i fale tak blisko.

Dawes nie odpowiedział.

— Mój Boże! — zakończył Paweł, nazbyt zgnębiony, by dbać o pozory. — Wszyst-  
ko jest drobiazgiem, kiedy się na pewno wie, że znów będzie się chodzić i pływać.

Dawes spojrzał na niego szybko. Jego ciemne oczy były zbyt przerażone, aby móc  
spojrzeć w czyjekolwiek oczy na świecie. Ale prawdziwe, nie udawane cierpienie i  
bezzadność, jaka zadźwięczała w głosie Pawła, przyniosły mu ulgę.

— Czy bardzo z nią źle? — zapytał.

— Zrobiła się przezroczyta jak wosk — odpowiedział Paweł. — Ale wciąż jest we-

soła i żywa.

Przygryzł wargi. Po chwili wstał.

— Pójdę już — powiedział. — Zostawiam tu panu pół korony.

— Nie chcę tych pieniędzy — mruknął Dawes.

Morel nie odpowiedział, ale zostawił monetę na stole.

— Postaram się jeszcze wpaść, jak będę w Sheffield. Może chciałby pan, żeby pana odwiedził mój szwagier. Pracuje w Pyecrofts.

— Nie znam go — rzekł Dawes.

— To zupełnie miły chłopak. Czy powiedziec mu, żeby przyszedł? Mógłby przynieść gazety do przeglądania.

Dawes nie odpowiedział. I Paweł wyszedł. Tłumione dotąd silne wzruszenie, jakie w nim wzbudził widok Dawesa, wybuchło teraz tak silnie, że drżał cały.

Nie wspomniał o tym matce, ale następnego dnia powiedział Klarze o swojej bytności i rozmowie w szpitalu. Zrobił to w czasie przerwy obiadowej. Rzadko kiedy wychodzili teraz razem, ale tego dnia poprosił ją, żeby poszła z nim do ogrodu zamkowego. Usiedli tam, a dokoła kwitło w słońcu szkarłatne geranium i żółciły się lwie paszce. Klara odnosiła się teraz do niego opiekuńczo i jak gdyby z odrobiną żalu.

— Czy słyszałaś o tym, że Baxter leży w szpitalu w Sheffield? Chorował na tyfus — powiedział.

Spojrzała na niego wystraszonymi, szarymi oczami i twarz jej zbladła.

— Nie — odparła.

— Ma się już lepiej. Byłem u niego wczoraj... doktor mi powiedział.

Klara zdawała się porażona tą wiadomością.

— Czy jest z nim bardzo źle? — zapytała czując się winna.

— Było źle. Teraz ma się już lepiej.

— Co ci mówił?

— Och, nic! Zdaje się bardzo przybity.

Czuli się sobie w tej chwili dalecy. Paweł udzielił jej dalszych informacji.

Chodziła odtąd zamknięta w sobie i milcząca. Kiedy znów poszli razem na spacer, uwolniła się od jego ramienia i szła w pewnej odległości. Tymczasem on bardzo potrzebował jej pociechy.

— Czy nie chcesz być dla mnie miła? — zapytał.

Nie odpowiedziała.

— O co ci chodzi? — powiedział obejmując ją ramieniem.

— Daj spokój! — szepnęła oswobadzając się od niego.

Cofnął rękę i powrócił do swych myśli.

— Czy to choroba Baxtera tak cię wyprowadza z równowagi? — zapytał ją w końcu.

— Byłam rzeczywiście podła dla niego! — wybuchnęła Klara.

— Mówiłem ci tyle razy, że nie traktowałaś go dobrze — odparł.

Wytworzyła się między nimi wrogość. Każde z nich zdążyło za szlakiem własnych myśli.

— Traktowałam go... tak, masz rację... traktowałam go źle — powiedziała. — A teraz ty mnie źle traktujesz. Słusznie mnie to spotyka.

— Ja cię źle traktuję? — zapytał.

— Słusznie mnie to spotyka — powtórzyła. — Nigdy go sobie nie ceniłam, teraz ty mnie nie cenisz. Ale to mi się należy. Kochał mnie tysiąc razy więcej niż ty kiedykolwiek.

— Nic podobnego! — zaprotestował Paweł.

— Właśnie że tak! W każdym razie szanował mnie, a ty nigdy się ze mną nie liczyłeś.

— Nie bardzo ci jakoś ten szacunek okazywał! — odparł Paweł.

— Tak jest, szanował mnie! I to ja sprawiłam, że potem zrobił się okropny... wiem, że to była moja wina. Sam mi to uświadomiłeś. A on kochał mnie tysiąc razy więcej niż ty kiedykolwiek.

— Och, dobrze! — powiedział Paweł.

Pragnął teraz tylko jak najprędzej zostać sam. Miał własne zmartwienia, zbyt ciężkie, aby je mógł podźwignąć. Klara dręczyła go tylko i doprowadzała jedynie do tego, że czuł się przeraźliwie zmęczony. Pożegnał się z nią bez przykrości.

Klara przy pierwszej sposobności pojechała do Sheffield zobaczyć się z mężem. Ich spotkanie nie było udane. Ale zostawiła mu róże, owoce i pieniądze. Chciała okupić swe winy. Nie dlatego, aby go kochała. Gdy patrzyła na niego, leżącego na szpitalnym łóżku, serca jej nie rozgrzała miłość. Chciała tylko upokorzyć się przed nim, uklęknąć przed nim. Pragnęła teraz poświęcić się w ofierze. Pomimo wszystko nie udało jej się doprowadzić Pawła Morela do tego, aby ją naprawdę pokochał. Czuła się w duchu przerażona. Chciała odpokutować za swe grzechy. Uklękła więc przed Dawesem, a jemu sprawiło to pewną przyjemność. Ale dystans pomiędzy nimi był wciąż jeszcze bardzo duży — zbyt duży. Przerazało to mężczyznę. I niemal dogadzało kobiecie. Uczucie, że oddaje mu przysługi z jakiejś niedosiężnej odległości, sprawiło jej przyjemność. Stała się teraz dumna.

Paweł odwiedził Dawesa parę razy. Między dwoma mężczyznami, którzy dotychczas byli śmiertelnymi wrogami i rywalami, nawiązała się teraz pewnego rodzaju przyjaźń. Nigdy jednak nie padło imię kobiety, która stanęła między nimi.

Pani Morel czuła się coraz gorzej. Z początku zносили ją codziennie na dół, czasem nawet do ogródka. Siedziała wyprostowana w swoim fotelu, uśmiechnięta i taka ładna! Na jej białej ręce błyszczała złota ślubna obrączka. Włosy miała starannie uczesane. Patrzyła na wędnące wielkie tarcze słoneczników i na zaczynające kwitnąć chryzantemy i dalie.

Obawiali się siebie wzajemnie z Pawłem. On wiedział i ona wiedziała, że umiera. Ale starali się utrzymać pozory beztroskiej wesołości. Codziennie rano, zaraz po obudzeniu, szedł do jej pokoju w piżamie.

— Czy spałaś dziś, kochanie? — pytał.

— Tak — mówiła.

— Ale nie bardzo dobrze?

— Zupełnie dobrze!

Wiedział wtedy, że przeleżała noc bezsennie. Widział, jak jej okryta pod kołdrą ręka przyciska bolesne miejsce na boku.

— Czy bardzo cię boli? — pytał.

— Nie. Pobolewa trochę, ale nie warto o tym mówić.

I pociągała nosem w swój dawny, lekceważący sposób. Kiedy leżała w łóżku, wyglądała jak młoda dziewczyna. Jej niebieskie oczy patrzyły na niego bez przerwy. Ale otaczały je ciemne kręgi bólu, które napawały go cierpieniem.

— Ranek jest dziś słoneczny — mówił.

— Śliczny.

— Czy chcesz, żeby cię znieść na dół?

— Nie wiem jeszcze.

Schodził na dół po śniadanie dla niej. Przez cały dzień jedynie myśl o niej przenikała do jego świadomości. Był to stały, uporczywy ból, który doprowadzał go do gorączkowego stanu. Kiedy wczesnym wieczorem wracał do domu, zaglądał do kuchni przez okno. Nie było jej tam. A więc nie wstała.

Biegł prosto na górę i całował ją. Bał się niemal zapytać:

— Nie wstawiałaś dziś, ptaszynko?

— Nie — mówiła. — To ta morfina. Jestem po niej zmęczona.

— Myślę, że doktor za dużo ci jej daje.

— Ja też tak myślę.

Siadał przy jej łóżku, nieszczęśliwy. Miała zwyczaj zwijać się w kłębuszek i kłaść na boku, jak dziecko. Siwe i ciemne pasma włosów opadały jej na twarz i ucho.

— Czy cię to nie łaskocze? — pytał delikatnie odgarniając je do tyłu.

— Trochę — odparła.

Jego twarz była blisko jej twarzy. Jej niebieskie oczy patrzyły wprost w jego oczy jak oczy młodej dziewczyny — ciepłe, roześmiane i kochające. Tracił wówczas oddech z przerażenia, bólu i miłości do niej.

— Powinnaś sobie teraz zaplatać warkocze — powiedział. — Leż spokojnie.

Stanął za nią z tyłu i ostrożnie rozplótł i wyszczotkował jej włosy. Lśniły jak długie pasma jedwabnej przędzy, ciemne i srebrne. Jej głowa była wtulona w ramiona. Delikatnie szczotkując i zaplatając jej włosy zagryzał usta z bólu i czuł zawrót głowy. Wszystko to wydawało się nierealne, nie mógł tego pojąć.

Często do późna wieczór malował u niej w pokoju, spoglądając na nią od czasu do czasu. Prawie zawsze spotykał się z jej niebieskimi, utkwionymi w nim oczami. Uśmiechała się do niego. Pracował dalej mechanicznie i tworzył rzeczy dobre i wartościowe, nie zdając sobie sprawy z tego, co robił.

Czasem przychodził do niej blady i cichy, z czujnymi, rozbieganymi oczami człowieka niemal kompletnie pijanego. Bali się oboje dzielącej ich zasłony, która teraz zaczęła się odchylać.

Matka udawała wówczas, że czuje się lepiej, gawędziła z nim wesoło, udawała, że ogromnie ją cieszą jakieś głupstewka i strzępki wiadomości. Doszli bowiem teraz oboje do takiego stanu, że musieli wyolbrzymiać drobiazgi, aby nie poddać się tej jednej wielkiej myśli i nie postradać swojej ludzkiej niezależności i godności. Bali się, traktowali więc wszystko powierzchownie i byli weseli.

Czasem patrząc na nią wiedział, że myśli o przeszłości. Jej usta zacinały się stopniowo w mocną, twardą linię. Starła się być surowa i mężna, aby przy śmierci nie wydarł się jej na usta ów wielki, straszny jęk, który teraz się na nie wrywał. Nie mógł

nigdy zapomnieć tego jej mocnego, nieskończenie smutnego i uporczywego zacinań warg, które trwało przez wiele długich tygodni. Czasem, gdy mniej cierpiała, mówiła o swoim mężu. Nienawidziła go teraz. Nie przebaczyła mu. Nie mogła znieść jego obecności w pokoju. Kilka momentów, najcięższych w jej życiu, odnowiło się teraz w jej pamięci z taką mocą, że wydarzyły się spod jej kontroli, i opowiedziała o nich synowi.

Paweł czuł, że jego życie wali się zdruzgotane i odrąbywane systematycznie, kawałek po kawałku. Często nagle wybuchał łzami. Biegł na stację, a łzy kapły na płyty chodnika. Prawie nie mógł pracować. Pióro nagle przestawało pisać. Siedział wpatrzony gdzieś przed siebie, całkowicie nieprzytomny. Kiedy zaś wracała świadomość, czuł się chory i drżały mu ręce i nogi. Nie zastanawiał się nigdy nad tym. Jego umysł nie próbował analizować ani dociekać prawdy. Poddawał się po prostu, z zamkniętymi oczami. Niech się dzieje, co chce, bez jego udziału.

Jego matka postępowała tak samo. Myślała o swoich bólach, o morfinie, o następnym dniu, ale prawie nigdy o śmierci. Wiedziała, że się zbliża. Będzie się jej musiała poddać. Ale nie wychodziła jej naprzeciw i nie witała przyjaźnie. Z niewidzącymi oczyma, z twarzą ślepą i zaciętą, dawała popychać się powoli ku drzwiom. Mijały dni, tygodnie, miesiące.

Czasem, w słoneczne popołudnia, czuła się niemal szczęśliwa.

— Staram się myśleć o przyjemnych chwilach... jak jeździliśmy do Mablethorpe, do Zatoki Robin Hooda i do Shanklin — mówiła. — Ostatecznie nie każdy widział wszystkie te piękne miejscowości. I czy to nie było wspaniałe? Staram się myśleć o tym, a nie o tych innych złych chwilach.

Potem znów czasem przez cały wieczór nie odzywała się ani słowem. Paweł również nic nie mówił. Byli z sobą razem — zacięci, uparci i milczący. Szedł w końcu do swojego pokoju położyć się spać i opierał się o futrynę drzwi, sparaliżowany nagle i niezdolny zrobić ani kroku więcej. Tracił przytomność umysłu. Gwałtowna burza, obca mu i nieznana, zdawała się szaleć w jego duszy. Stał oparty o drzwi i poddawał się biernie, nie stawiając nigdy żadnych pytań.

Rano znów zachowywali się oboje normalnie, chociaż jej twarz była szara po morfinie i ciało drętwe jak kłoda. Ale byli znów, wbrew wszystkiemu, weseli. Często, a specjalnie wówczas, gdy Ania lub Artur byli w domu, opuszczał ją. Z Klarą widywał się rzadko. Przebywał przeważnie w towarzystwie mężczyzn. Był dowcipny, ruchliwy i ożywiony. Ale gdy przyjaciele widzieli, jak bladł nagle i ciemne oczy jarzyły mu się nienaturalnym blaskiem, patrzyli na niego z niepokojem i podejrzliwie. Czasem szedł do Klary, ale była teraz niemal zawsze w stosunku do niego oziębła.

— Przytul mnie! — mówił po prostu.

Godziła się czasem. Ale była wystraszona. Kiedy ją miał, było w tym coś, co ją odpychało od niego... coś wbrew naturze. Zaczynała się go lękać. Stał się teraz taki spokojny i taki obcy. Bała się tego człowieka, który nie był z nią razem i którego obecność wyczuwała gdzieś poza swym kochankiem. Był to ktoś złowieszczy, napełniający ją grozą. Zaczęła odczuwać jakiś lęk przed nim. Bała się go niemal tak, jak gdyby był zbrodniarzem. Pragnął jej... miał ją... i czuła się tak, jak gdyby to śmierć trzymała ją w swym uścisku. Leżała przejęta grozą. To nie człowiek był przy niej i kochał ją.

Nienawidziła go niemal. Potem przychodziły drobne odruchy czułości. Ale nie miała odwagi współczuć mu prawdziwie.

Dawes pojechał do sanatorium pułkownika Seely pod Nottingham. Paweł odwiedzał go tam czasem, Klara bardzo rzadko. Między dwoma mężczyznami nawiązała się szczególna przyjaźń. Dawes, który powoli wracał do zdrowia i był bardzo słaby, zdawał się składać wszystko w ręce Pawła.

W początku listopada Klara przypomniała Pawłowi o swych urodzinach.

— Ach, o mało co bym zapomniał! — wykrzyknął.

— Myślałam, że zupełnie zapomniałeś.

— Nie. Czy wybierzemy się w niedzielę nad morze?

Pojechali więc. Było zimno i raczej ponuro. Klara oczekiwała, że Paweł będzie dla niej czuły i serdeczny, a w rezultacie zdawał się prawie nie zauważać jej obecności. Siedział w przedziale kolejowym zapatrzony w okno i wstrząsnął się zaskoczony, kiedy go o coś zapytała. Nie myślał o niczym określonym. Wszystko wydawało mu się nierealne. Zwróciła się serdecznie wprost do niego.

— Co się z tobą dzieje, kochany? — zapytała.

— Nic. Czy te wiatraki nie wydają ci się nudne?

Siedział trzymając ją za rękę. Nie był w stanie mówić ani myśleć. Było to jednak kojące, siedzieć tak przy niej i trzymać ją za rękę. Klara czuła się rozczarowana i nieszczęśliwa. Nie było go przy niej. Nic dla niego nie znaczyła.

Wieczorem siedzieli wśród wydm patrząc na czarne, ołowiane morze.

— Matka nigdy się nie podda — powiedział spokojnie.

W Klarze zamarło serce.

— Tak — rzekła.

— Są różne rodzaje śmierci. W rodzinie mego ojca boją się śmierci, trzeba ich ciągnąć za kark jak kota do drwalki na zabicie. Ale ludzie z rodziny mojej matki z trudem dają się popychać, po małym kawałeczku. Są uparci i nie chcą umierać.

— Tak — powtórzyła Klara.

— Ona też nie chce umierać. Nie potrafi. Któregoś dnia był pastor, pan Renshaw. „Niech pani pomyśli — powiedział — że będzie pani tam miała swoich rodziców, siostry i swego syna, na tamtym świecie!” A ona rzekła na to: „Rozstałam się z nimi dawno i mogę nadal się bez nich obejść. Chcę być z żywymi, a nie ze zmarłymi”. Ona jeszcze chce żyć, nawet teraz.

— Ach, jakie to okropne! — wykrzyknęła Klara, zbyt przerażona, by móc powiedzieć coś więcej.

— Patrzy wciąż na mnie i chce być ze mną — mówił monotonicznie dalej. — Ma taką silną wolę, że, zdaje się, nigdy nie odejdzie... nigdy!

— Nie myśl o tym! — krzyknęła Klara.

— Była zawsze wierząca... i teraz jest... ale to nic nie pomaga. I czy wiesz, co powiedziałem jej w ostatni czwartek? „Wydaje mi się, mamu, że gdybym musiał umrzeć, nie broniłbym się. Chciałbym od razu umrzeć”. A ona odparła krótko: „A ty myślisz, że ja bym nie chciała? Tak ci się zdaje, że można umrzeć, kiedy się chce!”

Głos mu się rwał. Nie płakał, tylko nie przestawał mówić powoli, monotonicznie. Klara chciała uciec. Rozejrzała się wkoło. Miała przed sobą szumiący brzeg morza, a nad

głową czarne, ponure niebo. Chciała jak najprędzej znaleźć się gdzieś wśród światła, gdzie byliby ludzie. Pragnęła uwolnić się od niego. Siedział ze zwieszoną głową i ani jeden mięsień nie drgnął w jego ciele.

— Nie pozwalam jej dużo jeść — mówił dalej — i ona wie o tym. Jak ją pytam; „Może zjadłabyś coś?”, boi się niemal odpowiedzieć: „Tak”. „Wypiłabym filiżankę bulionu” — mówi. „To cię tylko podtrzyma na siłach” — powiedziałem jej. „Wiem... — prawie zapłakała. — Ale mam taki straszny ssący głód, kiedy nic nie jem. Nie mogę tego wytrzymać”. Poszedłem wtedy przyrządzić jej coś do zjedzenia. To ten rak ją ssie. Chciałbym, żeby już raz umarła!

— Chodź! — powiedziała Klara szorstko. — Ja już idę.

Szedł za nią w ciemnościach po piaszczystej plaży. Nie zbliżał się do niej. Nie zdawał sobie niemal sprawy z jej obecności. A ona bała się i nie cierpiała go teraz.

W tym samym stanie zupełnego oszołomienia powrócili do Nottingham. Paweł był stale zajęty, wciąż coś robił, bezustannie chodził to do jednego, to do drugiego przyjaciela.

W poniedziałek odwiedził Baxtera Dawesa. Kował podniósł się blady i niespokojny na jego powitanie. Chwycił się poręczy krzesła wyciągając do niego rękę.

— Nie powinien pan wstawać — powiedział Paweł.

Dawes usiadł ciężko z powrotem, spoglądając na niego podejrzliwie.

— Niech pan nie marnuje na mnie tyle czasu — powiedział. — Z pewnością ma pan coś lepszego do roboty.

— Miałem ochotę pana odwiedzić — odparł Paweł. — Proszę! Przyniosłem panu parę cukierków.

Chory odłożył je na bok.

— Nie udało mi się niedziela — powiedział Paweł.

— Jak się matka czuje?

— Prawie bez zmian.

— Myślałem, że się jej zrobiło gorzej i dlatego nie odwiedził mnie pan w niedzielę.

— Byłem w Skegness — odparł Paweł. — Czułem, że potrzebna mi jest jakaś zmiana.

Dawes spojrzał na niego pociemniałymi oczyma. Zdawał się na coś czekać i chociaż sam nie miał odwagi zapytać, ufał, że usłyszy odpowiedź.

— Byłem z Klarą — rzekł Paweł.

— Spodziewałem się tego — odpowiedział Dawes spokojnie.

— To była dawna obietnica — dodał Paweł.

— Może pan robić, co się panu podoba — powiedział Dawes.

Po raz pierwszy imię Klary zostało pomiędzy nimi głośno i wyraźnie powiedziane.

— Nie — wolno odparł Morel. — Jest mną zmęczona.

Dawes znów spojrzał na niego podejrzliwie.

— Już w sierpniu zaczęła mnie mieć dość — dorzucił Morel.

Obaj mężczyźni zachowywali zupełny spokój. Paweł zaproponował grę w warcaby. Grali w milczeniu.

— Wyjadę za granicę po śmierci matki — odezwał się Paweł.

— Za granicę! — powtórzył Dawes.

— Tak. Wszystko mi jedno, co tam będę robił.

Skończyli grę. Dawes wygrał.

— Chcę zacząć życie od nowa — powiedział Paweł. — Sądzę, że pan też.

Wziął do ręki jeden z pionków Dawesa.

— Sam nie wiem, co ze mną będzie — odparł tamten.

— Ach, coś się w końcu samo trafi... zawsze... zresztą, nie wiem. Niech mi pan da cukierka.

Dwaj mężczyźni ssali cukierki i zaczęli nową partię warcabów.

— Skąd się panu wzięła ta blizna nad ustami? — zapytał Dawes.

Paweł szybko zakrył usta ręką i spojrzał w ogród.

— Miałem wypadek jadąc na rowerze — powiedział.

Ręka Dawesa zadrżała, gdy podnosił pionek.

— Nie powinien pan być śmiać się ze mnie — powiedział bardzo wolno.

— Kiedy?

— Wtedy wieczorem na drodze do Woodborough, jak pan mnie minął z nią... Położył pan rękę na jej ramieniu...

— Nie miałem pojęcia, że pan jest na drodze, aż do ostatniej sekundy, w której nas pan minął — powiedział Paweł.

— To dlatego to zrobiłem — rzekł Dawes bardzo wolno.

Paweł wziął jeszcze jednego cukierka.

— Nigdy się z pana nie śmiałem — powiedział. — Ja się bardzo często zupełnie bezwiednie uśmiecham.

Skończyli grę.

Tego wieczoru Paweł wracał z Nottingham piechotą do domu, chcąc jakoś zabić czas. Piece hutnicze płonęły czerwoną łuną nad Bulwell. Czarne chmury wisiały niskim pułapem. Przeszedłszy dziesięć mil szosą, Paweł doznał uczucia, że maszeruje gdzieś poza granice życia, wtłoczony między czarne płaszczyzny ziemi i nieba. Ale na końcu czekał go tylko pokój chorej. Gdyby nawet szedł nieprzerwanie całymi dniami przed siebie — czekałoby go i tak tylko to jedno miejsce.

Zbliżając się do domu nie czuł zmęczenia, a może tylko nie zdawał sobie z niego sprawy. Już z daleka, przez pole, zobaczył czerwone światło lampki tłące się w jej pokoju.

— Kiedy umrze — powiedział sam do siebie — to światełko też zgaśnie. Zdjął cicho buciki i wśliznął się na górę po schodach. Drzwi do pokoju matki były szeroko otwarte, sypiała bowiem jeszcze wciąż sama. Lampka rzucała czerwony blask na podest schodów. Lekki i szybki jak cień, zajrzał w głąb pokoju.

— Paweł! — szepnęła.

Znów pomyślał, że pęknie mu serce. Wszedł do pokoju i usiadł przy łóżku.

— Jak późno wróciłeś! — szepnęła.

— Nie bardzo — odparł.

— Jak to? Która to godzina? — Jej szept był pełen skargi i rozpaczliwie bezradny.

— Parę minut po jedenastej.

Nie była to prawda. Dochodziła pierwsza.

— Och! — szepnęła. — Zdawało mi się, że jest dużo później.



Znał rozpaczliwą beznadziejność nocy, która nie chce minąć.

— Nie możesz spać, ptaszynko? — zapytał.

— Nie — załkała żałośnie.

— Nic nie szkodzi, malutka — mówił śpiewnie. — Nic nie szkodzi, kochana. Zosta-  
nę z tobą chwilę, ptaszynko. Może ci będzie lepiej.

I usiadł przy jej łóżku gładząc rytmicznie jej brwi czubkami palców, leciutko przy-  
ciskając jej powieki, uspokajając ją i mocno tuląc jej dłonie w drugiej, wolnej ręce. Z  
sąsiednich pokoi dobiegały głośne oddechy śpiących.

— Idź już spać — szepnęła leżąc bez ruchu i poddając się kojącemu ciepłu jego rąk  
i jego miłości.

— A ty już zaśniesz? — zapytał.

— Tak. Myślę, że tak.

— Czujesz się trochę lepiej, moja malutka, prawda?

— Tak — odparła, jak splakane, na wpół ukołysane do snu dziecko.

Mijały z wolna dni i tygodnie. Paweł prawie wcale nie odwiedzał Klary.

Błąkał się niespokojnie od jednego do drugiego przyjaciela szukając pomocy, lecz  
nigdzie jej nie znajdował. Dostał serdeczny list od Miriam. Poszedł ją odwiedzić. Ser-  
ce jej ścisnęło się bólem, gdy go zobaczyła bladego jak widmo, z pociemniałymi nie-  
przytomnymi oczami. Wezbrała w niej ogromna litość, niemal bolesna, gdyż nie wie-  
działa, jak mu ją okazać.

— Jak matka? — zapytała.

— Tak samo... wciąż tak samo! — powiedział. — Doktor mówi, że to już niedługo,  
ale ja wiem, że będzie jeszcze żyła. Przeżyje Boże Narodzenie.

Miriam zadrżała. Przyciągnęła go do siebie. Przytuliła go do swej piersi i całowała  
raz po raz. Poddawał się jej pieścizdom, ale było to dla niego męką. Nie mogła zagłu-  
szyć pocałunkami jego cierpienia. Pozostawało w nim nadal i musiał dźwigać je sa-  
motnie. Całowała jego twarz i krew się w nim burzyła, lecz jego zboląła i osamotniona  
dusza zwijała się w śmiertelnej męce. A Miriam wciąż całowała go i dotykała jego  
ciała, aż w końcu uciekł od niej bojąc się, że zwariuje. Nie tego pragnął w tej chwili...  
nie po to do niej przyszedł. Jej zaś zdawało się, że dała mu ukojenie i że wyświadczyła  
mu dużo dobrego.

Nadszedł grudzień i spadł śnieg. Paweł spędzał teraz cały czas w domu.

Nie mogli sobie pozwolić na płatną pielęgniarkę. Ania przyjechała opiekować się  
matką. Pielęgniarka parafialna, którą bardzo lubili, zachodziła na chwilę rano i wie-  
czorem. Paweł pielęgnował matkę na zmianę z Anią. Zdarzało się często, że siedząc  
wieczorem z przyjaciółmi w kuchni, żartowali i zanosili się ze śmiechu. Była to nor-  
malna reakcja. Paweł był taki zabawny, a Ania taka oryginalna. Zaśmiewali się do łez,  
starając się tłumić swą wesołość. Pani Morel, leżąc samotnie w ciemnościach, słyszała  
ich i w swym rozgoryczeniu doznawała pewnej ulgi.

Potem Paweł wchodził ostrożnie na górę, pełen poczucia winy, aby sprawdzić, czy  
ich słyszała.

— Czy przynieść ci może mleka? — pytał.

— Może troszeczkę — odpowiadała żałośnie.

Dolewał wtenczas zawsze trochę wody, aby jej nie wzmocnić. A jednak kochał ją ponad własne życie.

Codziennie wieczór dostawała morfinę i serce dokuczało jej bardzo. Ania spała teraz w jej pokoju. Paweł przychodził do niej wcześniej rano, gdy siostra już wstała. Wskutek morfiny pani Morel była rano wyczerpana, a twarz jej szara jak popiół. Oczy jej stawały się coraz ciemniejsze, a źrenice rozszerzały się nienaturalnie, z bólu. Rano zmęczenie i ból były niemal nie do zniesienia. A jednak nie umiała i nie chciała płakać ani się skarżyć.

— Spałaś dziś odrobinę lepiej, kochanie — mówił do niej.

— Czy naprawdę? — odpowiadała znużona i niespokojna.

Stał przy oknie i wyglądał na dwór. Cała okolica wydawała się martwa i bezbarwna pod pokrywą śniegu. Potem badał matce puls. Tętno było nierówne i po mocnym uderzeniu przychodziło drugie, słabe — niczym głos i jego echo. Miało to być zapowiedzią końca. Podając mu rękę wiedziała, o co mu chodzi.

Czasem patrzyli sobie w oczy. Zdawali się wówczas zawierać milczące porozumienie, jak gdyby jej obiecywał, że umrze z nią razem. Ale ona nie godziła się ze śmiercią. Nie chciała umierać. Jej wyniszczone ciało było prawie już tylko odrobiną popiołu, a oczy stały się ciemne i pełne męki.

— Czy nie można by dać jej czegoś, co by wreszcie położyło temu kres? — zapytał w końcu Paweł doktora.

Ale doktor potrząsnął głową.

— To nie może już trwać długo, panie Morel — odparł.

Paweł wszedł do domu.

— Nie jestem w stanie znieść tego dłużej — powiedziała Ania. — Wszyscy tu zważujemy.

Usiedli we dwójkę do śniadania.

— Pójdź na górę i posiedź przy niej przez chwilę, Minnie, póki nie zjemy — powiedziała Ania. Ale dziewczyna bała się.

Paweł wyszedł z domu. Wędrował po okolicy, przez lasy i śnieg. Napotykał ślady królików i rozmaitych ptaków na białej pokrywie śniegu. Przeszedł tak wiele mil. Brudnoczerwone słońce zachodziło powoli i niechętnie, jak gdyby z boleścią. Myślał, że matka umrze tego dnia. Na skraju lasu wyszedł mu naprzeciw osioł. Otarł się o niego łbem, a potem szedł obok niego przez długi czas. Paweł objął go rękami za szyję i ocierał policzek o jego ucho.

Gdy wrócił, matka żyła jeszcze. Leżała milcząca, z ustami uporczywie zaciśniętymi. I tylko jej oczy żyły, pociemniałe od bólu.

Zbliżało się Boże Narodzenie i spadł większy śnieg. Ania i Paweł czuli, że nie wytrzymają już tego dłużej. Ale ciemne oczy matki wciąż jeszcze żyły. Morel, milczący i przerażony, usiłował stać się w domu niewidoczny. Czasem zachodził do pokoju żony i patrzył na nią przez chwilę. Potem wycofywał się tyłem, oszołomiony.

Wciąż jeszcze oburącz trzymała się życia. Górnicy zaczęli i skończyli strajk, i wrócili do pracy na dwa tygodnie przed świętami. Minnie przyszła na górę z kubeczkim, by nakarmić chorą. Było to w dwa dni po zakończeniu strajku.

— Czy górnicy skarżą się znów, że bolą ich ręce, Minnie? — zapytała pani Morel

słabym, a jednak zaczepnym głosem, który za nic nie chciał się poddać. Minnie stanęła zdumiona.

— Nic o tym nie słyszałam, pani Morel — odparła.

— Ale ja mogę się założyć, że tak jest — powiedziała umierająca. Poruszyła głową i westchnęła znużona. — W każdym razie będzie za co kupić coś w tym tygodniu do domu.

Nic nie uchodziło jej uwagi.

— Trzeba będzie przewietrzyć górnicze ubranie ojca, Aniu — powiedziała, kiedy mężczyźni wracali do pracy.

— Nie kłopotz się o to, kochanie — odparła Ania.

Któregoś wieczoru Ania i Paweł siedzieli razem na dole. Pielęgniarka była u matki.

— Będzie jeszcze żyła przez Boże Narodzenie — powiedziała Ania. Oboje byli przerażeni i pełni zgrozy.

— Nie! — odparł posepnie i zdecydowanie. — Dam jej morfiny.

— Jakiej? — spytała Ania.

— Wszystko, co przyszło z Sheffield — odparł Paweł.

— Tak!... zrób to! — rzekła Ania.

Następnego dnia malował w sypialni matki. Pani Morel zdawała się spać. Cofał się cicho parę kroków i znów wracał do sztalugi, pracując nad swym obrazem. Nagle usłyszał jej cichy, żalospny głos.

— Nie chodź tak, synku.

Obejrzał się. Jej oczy, czarne i wielkie, osadzone w zapadłej twarzy, patrzyły na niego.

— Dobrze, kochanie — powiedział łagodnie. Jeszcze jedna struna pękła w jego sercu.

Tego wieczoru zebrał wszystkie pastylki morfiny, jakie znajdowały się w domu, i przyniósł je na dół. Starannie zgniół je na proszek.

— Co ty robisz? — zapytała Ania.

— Wsypię jej to do mleka, przed snem.

Oboje zaśmieli się, jak para spiskujących dzieci. Po samej powierzchni straszliwego lęku, jaki ich dusił, ślizgał się ów mały płomyczek rozsądku.

Tego wieczoru pielęgniarka nie przyszła ułożyć pani Morel do snu. Paweł poszedł na górę z kubkiem gorącego mleka. Była dziewiąta.

Siedziała oparta wysoko na poduszkach, on zaś przytknął jej brzeg kubeczka do ust, których gotów byłby bronić przed wszelkim złem kosztem własnego życia. Upiła łyk, a potem odsunęła kubek i popatrzyła na niego ciemnymi, zdumionymi oczami. Spojrzał na nią.

— Ach, jakie to dzisiaj okropnie gorzkie, synku — powiedziała krzywiąc się lekko.

— To jest nowe lekarstwo na sen, które doktor dał mi dla ciebie — odparł. — Sądzi, że nie będziesz się po nim czuła taka wyczerpana rano.

— Ach, gdyby tak było — powiedziała ufnie jak dziecko.

Wypiła jeszcze kilka łyków mleka.

— Ależ to wstrętne! — wstrząsnęła się.

Patrzył na jej słabe palce zaciśnięte na kubeczku i na jej usta, krzywiące się lekko.

— Wiem... skosztowałem tego — rzekł. — Ale dam ci potem świeżego mleka do popicia.

— Mam nadzieję — powiedziała i wypła do końca. Była mu posłuszna jak dziecko. Zastanawiał się, czy ona wie. Widział jej biedną, wyniszczoną szyję, poruszającą się z trudem, gdy połykała. Potem zbiegł na dół po odrobinę mleka. Na dnie kubka nie pozostało ani ziarenka proszku,

— Czy wypła? — szepnęła Ania.

— Tak... skarżyła się tylko, że było gorzkie.

— Och! — zaśmiała się Ania przygryzając dolną wargę.

— Powiedziałem jej, że to nowe lekarstwo. Gdzież jest to mleko?

Oboje poszli na górę.

— Zastanawiałam się, czemu pielęgniarka nie przyszła dziś ułożyć mnie do snu? — poskarżyła się matka żałośnie.

— Mówiła, że wybiera się na koncert, kochanie — odparła Ania.

— Tak mówiła?

Milczeli przez chwilę. Pani Morel łykała wolno świeże mleko.

— Aniu, to lekarstwo było naprawdę okropne! — powiedziała ze skargą w głosie.

— Naprawdę, kochanie? Ale nie myśl już o tym.

Matka znów westchnęła, znużona. Jej tętno było bardzo nieregularne.

— Pozwól nam się ułożyć — powiedziała Ania. — Pielęgniarka może przyjść bardzo późno.

— Dobrze — rzekła matka. — Spróbujcie.

Odkryli kołdrę i Paweł zobaczył matkę, zwiniętą w kłębek jak mała dziewczynka, w długiej flanelowej koszuli. Szybko poprawili jedną stronę łóżka, przełożyli matkę, poprawili drugą stronę, naciągnęli starannie dół koszuli na drobne stopy i nakryli matkę kołdrą.

— Już — powiedział Paweł gładząc delikatnie jej włosy. — Jesteś gotowa... teraz będziesz spała.

— Tak — powiedziała. — Nie przypuszczałam, że potraficie tak dobrze przesłać mi łóżko — dodała niemal wesoło. Potem zwinęła się w kłębek, położyła policzek na rękę i wtuliła głowę w ramiona. Paweł przerzucił jej długi, cienki, siwy warkocz przez ramie i pocałował ją.

— Śpij dobrze, kochanie — powiedział.

— Tak — odparła z ufnością. — Dobranoc.

Zgasili światło i w domu zapanowała cisza.

Morel już spał. Pielęgniarka nie przyszła. Ania i Paweł zajrzeli do matki o jedenastej. Zdawała się spać, jak zawsze po zażyciu lekarstwa. Jej usta były lekko otwarte.

— Czy będziemy przy niej czuwali? — zapytał Paweł.

— Położę się spać w jej pokoju, jak zwykle — powiedziała Ania. — Może się obudzić.

— Dobrze. I zawołaj mnie, jak tylko zauważysz jakąś zmianę.

— Tak.

Pozostali jeszcze chwilę przy kominku w sypialni matki, świadomi niezmierzonej, czarnej i śnieżnej nocy za oknami, wśród której czuli się samotni i zagubieni. W końcu

Paweł przeszedł do sąsiedniego pokoju i położył się spać.

Zasnął niemal natychmiast, ale z początku budził się jeszcze kilkakrotnie i nasłuchiwał. Potem przyszedł głęboki sen. Zerwał się, wyrwany ze snu szeptem Ani: „Paweł, Paweł!” Zobaczył siostrę stojącą w ciemnościach, w nocnej koszuli, z długimi warkoczami spadającymi na plecy.

— Co? — szepnął siadając na łóżku.

— Chodź i spójrz na nią.

Wyśliznął się z łóżka. Mały płomyk gazowej lampki świecił się w pokoju chorej. Matka leżała z policzkiem opartym na ręce, zwinięta w kłębek tak samo, jak ją zastał wieczorem. Ale usta jej były szeroko otwarte i oddychała rżąc ciężko. Zdawała się chrapać... a pomiędzy jednym i drugim oddechem następowały długie przerwy.

— Ona umiera! — szepnął.

— Tak — rzekła Ania.

— Kiedy to się zaczęło?

— Obudziłam się tylko co.

Ania otuliła się szlafrokiem, a Paweł owinał się ciasno w brązowy pled. Była trzecia godzina. Paweł dorzucił do ognia na kominku. Siedzieli we dwoje, czekając. Ciężki, chrapliwy oddech ucichł... zatrzymał się na chwilę... i znów wrócił. Nastąpiła przerwa... i trwała długo. Zerwali się z miejsc. Ciężki chrapliwy oddech rozległ się znowu. Paweł pochylił się nisko, wpatrując się w matkę.

— Czy to nie straszne? — szepnęła Ania.

Skinał głową. Usiedli znów bezradnie na swoich miejscach. Znów wrócił ciężki świszczący oddech. Znowu zastygli w oczekiwaniu. I znowu wrócił, długi i chrapliwy. Był nieregularny, z długimi przerwami i rozlegał się echem po całym domu. Morel spał głęboko w swoim pokoju. Paweł i Ania siedzieli skurczeni i otuleni mocno, w zupełnym bezruchu. Ciężki, chrapliwy oddech rozległ się znowu... nastąpiła bolesna przerwa, gdy zawisł jak gdyby wstrzymany... i znów zabrzmiał, ostry i przenikliwy. Mijała minuta za minutą. Paweł znów pochylił się nisko nad matką i patrzył na nią.

— To może trwać długo — powiedział.

Milczeli oboje. Paweł wyjrzał przez okno. Za ledwie mógł dostrzec leżący w ogródku śnieg.

— Idź, połóż się w moim łóżku — powiedział do Ani. — Ja posiedzę.

— Nie — odparła. — Zostanę z tobą.

— Wolałbym, żebyś poszła.

W końcu Ania wysunęła się z pokoju i został sam. Owinął się ciasno pledem i skulił na podłodze przy matce. Wyglądała przerażająco z opadniętą dolną szczęką. Czuwał przy niej. Czasem myślał, że straszliwy, ciężki oddech już się nie powtórzy. Nie mógł tego znieść... tego przejmującego grozą oczekiwania. I nagle unosił się przerażony... znów zabrzmiał ostry, chrapliwy dźwięk. Po raz drugi dorzucił do ognia, poruszając się bezszelestnie. Nie chciał zakłócać jej spokoju. Mijały długie minuty. Noc płynęła od oddechu — do oddechu. Za każdym razem, gdy rozlegał się ten dźwięk, skręcał się z bólu, aż w końcu ztracał wszelką zdolność odczuwania.

Potem wstał ojciec. Paweł słyszał, jak stary górnik wciąga skarpety, ziewając głośno. Po chwili Morel, w samej koszuli i skarpetach, zjawił się w sypialni matki.

— Sz-sz! — syknął Paweł.

Morel stał i patrzył. Potem spojrział na syna, przerażony i bezradny.

— Może lepiej zostałbym w domu? — szepnął.

— Nie. Idź do pracy. Ona będzie jeszcze jutro żyła.

— Nie wydaje mi się.

— Tak. Idź do kopalni.

Górnik raz jeszcze spojrział z obawą na żonę i posłusznie wyszedł z pokoju. Paweł zauważył podwiązki płaczące mu się wkoło nóg.

W pół godziny potem Paweł zszedł na dół, wypił filiżankę herbaty i wrócił do matki. Morel zjawiał się po raz drugi, już w górniczym stroju.

— Czy mam iść? — zapytał.

— Tak.

W parę minut potem Paweł usłyszał szuranie ciężkich butów ojca, zgłuszone przez miękki śnieg. Górnicy nawoływali się na ulicach śpiesząc gromadnie do pracy. Straszliwy, z trudem wydobywający się oddech trwał nadal... ciężko... ciężko... ciężko... długa pauza... i ah-h-h-h-h-!, gdy wracał. Z daleka niósł się ponad śniegiem głos syren hutniczych. Jedna po drugiej huczały i wyły, niektóre cicho i w oddali, inne blisko — w kopalniach węgla i fabrykach. Potem zaległa cisza. Paweł odsunął firankę w oknie i wyjrzał na dwór. Nadal było ciemno. Być może niebo było o jeden odcień jaśniejsze niż przedtem. Być może śnieg był bardziej błękitny. Zaciągnął firankę i ubrał się. Potem drżąc wypił łyk koniaku z butelki stojącej na umywalce. Śnieg robił się teraz zdecydowanie niebieskawy. Usłyszał turkot wozu na ulicy. Tak! Była już siódma i zaczynało się powoli rozjaśniać. Usłyszał głosy nawołujących się ludzi. Świat budził się. Na białą powierzchnię śniegu wypełzał szary, śmiertelnie blady świt. Tak. Mógł już teraz rozróżnić domy. Wyłączył gaz. Wydało mu się bardzo ciemno. Oddech wciąż jeszcze trwał, ale on już się do niego niemal przyzwyczaił. Widział teraz matkę. Wyglądała zupełnie tak samo. Zastanawiał się, czy gdyby spiętrzył na niej górę ciężkiej odzieży, ów straszliwy oddech przychodziłby jeszcze trudniej i wreszcie umilkł? Spojrzął na nią. To nie była ona... ani trochę. Jeśliby narzucił na nią koc i ciężkie płaszcze...

Nagle drzwi otworzyły się i weszła Ania. Spojrzała na niego pytająco.

— Wciąż to samo — powiedział spokojnie.

Poszeptali chwilkę, a potem Paweł zszedł na dół, na śniadanie. Była za dwadzieścia ósma. Wkrótce Ania zeszła do niego z góry.

— Czy to nie straszne? Jak ona okropnie wygląda! — szepnęła oszołomiona lękiem.

Skinął głową.

— Nie mogę jej zapomnieć!

— Napij się herbaty — powiedział.

Wrócili na górę. Co jakiś czas przychodzili sąsiedzi pytając ze strachem:

— Jak matka?

Wciąż trwało to samo. Leżała z policzkiem wspartym na ręce i z otwartymi ustami, a ciężkie, upiorne chrapanie milkło i znów wracało.

Odziesiątej przyszła pielęgniarka. Wyglądała dziwnie nieswoja i przybita.

— Siostro! — zawołał Paweł. — Czy to może trwać jeszcze kilka dni?

— Nie, panie Morel — odparła. — To niemożliwe.

Zapadło milczenie.

— Czy to nie straszne? — jęknęła pielęgniarka. — Kto by to pomyślał, że ona może to wytrzymać? Niech pan zejdzie na dół, panie Morel. Proszę zejść na dół.

W końcu o jedenastej Paweł zdecydował się wyjść. Poszedł do najbliższego domu i usiadł u sąsiadów. Ania też była na dole. Na górze został Artur z pielęgniarką. Paweł siedział z twarzą ukrytą w dłoniach. Nagle przez podwórko przebiegła Ania krzycząc na wpół oszalała:

— Paweł... Paweł... ona umarła!

W jednej chwili znalazł się z powrotem w domu i wbiegł na górę. Leżała skulona i spokojna, z twarzą wspartą na ręce, a pielęgniarka ocierała jej usta. Wszyscy stali z dala. Paweł ukląkł przy niej, przytulił twarz do jej twarzy, i objął matkę ramionami.

— Moja kochana... kochanie... och, moje kochanie! — szeptał raz po raz. — Kochanie... och, moje kochanie!

Usłyszał pielęgniarkę płaczącą za jego plecami.

— Jej jest lepiej, panie Morel, już jej jest lepiej — powtarzała.

Oderwał twarz od jeszcze ciepłej twarzy matki, zszedł wprost na dół i zaczął czyścić buty.

Trzeba było załatwić wiele spraw, napisać listy i zająć się wszystkim. Doktor przyszedł, spojrzął na zmarłą i westchnął.

— Tak... biedactwo! — powiedział i wyszedł z pokoju. — Proszę przyjść o szóstej do mnie, do gabinetu, po świadectwo zgonu.

Ojciec wrócił z kopalni około czwartej. Wszedł milcząco do domu i usiadł w kuchni. Minnie zakrzętała się szybko, by mu podać obiad. Był zmęczony i ciężko położył czarne ręce na stole. Na obiad była pieczona kalarepa, którą lubił. Paweł zastanawiał się, czy ojciec wie. Upłynęło sporo czasu, a nikt się nie odzywał. W końcu Paweł powiedział:

— Czy zauważyłeś, że rolety są spuszczone?

Morel podniósł oczy.

— Nie — powiedział. — Dlaczego... czy ona umarła?

— Tak.

— Kiedy się to stało?

— Dziś około południa.

— Hm.

Górnik siedział przez chwilę spokojnie, a potem zaczął jeść obiad, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Jadł w milczeniu swoją porcję pieczonej kalarepy. Potem umył się i poszedł na górę zmienić ubranie. Drzwi od jej pokoju były zamknięte.

— Widziałeś ją? — zapytała Ania, gdy zszedł na dół.

— Nie — odparł.

Po chwili wyszedł z domu. Ania pojechała do siebie, a Paweł poszedł do przedsiębiorcy pogrzebowego, do pastora, do doktora i do biura magistrackiego. Zajął mu to wiele czasu. Wrócił dopiero około ósmej wieczorem. Wkrótce miał przyjść przedsiębiorca pogrzebowy wziąć miarę na trumnę. W domu nie było nikogo prócz matki. Paweł wziął świecę i poszedł na górę.

Pokój, w którym ostatnio było zawsze tak ciepło, wiał chłodem. Kwiaty, butelki,

nakrycia i wszelkie drobiazgi, niezbędne w pokoju chorej, zostały usunięte. Wszystko tu było poważne i surowe. Leżała wyciągnięta na łóżku, a sfałdowane na jego nogach prześcieradło przypominało zaspę śnieżną, zakrzepłą w milczeniu. Leżała jak młoda śpiąca dziewczyna. Pochylił się nad nią ze świecą w ręku. Wyglądała jak młoda dziewczyna marząca we śnie o miłości. Jej lekko otwarte usta jak gdyby dziwiły się cierpieniu, ale jej twarz była młoda, a jasne białe czoło zdawało się nie tknięte przez życie. Patrzył długo na jej brwi, na mały, wdzięczny, lekko skrzywiony nos. Była znów młoda. Jedynie włosy, tak pięknie okalające jej skronie, były przetykane srebrnym, a w dwóch prostych warkoczach leżących na jej ramionach przeplatały się ciemne i srebrne pasma. Zaraz się obudzi. Otworzy oczy. Jest z nim jeszcze. Pochylił się i pocałował ją czule. Ale jej usta powiały chłodem. Zagryzł wargi, przejęty grozą. Patrząc na nią czuł, że nigdy, nigdy nie pozwoli jej odejść. Nie! Odgarnął jej włosy ze skroni. Były również zimne. Zobaczył jej nieme, zdziwione cierpieniem usta. Skurczył się wówczas na podłodze, przy łóżku, szepcząc do niej:

— Mamo... Mamo!

Był jeszcze z nią, gdy przyszli ludzie z zakładu pogrzebowego. Wszyscy byli młodzi i chodzili z nim razem do szkoły. Dotykali jej z szacunkiem, w spokojny, rzeczowy sposób. Paweł pilnował jej zazdrośnie. On i Ania strzegli jej uparcie. Nie pozwolili nikomu przychodzić jej oglądać i sąsiedzi czuli się tym obrażeni.

W jakiś czas potem Paweł wyszedł z domu i wstąpił do jednego z przyjaciół. Grał u niego cały wieczór w karty. Do domu wrócił dopiero o północy. Gdy wszedł do kuchni, ojciec podniósł się z kanapy i stęknął z wyrzutem:

— Myślałem, że już nigdy nie wrócisz, chłopcze!

— Nie spodziewałem się, że będziesz na mnie czekał — odparł Paweł.

Ojciec wyglądał samotny i opuszczony. Morel nie znał uczucia strachu — nie bał się dosłownie niczego. Paweł zdał sobie nagle sprawę, że ojciec, pozostawiony sam w domu ze zmarłą żoną, zapewne bał się pójść spać. Zrobiło mu się go żal.

— Zapomniałem, że będziesz sam, ojcie — powiedział.

— Nie zjadłbyś czego?

— Nie.

— Siadaj... przygrzałem ci kapkę mleka. Wlej to w siebie. Zimno jak diabli i dobrze ci to zrobi.

Paweł wypił mleko.

Po chwili Morel poszedł spać. Przebiegł pośpiesznie obok zamkniętych drzwi i zostawił drzwi od swojego pokoju otwarte. Wkrótce syn również udał się na górę. Poszedł ją pocałować na dobranoc, jak zawsze. W pokoju matki było ciemno i zimno. Zmartwił się, że nie napalono jej na kominku. Spała dalej, śniąc o swej młodości. Mogła zmarznąć.

— Kochanie! — szepnął. — Kochanie...

Nie pocałował jej w obawie, by nie wydała mu się zimna i obca. Sprawiało mu to ulgę, że spała tak pięknie. Zamknął cicho drzwi od jej pokoju, aby jej nie obudzić, i poszedł spać.

Rano Morel zebrał się na odwagę, słysząc Anię krzątającą się na dole i Pawła kaszlącego w swoim pokoju, po drugiej stronie schodów. Otworzył drzwi do niej i wszedł



do przyciemnionego pokoju. Zobaczył majaczący w mroku biały, wyniosły kształt, ale nie śmiał na nią spojrzeć. Oszołomiony i zbyt przerażony, by opanować choć trochę swe nerwy, wyszedł z pokoju i pozostawił ją samą. Nigdy jej nie zobaczył. Nie widział jej już przedtem od długich miesięcy, bo nie śmiał na nią spojrzeć. A ona wyglądała znów jak jego młoda żona.

— Czy widziałeś ją? — ostro zapytała go Ania po śniadaniu.

— Tak — odparł.

— Prawda, jak ładnie wygląda?

— Tak.

Wkrótce potem wyszedł z domu. I przez cały czas trzymał się na uboczu, usuwając się jak gdyby w cień, byle tylko uniknąć widoku zmarłej.

Paweł chodził w rozmaite miejsca, załatwiając sprawy związane ze śmiercią matki. W Nottingham spotkał Klarę i wypili razem w cukierni herbatę, rozmawiając przy tym zupełnie wesoło. Klara odczuła ogromną ulgę, że Paweł nie przeżywał śmierci matki zbyt tragicznie.

Później, gdy krewni zaczęli gromadzić się na pogrzeb, ceremonia nabrała oficjalnego charakteru i dzieci stały się jej uczestnikami. Staraly usuwać się w cień. Pochowali ją podczas ulewnego deszczu i wichury. Mokra glina lśniła i lepiała się, a białe kwiaty ociekały wodą. Ania uczepliła się mocno ramienia Pawła i wychyliła się w przód. Głęboko w dole zobaczyła ciemny róg trumny Williama. Dębowa trumna opadła w ziemię ciężko i pewnie. Matka odeszła od nich. Do grobu wlewał się deszcz. Korowód czarno ubranych ludzi z lśnącymi parasolami zawrócił i oddalił się. Opustoszały cmentarz mókł w przenikliwym, zimnym dżdżu.

Paweł, wróciwszy do domu, zajął się gośćmi, częstując ich trunkami. Ojciec siedział w kuchni z rodziną pani Morel, ludźmi z „lepszej sfery”, popłakiwał i rozwodził się, jaką to dobrą towarzyszką życia była jego żona i jak on starał się robić dla niej wszystko, co mógł... dosłownie wszystko. Harował przez całe życie, aby zrobić dla niej wszystko, co było możliwe, i teraz nie miał sobie nic do wyrzucenia. Umarła, ale on dał jej wszystko, co mógł najlepszego. Ocierał oczy białą chustką. Nie, nie ma sobie nic do wyrzucenia. Przez całe życie robił dla niej wszystko, co mógł.

Chciał w ten sposób usunąć ją ze swojej pamięci. Nie myślał nigdy o niej samej. Bronił się przed głębszymi uczuciami. Paweł nienawidził ojca za to cliwe rozwodzenie się nad zmarłą. Wiedział, że będzie robił to samo w szynkach i oberżach. Prawdziwa tragedia rozgrywała się bowiem w duszy Morela, wbrew jego woli. Często się później zdarzało, że schodził na dół po swej popołudniowej drzemce, blady i wystraszony.

— Śniła mi się wasza matka — mówił trzęsącym się głosem.

— Naprawdę, ojczy? Ilekroć mi się śni, zawsze wygląda tak jak wtedy, gdy była jeszcze zupełnie zdrowa. Śni mi się często, ale zawsze wydaje mi się to bardzo przyjemne i naturalne. Mam wtedy takie uczucie, jakby się nic nie zmieniło.

Ale Morel garnał się jak najbliższej płonącego na kominku ognia, kuląc się w panicznym strachu.

Minęło kilka tygodni, niemal poza świadomością Pawła, nie przynosząc mu ani wielkiego bólu, ani żadnych innych uczuć, poza odrobiną ulgi i najczęściej bezsenny-

mi nocami. Paweł błąkał się niespokojnie z jednego miejsca w drugie. Już parę miesięcy, to jest od chwili gdy stan matki uległ pogorszeniu, nie utrzymywał bliższych stosunków z Klarą. Była wobec niego w dalszym ciągu daleka i raczej nieczuła. Dawes widywał żonę rzadko i żadne z nich nie umiało uczynić pierwszego kroku ani zmniejszyć choćby o cal dzielącą ich odległość. Wszyscy troje pozwalali bezwładnie unosić się losowi.

Dawes bardzo wolno powracał do zdrowia. Święta Bożego Narodzenia spędził w sanatorium dla rekonwalescentów, w Skegness, i czuł się już prawie dobrze. Paweł pojechał na kilka dni nad morze. Ojciec był u Ani, w Sheffield. Dawes odwiedził Pawła w jego mieszkaniu. Okres jego pobytu w zakładzie dobiegał końca. Ci dwaj mężczyźni, których dzieliła wzajemna nieufność, zdawali się być jednocześnie szczerze sobie oddani. Dawes był teraz zależny od Morela. Wiedział, że Paweł i Klara właściwie rozstali się z sobą.

Paweł miał wrócić do Nottingham w dwa dni po świętach. Poprzedniego wieczoru siedział z Dawesen przy kominku, paląc fajkę.

— Czy wiesz, że Klara ma przyjechać tu jutro na jeden dzień? — zapytał.

Dawes obrzucił go szybkim spojrzeniem.

— Tak, mówiłeś mi o tym — odparł.

Paweł wypił resztę whisky ze szklanki.

— Powiedziałem gospodyni, że przyjeżdża tu twoja żona — rzekł

— Och, rzeczywiście? — spytał Dawes zaskoczony, ale zarazem postaranie poddając się woli Morela. Wstał trochę sztywno i sięgnął po szklankę Pawła.

— Pozwól, że ci naleję — powiedział.

Paweł porwał się z krzesła.

— Masz siedzieć spokojnie i nie ruszać się z miejsca! — zawołał.

Ale Dawes lekko trzęsącymi się rękami kończył przygotowywać trunek.

— Powiedz, kiedy będziesz miał dość — rzekł.

— Dziękuję, wystarczy — odparł Paweł. — Ale zupełnie niepotrzebnie ruszałeś się z miejsca.

— To mi dobrze robi, chłopcze — rzekł Dawes. — Wydaje mi się wtedy, że wszystko już ze mną jest dobrze.

— Jesteś prawie zdrow. Sam zresztą o tym wiesz.

— Tak, tak... na pewno — odparł Dawes kiwając potakująco głową.

— Len mówi, że może cię przyjąć do pracy w Sheffield.

Dawes znów spojrzał na Pawła ciemnymi oczami, które zgadzały się z wszystkim, co tamten mówił, być może ulegając trochę jego przewadze.

— To zabawne — powiedział Paweł — zaczynać tak wszystko od nowa.

Czuję się o wiele bardziej zagubiony od ciebie.

— Pod jakim względem, chłopcze?

— Nie wiem. Sam nie wiem. Czuję się po trosze tak, jakbym siedział w jakiejś krętej norze, ciemnej, ponurej i bez wyjścia.

— Wiem... rozumiem cię — powiedział Dawes kiwając głową. — Ale przekonasz się, że to się dobrze skończy.

Mówił miękko, łagodnym głosem.

— I ja też tak myślę — zgodził się Paweł.  
Dawes, z wyrazem bezradności, wytrząsnął popiół z fajki.  
— Ty się nie wykończyłeś tak jak ja — powiedział.  
Morel patrzył na jego przeguby i białe ręce, ściskające cybuch fajki i wytrząsające popiół beznamietnym, zrezygnowanym ruchem.  
— Ile masz lat? — zapytał.  
— Trzydzieści dziewięć — odparł Dawes spoglądając na niego.  
Patrzył na Pawła brązowymi oczami, w których wyraźnie malowała się świadomość przeżytej porażki i nieme błaganie o pomoc, o kogoś, kto odbudowałby w nim człowieka, okazał mu odrobinę ciepła i dopomógł znów stanąć o własnych siłach. Morel poczuł się wzruszony i zaniepokojony.  
— Jesteś w najlepszym wieku — powiedział. — I wcale nie widać po tobie, żebyś stracił zbyt dużo życiowej energii.  
Brązowe oczy Dawesa zabłyśły nagłym światłem.  
— Nie, nie straciłem — rzekł. — Mam ją tutaj, w sobie.  
Paweł spojrzał na niego i zaśmiał się.  
— Obaj mamy w sobie dość dużo energii, żeby świat przewrócić do góry nogami — powiedział.  
Oczy ich spotkały się. Zamienili jedno krótkie spojrzenie. Każdy z nich ujrzał w drugim tak samo silną pasję życia i obaj wypili duszkiem whisky.  
— Tak jest, na Boga! — szepnął Dawes z zapartym tchem.  
Umilkli na chwilę.  
— I nie widzę powodu — rzekł Paweł — czemu nie miałbyś zacząć w tym samym miejscu, gdzie kiedyś skończyłeś.  
— To, co kiedyś... — zaczął Dawes sugestywnie.  
— Tak jest... skłecić z powrotem swój dom.  
Dawes zakrył twarz i potrząsnął głową.  
— Tego się nie da zrobić — powiedział i spojrzał na niego ze smutnym uśmiechem.  
— Dlaczego? Bo tego nie chcesz?  
— Może.  
Palili w milczeniu. Dawes gryzł cybuch fajki, ukazując białe zęby.  
— Czy mam przez to rozumieć, że jej nie chcesz? — zapytał Paweł.  
Dawes, z ironicznym wyrazem twarzy, patrzył na wiszący na ścianie obraz.  
— Sam dobrze nie wiem — powiedział.  
Dym z jego fajki snuł się miękko w powietrzu.  
— Jestem przekonany, że ona ciebie chce — rzekł Paweł.  
— Tak myślisz? — zapytał Dawes. Był łagodny, ironiczny i zamyślony.  
— Tak... Ona nigdy tak naprawdę nie zaczęła się o mnie... ty zawsze byłeś gdzieś na zapleczu. Dlatego nie chciała wziąć rozwodu.  
Dawes w dalszym ciągu wpatrywał się ironicznym wzrokiem nad kominkiem obraz.  
— Kobiety zawsze tak ze mną postępują — mówił Paweł. — Pragną mnie jak szalone, ale nie chcą zostać ze mną na stałe. I ona też cały czas była przy tobie, wiem o tym.  
W Dawesie przemówił teraz zwycięski, triumfujący mężczyzna. Szerzej odsłonił

zęby.

- Może byłem głupi — powiedział.
  - Z pewnością byłeś głupi, i to bardzo — rzekł Morel.
  - Ale jeśli nawet tak było, ty byłeś jeszcze głupszy — oświadczył Dawes.
- W głosie jego zabrzmiała odrobina triumfu i złościwości.

– Tak sądzisz? — zapytał Paweł.

Milczeli przez chwilę.

- W każdym razie ulatniam się stąd od jutra i wyjeżdżam — powiedział Paweł.
- Rozumiem — odparł Dawes.

Nie rozmawiali już więcej. Instynktowna chęć zamordowania rywala znów odezwała się w nich obu. Unikali się niemal wzajemnie.

Spali w jednym pokoju. Gdy się w nim znaleźli wieczorem, Dawes wydawał się nieobecny, tak głęboko pogrążony był we własnych myślach. Usiadł w koszuli na brzegu łóżka i patrzył na swoje nogi.

- Czy się nie przeziębisz? — zapytał Paweł.
- Przyglądam się tym swoim nogom — odparł Baxter.
- O co ci chodzi? Wydaje mi się, że im nic nie brakuje — powiedział Paweł leżąc już w łóżku.

- Wyglądają normalnie. Ale jest w nich jeszcze trochę wody.
- A to co znowu?
- Chodź i zobacz.

Paweł niechętnie wstał z łóżka i zbliżył się do Dawesa, by obejrzeć jego dość kształtne nogi, porośnięte ciemnoblonde włosami.

- O, zobacz — powiedział Dawes wskazując goleń — ile tu wody.
- Gdzie? — zapytał Paweł.

Kowal wcisnął w nogę czubki palców. Pozostały po nich niewielkie zagłębienia, które wypełniały się bardzo powoli.

- To nic wielkiego — rzekł Paweł.
- Spróbuj — odparł Baxter.

Paweł wcisnął palce. Pozostawiły po sobie małe dołeczki.

- Hm! — powiedział.
- Paskudna historia, co? — spytał Dawes.
- Czemu? To naprawdę nic wielkiego.
- Mężczyzna z wodą w nogach nie jest wiele wart.

– Nie uważam, aby to sprawiało jakąkolwiek różnicę — powiedział Paweł. — Ja na przykład mam słabe płuca.

Wrócił do swego łóżka.

– Sądzę, że pod każdym innym względem jestem w zupełnym porządku — oświadczył Dawes gasząc światło.

Nazajutrz rano padał deszcz. Morel spakował swoją torbę podróżną. Morze było szare, spienione i smutne. Paweł doznawał uczucia, że powoli i systematycznie zrywa wszelkie więzy łączące go z życiem. Znajdował w tym jakąś chorobliwą satysfakcję.

Wyszli obaj na stację. Klara wysiadła z wagonu i szła peronem sztywno wyprostowana, zimna i opanowana. Miała na sobie długi płaszcz i tweedowy kapelusz. Obaj

mężczyźni znienawidzili ją za to opanowanie. Paweł przywitał się z nią przy wyjściu z peronu. Dawes przyglądał się im, oparty plecami

o ścianę kiosku z książkami. Podpiął kołnierz swego czarnego płaszcza pod samą szyję, bojąc się deszczu. Był blady i w jego spokoju było coś niemal szlachetnego. Wyszedł jej na spotkanie, lekko utykając.

— Powinieneś już dużo lepiej wyglądać — powiedziała Klara.

— Och, czuję się zupełnie dobrze.

Stali we troje nie wiedząc, co począć z sobą dalej. Obaj mężczyźni wahali się niepewni i daremnie oczekiwali od niej jakiejś inicjatywy.

— Czy pójdziemy wprost do domu — zapytał w końcu Paweł — czy jeszcze gdzieś przedtem wstąpimy?

— Możemy równie dobrze iść od razu do domu — rzekł Dawes.

Paweł szedł przy samym brzegu chodnika, obok Dawesa, a dalej Klara.

Prowadzili uprzejmą rozmowę. Mały salonik wychodził na morze, którego szare, spienione fale szumiały gdzieś blisko.

Morel wysunął do przodu duży fotel.

— Siadaj, stary — powiedział.

— Nie chcę tego fotela — bronił się Dawes.

— Siadaj! — powtórzył Morel.

Klara zdjęła i położyła na kanapie płaszczy i kapelusz. Wyglądała jak gdyby lekko urażona. Przyglądając włosy palcami, siedziała daleka i opanowana. Paweł pobiegł na dół rozmówić się z gospodynią.

— Wydaje mi się, że ci zimno — powiedział Dawes do żony. — Przesiądź się bliżej ognia.

— Dziękuję. Jest mi zupełnie ciepło — odparła.

Patrzyła na padający za oknem deszcz i na szare morze.

- Kiedy stąd wyjeżdżasz? — spytała.

— Pokoje są wynajęte do jutra, więc on chce, żebym się tu jeszcze zatrzymał. Sam wyjeżdża dziś wieczór.

— A potem masz zamiar pojechać do Sheffield?

— Tak.

— Czy możesz już wrócić do pracy?

— Mam właśnie zacząć pracować.

— Czy rzeczywiście znalazłeś już jakąś posadę?

— Tak... zaczynam w poniedziałek.

— Nie wyglądasz jeszcze na to dość silny.

— Czemu?

Spojrzała znów w okno, zamiast odpowiedzieć.

— Masz już jakieś mieszkanie w Sheffield?

— Tak.

Znów odwróciła się do okna. Szyby zamazane były strugami ulewnego deszczu.

— Dasz sobie sam radę z wszystkim? — zapytała.

— Tak sądzę. A zresztą będę musiał.

Kiedy Paweł wrócił, siedzieli milcząc.

— Jadę o czwartej dwadzieścia — powiedział wchodząc.

Nikt mu nie odpowiedział.

— Chciałbym, żebyś zmieniła buty — zwrócił się do Klary. — Tu są moje ranne pantofle.

— Dziękuję — odparła. — Nie przemoczyłam wcale trzewików.

Postawił ranne pantofle przy jej nogach. Pozostawiła je tam, nie ruszone.

Morel usiadł. Obaj mężczyźni wyglądali bezradni i spłoszeni. Ale Dawes okazywał teraz spokój i zdawał się wychodzić światu naprzeciw, gdy tymczasem Paweł coraz bardziej zamykał się w sobie. Klara pomyślała, że nigdy nie wydawał się jej tak drobny i nędzny. Sprawiał wrażenie, jak gdyby chciał zamknąć się w możliwie najmniejszej przestrzeni. Gdy krzątał się po pokoju lub gdy siedział rozmawiając, wyczuwało się w nim jakiś nienaturalny, fałszywie brzmiący ton. Obserwując go ukradkiem, Klara powtarzała sobie, że nie ma w nim ani odrobiny stałości. Posiadał swoje zalety, pełen był żaru namiętności i potrafił poić ją haustami prawdziwego życia, gdy był w odpowiednim nastroju. A oto teraz wydawał jej się śmiesznie mały i pozbawiony wszelkiego znaczenia. Nie było w nim nic stałego. Jej mąż miał więcej godności męskiej w sobie. W każdym razie nie zmieniał kierunku za lada podmuchem wiatru. „W Pawle jest jakaś kapryśność — myślała — jakaś zmienność i fałsz. Żadna kobieta nie znajdzie w nim stałego oparcia”. Niemal gardziła nim za to, że pragnął stać się jak najmniejszym i zejść ludziom z oczu. Jej mąż, pomimo wszystko, był bardziej męski i umiał się poddać, gdy przegrał w walce. Paweł zaś nigdy nie uznałby się za pobitego. Kluczył dokoła, węszył i starał się być jak najmniej widoczny. Gardziła nim. A jednak patrzyła raczej na niego niż na Dawesa i los ich trojga zdawał się spoczywać w jego ręku. Nienawidziła go za to.

Lepiej obecnie знаła mężczyzn i trafniej umiała ocenić, co mogą i co zechcą uczynić. To, że nie byli jedynie marnymi egoistami, za jakich ich wpierw uważała, dawało jej poczucie pewnej ulgi i spokoju. Nauczyła się wiele

— niemal tyle, ile pragnęła się nauczyć. Jej czara była pełna, lecz na tyle, że mogła ją unieść. Rozważywszy wszystko, nie będzie zbyt żałowała, gdy Paweł odejdzie.

Po obiedzie usiedli przy kominku jedząc orzechy i pijąc whisky. Nie padło ani jedno poważniejsze słowo. A jednak Klara wiedziała, że Paweł wycofywał się z ich kółka pozostawiając jej swobodny wybór, gdyby chciała wrócić do męża. Gniewało ją to. Był więc, jak się w końcu okazało, małym, marnym człowiekiem, wzięwszy bowiem wszystko, czego pragnął, oddawał ją teraz z powrotem. Zapomniała już, że to właśnie ona sama doprowadziła do tego, czego chciała, i w gruncie rzeczy w głębi serca pragnęła, by ją zwrócił mężowi.

Paweł czuł się wykolejony i samotny. Matka była jego prawdziwym oparciem w życiu. Kochał ją. We dwoje stawiali czoło światu. Teraz odeszła, a poza nim, niczym rozdarcie w zasłonie, otwarła się na zawsze wąska szczelina, przez którą jego życie zdawało się uchodzić, jak gdyby coś niewidzialnego ciągnęło go ku śmierci. Pragnął, aby ktoś mu pomógł z własnej inicjatywy. Zaczął teraz odsuwać od siebie sprawy mniej ważne, w lęku przed tą jedynie wielką — przed osuwaniem się w śmierć śladami jego ukochanej. Klara nie mogła mu być podporą. Pragnęła go, ale nie starała się go zrozumieć. Czuł, że szukała mężczyzny, który by nad nią górował, a nie takiego,

jakim on był teraz naprawdę, pogrążony w smutku i nieszczęściu. Byłoby to dla niej zbyt trudne i kłopotliwe, nie śmiał więc jej tego narzucać. Nie dałaby sobie z nim rady. Zawstydzalo go to. Tak więc, wstydzając się w głębi ducha, że znalazł się w tak rozpaczliwym położeniu, że z życiem łączy go tylko słaba więź i że w nikim nie ma oparcia — czuł się zawieszonym w próżni cieniem, nie liczącym się niemal wcale na tym konkretnym, realnym świecie i usiłował stać się jak najmniejszym, coraz bardziej zasklepiając się w swym bólu. Nie pragnął umrzeć. Nie zamierzał się poddać. Ale też nie bał się śmierci. Jeśli mu nikt nie zechce pomóc, będzie samotnie szedł przez życie.

Dawes zaszedł aż na sam skraj życia, zanim się przeraził. Znalazł się na granicy śmierci i leżąc na samej krawędzi patrzył w otchłań. A potem, przerażony i zdjęty lekkim, czołgał się z powrotem, gotów jak żebrak przyjąć wszystko, co mu życie ofiarowywało. Było w tym coś szlachetnego. Jak to widziała Klara, przyznawał się do swej porażki i pragnął, aby mimo wszystko przyjęła go z powrotem. A ona mogła to dla niego uczynić.

Była już trzecia godzina.

— Jadę o czwartej dwadzieścia — zwrócił się znów Paweł do Klary. — Pojedziesz ze mną czy później?

— Nie wiem jeszcze — odparła.

— Mam się spotkać w Nottingham z ojcem o siódmej piętnaście — dodał. — W takim razie pojedę później — zdecydowała Klara.

Dawes drgnął gwałtownie, jak gdyby jego mocno napięte nerwy odprężyły się nagle. Patrzył przez okno na morze, ale nie widział nic.

— Zostawiam tu jedną czy dwie książki, na półce w kącie — powiedział Morel. — Już je przeczytałem.

Pożegnał się z nimi przed samą czwartą.

— Myślę, że niedługo was zobaczę — powiedział podając im rękę na pożegnanie.

— Mam nadzieję — odparł Dawes. — I może kiedyś... będę mógł zwrócić ci te pieniądze, które...

— Zgłoszę się po nie, zobaczysz — zaśmiał się Paweł. — Jestem pewien, że nie upłynie wiele czasu, jak osiadę na mieliźnie.

— No tak... dobrze — powiedział Dawes.

— Do widzenia — rzekł Paweł do Klary.

— Do widzenia — odparła podając mu rękę. Potem po raz ostatni spojrziała na niego, niemo i pokornie.

Paweł wyszedł. Dawes i jego żona znów usiedli przy kominku.

— Podły dzień do podróżowania — powiedział Baxter.

— Tak — zgodziła się Klara.

Rozmawiali na obojętne tematy aż do zmierzchu. Gospodyni przyniosła herbatę. Dawes nie czekając na zaproszenie przysunął sobie krzesło do stołu, jak każdy zwykły mąż. Potem usiadł, pokornie czekając na swoją filiżankę herbaty. Klara usługiwała mu przy stole, jak czyni każda żona, nie pytając go, na co ma ochotę.

Po podwieczorku, ponieważ zbliżała się już szósta, podszedł do okna. Na dworze było zupełnie ciemno. Morze huczało głośno.

— Wciąż jeszcze pada — powiedział.

- Naprawdę?
  - Nie wyjedziesz chyba dziś wieczór? — zapytał niepewnie.
- Nie odpowiedziała. Czekał spokojnie.
- Nie wyjeżdżałbym w taki deszcz — powiedział po chwili.
  - Czy chcesz, żebym została? — zapytała Klara.
- Ręka, która przytrzymywała ciemną firanę, zadrżała.
- Tak — powiedział.

Nadal stał obrócony do niej plecami. Klara wstała i wolno podeszła do niego. Puścił firanę i odwrócił się do niej, niepewnie i z wahaniem. Stała, z rękami założonymi w tył, patrząc na niego poważnymi, nieodgadzionymi oczami.

- Czy chcesz mnie, Baxterze? — zapytała.

Jego głos brzmiał ochryple, gdy odpowiedział:

- A ty... chcesz do mnie wrócić?

Z cichym jękiem uniosła ramiona i otoczyła nimi jego szyję przyciągając go mocno do siebie. Ukrył twarz na jej ramieniu i tulił ją mocno do siebie.

— Weź mnie z powrotem! — szeptała Klara w uniesieniu. — Weź mnie... weź mnie z powrotem! — I wplotła swe palce w jego piękne, miękkie, ciemne włosy, na pół przytomna. Oplótł ją silniej ramieniem.

— Czy znów mnie chcesz, jak dawniej? — szepnął łamiącym się ze wzruszenia głosem.



## SAM NA ŚWIECIE

Klara przeniosła się z mężem do Sheffield i Paweł prawie wcale jej nie widywał. Walter Morel biernie zezwolił, aby smutek przewalił mu się nad głową, i pełzał w pozostałym po nim błocie, taki sam jak zawsze. Pomiedzy ojcem i synem nie istniały niemal żadne więzy. Każdy z nich czuł tylko, że nie powinien pozwolić, aby drugiemu czegoś brakowało w życiu codziennym.

Ponieważ nie było teraz nikogo, kto mógłby stworzyć im dom, i obaj nie mogli znieść panującej w nim pustki, Paweł wynajął pokoje w Nottingham, a Morel zamieszkał u znajomej rodziny górniczej w Bestwood.

Młodemu człowiekowi zdawało się, że cały jego świat się zawalił. Nie mógł malować. Obraz, który ukończył w dniu śmierci matki (jedyne, z którego był naprawdę zadowolony), był jego ostatnią pracą. W fabryce nie było Klary. Kiedy wracał do domu, nie był w stanie znów wziąć pędzla do ręki. Nie pozostało mu nic.

Spędzał więc cały czas na mieście pijąc w rozmaitych oberżach i gospodach i włączając się ze znajomymi mężczyznami od jednego do drugiego lokalu. W gruncie rzeczy tylko go to męczyło. Rozmawiał z kelnerkami i niemal z każdą spotkaną kobietą, ale jego ciemne oczy patrzyły z napięciem, jak gdyby czegoś szukał.

Wszystko wydawało się zupełnie odmienne i nierealne. Nie widział w tym żadnego sensu, że ludzie chodzą po ulicy, a domy wznoszą się do góry. Nie rozumiał, po co te przedmioty zajmują miejsce w przestrzeni, zamiast pozostawić ją pustą. Przyjaciele mówili coś do niego. Słyszał dźwięki i odpowiadał na nie. Ale nie mógł zrozumieć, komu ten cały hałas ludzki jest potrzebny.

Był jeszcze najbardziej sobą, gdy zostawał sam lub ciężko i niemal mechanicznie pracował w fabryce. W tym ostatnim przypadku zyskiwał zupełne zapomnienie, gdyż jego świadomość zatracala się w pracy. Ale szybko przychodził koniec. Niezmiernie go to bolało, że wszystko wokół utraciło swą rzeczywistość. Spadły pierwsze płatki śniegu. Widział drobne perełki lśniące na szarym chodniku. Niegdyś widok ich wzruszyłby go niezmiernie. I teraz je zauważył, ale zdawały się pozbawione wszelkiego znaczenia. Za parę minut przestaną w ogóle istnieć w przestrzeni, która znów wypełni pozostałe po nich miejsce. Wysokie, lśniące tramwaje biegły wieczorem po ulicy. Nieomal zdumiewało go to, że im się chce uganiać z hałasem, tam i z powrotem. „Po co się tak męczycie dudniąc po jezdni aż do Trent Bridges?” — zapytywał wielkie, mijające go tramwaje. Zdawało się, że równie dobrze mogłoby ich nie być.

Głęboka ciemność nocy była najrealniejsza. Wydawała mu się pełna, zrozumiała i kojąca. Mógł się jej spokojnie powierzyć. Nagle strzępek papieru porwał mu się spod nóg i uleciał po chodniku. Zastygł w miejscu wyprężony, z zaciśniętymi pięściami, i znów objął go płomień męki. Ujrzał oto znów sypialnię matki... jej oczy. Nieświadomie był z nią przez cały czas, obcował z nią. Umykający szybko strzępek papieru przypominał mu, że odeszła. A on był przedtem z matką. Pragnął, by wszystko zamarło w bezruchu, aby znów mógł być z nią razem.

Mijały dni i tygodnie. Ale wszystko zdawało się zlewać z sobą i ginać w jakiejś bezkształtnej masie. Nie odróżniał upływających dni ani tygodni, nie odróżniał jednego miejsca od drugiego. Niczego nie widział wyraźnie, niczego nie mógł wyodrębnić. Często gubił się w czasie na całą godzinę, a potem nie mógł sobie przypomnieć, co robił.

Pewnego wieczoru wrócił późno do domu. Ogień zaledwie tlił się na kominku. Cały dom spał. Dorzucił węgla do ognia, spojrzął na stół i zdecydował, że nie będzie jadł kolacji. Potem usiadł w fotelu. Wokoło panowała zupełna cisza. Nie był niczego świadomy, chociaż widział mgiełkę dymu unoszącą się w głąb komina. Raptem na środek pokoju wysunęły się ostrożnie dwie myszki i zaczęły gryźć rozsypane okruszyny. Patrzył na nie, jak gdyby były gdzieś nieskończenie daleko. Zegar kościelny wybił drugą. Słyszał dobiegający gdzieś z oddali przenikliwy łoskot kolejowych wagonów. Nie, to nie one były daleko. One były tu, na swoim miejscu. Ale gdzie był on?

Czas mijał. Dwie myszki, goniąc się w szaleńczej zabawie po pokoju, przebiegły mu beczelnie przez pantofel. Ani jeden mięsień nie drgnął w jego nodze. Nie czuł potrzeby ruchu. Nie myślał o niczym. Tak było łatwiej. Nic nie docierało do niego i trwał zagubiony w pustce. Potem, od czasu do czasu, jakiś mechanicznie działający odruch świadomości począł sygnalizować ostre, oderwane zdania:

— Co ja robię?

I spośród transu, w jaki się wprowadził, przyszła nieoczekiwane odpowiedź:

— Niszczę sam siebie.

Potem jakieś przykre, ciężkie uczucie przestrzegło go, że źle czyni, i zaraz pierzchnęło. Po chwili przyszło niespodziane pytanie:

— Dlaczego źle?

Znów nie było żadnej odpowiedzi, ale gwałtowna fala sprzeciwu wezbrała w jego piersi, jak gdyby protestując przeciw tej samozagładzie.

Z ulicy dobiegał turkot kół jakiegoś ciężkiego wozu. Nagle światło zgasło. W automacie elektrycznym rozległ się suchy trzask. Paweł nie poruszył się i siedział patrząc martwo przed siebie. Tylko myszki uciekły przestraszone i ogień w ciemnym pokoju żarzył się czerwono.

Wówczas, zupełnie mechanicznie i dużo wyraźniej, znów w jego duszy zaczęła toczyć się rozmowa:

— Ona umarła. Na cóż się zdała... ta jej cała walka?

To mówiła jego rozpacz wzywająca go, aby poszedł za nią.

— Ty żyjesz.

— Ale ona nie.

— Ona żyje... w tobie.

Nagle uczuł się przytłoczony ciężarem tej myśli.

— Powinieneś żyć przez pamięć dla niej — przemówiła w nim wola. Czuł jakiś upór i posepny ciężar, który nie chciał ustąpić.

— Powinieneś podjąć jej życie oraz to, co czyniła, i nieść to dalej w świat.

Ale on nie chciał tego uczynić. Chciał się poddać.

— Możesz malować — odzywała się w nim wola. — Albo mieć dzieci. Przedłużysz wówczas jej trud i wysiłek.

- Ale malować to nie to samo, co żyć.
- A więc żyj.
- Z kim mam się ożenić? — przyszło niechętnie pytanie.
- Najlepiej, jak będziesz mógł.
- Z Miriam?

Ale nie dowierzał temu.

Nagle wstał i poszedł położyć się spać. Gdy wszedł do sypialni i zamknął za sobą drzwi, stanął z zaciśniętymi pięściami.

— Mamo, kochana... — zaczął z dna duszy. Ale zaraz urwał. Nie chciał tego powiedzieć. Nie chciał się przyznać, że pragnie umrzeć i raz z tym skończyć. Nie chciał się przyznać, że życie go zwyciężyło lub że zwyciężyła go śmierć. Położył się natychmiast i zasnął od razu, zatracając się w śnie.

Tak mijały tygodnie, jeden za drugim. Jego samotna dusza walcząc rozpaczliwie oscylowała to po stronie śmierci, to po stronie życia. Męczyło go strasznie, że nie miał gdzie pójść, nie miał nic do roboty, nic do powiedzenia

o sam był niczym. Czasem biegł ulicami jak nieprzytomny. Czasem naprawdę był nieprzytomny. Chwilami otaczały go jakieś przedmioty, nagle znów ich nie było. Dyszał ciężko. Zdarzało się, że stał przed ladą jakiegoś szynku, do którego zaszedł się napić. Nagle wszystko cofało się i stawało się bardzo odległe. Widział twarz kelnerki, bełkoczących pijaków, własny kieliszek na zalanym mahoniowym blacie — gdzieś w dali. Coś stawało pomiędzy nim i otoczeniem. Nie mógł z niczym nawiązać kontaktu. Nie chciał już być tam dłużej. Nie chciał wypić swego kieliszka. Odwracał się gwałtownie i wychodził. Na progu zatrzymywał się i patrzył na oświetloną ulicę. Ale nie było go ani na niej, ani w szynku. Coś go oddzielało. Tam w dole, pod latarniami, wszystko było od niego odcięte. Nie mógł się do nich przedostać. Czuł, że nie mógłby dotknąć słupa latarni, nawet gdyby go miał w zasięgu swojej ręki. Dokąd miał się udać? Nie miał gdzie pójść... ani z powrotem do szynku, ani przed siebie... Był odrętwiał. Nie było dla niego miejsca. Ucisk w jego sercu wzrastał się. Czuł, że niedługo pęknie na kawałki.

— Nie mogę tak — mówił. Wracał nieprzytomnie do szynku i pił. Czasem pomagało mu to, a czasem czuł się jeszcze gorzej. Wybiegał na ulicę. Wiecznie niespokojny biegł tu, tam, z jednego miejsca w drugie. Postanowił malować. Ale zaledwie zrobił kilka pociągnięć, odrzucał z nienawiścią ołówek, wstawał i szedł do klubu, gdzie mógł grać w karty lub w bilard, aby flirtować z kelnerką, która znaczyła dla niego nie więcej niż mosiężny kurek trzymany przez nią w ręce.

Był bardzo chudy i policzki miał zapadnięte. Nie miał odwagi spotkać się z własnym spojrzeniem w lustrze. Nigdy się sobie nie przyglądał. Pragnął uciec od siebie, ale nigdzie nie widział oparcia. W rozpacz pomyślał o Miriam. Być może... może...?

Pewnej niedzieli zaszedł wieczorem do kościoła unitarystów i kiedy wszyscy wstali, by odśpiewać drugi hymn, zobaczył ją nagle przed sobą. Światło lśniło na jej dolnej wardze, gdy śpiewała. Zdawała się, pomimo wszystko, mieć w życiu coś cennego — może jakąś nadzieję w niebiosach, jeżeli utraciła ją na ziemi. Być może szukała pociechy i prawdziwego życia w tamtym, lepszym świecie. Uczuł łagodne ciepło w sercu,

gdy na nią patrzył. Śpiewając zdawała się błagać o łaskę i o pociechę. Ujrzał w niej swoją ostatnią nadzieję. Marzył, żeby kazanie wreszcie się skończyło i żeby mógł do niej podejść.

Tłum wyniósł ją tuż przed niego. Mógł nieomal jej dotknąć. Zobaczył jej smagły, pokornie schylony kark i wijące się nad nim ciemne włosy. Odda się w jej ręce. Jest lepsza i silniejsza od niego. Powierzy się jej.

Szła lawirując w swój trochę nieprzytomny sposób wśród małych grupki ludzi stłoczonych przed kościołem. Zawsze zdawała się zagubiona i nie umiejąca znaleźć sobie miejsca wśród ludzi. Wysunął się naprzód i położył rękę na jej ramieniu. Drgnęła gwałtownie. Jej duże, brązowe oczy rozszerzyły się lękiem, a potem, gdy go zobaczyła, pojawiło się w nich pytanie. Odsunął się lekko od niej.

— Nie wiedziałam... — szepnęła cicho.

— Ani ja — odparł.

Patrzył w przeciwną stronę. Nadzieja, która tak nagle w nim zapłonęła, znów zgasła.

— Co tu robisz, w mieście? — zapytał.

— Mieszkam u mojej kuzynki Anny.

— Ach, tak. Czy długo jeszcze będziesz?

— Nie. Tylko do jutra.

— Czy musisz zaraz wracać do domu?

Spojrzała na niego, a potem skryła twarz w cieniu kapelusza.

— Nie — powiedziała. — Niekoniecznie.

Zawrócił, a ona poszła za nim. Przeciskali się wśród tłumu wychodzących z kościoła ludzi. Z kościoła Panny Marii dochodziło jeszcze echo rozbrzmiewających organów. Ciemne figurki ukazywały się w jasno oświetlonych drzwiach. Witraże okien lśniły w ciemności kolorowym blaskiem. Kościół zdawał się wielką, zawieszoną w górze latarnią. Poszli ulicą Hollow Stone i wsiedli do tramwaju jadącego w kierunku Bridges.

— Zjesz ze mną kolację — powiedział — a potem cię odwiozę.

— Dobrze — odparła cicho i ochryple.

W tramwaju prawie z sobą nie rozmawiali. Trent płynęła pod mostem ciemna i wezbrana. Przed nimi, w kierunku Colwick, wszystko tonęło w ciemnościach nocy. Mieszkał na Holme Road, na samym skraju miasta. Dalej ciągnęły się nadbrzeżne łąki aż do Sneiton Hermitage i stromej skarpy Colwick Wood. Rzeka wylała. Po ich prawej ręce leżała milcząca toń wody i słały się ciemności. Niemal wystraszeni, szli śpiesznie pod ścianami domów.

Kolacja czekała na stole. Zaciągnął zasłony w oknie. Na stole stał w wazonie pęk frezji i szkarłatnych anemonów. Miriam pochylila się nad kwiatami. Głaszcząc je czubkami palców, spojrzała na niego.

— Czy nie są śliczne? — powiedziała.

— Tak — odparł. — Czego się napijesz... może kawy?

— Bardzo proszę.

— Muszę cię więc przeprosić na chwilę.

Poszedł do kuchni.

Miriam zdjęła płaszcz i kapelusz, a potem rozejrzała się po pokoju. Był surowy i

niemal pusty. Na ścianach wisiały fotografie — jej, Klary i Ani. Spojrzała na sztalugi chcąc zobaczyć, nad czym pracuje. Ale było tam tylko kilka bezładnych kresek. Zajrzała do książek, aby przekonać się, co czytał. Znalazła tylko jakąś powieść. Listy, które dostrzegła w teczce, pisane były przez Anię, Artura oraz kilku jeszcze nie znanych jej mężczyzn. Pochłonięta ciekawością oglądała ze skupieniem wszystko, czego dotykał i co miało z nim choćby najlżejszy, osobisty związek. Odszedł od niej tak dawno, że chciała móc go znów rozeznaczyć, ustalić jego obecną pozycję i dowiedzieć się, czym był i co się z nim działo. Ale w pokoju było niewiele rzeczy, które mogłyby jej w tym pomóc. Zrobiło jej się w rezultacie tylko przykro, że mieszka tak źle i tak niewygodnie.

Przeglądała ciekawie jego szkicownik, gdy wrócił z kawą.

— Nie ma tam nic nowego — powiedział — ani specjalnie interesującego.

Postawił tacę i stanął przy niej oglądając rysunki ponad jej ramieniem. Obracała kartki powoli, pragnąc dokładnie przyjrzeć się wszystkiemu.

— Hm! — mruknął, gdy zatrzymała się dłużej nad jednym z rysunków. — Zapomniałem o tym. Wcale nieźle, prawda?

— Tak — odparła. — Ale niezupełnie to rozumiem.

Zabrał jej z rąk szkicownik i zaczął go przeglądać. Znów wydał dziwny, cichy okrzyk zdziwienia i zadowolenia.

— Jest tu parę niezłych rzeczy — powiedział.

— Całkiem niezłych — odparła poważnie.

Znów odczuł zainteresowanie Miriam jego pracą. A może raczej nim samym? Cemu zawsze interesowała się nim najbardziej przez jego rysunki?

Usiedli do kolacji.

— Ach, prawda! — powiedział Paweł. — Coś sobie przypominam, że mi ktoś mówił, jakobyś miała zacząć sama zarabiać na swoje utrzymanie?

— Tak — odparła pochylając ciemną głowę nad filiżanką.

— I co robisz?

— Po prostu chodzę na trzymiesięczne kursy ogrodnicze w Broughton i zapewne zostanę tam jako nauczycielka.

— Oho... to wydaje się bardzo dobre dla ciebie! Zawsze chciałaś być niezależna.

— Tak.

— Czemu mi nic o tym nie powiedziałaś?

— Dowiedziałam się dopiero w zeszłym tygodniu.

— A ja słyszałem to już miesiąc temu.

— Tak, ale to nie było jeszcze pewne.

— Myślałem — rzekł — że sama mi powiesz o swoich zamiarach.

Miriam jadła w dobrze mu znany sposób, z zastanowieniem, niemal ukradkiem, jak gdyby wzdragając się przed spełnianiem podobnej czynności publicznie.

— Myślę, że jesteś zadowolona? — powiedział.

— O, tak. Bardzo.

Czuł się trochę zawiedziony.

— Przypuszczam, że mi to dużo da — powiedziała Miriam niechętnie i niemal z nutką wyższości w głosie.

Zaśmiał się krótko.

— Sądziysz, że nie mam racji? — zapytała.

— O, bynajmniej... Tylko przekonasz się, że zarabiać na życie to jeszcze nie wszystko.

— Ach — powiedziała z trudem przełykając ślinę — wcale tak nie myślę.

— Wydaje mi się, że praca może być niemal wszystkim dla mężczyzny — powiedział. — Chociaż dla mnie, na przykład, nie jest. Ale kobieta wkłada w pracę tylko część swojej duszy. Ta prawdziwa i żywotna jej część pozostaje nie zaspokojona.

— Ale mężczyzna może cały wypowiedzieć się w pracy?

— Tak. To jest możliwe.

— A kobieta wkłada tylko tę mniej istotną część siebie?

— Tak jest.

Spojrzała na niego i jej oczy rozbłysły gniewem.

— Uważam — rzekła — że to wielka niesprawiedliwość, jeśli tak jest naprawdę.

— Masz rację. Ale mogę się oczywiście mylić — odparł.

Po kolacji usiedli przy kominku. Postawił jej fotel naprzeciwko siebie. Miała na sobie ciemnoczerwoną suknię, dobrze stonowaną z jej smagłą cerą i wyrazistymi rysami. Jej włosy były nadal bujne i piękne, ale twarz zdawała się dużo starsza, a smagła szyja o wiele chudsza. Pomyślał, że wygląda staro, dużo starzej od Klary. Jej najpierwsza wiośniana młodość przekwitła szybko. Była w niej obecnie jakaś sztywność, niemal drewniana twardość rysów. Rozmyślała przez chwilę, a potem spojrzała na niego.

— Au ciebie co słyhać?

— Dziękuję, raczej wszystko dobrze.

Popatrzyła na niego uważnie i wyczekująco.

— Nie — powiedziała bardzo cicho.

Jej smagłe, nerwowe ręce zaciskały się mocno na kolanach. Wciąż jeszcze zdradzały brak pewności siebie i niepokój. Zdawały się niemal histerycznie nerwowe. Paweł skrzywił się patrząc na nie. Potem zaśmiał się bezlitośnie. Przygryzła palce zębami. Jego szczupłe, czarno ubrane, udęczone ciało spoczywało spokojnie wyciągnięte na fotelu. Wyjęła nagle palec z ust i spojrzała na niego.

— Czy to prawda, że zerwałeś z Klarą?

— Tak.

Jego ciało leżało rzucone niedbale na fotelu, jak zapomniane, niepotrzebne ubranie.

— Sądzę — powiedziała Miriam — że powinniśmy się pobrać.

Otworzył szeroko oczy, po raz pierwszy od wielu miesięcy, i pochylił się ku niej z uwagą.

— Dlaczego? — zapytał.

— Zastanów się — powiedziała — jak się teraz marnujesz! Możesz się rozchorować, możesz umrzeć, a ja nic o tym nie będę wiedziała... jakbym ci była zupełnie obca.

— A jak się pobierzemy? — zapytał.

— Będę cię mogła w każdym razie pilnować, abyś się tak nie marnował i żebyś nie padał ofiarą takich kobiet... jak... jak Klara.

— Ofiarą? — powtórzył uśmiechając się.

Zwiesiła w milczeniu głowę. Paweł czuł, że z powrotem ogarnia go rozpacz.

— Nie jestem pewien — powiedział wolno — czy nasze małżeństwo może być dobre.

— Myślę tylko o tobie — odparła Miriam.

— Wiem, że tak jest. Ale ty mnie tak bardzo kochasz... i chciałabyś mnie schować do kieszeni. A ja bym się tam od razu na śmierć udusił.

Zwiesiła głowę gryząc palce, a w jej sercu wzbierała gorycz.

— Co chcesz wobec tego robić? — spytała.

— Nie wiem... myślę, że wyjadę. Może już niedługo wyjadę za granicę.

Skryta rozpacz brzmiąca w jego głosie sprawiła, że Miriam klękała bardzo blisko niego, na dywaniku przed kominkiem. Skurczyła się, jak gdyby coś ją przyniatało swoim ciężarem tak, że nie mogła unieść głowy. Jego ręce spoczywały bezczynnie na poręczach fotela. Była świadoma ich niemocy. Czuła, że leżał zdany na jej litość. Gdyby mogła teraz wstać, wziąć go, objąć rękami za szyję i powiedzieć: „Jesteś mój” — powierzyłby swe życie w jej ręce. Ale czy mogła się na to zdobyć? Była gotowa poświęcić siebie. Ale czy mogła mu się narzucać? Była świadoma bliskości jego wyciągniętego na fotelu, wątego, ciemno ubranego ciała, które zdawało się zdruzgotane życiem. A jednak nie mogła tego uczynić. Nie śmiała objąć go ramionami, unieść w górę i powiedzieć: „Twoje ciało należy do mnie. Powierz mi je”. Pragnęła to uczynić. Domagał się od niej tego z całą siłą jej instynkt kobiecy. Ale kuliła się przed kominkiem i nie miała odwagi tego zrobić. Bała się, że jej nie pozwoli. Bała się, że żąda zbyt wiele. Jego ciało leżało oto, porzucone i opuszczone. Czuła, że powinna unieść je mocno i łagodnie, że powinna domagać się go. Domagać się z całą mocą, w imię swych praw. Ale... czy mogła to zrobić? Bezradność wobec niego i wobec bezwzględnych żądań stawianych przez ukrytą w nim, nie znaną jej potęgę, powstrzymywała ją i była jej klęską. Ręce Miriam drżały nerwowo. Lekko uniosła głowę. Jej oczy smutne i pełne błagania, niemal szalone z rozpacz, spojrzwały nagle na niego prosząco. Serce Pawła drgnęło litością. Wziął ją za rękę, przyciągnął do siebie i zaczął pocieszać.

— Czy mnie chcesz? Czy chcesz, żebym się z tobą ożenił? — powiedział bardzo cicho.

Och, czemuż po prostu jej nie wziął! Całą duszą należała do niego. Czemu nie brał tego, co było jego własnością? Tak długo znosiła okrucieństwo oddawania mu się, chociaż jej nie dostrzegał. Teraz znów trzymał ją w napięciu.

Było to zbyt ciężkie. Odchyliła w tył głowę, ujęła jego twarz w obie ręce i spojrzała mu w oczy. Nie, jego oczy były twarde i srogie. To nie tego pragnął. Błagała go milcząco, z całą miłością w oczach, aby nie zrzucił na nią ciężaru tej decyzji. Nie mogła jej sprostać... czy może jemu... sama już w końcu nie wiedziała, co jest tak straszliwie ciężkie. Ale nerwy jej były napięte tak boleśnie, że musiała ulec.

— Czy pragniesz tego? — zapytała z wielką powagą w głosie.

— Nie bardzo — odparł z bólem.

Odwróciła twarz. Potem wstała z godnością z klęczek, przytuliła jego głowę do piersi i kołysała ją łagodnie. A więc nie będzie go miała. Może go jednak przynajmniej pocieszyć. Pieszczotliwie rozgarniała palcami jego włosy. Doznawała przy tym gorzkiej słodczy poświęcenia. On zaś czuł rozpacz i udrękę nowej porażki. Nie mógł

tego znieść... tego ciepła jej piersi kołyszących go miękko, lecz nie podejmujących jego ciężaru. Tak bardzo pragnął zaznać w niej pełnego odpoczynku, że ów nikły cień wytchnienia, jaki mu dawała, był tylko torturą. Odsunął się od niej.

— A czy bez małżeństwa nic nas nie może z sobą łączyć? — zapytał.

Jego zęby były odsłonięte w bolesnym skurczu warg. Miriam włożyła mały palec do ust.

— Nie — zadźwięczało cicho i srebrnie jak dzwonek. — Myślę, że nie.

A więc był to już koniec. Nie mogła wziąć go całkowicie i uwolnić od wszelkiej odpowiedzialności za samego siebie. Mogła mu się tylko poświęcić... poświęcać mu się zawsze, co dzień... z radością. Ale on tego nie chciał. Chciał, żeby go mocno ujęła za ręce i powiedziała: „Niechaj już skończy się ten niepokój, przestań walczyć ze śmiercią. Jesteś moim i stanę przy tobie”. Nie miała na to dość siły. Czy pragnęła znaleźć w nim najbliższego człowieka? Czy też szukała w nim Chrystusa?

Czuł, że odchodząc od niej ograbia ją z życia. Ale wiedział, że pozostając i uciszając w sobie tego drugiego, zrozpaczonego człowieka, zagubiłby własne życie.

Miriam siedziała bardzo spokojna. On palił papierosa. Dym zwijając się sinymi skrętami płynął w górę. Myślał o matce i zapomniał o Miriam. Spojrzała na niego nagle. Zawód i gorycz ocknęły się w jej duszy. A więc jej ofiara była zbyt cenna. Leżał wyciągnięty na fotelu, daleki i obojętny wobec niej. Nagle znów ujrzała w pełni jego niereligijność, jego wieczny niepokój i zmienność. Zmarnuje sam siebie jak psotne, zepsute dziecko. Ale trudno, niech robi, co chce!

— Muszę już iść — powiedziała łagodnie.

Odgadł z jej tonu, że nim gardzi. Wstał spokojnie z fotela.

— Odprowadzę cię — odparł.

Stała przed lustrem wkładając kapelusz. Jakże gorzka, jak nieznośnie gorzka była myśl, że odtrącał jej ofiarę. Życie leżące przed nią zdawało się martwe, jak gdyby zgaś w nim wszelki blask. Schyliła twarz nad kwiatami... nad frezją, taką świeżą i wiosenną... nad anemonami stojącymi w pysznym szkarłacie na stole. Było to tak charakterystyczne, że miał u siebie te kwiaty.

Poruszał się po pokoju ze szczególną pewnością siebie w ruchach, które były szybkie, niechętnie, a zarazem spokojne. Wiedziała, że nie może się z nim mierzyć w walce. Wyśliźnie jej się z rąk jak łasica. A jednak życie jej będzie się teraz tylko bezdusznie wlokło — bez niego. Zamyślona, dotknęła kwiatów.

— Weź je — powiedział Paweł. Wyjął z wazonu ociekające wodą kwiaty i szybko wyszedł do kuchni. Poczekała na niego, wzięła kwiaty i wyszli razem na ulicę. On mówił cały czas, ona czuła śmiertelne znużenie.

Miała więc od niego odejść. Zrozpaczona i nieszczęśliwa wsparła się o niego ramieniem, gdy usiedli w tramwaju. Nie odpowiedział na ten ruch. Gdzie on się teraz uda? Jaki go czeka koniec? Nie mogła znieść tej nagłej pustki w sercu, którą on winien był wypełnić. Był taki niemądry, wciąż się marnował i szarpał w wiecznym niepokoju. I gdzie się teraz uda? Czy go choć trochę obchodzi, że jej zmarnował życie? Wyrzekł się religii. Szukał tylko chwilowej rozrywki, niczego więcej i niczego głębszego w życiu. Trudno... będzie czekała i zobaczy, do czego go to doprowadzi. Kiedy już naresz-



cie będzie miał tego dość, podda się i wróci do niej.

Uścisnęli sobie ręce i zostawił ją przed drzwiami domu kuzynki. Gdy się od niej odwrócił, poczuł, że pękła w nim już ostatnia więź. Siedząc w tramwaju patrzył na miasto ciągnące się daleko ponad torowiskiem kolei, niczym zawisły nad ziemią opar dymu i świateł. A poza miastem leżała wieś, żarzyły się drobne punkciki... załóżki nowych miast... morze... noc., jak okiem sięgnąć!

I nigdzie nie było miejsca dla niego. Gdziekolwiek stąpnął — był sam. W jego pierśiach, w jego ustach rodziła się nieskończona przestrzeń... leżała poza nim... otaczała go zewsząd. Ludzie śpieszący ulicami nie mogli zapełnić pustki, w której przebywał. Byli tylko nikłymi cieniami, których kroki i głosy słyszał, ale w których bytowała ta sama noc i to samo milczenie. Wysiadł z tramwaju. Wokoło panowała niezmacona, zupełna cisza. Wysoko na niebie lśniły małe gwiazdki — w dole, na rozlewiskach, maleńkie gwiazdy lśniły jak drugi firmament pod jego stopami. Wszędzie rozpościerały się bezmiar i groza przepotężnej nocy, ustępującej zaledwie na krótką chwilę przed dniem, ale powracającej zawsze — aż zapanuje wieczność i obejmie świat swą ciszą i mrokiem, który jest życiem. Czas przestał istnieć, istniała tylko przestrzeń. Któż ośmieliłby się powiedzieć, że jego matka żyła, ale już nie żyje? Kiedyś była tutaj, a teraz przebywa gdzie indziej — to wszystko. Ale dokądkolwiek odeszła, jego dusza nie może się z nią rozstać. Odeszła w mrok nocy, lecz on jest z nią nadal. Są razem. A jednak tu jest jego ciało, jego pierś, która wspiera się o sztachety ogrodzenia, i jego ręce zaciśnięte na drewnianej poprzeczce. Przecież one muszą coś znaczyć? Gdzież więc jest on — drobny okruch ciała, marniejszy aniżeli kłos pszeniczny zagubiony w polu? Nie mógł znieść tego uczucia. Ogromna, milcząca ciemność zdawała się zewsząd nacierać na niego, aby go zdusić jak nikłą iskierkę, ale choć był niemal niczym, nie mógł jej ulec i zgasnąć. Noc, w której gubiło się wszystko, rozpościerała się poza słońce i gwiazdy, a one, małe błyszczące ziarenka, wirowały przerażone i splecione we wzajemnym uścisku, wśród jej nieprzeniknionej ciemności, która ogarniała je wszystkie sprawiając, że bladły maleńkie i strwożone.

— Matko! — szepnął. — Matko!

Była jedyną istotą na świecie, w której miał oparcie, która pośród ciemności czyniła go tym, czym był. A teraz zniknęła, rozplynęła się w przestrzeni... Pragnął znów poczuć jej dotknięcie. Chciał być z nią razem.

Lecz nie... On się nie podda. Skreślił gwałtownie i ruszył w stronę, gdzie złocistą luną połyskiwało z dala Nottingham. Pięści miał zaciśnięte, usta mocno zwarte. Nie! Nie zawróci ku owym ciemnościom, by pójść jej śladem... Szedł ku szumiącemu, łagodnie lśniącemu luną świateł w oddali miastu — szybko i zdecydowanie.